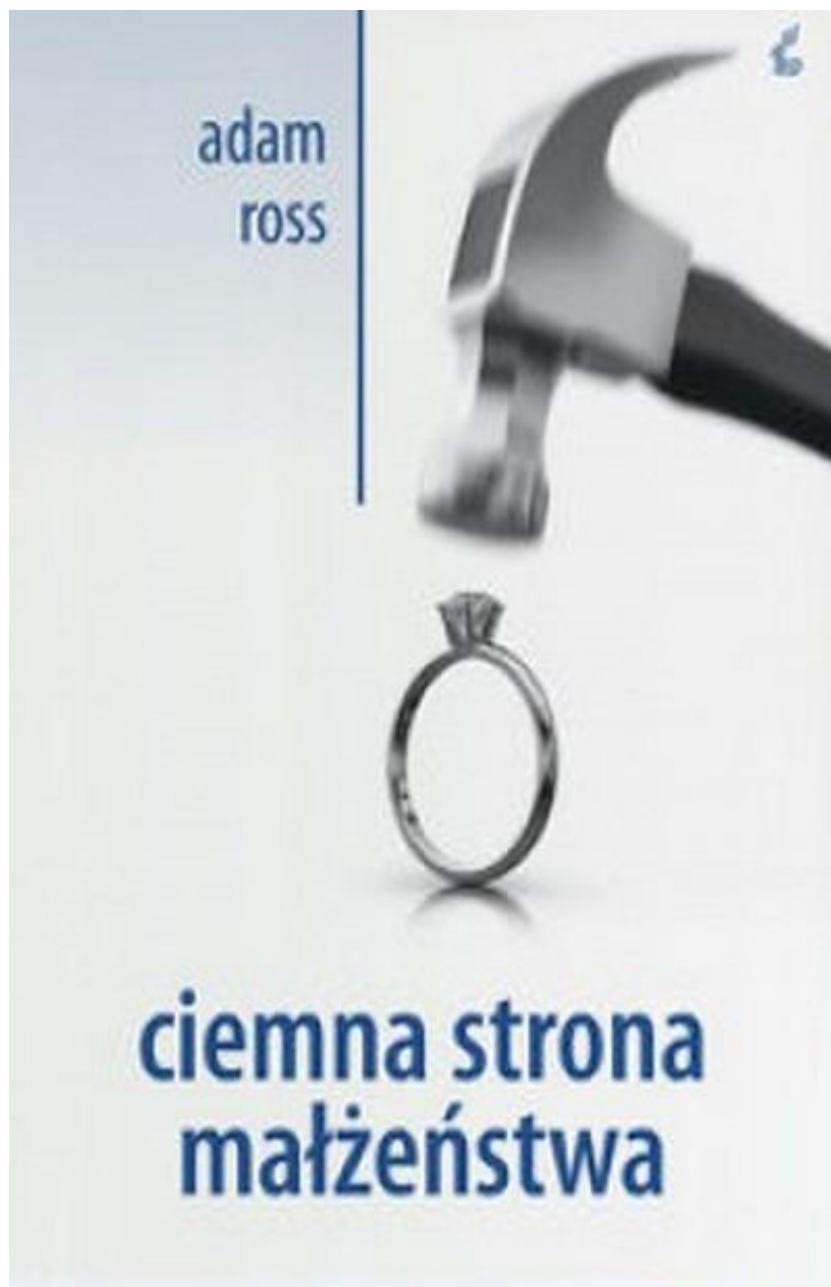




ADAM ROSS CIEMNA STRONA MAŁŻEŃSTWA

Z języka angielskiego przełożył Paweł Cichawa



WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

DlaBeth

TLR

Pajęczyna zazdrości drżąca z każdym ludzkim gestem.

Gdzie w niej ja?

Jakże często musimy być detektywami!

- Harold Brodkey

Wróciłem na górę, spojrzałem na żonę, dotknąłem jej szyi, żeby sprawdzić puls, i doszedłem do wniosku, że odeszła na zawsze. Byłem zdezorientowany. Przynajmniej tak mi się wydaje teraz. Pomyślałem, że to jakiś dziwny sen.

Fragmenc oświadczenia, które dr Sam Sheppard po konsultacji ze swoimi adwokatami złożył w biurze szeryfa hrabstwa Cuyahoga w Cleveland, Ohio, 10 czerwca 1954 roku.

W pierwszych fantazjach na temat śmierci żony David Pepin nie zabijał jej sam. Wyobraził sobie korzystne zrządzenie Opatrzności. Kiedyś podczas pikniku na plaży nadciągnęła burza, on i Alice szybko zebrali krzeselka, koce i butelki z alkoholem. Po niebie przebiegł zygzak błyskawicy, która rozświetliła ciało jego żony tak, że zobaczył jej szkielet, zupełnie jak w kreskówkach, po czym Alice, już spopielona, opadła na ziemię. Patrzył, jak szybko maszeruje po piasku - najwyższy obiekt w okolicy. W pewnym momencie nawet przystanęła, żeby spojrzeć na gromadzące się chmury. „Idzie burza” - stwierdziła. On natomiast kusił los nieposkromioną pychą, deklarując w myślach: „Ja, David Pepin, jestem mądrzejszy od Boga, wiem więc, że tu i teraz, na plaży Jones Beach, Bóg nie porazi piorunem mojej żony”. I Bóg nie poraził. David był zatem mądrzejszy. Później, już w samochodzie, kiedy lunęło tak obficie, że czuł się jak w automatycznej myjni samochodowej, pochwalił się żonie swoją boskością, pytając retorycznie, czy penis tak wielki i sterczący (a zatem wyeksponowany) może się kojarzyć z czymkolwiek poza świętością. Potem kochali się łapczywie i namiętnie na przednim siedzeniu, osłonięci ścianą ulewnego deszczu.

Fantazjował podświadomie i raczej rzadko. Obrazy napływały po prostu same. Kiedy dzwoniła do niego z pracy, pytał: „Coś się stało?” Kiedy wracała do domu później, zaczynał się martwić zbyt szybko. Snuł marzenia zgodnie z rozkładem jej dnia.

- Jedziesz dziś metrem? - zapytał.

- Tak, metrem - odparła Alice.

Zaledwie przecznica dzieliła ich od stacji Lexington, skąd przejedzie aż do ulicy Czterdziestej Drugiej. Potem na Grand Central przesiądzie się na Metro-North i po czterdziestu minutach dotrze do Hawthorne, gdzie uczy dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi, czasem zachowujące się agresywnie. Między domem a Hawthorne mogło się wydarzyć niemal wszystko. Na krawędzi peronu doszło do jakiejś burdy. Przypadkowe popchnięcie, Alice zachwiała się, okręciła, a tuż przed upadkiem komicznie machnęła rękami, jakby płynęła na grzbiecie. I było po wszystkim. David się wzdrygnął. Co

też przychodzi mu do głowy?! Z okna domu patrzył, jak Alice idzie ulicą. Nad jej głową przemknął helikopter, a David wyobraził sobie, że widzi żonę po raz ostatni - taki obraz pozostanie z nim na zawsze - i poczuł wzbierający smutek, namiastkę poczucia wielkiej straty, podobnie jak dziecko marzące o tym, by umarli rodzice.

Żadna przemoc nie wchodziła w grę. Jego fantazjami rządziła swoista etyka. Wyobrażał sobie przewracający się dźwig albo helikopter spadający na ziemię, ponieważ wymknęły się spod kontroli operatora czy pilota, usunął z nich jednak strach i ból. Przygnieciona gruzami Alice ginęła natychmiast. Czasem na miejscu katastrofy pojawiał się także on, dosłownie w ostatniej chwili przed fatalnym zdarzeniem, żeby ułatwić jej przejście na drugą stronę: trzymał ją za rękę i wymieniali ostatnie słowa.

- Kocham cię, Davidzie - mówiła Alice.

- Kocham cię, Alice - mówił David.

Potem jej oczy robiły się szkliste. Przemoc nie wchodziła w grę. Od czasu do czasu jednak David stawał się Walterem Mittym sztuki mordy. Fantazjował o własnym sprawstwie. Robił to osobiście. Strzelał do Alice, tłukł ją pałką, dusił poduszką. Ale te fantazje zawsze się kończyły tak samo, ucięte przed punktem kulminacyjnym, ponieważ nie potrafił jej zaskoczyć. Rozpoznawała go, kiedy wyłaniał się zza rogu z nożem, pałką czy pistoletem w rękę, lub chwytala go za rękę, kiedy zakrywał jej twarz poduszką - taki scenariusz był zbyt przerażający, by się nim napawać.

- Wieloryb! - wrzasnął na nią, ponieważ była ogromna. - Cholerny smutny wieloryb! (Z całych sił walczyła z depresją, teraz jednak znów musiała brać leki.)

Ich kłótnie zawsze przeradzały się w zażarte awantury. Byli małżeństwem od trzynastu lat i ciągle się kłócili, uderzając bez pardonu w najczulsze miejsca.

- Geniusz - odparła. To doprowadziło go do prawdziwego szału. Pracował jako główny projektant Spellbound, małej firmy odnoszącej znaczne sukcesy na rynku gier wideo. Ludzie z branży uważali go za geniusza; kiedyś jednak w chwili słabości wyznał jej, że produkowane przez nich gry są w najlepszym razie bezsensowne i puste, a w najgorszym - niszczą umysły graczy i jego własny.

- Żebyś zdechła! - wrzasnął na całe gardło.

-Sam zdychaj!

Co za ulga. Nawzajem życzyli sobie śmierci. Nie był zatem gorszy od niej.

Później, po długiej ciszy, przeprosił.

- Przykro mi. Nie powinienem był tak do ciebie mówić.

- Ja też przepraszam. Nie lubię się z tobą kłócić - odparła. Objęli się w salonie. Dawno już zapadł zmrok, a w całym mieszkaniu nie paliła się ani jedna żarówka. Przez wiele godzin siedzieli oddzieleni od siebie ciemnością.

Jego miłość do niej powróciła. Jak mógł myśleć o czymś podobnym? Wzięli razem prysznic, co należało do ich ulubionych wspólnych zajęć. Oparł dłonie o ścianę, a ona namydliła mu plecy, wyszorowała pośladki i skórę za uszami. Kiedy goliła mu twarz, nieświadomie naśladowała miny, które robił. Potem napuściła wody do wanny.

- Wiesz, o kim dziś myślałem? - zapytał. Relacje między nimi wciąż były drażliwe, posiniaczone. Chciał jakoś zacząć rozmowę.

-O kim?

- O doktorze Otto.

Spojrzała na niego, uśmiechając się smutno. Nie był pewien, czy z powodu skojarzeń wywołanych przez to nazwisko, czy może na myśl o tym, że razem chodzili na te zajęcia. Na nich się przecież poznali. David siedział na krawędzi wanny, trzymając w dłoni stopę Alice. Namydlił jej łydkę i teraz golił ją ostrożnie. Włoski rosły w różnych kierunkach, w zależności od miejsca.

- Rozmawiałeś z nim?

- Ostatni raz wiele lat temu. Czytałem w kwartalniku, że zmarła mu żona.

- To smutne.

- Na pewno jest mu bardzo ciężko.

- A komu nie? - odpowiedziała pytaniem.

Wypełniała sobą całą wannę. Jej rozdęte tricepsy odstawały od ciała jak płetwy delfina; piersi unosiły się niczym dwie oddzielne wyspy. Miała najpiękniejszą twarz, najdłuższe i najdelikatniejsze kasztanowe włosy oraz najcudowniejsze orzechowe oczy. Tylko bardzo się roztyła, ale David jej nie współczuł, choć wiedział, że ciężko jej dźwigać tak olbrzymie ciało. W tym roku dobiła do stu trzydziestu kilogramów. Kupiła wagę cyfrową (zalecenie lekarskie), która podawała wynik jaskrawoczerwonymi cyframi.

Ważyla się rano, zaraz po przebudzeniu; włosy zakrywały jej twarz, kiedy patrzyła na wyświetlacz między stopami.

- Chciałabym umrzeć - oświadczyła.

Życzył żonie szczupłej sylwetki tylko dla jej szczęścia; on sam wolałby, żeby Alice pozostała gruba. Uwielbiał jej gigantyczne rozmiary, ubóstwiał opierać dłonie na sterczących jak góry pośladkach. Kiedy się z nią kochał od tyłu, wyobrażał sobie, że jest aktorem odtwarzającym w filmie tylko dla dorosłych rolę Guliwera w Brobdingnagu. Podniecała go różnica proporcji. Zamykając oczy, wyolbrzymiał jej rozmiary, własne pomniejszał i z rozpostartymi ramionami uderzał całym ciałem w jej tyłek z takim przejęciem, jakby od tego zależało jego życie. Nie była jego żoną, lecz gigantycznym stworem rodzaju żeńskiego, ulubioną jego seksualną zabawką, z którą mógł się rznąć do woli, jeśli tylko dbał o nią i utrzymywał w należyтым stanie - zupełnie jak trzymane w domu zwierzę. Kiedy skończyli się kochać, leżała na łóżku twarzą do dołu, z dłońmi rozwartymi wewnętrzną stroną do sufitu, błyszczącymi oczami i nieruchomym ciałem (wielka waga nie deformowała jej; podkreślała tylko krągłość jej kształtów, poszerzała ją jak Wenus z Willendorfu). Alice śmiertelnie zraniona mocą miłości Davida.

Nie mieli dzieci. W sumie ona o tym zdecydowała.

- Widziałam się z Marnie kilka dni temu - powiedziała.

David, zajęty pracą w swoim gabinecie, zminimalizował okno na ekranie swojego komputera.

- I co?

- Jest w ciąży.

Powiedziawszy to, czekała. David także czekał. Oparł łokcie na blacie biurka i wsparł brodę na dłoniach.

- Właśnie się dowiedzieli, że drugie dziecko to będzie dziewczynka - dodała.

- I co?

- Przecież oni mają tylko dwie sypialnie!

-Mów dalej.

- Syn nie może dzielić pokoju z córką. A ich nie stać na większe mieszkanie.

-Więc?

- Więc będą musieli się wynieść z miasta.

David zdjął okulary, ostrożnie położył je na blacie. Wstał zza biurka, przeszedł do sypialni i oparł się o futrynę drzwi.

- Wyobrazasz sobie? - rzuciła wpatrzona w ekran telewizora. Na kanale A&Eric puszczała *Człowieka, który wiedział za dużo*. Popatrzyli na siebie, uśmiechając się znacząco, po czym zaraz znów odwróciła się do telewizora. Dojadła właśnie drugą paczkę krakersów Ritz o obniżonej zawartości tłuszczu. Miała już za sobą pół butelki białego wina. Okruchy leżały na jej piersiach i brzuchu jak płatki śniegu. Z kącików warg wystawały do góry dwa żółtawe ciasteczka wyglądające jak kły.

David podszedł i przytulił ją. Pod jego uściskiem zachrupały okruszki na jej piersiach.

- Cieszę się, że jest nas tylko dwoje - wyznał.

- Och, Davidzie - szepnęła, przyciągając go do siebie. - Czasem naprawdę nie wiem, za co ty mnie kochasz.

Trochę pomogło. Nie na wszystko, ale jednak.

W umyśle Davida nie było miejsca na rzeczy niesklasyfikowane. W jednej z utworzonych w nim kategorii przewidział własną wspaniałomyślność wobec żony - zachowania świadczące o tym, jak dobrym jest mężem. Kiedy już ją uszczęśliwił, przyszedł mu jednak do głowy pytanie: „Dlaczego tak dobrze nie może być zawsze? Dlaczego nie potrafię być z nią całkowicie i bez reszty?”

Powodem była książka, co sobie uświadomił, siadając z powrotem przy biurku i przywołując jej tekst na ekran monitora. Pochłaniała go, gryzł się z jej powodu i zadreślał. Nadal nieskończona, choć towarzyszyła mu od dawna. Zaczął ją pisać ponad rok temu jako pomysł na nową grę wideo, rozrosła się jednak do rangi czegoś większego. Pisał ją w największym sekrecie, ukrywając, jakby prowadził podwójne życie; kiedy Alice nie było w domu, kiedy zmywała naczynia albo surfowała po sieci - w półślepym momencie ich małżeństwa. Rękopis trzymał w dużym pudełku pod biurkiem w swoim gabinecie. Pisanie ciągle przerywał i wznawiał, przeżywał okresy szalonej pracy oraz chwile, które prowadziły go w coraz nową ślepią uliczkę. Teraz właśnie utknął w martwym punkcie, nie chciał się jednak poddawać. Struktura tekstu była bardzo skomplikowana, może nawet za bardzo, ale takiej historii nie dało się opowiedzieć prosto. Ilekroć był w kropce, musiał zrobić sobie dłuższą przerwę. Wtedy przez całe tygodnie nie myślał o powieści. Często się martwił, że to wszystko bez sensu, potem

jednak dochodził do siebie i odnajdował sens. Kiedy Alice zasypiała, czasem wracał do gabinetu, wyjmował pudełko i czytał. Wydrukowany tekst ma w sobie coś, czego ekran monitora nigdy nie zastąpi. David lubił przeprowadzać pewien test: jednym z wyznaczników dobrej narracji jest to, że dowolna, przypadkowo wybrana strona tekstu wciąga czytelnika, porywa go jak nurt rzeki. Wyjął jedną kartkę. Przeczytał. Tekst naprawdę wciągał! Był porywający! Przyszedł mu do głowy nowy pomysł, a właściwie kierunek, w którym powinien podążać. Być może przełomie impas. Przez chwilę się zastanawiał, potem znalazł właściwy rozdział i zapisał kilka uwag.

- David! - krzyknęła Alice. - Co robisz?

- Nic takiego - odparł, zastygając w bezruchu.

- To chodź do łóżka.

Odstawił pudełko pod biurko. Zacznie pisać jutro. Od samego rana. W łóżku zdania przebiegały mu przez głowę jak meteory.

Jednakże następnego dnia świetlistość tych meteorów przygasła. Choć nie potrafił zrozumieć, dlaczego jedna noc może tak wiele zmienić, jeśli idzie o inspirację, to jednak zmieniła.

Nie rozumiał także, w jaki sposób Alice zdołała aż tak przytyć. Ożenił się z dorodną kobietą o wadze siedemdziesięciu pięciu kilogramów, ale i przecież była gruboścista, mierzyła prawie metr osiemdziesiąt; w dziewiątym roku ich związku ważyła ponad sto trzydzieści kilogramów. Nie umiał tego wytłumaczyć, ponieważ stosowała bardzo ścisłą dietę. Miała uczulenie na krewetki, małże, ostrygi oraz ślimaki - na wszystko w skorupach. Kiedyś na przyjęciu przypadkiem zjadła odrobinę sosu z małży: natychmiast dostała pokrzywki (pryszczki białych na czubku, różowych u podstawy), powieki jej spuchły tak, że nie mogła otworzyć oczu, skóra na ramionach przypominała krajobraz księżycowy. Wśród gości znalazł się lekarz uczulony na pszczoły (Alicji ta dolegliwość też nie była obca), który zrobił jej zastrzyk z epinefryny (automatyczne strzykawki EpiPen zostały w domu) i natychmiast opuchlizna zeszła, a wypryski zniknęły. Orzechy nerkowca, migdały, orzeszki makadamii - wszystko absolutnie wykluczone. Masło orzechowe Peter Pan mogłoby mieć na etykiecie trupią czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami. Alice codziennie racjonowała swoje trucizny. Na drzwiach lodówki miała listę, na której dole widniała maleńka tabela do przeliczania wartości: trochę tego, podzielone przez to razy odro-

binę tamtego. Zastąp grzyby, odejmij różnicę od grejpfrutów. „Algebra alergika” - myślał David, patrząc, jak ona zawsze przed posiłkiem robi wyliczenia. Jakaś alchemia.

Jego miłość do żony powróciła. Kiedy Alice jadła, pochylała się nad talerzem, przeżuując z rozmarzeniem, wpatrzona w próżnię, sam środek pustki, która znajdowała się tuż obok piersi Davida, po lewej stronie. Co kilka kęsów z wdziękiem zakładała włosy za ucho, podczas gdy jej myśli błądziły gdzieś daleko (jedzenie zawsze ją odprężało). Ten gest zdecydowanie odejmował jej sporo lat. Znów stawała się młodą kobietą, którą poślubił. Używając odrobiny wyobraźni (Alice miała trzydzieści pięć lat), umiał przywołać w umyśle portret dziewczyny, którą była, gdy się poznali. Nie przeszkadzał jej. Zaspokajała głód. Jak mógł sobie wyobrazić, że ją straci?

W jednej z fantazji widział siebie podczas jej pogrzebu. Otaczali go żałobnicy, zasypując kondolencjami. W czasie uroczystości przemawiali różni ludzie, pięknie o niej mówiąc, choć przecież była samotniczką. Pomyślał, że wszystkich ich widzi pierwszy raz w życiu. Potem Alice została pogrzebana: ponadwymiarową trumnę powoli spuszczano do ziemi, a jeszcze później siedział samotnie. Nie potrafił wyobrazić sobie, co będzie robił dalej. Równie dobrze mógłby się zachować jak ten skye terrier, Greyfriars Bobby, i leżeć ciągle przy jej grobie.

Pepin zadrzał. Przecież miał ją wspierać. Jego miłość do żony powróciła. I wtedy pewnego dnia Alice nagle zaczęła tracić na wadze.

Przed każdym przedsięwzięciem wykonujemy pewne rytuały, pomyślał detektyw Sheppard. Na przykład biegacz przed startem ugina kolana, a miotacz chwytą się za krocze, zanim stanie na bazie. Stymulacja. Rutynowe przygotowanie umysłu, ciała i ducha. Komfort nawyku - myślał Sheppard, nabijając fajkę - ale też jego skutek. Dywan wytarty od ciągłego zdeptywania przez domowników tych samych miejsc. Dziaśła zepchnięte z zębów po latach szczotkowania. W komisariacie Sheppard obserwował ukradkiem starą prostytutkę, która nakładała makijaż, zafascynowany delikatnością, z jaką malowała usta, i pietyzmem, z którym trzymała przed sobą lusterko, jakby było czymś drogocennym, oraz kręciła głową tam i z powrotem, by w maleńkim odbiciu sprawdzić efekt wykonanej pracy, po czym w końcu zatrzasnęła puderniczkę i wrzuciła ją do torebki, gdy uznała, że jest przygotowana do wysłuchania zarzutów.

Morderstwo - rozmyślał dalej - to przerwanie nawyku albo jego kulminacja.

Ale przed każdym przedsięwzięciem, także przed przesłuchaniem, stosujemy te same gesty i ruchy. Orbitujemy, powtarzamy się. Detektyw Hastroll na pewno siedzi już po drugiej stronie lustra fenickiego i - jak sobie wyobrażał Sheppard - wpija wzrok w podejrzanego, napawając się swoją niewidocznością. Sheppard zawsze uważał za niezwykle, że po wejściu do pomieszczenia można wyczuć uczucia Hastrolla. Stał plecami do niego, wpatrzony w znajdującego się po tamtej stronie szyby mężczyznę, którego usiłował rozgryźć, a jednak Sheppard zauważył jego reakcję, gdy tylko wszedł: nie tyle na ruch, co przeszył energii. Jakby ładunek elektryczny. Zupełnie jakby poczuł, że Hastroll się krzywi, zniesmaczony jego wejściem.

-Cześć, Ward.

- Cześć, Sam.

-I co myślisz?

- Winny - zawyrokował Hastroll beznamietnie. - Jak jasna cholera.

Sheppard stanął obok partnera. Po drugiej stronie lustra fenickiego podejrzany David Pepin płakał.

- Nie byłbym taki pewien, Ward. Co do tego faceta mam jednak cię wątpliwości. On naprawdę cierpi.

- Jest winny - powtórzył Hastroll, przygarbiając potężne ramiona. - To cierpienie wynika z poczucia winy.

- A może z poczucia krzywdy?

- Winny, winny, winny. Po trzykroć winny.

Przez chwilę wpatrywali się w podejrzanego.

- Najpierw dobry glina czy zły glina?

- Idź pierwszy - powiedział Hastroll i pomyślał, że patrząc przez lustro fenickie, odczuwa się takie samo podniecenie, jak słuchając nagrania własnego głosu. Albo dostrzegając się na drugim planie jakiejś fotografii. Albo przechodząc przed kamerą transmitującą obraz na ekran wielkiego telewizora w sklepie z elektroniką, kiedy przez moment nasza podobizna rośnie, zbliżając się do nas. Bo zawsze jesteśmy sami dla siebie zagadką. Do jej rozwiązania służą nam wskazówki, podpowiedzi, krótkie migawki.

Sheppard wszedł do pokoju przesłuchań i usiadł naprzeciwko Pepina.

- Niech pan mnie nawet nie pyta! - krzyknął Pepin. - Nie zabiłem mojej żony!

Trzeba przyznać, że tym razem odchudzanie Alice przebiegało inaczej.

Wcześniejsze wymagały rozmaitego ekwipunku, od całkiem zwykłego po rekomendowany w emitowanych późnymi wieczorami reklamach telewizyjnych - akceptujemy karty Visa, American Express i MasterCard. David nazywał to podejściem absurdalnym. Wśród specyfików znajdowały się tabletki, specjalne gąbki, koktajle proteinowe i magiczne pasy zapewniające redukcję wagi: wszystkie te bzdety kupował bez słowa protestu.

- Mam dobre przeczucie - mówiła. - Myślę, że ta metoda okaże się naprawdę skuteczna - dodawała, wychodząc z pokoju, żeby nie widzieć jego miny. Paczka przychodziła w terminie od siedmiu do dziesięciu dni roboczych.

Przyrządy często trzeba było składać samodzielnie. W końcu David przybywał na wezwanie do salonu, żeby wybawić z opresji Alice, bezradnie siedzącą pośrodku sterty śrubek, bolców, płytek, kółek, zapakowanych kawałków metalu oraz innych elementów poznaczanych literami i cyframi (5Q, F9); leżały wokół niej, jakby stanowiła środek strefy zero, a on musiał potem zbierać i składać te elementy przez ładnych kilka godzin.

Z tego chaosu wyłaniało się powoli jakieś ustrojstwo, silnik Frankensteina, dziwnie owadzi, egzozkieletowy, zawsze wyposażony w jakąś formę siedziska. Alice miała do tego mocować dłonie, biodra lub stopy, ewentualnie zwisać z niego w dół bądź też obracać się dookoła. W trakcie użytkowania, kiedy pompowała, wyciskała albo pedałowiała, urządzenie sprawiało wrażenie, że za chwilę zamieni się w jakiś wehikuł i rozpadnie na kawałki, co przypominało Davidowi sceny ze starych filmów o nieprawdopodobnych samolotach i śmigłowcach sprzed ery braci Wright, które spadały z urwisk, ramp oraz wież albo po prostu wybuchwały, zanim jeszcze udało im się wzlecieć w niebo.

Wydolna krążeńiowo, Alice zaczęła skrupulatnie stosować dietę. Zrezygnowała z przekąsek, węglowodanów oraz pustych kalorii, co sprawiło, że była strasznie nieszczęśliwa, ale za to szybko traciła na wadze. Ponieważ

była tak potężna, w ciągu dwóch tygodni zrzuciła dobre cztery kilogramy. Zaabsorbowana, niemal ogarnięta obsesją, regularnie składała Davidowi sprawozdania. Co do minuty знаła czas wszystkich swoich wypróżnień, a oceniając rozmiar poskręcanych balasków, umiała określić ich przybliżoną wagę. W pracy nie jeździła windą, tylko chodziła po schodach, a zamiast śmietanki dodawała do kawy mleko sojowe. Jadła też jabłka, sprawdziwszy uprzednio, czyjej schizofreniczni uczniowie o przestępczych skłonnościach nie wbili w nie jakiejś żyłki. Zupełnie straciła popęd seksualny: nie pozwalała się nawet dotknąć. Kiedy pytała Davida, co sądzi o jej osiągnięciach - po upływie dwóch miesięcy i zgubieniu dziesięciu kilogramów z okładem - odpowiadał zachęcająco, ponieważ zmiana w jej ciele była prawie tak drastyczna jak na reklamach z wizerunkiem przed i po. Wielką radość sprawiało jej odciągnięcie spodni od talii i wybijanie nowych dziurek w paskach. W skrytości ducha jednak David był pesymistą. Właściwie nawet miał pewność, że się jej nie uda schudnąć.

W szafie leżała spakowana w pudłach jej odzież zimowa i mniej więcej o tej samej porze każdej jesieni David ścigał ten balast z górnych półek.

- Wszystkie? - zapytał, stojąc na drabince.

- Oczywiście, że wszystkie - odpowiedziała z dołu. Stroje w pudłach pochodziły z czasów, gdy była chudsza i stały się niemodne, w każdym razie na jakiś czas, bo moda cyklicznie przywracała je do łask. Rankami prezentowała mu je, kiedy jadł śniadanie. Wykonywała szybkie obroty na kamiennej podłodze w kuchni.

- Czyż ta sukienka nie jest zabawna? - dopytywała się, chwytając w palce materiał i rozkładając kloszową spódniczkę niczym skrzydła. David nie zdołał powstrzymać uśmiechu, który Alice wzięła za wyraz radości, podeszła więc, ujęła w dłonie jego głowę i przytuliła do swoich piersi. - To jest to - wyszeptała. - Tym razem dobrze trafiłam.

Podniósł wzrok, żeby na nią spojrzeć. Przyciągnęła jego twarz do swojej, po czym pocałowała go i wyszła z kuchni z podniesioną głową i dumnie wyprostowana. Pomyślał, że Alice wydaje się wyższa, gdy zrzuca nadmierny balast. Pewność jej kroków napawała go strachem.

„Czy to rzeczywiście jest to? - zastanawiał się. - Czy naprawdę tym razem trafiła?”

Może, ale najpewniej nie. W niektóre popołudnia miała kiepski nastrój. W grudniu, po trzech miesiącach diety i zrzuceniu piętnastu kilogramów,

zaczęła jednak dochodzić do wniosku, że ta droga nie ma końca, że nie da się jej przejść. Zwątpiła w swoją determinację, dochodziła do przekonania, że nigdy nie schudnie. Przez ostatnie półtora tygodnia zgubiła tylko kilogram. Raz, no, dwa razy, oszukała. (W drodze do pracy złamała się, wstępując do baru McDonald's na dwie porcje bułeczki Egg McMuffin. Poprzedniego dnia, kiedy David zaskoczył ją w kuchni, odwróciła się gwałtownie, ukrywając twarz pobrudzoną kremem pudrem i w rękach niedojedzone paczki, po jednym w każdej.) W dzień dzwoniła do Davida, odrywając go od pracy nad nową grą *Escher X*, od *Escher Exit*, opartą na twórczości genialnego artysty: świetna fabuła, no i prawdziwa programistyczna perełka. Plansze na kolejnych poziomach były wzorowane się na słynnych pracach Eschera - *Względnosc*, *Wchodzenie i schodzenie*, *Belweder*, żeby wymienić tylko kilka - a grający musiał prowadzić swoją postać (biały humanoid z grafiki *Spotkanie*) przez kolejne poziomy, kolejne zapętlone królestwa, aż znajdował ukrytą drogę ucieczki, naciskając jakąś płytkę albo i guzik rozwijające wstęgę Móbiusa danej planszy. Najlepszym efektem w grze (co najpiękniej widać było na poziomie opartym na grafice i *Względnosc*) był pomysł replikowania doświadczeń nabywanych przez gracza wraz z patrzeniem na dzieła Eschera, powielania schodów, które najpierw pną się do góry, potem nagle zaczynają opadać, prowadząc do pomieszczenia, w którym ktoś siedzi na suficie, sufit staje się podłogą, a wodospad spada do góry. Były też, oczywiście, bitwy toczone ze wszystkimi potworami Eschera: ptakiem o ludzkiej głowie z *Innego świata II*, aligatorami z *Gadów*, smokiem ze *Smoka* oraz drapieżną rybą z *Przezna-czenia*. Każde zwycięstwo podnosiło poziom umiejętności i dawało nowe uzbrojenie, dzięki czemu postać stawała się w końcu na tyle silna, by podjąć rozstrzygającą walkę z własnym sobowtórem - przygarbionym czarnym humanoidem, który rządził całym królestwem. Oczywiście miał on na imię Mobius.

Gra była cudowna, ale miała sporo bugów, które opóźniały wejście na rynek. Kiedy David odebrał telefon, odezwał się oschle, usłyszał jednak w głosie Alice desperację.

- Czy ty mnie kochasz? - zapytała.
- Oczywiście, że cię Kocham.
- Nawet jeśli jestem taka?

Zamknął oczy i oparł głowę o szybę.

- Czyli niby jaka?

- Jesteś kochany - zapewniła.

David milczał.

- Bo wydaje mi się, że nie dam rady tego zrobić.

- Czego znowu nie dasz rady zrobić?

- No tego. Nie potrafię tego zrobić. A ty jak myślisz?

-Alice...

- Przepraszam.

- Dlaczego uważasz, że nie dasz rady tego zrobić?

- Bo to za długo trwa.

-To prawda.

- W dodatku idzie tak wolno.

- Tylko dlatego, że jesteś w połowie drogi.

- Naprawdę jestem w połowie?

- Przecież już o tym rozmawialiśmy.

- Powiedz mi jeszcze raz, jak jest w połowie drogi.

- W połowie drogi idzie się wolno i z trudem.

- Utknęłam w połowie drogi pokonywania połowy drogi. Roześmiała się, po czym zaczęła płakać.

- Ja też jestem w połowie - stwierdził.

- Naprawdę?

- W połowie mojej nowej gry - powiedział głośno, dodając w myślach, że także w połowie pisanej książki. - Wiem doskonale, jak to jest. To tak jak wstrzymywać oddech dłużej, niż się da z pozoru. Jakbyś za chwilę miała stracić przytomność, a jesteś tuż przed wynurzeniem. To ostatnia prosta przed szczytem. Najbardziej stroma. Potem jest już łatwiej, bo z górki. Nie rozumiesz?

- Nie.

- Nie utknełaś. Nadal idziesz do przodu, tylko tego nie dostrzegasz.

- Och, Davidzie, tak bym zjadła burrito! I chimichangę z dodatkowym serem!

- Ale się powstrzymasz.

- Powstrzymam się?

- Oczywiście!

- Tak, powstrzymam się.

- Dasz radę, zobaczysz!

Takie rozmowy podnosiły ją na duchu. Odnawiały jej determinację. W drodze powrotnej ze szkoły chodziła na długie spacery przez centrum miasta aż do Central Parku, gdzie obchodziła Zbiornik Jacqueline Kennedy Onassis oraz tor żużlowy. Dzięki temu David zyskiwał cenne chwile samotności. Mógł poświęcić uwagę książce, wyciągając spod biurka pudełko, a z pudełka ostatnio zapisane kartki. Musiał zmienić otoczenie, prznosił się więc do kuchni, rozkładał na stole laptopa i siadał przy nim. Czuł, że ma jasny umysł. Że może się skupić na pracy. Wszystko było w należytym porządku. Wydawało mu się, że tyle spokoju nie miał od wielu długich lat.

Przyszło mu do głowy, że tak właśnie by było, gdyby Alice od niego odeszła.

- Cześć. - Weszła do kuchni i pocałowała go. Miała zaczerwienioną twarz. Jej policzki były zimne i trochę mokre. Razem z nią do mieszkania wtargnęła zima. - Tym razem na pewno mi się uda. Naprawdę. A wszystko dzięki tobie.

Stała uśmiechnięta. Dopiero po chwili zauważyła prowizoryczne biurko.

-Pracowałeś?

David obracał pióro w palcach.

- Właśnie skończyłem.

Wieczorem zawsze szykowała sobie lunch na następny dzień, owijając folię aluminiową wokół kanapek tak starannie, jakby pakowała prezent. Następnie zabezpieczała papierową torbę zszywkami, grubym czarnym mazakiem pisała na niej MÓJ LUNCH, po czym czułym gestem wkładała ją do lodówki. Wszystko w szafkach kuchennych było oznakowane w taki sam sposób: MOJE KRAKERSY, MOJE BRZOSKWINIE, MÓJ TUŃCZYK. Na następny dzień przygotowywała także śniadanie, wykładając na stół łyżkę, nóż, odwróconą do góry dnem miseczkę na płatki zbożowe,

przed którą umieszczala banana - niby szeroki uśmiech. „To żalony widok” - pomyslał David, obserwując nakryty stół w świetle z lodówki, kiedy ci- chaczem podpijał jej waniliowe mleko sojowe (MOJE MLEKO SOJOWE - głosił napis na przyklepionej do butelki taśmie maskującej). Pudełko z płatkami zbożowymi stało obok miarki, na której przedstawiono sportowca - plotkarza, siatkarza albo bejsbolistę - zastygłego w podskoku.

- Jestem gotowa do snu - oświadczyła.

Wsunęła się pod kołdrę, sięgnęła pod głowę po maseczkę na bezdech senny, po czym leżała na plecach, tępo patrząc w sufit i wyobrażając sobie najbliższy posiłek. David pomyslał, że to ją uspokaja - liczyła przed snem kalorie zamiast owiec.

Zasypiała dokładnie w chwili, kiedy gasił światło.

Przez sen oddychała melodyjnie, radośnie, jakby nucila kołysankę. Przyjemnie warcząca maszyna. Niegotowy jeszcze ani na sen, ani na ciemność, David leżał, myśląc o grze z grafikami Eschera oraz o przypadkowej śmierci Alice. Potem jednak zaczął wsłuchiwać się w jej oddech. Im dłużej go słuchał, tym większe współczucie dla niej odczuwał - litość, która najwidoczniej wymagała jej nieświadomości i całkowitej bierności. Codziennie przechodziła na pewno niewyobrażalne tortury. Przypomniał sobie grubą dziewczynę, która chodziła z nim do szkoły podstawowej. Jakże bezlitośnie szydziły z niej pozostałe dzieci! Doskonale pamiętał iymowanę, którą się skandowało na jej widok: „Bobbie Jo - hipopotam, Bobbie Jo - tłusty wieprz, wstrętna jest jak ropucha, każdy o tym wie!” Wyobrażał sobie, że uczniowie Alice także się z niej naśmiewają. W końcu byli młodocianymi przestępcami. Mało: przestępcami, świrami; od takich trudno oczekiwać choćby odrobiny wrażliwości. Wściekłość na nich aż w nim zawrzała, choć Alice ani razu nie wspomniała, że doznała jakichkolwiek przykrości od podopiecznych.

Kiedyś w Central Parku usłyszał przypadkiem, jak para młodych ludzi plotkuje na temat jego żony.

- Popatrz na tamtą grubą! - mężczyzna odezwał się do dziewczyny akurat w chwili, kiedy David stanął za nimi, wracając z batonikiem Dove, po który poszedł na prośbę Alice do kiosku. - Nie rozumiem, jak można się doprowadzić do takiego stanu! - Jego towarzyszką miała kombinezon ze spandeksu i łyżworolki Rollerblade. Wyglądała jak superbohaterka.

- Chyba musiałbyś mnie zabić, gdybym się tak spała - odparła. - Obiecuj, że mnie wtedy zabijesz! - dodała; on obiecał, że ją zabije strzelbą na słońce.

- Jesteś okropny! - stwierdziła, odjeżdżając.

David pomyślał wtedy, że to on jest okropny, ponieważ także się rozeźmiął. Pamiętał ciszę, jaką zostawiali za sobą na Łące Owiec - przerwane rozmowy i spojrzenia, które wpijali w nią spacerowicze. I ona, i on świetnie wiedzieli, co się dzieje. Szła wtedy prosto przed siebie, nerwowo zakładając włosy za ucho. Na przyjęciach, kiedy przedstawiano ich nieznajomym, obserwował, jak starają się udawać, że Alice nie odbiega od normy. Ilekroć mógł, stawał wtedy obok niej - sam był potężnym mężczyzną, mierzył ponad metr osiemdziesiąt - żeby nie wydawała się aż taka duża.

Przesunął się blisko niej pod kołdrą, żeby przyłożyć ucho do jej pleców. Słuchał bicia jej serca: *pach, pach, pach*, jakby ktoś uderzał dłonią w sporą poduszkę. Pomyślał, że to serce tak się ma do masy ciała, jak mózg brontozaura do jego wagi. Potem wyobraził sobie jej duszę - wszystkie dusze i to, jak mogą wyglądać: patykowate duchy przypominające skośnookich przybyszów z obcych planet pokazywanych w filmach. Do zadań duszy musi należeć sterowanie ciałem, które jest przecież ich śmiertelnym pojazdem ziemskim. Jeśli tak, to ciało Alice wymaga od kierowcy specjalnych umiejętności. Ma jakieś dodatkowe dźwignie wymagające od duszy wyjątkowej siły, ręczne biegi z nietypowym sprzęgłem, żadnego wspomagania kierownicy, rzecz jasna, a z tyłu tabliczki takie same jak na tylnej burcie osiemnastokołowych ciężarówek

- JAK CI SIĘ PODOBA MÓJ STYL JAZDY? albo UWAGA! ZARZUCA NA ZAKRĘTACH! Niestety, w odróżnieniu od osiemnastokołowców ciało jego żony nie budzi respektu na drogach.

W ciemności Alice mruknęła coś niewyraźnie. David pogłaskał ją ukradkiem. Jej piersi były miękkie jak puch, a ciało (z licznymi kontrolkami i wskaźnikami dla kierującego nim ducha!) rozgrzane w pościeli. Kiedy nie zareagowała, położył się znów na plecach i gapił w sufit. Leżąc w bezruchu, po raz kolejny sięgnął pamięcią do ostatnich pięciu lat, myśląc o transformacji, którą przeszła. Przypominał sobie, od czego się to wszystko tak naprawdę zaczęło i ogarnęło go przekonanie, że jest współodpowiedzialny za to, co przeszła. Poczul się, jakby to on był przyczyną choroby Alice. Dotarło do niego, że musi jakoś ją uzdrowić.

Lubimy opowiadać sobie o małżeństwach innych - rozmyślał detektyw Hastroll. - Świetnie znamy historie z życia cudzych związków. Ale czy umiemy opowiedzieć historię własnego? Gdybyśmy umieli, może nie byłoby morderstw. Może uniknęlibyśmy wielu okrucieństw i zbrodni.

Pomyślał o swojej żonie, Hannah, która leżała w łóżku. Czy było to oczywiste, że Sheppard o nią zapytał? Czy Sheppard się zorientował, że Hastroll jest bliski załamania? Że czuje się zdesperowany?

Przez lustro fenickie Hastroll patrzył, jak Sheppard realizuje strategię życzliwego, mówiąc głosem stanowczym i ciepłym zarazem. Niemal natychmiast wytworzyła się więź między nim a Pepinem, który pozwolił mu nawet dotknąć swego ramienia i przytrzymać rękę w życzliwym uścisku. Tak, pełna empatii strategia byłego lekarza, oparta na delikatnych słowach, a przede wszystkim poświęcaniej przesłuchiwanemu uwadze, jakby zdławione łkania Pepina były nieudanymi próbami sprecyzowania nękającego go bólu.

- Jak ja nienawidzę zabawy w dobrego gliniarza! - mruknął pod nosem Hastroll, przysuwając twarz tak blisko lustra, że zaparowało od jego oddechu.

Detektyw Sheppard stosował te sztuczki, żeby rozluźnić podejrzanego. Uznał, że może w ten sposób odciągnąć uwagę Pepina od bólu i smutku, a wtedy zapewne porozmawiają. Ale prawdę mówiąc, Sheppard nie potrafił oderwać od ofiary tej zbrodni nawet własnych myśli. Nie potrafił zapomnieć chwili, kiedy wszedł do kuchni, w której znalazł Alice Pepin, lat trzydzieści pięć, rasy białej, wagi około sześćdziesięciu kilogramów. Była naprawdę piękną kobietą: miała bujne brązowe włosy i orzechowe oczy, których nikt nie zamknął. Leżała przy stole kuchennym na plecach, tak jak się przewróciła wraz z krzesłem, na którym siedziała. Obok jej twarzy wałały się skorupy rozbitego talerzyka i orzeszki ziemne, a dłonie oplotła wokół szyi, jakby sama się udusiła. Miała fioletową skórę - jak świeży siniak, jak chmura burzowa - oraz mocno spuchnięte wargi, różowe jak jelita i rozdęte jak ślimaki. W kącikach jej ust oraz na zębach widać było krew zmieszana z okruchami orzeszków ziemnych.

Po wejściu do kuchni Sheppard podszedł do dokonującego oględzin lekarza.

- Powiedz mi, Harry, co tu mamy?
- Wszystko wskazuje na wstrząs anafilaktyczny.

Sheppard znów spojrzał na denatkę. W miejscach, gdzie ścisnęła się za szyję, paznokcie rozdrapały skórę.

- Co było alergenem?

Harry spojrzał na niego znad dwuogniskowych szkieł okularów, przestał gryzmolić w notatniku i wskazał długopisem w kierunku stołu. Stała na nim otwarta puszka orzeszków Planters.

- Opuchlizna zamknęła światło przetyku.

Sheppard podszedł do stołu. Orzeszek ziemny na etykiecie z uśmiechem uchylał cylindra, a jego monokl był tak nieprzejrzysty, jak szkło okularów Hastrolla, kiedy światło padało prosto na nie. Na ramieniu opierał czarną laskę, a mały palec dłoni, którą trzymał cylinder, mierzył prosto w niebo. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie ma zamiar się przedstawić. Wesołek, który za chwilę kogoś powita.

Jej mąż, David Pepin, siedział na kanapie w salonie z twarzą ukrytą w dłoniach. Środkowy i mały palec lewej dłoni miał zawinięte gazą. Był potężnie zbudowany jak Hastroll, tak samo wysoki, a na głowie nosił burzę czarnych włosów. Sheppard rozmawiał z nim przez kilka minut, potem szybko zatelefonował i podszedł do Hastrolla, który właśnie zakończył oglądanie reszty mieszkania.

- Mąż twierdzi, że po powrocie do domu zastał żonę siedzącą przy stole nad talerzem orzeszków ziemnych - relacjonował Sheppard.

- I co robiła? - zapytał Hastroll.
- Jadła.

Hastroll chrząknął.

- Mówi, że byli skłóceni - dodał Sheppard.
- Czy wiedziała, że orzeszki mogą ją zabić?
- Według niego tak, wiedziała, że jest alergiczką.
- Miała zastrzyki z adrenaliny?
- Kilka strzykawek EpiPen. Ale podobno gdzieś je schowała. Hastroll mierzył Pepina wzrokiem.
- On to zrobił - zawyrokował.
- Tylko spokojnie, Ward.

- Co mu się stało w palce?

- Twierdzi, że próbował udrożnić jej drogi oddechowe. - Sheppard nabił fajkę i zapalił. - Najwyraźniej ugryzła go, kiedy to robił. ;

- Kupujesz wersję o samobójstwie?

- Kobieta cierpiała na depresję. Jechała na lekach: wellbutrin i pro- zac. Mąż twierdzi, że miała ostatnio złe dni. W ostatnim czasie bardzo też schudła.

- Co znaczy bardzo?

- Prawie siedemdziesiąt kilogramów.

- Ja chyba byłbym z tego powodu szczęśliwy - stwierdził Hastroll.

Sheppard pokręcił głową.

- Miała nadczynność tarczycy. To może powodować delirium, silnej pobudzenie emocjonalne. On uważa, że stało się właśnie coś takiego.

- Rozmawiałeś z jej lekarzem?

- Psychiatra potwierdza, że była na lekach. Ale reszta wniosków jest moja.

Sheppard i Hastroll odwrócili się i spojrzeli na Pepina. Natrafili na jego tępy wzrok.

- Co na to twój instykt, Sam? Masz jakieś przeczucie? Trochę bym powęszył.

- Ja też.

- Spróbuj znaleźć te strzykawki. Sprawdź, czyje są na nich odciski.

- Już kazałem ich szukać.

- Sprawdź, czy ma na dłoniach ślady soli i orzechów.

- Sprawdziłem. Ręce są czyste.

- Sprawdź umywalki. Może umył potem ręce. Zabezpiecz mydło i ręczniki.

Hastroll podniósł plastikową torebkę. Ręczniki w środku były zakrwawione.

- Może próbki spod paznokci? - zaproponował Sheppard.

Hastroll wyjął wielki scyzoryk i rozłożył ostrze.

- Dobrze myślisz - powiedział.

- A potem zabierz go na przesłuchanie.

W kuchni Pepinów technicy kryminalistyczni zbierali odciski palców z kawałków rozbitego talerza oraz próbki krwi zasychającej na wargach i

zębach Alice. Dwaj mężczyźni z biura koronera pojawili się z noszami dokładnie w chwili, kiedy fotograf zaczął robić zdjęcia. Gdy skończył, ludzie od koronera obrysowali zwłoki kredą, a potem wsunęli pod nie foliowy worek. Sheppard uważnie przyglądał się twarzy zmarłej. Jej wargi były odchylone od dziąseł, a zęby zaciśnięte w proteście. Zanim skonała, oplotła sobie dłonie wokół szyi, co wyglądało tak, jakby chciała wycisnąć obce ciało z krtani, jak z palca wyciska się drzazgę. Pomyślał, że jej twarz wygląda inaczej niż oblicza samobójców, które widział dotychczas. Tamte bywały często zaspane albo ponure. Zmęczone. Pozbawione wyrazu. Jakby ich właściciele nagle zapadli w sen, niczym narkoleptyk. Sheppard prowadził kiedyś sprawę młodej przepięknej samobójczynie, którą porzucił chłopak. Skoczyła z tarasu widokowego na Empire State Building i wylądowała na taksówce, zgniatając jej dach jak miękki materac. Jej lewa pięść leżała zaciśnięta tuż nad sercem, druga dłoń znajdowała się tuż nad głową, lekko rozchylna. Sheppard odniósł wtedy wrażenie, że gdyby potrząsnął jej ramieniem, podniosłaby się, zeszła z dachu taksówki i poszła do łóżka. Podobnie ten prezes, który palnął sobie w łeb we własnym gabinecie, przystawiając lufę do lewej skroni. Ściana po jego prawej stronie pokryta była kawałkami mózgu i krwią, jakby ktoś przejechał ociekającym pędzlem po płótnie. Została mu tylko połowa twarzy, ponieważ druga połowa rozbrzyźnęła się wraz z czaszką. Ale na tej połowie nie było ani śladu bólu czy strachu.

- Ładna kobieta - stwierdził jeden z ludzi koronera. Był młody. Dwa-dziesiąt kilka lat. Klęczał przy jej stopach. - Mąż ją załatwił?

- Zjadła orzeszka ziemnego - wyjaśnił Sheppard.

- Spadaj - rzucił młodziak. Wziął sztywną nogę i umieścił ją wewnątrz plastikowego worka.

- Orzechy ziemne mogą zabić - stwierdził jego partner. - Dobrze mówię, detektywie?

Ale Sheppard nie słuchał.

Chłopak wsunął do worka drugą nogę, a następnie obydwa łokcie. W tym czasie drugi mężczyzna schował do środka ramiona denatki i zasunął worek. Potem wszyscy trzej patrzyli na nieforemny kształt.

W końcu ludzie koronera się pochyłili.

- Na trzy - zarządził jeden, po czym delikatnie położyli zwłoki na noszach samojezdnych i wywieźli.

Przez chwilę Sheppard wpatrywał się w kredowy obrys. Nie potrafił zapomnieć wyrazu jej twarzy. Kiedy się kręcił po mieszkaniu, wyobraźnia zastępowała twarz zmarłej na wszystkich fotografiach tym właśnie obrazem, jakby za sprawą jakiegoś koszmarnego efektu specjalnego. Twarz zmarłej nakładała się na oprawione odbitki wiszące na ścianach i stojące na półkach i stolikach; na polaroidowe zdjęcia (które studiował długo i uważnie) przyczepione do drzwi lodówki: wszystkie przedsta wiały Alice Pepin stojącą właśnie przy lodówce i każdą opatrzone podpisem z datą oraz zmniejszającą się wagą jej ciała. Wisiały w pionowych rzędach, obrazując stan przed i po odchudzaniu. Z upływem czasu kobieta wydawała się coraz bardziej pewna siebie. Im była szczuplejsza, tym bardziej przykładała wagę do własnego wyglądu - pomalowane rzęsy, oczy coraz większe, im była lżejsza; coraz to nowe kolory szminki na wargach, wydatniejszych wraz z kolejnymi zrzucenymi kilogramami; włosy obcięte tym krócej, im mniej pełna stawała się jej twarz. Na tych zdjęciach wyraźny był jednak dziwny smutek. Nawet najbardziej uśmiechnięte fotki zdawały się wykazywać coraz mniej zapału do rytualnych fotografii i dowodziły niechęci oka po drugiej stronie aparatu fotograficznego. Oglądając je, Sheppard poczuł, jak uwalnia się jego wyobraźnia, z całą siłą empatii, ale tylko po to, by zostać ukrócona. Jak to powiedziała jego żona Marilyn? Nigdy nie wiadomo, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Na wspomnienie tych słów stanęła mu przed oczami jak żywa w momencie, kiedy je wypowiadała. W ich kuchni, tyłem do niego, ubrana w szlafrok patrzyła wtedy w okno, to wychodzące na ulicę, a jej słowa miały być nie tyle spostrzeżeniem, co oskarżeniem, oczywiście skierowanym przeciw niemu. Wiedział, że rozczarowanie i żal, które z nich były, zapamięta do końca życia, podobnie jak chwilę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

Za wychodzącymi na północ oknami salonu Pepinów zmierzch osiągał właśnie fazę, w której światła Manhattanu robiły się srebrno-złote i nabierały nowego wymiaru, a budynki zdawały się je pochłaniać jak śniegowe kłosze. Wypełnione reflektorami aut ulice sprawiały wrażenie tuneli zalanych roztopioną stalą. Nowe drewniane podłogi w domu Pepinów miały kolor koniakowy. Dwie długie, niskie włoskie kanapy, z wyglądu delikatne jak rzeźby Caldera, stały naprzeciwko siebie rozdzielone dywanem o orientalnych wzorach równie skomplikowanych jak świat za oknem.

Wbudowane w ścianę półki pięły się do samego sufitu, a grzbiety książek tworzyły tapetę znamionującą luksus: wykształcenie, spokój, czas na lekturę. Kuchnię niedawno wyposażono w nowy sprzęt: podwójny piekarnik, granitowe blaty i tule stali nierdzewnej i kamienia, że całość sprawiała wrażenie odpornej na atak artyleryjski. Obok niej znajdowała się mała jadalnia. Długi korytarz do sypialni zdobiły oprawione plakaty, przedstawiające zrzuty ekranu podpisane na górze (*Pif-Paf? Jesteś trup!*, *EscherX*, *Owca na rzeź*) oraz grafikami Eschera — nie kopiami, lecz oryginałami, każda z podpisem i numerem. Sheppard musiał przystanąć, by je podziwiać. Czy jakkolwiek artysta w historii zmuszał oczy do takiego wysiłku, jak ten holenderski mistrz? Tak zachęcał do ogarnięcia całości obrazu, potem niweczył te wysiłki, by widz poczuł się w potrzasku? Białe i czarne łabędzie płynące po wstędze Móbiosa. Anioły i diabły obrysowujące się nawzajem, coraz mniejsze, im dalej od środka, w nieskończonej mozaice. Biały mężczyzna spleciony z czarnym gnomem, dwuwymiarowe postaci, które zyskują trzeci wymiar, kiedy odrywają się od siebie, by podążyć po okręgu do ostatecznego spotkania.

Sheppard ruszył dalej. Minął niewielki gabinet i dotarł do sypialni zdominowanej przez podwójne łóżko i wiszący naprzeciw niego na ścianie płaski telewizor. Nad wezgłowiem znajdowały się półki wypełnione bibelotami, rzeźbami i fotografiami: ona pływająca na kajaku, ona z delfinem, obydwójce ramię w ramię podróżujący z plecakami po Hawajach albo na moście gdzieś w Paryżu. Na tym paryskim zdjęciu Alice Pepin była nadzwyczaj spasiona.

A podobno ludzie się nie zmieniają.

W pokoju przesłuchań Sheppard czekał, aż Pepin się pozbiera. Od ładnych kilku minut podejrzany siedział z łokciami na stole, wpatrując się w swoje złożone dłonie, teraz jednak wyprostował się, przejechał wierzchem ręki po ciekącym nosie, siąknął, przyciskając przedramię do mokrych oczu. Potem odchrząknął, skrzyżował ramiona i nagle wydawał się silny, skupiony i gotów do rozmowy.

- Dobrze, niech pan pyta - powiedział.

Był dużym mężczyzną, grubokościstym, z palcami jak serdelki. Zjeżone czarne włoski na jego przedramionach rosły tak gęsto, że Sheppard zastanowił się, czy utrzymałyby na sobie ołówek. Miał czarne wąsy i brodę.

Włosy zaczesywał do tyłu. Wyglądał jak motocyklista, jak Anioł Piekieł, można więc było nieopatrzenie nie docenić jego inteligencji. I niewątpliwie był przystojny. Z jego potężnej postaci i ciemnych oczu biła zdumiewająca pewność siebie, która Sheppardowi skojarzyła się z istic królewską charyzmą. Pepin wyglądał jak żydowski Henryk VIII.

- Cofnijmy się trochę w czasie - zaczął Sheppard. - Jak spędził pan dzisiejszy dzień? Niech pan mi opowie wszystko po kolei.

Wiedział już sporo na ten temat, chciał jednak, żeby Pepin podał szczegóły, ponownie wszystko zrelacjonował. Detektyw zdołałby wówczas wyłapać coś charakterystycznego: jakieś opuszczone albo dodane elementy, niekonsekwencje, kłamstwa czy demaskujące drobne gesty, widoczne ledwie przez ułamek sekundy, ale równie czytelne jak dziecko machające do kamei y z za pleców reportera. Zbyt ich wiele, aby wszystkie wyliczyć. Kłamcy często usztywniają ramiona, odchylając je od przesłuchującego policjanta, mrugają z dużą częstotliwością albo bawią się czymkolwiek, co wpadnie im w rękę. Potrzebują rekwizytu, jak aktorzy. Często zdradza ich płytki oddech i rozbiegane oczy; nadmiernie przełykają ślinę, choć zasycha im w ustach, a źrenice wyraźnie się poszerzają, jak otwierana przesłona obiektywu aparatu fotograficznego. Na ich twarzach pojawia się cały repertuar tików: marszczą nos, zaciskają wargi, mrużą oczy albo z wysiłku napinają mięśnie, przez co z czasem powstają bruzdy, które można odczytywać jak hieroglify. Oczywiście kłamstwo staje się nieprawdą dopiero w obecności drugiego człowieka. Zwłaszcza podczas policyjnego przesłuchania bywa jakby niewidzialną rzeczą odpychaną między dwiema osobami. Sheppard czuł to gdzieś w głębi swego jestestwa. Ale przecież świadkowie oraz podejrzani mówiący prawdę także mają swoją taktykę. Zazwyczaj uciekają wzrokiem w lewo, zamyślają się, ich spojrzenie biegnie do środka. Mówiąc, nieruchomieją i niezbyt jasno się wyrażają. Zresztą potoczyste relacje najmniej akurat zasługują na zaufanie. Jak na ironię, niewinni, którzy mówią prawdę, często mają największe opory.

- Czy poszedł pan dziś rano do pracy? - zapytał Sheppard.
- Chciałem, ale w końcu nie poszedłem.
- Dlaczego?
- Chciałem się zobaczyć z żoną. Miałem dla niej niespodziankę.
- Jaką niespodziankę?
- Prezent urodzinowy. Kupiłem wycieczkę dla nas obojga.

- Dokąd?
- Do Australii. Sheppard uniósł brwi.
- Jak długo zamierzaliście tam zostać?
- Na czas nieokreślony.
- Kilka tygodni? Kilka miesięcy? Pepin wzruszył ramionami.
- Chodzi o to, że nie wyznaczyliśmy daty powrotu.

Sheppard musiał użyć całej siły woli, żeby po tej rewelacji nie odwrócić się za siebie i nie spojrzeć w lustro fenickie.

- Planowaliście państwo ten wyjazd od dawna?
- Nie - odpowiedział Pepin. - A właściwie niezupełnie.
- Tak czy nie?

- Rozmawialiśmy o tym w zeszłym roku. Alice napomknęła, że zawsze chciała zobaczyć Wielką Rafę Koralową. Ale nie planowałem tego w żaden sposób. To znaczy nie planowaliśmy.

- Czyli to była decyzja podjęta nagle?

-Tak.

- Daleka podróż, jak na nagłą decyzję.

Pepin ponownie wzruszył ramionami.

-Zresztą chyba jednak nie miała to być podróż. Raczej niekończące się wakacje - ciągnął Sheppard.

- Nie mówiliśmy o tym w taki sposób.

- Kiedy kupił pan bilety?

Pepin wyprostował się i odrzekł z pewnym zakłopotaniem:

- Dziś rano.

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy Sheppard poczuł dreszcz.

- Kiedy wypadały urodziny Alice?

- W przyszłym tygodniu.

- Ale prezent musiał jej pan dać już dzisiaj?

-Tak.

- Nie mógł pan się powstrzymać? Nie mógł pan poczekać, aż żona wróci do domu?

-Nie.

Sheppard zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Kiedy mieliście wyjechać? - zapytał.

- Dziś wieczorem.

Sheppard skinął głową. Sięgnął po ołówek i zaczął nim stukać o blat stołu. W kieszeni maiynarki wyczuł fajkę. Straszliwie chciało mu się zapalić.

- Przyzna pan, że to dziwne.
- I tak pan nie zrozumie.
- Ludzie nie porzucają wszystkiego tak po prostu.
- Zazwyczaj nie.
- Mają przecież pracę. Rodzinę.

Pepin znów wzruszył ramionami.

- Nasz rodzina nie jest wcale duża. A ja mam dużo pieniędzy. Ale już mówiłem, że pan tego nie zrozumie.

- Niech pan spróbuje.

Pepin wskazał gestem obrączkę na palcu Shepparda.

- Długo jest pan żonaty? - zapytał.

Zanim Sheppard odpowiedział, zastanowił się przez chwilę, jakby pytanie sprawiło mu kłopot. Miał wrażenie, że całe jego życie, cała psychika zapadła się w stan małżeński i znajdowała się w nim od zawsze. Nawet po śmierci Marylin jego małżeństwo pozostało bytem wiecznym, musiał w nim trwać, tak jak rekin musi pływać, kwantyfikowanie go wydawało się w ogóle niemożliwe, a co dopiero mówić o zastosowaniu takiego określenia jak „długo”.

- Tak - odpowiedział.

- Alice i ja już wcześniej rozmawialiśmy o tymi, żeby... żeby wyjechać. Uciec od wszystkiego. - Pepin podniósł ręce. - Uciec od naszego życia.

Sheppard zmarszczył brwi.

- Nic nas tutaj nie trzymało - ciągnął Pepin. - Nic nas nigdzie nie trzymało. Nie mieliśmy dzieci. Byliśmy tylko my. Od trzynastu lat.

- I co?

- I doszliśmy do końca, do naszego końca. Czy to, co mówię, ma sens?

Sheppard znów przypomniał sobie Marylin. Była jesień. Marylin miała na sobie stary szkolny sweter. Oparta o szybę, stała tyłem do jeziora, z papierosem w ręku. Powiedział coś do niej, bujając się przy tym na fotelu, a wtedy jej twarz pociemniała i rzuciła w niego popielniczką, która rozbiła się o oparcie. Kawałki szkła poraniły mu twarz. Zanim zdołał podnieść wzrok znad zakrwawionych palców, wyszła z domu. Usłyszał, jak startuje silnik jej samochodu i piszczą opony, nie podniósł się jednak z krzesła, tylko

siedział, wpatrując się w pluskające fale jeziora i czując, jak zasycha mu krew na twarzy.

- Niech pan mówi dalej.

- Musieliśmy zrobić coś nowego. Coś radykalnie innego.

- Tak? A z jakiego powodu?

- Żeby nas ratować.

-Przedczym?

- Przed nami samymi - stwierdził Pepin. - To Alice zaproponowała, żebyśmy wyjechali.

- Czyli to był jej pomysł?

-Tak.

- Kiedy na niego wpadła?

- W zeszłym roku.

- Dlaczego więc nie wyjechaliście wtedy?

- Wtedy nie uważałem, że trzeba nas ratować. Chyba dlatego.

- To znaczy, że dzisiaj pan tak uważał?

- Tak.

- Dlaczego? - Sheppard widział, że Pepin się rozpręża. Coś się zmieniło. Kołysał się teraz pewnie na krześle, jakby unoszony delikatnym prądem prawdy. Dotychczas Sheppard był przekonany, że to on jest podczas przesłuchania górami. Teraz stracił przewagę.

- Bo zrozumiałem, że ona ma rację.

- Dlaczego zmienił pan zdanie?

- Nie muszę panu tego mówić - stwierdził Pepin.

- Możliwe, że będzie pan chciał, kiedy oskarżymy pana o morderstwo.

- Możliwe - odparł. - Ale chyba poczekam, aż to zrobicie. Sheppard się wyprostował, oparł łokcie o poręcz fotela i splótł dłonie na brzuchu.

- Co pan zrobił, kiedy kupił pan bilety?

- Pojechałem do szkoły Alice, żeby się z nią zobaczyć.

- O której pan tam dotarł?

- Mniej więcej za kwadrans dziewiąta.

- Ktoś pana widział? Czyjej współpracownicy mogą to potwierdzić?

- Oczywiście.
- Co pan zrobił?
- Znalazłem ją w klasie i powiedziałem o wyjeździe. I że musimy wyruszyć natychmiast.
- Jak zareagowała?
- Powiedziała: nie.
- Podała jakiś powód?
- Nie wierzyła, że naprawdę chcę wyjechać. Powiedziała, że robię to z litości. Może wcześniej przegapiłem okazję.
- Co się stało dalej?
- Kłóciliśmy się.
- Był pan na nią wściekły.
- Nie. Zdesperowany.
- Dlaczego?
- Bo byliśmy zagrożeni.
- Czym?
- Końcem. Mieliśmy za sobą... zły okres. Alice wpadła w silną depresję. I była na diecie odchudzającej. To wpływało na jej zachowanie.
- Jak?
- Była porywcza. Ciągle rozdrażniona. Miała urojenia. Nie sposób było z nią wytrzymać.
- Rozmawialiście o separacji? Albo o rozwodzie? Pepin pokręcił głową.
- Ale zaczynałem już odchodzić od zmysłów.
- W końcu nie zdołał pan jej przekonać, żebyście wyjechali?
- Nie.
- Co więc pan zrobił?
- Miała jechać ze swoją klasą do Muzeum Historii Naturalnej. Czekałem w swoim samochodzie, aż ruszą.
- I co?

Pepin wziął głęboki oddech.

Jego historia wydawała się niewiarygodna. Ktoś niedoświadczony mógłby ją uznać za kompletnie zmyśloną, taka była dziwna i podejrzana, Pepin mógłby jednak powiedzieć wszystko, choćby to, że miał umówione

spotkanie na Plutonie, a Sheppard i tak by mu uwierzył, ponieważ całym sobą czuł, że ten mężczyzna mówi prawdę.

- Pojechałem za nią.

- Po co?

- Bo nie chciałem tracić jej z oczu.,

-Wiedział pan przecież, dokąd jedzie.

- Wiem, to dziwne. Ale wtedy byłem pewien, że tak właśnie powinienem postąpić.

Jechał pan za nią aż do muzeum?

- Niezupełnie - Pepin zaczął nerwowo potrząsać nogą. Miałem stłuczkę.

-Gdzie?

- Na West Side Highway.

Sheppard po raz drugi poczuł dreszcz.

- Proszę mówić dalej.

Lewą ręką Pepin wskazał kierunek.

- Jechałem środkowym pasem, przede mną autobus. Chciałem zjechać na lewy pas, kiedy nagle ktoś się pojawił w moim martwym punkcie. - Wzruszył ramionami. - I stuknąłem go.

- Gdzie dokładnie to się stało?

- Zaraz za Dziewięćdziesiątą Szóstą.

- Uczestniczyły w tej kolizji jakieś inne pojazdy?

- Nie, bezpośrednio nie.

- Jak on się nazywał?

-Kto?

- No, ten kierowca.

-Nie wiem.

- Nie spisał pan nazwiska? Ani numeru polisy?

- On się nie zatrzymał.

- To skąd pan wie, że to był mężczyzna?

Pepin zamrugał powiekami.

Sheppard poczuł pulsowanie w okolicy żołądka.

- Niech pan odpowie na pytanie.

- Bo... przecież go widziałem.

- Kiedy?

Pepin podniósł głos:

- Kiedy uderzałem w jego samochód. Uderzyłem, zobaczyłem go przez szybę, a on pojechał dalej. Może nie miał ubezpieczenia, a może był jakimś pieprzonym kryminalistą. Kto to wie? Codziennie się dzieją takie rzeczy.

- Nic z tego, o czym pan opowiada, nie dzieje się codziennie - odparł Sheppard.

- Mówię prawdę.

- No to słucham dalej.

- Samochód był w kiepskim stanie, skręciłem więc w Dziewięćdziesiątą Szóstą i zaparkowałem między West End i Riverside. Parking nazywa się chyba Empire. Samochód ciągle tam stoi. Może pan sprawdzić.

Hastroll na pewno stał już przy drzwiach.

- Potem wziąłem taksówkę, pojechałem do muzeum i odszukałem Alice w środku.

- Rozmawiał pan z nią?

- Nie. Tylko ją śledziłem.

- Dlaczego?

- Nie chciałem jej niepokoić.

- I nie zauważyła pana?

- Nie.

- Która była godzina?

- Chyba przed dziesiątą.

- Jak długo pan ją śledził?

- Przez cały czas, kiedy tam była.

- I nie pokazał się pan jej? Pepin pokręcił głową.

- Dlaczego?

- Mówiłem przecież. Nie chciałem robić sceny. - Oparł łokieć na stole, przycisnął dłoń do czoła i zaczął je pocierać. Uśmiechnął się smutno. - Poza tym to było na swój sposób przyjemne.

- Jak to?

- Nigdy się pan nie zastanawiał, co pańska żona robi w ciągu dnia? Jak się zachowuje, kiedy nie ma pana w pobliżu? Jak wtedy wygląda?

Sheppard pomyślał, że detektywami powinni być wyłącznie żonaci mężczyźni, ponieważ odkryli w sercach takie miejsca, do których kawa-

lerowie nigdy nie dotrą. Potrafią wyobrazić sobie, że śledzą własną żonę, która nie ma o tym pojęcia. A nawet o wiele gorsze rzeczy.

- Jak długo pan tam był?

- Do lunchu.

- Chyba czegoś nie rozumiem. Chciał pan za wszelką cenę porozmawiać ze swoją żoną, dlatego pojechał pan do niej do szkoły, a potem jechał pan za nią do muzeum. Ale kiedy już pan tam dotarł, nie odezwał się pan do niej ani słowem?

- Gdybym spróbował, straciłbym szansę, że porozmawiamy później.

Sheppard usiadł z powrotem na krześle.

- Co się stało po lunchu?

Pepin zamknął oczy, wydechając głośno powietrze, po czym znów je otworzył.

- Rozdzieliliśmy się. Zgubiłem ją.

- Jak?

- Poszedłem do toalety. Kiedy wróciłem, nie było już ani Alice, ani jej klasy.

- Udało się panu ich odnaleźć?

Pepin zaprzeczył ruchem głowy.

- Próbowałem, ale potem był ten wypadek.

- Jaki znowu wypadek?

Pepin uniósł dłonie, jakby to było oczywiste.

- Z niebieskim wielorybem - powiedział.

Dopiero w tym momencie Sheppard sobie przypomniał. Widział w CNN gorączkową relację reportera i opowieści świadków. Podejrzewano nawet atak terrorystyczny. A mimo to nie od razu skojarzył. Niebieski model wieloryba oderwał się od sufitu i spadł na tłum zwiedzających. Jakimś cudem nikt nie został ranny, muzeum jednak ewakuowano.

- Był pan w środku, kiedy to się stało?

- Właśnie wchodziłem do sali poświęconej życiu w oceanach, kiedy rozległ się potworny huk i wszystko wokół zasnuło się białym pyłem. Wszędzie poniewierały się kawałki plastiku i gipsu. Ludzie wpadli w panikę. Ja także wybiegłem z budynku i zacząłem szukać Alice na zewnątrz. Ale to był prawdziwy obłęd. Strażacy i zespoły ratunkowe odganiaли ludzi od budynku. Nikt nie potrafił mi przekazać żadnych informacji, postanowiłem więc wracać do domu.

- Dlaczego nie chciał pan tam zostać?

- Tam panował wielki chaos. Wydawało mi się, że powinienem czekać w domu. W spokoju i ciszy.

- Która była godzina?

- Nie pamiętam. W muzeum spędziłem na pewno kilka godzin. Była więc trzecia, może czwarta.

- A kiedy dotarł pan do mieszkania? - Sheppard widział wyraźnie, że Pepin przypomina sobie tę scenę.

- Była w kuchni. Siedziała przy stole nad talerzykiem. - Oczy Pepina zaszyły łzami. - Jakimś sposobem dotarła do domu przede mną i siedziała przy stole. A potem...

Potrząsnął głową.

- Nic nie mówiła?

Pepin zakrył usta dłonią.

Sheppard nie mógł się pohamować. Był wściekły.

- Tak po prostu, ni stąd, ni zowąd, choć nic się między wami nie wydarzyło poza zwykłą sprzeczką, która wybuchła po tym, jak jej pan zaproponował wspólny wyjazd, ona postanowiła się zabić?

Ale Pepin zaniósł się płaczem.

- Dłużej nie mogę o tym mówić!

Na tym etapie diety - po dziesięciu tygodniach i po zgubieniu prawie czternastu kilogramów - zachowanie Alice zaczęło się zmieniać. Było takie samo jak na początku depresji, w tygodniach, kiedy bez konsultacji z nim postanowiła odstawić leki. David za każdym razem przegapiał pierwsze symptomy. Nawet jeśli bywała bardzo niekonsekwentna, nieznośnie drażliwa i roztargniona, jak również skłonna do nagłych, niczym nieuzasadnionych napadów płaczu.

Teraz była wyjątkowo wzburzona.

- Chcę, żebyś mi powiedział, co widzisz. - Zażądała, żeby wstał od biurka i poszedł za nią. Poprowadziła go do salonu i wskazała świecę stojącą na świeczniku. Lubiła, kiedy wieczorem paliły się w mieszkaniu świece.

- Widzę świeczkę - stwierdził David. Ogarnięty współczuciem dla żony wyszedł z domu specjalnie po to, żeby kupić jej w prezencie spiralne świece z wosku pszczelego. Postanowił nie mówić jej o tym; czekał, aż sama zauważy. Po powrocie umieścił świece w świecznikach, a kiedy zapadł zmierzch, wszystkie je zapalił.

- Ja natomiast widzę przekrzywioną świeczkę! - warknęła Alice. - I plamy wosku na całym stole.

David podążył wzrokiem za jej gestem. Na czereśniowym blacie wosk wyglądał jak cienki gładki strup.

- Oczywiście nie przyszło ci do głowy, że jeśli świeca stoi pochylona, to będzie kapać? - zapytała.

Owszem, przyszło, z jakiegoś powodu jednak zignorował to.

- Zaraz to sprzątnę - zaproponował.

- Nie chcę, żebyś cokolwiek sprzątał. Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego zostawiłeś taką przekrzywioną świecę.

- Nie pomyślałem.

- Chcę w takim razie wiedzieć, dlaczego nie pomyślałeś.

Jej oczy błyszczały, a z brzucha dobiegało burczenie głośne jak grzmoty w czasie burzy. Davidowi przyszło do głowy, żeby odliczać sekundy. Burza nadchodziła czy może już przemijała?

- To niechlujstwo i bezmyślność - przyznał, po czym poszedł po żyletkę, żeby zeszkrobać wosk ze stołu.

- A pewnie, że tak - burknęła.

Szła za nim, nadal się awanturując. Dochodząc do szafy w holu, gdzie trzymał narzędzia, David zastanawiał się, co sąsiedzi myślą o ich pożyciu, bo przecież tylko on wiedział, że wszystkie wrzaski Alice spowodowane są przez dietę. W pudełku z narzędziami znalazł jedynie nóż introligatorski, poszedł więc do łazienki po brzytwę. Kiedy zamknął szafkę, zobaczył za sobą jej twarz z oszalałymi oczami. Wypchnął ją do holu, a kiedy była już między nimi spora odległość, ułożył obydwie ręce jak sędzia bejsboiowy, gestem nakazujący zawodnikowi spokój.

- Sto razy bym wolał, żebyś pozostała gruba! - krzyknął.

Alice zamarła.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Zrobił krok w jej kierunku, ona jednak się cofnęła, także o krok, i znieruchomiała.

- Przechodzimy przez to co kilka miesięcy - ciągnął. - Z każdą kolejną dietą. Wydzwaniasz do mnie do pracy, w domu mówisz tylko o jedzeniu. Dieta przejmuje panowanie nad twoimi nastrojami i pozbawia nas seksu. A jak znajduję chociaż chwilę dla siebie, jedną chwilę, kiedy zaczynam nabierać rozpędu, zaczynasz od początku, regularnie jak mechanizm zegara. - Pogroził jej palcem. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, co mógłbym osiągnąć do dzisiaj? Masz? Dlatego lepiej już bądź gruba.

Alice stała milcząca, po omacku szukając ściany. Dopiero wtedy David zdał sobie sprawę z tego, że w drugiej ręce trzyma rozłożoną brzytwę.

Wyszedł z domu i błąkał się po mieście, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd zmierza. Sypał śnieg; obok niego samochody przemykały z szumem, który zamieniał się w syk z trochę większej odległości, kiedy znikwały za gęstą zasłoną białych płatków, pozostawiając po sobie tylko czerwone światła stopu. Tutaj, na ulicy, David nie mógł już dalej się wściekać; negatywne emocje go opuściły, unosząc się ku ginącym w mroku drapaczom chmur. Ścisnął brzytwę, którą wsunął do kieszeni, rugając się, że nie jest dość ostry. Może powinien gdzieś wejść, żeby podsycić w sobie gniew. Minął jakiś zatłoczony pub oświetlony bożonarodzeniowymi dekoracjami. Wiedział jednak, że picie alkoholu w obcym miejscu i wśród obcych ludzi zaowocowałoby zawstydzeniem, a w konsekwencji przy-

śpieszyłoby powrót do domu. Postawił kołnierz płaszcza. Płatki śniegu łądowały miękko na jego karku, topiąc się na czarnych włosach. Skręcając na zachód w Pięćdziesiątą Siódmą, zauważył swoje odbicie w ciemnej szybie wystawowej. Jemu też przydałoby się trochę schudnąć. Zatrzymał się przy Tiffanym, zaparowując oddechem szybę małej wystawy. Ten wielki bu- dynek zawsze sprawiał na nim wrażenie wzniesionego tylko po to, by oto- czyć kilka widocznych za szybą drogich kamieni. Skręcił w Piątą Aleję, spojrzął na złoto- szmaragdowy Hotel Plaża, odnowiony i lśniący. Sherman i uskrzydłona bogini Zwycięstwa kazali mu przystanąć. Stał też trochę przed Fontanną Pulitzera oczarowany jej urokiem. Oświetlona od dołu tryskająca woda wyglądała jak kaskada brylantów. Nagle zrobiło mu się bardzo chłodno. Pomyślał, że tak zimno musi być zdobywającym szczyty alpinistom albo tym, którzy zimą sypiają na ulicy. Dobrze wiedział, że teraz Alice skończy dietę i za kilka tygodni odzyska straconą wagę. Wtedy wszystko wróci do normy, a ona znów będzie jego żoną. Bo zawsze tak było. Zawsze tak to przebiegało. Czasem miał wrażenie, że to zbyt wysoki koszt, chociaż tym razem doszedł do przekonania, że dysponuje rezerwami cierpliwości, po które jeszcze nie sięgnął. Zastanowił się, przez co ona musiała przejść, ile kosztowało ją ich małżeństwo, jak bardzo się zmieniła. Poczuł tak potwornie wielką nienawiść do siebie, że przez chwilę byłby zdolny paść na kolana tam, gdzie stał, i drzeć na sobie ubranie w biblijnym geście skruchy i żalu albo wskoczyć do fontanny, żeby chłód zagłuszył dręczące go cierpienie.

Popędził do domu.

Otwierając drzwi wejściowe, usłyszał odgłos wymiotowania. Po pod- łodze poniewierały się pootwierane opakowania po posiłkach na wynos. Siady, jak w bajce o Jasiu i Małgosi, prowadziły do kuchni. Świece, które kupił, wypaliły się do końca. Krzyknął imię żony. Bez reakcji. Na stole w kuchni piętrzyły się enchilady, nadziewane papryki, taco - wszystkie na- poczęte. Okropne obżarstwo. W końcu się złamała i zamówiła jedzenie dla kilkunastu osób. Z nadgryzionych burrito wylewało się mięso. Stół i ku- chenka ubabrane były salsą. Właśnie przy kuchence zaczynały się wymio- ciny.

- Alice!?! - krzyknął ponownie i usłyszał jęk w łazience.

Znalazł ją półprzytomną między umywalką a sedesem z jedną ręką opartą na krawędzi sedesu, a drugą wetkniętą między kolanko a ścianę. W

powietrzu unosił się zapach kwasów żołądkowych i gówna, którym pokryte miała nogi. Łapała powietrze jak zwierzę. Jej oddech skojarzył mu się z płytkimi oddechami ptaka. Ściany i podłogi poplamione były wymiocinami. Brudne były też posklejane końcówki jej włosów, które zdążyły już zaschnąć, przez co przypominały szorstki koralowiec.

- Alice! - wrzasnął. Pobiegł po telefon, wykręcił dziewięćset jedenaście i popędził z powrotem do niej. - Coś ty najlepszego narobiła?

Podciągnął ją do góry, chwytając pod pachami, i spróbował położyć. Oczy uciekły jej do tyłu, a głowa opadła, uderzając o kafelki.

- Coś ty narobiła?

Wyszeptała coś niezrozumiałego. Na jej wargach utworzyła się i pękła bańka ze śliny.

Pochylił się niżej.

- Mi Corazon - powiedziała słabym głosem. Była to nazwa ich ulubionej restauracji meksykańskiej.

„Proszę zachować spokój. Niech pan postara się opanować. Proszę nie odkładać telefonu i opisać stan, w jakim znajduje się chora”.

Śmietana, salsa, mole, pieprz cayenne, kmin rzymski, papryczki chipotle: wylewały się z jej ust tak szybko i gładko, jak koła noszy, na których ją wieziono, toczyły po szpitalnej podłodze. Otworzyła oczy, żeby na niego spojrzeć: jego głowa przemieszczała się w powietrzu tuż nad jej twarzą, tylko odwrotnie skierowana. Zanim zabrano ją do sali zabiegowej, David pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. Potem puścił jej dłoń, raz jeszcze powtórzył jej imię i patrzył, jak pozerają ją drzwi wahadłowe na końcu korytarza.

W sali szpitalnej David siedział naprzeciwko łóżka Alice, obserwując ją przez kilka godzin.

Kleiły mu się oczy, od czasu do czasu zapadał w niespokojny sen, za każdym razem jednak, kiedy się budził, Alice nadal była nieprzytomna.

Raz podniósł się z miejsca, podszedł do łóżka, pochylił i słuchał jej serca, później zaś skierował się do okna. W stożkowatych snopach światła latarni poniżej zobaczył, że wciąż pada śnieg. Wrócił do łóżka, trochę jeszcze poprzyglądał się Alice, a ponieważ jej stan się nie zmieniał, usiadł na krześle i zasnął snem pozbawionym jakichkolwiek marzeń. Kiedy rano się obudził, śnieg leżał na ziemi, na parapetach okiennych, na wszystkich

budynkach i wieżach wodnych Manhattanu. Wiał silny wiatr, którego dy-
szące podmuchy regularnie i głośno uderzały w okno. Mewy kłębiły się nad
Hudsonem, a gołębie szukały miejsca, w którym dałoby się wylądować.
Słońce weszło już na czyste, błękitne niebo. Świat lśnił oślepiającym
blaskiem. Wtedy Alice się przebudziła. W łóżku ułożono ją w pozycji
prawie siedzącej, na wypadek gdyby miała znów wymiotować. Może dla-
tego oczy otworzyła od razu szeroko. Rozejrzała się spokojnie po zalanej
światłem sali, mrugnęła powiekami, rozpoznawszy męża, po czym odwró-
ciła od niego wzrok.

- Zamierzam odmienić swoje życie — oświadczyła.

David nie wiedział, co chce przez to powiedzieć ani jak ma na te słowa
zareagować. Ale niewypowiedzianie szczęśliwy, że widzi ją żywą, powie-
dział po prostu:

- Tak.

Alice była nieprzytomna przez wiele godzin, najwyraźniej jednak przez
cały ten czas rozmyślała nad sobą i podjęła tę decyzję w podświadomości.
Tak niechętnie odnosiła się do jego prób nawiązania rozmowy, że pod
wieczór David zrezygnował. Przeszła przecież poważny kryzys zdrowotny i
nie mógł jej teraz niczego odmówić; im dłużej jednak trwał ten stan, tym
bardziej robił się niespokojny. Była na niego zła, wiedział o tym doskonale.
Zła za to, co powiedział. Za każdym razem, kiedy przypominał sobie ich
sprzeczkę, ogarniał go coraz większy wstyd.

- Przepraszam cię, Alice - powiedział następnego ranka.

Patrzyła w telewizor wiszący nad jego głową. Leżała ze skrzyżowanymi
ramionami. Ilekroć wyciągała przed siebie pilota, żeby zmienić kanał, miał
wrażenie, że odbiornik spadnie mu za chwilę na głowę.

- Za co mnie przepraszasz?

- Za to, co powiedziałem. Za te słowa, które wyprowadziły cię z rów-
nowagi.

- Tak właśnie myślisz?

Owszem, tak właśnie myślał, ale na jej twarzy malowały się zdziwienie i obrzydzenie tak wyraźne, że zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej skłamać.

- Myślisz, że to mi się stało ze względu na naszą kłótnię? Ze względu na coś, co mi powiedziałeś?

- Właściwie tak - odparł.

Machnęła pilotem dwa, może trzy razy.

- W takim razie jesteś w błędzie.

Czekał na jakieś wyjaśnienie, ale żadne wyjaśnienie nie nastąpiło.

- To dlaczego jesteś na mnie zła? - zapytał.

- Bo leżę tu uwięziona, jak w pułapce. A ponieważ tutaj leżę, to nie mogę się zabrać za odmianę mojego życia. Czy to ci się wydaje sensowne? Czy teraz wszystko jest jaśniejsze?

- Nie - odparł. - Nie jest.

- No cóż, na razie musi tak pozostać.

Późnym popołudniem przyszedł na obchód jej lekarz. Podczas tej wizyty Alice była rozgadana i serdeczna. Fakt, że kompletnie obcego człowieka potraktowała lepiej i uprzejmiej niż własnego męża, sprawił, że David poczuł się jeszcze bardziej zraniony i dezorientowany niż przedtem. Lekarz osłuchał ją, zmierzył ciśnienie, poświecił w oczy małą latarką oraz dokładnie obejrzał język. Był Hindusem. Długimi delikatnymi palcami - wewnątrz jego dłoni miało różowy kolor wędzonego łososa - ostukał jej plecy. I choć było to kompletnie bez sensu, David poczuł się zazdrosny, że ten mężczyzna dotyka jego żony.

- Przyszły już wyniki badań - oznajmił. - Ma pani anemię. Cierpi też pani na ostrą nadczynność tarczycy. Wiedziała pani o tym?

Alice pokręciła głową.

- W przyszłości, kiedy będzie się pani odchudzała, radzę staranniej dobierać dietę.

- Na pewno zwrócę na to uwagę - obiecała. - Czy możemy porozmawiać w cztery oczy, panie doktorze?

- Oczywiście.

Zarówno lekarz, jak i Alice popatrzyli na niego wymownie. W końcu David wskazał siebie palcem, podniósł się i wyszedł z sali, zamykając za sobą drzwi. Stał w holu, nerwowo poruszając stopą.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły.

- Bardzo panu dziękuję, panie doktorze - powiedziała Alice.

- Proszę - odparł lekarz. - Nie musi pani wcale tak cierpieć.

Obydwoje spojrzeli na Davida.

- Jutro wypiszę panią do domu.

- To cudowna wiadomość - ucieszyła się Alice.

- Teraz zalecam pani odpoczynek - powiedział lekarz, a kiedy David przeszedł obok niego, wchodząc do sali, zamknął drzwi.

Gdy tylko David usiadł na krześle, Alice odwróciła się na bok, tyłem do niego.

- Będziesz spała? - zapytał.

- Tak - odparła.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak. Jeśli potrafisz, spraw, żeby jutro nadeszło szybciej.

- Nie potrafię.

- A zatem odpowiedź brzmi: nie.

Przez kilka minut siedział w ciemności, czując, jak zalewa go kolejna fala niepokoju. W sąsiedniej sali głośno kaszlał jakiś mężczyzna.

- Alice?

Nie odpowiedziała.

- Już myślałem, że cię straciłem. Ale teraz, kiedy wróciłaś, znów mi się wydaje, że odeszłaś. - Przyglądał się, jak żona oddycha równo i spokojnie, słuchając go. - Powiedz coś - poprosił.

Alice już jednak spała.

Następnego dnia, kiedy się obudziła późnym rankiem, nadal nie zwracała na niego uwagi. Po śniadaniu ucięła sobie drzemkę. Gdy tylko znów otworzyła oczy, weszła pielęgniarka, żeby zmierzyć jej tętno i ciśnienie. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że wszyscy w tym szpitalu mają tajne porozumienie z Alice, żeby całkowicie ignorować Davida. Po wyjściu pielęgniarki zbadał ją lekarz, inny niż poprzedniego dnia, otoczony grupą stażystów. Wyjaśnił, że Alice głodziła się przez tak wiele tygodni, że jej organizm zupełnie sfiksował. Skutki późniejszego obżarstwa połączyły się z alergiczną reakcją na jakieś białko, co okazało się kombinacją toksyczną.

- Mamy tu więc w zasadzie przypadek kwashiorkoru, przede wszystkim niedoboru białek, po którym nastąpił obrzęk naczyń - chow. Fatalne połączenie - zakończył.

Stażyci kiwnęli głowami, Alice natomiast szczęśliwa, że może się na coś przydać, uśmiechała się do nich i także skinęła głową.

- On ma rację - stwierdziła. - Prawie nic nie jadłam.

Jeszcze później wizytę w sali złożył specjalista od alergii pokarmowych. Spędził u Alice sporo czasu. W połowie dnia David udał się do domu po czyste ubrania. Przez kilka godzin sprzątał, doprowadzając mieszkanie do nieskazitelnej czystości. Kiedy wrócił do szpitala, Alice znów była otoczona pielęgniarzkami i lekarzami. Zwolniono ją do domu dopiero późnym popołudniem. W taksówce na tylnej kanapie - nareszcie sami - przycisnęła się do swojej szyby, a on do swojej tak bardzo, że między nimi zmieściłby się ktoś nawet bardzo gruby. David podjął rozmowę od miejsca, w którym ją wcześniej przerwali.

- Jak? - zapytał.

- Co jak? - odpowiedziała pytaniem.

- Jak zamierzasz odmienić swoje życie?

- To moja sprawa.

- Ach, tak - rzucił David, obserwując, jak jakiś mężczyzna skręca w Lexington Avenue. Zza rogu zaatakował go wiatr i porwał jego czapkę wysoko w powietrze. Mężczyzna śledził odlatujące nakrycie głowy z taką samą bezsilnością, jak dziecko, które utraciło balonik. - Odejdiesz ode mnie? - zapytał po chwili.

Zamknęła oczy z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Nie wszystko dotyczy ciebie, Davidzie.

To samo ciągnęło się w domu. Chociaż podłoga była wmyta, łóżko przykryte nową pościelą, deska na muszli klozetowej lśniła jak nowiutka porcelana, a w kranach można się było przeglądać, Alice natychmiast wzięła się za sprzątanie. Najpierw jednak z niesmakiem pociągnęła palcem po listwie przypodłogowej.

- Tu jest obrzydliwie brudno - stwierdziła, wymachując przed oczami Davida przybrudzonym palcem. - Nie mogę mieszkać w takim chlewie.

Kiedy usiłował powstrzymać ją przed wybielaniem fug w łazience, spytała:

- Czy mogę postawić choć jeden krok, nie mając cię na głowie? - Wycofał się więc, siadając przed ciemnym ekranem telewizora, który z poczuciem winy włączył po kilku minutach, wyciszając jednak dźwięk.

Futbol bez komentarza nie był jednak tym samym. Zamienił się w serię bezcelowych kolizji wielkich facetów. Reklamy wyglądały jak stare filmy z czasów niemego kina, a fragmenty gier wideo dla dzieci - jak sceny z jakiegoś piekielnego koszmaru, choć wśród nich znalazł się także fragment gry napisanej przez Davida. Kiedy Alice weszła do salonu, niosąc wiadro i gąbkę, nie mógł dłużej tego znieść i wyszedł do gabinetu. Chociaż prawdę mówiąc, nie miał tam nic do roboty.

Wrócił więc do swojej książki. Otworzył tekst na ekranie komputera i czytał na stojąco, opierając się dłońmi o blat biurka. Następnie usiadł, żeby napisać kilka zdań w miejscu, w którym utknął poprzednio. Gapiąc się na ekran monitora, czekał. Podobnie jak w wielu innych sprawach, czekanie było wszystkim, na co mógł się teraz zdobyć.

- Jak się czujesz? - zapytał Alice w łóżku tego wieczoru.
- Dobrze - odpowiedziała, patrząc w sufit z rękami założonymi za głowę.
- Na pewno?
- Tak, na pewno.
- Nie chcesz o czymś porozmawiać?
- Nie.
- I niczego mi nie chcesz powiedzieć?
- Nie.

W jej zachowaniu nie było ani odrobiny miejsca na kompromis, co stanowiło pewne novum.

- No cóż, w takim razie dobranoc - powiedział David.
- Dobranoc - odparła, po czym zgasiła światło i przekreśliła się na bok.

David leżał, patrząc na nią i zastanawiając się, czy ma otwarte czy zamknięte oczy, w nadziei, że za chwilę się odwróci i spojrzy na niego. Nie odwróciła się jednak, więc tylko gapił się w sufit. Postanowił być cierpliwy. I wierzyć. Bo to jedyne, co mógł teraz zrobić: być cierpliwy i wierzyć.

Następnego ranka obudził się w pustym łóżku.

Zwykle to on wstawał pierwszy, przez chwilę więc czuł się tak samo zdezorientowany i opuszczony, jak wiele lat wcześniej, kiedy jako dziecko spał w domu kolegi i przez przerażająco długą sekundę nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie się obudził. Teraz poczuł zapach kawy, poszedł więc do kuchni, gdzie zastał Alice przy stole. Miała otwartego laptopa, a leżący przy

niej blok papierowy wypełniony był jakimiś notatkami, ona natomiast obierała jajko na twardo. Jak tylko nalał sobie kawy i podszedł do jej krzesła, Alice przerwała swoje zajęcie, cokolwiek to było. Zamknęła komputer i zakryła kartkę. David po prostu nie mógł w to uwierzyć.

Dał wyraz swoim odczuciom, machając w powietrzu kubkiem z kawą, i choć obiecał sobie, że będzie cierpliwy i zachowa wiarę, nie potrafił się oprzeć:

- To część twojego planu na zmianę życia? - zapytał.

Alice odczekała chwilę. On także milczał.

- Kpisz ze mnie? - odpowiedziała w końcu pytaniem.

Częściowo kpił, do czego oczywiście nie mógł się przyznać.

- Oczywiście, że nie kpię z ciebie - skłamał.

Znów zapadło milczenie.

- Uważam jednak, że mam prawo do jakichś wyjaśnień.

- Owszem, masz. Ale nie teraz.

- Ach tak? A powiesz może, kiedy?

- Nie wiem.

- Może więc masz chociaż jakieś pojęcie, kiedy będziesz wiedziała?

- W tej kwestii także ci nie pomogę - stwierdziła.

Patrzyli na siebie, uwięzieni w martwym punkcie.

Nagle poczuł przemożną potrzebę, żeby jej nie ustąpić. Pokaże jej siłę swojej woli, przeczekując ten emocjonalny impas, okopie się na swojej pozycji w koszulce i bokserkach, tu i teraz, w tej kuchni. Skoro to jest gra, którą chce podjąć, to proszę bardzo, grajmy! Trwał w bezruchu, aż cisza między nimi stała się absurdalna i bezużyteczna, aż zamieniła się w bezcelową demonstrację wytrzymałości, jak konkurs na najdłuższy pocałunek. Czuł, jak tężeje mu twarz: górna warga zaczęła przywierać do wysychających przednich zębów. Czuł, że musi zamrugać powiekami, bo oczy zaczęły mu wilgotnieć; Alice natomiast pozostała nieporuszona. Musiał przełknąć ślinę, i to natychmiast, bo miał wrażenie, że się zakrztusi.

W końcu się poddał. Nie zdołał przeciwstawić się tajemniczej determinacji, która się zrodziła w jego żonie. Przygarbił się, a kropla kawy wylądowała między jego stopami.

- Świetnie - powiedział. - Jak będziesz gotowa, żeby porozmawiać, po prostu daj mi znać.

Wziął prysznic, ubrał się i wyszedł z domu, nie mówiąc nawet: do widzenia.

W pracy uznał, że to tylko etap w procesie zdrowienia jego żony, coś w rodzaju stresu pourazowego, który musi jakoś przetrzymać. Po prostu przez jakiś czas nie będzie niczego od niej oczekiwał. To nowe podejście sprawiło mu wielką ulgę. Dzień pracy spędził wyjątkowo produktywnie. Czuł się pewny siebie i skoncentrowany; w pełni sobie zasłużył, żeby zaprosić na lunch Georgine Darcy, zachwycającą programistkę, którą właśnie zatrudnili w firmie.

- Nie śpieszyłeś się z tym zaproszeniem - stwierdziła.

Georgine. Czy mogła się bardziej różnić od jego żony? Gibka i wysportowana, pozbawiona sentymentów i niezależna, urodzona i wychowana na Brooklynie, długonoga blondynka, znacznie mniej krągła niż Alice, ale przecież niepozbawiona kobiecych kształtów, była zawodowa tancerka, dopóki w wieku osiemnastu lat nie zerwała więzadeł stawu kolanowego. Dwa miesiące temu przesłała Davidowi i Frankowi Cady'emu, jego partnerowi w firmie, swoją pierwszą grę komputerową - prawdziwy majstersztyk. Fabułę oparła na tradycyjnej grze planszowej *Labirynt*, będącej prostym drewnianym pudełkiem, w którym za pomocą gałek przeprowadzało się przez gąszcz tuneli czarną kulkę, unikając dziur. W wersji Georgine gracz przyjmował perspektywę takiej właśnie kulki. Labirynt stawał się coraz bardziej skomplikowany na każdym kolejnym poziomie, postać bohatera natomiast, maleńki ludzik umieszczony wewnątrz kulki, sterowany padem uderzał w ściany, odbijał się pod odpowiednim kątem i straszliwie wrzeszczał, kiedy zdarzyło mu się wpaść do jednej z dziur.

David postanowił zabrać ją do New York Noodle, swojej ulubionej knajpy w Chinatown - nie tylko dlatego, że dawali tam świetnie jeść, ale też było to ostatnie miejsce na ziemi, do którego mogłaby niespodziewanie zawitać jego żona.

- Weźmiemy kaczkę, jeśli nie masz nic przeciw temu - zaproponował David, wskazując na wiszące na hakach przy oknie ptaki, pozbawione głów i spieczone na brąz. - Flaki też podają tu świetne.

- Ty decyduj - odparła Georgine, odkładając menu. Oparła łokcie na stole i pochyliła się do przodu z podbródkiem na splecionych palcach. Blond włosy okalały bujnie jej twarz, a szminka na wargach była czerwona jak jabłko. - Jem wszystko.

Zamówił dwa piwa Tsingtao. Zwykle nie pił alkoholu do lunchu, ale teraz czuł się odprężony, miał świetny nastrój. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że to jego gra.

Kiedy Georgine przystawiła butelkę do ust, krawędź szyjki ledwie dotykała jej górnej wargi.

- Muszę ci coś wyznać - stwierdziła.

- Wersja oficjalna brzmi, że się denerwuję.

- Zatrudniłam się w Spellbound ze względu na ciebie. Nie śmieję się! To prawda. Ze względu na *Pif-Paf! Jesteś trup!* Grałam w to jako dzieciak i już wtedy uważałam, że jest świetna. Razem z kolegami nadawaliśmy postaciom imiona ludzi z naszej szkoły. Oto panna Girgus i pan Romero. Strzelaj do nich! Ale uważaj, bo oni też na ciebie polują! Pomyślałam wtedy: „To właśnie chcę robić w życiu, tworzyć takie gry!” *Labirynt* też pisałam z myślą o grze z dzieciństwa. Ta gra jest hołdem dla twojej pracy.

- Pochlebiasz mi.

- A w zeszłym roku byłam na twoim wykładzie na Targach Rozrywki Elektronicznej w Vegas. Podczas seminarium na temat wszechwiedzy w strzelankach multiplayerowych.

- Trzeba było się przedstawić.

- Czułam się zbyt onieśmielona. Nie dość, że geniusz, to jeszcze niezły towar.

- Proszę cię!

- Mogę ci opowiedzieć o nowym pomysle na grę?

- Pewnie, że możesz.

- To duża rzecz. Jeszcze nie mam wszystkich szczegółów, ale ciągle to za mną chodzi.

- Zamieniam się w słuch.

- To już zaczynam - zapowiedziała. Pochyliła się jeszcze bardziej w jego stronę, kładąc obydwie ręce płasko na stole. Ściśnięte piersi utworzyły dwie wyraźne wypukłości.

„Tyrania cycków - pomyślał David. - Każdy maniak gapi się właśnie na cycki”. Na przedzie jej koszulki widniał napis: DLACZEGO KURA PRZEKROCZYŁA WSTĘGĘ MÓBIUSA? Po drodze do stolika, kiedy na chwilę oderwał wzrok od jej twardego jak jabłko tyłka, zauważył wydrukowaną na plecach odpowiedź na to pytanie: ŻEBY ZOBACZYĆ, CO JEST PO DRUGIEJ STRONIE.

- Nazywa się *Świat Graczy* i luźno nawiązuje do książki Piersa Anthony'ego *Pęknięta nieskończoność*, którą czytałam w dzieciństwie. Wszyscy mieszkańcy tego świata zajmują się wyłącznie grami. Potrzeby materialne już zaspokoili, jedyną walutą jest więc sprawność w grach. Innymi słowy, to najfajniejsze komunistyczne państwo we wszechświecie. O pozycji w tym świecie decyduje liczba punktów. Zarówno obcy, jak i swoi mogą stawać do pojedynku na wiele gier i umiejętności, od fizycznych po umysłowe, tory przeszkód oraz walkę wręcz. Dzięki pojedynkom nawiązuje się kontakty, spotyka znajomych i kochanków, prowadzi całe życie. Aha, i wszyscy chodzą nago. Tylko kiedy się pieprzą, zakładają ubrania.

- Podoba mi się.

- Co, pieprzenie w ubraniach?

- Nie, chodzenie bez.

- Mnie także. *Świat Graczy* wykorzystuje dwa typy interfejsu. Tak jak w *World of Warcraft* umożliwiamy jednoczesny udział ogromnej liczby graczy, wręcz całego świata, oczywiście płatny dostęp. Łączymy to z Facebookiem, gdzie każdy użytkownik ma swój profil, tyle że u nas podaje poziom umiejętności, swoją rangę w tym świecie. Na profilu znajduje się też jego wizerunek, ale nie rzeczywiste zdjęcie, tylko opracowany w najdrobniejszych szczegółach awatar, jak w *Second Life*. Jakby twój własny warhol, wypaczona albo wyidealizowana wersja właściciela. Rozumiesz? Graficzny odpowiednik, ale całkowicie dowolny: gruby albo chudy, ładny albo przyszczaty, jak kto zechce. Czyli ty i nie ty zarazem. Dajemy interaktywną obsługę konstruowania wizerunku postaci, wymagającą tyle samo namysłu i wysiłku, co tworzenie postaci w *Sporze*. No więc podłączasz się do gry ze słuchawkami na uszach i trafiasz do ogromnej przestrzeni, która przypomina karnawał, albo gigantyczny night club, albo Bourbon Street za sto lat. Królestwo gier. Wszystko barwne jak plansze flipperów, wszędzie awatary, widoczne na różnych stanowiskach czy terenach, rozgrywają pojedynki, którym możesz się przyglądać, kibicować i tak dalej. Możesz się komunikować z rywalami w czasie rzeczywistym, przedstawiać się, gadać z innymi albo rzucać wyzwanie, komu chcesz. I możesz grać na przykład w Scrabble, ale możesz też wybrać statki albo szachy, ścigać się z kimś na torze przeszkód w *Escher* X albo zagrać w *Pif-Paf! Jesteś trup!* Cokolwiek. W tym świecie moglibyśmy pomieścić wszystkie gry naszej firmy. Coś jak system Aegis. Bezczesny Disneyland. Coraz to nowe konkurencje i gry. A

teraz najważniejsze: kiedy grasz, widzisz zarówno przeciwnika, jak i siebie. Na dzielonym ekranie. Jesteś trzecią osobą, wszechwiedzącą, ale ograniczoną. Na tym między innymi polega atrakcyjność mojego pomysłu. Bo gracz chce widzieć siebie, prawda? Ale chce też widzieć siebie razem z innymi. Każdy tak chce. Lepiej nawet, po zakończeniu gry możesz poznać rywala, tego z wirtualnego świata. Poprzez jego awatar, który jest jego odzwierciedleniem, jednocześnie nim nie będąc. W ten sposób zdobywasz przyjaciół w *Świecie Graczy*. Tutaj masz kolejny atut mojego pomysłu. Wykorzystuję wszystko, co najpiękniejsze w wirtualnej anonimowości. Możesz powiedzieć o sobie to, co chcesz. Każdemu. Możesz pozostać sobą albo też stać się kimś zupełnie innym. To najwyższa forma autentyczności.

Pochylona mocno do przodu starała się znaleźć jak najbliżej niego, jakby przekazywała mu największą tajemnicę. On też trochę się pochylił.

- Nie wiem jak ty, aleja mam wrażenie, że przez cały czas siedzi we mnie to drugie ja, które chce coś powiedzieć i coś zrobić, ale nie może. Ale po to właśnie ta gra. Rozumiesz? To tak, jakbym chciała teraz ci powiedzieć: „Lubię cię, Davidzie. Podobasz mi się. Podoba mi się sposób, w jaki działa twój mózg i to, że jesteś taki utalentowany. Podobają mi się twoje dłonie i twoje usta”. Ale nie mogę tego powiedzieć.

- Dlaczego nie możesz?

- Wtedy to nie byłaby gra.

Po powrocie do biura David natychmiast zatelefonował do domu, ale Alice nie odebrała. Spróbował ponownie pół godziny później - też bez rezultatu. Tym razem odkładając słuchawkę, trzasnął nią z całej siły o telefon. Został w pracy po godzinach w raczej kiepskim nastroju, pod wieczór jednak złagodniał. W drodze do domu kupił kwiaty dla niej, świeży makaron i lody o niskiej zawartości tłuszczu. Zadzwoił do drzwi, choć miał przy sobie klucze. Im głośniejsze stawały się jej kroki, tym silniej marzył o ciepłym uścisku na powitanie, może nawet na znak zgody. Bukiet trzymał przed sobą, ale zamiast otworzyć drzwi, Alice tylko je uchyliła, aby się więc z powrotem nie zatrzasnęły, David musiał wetknąć stopę za próg. Kiedy wszedł do środka, Alice odchodziła już od drzwi. Stał w holu oniemiały i po raz pierwszy, odkąd wróciła ze szpitala, był na nią zły. Poszedł do kuchni, postawił tam torbę z zakupami i dopiero wtedy zauważył, że w całym domu nie pali się żadne światło.

- Czy oszczędność energii stanowi element twojego odmienionego życia? - krzyknął. Zdjął płaszcz, rzucił go na krzesło i zaczął włączać wszystkie lampy po kolei. Znalazł ją w sypialni. Siedziała na łóżku z laptopem na kolanach. Światło ekranu padało na jej twarz.

David czekał.

- Pracuję - rzuciła.

Rozejrzył się po ciemnym pomieszczeniu. Jej odbita w szybie sylwetka zdawała się unosić nad połyskującym miastem.

- To wszystko?

- O co ci chodzi? - zdziwiła się.

- Żadnych: „Jak ci minął dzień?” albo „Jak się masz?”, albo może „Co słyszeć?”

- Jak ci minął dzień? - zapytała. - Jak się masz? Co słyszeć?

Włączył lampkę przy łóżku.

- Oślepniesz - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

- Nie sądzę - burknęła i wróciła do pracy.

Stał tam jeszcze długo, dopóki nie stało się całkowicie jasne, że Alice zajęła się pracą mimo jego obecności. Wtedy nie mając pojęcia, co go nadszło, rzucił się na kolana, chwytając w garście jej spódnicę.

- Proszę, wybacz mi. Cokolwiek zrobiłem. Powiedz mi, co to było. Powiedz, jak mogę to naprawić. Zrobię wszystko, Alice. Przysięgam. Wszystko, co chcesz!

Wdychał jej zapach, czuł w dłoniach materiał jej sukienki i trząsł się cały. Po chwili usłyszał, jak Alice znów stuka w klawiaturę. Podniósł się wolno, drżąc, jakby dźwigał na plecach olbrzymi ciężar, i wyszedł z sypialni.

- Wszystko, co chcesz - powtórzył. - Nie śpiesz się. Zaczekam tyle, ile trzeba.

Poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie kolację. Był głodny, ale gotowanie czegokolwiek, podejmowanie takiego wysiłku, wydało mu się niewyobrażalne. Wlał wodę do garnka, postawił na kuchence, posolił, dodał trochę oliwy i gapił się na kuliste krople pokrywające powierzchnię. Wyjął z szafki puszkę sosu z mały (w tajemnicy przed Alice trzymał zapas produktów, które stanowiły dla niej śmiertelne zagrożenie), otworzył ją i wdychał słony zapach mięczaków. Kiedy woda się zagotowała, stał nad kuchenką, jakby zahipnotyzowany bańkami powietrza. Teraz, w samotności, znów odnalazł

siebie. Przypomniał sobie pomysł Georgine oraz to, co mówiła o autentyczności. Pomyślał, że chciałby ją teraz odwiedzić, by się z nią kochać. Pomyślał o ostatnich pięciu latach, które spędził z Alice. W końcu doszedł do wniosku, że on i Alice weszli właśnie w nową fazę swojego związku. Albo za chwilę wejdą. Jesteśmy w tym samym miejscu już tak długo, że albo zostaniemy w nim już na zawsze, co jest niemożliwe, albo ruszymy dalej. To „dalej” jest niewiadomą i być może nie obejmie nas obydwójga, ponieważ nie da się przewidzieć, czy obydwójga to wytrzymamy.

- David? - usłyszał głos Alice.

Przestraszony podniósł wzrok. Stała kilka kroków od drzwi kuchennych, żeby nie dotarł do niej zapach sosu. Była ładnie ubrana, jakby wybierała się na randkę. Postawił krok w jej kierunku, a wtedy ona skinęła w stronę drzwi.

- Wychodzę - oświadczyła.,

-Dokąd?

- Mam spotkanie.

- Która godzina?

- Prawie siódma - odpowiedziała. - Wrócę przed dziesiątą - dodała. Odwróciła się, zamierzając wyjść.

- Ale dokąd idziesz i po co?

Zatrzymała się w przedpokoju, nie odwróciła się jednak do niego.

- Zamierzam odmienić moje życie - stwierdziła.

Jakby dla podkreślenia determinacji zamknęła drzwi wejściowe z głośnym hukiem.

Któregoś wieczoru późną wiosną - nadzwyczaj ciepłą tego roku - detektyw Hastroll wrócił do domu i zastał żonę w łóżku. Był piątek. Zapytał, co się stało. Oznajmiła, że nie czuje się dobrze, wróciła więc z pracy wcześniej, żeby się położyć. Twierdziła, że drapie ją w gardle i na pewno złapała jakąś infekcję. Leżała w halce, z odkrytymi nogami przy otwartym oknie na podwórze. Bezwietrzna pogoda sprawiała, że w sypialni było duszno. Hastroll dostrzegł kropelki potu nad górną wargą i na piersiach żony. Ona na niego nie patrzyła.

- Przynieść ci coś? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

- Jesteś głodna?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

Spojrzała na niego i wybuchnęła płaczem.

- Nic - wyszlochała. - Absolutnie nic. - Usiadła na łóżku, wskazując na niego palcem. - Chociaż nie. Jest coś, co możesz dla mnie zrobić: zejź mi z oczu!

Czekała. Hastroll także czekał.

- Jak chcesz - wydusił z siebie w końcu, poszedł do salonu, nalał sobie drinka i usiadł w ulubionym fotelu.

Zdarzyło się to pięć miesięcy temu. .

Hannah ciągle nie wstawała z łóżka.

Hastroll popadał w coraz większą rozpacz.

Morderstwo ujawnia w ludziach pierwotne instynkty, myślał Hastroll. Sprowadza ich charakter do najprostszycich instynktów.

Na przykład kobiety zabijają mężów niemal zawsze w obronie własnej. To dowiedzione. Są oczywiście wyjątki, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć, jeśli kobieta zastrzeliła, otruła albo zasztyletowała małżonka, śledztwo na pewno wykaże, że w ten czy inny sposób denat na to zasłużył.

Mężczyźni natomiast zwykle zabijają żony dla jednego z czterech powodów: pieniądze, seks, zemsta albo wolność. Pierwsze trzy nie wymagają wyjaśnień: są tak oczywiste, że detektywi sprawdzają te motywy zawsze, gdy znajdą martwą kobietę we własnym mieszkaniu. Czy podejrzany pieprzył kogoś innego? A żona? I mąż o wszystkim się dowiedział? Czy żona miała polisę albo sporą sumkę w funduszu powierniczym, którą dziedziczył mąż? Jeśli tak, to czy on ma żelazne alibi? I tak dalej, i tak dalej.

Wolność to występujący najrzadziej, a jednocześnie najbardziej skomplikowany motyw zabójstwa żony, choć zrozumie go doskonale niemal każdy mężczyzna, który kiedykolwiek był żonaty. I chociaż można dowodzić, że wolność w ten czy inny sposób dała impuls do zabójstwa w pierwszych trzech przypadkach, to jednak Hastroll wiedział z doświadczenia, że przypadki, w których mężczyzna zabija żonę, żeby zyskać wolność, są zawsze zupełnie odmienne.

Mężczyźni marzą o tym, żeby jeszcze raz zacząć wszystko od nowa. Niekoniecznie z inną kobietą. Chcą znów mieć czystą hipotekę, zniknąć, wyjść z samolotu podczas przerwy w podróży i zbudować nowe życie w jakimś obcym mieście, powiedzmy w Grand Rapids albo w Nashville. Marzą, żeby zamieszkać samotnie, a w mieszkaniu mieć ciszę i spokój; że się zaciągną do Delta Force i pojedą walczyć w Iraku; że będą się przedstawiali innym, używając imienia albo przydomku, które zawsze chcieli mieć. Najchętniej znaleźliby się w miejscu, gdzie mogliby wykorzystać całą zdobytą wiedzę, której nie mieli przedtem, to znaczy zanim wzięli ślub. Wtedy może zaznaliby szczęścia.

Siedząc w salonie na ulubionym fotelu, z pochlipującą za ścianą całymi godzinami żoną, Hastroll rozumiał te marzenia. Przyszło mu do głowy, że takie długie samotne siedzenie w ciemności może być świetnym motywem zabójstwa.

- Słyszeliśmy kilka karczemnych awantur - stwierdził Rand Harper, sąsiad Pepina zza ściany. - Ale my się z Havis też przecież kłócimy.

Jego żona, Havis Davenport, siedziała obok niego na kanapie. Dobiegali trzydziestki, niedawno się pobrali. Cięża Havis była jeszcze wczesna, choć już wyraźnie widoczna. Zdjęcia ze ślubu porozwieszali w całym mieszkaniu. Kiedy chwilę wcześniej detektyw poszedł do łazienki, żeby się wysikać, zobaczył tam oprawioną stronę magazynu „Town & Country”:

informacja o ich ślubie brzmiała jak początek historii o bajecznym szczęściu i powodzeniu. Na fotografii w limuzynie, która wiozła ich w bajkową podróż poślubną, państwo młodzi wyglądali wyjątkowo pięknie i wytwornie. Hastroll pomyślał, że z takich wyzryn mogą się już tylko staczać.

- Uważam, że nasze pożycie układa się dobrze - wtrąciła Havis.

- Nie mówię przecież, że tak nie jest, kochanie. Po prostu zdarzyło nam się raz czy dwa posprzeczać, co nie oznacza, że za chwilę się pozabijamy.

- Mam nadzieję, że nie - stwierdziła.

Hastroll podniósł wzrok znad notatek.

- Rand pracował dla Lehman Brothers.

- Co to ma do rzeczy? t^r

- To stresująca praca - wyjaśniła.

- Nie sądzę, żeby pan detektyw interesował się moim życiem zawodowym.

- Cóż, ktoś musi - odcięła się.

Hastroll przewrócił kartkę w notatniku.

- Czyli nigdy nie zauważyliście państwo niczego niezwykłego? - zapytał.

- Nie - odpowiedział Rand.

- Czy widzieliście ich w dniu śmierci Alice?

- Szczerze mówiąc, rzadko widywałam ich razem - powiedziała Havis.

- Może pani uściślić?

- Przez kilka miesięcy wcale jej tu nie było. Wydaje mi się, że przez ostatni rok byli w separacji. Ona chyba gdzieś wyjechała.

- No to zaraz pan usłyszysz historię o brzydkim kaczątku - wtrącił Rand.

Klepnęła męża w ramię.

- Taka prawda. Ona była kiedyś otyła... - Rand odwrócił się do Hastrolla.

- Była naprawdę gruba, ale potem...

- Co potem? - zainteresowała się Havis.

- Potem zrobiła się z niej całkiem atrakcyjna kobieta.

Jego żona skrzyżowała ramiona, po czym wstała i zebrała filiżanki ze stolika.

- Chce pan zadać mi jeszcze jakieś pytania? - zapytała.

- Nie, dziękuję - odpowiedział Hastroll.

- W takim razie proszę mi wybaczyć.

Poszła do kuchni, wstawiła filiżanki do zlewu, a po chwili zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni.

Rand westchnął. Zerknął przez ramię, upewniając się, czy żona nie słyszy, i pochylił się do przodu.

- Zupełnie jakby w jej brzuchu siedział jakiś demon - wyznał ściszym głosem.

- Trudno mi się wypowiedzieć.

Rand zerknął jeszcze raz na zamknięte drzwi.

- A wracając do nich, to widziałem kilka rzeczy, które wydały mi się dziwne. Nie chciałem o tym mówić przy Havis, bo gdyby się dowiedziała, że sąsiad puszczał żonę kantem, to wściekłyby się jeszcze bardziej.

- Proszę kontynuować.

- Rzeczywiście przez kilka miesięcy nie widziałem Alice. Nie umiem powiedzieć, co się działo. Oni byli raczej skryci. Ale któregoś razu, właśnie podczas jej nieobecności, wchodząc do domu widziałem, jak wychodzi od niego jakaś blondynka, która nigdy wcześniej tutaj nie bywała.

- Kiedy dokładnie pan ją widział?

- Kilka miesięcy temu. Trzy, może cztery. Nie jestem pewien.

- Coś jeszcze?

- Dzień przed śmiercią Alice, wieczorem, widziałem Davida na ulicy.

Rozmawiał przez komórkę.

- Co w tym dziwnego?

- Chodził tam i z powrotem naprawdę wściekły.

- Słyszał pan, co mówił?

- Powiedział: „Co mam zrobić, żeby z tym skończyć?” Reszty nie usłyszałem, ale wyglądał na faceta, którego coś doprowadziło do ostateczności.

Najbardziej oczekiwany moment w rozkładzie dnia Hastrolla następował tuż przed wsunięciem klucza do zamka w drzwiach wejściowych własnego domu. Zastanawiał się, jak Hannah zareaguje na jego powrót z pracy. Był wtedy tak wrażliwy na jej głos, jak pies na gwizdek wydający wysokie tony.

Na jego: „Już wróciłem!” Hannah mogła nie odpowiedzieć nic. Wtedy jego uskrzydłony nadzieją nastrój rozbije się z trzaskiem. Zapewne będzie włączony telewizor. Hastroll wejdzie do sypialni, a ona odwróci na chwilę wzrok od ekranu i powie: „Och, nawet nie słyszałam, jak wszedłeś”. On

odczeka chwilę, żeby się przekonać, czy powie coś jeszcze - nigdy nie mówiła - i pójdzie do salonu, by nalać sobie drinka.

Na jego: „Już wróciłem!” Hannah mogła odpowiedzieć: „Jestem tutaj” - co znaczy: wejdź, jeśli chcesz, ale nic to nie zmieniało.

Na jego: „Już wróciłem!” Hannah mogła spytać: „To ty, Ward?”, wkładając w te słowa krzywą entuzjazmu. Miłości. Wtedy jego serce zabije mocniej. „To ja” - odpowie, biegnąc, żeby się z nią przywitać. Z nadzieją, że może usiądzie na łóżku i go obejmie. Że nawet pozwoli się pocałować. Że powie: „Dziś czuję się o wiele lepiej, kochanie”, po czym się podniesie, przeciągnie i zarzuci mu na szyję pętlę swoich ramion. Hastroll był przekonany, że gdyby tak zrobiła, on by się rozplakał. Ale wchodząc do sypialni, powie: „To ja, oczywiście”. Wtedy Hannah pełnym rozczarowania głosem stwierdzi: „Tak myślałam”. I na tym się skończy.

Na jego: „Już wróciłem!” Hannah mogła odpowiedzieć: „Chodź tutaj na chwilę”. Tak właśnie się stało tego wieczoru. Jej głos wydawał mu się bezbronny. I spragniony. Doszła do jakiegoś kresu. Miała mu do powiedzenia coś więcej. Ostrożnie, niepewnym krokiem wszedł do sypialni. Miała na sobie tę samą halkę co wtedy, kiedy się położyła do łóżka. Zastanawiał się często, jakim cudem halka ciągle jest czysta. Czy prała ją potajemnie? Moczyła w umywalce w wodzie z woolite'em? Tylko kiedy ją suszyła? A może wychodziła do pralni samoobsługowej w ciągu dnia, korzystając z jego nieobecności? W każdym razie na pewno się czesała, robiła makijaż i jadła to, co jej wcześniej przygotował. Czyli nie głodowała. Za każdym razem też, kiedy wracał, w zlewie nie stało ani jedno brudne naczynie, ale mleka było dokładnie tyle samo, co rano, ona zaś leżała w łóżku, mając na sobie tę samą cholerną halkę.

- Tak, kochanie? - spytał, stając przy łóżku.

- Ward - szepnęła, wyciągając do niego dłoń.

Ujął jej dłoń w swoją. Miała lepkie palce.

Zakołysała jego ręką w prawo i w lewo, a następnie zamknęła oczy i przytknęła jego dłoń do ust. Zęby i mokre wargi żony ocierały się o jego skórę, jakby była kotem.

Przyklęknął, nie puszczając jej dłoni, po czym zamknął ją w obydwu swoich. Patrzyła na niego uważnie, wodząc orzechowymi oczami między jego lewą a prawą źrenicą.

- O co chodzi, Hannah? Powiedz mi, proszę.

- Nie - odparła, zakrywając sobie usta. - Idź już.

Drugi sąsiad Pepina był starszym mężczyzną, a przy dzwonku do jego mieszkania widniało nazwisko BAGDASARIAN. Przywitał Hastrolla ubrany tylko w slipy i spojrzał na niego błędnym wzrokiem.

- Jeśli można, chciałbym zadać panu kilka pytań - powiedział detektyw, trzymając przed sobą policyjną odznakę.

Bagdasarian odwrócił się jednak i zostawił go na klatce. Hastroll wsunął stopę w drzwi, żeby się nie zatrzęsęły, i podążył za gospodarzem. Niemal cały salon zajmował fortepian. Instrument wypełniał pomieszczenie, jak miniaturowa butelka. Hastrolla kusilo, by zapytać, jak udało się go tu wnieść. Bagdasarian stał do niego tyłem, mając przed sobą lustro oraz fotografie poustawiane na półce nad kominkiem. Kiedy Hastroll klepnął go w ramię, mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego, jakby zdziwiony jego obecnością. Potem wskazał zdjęcie kobiety młodszej od niego o jakieś trzydzieści lat. Była ubrana w zieloną sukienkę i czarny toczek. Miała czerwone włosy. Sądząc po samochodach i budynkach w tle, zdjęcie musiało liczyć sobie kilkadziesiąt lat.

- To Judif - powiedział zbolalym głosem z silnym obcym akcentem, który zniekształcał sylaby.

- Judith?

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

- Moja żona - wyjaśnił, znów patrząc na fotografię. Ponownie wskazał ją palcem, po czym ten sam palec przytknął do swoich warg. - To Judif? - zapytał.

Hastroll wyszedł. Cicho zamykając za sobą drzwi, powtarzał w duchu, że bez względu na ogrom bólu, który mu dolega, musi uważać na swoje pragnienia, bo mogą się spełnić.

Hannah pozwalała się karmić Hastrollowi. A więc nie podjęła strajku głodowego. Kiedy przynosił jej na tacy obiad, robiła się rozmowna jak zawsze.

- Co słyszeć w komisariacie? - dopytywała się. - Wygląda na to, że atmosfera gorąca - dodawała. Albo: - Ostatnio jesteś ciągle zajęty pracą.

Nie da się ukryć, że było to trochę irytujące, ponieważ w ciągu tych kilku chwil, zanim zatknęła sobie serwetkę pod brodę, zachowywała się nie jak kobieta, która od pięciu miesięcy nie wstaje z łóżka, ale jak pacjentka,

której choroba, powiedzmy grypa, zaczyna ustępować i za dzień lub dwa poczuje się dość silna, żeby wrócić do pracy.

Hastroll stał przy niej zdumiony i dezorientowany. Nie skomentował tego jednak w żaden sposób. Zapytał tylko, czy Hannah czegoś jeszcze potrzebuje („Nie, dziękuję” - odparła) i wrócił do kuchni, ponieważ zawsze go złościło, kiedy ktoś jadł w łóżku. Wziął się za zmywanie, bo me lubił też bałaganu w kuchni, kiedy wchodził tam rano. Stojąc nad wypełnionym zlewem, doszedł do wniosku, że danie, które dziś jej przygotował - kurczak z kaszą kuskus, sosem cytrynowo-maślanym i pietruszką - ostatnio w ogóle najbardziej lubił robić. Zaraz potem pomyślał o latach, które z nią spędził i przyszło mu do głowy, że historię ich związku można opisać jako ciągle zmieniające się menu, coś w rodzaju *bistro a deux*, w którym on jest kucharzem, a Hannah jedyną klientką. Gdyby miał stworzyć menu degustacyjne zawierające potrawy, które od samego początku, posiłek po posiłku, wyznaczały najważniejsze etapy ich związku, jego zwieńczeniem byłby właśnie ten kurczak. Przed nim pojawiłoby się kilka dań: toskańska ribollita z jarmużem, karotkami i fasolą cannellini - sycąca i cudownie tania; makaron sezamowy z grillowanym boczkiem na zimno (w okresie jego fascynacji chińszczyzną) - przepyszne rano, w południe i wieczorem, zwłaszcza po seksie; enchilada z krewetkami i czarną fasolą - ich piątkowa tradycja od dnia, w którym tradycje zaczęły go pasjonować; filet z łososia z wody, z cytryną, czarnym pieprzem i sosem tzatziki (zaczęli jeść więcej ryb, odkąd poprawiła się ich sytuacja finansowa); wreszcie fettuccine ze szpinakiem i śmietanowym sosem z mascarpone, szczyptą gałki muszkatołowej i garścią parmezanu dodanego na końcu - ponieważ łatwo się to robiło i dobrze wypełniało pusty żołądek, a skoro było ich tylko dwoje, on i Hannah, to czy musieli się przejmować tym, że któreś z nich przytyje?

Wrócił do sypialni po pusty talerz.

- Mamy coś słodkiego? - zapytała.

Hastroll dwukrotnie zamrugał powiekami.

- Chyba żartujesz - powiedział.

- Jak to: żartuję?

- Chodzi ci o placek jagodowy?

- Na przykład.

- Albo biszkopt z ananasek?

- Brzmi smakowicie, ale wystarczą jakieś lody.

Hastroll dźgnął się w pierś palcem wskazującym.

- Ja deserów nie robię - stwierdził, po czym wskazał na nią. — To twoja działka.

Hannah wyglądziła kołdrę w nogach i westchnęła.

- A ty nadal nie rozumiesz, o co chodzi.

- Wspólnie z Davidem prowadzimy tę firmę - zaczął Frank Cady. - Założyliśmy ją jako partnerzy. Co chce pan wiedzieć?

- Czy David i jego żona mieli jakieś problemy małżeńskie? - zapytał Hastroll.

- Nie znamy się aż tak dobrze, żeby mi się z tego zwierzał.

Hastroll rozejrzał się po gabinecie. Ściany obwieszane były plakatami superbohaterów wydawnictwa Marvel Comics. Niektórych z nich nawet rozpoznał (choć wyobrażał sobie, że z pewnością znałby ich wszystkich, gdyby mieli z Hannah dzieci): Spider-Mana, Srebrnego Surfera i Hulka. Na półkach telefon Wolverine'a w szklanej kasetce, figurki superbohaterów, książki z serii *Lochy i Smoki*, cała *Diuna* oraz *Władca pierścieni*. Przy mieczu świetlnym wisiało oprawione w ramki zdjęcie Cady'ego z Geor-geem Lucasem, opatrzone autografem słynnego reżysera. Nieco dalej widniał znak drogowy z napisem „Nie przejdiesz” i rysunkiem postaci chyba czarodzieja. Na komodzie stały cztery monitory przyłączone uchwyty - na jednym YouTube, na drugim gra komputerowa, na trzecim linijki kodu, które wyglądały jak niekończący się wiersz biały, na czwartym wygaszacz ekranu pokazywał zdjęcia dzieci. Hastroll się domyślił, że to potomstwo właściciela gabinetu: chłopiec, który się pojawiał i znikał na ekranie, wyglądał dokładnie tak jak on. Płaski telewizor na przeciwległej ścianie pokazywał pięciu komentatorów nad paskiem, bezgłośnie przekazującym najnowsze wiadomości: wszyscy w tym świecie żyli jako własne awatary, w wiecznym symulakrum rzeczywistości zanurzonych jedna w drugiej.

- Nie wydaje mi się, żeby mieli jakieś problemy małżeńskie, cokolwiek to znaczy - dodał Cady po chwili. - Jeśli oczywiście nie liczyć kłopotów zdrowotnych Alice.

- Co ma pan na myśli?

- Alice przez lata walczyła z nadwagą. W końcu jej się udało. Teraz to już nieważne. Niemożliwe, żeby David zabił żonę.

- Czy Pepin utrzymywał bliskie stosunki z kimś w firmie?

- Czegoś tu nie rozumiem, panie Hastroll. Zona faceta popełnia samobójstwo, w dodatku na jego czach. Po co jeszcze szargać jego opinię?
- Jeśli pan woli, sam trochę powęszę.

Cady pokręcił głową. Brzaęknął sygnał przychodzącej wiadomości.

- Georgine - powiedział. - Georgine Darcy. Pisze dla nas programy. Pracowała z Davidem nad kilkoma poważnymi projektami.

Już na pierwszy rzut oka Hastroll stwierdził, że Darcy tańczyła kiedyś w balecie: idąc, stawiała stopy na zewnątrz. Była blondynką o pełnych wargach - Scarlett Johansson dla ubogich. Roztaczała wokół aure samotności, wyniosłości, która ją poprzedzała. Zanotował w pamięci, że musi ją skonfrontować z sąsiadem Randem Harperem.

- Pani Darcy?

Kiedy Hastroll pokazał odznakę, z jej twarzy odpłynęła cała krew.

- Zobaczę, czy któraś z sal konferencyjnych jest wolna - powiedziała, po czym ze wzrokiem wbitym w podłogę poprowadziła go korytarzem. - Tu będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Włączyła światło, zamknęła za sobą drzwi, usiadła, skrzyżowała ręce na piersiach, obserwując, jak Hastroll przysuwa sobie krzesło. Położył notatnik na stole i patrzył na nią tak długo, aż spuściła wzrok.

- Chodzi panu o Davida, prawda?
- Pan Cady poinformował mnie, że pracowała pani razem z Pe-Pinem.
- Wspólnie pisaliśmy kilka gier komputerowych.
- Czy utrzymywaliście państwo kontakty pozazawodowe? Przycisnęła do warg zaciśniętą dłoń i odkaszlnęła. -Tak.

Hastroll odczekał chwilę.

- Czy ta relacja...

- Tak - przerwała mu.

- Jak długo miała pani romans z panem Pepinem?

- Mniej więcej rok. Zerwaliśmy kilka miesięcy temu.

- To była wasza wspólna decyzja? Spojrzała na Hastrolla beznamiętnie.

-On zerwał.

- Dlaczego?

- Powiedział, że nasz związek maści mu w głowie.¹

- Dlaczego?

Darcy musiała mrugnąć powiekami. Tylko raz. Hastroll pomyślał, że to świadczy o niewinności.

- Próbował jakoś uporządkować swoje uczucia wobec żony. Odeszła od niego na jakiś czas. Ale zanim wróciła, oświadczył mi, że dopóki się spotykamy, on nie potrafi stwierdzić, czy jest ze mną z powodu kłopotów z Alice, czy dlatego, że naprawdę nas coś łączy.

- Pani się z tym pogodziła?

Po tym pytaniu w jej oczach zabłyśły dwie łzy, które zaraz skapnęły.

- Wybór w tym związku nigdy nie należał do mnie.

Ścisnęła grzbiet nosa palcami wskazującymi i przetarła oczy. Potem odkaszlnęła. Udało jej się powstrzymać od płaczu.

- Czy dużo mówił o Alice?

- Nie.

- Ale rozmawialiście o niej?

- Bardzo rzadko.

- Wspomniała pani o jego kłopotach z Alice. Jak opisałaby pani to małżeństwo?

- Szczerze?

- Chodzi o śmierć kobiety.

- Sądzę, że czuł się odrzucony. Nietrudno to było zrozumieć. Alice bardzo się zmieniła. Przy nim. Schudła wreszcie, ale wcześniej przechodzili przez to setki razy. Gubiła kilogramy, a potem znów tyła, co cholernie zaniżało jej samoocenę. On zawsze ją wspierał, za każdym razem, podczas każdej podejmowanej próby. W końcu pozbyła się nadwagi, stała się całkiem inną kobietą i co? Moim zdaniem on uważał, że chudnąc, oddalała się od niego.

- Czy powiedział pani, że żona od niego odchodzi?

-Nie.

- Czy powiedział, że ją podejrzewa o taki zamiar?

- Nie. Ale wiem, że chciała to zrobić.

- Skąd pani to wie?

- Musiałby pan być kobietą, żeby to zrozumieć.

- Niech mnie pani oświeci!

- Kobiety podejmują decyzję na długo przedtem, zanim to do nich dociera. Ona już zdecydowała, tylko jeszcze nie wprowadziła decyzji w życie.

- Tak robi chyba większość ludzi.

- Kobiety muszą się czuć bezpieczne, zanim wykonają decydujący ruch.

Wydaje mi się, że ona szukała miejsca, w którym mogłaby stabilnie wyłądować.

- Chyba nie rozumiem dobrze kobiet.

- Wystarczy na pana spojrzeć.

Hastroll pokiwał głową. W notatniku napisał: Hannah.

- Czy mówiła pani o tym Pepinowi?

- O czym?

- Że pani zdaniem żona zamierza go zostawić.

-Tak.

- Jak zareagował?

- Powiedział, że nie wiem, co mówię.

- Czy kiedykolwiek sugerował, że wasz związek ma przyszłość?

- Nie, niczego takiego nie mówił. Nigdy nie wspomniał o rozwodzie z Alice.

- Czy pytała go pani, co dalej?

- Zdarzało się.

- Podejmował temat?

Wzruszyła ramionami.

- Jak pani przyjęła jego decyzję o zakończeniu waszego romansu?

- Początkowo nie najlepiej.

- Próbowала pani go ratować?

- Przez krótki czas tak. Ale dość szybko to do mnie dotarło.

- Czy kiedykolwiek go pani nachodziła? Groziła mu prywatnie bądź zawodowo?

-Nie.

- Czy pamięta pani, kiedy ostatni raz dzwoniła pani do niego prywatnie?

- Och, nie dzwoniłam do niego od miesiący!

Hastroll wstał z krzesła.

- To moja wizytówka. Proszę zadzwonić, jeśli coś sobie pani przypomni

- powiedział i skierował się do wyjścia.

- Detektywie... - zatrzymała go.

- Słucham.

- Nie wierzę, że ją zabił.

- Dlaczego?

- Ponieważ bardzo ją kochał - odparła. - A już na pewno bardziej niż mnie.

Hastroll uznał, że jest zbyt bierny w sprawie Hannah. Musi wyrzucić na nią presję. Potrzebował nowej strategii. Postanowił, że weźmie ją głodem.

- Ward! - krzyknęła z sypialni. - Co dziś na obiad?

- Nie wiem - odpowiedział z twarzą schowaną za gazetą. - Ja już jadłem.

- Aha - mruknęła. - To nawet dobrze. Właściwie nie jestem głodna.

Hastroll odłożył na chwilę gazetę, uśmiechnął się pod nosem i wrócił do czytania.

Wieczorem, kiedy położył się do łóżka, słyszał, jak burczy jej w brzuchu.

- Słyszę, że jesteś głodna - rzucił.

. Nie odpowiedziała.

Następnego ranka nie zrobił śniadania. Wylał do zlewu mleko, po czym zaczął wyrzucać jaja, opróżnił spiżarnię z puszek fasoli, zupy i warzyw; do worka na śmiecie powędrowały krakersy, makaron, sos pomidorowy oraz kostki bulionu drobiowego - jednym słowem wszystko, co mieli w domu do jedzenia. Worki ze śmieciami ustawił przy drzwiach wyjściowych, skąd zamierzał je zabrać, wychodząc do pracy. Żeby mieć pewność, że Hannah niczego sobie nie zamówi, wyjął z jej torebki wszystkie karty kredytowe, całą gotówkę, a nawet książeczkę czekową - wszystko to włożył do kieszeni marynarki. Kiedy wszedł do sypialni, żeby ją pocałować na do widzenia, spojrzała na niego spod oka lekko zdenerwowana, jak ktoś, kto nie pamięta, gdzie położył klucze.

- Ani kęsa? - zapytała.

Jego determinacja trochę osłabła.

- Przykro mi, ale dziś się nie wyrobiłem. Jestem już spóźniony. Muszę jechać na komisariat.

- Aha. To w porządku.

Po raz ostatni zajrzał do lodówki - pusto! Poczł przyływ pewności siebie. To musi zadziałać! Chwycił dwa olbrzymie worki ze śmieciami

(czuł się jak święty Mikołaj z kradzionymi podarkami) i wyszedł. Przez cały dzień się zastanawiał, jak Hannah sobie poradzi.

- Już wróciłem! - powiedział tamtego wieczoru jak zwykle, a potem stał przez chwilę w holu. Nie słysząc żadnej odpowiedzi, poszedł prosto do sypialni.

Hannah oglądała telewizję.

- Zauważyłeś, jak często reklamują produkty żywnościowe? - zapytała. - To zadziwiające. Mleko trzeba pić, bo jest zdrowe. I ten stuknięty ptak reklamujący płatki zbożowe. Polecają też hamburgery wołowe ze specjalnym sosem, serem, piklami i cebulą w bułce z sezamem.

- Może byś zjadła?

- Sos AI - każdy befsztyk dzięki niemu będzie lepszy!

- To zwykła przyprawa.

- Idealne jajko jadalne - cytowała kolejne reklamy. - Wołowina: od niej obiad się zaczyna! *Yo quiero Taco Bell*.

- Na sąsiedniej ulicy jest przecież restauracja Taco Bell.

- Żywność pojawia się też w nazwach innych produktów. Choćby odzież *Fruit of the Loom*. Albo krem z filtrem przeciwsłonecznym *Banana Boat*. Zwróciłeś na to uwagę?

- Nie - odparł.

- Może nie jesteś głodny.

- Ależ jestem - zaprzeczył. Wyliczanka żony bardzo go osłabiła. -A ty? Wzruszyła ramionami.

Hastroll pomyślał, że chyba zaczynają jej odstawać łopatki.

- Powiedz w końcu - zażądała.

- Niby co?

- Jak to? Powiedz, co jest na obiad.

Hastroll stał wyprostowany, gapiąc się w okno.

- Sama musisz o siebie zadbać.

- Aha. Może chociaż trochę wody?

- Mam coś do zrobienia - powiedział. - Może wstaniesz i sama sobie weźmiesz?!

- Więc to tak? - westchnęła, opadając na poduszkę.

Hastroll wyszedł na obiad do chińskiej restauracji.

Po czterech dniach nowej strategii Hannah miała wymizerowaną twarz, a nad jej piersiami Hastroll zaczął zauważać zebra. Przez siedem dni, choć

bardzo cierpiał z jej powodu, pozostał niewzruszony. Przeglądał śmiecie w poszukiwaniu opakowań po posiłkach, które mogłaby zamówić. Zero. Nie zjadła zupełnie nic. Pytał portiera, czy widział, żeby Hannah wychodziła z budynku.

- Nie widziałem pani Hastroll od tak dawna, że szczerze mówiąc, zacząłem się zastanawiać, czy nie umarła - odpowiedział Alan.

Kiedy tamtej nocy Hannah mówiła mu dobranoc, Hastroll zauważył kropelki białej śliny w kącikach jej ust.

Wyłączył lampkę przy łóżku i przyglądał się jej w świetle z telewizora.

- Co oglądasz? - zapytał.

- *O krok od śmierci* na Discovery.

Dziewiątego dnia, sięgając po książkę, która leżała na szafce nocnej, Hannah zemdląła i spadła na podłogę.

Hastroll przerażony ocucił ją kilkoma uderzeniami dłonią w twarz, podniósł z ziemi i położył na łóżku.

- Hannah! Powiedz coś! - powtarzał. - Hannah!

- Wody - szepnęła.

Przyniósł jej szklankę wody, którą wypila jednym haustem.

- Pizza - powiedziała po czterech kolejnych szklankach.

Zamówił dużą pizzę pepperoni z podwójnym serem. Zjadła sześć kawałków jeden po drugim, potem usiadła na łóżku, otarła czerwoną strużkę sosu z kącika ust, położyła się i włączyła telewizor.

- Ty nadal nie rozumiesz, o co chodzi - stwierdziła i niemal natychmiast zasnęła.

- No cóż, Alice miała doskonały kontakt z uczniami - zapewniła Jesslyn Fax, pięćdziesięcioletnia nauczycielka plastyki w szkole Cedar Knolls dla nastolatków z zaburzeniami emocjonalnymi oraz dla ofiar molestowania seksualnego. - Dzieciaki ją uwielbiały. - Mała i pulchna Fax miała na sobie brązową sukienkę i biały sweter narzucony na ramiona. W jednym i drugim uchu nosiła aparat słuchowy. Mówiła głośno i radośnie, co Hastroll uznał za przejaw nieposkromionego optymizmu ludzi niezbyt uzdolnionych. Na ścianach jej pracowni wisiały reprodukcje *Gwieździstej nocy nad Rodanem* van Gogha, *Guerniki* Picassa oraz obrazów Moneta, Maneta, Rothki i Rembrandta, Muncha i Mondriana oraz Eschera - wszyscy dzielili miejsce z pracami podopiecznych pani Fax, portretami narysowa-

nymi węglem i martwymi naturami, które wahały się od miernych po całym kiepskie. Umieszczona obok nich klasyka potęgowała nie najlepsze wrażenia, dobitnie pokazując, czym prace uczniów szkoły nie są i nigdy nie będą. W rogu stały rzędy sztalug z założonymi blejtramami oraz duża abstrakcyjna rzeźba z gliny. - Urządziliśmy w szkole małą uroczystość dla upamiętnienia Alice, żeby pomóc dzieciom pogodzić się z jej utratą. Benny Bartlett... widzi pan tego ciemnowłosego chłopca? O, tam.

Hastroll spojrział. Bartlett, mniej więcej czternastoletni osiłek, grał w koszykówkę z jakimś chłopcem na placu przed budynkiem. Na obręczy kosza wisiała siatka zrobiona z kawałków łańcucha.

- Więc to właśnie on bardzo pięknie przemawiał na tej uroczystości - ciągnęła. - Opowiedział, jak pani Pepin nauczyła go odczytywać godzinę na zegarze ze wskazówkami.

Hastroll obserwował chłopca przez chwilę. Jego własny ojciec, który był gruby i niewysportowany, nigdy nie grał z nim w piłkę. Dlatego Hastroll sobie poprzysiął, że kiedy jemu urodzi się syn, na pewno będzie to robił.

- Dlaczego Benny chodzi do tej szkoły?

- No cóż, jest bardzo chory. Przez całe życie był źle traktowany. Przez wiele lat molestował go wuj. Matka bierze kokainę. Ojciec uzależnił się od amfetaminy i prysnął, zanim Benny skończył trzy lata. Chłopiec ma iloraz inteligencji trzecioklasisty. I zgwałcił własną siostrę.

- Rozumiem.

- Ale jest uroczy. Ten przystojny młody człowiek, który gra z nim w piłkę, to Ralph Smiley.

Hastroll znów spojrział za okno. Smiley odebrał piłkę Bartlettowi, podbiegł do linii rzutów wolnych, obrócił się i celnie umieścił ją w koszu.

- On też był bardzo związany z Alice. Pomagała mu w wyjątkowo ambitnej pracy na temat Wielkiej Rafy Koralowej. Powinien pan z nim o tym porozmawiać.

- Dlaczego Ralph został wychowankiem tej szkoły?

- Od dziecka przejawiał skłonności socjopatyczne. Jako chłopiec zabił kilkanaście kotów i psów z sąsiedztwa, poćwiartował i zakopał w różnych miejscach. Dokonuje też samookaleczeń. Nie przepuści żadnej okazji, żeby przystawić żyletkę do ramion i genitaliów. Ma blizny od bicepsów po nadgarstki. Dlatego chodzi w długich rękawach. A jego biedny penis wygląda jak Ludzik Michelina.

- Czego uczyła Alice?

- No cóż, głównie wiedzy o społeczeństwie. Chociaż jej specjalnością była matematyka.

- Czy poznała pani jej męża?

- Davida? To przeuroczy człowiek!

- Czy kiedykolwiek wspominała o problemach małżeńskich?

- Nigdy.

- Czy w okresie przed jej śmiercią zauważyła pani u Alice objawy depresji?

- Depresji?

- Czy była zamknięta w sobie? - wyjaśnił Hastroll. - Aspołeczna?

- Była raczej w euforii. W ciągu roku straciła prawie siedemdziesiąt kilogramów!

- Dziękuję, pani Fax - powiedział Hastroll, zмирzając w stronę drzwi. - Jeśli można, chciałbym zapytać, co to za rzeźba, tam w rogu?

Fax odwróciła się i spojrziała na rzeźbę. Przedstawiała trzy małe kule umieszczone w otworze wyciętym w sporo większej kuli, która unosiła się w powietrzu i wydawała z siebie ciche brzęczenie. Była jedyną pracą, oprócz reprodukcji, świadczącą o jakimkolwiek talencie autora.

- No cóż, to wyrzeźbiła Alice - odpowiedziała Fax. Zakryła usta dłonią i rozplakała się. - Nazwalają *Głód*.

Hastroll poszedł do klasy, w której uczyła Alice. Wykres jej wagi wisiał przypięty do ściany, na lewo od tablicy. Tydzień po tygodniu wycięte z czerwonego kartonu słupki zapisywały jej postępy w ciągu całego roku.

powoli pięły się w górę (nad wykresem widniał napis: MOŻESZ OSIĄGNAĆ WSZYSTKO!). W jednym tygodniu pół kilograma, w kolejnym trzy i pół, potem dwa i półtora. Niezwykłe. W szufladzie jej biurka znalazł oprawione zdjęcie Pepinów obejmujących się na ławce w jakimś parku. Obydwoje niewątpliwie zakochani, Alice jeszcze bardzo gruba. Pośrodku szkło było pęknięte, jakby uderzone pięścią. Hastroll podniósł ramkę i przez chwilę się jej przyglądał. Potem zaczął grzebać w szufladzie.

- Czuję tu coś podejrzanego - usłyszał nagle. Podniósł wzrok. W drzwiach stała kobieta w stroju pielęgniarce. - Mam nosa do tych rzeczy. To jakaś bardzo podejrzana sprawa. Czuć to w całej klasie.

- Kim pani jest? - zapytał Hastroll.

- To ja powinnam pana o to zapytać.

Hastroll pokazał jej odznakę.

- Siostra Ritter - przedstawiła się. - Opiekuję się dziećmi w tej szkole. Oczywiście jeśli można uznać leczenie potworów za opiekę.

- Czy znała pani Alice Pepin ?

- Niezbyt dobrze, ale wystarczająco, żeby panu powiedzieć, że ta dziewczyna z całą pewnością nie popełniła samobójstwa - odparła.

Zamknęła drzwi i usiadła.

Hastroll postanowił jakoś wyciągnąć żonę z sypialni. Zaplanował, że spróbuje ją wywabić, a jak już stamtąd wyjdzie, on rzuci się do drzwi i zamknie je na klucz. Zastanawiał się tylko, jak. Pomyślał, że mógłby wpuścić do sypialni cały słoik ciem - Hannah nienawidziła zwierząt trzepoczących skrzydłami: gołębi, ciem, nietoperzy - skąd jednak wziąć aż taką chmarę?

Doszedł do wniosku, że pozbędzie się wszystkich mebli. Nie zamierzał ich sprzedawać, tylko oddać. Przez wiele lat Hannah starannie wybierała każdy nowy mebel do mieszkania.

- Lepiej wydać trochę więcej, niż kupić byle co i wystawić na ulicę po pięciu latach - powtarzała zawsze. (Och, ta jego zapobiegliwa żoneczka!) Wiele ze zgromadzonych w domu mebli miało dla niej wielką wartość sentymentalną, będzie więc zmuszona wstać z łóżka, żeby go powstrzymać. Zadzwoił do Armii Zbawienia.

- Mam dla was korzystną propozycję - oświadczył. Odmówili. Dokładniej mówiąc, nie mogli odebrać mebli wcześniej niż za tydzień, a kolejne siedem dni z Hannah w łóżku wydały mu się wiecznością.

TLR

- W takim razie oddam meble komuś innemu - skwitował ich odmowę i zatelefonował do Stowarzyszenia na rzecz Osób Upośledzonych. Odebrała właśnie taka osoba, przynajmniej sądząc po głosie.

- Chcę się pozbyć wszystkich mebli - oświadczył Hastroll.

- Rozumiem. Gdzie pan mieszka?

- W Greenwich Village.

- Przykro mi, ale nie jeździmy do Connecticut - powiedział rozmówca i się rozłączył.

- Do kogo dzwoniłeś? - krzyknęła Hannah z sypialni.

- Do nikogo! - wrzasnął w odpowiedzi.

- Oho! Ktoś tu ma kiepski humor.

Zadzwoił do składu konsygnacyjnego Finders Keepers, kiedy jednak wyliczył wszystko, co ma do zaoferowania - sofa, głęboki fotel, odbiornik telewizyjny, wieża stereofoniczna, srebrne platery, kieliszki, talerze, garnki i patelnie, cztery lampy, ekspres do kawy, kandelabr, biurko, komplet mebli stołowych, kredens, książki i maczeta - zapewniając głośno, że stan każdej z tych rzeczy jest idealny i że chce się ich pozbyć wszystkich naraz, odpowiedziano mu, że takich mebli i sprzętów mają aż nadto. Tę samą ofertę złożył następnie schroniskom dla bezdomnych i organizacji Boys & Girls of America, ale oni także nie chcieli niczego wziąć. W końcu pojechał do Alphabet City, podszedł do pierwszych zbirów, jakich udało mu się wypatrzyć, aresztował ich i wsadził do swojego auta, delikatnie przyciskając ich głowy, kiedy wsiadali do środka. Dopiero wtedy wyjaśnił im sytuację:

- Weźmiecie wszystkie moje meble, a ja zapłacę za transport. - I zawiózł ich do siebie.

Mężczyźni, Roscoe i Lee Browne, weszli do środka i się rozejrzeli.

- Lipa - zawyrokował Roscoe.

-Co lipa?.

- To podpucha. Normalna pułapka.

- Wygląda zbyt dobrze, żeby było prawdziwe - dorzucił Browne.

- Żadna pułapka - zaoponował Hastroll. - Nic tu nie wygląda za dobrze.

Robię to dla was z dobrego serca. Dobroczynność.

- A może my nie potrzebujemy wsparcia?

- Ale ja go potrzebuję.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie, pokiwali głowami ze współczuciem i syknęli głośno jednocześnie, jak na komendę.

- A może nie podobają nam się te twoje fanty? - stwierdził w końcu Browne.

- Proszę, weźcie to wszystko. Błagam was! Jeśli nie, to was aresztuję. Zaczęli wynosić meble na zewnątrz.

- Co się tam dzieje? - zapytała Hannah.

- Nic - odpowiedział. - Oddaję nasze meble.

- Ach tak - powiedziała.

- Właśnie tak. Wszystko stąd zniknie.

- Wszystko?

- Tak.

- Daj spokój, Ward. Żartujesz, prawda?

- Sama sprawdź.

W przerwie, która nastąpiła potem, podszedł do drzwi sypialni, gotując się do skoku.

- Nie muszę. Wierzę ci - stwierdziła.

Roscoe upuścił jej ulubioną lampę, która roztrzaskała się na kawałki. Browne sięgnął po namalowany przez Hannah obraz ogrodu różanego Hastrolla i też go upuścił, rozbijając ramę.

- Ciężko pracują, sądząc po odgłosach - krzyknęła.

- Nie uwierzysz. Są jak para złodziei.

- Słyszę, jak bardzo przybyło przestrzeni. Teraz głos się niesie jak po jaskini.

- Mieszkanie wygląda jak pusty pawilon.

- Tak samo jak wtedy, kiedy byliśmy młodzi.

- No właśnie, kiedy się pobraliśmy.

- Spałeś na materacu, a piłeś z pustych kubków po jogurtach. Hastroll się uśmiechnął, przyciskając dłoń do drzwi.

- Tak było - potwierdził.

- Ale miałeś bardzo czysto w łazience.

- Chodź tutaj i naciesz oczy tym widokiem. To jak podróż do przeszłości.

Łóżko zaskrzypiało. Serce Hastrolla zaczęło łomotać. Potem nastąpiła cisza.

- Zabrali kanapę? - odezwała się w końcu Hannah.

-Zabrali.

- A stół z jadalni?

Hastroll się skrzywił, kiedy wynosząc stół, mężczyźni zahaczyli o futrynę jedną z nóg.

- Już go nie ma.

- To musi tam być teraz bardziej przestronnie.

- Sama zobacz.

Sądząc, że słyszy jej kroki, Hastroll rzucił się do przodu.

- Nie, nie. Zostanę tu, gdzie jestem. Hastroll oparł czoło o drzwi.

Po mniej więcej minucie znów się odezwała:

- Ward?

- Co znowu?

- Dziękuję.

-Za co?

- Że się tego wszystkiego pozbyłeś.

- Dlaczego mi za to dziękujesz?

- Bo teraz nie będę musiała tego wszystkiego czyścić.

Dał mężczyznom po czterdzieści dolarów i kazał im wnieść wszystko z powrotem na górę.

- Tego samego dnia, kiedy zmarła Alice, wydarzyło się coś podejrzanego - powiedziała Hastrollowi siostra Ritter.

Była prawdziwym twardzielem z Brooklynu, jak Georgine Darcy, i czerpała z tego dumę. Niemal od razu pochwaliła się też, że jej ojciec gra na pozycji obrońcy w New York Giants. Choć siostra Ritter była drobna i niska, potrafiła usuwać przeszkody na swojej drodze z zacięciem futbolisty.

- David, jej mąż, pojawił się tu w szkole. Całkiem niespodziewanie, cały spocony i zdenerwowany. Był bardzo podniecony. Upierał się, że musi z nią porozmawiać. Natychmiast. Pewnie się pan zastanawia, skąd to wiem. Mój gabinet jest tuż obok klasy, w której uczyła Alice. Ale do rzeczy. Mieli straszną awanturę. Skakali sobie do gardeł jak pitbule w jakiejś piwnicy na Bronksie.

- Chce mi pani powiedzieć, że doszło do przemocy?

- Nie, to tylko przenośnia. Ale złapał ją za ramię.

- Słyszała pani, co mówili?

- Jeśli dobrze zrozumiałam, kłócili się o wakacje.

-Pamięta pani ich słowa?

- Pamiętam wszystko tak dokładnie jak to, co mi powiedział mąż w czasie nocy poślubnej po tym, jak się kochaliśmy po raz pierwszy.

- Proszę kontynuować - zachęcił ją Hastroll.

-Powiedział: „Chryste Panie, Thelmo, myślałem, że jesteś dziewicą!”

-Chodziło mi o Pepinów.

- Aha - mruknęła. - Mówili coś o wyjeździe do Australii. Żeby rzucić wszystko i pojechać jeszcze tamtego wieczoru. On zapewniał, że nie muszą nawet się pakować, a ona na to, że chyba oszalał. Ale potem, kiedy zaczęli się kłócić, ja poszłam po rozum do głowy. Dlaczego mąż ni z tego, ni z owego przychodzi do żony i chce, żeby z nim gdzieś wyjechała? Bo coś zmalował. On przed czymś uciekał, mówię panu!

Hastroll przeczyścił szkła swoich okularów.

- Co się stało po tej sprzeczce?

- Alice wypadła stamtąd jak burza, a on poszedł do samochodu. Siedział w nim, jakby chciał ją śledzić. Potem odebrał telefon i znów bardzo się zdenerwował.

- Czym się przejawiało to zdenerwowanie?

-Wiercił się nerwowo i rozglądał wokół. Jak właściciel kiosku, kiedy się przegląda jego gazety.

- Co było dalej?

- Dzieci wsiadły do autobusu, bo Alice zabierała je na wycieczkę. Ona też wsiadła i on ruszył zaraz za autobusem. A następnego dnia słyszę -tu jej głos się załamał - że Alice nie żyje.

Pokręciła głową.

- To bardzo podejrzana sprawa - stwierdziła, wycierając nos w chusteczkę. - Ja mam nosa do tych rzeczy.

Hastroll nie kochał się z żoną od pięciu miesięcy.

Owszem, wcześniej też się zdarzało, że żyli jak mnisi, teraz jednak pobili wszelkie rekordy. Tymczasem Hastroll miał coraz większą ochotę na seks. Przez krótki czas ratował się masturbacją, z zaskoczeniem odkrywając, z jaką biegłością potrafił to robić, oczywiście ukradkiem. Walił konia w łazience, używając kosztownej odżywki żony jako nawilżacza. Wytrysk lądował w muszli klozetowej, po czym Hastroll sikał, długo i z wysiłkiem,

nie bez bólu. Onanizował się także w łóżku, kilka sekund po tym, jak Hannah zasypiała: ze zsuniętymi slipkami i podciągniętymi do góry kolanami robił z kołdry wzniesienie, które nazywał prywatnym namiotem rozkoszy. Co dziwne, panoptikum fantazji nie zawierało gwiazd Hollywoodu - kim byłyby dla zwyczajnego detektywa? - lecz skupiał się na kobietach, które znał. Ostatnio zaczął sobie wyobrażać, że pieprzy Georgine Darcy i doprowadza ją do płaczu z rozkoszy. Punktem wyjścia dla jego wyobrażeń było zawsze przesłuchanie, które z nią przeprowadzał, a w ulubionej fantazji przychodził do domu i nakrywał tę dziewczkę na gorącym uczynku - okradała ich, wynosząc biżuterię Hannah. Kiedy wszedł do mieszkania, Darcy właśnie zamierzała się ulotnić.

- Co pani tu robi?

- No cóż, detektywie Hastroll. Przechodziłam tędy i pomyślałam, że zajdę, żeby panu powiedzieć o czymś podejrzanym, co sobie przypomniałam na temat Davida. Drzwi były otwarte, weszłam więc, zobaczyłam biżuterię pańskiej żony i postanowiłam ją przymierzyć. Teraz, jeśli pan pozwoli, już sobie pójdę.

Chwycił ją za ramię i cisnął na kanapę.

- Nigdzie nie pójdziesz!

Próbowała wstać, przez chwilę więc się siłowali. Znów rzucił ją na kanapę, a wtedy natychmiast mu stanął, co Georgine zauważyła w jednej chwili. Przyłożyła wierzch dłoni do czoła, zerkając na wielkie zgrubienie w jego rozporoku.

- Pomocy! - szepnęła i zrzuciła buty. - Policja! Ratunku! - Podniósł jej spódnicę i zobaczył - o Boże! - że ma podwiązki, ale nie nosi bielizny. Włosy podgoliła w idealny wąski klin: żółciutkie futerko, jak na blond noworodku.

- Policja! - krzyczała, kiedy w nią wchodził. - Policja!

- Ward? - krzyknęła Hannah z sypialni. - Nic ci nie jest?

Głos jego żony czynił cuda. Mógł sprawić, że zrobi się sztywny i twardy jak stal, ale też spowodować, że leżał zwiotczały jak pies, któremu pan kazał udawać zdechłego.

- Wszystko w porządku - zawołał, pośpiesznie naciągając majtki. Spuszczając wodę, stracił na podłogę pudełko z chusteczkami jednorazowymi.

Już wcześniej wyszedł z założenia, że w tym stanie Hannah ma gdzieś, co on robi ze swoim wackiem. Pewnej nocy jednak, pięć miesięcy od rozpoczęcia aresztu domowego, który sama na siebie nałożyła, przekreśliła się na bok.

- Ward? Nie śpisz? - zapytała.

- Nie - odpowiedział. Zastanawiał się nad sprawą Pepina.

Obydwoje czekali. Jej łóżko stało przy oknie. Nawet gdy żaluzje były opuszczone, dostrzegał zarys jej ciała. Leżała na plecach, mrużąc zachęcająco. Potem przesunęła dłońmi po jedwabiu halki - jej sutki wyraźnie sterczały - a następnie zjechała dłonią w dół, wsuwając palce do miejsca, o którego istnieniu Hastroll prawie już zapomniał. W półmroku jej ciało wyglądało jak sylwetki najpiękniejszych kobiet z czołówki filmów o Bondzie.

- Kochaj się ze mną - mruknęła namiętnie. - Och, Ward! Kochaj się ze mną, i to zaraz!

Wyskakując ze spodni od piżamy, wykonał akrobację na miarę Cirque du Soleil. Ale kiedy zaczął ściągać z niej halkę, powiedziała: „Zostaw!”, co podnieciło go jeszcze bardziej. Zatopił twarz w jej cipse z łapczywością podróżnika, który znalazł źródło wody na pustyni. Smakowała jak gorąca bułeczka skropiona sikami. Hannah złapała go za włosy i podciągnęła do góry, przyciągając jego twarz do swojej. Pocałowali się, po czym chwyciła jego kutasa - wydawał się gruby jak kij bejsbolowy Louisville Slugger - i wprowadziła go do środka. Kiedy wytrysnął (a doszedł bardzo szybko), poczuł się tak, jakby jego serce zamieniło się w płyn i wystrzeliło do jej macicy, przeniknęło jakoś przez przeponę, by żyłą główną dostać się do jej serca i otulić je cieniutką warstwą.

- Hannah, kocham cię - jęczał. - Kocham cię. Proszę. Zrobię wszystko. Będę lepszy. Powiedz mi tylko, czego chcesz.

- Och, Ward - jęknęła miękko. - Ty wciąż nie rozumiesz, o co chodzi. Potem już tylko czekała, żeby z niej zszedł.

- Mam coś, co chyba pana zainteresuje - oświadczył detektyw William Stacy.

Hastroll obrócił się twarzą do Stacy'ego, przy którego biurku stał jego partner Eddie Parker.

- Chodzi o tego Pepina - ciągnął Stacy. - Słyszałem; że pan i Sheppard interesujecie się sprawą samobójstwa jego żony. Prawie miesiąc temu do-

staliśmy wezwanie do jego mieszkania. Włamanie. - Rzucił Hastrollowi teczkę z aktami. - Tylko niczego nie ukradziono.

Hastroll przeczytał raport.

- To miało wszystkie znamiona upozorowanego włamania - stwierdził Stacy. - Coś takiego mógłby zorganizować mąż, zanim zabije żonę, żeby sprawić wrażenie, jakoby jacyś źli kolesie chcieli go okraść. Ustawka, ale bez przestępstwa. Mieszkanie było przewrócone do góry nogami...

- Wandalizm albo coś podobnego - wtrącił Parker.

- Na biurku leżały puste czeki, na toalecie biżuteria żony. Dosłownie wszędzie wały się jakieś wartościowe przedmioty. Sprawdziliśmy szafkę na lekarstwa w łazience. Kobieta miała cały słoik silnych środków przeciwbólowych oraz kilogramy leków antydepresyjnych. Ale z apteczki też nic nie zginęło.

- A oni jak zareagowali? - zainteresował się Hastroll. - To znaczy ona i jej mąż.

- Na włamanie? Byli oczywiście wstrząśnięci - odparł Parker.

- Powiedziałbym, że on zniósł to gorzej niż ona - dodał Stacy.

- Racja. Włamanie napędziło mu niezłego stracha.

Hastroll zastanowił się nad tym przez chwilę.

-Coś jeszcze?

- Tak. Włamywacz musiał być niezłe stuknięty. Zwalił sobie konia w ich łazience.

Hastroll przenosił wzrok z Parkera na Stacy'ego.

- Wzięliście próbkę spermy?

- Aż tak oddani służbie nie jesteśmy.

Tamci dwaj wybuchnęli śmiechem, a Hastroll odwrócił się do swojego biurka.

- Nie ma za co - rzucił Stacy.

Hastroll zdjął okulary i potarł oczy. Ten cały Pepin był winny jak jasna cholera. Winny, winny, winny! Ale wszystkie puzzle zostały tak porozrzucane, że kompletnie do siebie nie pasowały. Pokiwał głową i spojrzał na zegarek. Zbliżała się pora lunchu.

Sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Hannah. Po dziesięciu dzwonekach dotarło do niego, że właśnie dostał szansę. W mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach, a pędząc samochodem przez miasto, wystawił na dach koguta. Wyobrażał sobie, jak David wpada do ich mieszkania, sprawiając jej

niespodziankę. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy? Potem jednak dopadł go jeszcze inny pomysł.

Mieszkali przy Dziewiątej Zachodniej, ale zaparkował przy Ósmej i wszedł do budynku stojącego bezpośrednio za ich blokiem. Sforsował zamek na dole, wszedł na pierwsze piętro, przez chwilę się zastanawiał, które mieszkanie będzie właściwe, zapukał do wybranych drzwi i przystawił odznakę do wizjera. Do mieszkania wpuściła go pielęgniarka

- Jamajka ubrana na biało, która właśnie podawała obiad starszemu mężczyźnie na wózku. Facet miał na sobie niebieską piżamę i siedział z głową zwieszoną między ramionami, przez co kojarzył się z żółwiem, a jego łysina, pomarszczona szyja i cętkowana skóra potęgowały jeszcze to podobieństwo do gada. Spuchnięte półksiężycowate worki pod oczami odciągały dolne powieki, podkreślając oko czerwoną kreską, jakby przed chwilą płakał. Wózek inwalidzki stał przodem do wychodzącego na podwórze okna.

Hastroll podszedł i stanął obok niego. Hannah leżała w łóżku, jedząc lunch, który dla niej przygotował rano. Jakiś ptak głośno śpiewał. Przez chwilę Hastroll nie potrafił sobie uświadomić, jaki jest dzień tygodnia.

- O co chodzi, detektywie?

- Tamta kobieta może być w niebezpieczeństwie - powiedział Hastroll, wskazując na drugą stronę podwórza.

- O, nie! Co jej grozi? - zapytała pielęgniarka.

- Nie mogę tego ujawnić.

Mlasnęła językiem.

- Czy kiedykolwiek widziała pani, żeby tamta kobieta wstawała z łóżka? Czy ona kiedyś chodziła po mieszkaniu?

- Nigdy. Sądzę, że jest chora.

- Widziała pani kiedyś coś podejrzanego w tamtym mieszkaniu?

- Nie. Czasem tylko widuję jej męża.

- Zwróciła pani uwagę na cokolwiek dziwnego w jego zachowaniu? - kontynuował Hastroll, zastanawiając się, czy pielęgniarka go rozpoznała. Nic jednak na to nie wskazywało.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Codziennie podaje jej posiłki.

- Czy sprawiają wrażenie, że są w sobie zakochani?

To pytanie wyraźnie ją rozbawiło.

- Proszę pana! Kto by to stwierdził z takiej odległości?

Detektyw Sheppard domagał się pełnego sprawozdania o sprawie Pepina.

Drobiazgowy, arogancki i wyczulony na przestrzeganie procedur - krótko mówiąc, maniackalny zwolennik dyscypliny - partner Hastrolla przyprawiał go o gęsią skórkę. Do tego miał skrzeczący głos, wysoki i nosowy, całkiem niepasujący do tak wielkiego i wysportowanego faceta. Kiedy prowadzili sprawę związane z zabójstwem współmałżonka, Hastroll czuł się jeszcze bardziej niezręcznie przy omawianiu szczegółów.

-Cześć, Ward.

- Cześć, Sam.

Hastroll usiadł naprzeciw Shepparda. Obok pudełka, w którym partner trzymał fajkę, stało zdjęcie jego żony Marylin. Hastroll zastanawiał się zawsze, czy gdyby Hannah zmarła, postawiłby na biurku jej fotografię.

- Jak wygląda sprawa?

Hastroll powiedział Sheppardowi o romansie Pepina z Georgine Darcy. Wyjaśnił, że jeszcze się temu przygląda, wszystko jednak wskazuje, że ten skok w bok zakończył się na długo przed śmiercią Alice, nie nadaje się więc na potencjalny motyw. Zreferował przesłane z laboratorium wyniki badań próbek pobranych spod paznokci Pepina. Śladowe ilości orzechów znaleziono tylko na palcu wskazującym i serdecznym, a ślady ugryzienia u nasady każdego z palców pasowały do śladów zabezpieczonych na zwłokach jego żony, co w zasadzie potwierdzało wersję, że próbował udroźnić jej drogi oddechowe, ale równie dobrze mogły być efektem ugryzienia, gdy wpychał jej do gardła orzechy. Złamała ząb na palcu Pepina, prawy górny siekacz, ale odontolog, z którymi się konsultował, różnili się w ocenie przyczyn złamania: doktor Wendell Corey uważał, że linia pęknięcia świadczy o zastosowaniu siły (na przykład gdyby ktoś wpychał dłoń do ust ofiary), podczas gdy doktor Iphigenie Castelani uznała, że ząb się złamał, kiedy mąż denatki wyciągał palce z jej ust. Ślady soli i śliny na dłoniach Alice świadczyły raczej o samobójstwie. Ponadto jej odciski palców znaleziono na talerzyku, odcisków Pepina natomiast tam nie było. Według psychiatry, doktora Freda Grahama, zmarła od wielu lat cierpiała na depresję, ale podczas ostatniej sesji, którą odbyli cztery tygodnie przed jej śmiercią, Alice Pepin była szczęśliwsza i stabilniejsza niż kiedykolwiek, co

doktor Graham przypisał wyższej samoocenie po znacznej redukcji otyłości pacjentki. Hastroll ustalił jednak, że jeszcze po tej wizycie Alice kupowała leki przeciwdepresyjne.

Następnie Hastroll zameldował, że przegląda zapis kamer monitorujących Henry Hudson Parkway, West Side Highway oraz Muzeum Historii Naturalnej. Jeśli zaś idzie o finanse, to odkrył, że oprócz wspólnego rachunku każde z małżonków otworzyło własne konto w różnych bankach. Obydwoje wynajęli także skrytki pocztowe, na które przychodziły wyciągi z kart kredytowych oraz rachunków bankowych, nic jednak w tych dokumentach nie wskazywało, by mieli jakieś nadzwyczajne wydatki. Alice używała karty kredytowej, płacąc za terapię, usługi medyczne, lekarstwa związane z dietą, ubrania sportowe, treningi na siłowni oraz nowe ciuchy. Pepin natomiast pokrywał kartą wydatki związane z romanssem - hotele, prezenty i od czasu do czasu jakieś zabawki z sex shopu. Krótko mówiąc, małżonkowie nie różnili się od innych par w poprzednich śledztwach - kontynuowali związek mimo rozmaitych gierek, drobnych kłamstewek oraz zachowywali pozory, by wszystkim obserwatorom z zewnątrz wydawać się względnie udanym i szczęśliwym stadłem. Pepin nie mógł się spodziewać żadnych korzyści materialnych w związku ze śmiercią żony, zresztą nie brakowało mu pieniędzy, bo zarabiał znakomicie jako autor gier komputerowych. Należało więc wykluczyć motyw finansowy. Co ciekawe, Alice niedługo przed śmiercią wróciła do pracy po niemal rocznej nieobecności - co Hastroll potwierdził w administracji szkoły, w której pracowała, oraz w rozmowach z najbliższymi sąsiadami. W czasie przerwy w pracy odbyła dziewięciomiesięczną podróż dookoła świata. 13 września wyleciała z lotniska La Guardia do Londynu, a powróciła 13 czerwca samolotem z Melbourne w Australii. Pogodziła się z mężem i mieszkali razem przez ostatnie dwa miesiące, podczas których zdarzały im się małżeńskie sprzeczki, żadna jednak z nich nie zapowiadała tragicznego końca.

Hastroll był więc zdania, że w tej sprawie mają do czynienia z jakże rzadką i przerażającą sytuacją między mężem a żoną - wybuchem rzeczywistej albo emocjonalnej przemocy, do której doszło w domowym zaciszu. Śledztwo w takiej sprawie jest tak zawikłane, a dowody - równie głęboko ukryte, jak korytarze wydrążone w drewnie przez korniki. Tylko to z małżonków, które przeżyło, zna prawdę. Mówiąc te słowa, Hastroll nie patrzył na Shepparda.

Mimo to w sprawie Pepinów istniały dwa intrygujące tropy. Pierwszy - to prawdopodobnie upozorowane włamanie, którego Hastroll kompletnie nie rozumiał, drugi natomiast - telefony, które odbierał Pepin w ciągu kilku tygodni poprzedzających śmierć jego żony. Hastroll ustalił, że były to połączenia z automatu telefonicznego w budynku Time Warner przy Columbus Circle. Sąsiad Pepina, Rand Harper, był świadkiem ostatniej rozmowy, którą Pepin odbył z kimś, kto do niego stamtąd dzwonił. Emocje podczas tej rozmowy sięgnęły zenitu; dzień później Alice rozstała się z życiem.

Hastroll łapał się na tym, że zaczyna mu odpowiadać nowa relacja z żoną. Układ między nimi wyglądał jak ideał małżeństwa, przynajmniej ideał z męskiego punktu widzenia. Budził się rano obok niej, ale w osobnym łóżku, zwykle kilka minut wcześniej, potem szedł do kuchni zrobić kawę. Odkąd sama na siebie nałożyła ten sypialniany areszt, piła kawę z mlekiem i cukrem; po pięciu miesiącach Hastroll pomyślał, że białych kryształków w pojemniku ubywa z upływem czasu jak piasku w klepsydrze, i zaczął sobie wyobrażać, że cała ta słodycz przepływa przez ciało jego żony. Przynosił kubek do sypialni, czekał, aż Hannah usiądzie i poprawi poduszki na łóżku, dokładnie tak jak wcześniej, kiedy rano z niego wychodziła; potem leżeli każde osobno, gawędząc przez chwilę. Po krótszym lub dłuższym czasie, zależnie od zaplanowanego na dany dzień rozkładu zajęć, uprzejmie kończył rozmowę i szedł pod prysznic. Zanim Hannah się uwieźliła w domu, rankiem o łazienkę toczyli zawsze boje - chodziło o czas spędzony na sedesie, a także przed lustrem, żeby się ogolić czy podregulować brwi. Teraz Hastroll miał prysznic tylko dla siebie, mógł stać nad umywalką do woli, zwalić sobie konia, jeśli miał ochotę, i robić kupę w takim tempie, jakie go satysfakcjonowało. Przed wyjściem z domu całował Hannah w czoło, przynosząc jej śniadanie, dzbanek wody oraz kanapkę z szynką i serem na później. Dopiero wtedy szedł do komisariatu. Kiedy wracał do domu, czekał na niego włączony telewizor, talerze po śniadaniu i kanapce na podłodze oraz żona - niezmiennie w łóżku.

Przyzwyczyił się. Zaczął odkrywać dobre strony nowej sytuacji. Hannah na pewno by nie zaprzeczyła, że w niektórych sprawach przyjęte przez nią normy są dziwne, ponieważ narzucają jej samej pewne ograniczenia, do których Hastroll przez lata małżeństwa jakoś się dostosował. Potrzebowała

dużo snu - bitych ośmiu godzin - i trzymała się tego bez odstępstw; jeśli cokolwiek skróciło jej sen, wpadała w bardzo, bardzo zły nastrój. Jeśli położyła się zbyt późno, brakujący czas snu stanowił rewers, który z irytacją realizowała następnego dnia. Wieczorami wyprawiał się więc sam na późne seanse filmów, które właśnie wchodziły na ekrany; Hannah uczestniczyła wyłącznie w seansach popołudniowych, tylko w weekendy i pod warunkiem, że w filmie nie było scen przemocy. Teraz Hastroll miał wolną rękę i z satysfakcją stwierdził, że obejrzał nie tylko absolutnie wszystkie filmy, które chciał zobaczyć, ale też całkiem sporo produkcji niezależnych, a na dokładkę wiele cyfrowo przetworzonych pozycji klasycznych; po raz pierwszy w życiu czuł, że z kulturą jest na bieżąco. A gdyby jakimś cudem przy barze w hotelu Soho Grand, dokąd zachodził zawsze na koktajl po tych randkach z samym sobą, wdała się z nim w rozmowę jakaś piękna młoda kobieta (na przykład Irene Winston, kelnerka w koktajlbarze, która była kształt- niejszą i ponętniejszą wersją jego żony z czasów, zanim przykuła się do łóżka), umiałby z nią gawędzić jej językiem, ponieważ filmy stały się *lingua franca* młodych ludzi. I gdyby po tej pogawędce ta młoda kobieta zaproponowała, że zajmie miejsce jego żony, pozwalając się poderwać, a po jakimś czasie zaczęła go nakłaniać, by zabił żonę w sposób, który nie wzbudzi podejrzeń (oczywiście, niemożliwe), to zapewne by się nad tym zastanowił. Pod warunkiem, że jego relacje z innymi kobietami nie byłyby tak bardzo splątane z uczuciem do Hannah. Dlatego małżeńska niewierność - w jego przypadku życzeniowa, a nie rzeczywista - obracała się wokół trójkąta, będąc tym samym grzechem zaniechania raczej niż grzechem popełnionym. Zupełnie osobną kwestią był fakt, że Hastroll zacząłby jakikolwiek nowy związek tylko wtedy, gdyby miał całkowitą pewność (gwarancja na piśmie udzielona na wstępie znajomości), że ta młodsza, bardziej ponętna wersja Hannah nigdy nie skorzysta z łóżka w ich sypialni w taki sposób, w jaki zrobiła to Hannah (również niemożliwe, oczywiście). Zresztą była to kwestia czysto teoretyczna, ponieważ każda taka fantazja opierała się na założeniu, że zbierze się na odwagę, by zaczepić tę nową Hannah, a oczywiście zawsze mu brakowało śmiałości.

Przyzwyczał się. Hannah, przedtem wyjątkowo wybredna, jadła wszystko, co jej podawał, nawet brokuły, których nienawidziła, a które on uwielbiał za to, że są napakowane przeciwutleniaczami. Tak samo zarodki pszenne, których wcześniej nigdy nie pozwalała mu dodawać do jogurtu i

płatków, choć przekonywał, że są źródłem kwasu foliowego i przeciwdziałają deformacjom płodu, gdyby kiedykolwiek zdecydowali się na dzieci. („Dzieci? - zachnęła się kiedyś. - Ha!") Teraz natomiast zjadała wszystko do ostatniego kęsa jak grzeczna dziewczynka.

Przyzwyczał się. Po powrocie z pracy miał pełną kontrolę nad telewizorem w ich sypialni. Gdy mówiła: „Ward, czy możesz mi podać pilota? ", a potem, kiedy wyciągał rękę w stronę jej łóżka: „Nie sięgam", on wzruszał ramionami i dalej oglądał mecz tenisowy.

Przyzwyczał się. Nie musiał czyścić listew przypodłogowych ani odkurzać za kanapą. Kiedy naszła go ochota, mógł sikać pod prysznicem albo nie podnosząc deski, co zresztą zdarzało się bardzo często. Mógł włączać zmywarkę zaledwie z kilkoma talerzami i filiżankami. Mógł mieszać kolory z białymi. Mógł kupić psa, kota, dużą gadającą papugę, papużkę aleksandrettę albo rybkę akwariową. Terrarium z węzami. Myszkoczeki, chomiki lub myszki. Gdyby się znudził gryzoniami, mógłby nimi karmić węże. A gdyby stracił serce do węży, mógłby je wypuścić do nowojorskich ścieków, gdzie wyrosłyby na prawdziwe olbrzymy. Mógłby zamienić ich mieszkanie w Arkę Noego. I Hannah miałyby gówno do powiedzenia. Przecież leżała w łóżku, skąd niczego nie widziała. A czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Ale niczego takiego nie zrobił. Upajał się samą możliwością. W łóżku stała się jego chorą siostrą-matką, która zajęła miejsce żony.

Przyzwyczał się. Spodobała mu się rutyna, z jaką przebiegało teraz ich pożycie seksualne. Był to seks bez oczekiwania wzajemności, seks tylko dla niego, jak z prostytutką. Lubił wchodzić do jej łóżka, gdy już spała. Zwłaszcza jeśli wcześniej piła. Choć było to perwersyjne, kompletnie chore, kładł się obok Hannah pogrążonej głęboko w fazie REM, upojonej snami i winem, żeby dotykać jej piersi. Mruczała wtedy jego imię, czasem imię kogoś innego, a czasem dziwaczne słowa płynące wprost ze wspomnień i fantasmagorii. Jęczała, kiedy wkładał jej do środka palce, choć może jęczałaby i bez tego. Zdejmował spodnie od pizamy, po czym kładł jej dłoń na swoim kutasie, którego gładziła czule, zupełnie jak automat, jak dziecko, które zaczyna ssać w chwili, gdy poczuje w ustach sutek matki. Rozkładał jej nogi, kładł dłonie na jej dupie, rozchylając ją jak najszerszej - była zawsze idealnie wilgotna - i jebał własną na wpół przytomną żonę. Sprawiało mu to wielką satysfakcję. Czasem mamrotała jeszcze coś nie-

wyraźnie pod nosem po tym, jak się spuścił, a czasem zapadała znów w sen, powracając do przerwanych tylko na chwilę sennych marzeń; bardzo rzadko się budziła, prosząc o więcej. Mówił jej wtedy: „Śpij!” i spała. Bywało też i tak, że następnego ranka sprawiała wrażenie speszzonej. „Czy my się kochaliśmy tej nocy?” - pytała. Albo mówił jej prawdę, albo kłamał, zaprzeczając po to tylko, żeby sprawdzić, czy naprawdę spała. A jeśli i on wieczorem sporo wypił, na jej pytanie odpowiadał, że też nie pamięta, co zresztą dość często było prawdą.

Robił, co chciał. Jeśli miał ochotę odpocząć od atmosfery panującej w domu, schodził na dół, żeby pielęgnować swoje róże. Rabata była dość duża, by pogrzebać pod nią dwie osoby ułożone wzdłuż, jedna za drugą. Nawożenie, podcinanie i podlewanie kwiatów stanowiło dla niego terapię, podobnie jak bujne kolory strzelającego w niebo piękna, będące nagrodą za pracę w ogrodzie. Od czasu do czasu przynosił ścięte kwiaty do domu, a najpiękniejszy z nich kładł przy talerzu, na którym podawał Hannah śniadanie albo obiad. To jednak najwyraźniej doprowadzało ją do wściekłości bardziej niż wszelkie inne jego gesty: ciskała w niego różą, przeklinając go ze wszystkich sił. Bardzo lubił te chwile w ich nowym pożyciu, ponieważ obrzucała j go słowami pozbawionymi siły, skoro nie mogła wstać, czyniąc z nich gderanie inwalidy. Odwracał się wtedy, wychodził z sypialni i zamykał za sobą drzwi.

To prawda, brakowało mu jej, kiedy bywał gdzieś w świecie zewnętrznym. Zwłaszcza gdy sobie przypominał, jak kiedyś brała go za rękę albo obejmowała go w pasie, stojąc za nim, albo szeptała do ucha, jakie ma plany na później. Teraz jednak zawsze wiedział, gdzie jest: w łóżku. Ale czasem po jego: „Już wróciłem!”, gotowaniu obiadu, jedzeniu obiadu i pytaniu: „Jak ci smakowało?”, po zmywaniu naczyń, wycieczce do lodówki oraz plusku whisky opadającej na kostki lodu, kiedy zasiadał w ulubionym fotelu, ogarniała go tęsknota za tą Hannah, której kompletnie nie rozumiał. Była to tęsknota nie tylko za kobietą, którą poślubił, ale też za czasem, kiedy codzienność go nie przytłaczała, pochylając ramiona i usztywniając mięśnie karku. Przypuszczał, że to tęsknota za młodością, choć sprawa była bardziej skomplikowana i dotyczyła stanu umysłu, którego dawno już nie pamiętał. Tęsknota alzheimera: dezorientująca, ulotna, bezpowrotnie stracona. To uczucie, podobne do sytuacji, gdy ktoś wpada na nas w zatłó-

czonym wagonie metra, było czymś zupełnie nieoczekiwanym i wyjątkowo nieprzyjemnym.

Była to tęsknota za emocjami, których doznawał, kiedy się pokochali. Zastanawiał się, czy tak właśnie wygląda starość.

Tylko jedno mu nie odpowiadało w tym nowym układzie, do którego się przyzwyczaił. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądało ich życie przedtem. Z całych sił próbował, ale pamięć go zawodziła. Pamiętał różne sytuacje, w których bywali razem, wydawały mu się jednak odgrywane przez postacie filmu oglądanego bez dźwięku albo jak szare cienie w cudzym śnie. Pamiętał oczywiście długą podróż z Nowego Jorku do Knoxville, w którą się wybrali, by odwiedzić jej rodziców - dwanaście godzin jazdy samochodem za jednym zamachem - ale nie umiał odtworzyć swoich uczuć do niej ani wrażeń, jakie wywierała na nim ich rozmowa podczas tamtej podróży. Zapomniał, jak to było, kiedy z podnieceniem obserwował, jak poruszała wargami. Pamiętał też ich podróż poślubną na Kiawah Island, jak godzinami chodzili, trzymając się za ręce, po szerokich i płaskich plażach. Jej dłoń zawsze pozostawała sucha w jego dłoni. Pamiętał romantyczny widok kutrów krewetkowych z rozpostartymi ramionami ciągnących sieci wzdłuż brzegu i rozmowę z Hannah, podczas której snuli plany, że kupią taki kuter i będą na nim wieść idealne wspólne życie. Ale zupełnie nie wiedział, co Hannah wówczas czuła, choć na pewno mu o tym mówiła. Za nic nie potrafił też sobie przypomnieć, co on czuł, kochając się z nią wtedy, kiedy jej ciało było takie nowe i tak bardzo pożądane. Choć oczywiście wiedział, że kiedyś takie było.

Od jakiegoś już czasu bezskutecznie starał się przypomnieć sobie jakiegokolwiek wypowiedziane przez nią kiedyś słowa.

Nie mógł się nadziwić, że wspomnienia o ludziach tak się zacierają w pamięci.

Była tylko Hannah w łóżku.

Hannah w łóżku.

Hannah.

Wymawiał jej imię raz, potem drugi, od początku i od końca, skutek był jednak zawsze ten sam. To imię było kiedyś jak bicie serca; teraz także, bo podobnie jak bicia własnego serca nie dało się go usłyszeć. Samo się zatarło. Przepadło jak przedmiot w rękach iluzjonisty, który na oczach wszystkich widzów uczynił go niewidocznym. Hannah sprawiła, że ich wspólne życie zniknęło.

Niespodziewanie do Hastrolla zadzwoniła Georgine Darcy.

- Chciałabym się z panem spotkać. Prywatnie, jeśli to możliwe.

- Umówmy się w hotelu Soho Grand, w barze.

Usiedli w jednym z boksów, zabudowanych i raczej mrocznych, za to dających poczucie bezpieczeństwa. Darcy zamówiła martini, wypiła i poprosiła o kolejne. Czekać na nie, trzęsącą się ręką przypaliła papierosa.

- Proszę mnie aresztować - powiedziała. Strząsnęła popiół z papierosa tak, jakby strącała owoce z gałęzi. - Zawsze wybieram niewłaściwych mężczyzn. Gdybym podchodziła do sprawy z humorem, powiedziałabym, że mam do tego talent. Ale to nie talent. Mam to coś w środku. Jakbym emitowała fale o takiej częstotliwości, na którą reaguje wyłącznie określony typ mężczyzny. Chore w tym wszystkim jest to, że zawsze sobie powtarzam, żeby szukać w facetach określonych cech, odwrotności tego, co przyciągam, ale wszystko na nic. Ci, którzy mnie kochają, są dla mnie odpychający. Ci, bez których nie potrafię żyć, nie odwzajemniają mojej miłości.

Hastroll milczał.

W końcu znów się odezwała:

- Czy potrafi pan to wyjaśnić, detektywie? Wyobrażam sobie, że w pańskim fachu sporo się o tych sprawach wie.

Patrząc na swoje duże dłonie leżące na stoliku, pomyślał, że daleko mu do eksperta w tych sprawach.

- Serce jest w połowie przestępcą - powiedział. - Trzeba po prostu uważać. Mieć oczy otwarte. Wystarczy dobrze się przyjrzeć tej przestępczej połowie, żeby dokonać identyfikacji.

Darcy zapaliła kolejnego papierosa.

- I co się robi potem?

Hastroll wzruszył ramionami.

- Potem trzeba się oddać w ręce policji. - Spojrzał na zegarek. - Czy pani ma mi coś do powiedzenia, pani Darcy?

- Chciałam panu dać to - odparła, przesuwając po blacie grubą na dobre kilka centymetrów kopertę. - Pomyślałam, że powinien pan to przestudować.

Scyzorykiem rozciął kopertę i wyjął z niej plik luźnych kartek.

- To książka Davida. Dał mi ją do przeczytania, zanim zerwaliśmy. Nie muszę chyba dodawać, że potem specjalnie nie paliłam się do lektury. Ale w ubiegłym tygodniu David zadzwonił i prosił, żebym mu ją oddała. To się zaciekawiałam. Moją uwagę przykuły już pierwsze linijki tekstu.

„W pierwszych fantazjach na temat śmierci żony David Pepin nie zabijał jej sam. Wyobraził sobie korzystne zrządzenie Opatrzności”.

W końcu sytuacja między Wardem a Hannah osiągnęła punkt krytyczny-

Po pracy zwykle szedł prosto do domu, ale był piątkowy wieczór, a on miał za sobą ciężki tydzień, chciał się więc odprężyć. Obejrzał wszystkie filmy, czyli kino nie wchodziło w grę. Myślał, żeby się wybrać na jakiś koncert, zawsze wolał jednak rozważać możliwość słuchania muzyki, niż jej rzeczywiście słuchać. Przyszło mu też do głowy, że dobrze byłoby zjeść kolację z przyjaciółmi, ale on i Hannah nie mieli przyjaciół. Zresztą nawet gdyby mieli - jak wytłumaczyłby jej nieobecność? Poszedł więc do hotelu Soho Grand, usiadł w barze wśród innych samotnych mężczyzn - była ich pełna sala - i przez chwilę się zastanawiał, czy ich żony też nie wstają z łóżka.

Wypił cztery drinki i poszedł do domu.

Hannah położyła się do łóżka w maju, teraz był wrzesień i Hastroll mimowolnie zauważył, że jesienią, wraz ze zmianą pogody, światła w mieście zaczynają świecić jaśniej niż o którejkolwiek porze roku, że w te

zimne przejrzyste noce wszystkie kształty zabójczo się wyostrajają i że po co, na litość boską, oni mają to dalej ciągnąć?

Przeszukał własny umysł i serce, starając się znaleźć powód, dla którego Hannah sama się internowała, ale i tym razem, podobnie jak zawsze poprzednio, nie miał pojęcia. I nagle przyszło mu do głowy, jak ją wyciągnąć z łóżka. Jedyne, czego dotychczas nie próbował, to zapytanie jej wprost.

Owszem, błagał ją o to wiele razy, choć nigdy nie powiedział dokładnie, żeby wyszła w końcu z tego łóżka. Tym razem, obiecywał sobie, będzie inaczej. Wykorzysta cudowny trik odkryły podczas którejś kłótni, możliwy - jak sobie wyobrażał - tylko między ludźmi, którzy są ze sobą dość długo, by znać na pamięć wzajemne żale. Po kilku latach małżeństwa, kiedy pewnej nocy ich spór zaczął się wymykać spod kontroli, powiedział jej: „Przestańmy już, Hannah. Kocham cię i nie chcę się z tobą kłócić”. Przeszli natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, po czym padli sobie w objęcia. Potem zachowywali się tak, jakby ta kłótnia była drobnym incydentem niezakłócającym wspaniałego wieczoru. Puścili wszystko w niepamięć. Gra skończona. Ponowne uruchomienie systemu.

Miłość.

Był wstawiony - pijany, uczciwie mówiąc - ale niezachwianie wierzył, że Hannah wstanie z łóżka, jak tylko on wejdzie do sypialni, emanując dostatecznie silną pozytywną energią, i zachęcającym głosem powie: „No już, Hannah, wstawaj, szybciotko! Mam szampana, ser i krakersy. Przegryziemy coś przedziutko, potem się wyszykujesz i gdzieś się wybierzemy”. Był pewien, że Hannah potraktuje jego entuzjazm jak afatyk, reagując nie na słowa, lecz na wyraz radości na jego twarzy. Wstanie z łóżka, zanim się zorientuje, że to zrobiła. Kluczowy miał się okazać element zaskoczenia. Pokonają swoim entuzjazmem! Hastroll był tak pewien swojego planu, że zaszedł do sklepu monopolowego po butelkę szampana, a potem do spożywczego po ser brie (ulubiony przez Hannah) i pudełko krakersów Carr's. Wierzył, że uda mu się - mówiąc językiem oprychów, których nieraz aresztował - postawić sprawy do pionu.

Kiedy wszedł do domu, wszystkie światła były wygaszone.

Oczywiście zbiło go to z tropu, niezrażony przeszedł jednak przez salon, po omacku omijając meble, i znalazł drzwi do sypialni.

Otwarte. Wewnątrz dostrzegł sylwetkę żony pociętą paskami świ tła wpadającego przez żaluzje. Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi ramionami.

- No już, Hannah wstawaj, szybciotko! - powiedział, stukając w przełącznik kontaktu. Na nic. Żarówka się przepaliła.

- Nie ma światła - stwierdziła.

Poczuł, jakby walnęła go pięścią w brzuch.

- Telewizor też nie działa. - Trzykrotnie, raz za razem, nacisnęła przycisk pilota, demonstrując prawdziwość swoich słów. - Myślałam, że wyłączyli prąd, ale słyszę telewizor sąsiadów na górze.

Papierowa torba z zakupami zrobiła się nagle nieznacznie ciężka. Odstawił ją.

- Zmieniłam nawet baterie w pilocie. - Otworzyła szufladę, w której zawsze pełno było zapasowych paluszków Duracell. - Chyba za dużo oglądałam.

Hastroll opadł na swoje łóżko.

- Zbyt często używałam telewizora i go wykończyłam - stwierdziła ze smutkiem.

Westchnął przeciągle.

- Co jest w tej torbie? - spytała z zainteresowaniem.

- Szampan - odpowiedział. Musiał zajrzeć do środka, żeby przypomnieć sobie resztę zakupów. - Brie. Krakery.

- Aha.

- Chcesz trochę? - zapytał.

. Przez chwilę wpatrywała się w ciemność, po czym oparła się na poduszkach.

- Nie, chyba nie chcę.

- Myślałem, że... - zaczął, ale zamilkł. Podrapał się po głowie, która zrobiła się teraz tak ciężka, że opuścił podbródek do piersi. - Myślałem, że jeśli tu przyjdę z szampanem, zakąskami i mnóstwem entuzjazmu, to wstaniesz i wyjdiesz ze mną - dokończył, zwracając się do własnych kolan.

- Wyjdę? - zaśmiała się. - Niby dokąd?

- Na zewnątrz - odparł. - Do świata. Ale wystarczyłoby nawet do salonu.

- Ach tak? - rzuciła.

- Przyglądał się, jak upiorny zarys jej sylwetki wygląda kohj|\$.

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego? - zapytał, podnosząc głowę.

Wzruszyła ramionami, trzymając je przez chwilę w górze, i znów opuściła.

- To nie wystarczy - stwierdziła.

Powiedziała to, jakby była dzieckiem.

Hastroll wstał z łóżka i pochylił się, opierając dłonie na kolanach. Twarz zbliżył do jej twarzy.

- To nie wystarczy? - powtórzył.

Skrzywiła się.

- Przykro mi - powiedziała.

Miał ochotę zdzielić ją pięścią w twarz, ale się powstrzymał.

- To nie wystarczy! - wrzasnął.

Przestała na niego patrzeć. W milczeniu przeniosła wzrok na okno.

- Słyszysz mnie?j

Ani drgnęła.

- Czy tak już będzie zawsze? Przystaniesz się nawet do mnie odzywać?

.Milczała.,

- Ty... ty jebana s u k o !

Chwycił torbę z zakupami i wyszedł z sypialni, trzaskając drzwiami tak głośno, że całe mieszkanie się zatrzęsło.

- Jebana suko! - wrzeszczał dalej. - Słyszysz mnie?! Ty jebana, przykuta do łóżka, dziecinna suko! - Włączył wszystkie światła i podciągnął rolety. - Siedź po ciemku, suko! - Poszedł do kuchni, wyjął z szafki dwie kryształowe szampanki Waterford, które dostali w prezencie ślubnym od jej rodziców, wziął ten kieliszek, który podałby jej, i z całej siły cisnął nim o podłogę. Kieliszek rozprysnął się na kawałki. - Masz swoje szkło, ty suko z odleżynami na dupie! - Otworzył szampana, spił pianę z szyjki, nalał sobie do kieliszka i wypił. Nalał ponownie i także opróżnił do dna. - Masz swojego szampana, suko! - Wyjął ser z pudełka, odgryzł kawałek razem ze skórką, po czym ułożył pięć krakersów jeden obok drugiego na kredensie i po kolei miażdżył je pięścią, krzycząc: - Suka! Suka! Suka! Suka! Suka!

Wypił szampana jak wodę sodową, pustą butelkę rozbił w zlewomywaku i zaczął rozmowę z żoną.

Właściwie była to rozmowa na przemian z nią i z samym sobą - podobna do tej, którą wiecie samotny kierowca, siedzący za kółkiem od wielu godzin; głośne myślenie, dzięki któremu można się lepiej skupić; monolog, który trąci melodramatem. Tylko oni dwoje mogli zrozumieć to, co mówił. Tylko oni. Jakby posługiwał się obcym językiem złożonym z aluzji do ich wspólnego życia. Głos Hastrolla brzmiał, jakby rozmawiał z kimś przez telefon, a słowa dobierał mroczne i niewybredne.

- Ty się nie zagłębiasz, o nie! Mówisz po prostu: „Niech się rozpuści”. A widziałaś kiedykolwiek, żeby się rozpuściło? Mówisz, że musimy to albo musimy tamto, tylko że „my” - to znaczy „ja”, a „ja” potrzebuje „my”. Że niby co, że mam przełknąć dumę? Powiedziałaś „przełknąć”? Powtórz. Ach, przełknąć? Przykro mi, ale nie mam pojęcia, co to znaczy.

Hastroll poczuł, że musi się napić. Poszedł do barku, nalał sobie sporo drinka do szklanki i usiadł w ulubionym fotelu, myśląc, że nazajutrz dopadnie go gigantyczny kac, ale teraz już za późno, żeby temu zapobiec. Owszem, mógłby wypić dużo wody, wziąć witaminę C z aspiryną, połknąć witaminę B, objeść się pizzą, hamburgerem albo skrzydełkami kurczaka, oczywiście z frytkami - ale nic by to nie pomogło. Po przekroczeniu pewnej granicy upojenia alkoholowego nie ma już powrotu. Jak po popełnieniu morderstwa.

Sięgnął po telefon, wybrał numer, z którym tak często łączył się Pepin ze swojej komórki, po usłyszeniu sygnału pagera wklepał numer swojego telefonu i czekał - całą wieczność, jak mu się wydawało. Czuł się kompletnie wyczerpany. Odchylił głowę do tyłu. Gapił się w sufit tak długo, aż sobie wyobraził, że sufit to podłoga - idealna, po której nikt nigdy nie chodził. Potem wyobraził sobie, jak on sam porusza się po mieszkaniu, chodząc po tej podłodze na suficie, patrząc na swoją żonę z góry i bez trudu wysypując sól z solniczki na talerz. Potem, ku jego wielkiemu zdziwieniu, ktoś odzwonił. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Kto mówi? - zapytał męski głos w słuchawce, wysoki i złowrogi.

Obydwaj czekali.

- Przedstaw się pierwszy - nalegał głos.

- Detektyw Hastroll.;

- Nigdy o tobie nie słyszałem.
- Teraz twoja kolej.
- Nie podaję nazwiska obcym.

Hastroll słyszał w tle syrenę, przeciągłe zawodzenie. Odezwał się grzmot - to za jego oknem. Nadciągała burza.

- Chcesz ode mnie czegoś? - zapytał głos.
- Tak.
- Czego?
- Potwierdzenia.
- Słucham.
- Wyznania winy.
- Dalej.
- Zabiłeś
- Kogo?

- Alice Pepin. On cię wynajął, mam rację?

Głos zaśmiał się po szelmowsku.

- Ona sama się zabiła - powiedział w końcu.
- Nie wierzę!
- Żadnych winnych. Idealna sytuacja.
- Powiedz mi to prosto w oczy.
- Jesteś pijanym głupcem.
- Przysięgam, że cię znajdę.
- Samotnym, tłustym kretyńcem!
- Spotkajmy się teraz. Chcę cię zobaczyć.
- Proszę, proszę! - odezwała się Hannah.

Ku wielkiemu zdziwieniu Hastrolla Hannah stała w halce naprzeciw niego. Widok żony w salonie tak go zadziwił, że z kliknięciem opadła mu szczeka. Hannah pochyliła się trochę do przodu, niepewnie trzymając się na nogach.

Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się ona. .

- To twoja kochanka? - zapytała. Delikatnie odłożył słuchawkę telefonu.
- Wypełnia ci wolny czas, zapewniając troskliwą opiekę?
- Jesteś śmieszna.

Podniósł się i ruszył w jej stronę. Zaczęła się cofać, jakby przestrzeń między nimi była niewidzialnym przedmiotem, który ją wpycha do sypialni z każdym jego krokiem. Miał dziwne uczucie, jak zawsze, kiedy się kłócili.

Domyślał się, że po części musi to być wstyd, bo przecież sąsiedzi wszystko słyszą. Nie mógł się też jednak pozbyć wrażenia, że ktoś ich podgląda.

- Wiedziałaś, że nie wytrzymasz - oświadczyła. - Byłam wręcz pewna, że się załamiesz.

- Co ty wygadujesz, Hannah!

- W zdrowiu i w chorobie. I że cię nie opuszczę aż do śmierci. Śmiechu warte!

- Kochanie, proszę cię!

- Jakbym ja też nie była samotna. Ale ty myślisz tylko o sobie. Że niby tylko ty czujesz się samotny!

- To nieprawda!

- Co to za jedna? Jak ma na imię?

- Nie ma żadnej innej! - zapewnił. Nie mógł jednak się powstrzymać od uśmiechu, kiedy pomyślał o tej drugiej Hannah.

- Uśmiechasz się!

Mógł odgrywać złego gliniarza przed najtwardszymi kryminalistami, potrafił zachować twarz pokerzysty, blefując podczas przesłuchiwania najgorszych śmieci, kiedy jednak próbował ukrywać coś przed żoną, kłamstwo było tak samo widoczne jak stojący chuj faceta w piżamie.

- Wcale się nie uśmiecham! - jęknął. Ale prawdę mówiąc, był bliski śmiechu.

- Czy ona zajmie się wszystkim, czego ja nie robię? Ją też wybebeszysz? Pozbawisz wszystkiego, ty zatwardziały skurwysynu?

Powiedziawszy to, Hannah opadła na łóżko i zaczęła płakać.

- Dość już tego - stwierdził. Ruszył do drzwi, potem jednak się zatrzymał, odwrócił, spojrzał na jej plecy, które dygotały jakby z zimna i podszedł, żeby dotknąć jej ramienia. Nie pamiętał potem, czy chciał ją pogłaskać, czy też miał jakiś inny zamiar. Okręciła się szybko, odtrącając jego rękę.

- Nie! - krzyknęła.

Impet ciosu pchnął go na szafkę nocną. Szklanka z wodą spadła na podłogę i rozbiła się. Poczul ból ogarniający jego rękę: jej pierścionek z brylantem rozciął mu dłoń.

Otoczony ciemnością Hastroll wpadł we wściekłość.

- Dość już tego! - jęknął. Cudownie było użyć całej siły, przycisnąć jej twarz z impetem wszystkich ciosów, o które od dawna aż się prosiła, na-

ciskać środek poduszki bez najmniejszego poczucia wstydu. (Kazirodztwo nie jest największym tabu dla mężczyzny; jest nim uderzenie kobiety). Wierzyła, broniąc się przed nim, jakby chciała zrobić mostek, a jej pięści okładały go bezładnie. Hastroll uprzytomnił sobie - nie w tej konkretnej chwili, ale w ciągu koszmarnych późniejszych godzin - że w akcie morderstwa istnieje punkt krytyczny, możliwy do przekroczenia tylko dzięki dyscyplinie i determinacji, który - podobnie jak każde zadanie wykonywane bez wcześniejszych prób (choćby nauka jakiejś dyscypliny sportu albo pisanie książki) - uniemożliwia poznanie kolejnych etapów, przewidzenie czynności niezbędnych do jego ukończenia oraz zaplanowanie czasu, który jest do tego konieczny (w sekundach, minutach bądź latach). Wszystko to okazuje się dopiero po dokonaniu czynu. Musiał docisnąć kolanem jej pierś, kiedy wbiła paznokcie w jego dłonie, którymi dociskał poduszkę. Jego zęby gryzły aż do kości, kiedy wtykała mu palce w usta i nos. Ostatni przypływ adrenaliny pozwolił jej jakoś oderwać poduszkę od twarzy.

- Ward... proszę...

Zdołał jednak ponownie przycisnąć poduszkę. Nad miastem przetaczała się burza. Grzmoty, błyskawice i deszcz tłukący o szyby, obmywający cegły w ścianach budynku, karmiący hodowane przez Hastrolla róże, przelewający się w rynnach i zalewający potokami kanały ściekowe - wszystko to wyzwalало w nim dodatkową energię - zatykał jej nos i usta, tłumiąc krzyk. Kiedy straciła siłę, jej ciosy stały się bezładne i słabe, niemal zmysłowe, aż wreszcie zastygła w bezruchu, jak ktoś, kto dopiero zasnął.

Odsunął się od niej, stanął kilka kroków od łóżka i patrzył.

Zamiast głowy miała poduszkę, a wokół jej nóg okręciło się prześcieradło. W ciemności nie sposób było odróżnić halkę od pościeli. Stała się częścią łóżka.

Teraz musiał się pozbyć ciała.

Później doszedł do wniosku, że był to skutek szoku, spowodowane traumą wyłączenie świadomości. Przywołał w pamięci sceny zbrodni widziane wcześniej, znalazł w domu odpowiednie narzędzia, nałożył worki foliowe na stopy, ręce zabezpieczył rękawicami lateksowymi, a głowę czepkiem kąpielowym Hannah, przeniósł zwłoki do wanny (dlaczego umarli za życia wydają się lżejsi?), po czym odciął piłą jej ręce przy ramionach, nogi przy biodrach i głowę przy szyi. Pracująca tarcza powodowała obrzydliwy smród, przypominający zapach unoszący się z denty-

stycznego wiertła zagłębiającego się w zębie. Pracował przy odkręconym prysznicu, żeby od razu spływała krew. Jej tors, pozbawiony rąk i nóg przy panewkach stawowych, był doskonały wszędzie tam, gdzie pozostał nie- tknięty - jak grecka rzeźba ulepiona z mięsa. Kończyny po odcięciu z ło- motem lądowały w wannie. Głuchy odgłos świadczący o ich wadze brzmiał tak, jakby sąsiad z góry stawiał na podłodze coś ciężkiego. Od gorącej wody z prysznicza zaparowały mu okulary. Zdjął je, żeby nic nie widzieć. Potem ją zapakował, układając poszczególne części ciała w walizce, jakby upychał pakunki do bagażnika samochodu. Potem niósł Hannah w ręku, idąc wzdłuż mrocznych ulic w kierunku rzeki, cały mokry nie od deszczu smagającego Manhattan (miał płaszcz i kapelusz), ale od potu, który spływał po jego ciele i wsiąkał w koszulę. Przy promenadzie wyrzucił zawartość walizki przez barierkę i przyglądał się, jak to, czego nie można już było nazwać Hannah, znika w ciemnej wodzie. Aż w końcu znalazł się znów w domu, usiadł w ulubionym hotelu i płakał, ponieważ zrozumiał, że ją zabił.

Obudził się.

W mieszkaniu było ciemno. Na jego kolanach leżał telefon.

Poszedł do sypialni. Hannah spała spokojnie. Natychmiast poczuł wielką ulgę i choć miał jeszcze wyrzuty sumienia z powodu kłótni, chciał wejść do jej łóżka, jak kiedyś, gdy byli młodzi.

- Miałem koszmary sen - pożalił jej się wtedy, a ona zapytała:

- Co ci się śniło? - Chociaż także wtedy był tylko prostym detektywem i nie miał widoków na cokolwiek innego, poczuł się najbogatszym męż- czyzną na ziemi. Spletli ręce i nogi, a po chwili zasnęli. Teraz jednak, ociekający potem, poszedł do łazienki, odkręcił kran, spryskał twarz, potem skrył ją w ręczniku. Po chwili podniósł głowę, spojrzał w lustro i przeraził się tym, co zobaczył.

A zobaczył mężczyznę, którym się stał, odkąd Hannah uwięziła się we własnym łóżku. Jego garnitur i koszula były pomięte, a krawat wysunął się spod marynarki. Tak niechlujni bywają tylko najwięksi desperaci. Przez te pięć miesięcy posiwiały mu włosy, przez co wyglądał o dziesięć lat starzej niż trzydziestopięcioletni mężczyzna, którym był w rzeczywistości. Skóra na twarzy zwiotczała, a pod ciężarem dodatkowej wagi kąciki ust opadły. Co gorsza, wydał się sobie równie pozbawiony uczuć jak zabójcy, których w swojej karierze przesłuchiwał. To uderzyło go najbardziej. Seryjni za- bójcy cierpią na specyficzny brak uczuć. Znać to po nich, zanim jeszcze się

usadowią w pokoju przesłuchań. W ich spojrzeniu jest coś nieprzeniknionego. Mają oczy obojętne jak rekin. Widząc ich, Hastroll dochodził do wniosku, że takim ludziom miłość jest obca.

Zwiesił głowę i gorzko zapłakał nad tym, co się stało z ich życiem.

Płakał, ponieważ był sam, schowany w najdalszym kącie mieszkania.

Płakał tak rozpaczliwie, że jego zawodzenie postronnemu słuchaczowi mogłoby się wydać śmiechem.

Płakał tak długo, aż cały zamienił się w płacz.

Wtedy w drzwiach stanęła Hannah.

Wyłoniła się z ciemności niczym z czarnego basenu. Jej widok, tak bardzo niespodziewany, przeraził go. Była zaspana i sprawiała wrażenie zdezorientowanej - jak wyrwane ze snu dziecko. Przez chwilę stała niepewnie, mrużąc oczy od światła, potem wyciągnęła rękę i pogładziła go po karku, jednocześnie się o niego opierając.

- Już dobrze. Już dobrze. - Dotyk jej dłoni poraził go jak prąd. Skrzywił się. Hannah była wiedźmą, która zgotowała mu to nieszczęście i tylko ona mogła go uratować, zdejmując zły urok, a teraz przyszła przywitać go w swojej norze. Uświadomiwszy sobie tę podwójną naturę własnej żony i wynikającą z niej siłę, Hastroll przestraszył się jeszcze bardziej.

- Co się stało? - zapytała.

- Nie zniosę tego dłużej.

Postąpiła o krok w jego stronę, a on zasłonił się przed nią.

- Czego nie zniesiesz, kochanie?

- Tego, że jakbyś nie istniała.

Delikatnie przesunęła dłoń po jego ramieniu i pochyliła się, przystawiając czoło do jego ucha, a potem trącając je nosem. Pachniała słodkimi perfumami, ale jej oddech obrzydliwie cuchnął.

- W końcu zrozumiałeś - powiedziała.

Detektywi Hastroll i Sheppard jakiś czas siedzieli przy kawiarnianym stoliku w księgarni Bordersa w budynku Time Warner. Obserwowali budkę telefoniczną.

- To chyba ostatnia, jaka została na Manhattanie - zauważył Sheppard, kiedy tam przyszli. Automat telefoniczny, z którego dzwoniło do Pepina, wisiał przy toaletach. - Najpierw dzwoniemy na pager do tego gościa.

- W porządku - zgodził się Hastroll.

- Potem czekamy, żeby sprawdzić, czy oddzwoni do nas z tej budki.

Hastroll sięgnął po telefon.

- Wtedy go aresztujemy.

- Takie rzeczy nie zdarzają się nawet w filmach - stwierdził Sheppard.

Połączywszy się z centralą przywoławczą, Hastroll wystukał numer telefonu, po czym się rozłączył.

Czekali długie godziny, odchodząc od stolika tylko do toalety albo po to, żeby coś przegryźć.

- Jak się ma Hannah? - zapytał w końcu Sheppard.

- Dobrze, dziękuję.

Detektywi poświęcili ten czas na lekturę maszynopisu powieści Pepina: Hastroll podawał przeczytane kartki Sheppardowi. Przyszło mu do głowy, że może powinien się podzielić wiadomością, że Hannah jest w ciąży, uznał jednak, że prędzej powiedziałyby o tym obcemu człowiekowi na ulicy niż swojemu partnerowi. Zwłaszcza nie jemu! P prędzej czy później sam to odkryje. Poza tym Hastroll uważał, że jeśli ktoś ma szczęście w miłości, chwalenie się tym zawsze brzmi jak przechwałki, nawet jeśli rozmówca jest wyjątkowo wielkoduszny.

Na lunch zjedli kanapki z wędzonym łososiem i creme fraiche, popijając dietetyczną colą. Mijały kolejne godziny, a telefon milczał. Hastroll miał przeczucie, że złapią podejrzanego. Wyobrażał sobie, jak wygląda człowiek, z którym przyjdzie im stanąć twarzą w twarz: ktoś chudy i łysy jak James Carville; afektowany, sepleniący, zarozumiały, może z trochę dziwną gębą, jak John Malkovich. Późnym popołudniem jakiś mężczyzna w końcu zatrzymał się przy budce, żeby skorzystać z telefonu. Hastroll wstał z miejsca, czując, jak wibruje telefon w jego kieszeni. Kiedy na niego spojrział, przypomniał sobie, że wyobrażenia o przestępcach i ich rysopisy tworzone na potrzeby śledztwa nigdy nie odpowiadają rzeczywistości.

Prawdziwy przestępca wygląda zwykle zupełnie inaczej. Z zaskoczeniem stwierdził, iż wygląd mężczyzny przy automacie telefonicznym potwierdza prawdziwość stwierdzenia, że zawsze stoimy tyłem do przyszłości.

Był bardzo niski - góra metr pięćdziesiąt, i to na obcasach. Miał na sobie sportową szarozieloną kurtkę i niebieskie džinsy. Brązowe włosy, obcięte krótko nad czołem i po bokach, zwisały na kark długimi, prostymi ko-

smykami. Jego czarne rozbiegane oczy przypominały matowe paciorki - zupełnie jak u myszokoczka. Mimo tak niewielkiego wzrostu był masywnie zbudowany - karłowaty siłacz albo zapaśnik. Znajdował się tak blisko ziemi, że trudno byłoby sprowadzić go do parteru.

- Przepraszam pana - zagadnął Hastroll, mając za plecami Shepparda. Mężczyzna odłożył słuchawkę i spojrzał do góry.

- Czego pan chce?

Hastroll pokazał mu odznakę.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- W jakiej sprawie?

.- W sprawie Alice Pepin.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Jej mąż twierdzi inaczej - odparował Hastroll.

- Interesujące - powiedział mężczyzna.

Kiedy Hastroll chwycił go za ramię, podejrzany rzucił go na ścianę chwytem aikido, następnie unieszkodliwił Shepparda podstępnie wyprawionym ciosem w krtani i rzucił się do ucieczki, zjeżdżając na parter po poręczy ruchomych schodów. Przebiegł przez hol, wypadł z budynku, przeciął Columbus Circle i zniknął w Central Parku. Hastroll biegał zaskakująco szybko jak na tak postawnego mężczyznę. Natychmiast puścił się w pościg, był jednak pewien, że Sheppard wezwał wsparcie. Niemal natychmiast w pobliżu rozległy się syreny policyjne. Mężczyzna gnał w stronę boisk piłkarskich, potem jednak schylił się pod ogrodzeniem i wpadł do tunelu. Hastroll trzymał się tuż za nim. W środku ścigany nagle się zatrzymał, odwrócił, stając gotowy do walki na szeroko rozstawionych nogach i trzymając w dłoni nóż motylkowy, który otworzył z tyloma rytualnymi gestami, że Hastroll miał czas się pochylić i złapać oddech. Zabezpieczywszy ostrze, mężczyzna zaczął ciąć powietrze między nimi, szatkując je i siekając ciosami karate z nieprawdopodobną sprawnością. Kręcił się jak wirujący derwisz, wyprowadzając kopnięcia z półobrotu tak szybko, że podczas każdego powietrze furczało, jakby ktoś się zamachnął kijem bejsbolowym. Ten osobliwy taniec śmierci zakończył krótkim warknięciem. Stał, rękę z nożem trzymając nad głową, drugą zaś wyciągając przed siebie z dłonią podniesioną tak, jakby nakazywał Hastrollowi, żeby się zatrzymał.

- Zaszlachtuję cię jak świnie - zagroził.

Hastroll sięgnął do kieszeni po składany nóż, zmienił jednak zdanie i wyjął pistolet. Strzałem wytrącił nóż z ręki mężczyzny, po czym na dokładkę opróżnił magazynek, umieszczając po kilka kul w każdym z jego kolan.

- Stój, bo strzelam - powiedział chwilę potem.

Później Hastroll obserwował przez lustro fenickie, jak Sheppard siada naprzeciwko Pepina i zapala fajkę. Dwa razy pyknął, wyjął spod pachy teczkę Pepina, wyciągnął z niej maszynopis i popchnął go w stronę rozmówcy.

- To niczego nie dowodzi - stwierdził Pepin.

- Racja - zgodził się Sheppard. - A raczej nie dowodziło, dopóki nie odkryliśmy, że odbierał pan telefony od tego człowieka - przesunął po stole w jego kierunku zdjęcie policyjne. - Aresztowaliśmy go wczoraj.

Pepin skrzyżował ramiona.

- Odbyliśmy z nim interesującą rozmowę - dodał Sheppard, ponownie podpalając fajkę. Siedział tyłem do Hastrolla. Zza lustra wyglądało to, jakby dymiła mu głowa.

Pepin pochylił się, spojrział na zdjęcie, po czym znów się wyprostował.

- Chcę się skontaktować z adwokatem - oświadczył.

Trzeba przyznać, że tym razem odchudzanie Alice przebiegało inaczej.

Bez tabletek, bez zamawiania dodatkowych produktów, bez dogodnych rat, bez trzydziestodniowych okresów próbnych i bez gwarancji zwrotu gotówki w razie braku satysfakcji, bez montowania jakichkolwiek urządzeń. Żadnego sprzętu firmy Bowflex. Ani ThighMaster. Żadnych butów do ćwiczeń grawitacyjnych. Żadnego Atldnsa, South Beach ani kopenhaskiej. Żadnych karteczek na jej produktach żywnościowych ani mikroanaliz czynionych postępów. Żadnych zdjęć przed i po. David doszedł do wniosku, że teraz będzie już tylko po. Tym razem ograniczyła się do dwóch treningów tygodniowo z instruktorem w YMCA, o których prawie wcale mu nie opowiadała: „Dziś poszło dobrze” albo „Dziś było ciężko”, albo „Dziś to nie było to” - mówiła tylko, gdy ją pytał, jeśli oczywiście chciał mu się pytać.

- Alice! - zawołał z kuchni, gdzie czytał gazetę. Była w łazience, Słyszał, że suszy włosy. - Chyba po drodze z pracy zajrzę do supermarketu. Chcesz coś konkretnego na kolację?

- Nie mam ochoty na nic specjalnego. Sam coś wybierz.

- Wszystko jedno co?

- Właśnie tak. Wszystko jedno co.

Wciąż zachowywała się wobec niego z dystansem. Zaczął o tym myśleć jak żeglarz o pogodzie: musi wszystko przetrzymać - tak samo szkwał, jak i flautę - bo i tak nic nie poradzi. Musi płynąć dalej. W końcu małżeństwo było ich wspólnym rejssem, prawda?

- Zresztą i tak nie będzie mnie w domu - dodała.

Podszedł do drzwi łazienki i zajrzał do środka. Do połowy rozebrana czesała włosy przed lustrem. Powietrze wciąż było rozgrzane od suszarki. Wydała mu się tak ponętna - jej policzki, ramiona i piersi, jej uda górujące nad stosunkowo drobnymi stopami, całe ciało, którego tak długo nie dotykał - że poczuł silne podniecenie.

- Gdzie będziesz? - zapytał.

- Mam spotkanie po szkole.

Znów zmierzył ją wzrokiem. Była olbrzymia, ale jakby mniej. Zgubiła więcej kilogramów niż kiedykolwiek wcześniej. Powinien się cieszyć z jej sukcesu.

- Jakie spotkanie?

Przerwała czesanie i spojrzała na jego odbicie w lustrze. Miał wrażenie, że się zastanawia, co mu odpowiedzieć.

- Służbowe spotkanie.

Było ich ostatnio bardzo wiele, nigdy jednak nie mówiła, z kim i czemu poświęconych. David, powodowany zazdrością, pobawił się trochę w detektywa. Któregoś dnia, korzystając z tego, że była pod prysznicem, obmacał jej torebkę, otworzył ją i ostrożnie wydobył ze środka portfel. Znalazł w nim dwie wizytówki z nazwiskami, które nic mu nie mówiły: dr Alex Brulov i dr Fred Richmond. Zapamiętał numery telefonów, bo mogły mu się przydać w dalszym śledztwie, i przeczytał odręczne notatki, które zrobiła na nich Alice. Niektóre zdania były tak zagadkowe, że zareagował na nie paranoicznie: *Spotkanie z D o 3 - oferta specjalna kont, możliwości w III, Tex albo D. C.* Kim był D i jaką miał specjalną ofertę? Czy chodziło jej o kontynuację tej oferty, a może kontynuację jakichś opcji w Illinois, Teksasie i Dystrykcie Kolumbii? Przejrzał jej telefon komórkowy, sprawdzając połączenia przychodzące, wychodzące i nieodebrane - niemal wyłącznie nazwiska ludzi, z którymi pracowała albo znanych Davidowi; kiedy zaś dzwonił pod numery, których nie znał, łączył się z jakimiś gabinetami lekarskimi; recepcjonistki ucinały rozmowę stwierdzeniem, że informacje o pacjentach są poufne, nawet jeśli chodzi o współmałżonka, i odkładały słuchawkę. Odkąd otworzyła osobny rachunek bankowy, David regularnie przeglądał jej książeczkę czekową, sprawdzając kopie wypisanych czeków, żeby mieć pojęcie o jej poczynaniach, nic jednak nie wydało mu się podejrzane. Nie przedstawiając się, dzwonił do szkoły i pytał o plan zajęć, ale ilekroć mówiła, że się do pracy wybiera w nietypowych godzinach, zawsze okazywało się, że faktycznie jest w pracy. Złamał hasło do poczty głosowej w jej telefonie (data ich ślubu), kiedy jednak wysłuchał kilku wiadomości - wszystkie dotyczące spraw służbowych - ogarnął go wstyd i się rozłączył. Przeszukał nawet jej konto pocztowe, ale tutaj też niczego nie znalazł, choć nazwa użytkownika, której nie zmieniła, dała mu do myślenia: panziarenko.

Opadł na oparcie fotela i gapił się w ekran monitora. Czy to było w innym życiu, czy może wczoraj?

Jest coś dziwnego w tym, jak małżeństwo spłaszcza czas, zgniata go i ubija, ukrywa upływ, płacząc przeszłość z terażniejszością; pierwszy plan zamienia się miejscami z tłem tak często, aż w końcu stare zrównuje się z nowym, przeszłość natomiast zaczyna się wydawać nieznośnie nowa i obca. Przez całe lata tkwili w zastoju. Ich życie było jak sen, powtarzający się ciągle od połowy, który wydawał się zarazem krótszy i dłuższy od wszystkich tych lat. Jak wyglądał ich typowy dzień? On wstawał i szedł do kuchni, zawsze starannie przez niego wysprzątaną poprzedniego wieczoru (nawet po najbardziej wyrefinowanej kolacji), żeby zrobić kawę. Dla niej spieniał mleko i słodził, sam pił tylko z mlekiem, po czym niósł dwie filiżanki do sypialni i czekał, aż ona poprawi poduszki. Potem spojrzeniem dawała mu znak, że jest gotowa. Leżała niemal płasko - podając jej kawę, miał wrażenie, że kładzie filiżankę na zwłokach - piła więc zbliżając wargi do krawędzi naczynia, a nie na odwrót. Dziękowała mu, po czym włączała radio, zawsze ustawione bardzo cicho. Leżeli razem w powoli wypełniającej się światłem sypialni. Czekał, aż ona całkiem się rozbudzi; dopiero wtedy pytał, jak jej się spało. Opowiadali sobie sny, jeśli coś im się śniło, choć Alice zawsze relacjonowała swoje bardziej szczegółowo niż on i zawsze chciała, żeby je interpretował. „Muszę wstawać” - oświadczała w końcu. Pierwsza brała prysznic, żeby zdążyć do szkoły, on tymczasem szedł do kuchni dolać sobie kawy, przynosił gazetę przed drzwiami wejściowych i gotował jajko dla siebie na śniadanie, myśląc nad burzącą się wodą, że całe jego życie to historia takich poranków, ciągle rosnący stos gotowanych jaj, których skorupki wypełniłyby pewnie całą kuchnię i zaczęłyby się wysypywać do pokoiów. We wnęce jadalnej przy oknie obserwował dachy lśniące od wschodzącego słońca albo skąpane w deszczu, albo pokryte śniegiem; przechodził od pierwszej strony, poprzez felieton po wstępniaku, do kolumny sportowej i satelitarnej prognozy pogody dla całego kraju, omijając zawsze pierwszą sekcję i długi środek - wszystko z akompaniamentem jej suszarki do włosów. Następowala cisza, podczas której robiła sobie makijaż, po czym pojawiała się ubrana: tak będzie dzisiaj wyglądała. Ani razu nie widział, żeby jadła śniadanie w dni powszednie, choć co rano otwierała lodówkę, lustrując zawartość niechętnym spojrzeniem. Całowała go na do widzenia i wychodziła. W kompletnie cichym mieszkaniu kończył śniadanie, brał prysznic, ubierał się, słał łóżka, zmywał naczynia i także wychodził.

Czy ona w ogóle istniała w tym czasie? Czy zadawała sobie takie samo pytanie, jeśli chodzi o niego? Czasem dzwoniła do niego ze szkoły, żeby porozmawiać. Zwykle ustalali wtedy, co będzie na obiad, a po obgady- niu menu mówili sobie, że się kochają. Rzadko myślał o niej przez resztę dnia. Po drodze do domu wstępował do sklepu. Kiedy wracał, czytała gazetę złożoną na pół albo siedziała nad otwartym laptopem z jakąś przekąską. Najpierw nie rozmawiali wiele. Ona spędzała przecież cały dzień wśród dzieci, potrzebowała trochę spokoju. Zimą nalewał sobie whisky, a latem pił wódkę - grzechot kostek lodu na dnie szklaneczki wyznaczał kontury otaczającej ich ciszy. Pił pierwszy łyk, wsłuchując się w szelest przekła- danych stron gazety. Później, także bez słowa, włączał radio i zabierał się za gotowanie. Przy kolacji opowiadali o minionym dniu, czasem jednak David dostrzegał, jak przerażająco mało wiedzą o sobie nawzajem. Zmywał na- czynia, podczas gdy ona myła twarz i zęby. Piżamę zakładała w sypialni i był to jedyny moment w ciągu całego dnia, kiedy David mógł zobaczyć ją nago, co zawsze kazało mu się zastanawiać, kiedy jej nagość przestała być dla niego cudem. Choć przecież mogła jeszcze nim być, bo Alice wciąż miała tę samą niewiarygodną krągłość postaci z komiksów R. Crumba i te same piersi, miękkie jak chmury i wielkie jak poduszki, których rozmiar i doskonałość domagały się pieszczot; gdyby przyłożył do nich ucho i się skupił, usłyszałby bijące pod nimi serce, dźwięk równie cudowny jak szum w morskiej muszli. Widok zbliżającej się żony sprawiał, że jego serce biło z nadzieją. Alice podchodziła do łóżka jak dziecko do basenu. Żeby zanur- kować w pościeli, musiała zebrać się w sobie, postępując według ściśle określonego planu: podnieść do góry kolano, oprzeć się na wysuniętej ręce i w tej pozycji przysuwać się do niego powoli. Pod jej ciężarem skrzypiały sprężyny, a materac się uginał tak bardzo, że David staczał się lekko na jej stronę. Kładła na jego piersi rękę ciężką jak kłoda. Oglądali telewizję. W reklamach nie pojawiała się ani jedna osoba z nadwagą, oczywiście z wy- jątkiem spotów związanych z odchudzaniem - wtedy zapadała między nimi cisza tak samo intensywna jak podczas reklam z udziałem dzieci (pieluszki, detergenty, zabawki). David dochodził czasem do wniosku, że skoro ich małżeństwo można opisać jako sekwencję programów telewizyjnych nadawanych przez wszystkie te lata w paśmie nocnym (*Love Connection*, *Letterman*, *The Daily Show*), to zapewne ktoś gdzieś pisze już scenariusze programów, które pomogą im przeżyć resztę wspólnych dni.

- Idziesz spać? - pytała często, zanim zapadł w sen. Szedł. Ona zresztą też. Czy to on wyłączał telewizor? Czy może ona? Potem znów następował poranek.

Zdarzały się rzecz jasna odstępstwa od tej rutyny - on pracował czasem do późna albo ona miała jakieś zebranie - o każdym jednak wyjątku zapomniał, gdy tylko następował kolejny. Kiedyś chciał się przekonać, czy jest w tym odosobniony: „Ja też nie pamiętam” - odpowiedziała ze śmiechem. Oczywiście bywały w ich życiu, a raczej w ich wspólnej historii, także wydarzenia znaczące, tyle tylko że wydobyć ich z pamięci wymagało wysiłku umysłowego. Aby w bezmyślnej codzienności powielających się bez końca dni sklecić jakiegokolwiek sensowne wspomnienie, należałoby odtworzyć zdarzenia, od których oddzielały ich długie lata monotonii. Ale może to właśnie był jedyny ratunek? Przecież pod tymi latami kryły się niewypowiedziane prawdy, wydarzenia przeszłe i przyszłe, które stanowiły zrab ich małżeństwa. Snując te rozważania, David uznał, że w tym wszystkim chodzi o trzy kwestie:

Ona jest gruba.

On nie skończył pisać książki.

Pan Ziarenko.

Latem dwa tysiące czwartego, w ich ósmym wspólnym roku, zaczęli się zastanawiać, czy chcą mieć dziecko.

David pamiętał dokładnie datę, ponieważ w tym właśnie roku Spellbound Games, firma, którą założył z Frankiem Cadym, wypuściła na rynek pierwszą strzelankę na konsolę Xbox - *Pif-Paf! Jesteś trup!* W ciągu kilku miesięcy gra stała się światowym hitem. Negatywne recenzje prasowe okazały się dobrodziejstwem. Telewizja CNN zrobiła o nich materiał, potem puścili reportaż w programie *60 Minutes* na kanale CBS i duży tekst w „New York Timesie”. On i Frank zostali nawet zaproszeni do programu *Larry King Live*. Gra, przeznaczona wyłącznie dla pełnoletnich użytkowników, toczyła się w szkole publicznej i rządziły nią takie same reguły, jak znaną wszystkim z dzieciństwa zabawą: napotkawszy przeciwnika, wymierzało się w niego rękę - z pistoletem na niby - strzelało i wypowiadało słowa: „Pif-Paf! Jesteś trupem!”, przeciwnik zaś padał na ziemię z teatralną przesadą. W wersji Davida i Cady'ego najpierw wybierało się klasę postaci należącej do określonej grupy: mięśniaków, gotów, cheerleaderek, kujjo-

nów, ner- dów, geeków albo nauczycieli, by wymienić tylko kilka, z których każda miała inne możliwości obrony, inny poziom zręczności i mobilność. Później wybierało się własny wygląd - od koloru włosów i skóry po budowę ciała. Na koniec - i to był prawdziwy hit - wybierało się broń: wskaźnik laserowy, słomka do płucia, elektryczność statyczna, strzał z gumki, zarazki, kwas, palnik Bunsena, paralizator, gaz łzawiący albo zabójczy dotyk. Każdy dodatek pojawiał się jak proteza, wielka jak ramię Popeye'a, zmechanizowany, wymienny i z określonym, oczywiście, ładunkiem. Ale w trakcie gry, której akcja toczyła się w ciągu jednego dnia zajęć szkolnych, można było zgromadzić całkiem pokaźny arsenał. Celem było zlikwidowanie członków wszystkich pozostałych grup, dzięki czemu przejmowało się władzę w szkole. Grafika była komiksowa, z postaciami jak w *Super Mario Bros*, a rzeź przeciwników naprawdę spektakularna, zwłaszcza w wypadku zabójczego dotyku (ryzykownego, ponieważ trzeba było podejść na tyle blisko, żeby dotknąć rywala, ale też naprawdę rewelacyjnego, bo powodującego eksplozję głowy ofiary). Istniały opcje dla jednego, dwóch i wielu graczy, a dzięki Internetowi gra stała się popularna na całym świecie. Media zareagowały żywą dyskusją, psychologowie natomiast podzielili się na dwa obozy: jedni twierdzili, że gra uczy przemocy i przyczyni się do nasilenia agresywnych zachowań w szkołach, ze strzelaniną włącznie, drudzy natomiast uważali, że działa ona katartycznie, pozwalając pozbyć się negatywnych emocji. Dzieciaki kupowały grę na potęgę, choć rodzice byli oburzeni - gra rozchodziła się jak świeże bułeczki.

- Czy w dzieciństwie grał pan w *Pif-Paf! Jesteś trup!?* - zapytał rozwścieżonego telewidza, który zadzwonił do programu *Larry King Live*. - Nie sądził pan wtedy, że ktokolwiek z tego powodu umiera, prawda? Czy zabił pana ktoś dlatego, że się pan w to bawił? Oczywiście nie, ponieważ teraz pan do mnie telefonuje. Uważam, że także dzisiaj dzieci potrafią odróżnić zabawę od rzeczywistości. A jeśli tak, to pif-paf! Jesteś trup! I proszę kolejnego rozmówcę.

Zyski ze sprzedaży i honoraria autorskie zaczęły napływać do firmy w tak szalonym tempie, że jeszcze tego samego roku kupił mieszkanie. Kiedy leżeli w łóżku z kieliszkami szampana w ręku, zmęczeni, ona zasypana klasówkami i konspektami lekcji, on z linijkami kodu oraz grafiką wersji testowych wypalonymi na siatkówkach, całkiem naturalnie zaczęli rozmawiać o dzieciach. Przecież swoje ramiona właśnie stworzył przed nimi

sukces dorosłości. Poznali się na małej uczelni w Wirginii, gdzie David robił dyplom z projektowania wspomaganego komputerowo, ona natomiast była na studiach licencjackich z matematyki i pedagogiki. Kiedy rok później się pobrali, obydwójce byli zdania, że najpierw muszą urządzić sobie życie. Teraz, gdy ona dobiegała trzydziestki, a on nawet ją przekroczył, mogli uznać, że szczęście im dopisało: każde miało dobrą pracę (Alice uczyła w Trinity School), mieli siebie nawzajem, a przede wszystkim najcenniejszy towar na Manhattanie: własne mieszkanie.

Dyskutowali przez kilka miesięcy. Najpierw musiała do nich dotrzeć sama idea dziecka, ponieważ ta wersja przyszłości była tylko jedną z wielu możliwych. Później rozmawiali o tym, czy chcą chłopca czy dziewczynkę i skąd mają wiedzieć, że są już gotowi; jeszcze później o ulubionych imionach. Kiełkujące ziarno tej długiej deliberacji trzeba było oddzielić od plew, które się przesypywały w ich rozmowach: dawni chłopcy i dawne dziewczyny, nielubiani koledzy z klasy i ukochani nauczyciele, kuzyni i wrogowie, przelotni kochankowie i zdechłe domowe zwierzęta

- - całe wszechświaty złych skojarzeń i absurdalnych sytuacji. Wszystko razem budziło w Davidzie mieszane uczucia. Czuł się oszołomiony, bo przecież dzieci to wielki atut małżeństwa, nadający mu prawdziwy sens. Spłodzenie dziecka jest jak przyciśnięcie guzika, który wywołuje przeciwieństwo wojny atomowej: wspólny akt tworzenia. Świadoma decyzja, by odmienić swoje życie. Raz na zawsze. Nawet podjęcie próby spłodzenia dziecka zmieniało wszystko. Bo przecież nie ma gwarancji - choć ci, którzy się na to decydują, wierzą, że jest. Jednakże rozmowy o dziecku przyprawiły go o frustrację; choć teoretyczne, nie dawały mu spokoju. Spychały go na pozycję obronną. Zastanawiał się samolubnie, czy Alice kocha go tak samo jak kiedyś. Martwił go fakt, że ich pożycie intymne jakoś przygasło. Dochodził czasem do wniosku, że Alice czuje się znudzona i dziecko, a z nim wszystkie obowiązki, ma zastąpić coś, co się między nimi kończy. Bo dziecko byłoby końcem pewnego etapu. Tak wtedy myślał. Dziecko oznaczałoby koniec tylko ich dwojga.

Nigdy nie powiedział o tych wątpliwościach żonie/

Rozmowa trwała nieustannie i zdawała się nie mieć końca. Nie podchodzili do niej zbyt serio. Podejmowali temat podczas śniadania albo kiedy telefonowali do siebie w godzinach pracy. Zawsze zaczynali od tego, na czym przerwali ostatnio i nigdy się nie kłócili. Dziecko zauważone na ulicy,

w autobusie, zerkające na nich znad oparcia fotela w samolocie - taki mały słodki Kilroy, pojawiające się przy stole obok swoich rodziców podczas jakiegoś przyjęcia, nierzadko ze śliczniutką opiekunką, co wyglądało na dodatkową korzyść z ojcostwa; dziecko z jeszcze mokrymi włoskami po kąpieli, wypucowane produktami Johnson & Johnson, w pachnącej świeżością piżamce, chłopiec, dziewczynka albo cała gromadka, wszystkie grzeczne, wyjątkowo zdolne, nad wiek bystre, przesypiające od wczesnego wieczora do późnego rana, niesprawyające najmniejszych kłopotów, przynajmniej zdaniem rodziców. Te dzieci były dla Davida aluzją do prowadzonej z Alice rozmowy o kolejnym rozdziale ich małżeństwa, obietnicą szczęścia płynącego z prokreacji - kiedy miał dobry nastrój. Gdy był w złym humorze, dziecko wydawało mu się elementem spisku, dzięki któremu ci, co wcześniej dorobili się potomstwa, mieli ich wpuścić w ten sam kanał. Automatycznie reagował wtedy buntem.

Mimo to jednak, kiedy się kochali, w przypiływie namiętności miał czasem ochotę wyciągnąć z niej diafragmę. Myśl, że nosi ją w sobie, była dla niego raczej przygnębiająca, a o zabijaniu milionów własnych plemników myślał wręcz z bólem. Przecież oznaczało to niszczenie milionów możliwości, które dostarczał jej jego penis! Czasem wyobrażał sobie stosunek jako mikroskopijną wersję gry *Missile Command!* myśl o tym, że mógłby trysnąć w Alice bez żadnego zabezpieczenia, niemal doprowadzała go do orgazmu.

- O Boże! - krzyczał. - Wyjmij to, Alice. Wyjmij krążek! Proszę!

- Jesteś gotowy? - odpowiedziała pytaniem.

Znieruchomiał na chwilę.

- A ty jesteś? - zapytał.

Wzięła jego twarz w swoje dłonie, spojrzała mu prosto w oczy i pokręciła głową.

- Nie. Nie jestem gotowa.

Potem jednak poczuł wielką ulgę. Omal nie popełnili poważnego błędu!

Rozmowa więc trwała.

Kiedyś, czekając na samolot, David obserwował, jak matka próbuje ukoić płacz swojej łkającej córeczki. Zdziwił się, że dziecko może być tak głośne. Dziewczynka zawodziła. Wyła. Wrzeszczała na całe gardło. Trwało to niewiarygodnie długo, aż David zaczął sobie wyobrażać, że to nie dziewczynka, tylko jakiś mały złośliwy gnom, stojący w jej płucach na

drabinie, której górny szczebel oparł o migdałki, ciągnie ją za języczek, otwierając w ten sposób usta i używając całej niemowlęcej głowy jako megafonu. Początkowo ludzie byli zakłopotani i pełni współczucia dla matki, kiedy jednak scena nieznośnie się przeciągała, ich nastawienie uległo zmianie. Niewzywani przez nikogo pojawili się ochroniarze. „Słyszeliśmy tu krzyk” - stwierdził jeden z nich, wywołując najpierw chichot, a później głośny rechot wszystkich, którzy znajdowali się w zasięgu tego upiornego wrzasku, z Davidem włącznie.

Zadzwonił wtedy nawet do żony.

- Jest tu taka mała dziewczynka, która straszliwie krzyczy - powiedział - chociaż to tylko dziecko. Posłuchaj! - dodał, odsuwając od ucha telefon.

- Słyszę. To jakiś żart?

- Nie - zapewnił David, a wtedy ona też się roześmiała, bo przecież to tylko dziecko, uroczy malutki szkrab.

Także ta scena stała się częścią ich małżeńskiej rozmowy, choć David nigdy nie powiedział żonie, co się stało później. Dziecko wrzeszczało tak długo, że ten potworny hałas stał się po prostu częścią otoczenia i przestał przyciągać czyjąkolwiek uwagę. Niektórzy nawet przy nim zasnęli - jak przy hymnie narodowym granym w takt szumiącego śniegu na ekranie telewizora po zakończeniu programu. David przyglądał się wystraszony i rozbawiony jednocześnie. Nagle siedzący obok niego mężczyzna w garniturze opuścił gazetę, odsłaniając twarz, i zapytał:

- Ma pan dzieci?

- Nie - odparł David i zaśmiał się. Energia tej małej dziewczynki była naprawdę niespożyta. Tak wielka wytrzymałość świadczyła o jej wyjątkowym talencie. Była syreną wyjątkowo biegłą w śpiewie.

- I niech tak zostanie - poradził mężczyzna, po czym zamilkł, patrząc na Davida dopóty, dopóki ten nie odwzajemnił spojrzenia. - Bo dzieci rujnują człowiekowi całe to pierdolone życie!

David obserwował wrzeszczące dziecko do chwili, gdy wezwano do odprawy pasażerów jego samolotu. Kiedy się odwrócił, mężczyzny już nie było.

Rozmowa Davida i Alice ciągnęła się dalej. W przeważającej części odbywała się na tę samą modłę i oczywiście pełna była powtórzeń. W muzyce nazywa się to augmentacją: te same dźwięki podnoszą wartość

rytmiczną. Akordy tej konwersacji wydłużały się z czasem. Jej kontynuacją był nawet świadomy wybór, by jej nie kontynuować.

- Ty znów o tym samym? - zapytał David i wybuchnął śmiechem. Razem z Alice siedzieli przy stole w kuchni. On się upił. A był dopiero wtorek. Wtorek!

- Mówię ci, znajdziemy jakąś trawę i się upalimy - powiedziała Alice, dolewając sobie wina.

Przyszło mu do głowy, że Alice nie dopowiedziała dwóch słów: dopóki możemy. Jakby decyzja, żeby się zachowywać nieodpowiedzialnie jak dzieci, czyniła ich bardziej dorosłymi. Pili i pili, a potem uprawiali dziki seks - taki ze zrywaniem z siebie ubrań. Rano zadał sobie pytanie: jak długo jeszcze możemy się tak zabawiać?

Choć nie zawsze było zabawnie.

Czasem rozmowa stawała się toksyczna, przeobrażała się, dawała przerzuty; obracała się przeciwko nim. W sprzeczkach ich nie poczęte dziecko stawało się argumentem, którym się przerzucali, każąc mu opowiadać się po jednej ze stron: prawdziwy grzech przedrodzicielski.

- Chyba zwariowałaś, jeśli sądzisz, że mogłabym choćby pomyśleć o dziecku z kimś tak samolubnym jak ty - oświadczyła.

- Słusznie, nawet nie myśl. Bo ja nie chcę żadnego dziecka. To ty chcesz je mieć!

- Wiedziałam! Od początku wiedziałam!

- Wiedziałaś? Co takiego wiedziałaś?

- Nic. Wiedziałam, że nic z tego nie będzie!

- Tak? Niby dlaczego?

- Bo ty nigdy w ogóle nie mówisz, co czujesz. Ani słowem. A ja nie będę narażała dziecka na coś takiego! Nigdy w życiu! - wykrzyczała, po czym odwróciła się, żeby odejść.

- Pewnie, idź sobie! - odciął się. - To będzie wspaniała nauczka. Ja pierdolę!

- Wspaniała nauczka? Ja pierdolę? - powtórzyła. - Dla ciebie wszystko jest pierdolone!

- Proszę cię!

- Prosisz, a nie pierdolisz? Coś takiego! Pierdolony tatuś. Pierdolona mamusia.

- O, nie! Nie licz na to! - wrzasnął, przesywając ją wzrokiem. - Żadnej pierdolonej mamusi nie będzie!

Ale bywało też i tak że dziecko, którego nie mieli, czyniło ich lepszymi.

- Przepraszam - powiedział David później.

Nadszedł już wieczór. W mieszkaniu nie paliła się ani jedna lampa. Przesiedzieli w ciemności wiele godzin, każde gdzie indziej, zanim z rękami w kieszeniach pojawił się w drzwiach do sypialni.

- Masz rację - dodał. - Posługuję się ryszotkowym słownictwem.

- Nie, to ty masz rację. Wpadłam w szal.

- A mnie puściły nerwy.

- Powinnam była się zamknąć i tyle.

Roześmieli się, po czym znów zapadła cisza.

- Nie chcę, żebyś myślała, że ja...

- Nic nie mów - przerwała mu.

David pomyślał, że to wszystko rodzaj stażu, jakby zabawa w rodzinę. Dziecko, którego nie mieli, obserwowało ich, oceniało i zmuszało do uczciwości. Czyniło z nich lepszych ludzi, jeszcze zanim przyszło na świat. Niepoczęty chłopiec albo dziewczynka będzie kiedyś mogło powiedzieć współmałżonkowi: „Moi rodzice nigdy się nie kłócili”.

Później David i Alice się kochali. Wiadomo, o czym myśleli, ale po tej karczemnej awanturze obydwójce nabrali wątpliwości, znów więc tego nie zrobili.

David zastanawiał się, na co czekają. A może nie czekają na nic? Czy coś przemilczał? A może to ona chciała mu coś wyznać?

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała.

Leżeli w łóżku, swoim ukochanym, w rozmiarze duże królewskie. Mięło wiele dni, tygodni i miesięcy. Kończyło się lato, ich rozmowa trwała więc już prawie cały kwartał. Był wieczór, leżeli z drinkami w dłoni przed włączonym telewizorem. Kupili to łóżko, kiedy jeszcze nie mieli pieniędzy. Poważny wydatek, zwłaszcza wtedy, ale po prostu musieli spać wygodnie razem. Każde małżeństwo ma swoje żelazne zasady: nie mamy wspólnej kasy, nie kładziemy się spać pokłóceni, nie jemy po określonej godzinie. Ich zasada brzmiała: nie śpimy w osobnych łóżkach. Uważali to za symbol

rozvodu, zwyczajną koegzystencję. Obydwoje byli zdania, że dwa łóżka oznaczałyby koniec małżeństwa.

- - Kiedyś umarłam - wyznała.

Natychmiast uznał, że jego żona z pewnością wie, jak zwrócić na siebie uwagę. Zaraz potem pomyślał, że to pewnie natura samotniczki dała jej umiejętność wyróżnienia się w razie potrzeby. Wyłączył telewizor i poprawił swoją poduszkę.

-Kiedy?

- Miałam osiem lat.

Zacząła opowiadać... Była wczesna wiosna, na dworze szalała burza. Rodzice oglądali telewizję, w kominku strzelał ogień. Wiedział oczywiście, że mówiąc „rodzice”, Alice miała na myśli wuja Ladda i jego żonę Karen, ponieważ to właśnie oni ją wychowali. Przywołał w pamięci ich dom nad jeziorem w Bay Village, peryferyjnej dzielnicy Cleveland w stanie Ohio. Wyobraził sobie długi salon wyłożony sosnową boazerią i dywanami, ze zdjęciami zwierząt na ścianach: lwa, stada wilków i lamparta. Ladd nie specjalnie kochał przyrodę; był to raczej przejaw przyrodniczego kiczu. Alice trafiła pod ich opiekę w dość przykrych okolicznościach, kiedy miała sześć lat. Jej matka, Dorothy, zmarła wówczas, rodząc synka, który również umarł. Ojciec, Thomas, tak bardzo się załamał, że oddał ją rodzinie, dopóki nie dojdzie do siebie. Doszedł cztery lata później i nawet ponownie się ożenił, nigdy jednak nie wziął córki z powrotem. O wuju i ciotce Alice mówiła zawsze z wielką miłością, David podejrzewał jednak, że długotrwałe poczucie samotności było u jego żony spotęgowane dodatkowo przez fakt, że Karen i Ladd nie mieli dzieci, od samego początku traktowali ją więc jak uprzywilejowanego lokatora, na którego utrzymanie i wykształcenie łożyli wspólnie z jej nieobecnym ojcem. Alice musiała się jednak czuć z gruntu samotna.

Jej przybrani rodzice oglądali zatem telewizję, pochłonięci relacją z wizyty księcia Karola i Lady Di w Australii. W salonie mieli tylko dwa fotele ustawione przodem do telewizora. Alice siedziała w drugim końcu pokoju przy kominku z bezpestkową pomarańczą w rękę, czytając komiks dla nastolatków. Telewizor włączony był na cały regulator, a wiatr uderzał w dach kanonadą deszczu. Od czasu do czasu albo ciotka, albo wuj wymieniali jakieś uwagi, ich słowa ginęły jednak w trzasku płomieni i odgłosach burzy. I wtedy nagle zaczęła się dławić.

Było to przerażająco niespodziewane, jakby nagle ktoś w basenie wepchnął jej głowę pod wodę. Własny organizm zrobił jej głupi kawał, wypychając z płuc całe powietrze. Na chwilę ogarnęło ją dziwne zakłopotanie, jakby głośno pierdnęła w pokoju pełnym ludzi. Zupełnie nie wiedziała, jak zareagować. Podniosła dłoń do ust, gotowa złapać w nią pomarańczową masę, którą postanowiła wypluć. Kaszłała z całych sił, krztusiła się jednak tylko od tego kaszlu: w jej krtani nic nawet nie drgnęło, a wydawane odgłosy przypominały kwaknięcie. Znów spróbowała to z siebie wykrztusić. Od wysiłku aż zatkały się jej uszy. Była już na samym dnie basenu, a w płucach nie została ani jedna banieczka powietrza. Spojrzała w górę. Ladd i Karen nie rozmawiali, skupieni na ekranie telewizora. Znad oparcia wystawały tylko czubki ich głów. Chciała ich dosięgnąć, ale wyczerpanie nie pozwoliło jej unieść ręki. Zwijała się z bólu, ściskając palcami szyję. Jakby ktoś rzucił na nią czar. Albo ją postrzelił. Wielka torba z zasobami jej energii pękła, rozsypując całą zawartość po podłodze. Małe czarne płomyki lizwały krawędzie obrazu przed jej oczami. W tym dokładnie momencie uprzytomniła sobie coś, co wiedziała podświadomie, odkąd wprowadziła się do wuja i ciotki, co czuła, odkąd umarła jej matka, a ojciec ją porzucił. Wiedziała o tym, ilekroć relacjonowała Laddowi i Karen swój dzień, a oni zadawali jej pytania, na które dopiero co odpowiedziała w swojej relacji, albo gdy jedno z nich wstawało od stołu, żeby odebrać telefon; to coś było widoczne w wystroju tego salonu - poustawianych na półkach i stolikach bibelotach, na które Karen zawsze kazała jej uważać, niezamykanej szafce na broń, tylko dwóch fotelach przed telewizorem – umeblowanego bez pojęcia o obecności i potrzebach dziecka. Dopiero teraz umiała tę myśl wyartykułować.

Będzie musiała uratować się sama.

Całą uwagę skupiła na przetyku, w którym utkwiała mokra miazga, jakby w ten sposób mogła wycisnąć stamtąd zator. Przycisnęła język do dolnych zębów i wymusiła jeszcze jeden odruch wymiotny. Znowu nic. Przy kolejnym skurczu poczuła język głęboko w gardle. Zaczęła jej się trząść głowa i miała wrażenie, że zaraz eksploduje. Spróbowała jeszcze raz, ale równie dobrze mogłaby przymierzyć się do podniesienia samochodu: wysiłek ją przerastał. Zaczęła wyraźnie uświadamiać sobie kształt mokrej masy, która coraz szczelniej zatykała jej gardło. Składała się teraz tylko z torsu, szyi oraz głowy: ręce i nogi rozmyły się, jakby były z piasku. Wobec braku tlenu

miała wrażenie, że się kurczy, a jej świadomość spływa do ścieków, wirując.

Poddała się bezwładowi. Miała wrażenie, że unosi się pod wodą w głębokich ciemnościach. Nie potrafiła określić, czy wypływa na powierzchnię, czy idzie na dno: za chwilę miała zakosztować powietrza albo poczuć lodowate wody abysalu. W sumie był to raczej przyjemny stan, kwintesencja oczekiwania. Alice podjęła ostatni wysiłek, tak samo daremny jak próba dostrzeżenia własnej dłoni w smolistej ciemności.

Potem umarła.

Wiedziała, że nie żyje i było to zupełnie nieznanne uczucie. Właściwie bardziej świadomość niż stan zewnętrzny. Pomyślała, że tak właśnie czuje się embrion, że nagle odnalazły się w niej wspomnienia ze stadium zarodkowego. Znajdowała się w toni, wokół siebie miała nicość, a czas przestał być abstraktem, stał się rzeczywisty.

Przytomność odzyskiwała stopniowo. Ręce i nogi całkowicie jej stężały. Mogła poruszać tylko oczami. Była jak kot spacerujący w plamie słońca.

Usta miała pełne. Nabrała powietrza, wciągając rozgnieciony miąższ z powrotem do gardła, po czym go wypluła.

Przez długą chwilę leżała w bezruchu.

Ladd i Karen nadal oglądali telewizję. W końcu Alice podźwignęła się z podłogi, opierając na kolanach i łokciach. Wypluła resztkę pomarańczy. Długa nitka śliny nie miała zamiaru oderwać się od jej ust.

Między jej dłońmi miąższ tworzył bezkształtny kopiec, niemal całkowicie pozbawiony pomarańczowego pigmentu. Podniosła wzrok, przez lży świetlisty ekran telewizora wyglądał jak narysowane ręką małego dziecka gwiazdy. Dopiero po chwili Ladd i Karen odwrócili się w jej stronę.

- Ja żyję - powiedziała.

- Oczywiście, że tak - zapewniła ją Karen, po czym spojrzała znacząco na męża, pokręciła głową i znów wbiła oczy w ekran telewizora.

- Ja żyję - szepnęła Alice i zaszlochała.

Przez długi czas płakała w ramionach Davida.

- Musisz mi obiecać, że nigdy nie zrobimy czegoś takiego naszemu dńecku - zażądała później.

- Nie zrobimy mu czegoś takiego. Nigdy. Obiecuję!

Płakała tak długo, że zmoczyła mu całą koszulkę. Potem zasnęła w jego ramionach.

David tymczasem doszedł do wniosku, że być może najważniejsze w ich długiej rozmowie jest to, czego nie chcą powtarzać.

Leżał, snując różne rozważania. Czy on miał w zanadrzu podobną historię? Nie miał - i to było jego problemem. Zawsze robił wszystko, co do niego należało. Miał pracę i odnosił w niej sukcesy. Był dobrym mężem. W gruncie rzeczy jednak życie nie pokazało mu się w całej krasie.

Wyłączył światło.

- Teraz moglibyśmy zrobić dziecko - wyszeptała w środku nocy.

Minęło wiele tygodni. Dotykali się nawzajem w półśnie, głaszcząc się delikatnie, zanim zaczynali się kochać - rodzaj lunatycznej gry wstępnej, która pozwalała im poczuć się swobodniej. Rzuciwszy tę propozycję, Alice przygryzła dolną wargę i patrzyła na niego w ciemności. Nie rozmawiali o dziecku, odkąd opowiedziała historię ze swojego dzieciństwa. David niemal zapomniał więc o konwersacji, którą toczyli przedtem i sądził, że Alice też już o niej nie pamięta. Zresztą rozmowa najwyraźniej się zakończyła. Decyzja została podjęta. Albo on przeżył jakąś próbę, którą mu wyznaczyła, albo ona coś przemyślała. Tyle tylko że teraz, kiedy ten moment wreszcie nastąpił, David z zaskoczeniem stwierdził, że nie jest to chwila podniosła. Nie potrafił zbyt długo wytrzymać jej spojrzenia. Mógł powiedzieć: tak albo nie. Powiedział jednak:

- Moglibyśmy.

Trzymał w palcach kapturek pokryty białym kremem plemnikobójczym. Zawsze go jej zakładał, zanim w nią wszedł. To był ich obyczaj - rytuał przejścia, jak lubił żartować - nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, żeby się temu czemuś dokładnie przyjrzeć. Zrobił to teraz. Kapturek wyglądał jak szczyt świeżo polukrowanego ciasta. Umieścił go ostrożnie na brzegu szafki nocnej, wytarł palce o kołdrę i przez cały czas, kiedy się kochali, nie mógł oderwać od niego oczu. Czuł się jak prawiczek, który musi się kontrolować, powtarzając ciągle w myślach: „zdechły kot, zdechły kot, zdechły kot”, żeby nie skończyć zbyt wcześnie. Desperacko silił się na obojętność. To był akt prokreacji. Mieli stosunek bez zabezpieczenia. Dwukrotnie Pan Penis miękł, trzeba więc było wsuwać go ponownie do środka jak kiełbaskę do osłonki. Był to najgorszy seks w całym ich pożyciu. A kiedy w końcu się spuścił, pomyślał: to i tak bez znaczenia.

Fakt, że jego pierwsza refleksja wyrażała obojętność, nieustannie go dręczył.

- Chyba jestem w ciąży - oświadczyła Alice. Od dwóch niebieskich kresek na teście ciążowym do wizyty u ginekologa, która przyniosła taki sam wynik, z powodu tej dziwnej obojętności, którą czuł, kiedy trzymała go za rękę w łazience przy gabinecie lekarskim („Będziemy mieli dziecko” - powiedziała podniecona), David bał się, że jego brak zaangażowania spowoduje deformację płodu. Że jego beznamiętność wywołała jakąś karmiczną falę, która doprowadzi do katastrofy. Wiedział, że to irracjonalne, ale niepokój nie ustępował. Pomyślał, że lepiej zmusić ją, żeby usunęła płód. Potem żałował także tej myśli. Obojętność przemieniła się w nieustający strach, kiedy więc nadarzyła się okazja, żeby pojechać do Honolulu na tygodniowy zjazd graczy komputerowych, był zachwycony. Samo przebywanie obok Alice potęgowało jego lęk, przekonując go, że coś jest nie w porządku, choćby dlatego, że od chwili zajścia w ciążę czuła się coraz gorzej, jakby ten stan powoli ją zabijał. Musiała znosić wiele przykrych objawów. Ostre bóle w miednicy spowodowane skurczami macicy pojawiały się nagle, zginały ją w pół i zmuszały, by usiadła, bez względu na to, co akurat robiła, a potem trzymały ją w bezruchu. Niemal przez cały drugi miesiąc miała mdłości. Stosowane zazwyczaj określenie „poranne nudności” było zupełnie nieprzystające do rzeczywistości, ponieważ nie obejmowało pozostałych pór dnia: zakrywała usta dłonią, wstając z łóżka i wracając do niego - rano, w południe i nocą. Dostawała mdłości w metrze i w autobusie. Rzygała przez otwarte okno samochodu, kiedy David odwoził ją do pracy - nitka śliny zwisała z jej ust jak ogon komety. Żołądek podchodził jej do gardła na samą wzmiankę o pewnych miejscach i ludziach oraz na zapach kawy i curry. Oczywiście także Alice niepokoiła się tymi objawami, choć bardziej intrygowało ją samo zjawisko potwierdzające plotki o przebiegu ciąży: rzeczy oglądane wcześniej w telewizji przytrafiały się jej na co dzień.

- Rzeczywiście strasznie się rzyga - mówiła czasem. - I to prawda, że czujesz się jak podczas grypy. - Przeważnie jednak znosiła to dzielnie. Wyglądała nawet na uradowaną. - Przez Pana Ziarenko miałam rano mdłości. Chyba nie jest dziś specjalnie szczęśliwy. - Albo zastanawiała się na głos: - Jestem ciekawa, jak Pan Ziarenko będzie wyglądał.

W noc poprzedzającą badanie USG po szesnastu tygodniach, męcząc się w łóżku, podczas gdy Alice męczyła się nad sedesem, David przeraził się samej ciąży, bo to coś w brzuchu Alice było jadowite jak żmija. Owszem,

dziecko mogło przynieść im wielką radość, ale też mogło zabić mu żonę! Przecież zabiło jej matkę, o czym dotychczas jakoś nie pamiętał. Cała medycyna i technologia skupiają się na embrionie, przez co zapomina się o matce. A więc to nie jest takie bez znaczenia!

- Jedź ze mną na dwa tygodnie na Hawaje - zaproponował, kiedy w końcu się położyła obok niego. Nie chciał, żeby jechała, wiedział, że odmówi. Ale pragnął poprawić jej samopoczucie, żeby z radością warowała w domu, czekając na jego powrót. - Przyda ci się zmiana otoczenia - dodał.

- Nie mogę - odparła, pocierając dłonią brzuch. - Nie dalibyśmy rady.

Znów pomyślał, że to coś w jej wnętrzu jednak ma znaczenie. Ta myśl wróciła do niego z jeszcze większą mocą następnego dnia, kiedy Alice leżała na łóżku w ciemnym gabinecie USG, a on przyglądał się pływającemu po ekranie monitora obrazowi, zabawnemu jak z gabinetu luster. Jej bebechy całkiem się uspokoiły, jakby przezroczysty żel, który lekarka rozsmarowała jej na brzuchu, był środkiem znieczulającym. David trzymał Alice za rękę i zerkał na ekran przez ramię prowadzącej badanie, całkowicie świadom, jak różnie on i żona reagują na ten widok: Alice była wniebowzięta, on natomiast napiął mięśnie twarzy, zwięzając oczy w szparki, by obserwować, jak płód to pojawia się w polu widzenia, to znów znika, jego kości rozpływają się, po czym ponownie nabierają ostrości - delikatne jak szkielet nietoperza - a jego ruchy są szybkie i drapieżne. Naprawdę szybkie. Nagle płód zatrzymał się i zwinął się w kłębek. A wszystko to w środku jego żony!

- Jest bardzo ruchliwy - powiedziała lekarka i spojrzała na nich, niepokojąco kręcąc głową.

David chciał zapytać, czy to znaczy, że coś jest nie w porządku, był jednak zbyt wielkim tchórzem. Lekarka zmieniała widoki na ekranie, zapisując niektóre obrazy, dokonując pomiarów, powiększając i przycinając obraz, jakby chciała go zafałszować, sprawdzając średnicę mózgu i żołądka, oglądając poszczególne kręgi i rdzeń kręgowy, powiększając serce pod każdym możliwym kątem: komory poruszały się, zasysając płyn owo-dniowy - swoją krew. David pomyślał, że wyglądają jak paszcza olbrzymiej kałamarnicy.

Alice odwróciła się do niego.

- Spójrz na Pana Ziarenko! - powiedziała z uśmiechem. - Wyobrażasz sobie, że to on? - Odwzajemnił uśmiech, a kiedy znów spojrzała na ekran,

zmrużył oczy, uświadamiając sobie, że wstrzymuje oddech. Lekarka pogłośniła urządzenie. Szum, na który wcześniej nie zwracał uwagi, ponieważ nie był do niczego podobny, teraz wypełnił gabinet dźwiękami, jakie wydają chłopcy bawiący się w wojnę, sepleniące pach, pach, pach.

„Ani się waż skrzywdzić mojej żony!” - zwrócił się do płodu w myślach.

Ginekolog doktor Redundi zapewnił po badaniu, że ciąża przebiega prawidłowo. Owszem, nudności są bardzo nasilone, nie jest to jednak rzadkością. Skurcze macicy mogą wskazywać na pewne problemy, na przykład rozrost błony śluzowej. Jeśli nie ustąpią w ciągu tygodnia lub dwóch, trzeba będzie dokładniej się przyjrzeć dziecie Alice. Na razie jednak wszystko w porządku. Dziecko wygląda na całkowicie zdrowe, a dolegliwości matki powinny ustąpić lada moment.

Kiedy więc wszystkie nieprzyjemne objawy ustąpiły na kilka dni przed wyjazdem Davida na Hawaje - w dwudziestym drugim tygodniu ciąży - Alice zmieniła zdanie i postanowiła z nim pojechać.

Nie lubiła latać, a nawet nienawidziła. A wszystko przez film *Bez lęku*, w którym grupka pasażerów cudem przeżywa katastrofę samolotową.

Film oglądali razem, a potem prześladowały ją wyjątkowo drastyczne sekwencje związane z tym, co się wydarzyło na pokładzie wskutek kontaktu z ziemią: oderwane od podłogi fotele wyrzucały ludzi w powietrze; siła uderzenia wyrywała dzieci z ramion matek i wymiatała bagaże ze schowków pod sufitem, kazać im rozrywać zwisające zwoje masek tlenowych. Splątanych rurek nie dało się odróżnić od fruujących łąchów, a pasażerowie szeroko otwartymi oczami obserwowali kawałki nieba i ziemi przez pęknięcia w kadłubie. David przypuszczał, że ta sekwencja często powracała w jej snach, a kiedy dojeżdżali do lotniska, musiała dotrzeć do przedścionków świadomości, ponieważ zanim weszli na pomost prowadzący do samolotu, Alice zakręciło się w głowie; jej twarz zrobiła się szarzielona. Kiedy samolot wreszcie oderwał się od ziemi, oskarżyła go, że ją zmusił do wejścia na pokład. Jej dłonie były mokre od potu, a oddech zrobił się cuchnący z powodu, którego nie potrafił sobie wyobrazić.

- Co to było? - zapytała, usłyszawszy zgrzyt, kiedy wznosili się w powietrze, zostawiając Queens coraz niżej. Skryła twarz na jego piersi. Obrączka wpijała się w jego palec tak silnie, że omal go nie skaleczyła.

- Podwozie - wyjaśnił, przyciskając czoło do jej czoła. - Koła się chowają.

Przywarła do niego, po chwili jednak miał wrażenie, że się odprężyła, co również i jemu pozwoliło psychicznie się rozluźnić. Alice zamknęła oczy, on więc zamknął też swoje. Był to nocny lot w czasie pełni księżyca. Niebawem mieli się wspiąć nad pułap chmur i podziwiać rozciągającą się tam niesamowitą krainę: ta bezkresna lodowata beza przypominała mu sufit, ponieważ była nieskazitelnie czysta i ponieważ także po niej nie da się chodzić. Od dzieciństwa ekscytował go ten widok. Taka zupełna pustka. Niekończące się śnieżne pole. Miasto bez ludzi; szerokie ulice bez samochodów. David przypominał sobie apokaliptyczne filmy, które tak lubił, kiedy dorastał: *Aleja potępionych*, *Chłopiec i jego pies*, *Człowiek Omega*. („Ostatni człowiek na Ziemi nie jest sam” - głosił plakat do tego ostatniego.) Nie przypominałby już sobie wątków, nie one jednak były ważne. W pamięci pozostała otwarta przestrzeń. Bezkres. Jazda po Park Avenue z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, slalom między gruzami po autostradach ku spalonym sylwetkom drapaczy chmur. Łóżka w domach kompletnie nieznanym ludzi. Możliwość płądrowania cudzych pokoi bez poczucia winy, ściągania ubrań z wieszaków w porzuconych sklepach. Spanie w starych gmachach zamienionych na muzea. W takich miejscach znalazłby prawdziwą miłość. Czekala gdzieś tam na niego. Nie baliby się, gdyby tam na siebie trafili. Popatrzyliby po sobie i zrozumieli się nawzajem. Dziwnie było chcieć czegoś takiego, pozwalać tak się straszyć. Ale przecież to były tylko wizje mające źródło w cudzej wyobraźni.

Czy on i Alice znaleźli takie zrozumienie? Pamiętał czasy, kiedy wierzył, że tak. A mimo to przypominał sobie o tym tylko w snach, kiedy w jakiś sposób ją tracił. I właśnie w tych snach uświadamiał sobie swoją wyjątkową potrzebę.

- Miałem koszmarne sen - mówił zaraz po przebudzeniu, jeszcze na wpół śpiący.

- Opowiedz go - prosiła, a on odpowiadał:

- Śniło mi się, że odeszłaś.

Widok za oknem samolotu oraz myśli o jej odejściu przywróciły go do rzeczywistości, jakby zwiększająca się wysokość sprowadziła go na ziemię. Będziemy mieli dziecko - pomyślał. - I to naprawdę ma znaczenie. Strach i niepewność wyryły nie ścieżkę, lecz prawdziwy kanion ich miłości, zdolny pomieścić najpotężniejsze siły. Będziemy mieli dziecko. Czy poczuje teraz kopanie? Dotknął dłonią brzucha Alice. Nie. Nic nie poczuł. A przecież

musiał sobie uświadomić, że ona nosi ich dziecko. Jakie to niezwykle i tajemnicze! Jak latanie. I jeszcze zaskakujące, bo choć wiedział doskonale, że nadchodzi, to jednak nie mógł się dostać do środka macicy. Da się tam oczywiście zajrzeć, ale czy to pozwoli poznać tę małą osobę lepiej niż poznaje się chmury, patrząc na nie przez okno? Można jedynie obserwować z daleka, co tylko prowadzi znów do marzeń. Trzymając dłoń na łonie żony, David postanowił, że musi być silny.

Alice przespała kolację. Odłożył jej porcję na później, zjadł swoją i na chwilę sam zasnął. Kiedy się obudził, dobiegał końca pierwszy film. David sprawdził, która godzina. Kapitan ogłosił, że lecą nad Wielkim Kanionem, ale wyjrzawszy przez okno, nie zobaczył niczego poza czernią. Sięgnął po ulotkę dla pasażerów, żeby sprawdzić, gdzie znajdują się wyjścia awaryjne. Po wodowaniu samolot unosi się na wodzie, jakby został do tego stworzony! Czy on i Alice zdołaliby przetrwać na bezludnej wyspie? Czy ona mogłaby wydać tam na świat ich dziecko?

Przede wszystkim musiałby skrzesać ogień. Ale przecież bezludne wyspy nie istnieją, a już na pewno nie można zostać na nich odcięty od ludzi tak bardzo jak kiedyś. Na świecie nie pozostały już żadne odludne miejsca.

Zamówił jakiś napój. Kiedy stewardesa przyniosła szklanę, odkrył, że nie ma w portfelu gotówki. Między nim a Alice leżała jej torebka. Szukając pieniędzy, zauważył w środku małe pudełko tabletek nasennych Unisom, które lekarz pozwolił jej brać, gdyż opierały się na antyhistaminach. Policzył, ile jeszcze potrwa lot, wziął dwie tabletki, zamówił jeszcze coś do picia i usadowił się wygodnie, żeby obejrzeć film, który właśnie się zaczął. Puszczali *Zabawy z piłką*, ale uszkodzone słuchawki emitowały dźwięk tak zniekształcony i syczący, jak komunikat *mayday* nadawany z epicentrum burzy. Zdjął je więc i zamknął oczy. Niemal natychmiast ogarnął go sen, intensywny jak baśń. Takie sny przychodzą do tych, którzy zrobili już wszystko, co do nich należy, na ziemi, mogą więc zejść z tego świata do innego...

Obudził go huk.

Miał wrażenie, że samolot został zaatakowany. Silne uderzenie w okolicy ogona przekrzywiło maszynę w lewo, aż zapiszczała cały kadłub. Pasażerowie wydali stłumiony okrzyk strachu, David także: nie dlatego, że się bał (nic, co związane z lataniem, nie mogło go wystraszyć), ale dlatego, że

zniknęła Alice. Zapaliły się lampki nakazujące zapięcie pasów, którym towarzyszył gong powtarzany regularnie jak w teleturnieju i komunikat kapitana, komicznie spokojnym głosem nakazującego pasażerom powrót na miejsca. Wynikało z niego, że samolot wpadł w wyjątkowo silne turbulencje wywołane uskokami wiatru, a załoga stara się opuścić niekorzystną strefę.

- Szukamy dobrych prądów - powiedział na koniec. Za oknem nie było już chmur. Pod nimi tylko ocean; wydawał się tak bliski, że aż się robiło niedobrze. Pocięta białymi paskami poświaty księżycy woda miała fakturę stopionego żelaza. David przemierzył wzrokiem przejście między fotelami. Jak tylko dostrzegł dwie stewardesy walące pięściami w drzwi do toalety, zrozumiał, że zamknęła się tam jego żona. Nie rozumiejąc, dlaczego go nie obudziła, sięgnął do klamry pasa bezpieczeństwa, zanim jednak zdążył ją rozpiąć, samolot runął w dół tak gwałtownie, że ze szklanki trzymanej przez mężczyznę, który siedział w fotelu przed nim, napój wystrzelił w powietrze wysoko nad tace, po czym wylądował z powrotem w środku, nie rozchlapując się na boki.

Po tym tapnięciu pasażerowie znów wstrzymali oddech, a kiedy przed ich twarze wypadły z góry maski tlenowe, niektórzy zaczęli krzyczeć. Samolotem trzęsło teraz mocno, a wibracje powodowały ogłuszający hałas. David dygotał tak bardzo, że szczął zębami. Kapitan znowu coś mówił, teraz jednak nie można go było zrozumieć. Kobieta po drugiej stronie przejścia spojrzała na Davida.

- Co on powiedział? - zapytała.

David wzruszył ramionami.

- Też nie usłyszałem - odparł, podnosząc się z miejsca. Kobieta wyprostowała się w fotelu, zamknęła oczy i zaczęła płakać. David podszedł do stewardes. Jedna z nich usiadła już w fotelu i zapinała klamrę czteropunktowego pasa bezpieczeństwa. Zobaczywszy go, kazała mu usiąść. Kolejne uderzenie, fala uderzeniowa zabrzmiała w kabinie jak trzask z bicia, ugięła widzenie lunetowe Davida. Chwytał się zagłówek kolejnych foteli niczym szczebli drabiny, żeby nie upaść; podciągając się ręką za ręką, zdołał jakoś powoli dotrzeć do toalety. Pozostali pasażerowie patrzyli przed siebie nic niewidzącym wzrokiem. David natomiast uważał, że nie powinien się bać latania, ponieważ nie zależało od niego. Jak niemal wszystko.

- Proszę usiąść! - warknęła stewardesa. - Ma pan natychmiast usiąść!

- Moja żona jest w środku.
- Przebywanie w przejściu jest teraz bardzo niebezpieczne.
- Ona jest w ciąży. Niech mi pani pozwoli odprowadzić ją na Miejsce.
- Ale proszę się pośpieszyć.

Jego pukanie do drzwi przeplatało się z potwornym dudnieniem i piaskiem. Co powodowało taki wielki hałas? Czy to był wiatr? Tak bardzo go dziwił fakt, że ta skomplikowana maszyna nadal funkcjonuje mimo dotkliwych cięć, że ani trochę się nie bał. Walnął w drzwi jeszcze raz, wykrzykując imię żony. Kiedy nie odpowiedziała, walnął jeszcze silniej i krzyknął jeszcze głośniej. Słyszał, że coś się dzieje w środku. Coś mu odpowiadała.

- Alice! Nic ci nie jest? - zapytał.

Przyłożył ucho do drzwi. Słyszał za nimi jej głos.

- Alice! Chodź, odprowadzę cię na miejsce.

Samolot opadł raz jeszcze i przez chwilę David pozostawał w stanie nieważkości. Cały jego ciężar powędrował w kierunku głowy, jak bańka w przechylonej poziomicy. Jego stopy oderwały się od podłogi, po czym wylądowały na niej z powrotem. Obydwie stewardesy siedziały już w swoich fotelach, ściskając klamrę pasów bezpieczeństwa niczym uprząż podczas rodeo. Jedna z nich oddychała, równomiernie wypuszczając powietrze przez ściągnięte usta: raz, dwa, trzy. Dwukrotnie usłyszał krzyk żony za drzwiami. Ona na pewno nie myślała o wstydzie, a więc i on nie powinien. Ale za to wpadła w panikę.

- Alice, odprowadzę cię tylko na miejsce!

Usłyszał zgrzytnięcie zamka i złożył drzwi w harmonijkę. Gdy tylko to zrobił, w łazience zgasło światło. Alice siedziała w ciemności na sedesie, łkając. Jej ręce, spódnica i bluzka były całe we krwi, jakby coś eksplodowało jej na kolanach. W żłóbku jej złożonych dłoni leżało maleńkie dziecko wyglądające jak kosmita. Jego wielkie oczy były półprzymknięte, za to usta rozdziawione, ponieważ głowa zwisała do tyłu. Był to chłopiec pokryty smugami żółtej mazi i krwi z pepowiną ciągnącą się między nogami. Chłopiec szokująco podobny do Davida.

- Błagam! - jęknęła, wyciągając do niego maleńkiego chłopczyka jakby w ofierze. - Włóż go tam z powrotem!

Na pokładzie znajdowało się dwoje lekarzy. Obok stanowiska stewardes urządzili gabinet. Pracowali za zasłoną. Na prowizorycznym łóżku ze stosu poduszek i koców usadowili Alice, która trzymała przy piersi martwego chłopczyka owiniętego w niewielki ręcznik. Młoda onkolog Nina Chen zapytała Davida, czy chce przeciąć pępownię; on nie zdobył się na to, żeby powiedzieć nie, ale zaraz potem zrobiło mu się słabo. Doktor Chen kazała mu usiąść na podłodze z głową między kolanami. Starszy od niej patolog Solomon Green rozebrał Alice, po czym ją wytarł. Wszędzie dookoła leżały zakrwawione szmaty, które obydwójce medycy bezdusznie pozbierali do plastikowego worka. Udało im się wyprowadzić Alice z szoku i doktor Green przystąpił do badania. Była przytomna. Opuszką palca głaskała policzek dziecka, przemawiając doń czule, jakby żyło, nieświadoma wszystkiego, co się wokół niej działo. Wymawiała słowa tak cicho, że David nie mógł ich dosłyszeć w hałasie wydawanym przez silnik, choć samolot wyszedł już z turbulencji. Alice promieniowała rozpaczą. David czuł, jak jej bezgłośnie cierpienie przeciska się przez jego wnętrze, jak rozchodzi się po całym pokładzie samolotu.

Doktor Chen wyprowadziła go zza zasłony.

- Stan pańskiej żony jest stabilny - poinformowała. - Chyba nie straciła dużo krwi.

- Dziękuję pani.

- Czy macie państwo jakiś bagaż podręczny?

- Tak, żona ma torbę.

- Są w niej jakieś ubrania?

- Nie wiem.

- Proszę sprawdzić. Dobrze byłoby ją ubrać, zanim wylądujemy.

- Tak, oczywiście.

- Chcę jej podać środek uspokajający. Czy jest uczulona na jakieś lekarstwa?

- Na lekarstwa nie.

- A pan?

- Nie - stwierdził David. - Ja nie... Nie chcę niczego brać. - Spojrzał na nią. - Niech mi pani nie każe niczego brać.

Uśmiechnęła się słabo, dotykając jego ramienia.

- Wrócę teraz sprawdzić, jak się czuje żona.

- Czy wie pani, co się stało?

Doktor Chen pokręciła głową.

- Nie. Nie umiem powiedzieć.

- Żadnych przypuszczeń?

- Zgadywanie byłoby nieodpowiedzialne.

Odwróciła się, ale znów ją zatrzymał.

- Co się stanie... co zrobimy z nim? - zapytał.

Doktor Chen zmrużyła oczy i pokręciła głową.

- Chodzi panu o dziecko?

-Tak.

- Na razie niech zostanie z nią. Niech go sobie trzyma.

Szczęśliwie w torbie Alice znalazł sukienkę. Wyjął także czystą bieliznę.

Kiedy odkładał torbę do schowka, czuł na sobie wzrok wszystkich w kabinie. Starsza kobieta, ta sama, która rozmawiała z nim podczas turbulencji, położyła dłoń na jego ramieniu, a gdy się odwrócił, zapytała, czy z żoną jest wszystko w porządku. „A gdyby nie było? - pomyślał. - Co miałybyś mi do powiedzenia?” Wzięła go za rękę - zupełnie obca kobieta, przeraźliwie chuda (ważyła najwyżej czterdzieści kilogramów), w okularach, których oprawki wychodziły poza obrys jej twarzy - i przyciągnęła do siebie. Przyklękając, David nienawidził jej za ten niepożądany objaw współczucia.

Kobieta ścisnęła jego dłoń obydwoma swoimi.

- Mam dwie córki, ale też dwa razy poroniłam - stwierdziła. - Takie są wyroki boskie. To znaczy, że twoje dziecko nie należało do tego świata. Bóg chciał je mieć w niebie.

„Mój syn należał do tego świata” - pomyślał David. Podziękował kobiecie, po czym ruszył wzdłuż przejścia, żeby znów usiąść obok Alice. Wszyscy pasażerowie gapili się na niego z nieukrywanym zaciekawieniem. Miał ochotę im naubliżyć.

Doktorzy Chen i Green rozmawiali przed prowizorycznym gabinetem. Kiedy David się zbliżył, delikatnie odsunęli zasłonki. Alice siedziała w tej samej pozycji; wciąż trzymała dziecko na rękach i wciąż do niego przemawiała pieszczotliwym tonem, kiwając głową i lekko się kołysząc. Wydała mu się mirażem, tak bardzo od niego dalekim, tak bardzo poza zasięgiem, jakby widział ją przez teleskop przystawiony do oka odwrotną stroną. Chciał zapytać lekarzy o jej zachowanie, ale ogarnęło go tak wielkie prze-

rażenie, że nie chciał go potęgować, dowiadując się jeszcze czegoś nowego. Nagle Alice się odezwała.

- Wiem, że miał być Henry, ale teraz, kiedy go widzę, uważam, że lepiej pasowałoby imię David.

Patrząc, jak patrzy na mały kształt przy swojej piersi, David poczuł, że stracił ją na zawsze.

Potem podniosła wzrok.

- Chcesz go potrzymać? - zapytała.

Nie chciał.

- Wygląda zupełnie jak ty - stwierdziła i uśmiechnęła się, wyciągając przed siebie ręce.

Dziecko było takie malutkie - mniej więcej jak butelka coca-coli - że użycie dwóch dłoni wydawało się przesadą. Drżąc, David przyklęknął w nogach posłania i wziął dziecko, pełen obaw, że może je upuścić albo przycisnąć do siebie zbyt mocno, albo jakoś inaczej zbeczczeć ten delikatny kształt; bał się, że pod jego spojrzeniem maleńkie ciało zamieni się w kamień. Siadł po turecku i trzymał zawiniątko na kolanach. Pomarszczona twarz dziecka zastygła w niedokończonym uśmiechu albo pocałunku. Skórę miało bladą, żyłkowaną i cienką jak papier, a sylwetkę nie większą, niż G. I. Joe. Z głowy wyrastał mały kosmyk czarnych włosów. Kończyny odstawały nieruchomo, ale David nie zdołał się powstrzymać i uchwycił jedną z dłoni kciukiem i palcem wskazującym. Kiedy jej dotykał delikatnie, poczuł twardsze drobinki paznokci. Potem obejrzał stopy - kości mieściły się w nich tak samo cudownie jak statek w butelce, a jeden i drugi paluch był lekko podwinięty - a następnie starannie wsunął je pod ręcznik. Przez cały czas nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ogląda samego siebie. Jaki jest cel wszystkich tych biologicznych procesów? Tego powielania się komórek w akcie stworzenia? We wszystkich proporcjach i dysproporcjach widział, jak niedokończone jest to dziecko. Czy ten widok mógł być zbawienny albo pocieszający? Po raz kolejny dokładnie obejrzał małą twarz, żeby zyskać pewność. Podobieństwo było niezwykle, nie potrafił jednak poczuć jedności z tym małym ciałem. Miał raczej wrażenie, że ogląda jakieś dziwaczne zwierzę w zoo.

- Pochowamy go tutaj - odezwała się nagle Alice, wykonując dłonią nieokreślony gest, jakby chciała wskazać powietrze.

Przez dwa kwadraty okien karetki Honolulu nie wydało się Davidowi różne od innych miast Ameryki: żaden wyspiarski raj, raczej kolejna pajęczyna estakad i tuneli, autostrad biegnących wzdłuż zdezelowanych budynków oraz ulic bez pieszych. Czuł, że jego twarz, całe jego ciało jest jak skorupa. Dotykał dłonią nogi Alice, nie patrzył jednak na żonę. Na nich. Bał się, że pęknie mu serce. Po drodze z lotniska mijali nabrzeże pełne gigantycznych dźwigów i okrętów marynarki (krajobraz kojarzył mu się z Baltimore), jednak dopiero kiedy wjechali na autostradę, David uprzytomnił sobie, że to Pearl Harbor.

Po kwadransie wszystko się zmieniło. David zobaczył wokół domki wzniesione na bujnie porośniętym zboczu, z którego wystawały gdzieś czarne głązy. Skupione pod drzewami domki - dwupoziomowe, białe, dziwnie zwyczajne, z oknami chwytającymi blask błękitnego nieba - wszystkie skierowane frontem do Pacyfiku iskrzącego się po prawej stronie. Choć trudno by je nazwać rezydencjami, przywodziły na myśl nieprawdopodobny luksus zielonej skarpy, wysokości, widoku na ocean oraz kojącej duszę bryzy. Do tego należało dodać przeświadczenie właścicieli, że to, na co w życiu zasługują, może się stać faktem, jeśli będą odpowiednio zdeterminowani. Jakie to proste: zamieszkać na Hawajach i codziennie będę patrzył na ocean. „Ci ludzie muszą być mądrzejsi ode mnie - pomyślał David. - Zrozumieli samych siebie na tyle, że zasłużyli sobie na takie życie”.

Poklepał nogę Alice, spojrzął na dziecko i znów się odwrócił. Mój Boże! Chciał ją przeprosić. Przyznać się do popełnienia przestępstwa. Leżała, trzymając ich dziecko, wciąż tak bardzo oddalona. Jechali pod górę. Zerkając przez przednią szybę ponad ramieniem ratownika medycznego, zobaczył olbrzymi kadłub skały zwięzającej się ku górze jak bułat, zagiętej pod samym wierzchołkiem - zupełnie jakby jakiś morski stwór stał tyłem z pochylonym karkiem. Po chwili skalna potęga ukazała się w pełnej krasie, górując nad białymi ścianami wieżowców i hoteli w centrum Waikiki: przeniknięty światłem i cieniem w genialnym *chiaro-scuro* gigantyczny galion wyspy O'ahu. David uzmysłowił sobie, że to wulkaniczny tuf stożka Diamond Head. Jego pożłobione szczelinami stoki wyglądały jak wyschnięta glina, o którą ostrzył pazury olbrzymi kot, a nietknięty i niezamieszkały wierzchołek, królujący wśród stworzonych przez człowieka budowli, wydawał się w porównaniu z nimi tak niewyobraźalnie stary, że

imponował świeżością i urodą. U stóp góry gnieździły się domy połyskujące jak brylanty pod niskimi chmurami, które rozpościerały się na wysokości szczytu. David doszedł do wniosku, że zawiodła go wyobraźnia, podpowiadając mu pomysł na życie. Okolica była tak piękna, że aż zawstydziała. Nagle dotarło to do niego, tuż po tym, co im się stało - jego żona leżała obok na noszach z martwym dzieckiem przy piersi, a on nawet teraz myślał o czymś innym.

Chciał powiedzieć coś Alice; kiedy jednak zebrał się na odwagę, by spojrzeć na nich oboje, okazało się, że wciąż jeszcze boi się do niej odezwać.

- Do którego szpitala nas zabieracie? - zapytał ratownika medycznego.

Mężczyzna był tubylcem. Miał skórę koloru karmelu i kruczoczarne włosy zebrane z tyłu w kucyk.

- Kaiser Permanente - odpowiedział.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie!

Po przyjeździe lekarze zabrali Alice na badania. Dziecko razem z nią. Nie powiedzieli mu, jak długo to potrwa, usiadł więc w poczekalni i oszłomiony gapił się w telewizor, błędząc myślami gdzieś daleko. Miejscowi dziennikarze wyglądali jak wszyscy inni. Prowadzący, prezenter pogody, komentator sportowy: wszelkie możliwe konfiguracje różnych ras, ale ten sam typ. Nagle pewien, że to sen, przypomniał sobie opowieść Alice o tym, jak się dławiła. Tyle było nadziei w jej słowach, choć przecież opisywały wielką samotność. Tamto wyznanie miało odpędzić nieszczęścia - również takie. Zrozumiał, że było wstępem do aktu wiary, czymś w rodzaju długiej modlitwy. Miał pewność, że jedna jego zła myśl („To i tak bez znaczenia”) - wszystko zepsuła. Chciał to wyznać żonie. Wiedział, że odtrąciłaby go na zawsze, gdyby to zrobił, co mu się zresztą słusznie należało. Zostałaby jednak wtedy oczyszczona - wolna od niego, a więc bezpieczna. Nagłe ogarnęło go zmęczenie i znów zasnął - nie miał pojęcia, na jak długo. Nie przestawił zegarka, dlatego nie wiedział, która jest godzina, kiedy się obudził. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś zegara, choć kierując się kolorem oraz wysokością słońca za oknem, domyślał się, że dawno już minął świt. Dotarło do niego, że ich bagaże wciąż są na lotnisku i że nie zabrał z samolotu torby podręcznej Alice. Co było z nim nie tak, skoro nie potrafił zadbać o własną żonę?

Padał z głodu. Choć czuł się bardzo zmęczony, myśl o jedzeniu stała się obsesyjna. Kiedy ostatni raz miał coś w ustach? Gdyby mógł zapchać czymś żołądek, uspokoiłby się i łatwiej zasnął. Jak długo będzie musiał czekać? Pomyślał, że powinien zarezerwować pokój w jakimś hotelu; zapomniał, że przecież zrobił już rezerwację w Mandarin Oriental. W końcu przyjechał tu do pracy. Do pracy? Nic nie potoczyło się zgodnie z planem. Nagle poczuł, że każdy krok, który postawili w podróży z Nowego Jorku na O'ahu, każde wypowiedziane słowo i każda wykonana czynność prowadziły do jednego: śmierci ich dziecka.

- Pan Pepin?

-Tak.

Stojący przed nim lekarz był Hindusem, wysokim, z chudymi palcami i prawdziwie królewskim długim nosem.

- Nazywam się Ahmed. Jestem dyżurnym ginekologiem. Czy możemy porozmawiać?

- Tak.

- Bardzo mi przykro z powodu tej wielkiej straty - stwierdził. - Jakoś się pan trzyma?

- Jak się czuje Alice?

- Jej stan jest stabilny. Lekarze w samolocie wykonali kawał dobrej roboty.

David pokiwał głową. Poczuł, że jego dłonie leżące na udach za chwilę posybią wysoko nad głowę, wetknął je więc między uda i z pomocą kolan starał się je tam uwięzić.

- Mamy już wyniki części badań - oświadczył lekarz. - Ciąża pańskiej żony została przerwana przez chorobę o nazwie trombofilia. To zaburzenia krzepnięcia. Niestety, dość częste. Cierpi na nie jedna na pięć kobiet. Czy wie pan, jak powstaje zakrzep?

David zaprzeczył ruchem głowy.

- Po zranieniu tkanki płytki i komórki krwi gromadzą się, tworząc strup. Układają się jedna na drugiej, żeby uszczelnić uszkodzoną powierzchnię. - Położył jedną dłoń na spodzie drugiej. - Niestety, dochodzi czasem do zaburzeń krzepnięcia, które można by nazwać niewłaściwym rozpoznaniem. Organizm pańskiej żony potraktował płód jak ranę. W jej macicy zgromadziły się zakrzepy, które oderwały łożysko. - Potarł dłoń o dłoń, jakby zapalając zapałkę. - To spowodowało poronienie.

David nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć. Wcześniej żywił nadzieję, że wiedza medyczna przyniesie mu ukojenie, wszystko to jednak było tak abstrakcyjne, że wcale nie poczuł się lepiej.

- Panie Pepin - ciągnął doktor Ahmed - rozumiem pański ból, muszę jednak powiedzieć, że żona miała wielkie szczęście, ponieważ jej stan ujawniono, zanim wybraliście się państwo w drogę powrotną do domu. Pacjentom z tym schorzeniem nie wolno się udawać w długie podróże bez uprzedniej kuracji rozrzedzającej krew. Nogi i znajdujące się w nich żyły - mówiąc to, dotknął ręką własnego uda - są wspomagane skurczami mięśni, by utrzymać prawidłowy obieg krwi. Bez odpowiednich leków tworzą się w nich zakrzepy, które przemieszczają się do serca, płuc albo mózgu. W rezultacie chory na zaburzenia krzepliwości może doznać rozległego udaru, zatoru płucnego albo ataku serca.

David czekał.

- Lecąc z powrotem do domu, pańska żona mogłaby umrzeć. Mogła też umrzeć w czasie lotu tutaj. Groziła więc panu utrata całej rodziny.

Davidowi przemknęło przez myśl, że to dziwaczna sytuacja: kompletnie obcy człowiek, którego nigdy więcej nie zobaczy, taki kawał od domu informuje go o utracie wszystkiego.

- Mogę zadać panu pytanie? - spytał.

- Proszę.

- Czy jest pan pewien, że właśnie to było przyczyną?

- Tak.

- Czyli to nie mogło być nic innego?

- Nie, nie mogło.

David milczał przez chwilę.

- Nie ma pan żadnych wątpliwości?

- Absolutnie żadnych - stwierdził lekarz, opierając dłoń na ramieniu Davida.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Jest teraz pod wpływem środków uspokajających.

- A dziecko? Co się z nim stanie?

- Jeszcze przez jakiś czas zostanie z nią... z wami. Nie ma pośpiechu.

- Kiedy ją zobaczę?

- Żona leży w sali trzysta osiemdziesiąt dwa. Może pan tam iść nawet teraz.

- On jest z nią?

- Tak. Ale pańska żona najprawdopodobniej obudzi się dopiero za jakąś godzinę.

David wyobraził sobie matkę i dziecko.

- Jestem bardzo głodny - stwierdził. - Czy to coś złego?

- Ależ nie - zapewnił go doktor Ahmed. - Bufet jest na parterze. Wychodzi pan tymi drzwiami, a dalej tak, jak pokazują strzałki.

David nałożył na talerz potwornie dużą porcję.

W bufecie był szwedzki stół, a oprócz zwykłych śniadaniowych dań dawali oczywiście ananasy, arbuzy, najlepsze melony, jakie jadł w życiu oraz niezwykle słodki syrop kokosowy z naleśnikami, których cały stos poprzysiągł sobie zabrać na zapas tuż przed wyjściem z bufetu. Jedząc, znów zaczął się zastanawiać, co jest z nim nie tak. Jak mógł odczuwać taki głód? Przecież wyglądało na to, że podczas ciąży żony zachowywał post, który zakończył wraz ze śmiercią ich dziecka. Potem raz jeszcze ogarnął go fatalizm, przedziwne przekonanie, że cała ich podróż i wszystko, co się podczas niej wydarzyło, jest z góry ustaloną sekwencją zdarzeń. Idąc tym samym tropem w przyszłość, miał koszmarne przeczucia na temat własnego losu.

- Pan Pepin?

Zagadnął go starszy mężczyzna, którego David na pierwszy rzut oka uznał za pilota. Jego niebieski mundur miał epolety i symbol skrzydeł na piersi. W lewej dłoni trzymał czapkę, a pod rękę miał wciśniętą teczkę.

- Doktor Ahmed powiedział mi, że znajdę pana tutaj - wyjaśnił mężczyzna. Chociaż na pewno miał po sześćdziesiątce, trzymał się świetnie, a w jego bystrych niebieskich oczach połyskiwały młodzieńcze iskierki. Był niesamowicie blady, prawie albinos, jakby przez całe swoje życie skrupulatnie unikał słońca. Pachniał miętowym kremem do golenia Barbasol, był szczupły i tak wysportowany, że David wyobraził sobie, jak z dumą klepie się dłonią po płaskim brzuchu. Siwe, obcięte najeża włosy wciąż miał jeszcze gęste, bez najmniejszych oznak łysienia. Zapewne bujną czuprynę zabierze ze sobą do grobu. Po raz pierwszy od wielu godzin w towarzystwie tego człowieka i pod wpływem jego wypielegnowanego wyglądu i dziadkowego zapachu David poczuł się bezpiecznie.

- Nazywam się Nathan Harold - przedstawił się. - Pracuję dla United Airlines jako ekspert od sytuacji kryzysowych. Specjalizuję się w psychologii transportu. Czy mogę zająć panu trochę czasu?

David skinął głową. Mężczyzna wysunął krzesło spod blatu i usiadł. Położył na stole cienką czarną teczkę, z trzaskiem otworzył zamki, wyjął skoroszyt podpisany „Alice i David Pepinowie”, zamknął teczkę i postawił na podłodze obok krzesła. Okładkę skoroszytu, na którym oparł złożone dłonie, zdobił wizerunek skrzydeł.

- Najpierw w imieniu linii United Airlines pragnę złożyć panu wyrazy współczucia. I ode mnie osobiście. Bardzo mi przykro.

David poczuł się nagle zażenowany stertą jedzenia, którą ułożył na swoim talerzu. W tej chwili silniej niż poprzednio miażdżyło go poczucie winy. Bał się, że zdradzi go wyraz twarzy albo coś zrobi nie tak, dlatego mimo uprzejmości rozmówcy zmuszał się, żeby na niego patrzeć.

- Jak sobie radzi pańska żona? - zapytał Harold.

- Jeszcze jej nie widziałem - odpowiedział David. - Jeszcze śpi po lekach uspokajających.

- A jak sobie radzi pan?

David wpatrywał się w dłonie Harolda, piękne, duże i silne. Jego paznokcie, od półksiężyców skórek po starannie opiłowane krawędzie, były zadbane nie z próżności, ale z pedanterii. Wyglądały na nigdy nie-ogryzane. Nagle mężczyzna zrobił coś zadziwiającego: wyprostował zagięte palce, rozplótł ręce i odwrócił dłoń lewej w stronę Davida, zupełnie jakby odkrył jego fascynację. Potem trzymał ją dłonią do góry - dłoń porysowaną najgęściejszą pajęczyną linii, jaką David widział kiedykolwiek w życiu. Podniósł wzrok na rozmówcę, uśmiechając się ciepło, po czym znów opuścił wzrok, żeby obejrzeć otwartą dłoń.

- Kiedyś we Włoszech Cyganka wróżyła mi z ręki - stwierdził Harold. - W Palermo. Miałem wtedy dwadzieścia kilka lat. Najpierw powiedziała, że mam starą duszę. Poznała po liniach. Twierdziła, że wcześniej żyłem wiele razy i że mogę być bardzo mądry. Nie miałem o tym zielonego pojęcia, ale pokazała mi tę linię. - Palcem wskazującym prawej ręki przejechał wzdłuż kreski zaczynającej się u nasady dłoni na wysokości środkowego palca do miejsca, w którym krzyżowała się z pierwszą linią poziomą. Tam zatrzymał palec. - Twierdziła, że to linia mojego losu, a ponieważ kończy się w taki

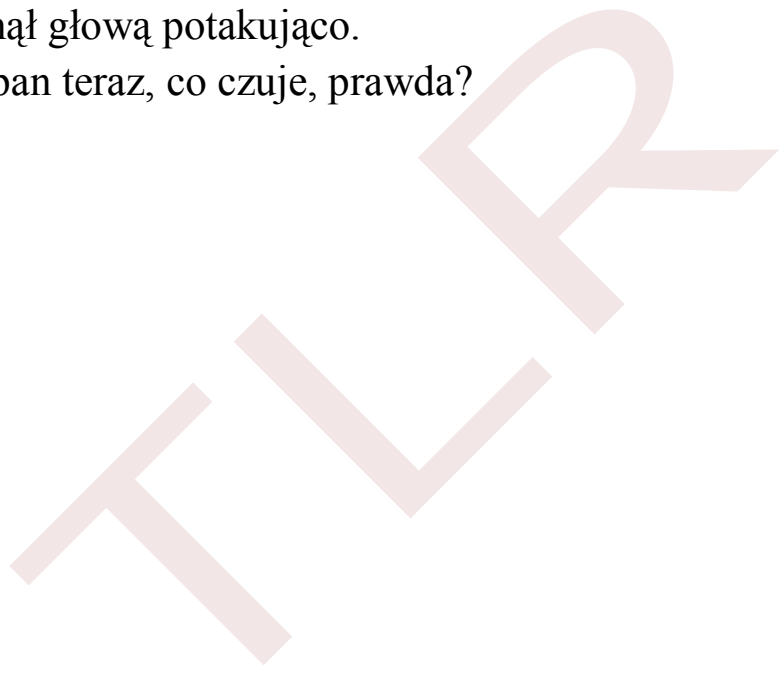
sposób, mój los nie został ustalony zawczasu. Jest otwarty, twierdziła, ponieważ nie znam samego siebie.

David popatrzył na swoje dłonie. Nigdy wcześniej nie zauważył, że na wewnętrznej stronie nie mają takiego żłobkowania. Jednakże linię losu też miał przerwana, niekompletną.

- To nieprawdopodobne, w co możemy uwierzyć, jeśli usłyszymy to we właściwym czasie - ciągnął Harold. - Kiedy mi to powiedziała, poczułem się jak nieudacznik, jakbym cierpiał na ślepotę uniemożliwiającą mi obserwację samego siebie. Od tamtej pory, od dnia tamtej wróżby, żywiłem przekonanie, że wszystko, co robię, jest próbą dokończenia tej linii. Czy to nie dziwne, że zupełnie obcy człowiek może na nas wywrzeć tak znaczący wpływ?

David skinął głową potakująco.

- Nie wie pan teraz, co czuje, prawda?



- Prawda - przytaknął David.

Mężczyzna zapukał palcem w talerz Davida, jakby pukał do drzwi.

- Mogę za to zapłacić?

- Nie, dziękuję panu - odmówił David.

Harold schował portfel z powrotem do kieszeni.

- To dobrze, że pan je - stwierdził.

Coś w Davidzie leciutko drgnęło, odpuściło. Głos tego mężczyzny i sposób, w jaki mówił, obiecywały przyszłość nieprzygniecioną podniebną tragedią.

- Jestem tu z kilku powodów, panie Pepin, ale przede wszystkim mam panu pomóc. Kiedy na pokładzie naszego samolotu wydarzy się coś tragicznego, robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby okazać współczucie. Ale współczucie bez działania jest tylko pustą emocją. Najkrócej rzecz ujmując, jestem tu po to, żeby ułatwić panu powrót.

- Nie rozumiem.

- Dostosowanie się do ziemi - wyjaśnił mężczyzna. - Moim zadaniem jest dopilnować, żeby pan nie zostawił reszty życia w powietrzu.

W oczekiwaniu David zmiął serwetkę i oparł dłonie na stole, znów im się przyglądając. Ktokolwiek próbowałby mu teraz pomóc, on i tak czułby się jak przesłuchiwany.

- Wiem, że to brzmi tajemniczo - stwierdził Harold. - Jeśli pan pozwoli, zacznę jednak od strony praktycznej. Przywiozłem państwa bagaże. Czekają w samochodzie przed szpitalem. Jeśli pan albo żona potrzebujecie czegoś, choćby jednej rzeczy, każę je wszystkie tutaj przynieść.

David skinął głową.

- Czy lekarz powiedział panu, jak długo pańska żona zostanie w szpitalu?

- Powiedział tylko, że musi brać leki rozrzedzające krew, zanim wrócimy do domu. Mówił też, że latanie jest teraz dla niej niebezpieczne.

- Zostanie pan w szpitalu?

David zaprzeczył, kręcąc głową.

- Proszę mi powiedzieć, w którym hotelu macie państwo rezerwację. Kierowca zawiezie tam państwa bagaże, a gdyby się okazało, że pobyt żony w szpitalu potrwa dłużej, w każdej chwili dostarczymy tutaj, cokolwiek będzie potrzebne.

- Mieliśmy się zatrzymać w Mandarin Oriental, ale...

- Nie wie pan, gdzie będziecie - dokończył Harold.

- Nie wiem.

- Wydaje się panu, że wasza podróż trwa? Jak po długiej podróży za kierownicą, kiedy próbuje pan zasnąć, ale przeszkadza wrażenie, że wszystkie myśli uciekły z pędem wiatru?

- Tak.

- Dlatego właśnie jestem potrzebny. - Harold podniósł obydwie palce wskazujące, po czym połączył je skierowane do góry. - Ten stan przypomina szok, Davidzie. Sytuacja, w której człowiek doznaje jakiegoś nieszczenia w powietrzu, podróżując z miejsca A do miejsca B, jest wyjątkowa. Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że decyzja o podróży samolotem jest aktem wiary. Wypieramy z gadziej części naszego mózgu oczywiste stwierdzenie, że na wysokości dziesięciu tysięcy metrów grozi nam śmierć. Po drugie, jeśli podróż z tak wielką prędkością i przebiegająca według skomplikowanego harmonogramu zostanie zakłócona w momencie, gdy znajdujemy się między tymi dwoma punktami, jeśli cokolwiek zaburza znaną nam sekwencję wylot-przylot, wtedy tracimy najbardziej fundamentalne poczucie bezpieczeństwa tak gwałtownie, jakby wysadzono je w powietrze. Psychologiczne i duchowe skutki takiego zdarzenia mogą się okazać rujnujące.

David zdobył się na to, żeby podnieść wzrok. Błękitne oczy tego mężczyzny naprawdę przynosiły ukojenie.

- Coś się dzieje między punktem A a punktem B - kontynuował Harold. - Coś się dzieje w powietrzu i nasze życie zostaje rażone jak piorunem: spadamy z nieba niczym Faeton. Skutkiem tego zaczynamy cierpieć na coś w rodzaju zapomnienia: ulatuje z nas wiara i całe zaufanie. Z naszego umysłu znika zdolność oceny sytuacji, a z serca - radość. Tracimy pewność siebie. Zachwiany zostaje trzon naszego jestestwa. Uderzenie pioruna wyrywa z nas tak wiele istotnych elementów, rozrzucając je na wszystkie strony tak daleko, że widać tylko ich dymiące szczątki; można by więc pomyśleć, że to nieodwracalna klęska. Mamy ochotę zaszyć się w najciemniejszy kąt. Stajemy w miejscu i nie chcemy się poruszać.

David słuchał.

- Pamięta pan eksplozję wahadłowca Challenger?

- Oczywiście.

- A pamięta pan, gdzie wtedy był?

-Tak.

- Teraz, oglądając każdy kolejny start promu kosmicznego, będzie pan o tym myślał. Zawsze będzie pan przygotowany na to, że tragedia się powtórzy. Nazywamy to syndromem nagłego zawieszenia oceny prawdopodobieństwa zdarzeń. Właśnie dlatego starsi ludzie tracą umiejętność prowadzenia samochodu. Nie umieją zdobyć się na odwagę, żeby wyprzedzić czy włączyć się do ruchu. Ciężarówka na tym samym pasie ruchu sprawiają, że starsi ludzie kulą się ze strachu. W geście desperackiego posłuszeństwa jeżdżą tylko z dozwoloną prędkością. Żeby uspokoić nerwy, kurczowo trzymają się przepisów. Widzieli już w życiu tyle nieszczęść, że są jak sparaliżowani. Mają niezachwiane przekonanie, że wszędzie na drodze czyha niebezpieczeństwo

David przytaknął.

- Mówił pan o hotelu Mandarin Oriental, prawda?

- Tak...

- Koszt pobytu pokryją nasze linie lotnicze. Jeśli pan sobie życzy, na czas rekonwalescencji pańskiej żony zaproponujemy państwu pokój o najwyższym standardzie.

- A jeśli będę chciał wrócić do domu? Albo żona będzie chciała wracać?

- Wtedy linie United Airlines подарują państwu bilet pierwszej klasy na pierwsze możliwe połączenie do dowolnego miejsca na Ziemi, w którym zechcecie państwo się znaleźć. Tutaj ma pan telefon do mnie... - Otworzył skoroszyt, odpiął wizytówkę od wewnętrznej strony okładki i wręczył ją Davidowi. - Gdybym nie był osiągalny pod tym numerem, połączenie zostanie przekierowane do naszego biura obsługi. Ale jestem osiągalny właściwie zawsze.

- Panie Harold - zaczął David. - Przepraszam za bezpośredniość, ale brzmi to jak nagroda za nieszczęście, które mnie dotknęło.

- Nie, proszę pana, nie nagroda. Wsparcie. Pomoc, w dodatku udzielana przez doświadczonych profesjonalistów. My naprawdę jesteśmy przyjazną linią. - Przesunął po stole kilka spiętych kartek, które wyjął ze skoroszytu. - Tutaj ma pan listę lekarzy współpracujących z United Airlines. Jeśli w ciągu najbliższych dni potrzebna będzie jakakolwiek konsultacja medyczna, proszę wziąć pod uwagę wizytę u jednego z nich.

- Dziękuję.

- Została nam do załatwienia jeszcze jedna sprawa. Najtrudniejsza.

- Nie rozumiem.

- Trzeba postanowić, co z państwa dzieckiem.

„To zadziwiające, jak wiele rzeczy wymusza na nas śmierć - pomyślał David. - Nawet spotkania takie jak to”.

- Wiem, że rozmowa na ten temat może się panu wydać okrutna, zwłaszcza tak wcześnie, ale chcemy pomóc także w tej sprawie. Pokryjemy koszty pogrzebu pańskiego syna. Mamy kontakt z miejscowymi zakładami pogrzebowymi i miejsca cmentarne na każdej z wysp. Możemy także załatwić formalności pogrzebowe na terenie każdego ze stanów w kraju. Uważamy to za nasz obowiązek i będziemy zaszczytzeni, jeśli pan pozwoli nam się z niego wywiązać.

- Nie wiem, co powiedzieć - stwierdził David.

- Bo też nie ma co mówić. Dopóty będziemy z państwem, póki pan i pańska żona nie poczujecie, że dotknęliście stopami ziemi.

Przez chwilę Harold siedział cicho z rękami złożonymi na piersiach.

David gapił się w swój talerz. Jedzenie już nie było świeże, a kolory mieszały się ze sobą. Żółtko, sos, masło - wszystko tężało, rozkładało się, niszczało.

- Chyba powinienem iść na górę, do żony - stwierdził,

- Oczywiście, niech pan idzie - przytaknął Harold.

David wytarł usta i odłożył serwetkę na talerz. Spojrzał na Harolda, który nie przestawał mu się przyglądać, ale ponownie spuścił wzrok.

- Nic panu nie jest? - zainteresował się Harold.

David wzruszył ramionami, czując się jak przykuty do krzesła.

- Jeśli czuje pan taką potrzebę, może pan pytać mnie o wszystko.

David znów nie mógł się zebrać, żeby na niego spojrzeć.

- Proszę pytać - zachęcał Harold.

Oczy Davida wypełniły się łzami. .

- Czy to przeze mnie? - wyszeptał. - Przez to, co pomyślałem? Wie pan może?

- Tak, wiem.

- Proszę mi powiedzieć. To bardzo ważne.

- To się nie stało przez pana, Davidzie. Powodem nie był ani pan sam, ani żadna pańska myśl, ani też jakikolwiek wybór, którego pan dokonał. Nie był pan zmienną tego równania.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie.,
- Skąd pan ma tę pewność?
- Wiem, jaka jest natura tego zdarzenia.
- To niczego nie wyjaśnia.

- Niech pan posłucha. - Sięgnął przez stół i położył dłoń na dłoni Davida.

- Myśli pan, że to co się stało, jest swego rodzaju kulminacją. Jak koniec rozdziału. Że musiało się stać właśnie w ten sposób. Nic podobnego! To nie była żadna kulminacja. Ani też nic się nie wydarzyło z pańskiego powodu. To skutek podróży. Podróż, zwłaszcza lotniczą, ludzie postrzegają jako coś wyjątkowego, jedyne w swoim rodzaju. Taka jest magia podróży, cudowna i romantyczna. Specjalny status przyznajemy miejscu odlotu. Czasem się słyszy, jak ktoś opowiada, że miał polecieć samolotem, który spadł, ale nie dojechał na lotnisko na czas, bo taksówka utknęła w korku. Jakby interweniował sam Bóg. Ludzie doszukują się w tym ręki Opatrzności, gdy tymczasem był to lot, na który usiłowali zdążyć. Uważają, że to był koniec jakiejś sekwencji wydarzeń, że znaleźli się w miejscu, które było im pisane. Ale to nieprawda. Bo jeśli udaje im się dotrzeć do samolotu na czas, odnoszą do siebie międzywęzłową naturę każdego lotu. Pobyt na pokładzie samolotu traktują jako przerwę w sekwencji wydarzeń życiowych, rodzaj stanu zawieszenia, bezpiecznej przystani. Życie jednak podróżuje razem z nimi. Niech się pan tylko zastanowi! Na pokładzie samolotu zdarzały się rozwody, ale też ludzie wiele razy się zaręczali. Tysiące metrów nad ziemią poczęto niejedno dziecko, wiele też przyszło na świat. W samolotach umierają ludzie: na zawał, na wylew albo z powodu tętniaka. Wypijają drinka i zapadają w wieczny sen. Krztuszą się podawanymi przez obsługę posiłkami i zostają uratowani. Jeszcze inni się zakochują, kończą czytać książkę albo ją pisać. Albo dokonują wielkich odkryć stanowiących przełom w nauce. Mimo to ludzie traktują podróż jako rodzaj przerwy, odpoczynku od życia. Nie mają racji. Ruch nie jest wytchnieniem. Nie pozwala odpocząć od życia. Ruch jest stanem permanentnym.

- Niech pan mi powie jeszcze raz, że jest pan pewien poprosi! David.

- Spośród wszystkich naszych myśli zwracamy uwagę tylko na te, które nam się wydają znaczące. Ale myśli przed jakimś zdarzeniem są tak samo przypadkowe jak wróżba w ciasteczku. A wróżba tak samo ślepa jak los.

- Niech pan da słowo.

- Niech pan sobie uświadomi, ile myśli przychodzi nam do głowy. O ilu z nich zupełnie zapominamy.

- Proszę.

- Nie mógł się pan do tego przyczynić, Davidzie. Daję słowo, że nie miał pan z tym nic wspólnego.

David położył drugą dłoń na dłoni Harolda i wsparł na niej czoło. Ich ręce były jak rzeźba, po której popłynęły jego łzy.

- Dlaczego nie umiałem być lepszym człowiekiem? - zapytał.

- Jeszcze się pan nauczysz.

- Dlaczego nie pomyślałem wtedy czegoś innego?

- Ale pomyślał pan potem.

David płakał. Bardziej niż czegokolwiek pragnął teraz zobaczyć żonę i przytulić się do niej.

- Niech pan ukoi jej żal - powiedział Harold. - Niech pan go jakoś ukoi.

Doktor Ahmed przepisał Alice lekarstwa rozrzedzające krew i zatrzymał ją w szpitalu na obserwację. Następnego ranka ona i David zgodzili się poddać ciało syna kremacji.

Prochy chłopca przekazano im w białym, prostokątnym plastikowym pudełku wielkości niedużego termosu, razem z aktem zgonu wystawionym na nazwisko David Pepin. Data śmierci była oczywiście taka sama jak data urodzenia. Szczątki wydawały się cięższe niż samo dziecko, co Davidowi wydało się niezwykle tajemnicze.

Biorąc urnę, Alice nie zareagowała w żaden widoczny sposób. Z każdą chwilą bardziej zamykała się w sobie. David wyczuwał też narastający w niej gniew, choć - co dziwne - wcale się go nie obawiał. Wiedział, że zawdzięcza to rozmowie z Haroldem.

David uważał, że śmierć dziecka, podobnie jak wcześniej ciąża, odsunęła go od żony. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Jakoś to już zaakceptował. Tylko to, co nastąpiło potem, było czymś zupełnie innym.

Kiedy Alice leżała w szpitalu, kilka razy telefonował do Harolda, w każdej z tych rozmów zyskując ogromną pociechę. Naturalnie jego główną troską była Alice i to, żeby sprowadzić ją na ziemię. Później lekarz zasugerował, że wypisze ją do domu jeszcze tego popołudnia i David natychmiast zadzwonił do Harolda, nie mając pojęcia, jak ma się zachowywać. Rada Harolda, chociaż trochę enigmatyczna, wydawała się sensowna,

w pełni jednak David pojął jej sens dopiero wtedy, kiedy się do niej zastosował: „Niech pan będzie stanowczy, a zarazem elastyczny. Musi pan wylapywać wszystkie okazje do przejęcia inicjatywy, ale także sytuacje, kiedy powinien pan ustąpić. Im uważniej będzie pan słuchał przed podjęciem każdego działania, tym łagodniej pańska żona wyląduje z powrotem na ziemi”.

Kilka godzin później, gdy tylko doktor Ahmed potwierdził, że Alice może opuścić szpital, Davia zapytał, co chciałaby robić. Pytanie ją rozłóściło.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Czy chciałabyś wracać do domu, czy zostać tutaj? - wyjaśnił.

- Tutaj?

-Tak.

- Pytasz, czy chcę sobie zrobić wakacje?

- Nie. Chodzi mi o to, żebyśmy tu zostali. We dwoje. Nie mam pojęcia, jak to nazwać. Ale nie jestem gotowy na powrót do domu. Telefonowałem do pana Sobela z Trinity i mówiłem mu, że miałaś problemy medyczne i nie jesteśmy jeszcze pewni, kiedy będziesz mogła wrócić.

Alice wyraźnie się poirytowała.

- Powiedziałeś mu, co się stało?

- Oczywiście, że nie - uspokoił ją.

Skrzyżowała ramiona i spojrzała w okno. W świetle późnego poranka waga, którą przybrała podczas ciąży, była widoczniejsza: krągłość ramion, brzuch odznaczający się pod szlafrokiem. Odwrócił się, żeby zobaczyć, na co Alice patrzy. Na parkingu pod oknem kołysały się drzewa palmowe. W oddali mgła przedzierała się przez wulkaniczne góry.

- Co mielibyśmy tu robić? - zapytała w końcu.

- Pozwól, że ja się tym zajmę.

Nie odpowiedziała, uznał więc milczenie za zgodę.

Natychmiast poinformował Harolda, który przysłał po nich samochód.

- Po co to wszystko? - zapytała na widok auta.

Nie odpowiedział od razu. Intuicja podpowiadała mu, że Alice nie powinna wiedzieć o pomocy, którą otrzymują.

- Po prostu uznałem, że tak będzie wygodniej - skłamał, nie miał jednak pojęcia, co robić dalej. Postanowił potraktować hotel jako coś w rodzaju bazy startowej, dopóki nie opracuje jakiegoś planu.

W samochodzie Alice trzymała urnę na kolanach. Jeśli czekała, aż David coś na ten temat powie, to się nie doczekała.

Hotel Mandarin Oriental leżał na samym końcu dzielnicy Kahala, gdzie budynki wznoszono na działkach o niebotycznej wartości, tworząc wzdłuż brzegu oceanu całe rzędy otoczonych murem domów pokrytych hiszpańskim tynkiem. Wspaniała, modernistyczna architektura hotelu ostro kontrastowała z otaczającymi go rezydencjami. Elewacja dwóch złączonych ze sobą wież, białej i błękitnej, wykończona była dźwigarami wokół każdego okna, przez co obydwie skrzydła budynku wyglądały jak obłożone od góry do dołu przezroczystymi sześcianami. Dzięki temu swoistemu rusztowaniu konstrukcja budynków wydawała się lżejsza. Miało się wrażenie, że ulecą w powietrze jak dwa latawce. Na tyłach hotelu, u podnóża Ko'olau Ridge, znajdował się Waiālae Country Club, teren pełen bujnej zieleni i drzew wspinających się na stok, które wyglądały jak tworząca się fala. Wszystkie domy stały tam frontem do oceanu, chociaż wodę można było dostrzec dopiero na wysokości hotelu. Wysokie ściany trzeciej, prostopadłej do niego konstrukcji - gigantycznej bramy - zasłaniały widok ze wszystkich stron, przez co skrawek wybrzeża po drugiej stronie był jeszcze bardziej prywatny. Davida i Alice przywitano jak parę królewską - David nie miał wątpliwości, że to za sprawą Harolda. Kiedy się zameldowali, jeden z menedżerów, Japończyk nazwiskiem Murahashi, osobiście oprowadził ich po hotelu, pokazując pięć restauracji, kilka sklepów, basen, salon odnowy biologicznej i siłownię, a następnie powiódł ich pod prowadzącym na plażę łukiem. Uciszaną przez rafy wodę okalały dwa długie mola, a koniec długiego piaszczystego pasa tylko dla gości hotelowych wyznaczała linia gęsto posadzonych palm.

- To bardzo popularne miejsce ślubów - stwierdził Murahashi i jakby na komendę pojawiała się para nowożeńców o japońskich rysach twarzy, zmierzająca do białej altany otwartej na ocean. Uczepiona rękawa pana młodego kobieta ze śmiechem przytrzymała welon, kiedy dosięgnęła ich bryza. Członkowie ich rodzin i bliscy siedzieli na krzesłach ustawionych w trawie przystrzyżonej tak nienagannie, jak wokół dołka i flagi na polu golfowym. Murahashi poprowadził ich z powrotem do hotelu przez restaurację Plumeria, przestronne pomieszczenie wypełnione mahoniem, z chłodną kamienną podłogą. Alice wydawała się niewzruszona pięknem tego wszystkiego.

- Nasz hotel słynie przede wszystkim ze swoich stałych mieszkańców - stwierdził Murahashi, wprowadzając ich na olbrzymi dziedziniec. Przed nimi rozciągała się olbrzymia sztuczna laguna z dwupoziomowymi apartamentami na końcach, złożona z dwóch zbiorników tworzących ósemkę. Bawiła się w nich grupa delfinów dogładana przez trenerów - młode kobiety w niebieskich kostiumach kąpielowych stojące na platformie rozdzielającej zbiorniki. Ich wyjątkowa uroda oraz wielki wdzięk pływających zwierząt sprawiały, że płasające delfiny zdawały się bogami w otoczeniu nimf. Ludzie przyglądali się im z różnych miejsc wokół laguny: wielkiego tarasu widokowego przy wjeździe do hotelu, otaczających zbiorniki pomostów, z basenu przy plaży. Z laguny radość aż promieniowała. Na pływającej platformie leżała duża niebieska mata trzymana za rogi przez cztery klęczące wokół niej opiekunki delfinów. Kiedy jedna z nich podniosła rękę nad lustrem wody, pojawił się delfin, uderzył nosem w jej dłoń i zaszczebiotał. Przenikliwy pisk odbił się echem w całej zatoce. Na znak ręką delfin wyskoczył z wody delikatnym ruchem, nie marszcząc nawet powierzchni i lądując pośrodku niebieskiej maty. Nawet zwinięte w kłębek jego ciało było o wiele większe, niż David sobie wyobrażał. Opiekunka, klęcząca najbliżej głowy zwierzęcia, zanotowała coś na podkładce do pisania.

- Co one robią? - zainteresowała się Alice.
- Ważą delfiny - wyjaśnił Murahashi.
- Po co?
- Żeby sprawdzić, czy prawidłowo się rozwijają.

Kącikiem oka David dostrzegł uśmiech na twarzy żony.

Ich apartament - olbrzymi, pełen kwiatów, wyposażony w meble z miodowego drewna drzew tekowych i rattanu - unosił się nad laguną z delfinami i Pacyfikiem. Widok olbrzymiego łóża z baldachimem, przykrytego kołdrą z gęsiego puchu i pościelą z egipskiej bawełny, sprawił, że David poczuł się senny. Rozglądając się, rozsunął szklane drzwi i wyszedł na balkon. Palmy gięły się smagane pasatem. Łopot ich liści mieszał się z krzykami delfinów; potężny *plusk!* - jak ładunek głębinowy - rozchodził się, kiedy zwierzęta kończyły w wodzie swoje igraszki. Po każdym wiwatowała zgromadzona licznie publiczność. Pozwolił, by jego uszy napełnił świst wiatru. Zamknął oczy, po czym znów je otworzył. W oceanie parami pływali nurkowie w maskach. Ich ciała unosiły się na wodzie bezwładnie,

jakby ktoś zestrzelił je z nieba. Z tej wysokości widać było rafę, nad którą się unosili: niebieskozielone cętki. Jeszcze dalej, jakieś kilkaset metrów od brzegu, na piaszczystej łasze stali rybacy, tuż przed linią fal, która łamała się niedaleko, nigdy jednak do nich nie dochodziła. Po wschodniej stronie widać było krater wulkanu wznoszący się w niebo majestatycznie jak starożytne budowle. Roztaczający się przed oczami widok budził pokorę wobec oceanu. Był tak piękny, że David na chwilę się zapomniał.

- Alice? - zawołał, wracając do środka.

Na małym stoliku obok bukietu olśniewająco pięknych białych róż stała urna. W łazience lała się woda.

Zapukał do drzwi. Nie odpowiedziała. Serce podeszło mu do gardła i wszedł do środka. Leżała w wielkiej wannie z hydromasażem rozkręconym na cały regulator. Po policzkach ściekał jej tusz do rzęs. Czy z powodu kąpieli, czy może płakała? Im dłużej byli razem, tym trudniej było mu powiedzieć cokolwiek na jej temat.

- Miło, że zamówiłeś dla mnie kwiaty.

Spojrzała na niego, przywołując na twarz blady uśmiech. Towarzyszący temu wysiłek zdawał się pozbawiać ją całej energii.

Znow stanął, czekając, nie bardzo jednak wiedział na co.

- To najpiękniejsza łazienka, jaką w życiu widziałam - stwierdziła.

Rozejrzał się dookoła. Łazienkę wykończono szarym marmurem i drewnem tekowym. W przeciwległych końcach znajdowały się toaletki, przy których na drewnianych wieszakach wisiały luksusowe szlafroki.

Za szklaną taflą znajdował się prysznic ze słuchawką wielkości frisbee. Ubikacja, umieszczona między prysznicem a wanną, dla zapewnienia prywatności miała zamykane drzwi oraz znajdował się w niej telefon.

- Rzeczywiście - zgodził się David.

- Gdybym miała taką łazienkę, czułabym, że osiągnęliśmy prawdziwy sukces.

Rozejrzała się, jakby na nowo oceniając wnętrze.

- Może kiedyś będziemy taką mieli.

Alice milczała.

- Nigdy nie wiadomo.

- Prawda. Nigdy nie wiadomo.

Nie było już nic do powiedzenia, zostawił ją więc samą w sypialni zadzwonił do Harolda.

- Nie potrafię z nią rozmawiać - wyznał. - Ona ze mną też nie. To jak czarna dziura.

- Tak właśnie ma być, Davidzie. Wszystko idzie świetnie.

- Nie. Jest koszmarnie...

- To minie - zapewnił głosem jak zawsze spokojnym.

David otworzył barek.

- Dziękuję za kwiaty - powiedział, zerkając na przymocowany do bukietu bilecik. Widniało na nim słowo „Kocham”.

- To pan o nich pomyślał, nie ja - stwierdził Harold.

Rzeczywiście. Kiedy przechodzili z Alice obok recepcji, panna młoda fotografowała się z olbrzymim bukietem. Pomyślał wtedy, że gdyby tylko mógł, nie wahałby się wypełnić pokoju kwiatami dla żony.

- Chce pan powiedzieć, że ma pan zdolności telepatyczne?

- Potrafię słuchać.

- Co pan słyszy teraz?

- Niech mi pan powie.

Oczami wyobraźni David zobaczył Alice kołyszącą ich dziecko w ubikacji na pokładzie samolotu. Choć bardzo by chciał, nigdy nie zapomni tego widoku. I było coś jeszcze.

- Muszę panu coś wyznać.

- Co takiego?

- To jak przestępstwo. Ale nie chodzi o coś, co zrobiłem. Nie wiem, jak mam to powiedzieć.

- Dowie się pan, kiedy będzie pan gotowy.

David pomyślał, że to bardzo bliskie miłości - tak bezwarunkowo i niespodziewanie zaufać drugiemu człowiekowi i czuć to zaufanie tak wyraźnie jak głód, który zresztą zaczął mu właśnie doskwierać.

- Zamówił pan stół na kolację? - zapytał Harold. David spojrzął na zegarek. Właśnie minęła szósta.

- Nie.

- O której chcielibyście zjeść?

- Za godzinę, ale możliwe, że będę zmuszony to odwołać. Chcę zobaczyć, jak ona będzie się czuła.

-W porządku.

- A co mamy robić?

-Kiedy?

- Jutro.

- A co chciałby pan robić?r;

- Nie wiem. To Alice zawsze planuje nasze podróże.

- Rozumiem.

- Ja nie mam w sobie wiele ciekawości.;

- To nic złego.

- Podróżuję tylko służbowo.

- Zajmę się tym.

- Ona wszystko planuje.

- Niech pan nie będzie dla siebie taki surowy.

- Ja nigdy nic nie robię.,

- Spokojnie, Davidzie.

Przez chwilę David nie był pewien, czy Harold istnieje naprawdę.

- Niech pan zada mi to pytanie - zachęcił go.

- To nie jest rzecz, nad którą powinienem się teraz zastanawiać.

- Niech pan pyta.

- Czym jest góra Diamond Head?

- To wygasły wulkan. Choć prawdę mówiąc, na Haiti żaden chyba wulkan nie jest naprawdę wygasły.

Później, przy kolacji, Alice zadała to samo pytanie. Jeśli zaimponowała jej jego wiedza, nie dała tego po sobie poznać. Ta krótka wymiana zdań była jak szum tła, krótka przerwa w ich zamyśleniu. Jedyнным tematem, który

przez chwilę ich połączył. Nie mógł się powstrzymać od jedzenia. Nigdy też nie widział, żeby ona jadła tak dużo. Na zakąskę zamówiła kalmary - wielki talerz przeznaczony dla dwojga, który zjadła w okamgnieniu. Potem był tatar z tuńczyka i risotto z okoniem. Wreszcie na deser talerz serów. Przez cały posiłek wsłuchiwał się, jak Alice oddycha głośno nosem.

- Co będziemy robili jutro? - zapytała, opróżniwszy ostatni talerz.

- To niespodzianka - odparł.

- A jeśli nie spodoba mi się twoja niespodzianka?

- To zrobimy coś innego. Powiesz mi, co chcesz w zamian.

- A jeśli chcę wracać do domu?

- Dobrze.

- Ale teraz. Jeszcze dziś wieczorem.

- Dobrze.

- Przestań ciągle się ze mną zgadzać, do kurwy nędzy! Przestań być taki uległy!

Czekał. Jej gniew był tak niepohamowany, że bał się ruszyć.

- Nie próbuj zamienić tego w doskonałą zabawę - zażądała.

- Nie próbuję.

Westchnęła, po czym obojętnie zmięła serwetkę.

- Myślę, że powinniśmy przez jakiś czas tu zostać - stwierdził. - Po prostu chcę trochę poczekać.

Potem Alice nie powiedziała już nic.

W nocy obudził go szloch. Chwilami zanosila się płaczem tak głośno, że zaczął się obawiać, iż do drzwi zastuka ochrona hotelu. Próbował ją przytulić, za każdym razem jednak okładała go łokciami, w końcu więc zrezygnował i wstał z łóżka. Fizyczny dystans między nimi wydawał się ją trochę uspokajać. Leżała na brzuchu, łkając w poduszkę. Jej plecy falowały od spazmów. Wyszedł na balkon, czując, jak smutek zapiera mu dech w piersiach.

Po kilku minutach wrócił do środka.

- Odezwij się do mnie - poprosił. - Odezwij się!

Czekał. Alice znieruchomiała. Po chwili podniosła się na kolana. Zwinęta pościel wyglądała u jej nóg jak piedestał.

- Nie każ mi tego mówić - jęknęła.

Wyszedł z pokoju, zszedł na dół do baru i pił tak długo, aż zaczęły mu się zamykać oczy. Kiedy wrócił, spała.

Obudził się w nocy, czując, że nie ma jej obok. Drzwi na balkon były otwarte, pokój wypełnił się odgłosem wiatru i palm, a firanki falowały delikatnie jak macki meduzy. Krzyknął jej imię, ale strach uwięził mu powietrze w krtani. Był pewien, że wyszła na balkon, żeby skoczyć; tak bardzo pewien, że gdy wstał, bał się wyrzeć i sprawdzić. Wyobrażał sobie jej ciało na dole w świetle księżyca, białe i przez nikogo niezauważone. Pomyślał, że nie byłby to taki najgorszy rodzaj śmierci, i przez chwilę sam się zastanawiał, czy nie skoczyć. Wyobrażał sobie spokój, który by zyskał. Jak długo trwałby taki lot? Zastanawiał się też, jak wyglądałby powrót do domu bez niej, bez niczego: powrotny lot, taksówka z lotniska, drzwi wejściowe i mieszkanie. „Jak by to było: nigdy więcej nie usłyszeć jej głosu? Coś w rodzaju samotności - przypuszczał, kierując się tym, co czuł w tej chwili - bliskiej wręcz samounicestwieniu". Nie potrafił nawet jej sobie wyobrazić. Człowiek zakochany nigdy nie pamięta, jak to było, kiedy jeszcze miłości pragnął. Człowiek zakochany nie umie myśleć o świecie, w którym tej drugiej osoby już nigdy nie będzie. Gdy zaś idzie o dziecko, to zanim się urodzi, mamy czas, żeby się na nie przygotować. Nie wie się nic, dopóki się nie narodzi. Wszystko jest nowe.

Zszedł na dół, żeby jej poszukać. Sklepy były pozamykane, z opuszczonymi żaluzjami w wejściu. Na recepcji dyżurująca Japonka wypełniała jakieś papiery. Spojrzała na Davida, uśmiechnęła się zdecydowanie zbyt szeroko jak na tę porę - trzecia nad ranem - i wróciła do pracy. Hawajczyk polerował podłogi. Pracownik baru przygotowywał ekspresy do kawy i ustawiał pojemniki z przyprawami, popychając przed sobą wózek, na którym leżały gazety z całego świata. David wyszedł na wielki taras, ten od strony laguny z delfinami. Dostrzegł Alice w pasażu na dole.

Stała między dwoma zbiornikami z brodą opartą na rękach, które skrzyżowała na barierce. Wiedział, że słyszy jego kroki, nie odezwała się jednak, kiedy zatrzymał się obok. Było wilgotno, ale chłodno. Nawet po ciemku widział grudki gęsiej skórki na jej ramionach. Oparł się o barierkę i czekał, zbyt wystraszony, żeby ją objąć. Od czasu do czasu na powierzchni wody pojawiały się delfiny, szare sylwetki na czarnej wodzie, wydychając powietrze ze świstem.

- Chyba nie mogę wrócić - powiedziała.

- Wrócić dokąd?

- Do domu.

Zastanawiał się przez chwilę, czy delfiny, które spędzały wśród ludzi tyle czasu, tak samo się interesują człowiekiem, jak on nimi.

- Wolałabyś zostać tutaj?

- Nie sędzę.

- Dokąd więc byś pojechała?

- Nie wiem. Ale boję się naszego mieszkania. Śniło mi się, że do niego wchodzimy i ten sen mnie obudził.

-Dlaczego?

- Bo jak stamtąd wychodziliśmy, to on był we mnie. -

Nie odzywali się do siebie przez minutę, może dwie.

- Zabierzesz mnie ze sobą? - zapytał David.

- Nie wiem - odparła.

Czuł przepływające obok delfiny: impuls energii, która nawet nie marszczyła powierzchni wody, jeśli nie liczyć delikatnych śladów za ogonem, widocznych, kiedy niewielkie fale podnosiły się nagle nad skałami pokrywającymi dno na płyciznach. Ale one nigdy nie przełamywały tafli, a tylko delikatnie ją rozciągały, jak firankę, nad głowami i ogonami zwierząt.

- Jak to jest? - zapytał.

-Co?

- Być w ciąży.

- O co ci chodzi?

- Co się wtedy czuje?

Przypomniął sobie, co Harold mówił mu o słuchaniu. Są oczywiście różne rodzaje słuchania, a raczej różne rodzaje niesłyszanych dźwięków: leżący pies, zziębnięty w oczekiwaniu, aż się go zawoła; cisza w domu po kłótni; stadion, z którego wychodzą kibice przed końcem przegranego meczu; zabawki czekające w pokoju, aż przyjdzie po nie dziecko; szeptem kusząca nas książka na półce. Usłyszał, jak Alice się odprężyła. Cokolwiek kłębiło się w niej, najwyraźniej przestało wirować, przynajmniej na chwilę.

- Czułam, że jestem wyjątkowa. Nie wiem, jak inaczej to opisać. Masz wrażenie, że świat jest lepszy. Że to coś w tobie sprawia, że żyjesz bardziej.

Jego wiele kosztowała rozmowa z nią, ona natomiast się zmuszała, żeby na niego patrzeć.

- Chcę wracać do łóżka - oznajmiła.

Następnego dnia spali do późna. David zamówił kawę i zaproponował, żeby coś zjedli.

- Dobrze - zgodziła się. - Umieram z głodu.

Zadzwonili z recepcji, żeby potwierdzić rezerwację na pływanie z delfinami o wpół do jedenastej. Kiedy jej o tym powiedział, wydawała się zadowolona.

Do śniadania zasiedli na zewnątrz, na tarasie z widokiem na ocean. Alice wybrała z bufetu zwijane w długie cygara naleśniki w syropie, szynkę, ser i omlet ze szczypiorkiem, smażony zawsze na konkretne zamówienie. Drugi talerz zapełniła owocami, bekonem, szynką parmeńską, a nawet kilkoma kawałkami sushi. David miał problemy żołądkowe po poprzedniej nocy, wziął więc tylko owsiankę i kawę.

- Posiedźmy tu chwilę - zaproponowała, odwracając się twarzą do wody.

Pojawił się kelner, zamówiła kolejny koktajl mimoza, po czym rozsiadła się, gładząc brzuch.

- Mój Boże - wyszeptała wpatrzona w Pacyfik.

Nie pytał.

Nie zapytał też, co powiedziała trenerka delfinów, która bardzo ją rozśmieszyła, kiedy brodziły obydwie pośrodku laguny. Ucieszył się tylko, że chyba jest szczęśliwa. Trenerka pokazała im oraz kilku innym gościom kilka sztuczek - delfin wirował jak nakręcony bąk, z ponad połową ciała wynurzoną z wody; mknął do tyłu w podobny sposób, przecząc prawom grawitacji; przynosił trzy obręcze, rzucone w trzech różnych kierunkach, zbierając każdą, jak się zdawało, dokładnie w chwili gdy dotykała powierzchni wody - po czym tylko Alice zabrała na środek zbiornika. Na małej wysepce znajdowała się budka, w której goście zgłaszali się przed zabawą z delfinami i gdzie zakładali kamizelki ratunkowe z napisem SEA QUEST. David wszedł do połowy wąskiej drabinki, która tam prowadziła, żeby zrobić zdjęcia. Poranne słońce przybrało lagunę tysiącami drogich kamieni, których blask zmiękczał każde ujęcie, nadając mu cukierkowo-pocztówkowy wygląd, ale radość na twarzy żony rekompensowała to po wielekroć: dzięki niemu zdjęcia były naturalne i bardzo osobiste. Obserwując, jak Alice cieszy się z każdej sztuczki delfinów oraz słucha trenerki i odpowiada tej kompletnie obcej kobiecie, brodząc obok niej w wodzie, David miał rzadką okazję zobaczyć, jak wygląda Alice w świetle bez niego

- jak doświadcza tej wielkiej niepohamowanej radości, którą tak rzadko mogła się cieszyć i w którą nigdy tak naprawdę nie potrafiła uwierzyć. Przypomniawszy sobie jej opowieści z dzieciństwa, dotkliwą samotność, poczucie, że jest niechciana; i przekonanie zbudowane na samym rdzeniu jej osobowości, że nie zasłużyła na prawdziwą miłość. Alice broniła się przed radością. Ich dziecko zniszczyło mur, którym się przed nią otoczyła, rozbiło go w pył jak ściany Jerycha. Z podziwem przyjmował fakt, że teraz, tak krótko po tym, co się stało, znalazła w sobie dość siły, żeby się oddać bez trosk zabawie tu i teraz.

- Chyba dobrze się bawiłaś? - powiedział, witając ją przy wejściu do laguny.

Wycisnęła wodę z włosów i zdjęła z siebie kamizelkę ratunkową.

- A można się bawić źle? - odpowiedziała pytaniem.

Później pojechali taksówką do Waikiki, choć gdy tylko tam dotarli, David zrozumiał, że popełnił poważny błąd. Nic nie było tu piękne, nic nie zaprzętało umysłu widokiem. Waikiki wyglądało jak każde centrum handlowe w amerykańskim mieście, a patrząc w dół Kalakaua Avenue można było pomyśleć, że się jest w Atlancie albo St. Louis. David i Alice błądzili po uliczkach bez celu, mijając jakże znane szyldy: Tiffany's, Banana Republic, Gap, Niketown, Brooks Brothers, Gucci, Bebe, Aber-Crombie & Fitch, między które powciskano liczne sklepy z bawełnianymi koszulkami, a od czasu do czasu olbrzymie hybrydy, sprzedające tanie koszulki do surfowania, orzeszki macadamia, syrop kokosowy (David kupił trochę), czapki i kapelusze oraz okulary przeciwsłoneczne, wino, piwo, mocniejszy alkohol. Na końcu urządzono targowisko - w budkach z liści palmowych i prawdziwego bambusa wciskano tam turystom śniegowe kule z widoczkami, wieńce hawajskie, spódniczki z trawy, kostiumy kąpielowe, kiczowate wyroby ludowe i imitacje hawajskiej rzeźby - od totemów po delfiny i orki, plakietki z napisem Hang Ten! Były też budki, gdzie robiono zdjęcia, podawano potrawy, sprzedawano płytki, turkusy i srebrne pierścionki, zęby rekina, szylkretowe naszyjniki, koraliki puka nadziane na pale długie jak szyje Afrykanek - miejscowe bibeloty noszone przez ludzi bez gustu albo bez charakteru, wytwarzane w jakiejś fabryce schowanej gdzieś na kontynencie, albo przez hinduskie czy chińskie dzieci.

Alice także się to nie podobało.

- Nie chcę stąd niczego - oświadczyła.

- Wiem.

- Nie interesują mnie zakupy. A już na pewno nie będę kupowała takich śmieci!

- Nie sądziłem, że będziesz.

- Chcę się napić - stwierdziła. - I usiąść gdzieś na chwilę.

Jeden z hoteli przy Mamala Bay miał na patio restaurację z niewygodnymi, żelaznymi krzesłami i kelnerami w wieku co najwyżej kilkunastu lat. Na karcie rumów Cruzan widniały słowa MAI TAI! Piwo przyniesiono Davidowi w przezroczystym plastikowym kubku. Pomyślał, że tandetne naczynie niebawem wyląduje w oceanie wraz z innymi śmieciami. Małe ptaki atakowały każdą drobinę jedzenia, która spadła na ziemię, i chmarami obsiadały talerze, które pomocnicy kelnerów zmywali zbyt wolno. David doliczył się zadziwiająco wielu otyłych ludzi.

- Umieram z głodu - powiedziała Alice, przeglądając menu.

Z patio mieli wspaniały widok na plażę Waikiki, ten sławny kawałek piasku, który widział chyba każdy w kinie, w telewizji albo na pocztówkach. Waikiki Beach, chyba równie wszechobecna jak Wielki Kanion, widziana z tak bliska wydawała się znacznie poniżej oczekiwań - mała i banalna. Wszędzie szaleli surferzy - chłopcy i dziewczyny, starzy i młodzi, blisko plaży i daleko od brzegu, ujeżdżający fale aż po horyzont. Plażowicze pływający o własnych siłach i z deską manewrowali między katamaranami i wielką łodzią, pędzącą do brzegu z zawrotną prędkością, a nad ich głowami krążyły małe samoloty. Panował tam okropny tłok, jak na czarno-białych zdjęciach Coney Island z lat czterdziestych, pokazujących plażę tak zapelnioną ludźmi, że nie widać było pomiędzy nimi piasku. Nie było najmniejszego powodu, by się pchać w ten tłok, chyba że chciało się ponarzekać, że inni plażowicze rozłożyli się zbyt blisko. David pomyślał, że korzystanie z tej plaży byłoby jak jazda metrem w godzinach szczytu dla przyjemności i że ratownicy, obserwujący wodę ze swoich wieżyczek, nie mają szans dostrzec tonącego wśród takiej masy głów, ramion i nóg. Pod tym kątem szczyt Diamond Head wydawał się wręcz przytłoczony tłumem plażowiczów i wieżyczek ratowniczych. Majestatyczna góra mogłaby teraz posłużyć za symbol amerykańskiej brzydoty i miernoty.

- Koszmar - stwierdziła Alice.

To się nazywa małżeńska telepatia. Dezaprobata nie odebrała jej jednak apetytu. Do cheeseburgera z bekonem wzięła sałatkę szefa kuchni, daiquiri

bananowe i kawałek ciasta cytrynowego. Kiedy zamówione dania znalazły się na stoliku, zjadła wszystko bez chwili przerwy, nie zostawiając niczego dla ptaków.

- Niemożliwe, żeby Hawaje tak wyglądały - powiedziała w końcu.

- Doskonale cię rozumiem.

Tylko tyle z nich zostało?

- Nie, na pewno nie.

- Przecież nie przyjechaliśmy tutaj dla czegoś takiego.

Zaczęła płakać.

- Nie przyjechaliśmy. Daję słowo!

- W takim razie zabierz nas stąd - zażądała.

Kiedy wrócili do hotelu, Alice zarezerwowała kabinę plażową. Powiedział jej, że chce chwilę odpocząć w pokoju i dołączy do niej później.

Jak tylko wszedł na górę, chwycił za telefon, żeby zadzwonić do Harolda.

- Musimy pojechać gdzieś indziej - oznajmił mu. - Daleko od tego zgiełku.

Pojechali na Kauai.

Choć początkowo o tym nie wiedział, wyspa Kauai była dokładnie tym, czego Alice potrzebowała, czego szukała, odkąd zmarło ich dziecko - choć nawet ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki tam nie przybyli.

Położona zaledwie pół godziny lotu od Honolulu, najbardziej wysunięta na zachód archipelagu, okrągła wyspa o obwodzie niespełna stu pięćdziesięciu kilometrów składa się głównie z gór i obszarów nie-nadających się do zagospodarowania. Przy odprawie na lotnisku David dostał - znów za sprawą Harolda - broszurę z mapami i informacjami turystycznymi tak grubą, że mógł jedynie pobieżnie ją przejrzeć, oraz klucz do apartamentu na północnym wybrzeżu.

Alice nie szukała piękna, choć było go tam w nadmiarze. Później, oglądając zdjęcia z tej podróży, co robił dość często, David dochodził do wniosku, że nie oddają one nawet części piękna wyspy Kauai.

Choćby widok z ich balkonu, położonego na klifie setki metrów nad oceanem. Wysunięta daleko na północny wschód stała latarnia przypo-

minająca kształtem butelkę do karmienia niemowlęcia, z tej odległości nie większa od paznokcia. Zdjęcia nie zdołały oddać samotności tej małej, czerwono-białej wieży ze szkłem laterny przypominającym skorupę małża, która Davidowi wydawała się idealnym miejscem do życia dla wszystkich tych, którzy chcieliby schować się przed światem.

Na zdjęciach nie było też widać przerażenia, z jakim David wpatrywał się w gwiazdy nocami, kiedy Alice płaczem utulała się do snu, a jej żalosne jęki i zawodzenia, przypominające wycie starego silnika uruchamianego bezskutecznie raz za razem, dobiegały przez zamknięte drzwi na balkon, nawet jeśli zatkał uszy. Nigdy wcześniej nie widział takiego ogromu roziskrzonego nieba. Ale też tak niespokojnego: każdej nocy obserwował dziesiątki spadających gwiazd, a raz nawet był pewien, że przemknęła kometa, ponieważ przemieszczała się nad horyzontem wolniej, ciągnąc za sobą wyraźnie błyszczący ogon i zmierzając nieuchronnie do zderzenia - kto wie, z czym, kiedy i ile lat świetlnych stąd. To niebo nie było usiane gwiazdami, było nimi zavalone, a widziany stąd wszechświat wydawał się sceną eksplozji - tych, które się wydarzyły i tych, do których omal nie doszło. Żadne zdjęcia nie mogły oddać stanu umysłu Davida, tych pełnych niepokoju minut i godzin, które przeżył na pół sparaliżowany myślą, że skoro w dotychczasowym życiu nie przytrafiło mu się naprawdę nic złego, śmierć dziecka jest dopiero początkiem, że reszta jego życia okaże się pasmem cierpień nękających go bezustannie, dopóki nie wyda z siebie ostatniego tchnienia. Na zdjęciach nie widać też było ani niewiarygodnej czerwieni światła słonecznego rano, ani wielkiej ulgi, jaką dawały mu te pierwsze promienie, kiedy leżał na samym brzegu małżeńskiego łóżka.

Zdjęcia nie uchwyciły okazałości kanionu Waimea, ciszy jego czerwono-brązowych skał, potęgowanej jeszcze widokiem odległych o wiele mil i wysokich na dziesiątki metrów wodospadów, których kaskady z tej odległości wyglądały jak niteczki, choć wciąż dawało się dostrzec ruch ich połyskujących warkoczy, a umysł płatał figla, podsuwając złudzenie, że słyszc ich odległy huk. Nie pokazywały, jak to jest z wysokości sześciuset metrów obserwować kozy w dolinie albo wyobrażać sobie, że poznało się tutejsze życie w dawnych latach, że się przybyło tu z Polinezyjczykami, a postawiwszy nogę na tej ziemi, myślało się, że to musi być raj; popuścić wodze fantazji i polować na te wszystkie zwierzęta. Zrozumieć, że właściwe jest życie oparte na przetrwaniu, a nie miłości. Że uzyskawszy to

zrozumienie, wszystkie apokaliptyczne sny postrzega się jako żalną tęsknotę za taką właśnie prostotą. Na zdjęciach nie zachowała się też powaga, z jaką stwierdziła beznamiętnym głosem, patrząc w otchłań przepaści, że nie czuje się już kobietą i jeśli to poczucie do niej nie wróci, to chce umrzeć.

Patrząc na zdjęcia, nie dało się też prawdziwie ocenić, jak urwiste było zejście do Hideaway Beach w Princeville z rozchwianymi metalowymi barierkami przy betonowych schodach, stromych jak wejście na strych; zaczynały się dosłownie pod krawędzią klifu, jakby dom, do którego prowadziły, spadł do oceanu. Ostatni szczebel się urwał i trzeba było zeskaکیwać na ścieżkę, co prowadziło do śmiesznych, a jednocześnie przerażających sytuacji. Nie można było na zdjęciach dostrzec, jak śliski był wznoszący się i gwałtownie spadający w dół szlak, który się pokonywało, parząc dłonie linami, niemal spuszczać się na nich, ryzykując, że się spadnie kilkadziesiąt metrów w dół, obijając po drodze o twarde jak skała palmy. Zdjęcia nie przekazywały obawy o własne bezpieczeństwo, która towarzyszyła wszystkiemu, co piękne na wyspie Kauai: fala odpływu mogła zanieść prosto w pułapkę czyhających rekinów tygrysich. Wszędzie wokół czaiła się otchłań Pacyfiku, gotowa w każdej chwili porwać turystę.

Zdjęcia nie potrafiły przekazać siły prądu wody przy plaży Ha'ena Beach, zbyt niebezpiecznej do kąpieli, gdzie jeden obok drugiego stały znaki ostrzegające przed gwałtownymi uskokami dna przy brzegu: kreskowy ludzik porywany przez kreskową falę. (Nic dziwnego, że na ulicach nie widuje się kreskowych ludzików. Wszyscy ci idioci się potopili - zażartował David, chcąc rozbawić Alice.) NIEBEZPIECZNE ZWIERZĘTA MORSKIE - głosił napis na innych tablicach. NIE ZBLIŻAĆ SIĘ DO MNISZEK HAWAJSKICH! NIGDY NIE ODWRACAJ SIĘ TYŁEM DO OCEANU! Wykonane przez Davida zdjęcia nie przekazywały niewidocznej prędkości płytkiego ujścia rzeki, którą pewnego popołudnia próbowali przekroczyć, żeby się przedostać do rafy po drugiej stronie: trzymali się za ręce, a rzeka wyrywała spod nich stopy i spychała ich w stronę olbrzymich fal, jakby chciała pożreć. Szczęśliwie wylądowali w końcu na płyciźnie, ostatnim bezpiecznym skrawku między rzeką a oceanem. (Dopiero później, już uspokojeni, mogli się z tego śmiać). Zdjęcia nie umiałyby opowiedzieć, jak cudownie było oglądać trzech hawajskich chłopców, najwyżej dwunastoletnich, ujeżdżających te same olbrzymie fale na deskach, podziwiać, z jak wielkim opanowaniem odrywali się od moła, z

jaką pewnością podpływali tak blisko do groźących im rozbiciem skał, jak odporni się wydawali na prądy i pływy. („Jakby unosiła ich siła wybuchu” - stwierdziła Alice.) Nie oddałyby też wspaniałości tęczy, która pojawiła się całkiem niespodziewanie, by połączyć łukiem wodę i piasek; unosiła się nisko jak sufit i rozpościerała szeroko jak autostrada, uciekając przed dłonią Alice, kiedy próbowała jej dotknąć.

Zdjęcia dawały tylko odległe wyobrażenie spokoju kilkusetmetrowego zejścia na plażę Secret Beach, pokrytego gładzami i płataniną korzeni, prowadzącego pod dachem drzew tak gęstych, że całkowicie zasłaniały ocean oraz tłumiły jego dźwięki. Nie umiały oddać, jak nieprawdopodobnie zachwycająco wyglądała para idąca tamtędy naprzeciwko nich. Mężczyzna był wysoki, o rudawozłoty włosach, wyrazistych rysach, nieogolony. Niósł pod pachą deskę surfingową i przeskakiwał z kamieni na korzenie ze zwinnością kozicy. Jego hawajska żona, jakby dla potwierdzenia, że jest tutejszą księżniczką, wplotła we włosy lilie. Ich bosy syn szedł tuż za nimi - długowłosego chłopczyk w koszulce z logo Rip Curl. Kiedy David zobaczył, jak Alice przystaje, by przyjrzeć się cudzemu synowi, odniósł wrażenie, że patrzy, jak strzała przeszywa serce jego ukochanej albo jakby ich mijala własna potencjalna przyszłość.

Nigdy nie sfotografował urny, choć przez cały czas wiedział, gdzie ona się znajduje. Alice postawiła ją na małym stoliku przy wyjściu na balkon. Obok niej trzymała w małym dzbanku orchideę, której płatki były tak niebieskie, że wydawały się podświetlone od wewnątrz.

Zdjęcia doskonale natomiast pokazywały wagę, którą Alice zyskała przez dwa tygodnie pobytu. Prawie siedem kilogramów zaokrągliło jej policzki i pogrubilo nogi. Gdyby złożyć wszystkie fotografie i przekładać szybko w kolejności chronologicznej, jak w kinematografie, stworzyłoby się kolejny film z cyklu przed i po. Każdy ogromny posiłek kończył się tak samo: rozwalala się wygodnie na krześle i wzdychając, gładziła po brzuchu. Wśród setek zdjęć było tylko jedno, które uwieczniło ich razem. Powstało podczas wycieczki wzdłuż wybrzeża Na Pali pod koniec pobytu na wyspie. Wędrówka zaczęła się nad Ke'e Beach, przy samym końcu autostrady, która okrązała niemal całą wyspę z wyjątkiem właśnie tego kawałka: niespełna dwudziestu sześciu kilometrów wysokich erodujących skał urwistego wybrzeża. Szlak prowadził po zboczu, dziesiątki metrów nad plażą. Przejrzawszy mapy i przewodniki turystyczne, które otrzymał od Harolda, David

oświadczył Alice, że mają trzy możliwości. Mogą przejść niecałe pięć kilometrów do Hanakapi Beach i wrócić; mogą iść trzy kilometry dalej do Hanakoa Valley, co zajmie im cały dzień w obie strony, mogą też, jeśli Alice ma ochotę na naprawdę ambitną wycieczkę, pokonać kolejne pięć kilometrów za doliną i dojść do Kalalau Beach, plaży tak odosobnionej i chronionej, że obowiązuje tam zakaz przybijania łodziami. Tam musieliby spędzić noc, co wymaga specjalnego pozwolenia i oczywiście odpowiedniego ekwipunku. Ostrzegł, że na każdym kolejnym etapie ścieżka staje się coraz trudniejsza. Na niektórych odcinkach jest nawet tak wąska, że najmniejszy deszcz uniemożliwia wędrówkę.

Wyjaśnienia te przekazywał jej z obojętnością graniczącą z pogardą. Wyczerpany, wykończony przeplakiwanymi bez końca nocami, przestał się przejmować. Oczywiście przyznawał Alice prawo do tak wielkiego smutku, dość miał jednak tego, że najpierw każe się pocieszać, a potem, kiedy on już to robi, wylewa na niego całą swoją złość. Miał dość spania w drugiej sypialni, dość tego, że Alice na niego nie patrzy i nie pozwala się dotykać, i nie mówi tego, co powinna i chce powiedzieć. Chciał wracać do domu - razem z nią, gdyby sobie tego życzyła. Kiedy więc Alice się rozpromieniła i stwierdziła, że chce się wybrać na dwudniową wycieczkę i pokonać prawie dwadzieścia kilometrów, David był kompletnie zaskoczony. Choćby dlatego, że podczas takiej ekspedycji będą musieli ze sobą rozmawiać. Polegać na sobie nawzajem.

Harold przez telefon odradzał mu tę wycieczkę. Tylko doświadczeni turyści wąż się na tak trudną trasę. Co rok kilka osób traci tam życie. Harold twierdził, że wycieczka do Hanakapi jest wystarczająco trudna, by dać im poczucie sukcesu. Żadną miarą nie chciał zaaprobować tego pomysłu.

Ponadto zostały im zaledwie trzy dni do wyjazdu. Był późny ranek. Umówili się już po odbiór ekwipunku na wędrówkę, która tak bardzo ożywiła Alice:

- - Zawsze chciałam zrobić coś takiego - stwierdziła.

David znalazł ją na balkonie. Właśnie wróciła z plaży, gdzie poszła popływać. Stała tyłem do niego. Przez okno w kuchni obserwował tłuste wałki nad jej biodrami oraz grube łydki. Czuł tę dodatkową wagę za każdym razem, kiedy podawał jej rękę, pomagając na ścieżce z plaży do ich domku. Odsunął drzwi i stanął obok niej przy barierce.

- Chcę porozmawiać o tej wycieczce - zaczął.

Przedstawił swoje racje, wyjaśniając, że konsultował się z miejscowymi, co doprowadziło go do przekonania, że wyprawa jest zbyt ryzykowna.

- A niby od kiedy się przejmujesz, czy coś jest bezpieczne? - odpała.

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz.

-Nie wiem.

Skrzyżowała ramiona.

- Co jest, Alice? - dopytywał się. - Może po prostu mi powiedz!

-Nieważne.

David przycisnął obydwie nadgarstki do oczu.

- Nie zniosę tego dłużej - powiedział. - Ja już normalnie... Ja już...

- Co już? - wpadła mu w słowo. ,

Nie miał pojęcia.

- Co chcesz zrobić? - zapytał zrezygnowany.

- Chcę iść - odpowiedziała. - To Everest pieszych wędrówek, tak? Chcę to zrobić. Muszę wreszcie coś zrobić.

- Nie, proszę!

- Zabierz mnie na tę wyprawę albo pójdę sama.

Słyszał ją, ale nie słuchał, a przynajmniej nie tak, jak radził mu Harold. Wyobraził sobie wąską ścieżkę dziesiątki metrów w górze, ich dwoje dźwigających ciężki sprzęt i spadający nagle deszcz: Alice idzie przed nim, stawia stopę na śliskim kawałku skały i już jej nie ma.

Oczywiście, że ją zabierze. Choćby po to, żeby widzieć, jak rezygnuje w połowie drogi.

- Dobrze więc, pójdziemy - zdecydował.

Uzyskał specjalne pozwolenie i do końca dnia skompletowali cały ekwipunek. Zanim jednak wyruszyli, David zarządził, że muszą się też spakować przed wyjazdem do domu i poczynił niezbędne ustalenia.

Wzięli taksówkę, ponieważ regulamin Ke'e Beach zabraniał zostawiania tam samochodu na noc. Siedzieli obok siebie w milczeniu, mknąc na zachód obok najbardziej wysuniętego na północ punktu na wyspie. Droga na zmianę opadała i wspiwała się gwałtownie, na wzniesieniach pokazując im ocean prześwitujący między drzewami, których dla ratowania życia mógłby się łapać nieszczęśnik, gdyby spadł ze ścieżki. Przejeżdżali przez wąskie

mosty, pod którymi strumienie z widoczną siłą pędziły do oceanu, mijając tubylców - siedzieli przed marnymi chałupami obok ręcznie wymalowanych napisów, reklamujących MAPY albo WYCIECZKI Z PRZEWODNIKIEM, na tle poustawianych rzędów kajaków albo desek surfingowych.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie dbam o bezpieczeństwo? - zapytał w końcu David.

Alice, siedząca od strony oceanu, wyglądała przez okno na każdym ostium zakręcie, żeby spojrzeć w dół.

- Naprawdę masz zamiar znowu to wyciągać? - odpowiedziała mu pytaniem.

- Tak, mam.

- W takim razie przez cały dzień będziesz rozmawiał sam ze sobą.

Zamknął oczy i pokiwał głową. Gdyby mógł zabrać ją w jakieś ustronne miejsce, w którym byliby tylko we dwoje, zabiłby ją. Spuściłby na jej głowę kamień, rozbijając jej czaszkę tylko po to, żeby choć na chwilę zobaczyć, co, do kurwy nędzy, siedzi w jej głowie.

Ke'e Beach aż pękała w szwach od wędrowców, surferów i amatorów nurkowania z maską. Wejście na plażę kryło się w ciemności, spowite górską roślinnością zasłaniającą widok na ocean po prawej stronie. Prowizoryczny parking wypełniały samochody postawione pomiędzy starymi korzeniami, które jak olbrzymie pytony wily się dosłownie wszędzie, przekrzywiając auta pod dziwnymi kątami - wyglądały jak porzucone, zwłaszcza te bardziej zniszczone i ubłocone. Rozwścieczony David wysiadł z taksówki i puścił się pędem do wejścia na szlak, zostawiając Alice, która zapłaciła za kurs i mruzczała coś pod nosem, próbując za nim nadażyć. Rzucił okiem na przewodniki oraz mapę, czując, jak adrenalina zagłusza w nim strach. Szlak piął się pionowo do góry, niczym klatka schodowa w drapaczu chmur; z dołu wyglądał jak zamarznięta rzeka pełna kamieni. David się odwrócił, żeby spojrzeć na Alice, która właśnie się zatrzymała, poprawiając szelkę plecaka i ponownie wiążąc sznurówkę w bucie. Pomyślał, że żona wyraźnie lekceważy czekające ich trudności. Kiedy założyła szelki na ramiona i podniosła plecak, pod ciężarem bagażu zatoczyła się lekko do tyłu. Przewróciła oczami z rozdrażnieniem, przeklinając pod nosem - jakby dotarła tu wbrew swej woli. Na ten widok Davida ogarnęło obrzydzenie. Wiedział, co nastąpi za chwilę: awantura i kubły jadu. Uporała

się w końcu z plecakiem, zapięła klamrę na brzuchu i spojrzała na niego. Gestem wskazał ścieżkę i zaczął się wspinać.

Na pierwszym wzniesieniu narzucił szybkie tempo, gnany złością i obawą. Dziеляcy ich dystans wzrósł do ponad dwudziestu metrów. Nie miał ochoty z nią rozmawiać. Jego nie obchodziło, czy wyprawa jest bezpieczna? Przecież to ona go zmusiła, żeby ją tu zabrał. Siny ze złości parł do przodu coraz szybciej. Kiedy w końcu spojrzał do tyłu, odległość między nimi była jeszcze większa, ona jednak szła, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Wiedział, że Alice doskonale zna powody jego zachowania. To było wyzwanie, zabawa w „kto pierwszy stchórzy”. Im szybciej będzie szedł, tym szybciej ona się podda, a tym samym staną się bezpieczni.

Ona jednak szła dalej. W końcu sam musiał zwolnić, nie tylko ze względu na trudność wspinaczki, ale też nieodparte piękno wybrzeża Na Pali. Podchodząc pod górę, widział ścieżkę pełną głazów, na które musiał się wspinać, po których się ześlizgiwał albo które obejmował, poprzecinaną strumieniami i korzeniami, o które się potykał, przez co plecak przesunął się bliżej głowy i przygniatał, wymuszając upadek. Przed ześlizgnięciem i odniesieniem poważniejszych obrażeń chroniła go wtedy tylko pochyłość szlaku - uznał to za wartę zapamiętania na drogę powrotną! Na najbardziej stromych odcinkach jedyny widok stanowił szlak ciągnący się przed nim. Gęste listowie blokowało dopływ światła słonecznego i wiatru, tworząc pokrywę, która zatrzymywała wilgoć. Wyżej, na polanie, wiatr zaatakował go z całą siłą, studząc emocje, słońce natomiast osuszyło mokrą od potu koszulę. W dole po prawej miał Ke e Beach z plażowiczami wielkości przecinków; przed sobą żłobkowane klify wybrzeża sterczące jeden przy drugim jak palce jakiegoś gigantycznego gada, o zboczach porośniętych roślinnością tak gęstą, że z tej odległości przypominała futro. Z tego miejsca rozciągał się widok na wiele kilometrów w dal. Tam gdzie skały zanurzały się w wodzie, otaczał je biały azur fal.

Roztaczający się z tego miejsca widok uspokoił go, a długa wspinaczka pomogła oczyścić umysł. Kiedy się zatrzymał, gotów był wyrazić skruchę. Wiedział, czego chce: odzyskać żonę. Potrzebował jej. Chciał, żeby już stąd wyjechali, i to razem. Najwyższy czas to skończyć. Spojrzał w dół zbocza. Alice z wysiłkiem pięła się pod górę. Kiedy się z nim zrównała, najwyraźniej także ona odkryła nagle, że rośliny rosną tu znacznie rzadziej. Do-

strzegła też, że na nią czeka. Zatrzymała się. Postanowił ją przeprosić, jak tylko się z nim zrówna, pewien, że tak piękny krajobraz zmiękczy i ją.

- Tylko na to popatrz! - powiedział, kiedy stanęła obok niego.

- Pierdol się! - warknęła, ruszając w dalszą drogę. Po chwili zniknęła za zakrętem.

David mrugnął oczami, roześmiał się niepewnie i pośpieszył za nią.

Niebawem znalazł się tuż za jej plecami. Wolałby iść obok niej, ścieżka była jednak zbyt wąska: skały po lewej, ostry spadek po prawej. Z powodu plecaka widział tylko jej łydki, a gdy zaczynała gestykulować - łydki i ramiona.

- Ja mam się pierdolić? - przemówił do plecaka. - Co znowu zrobiłem?

- Nawet nie licz na rozmowę - ucięła.

- Na rozmowę? Nie rozmawiamy, odkąd tu przyjechaliśmy.

- Bo nie chciałeś.

- Nie marzyłem o niczym innym.

- Tak? Przecież nic nie mówisz. Powtarzasz tylko to, co ja powiem.

- Czekam, aż ty zaczniesz.

- Proszę cię!

- Przede wszystkim czekam, aż zaczniesz na mnie patrzeć!

- Oczywiście! Znowu moja wina.

- Żebyś wiedziała.

- Jasne, zawsze jest moja wina - szydziła, odwracając się lekko w jego stronę. Złączyła kciuki z palcami wskazującymi. - Jestem dla ciebie trę-dowata.

- Chryste Panie! Dałabyś spokój!

- Trę-do-wa-ta!

- Czy możesz sobie podarować te teatralne teksty? Na chwilę przerwać ten melodramat, choćby dla odmiany? Żebym nie musiał ciągle być tym, który najpierw czeka, a potem przeprasza?

- Ty i twoje jebane przeprosiny! Sądziysz, że potrafią cofnąć wszystko, co się wydarzyło! Jak guzik do resetowania komputera. Tylko że są rzeczy, których się nie da resetować!

- Że co? Że niby ja coś zrobiłem?

- Nie każ mi tego mówić! - Zatrzymała się tak raptownie, że omal nie wcisnął się między nią a skałę. Przycisnęła plecy do klifu i przez chwilę szła bokiem, żeby przepuścić grupę schodzących turystów. David nie miał pojęcia, czy słyszeli ich kłótnię.

Przez jakiś czas wspinali się dalej w milczeniu.

- Czekam - stwierdził w końcu..

Cisza.

- Czekam, aż w końcu to powiesz!

Tylko milczenie.

- To jak nagroda za drzwiami numer trzy. Nie mogę się, kurwa, doczekać!

Potknęła się.

Widział, co się dzieje, zanim jeszcze upadła. To go tylko upewniło, że Alice nie zdoła pokonać całej trasy. Nie była w formie. Miała za ciężki plecak. Przeszli dopiero niecałe dwa i pół kilometra, a ona już nie miała dość siły, żeby unieść nogę nad tak niewielkim kamieniem. Zawadziła o niego czubkiem lewego buta, zarzuciło ją w prawo, w stronę krawędzi ścieżki, a kiedy plecak przesunął się do przodu, wylądowała na ziemi, silnie uderzając ramieniem o skałę. Impet uderzenia wyrzucił jej nogi w górę. David zamarł na chwilę. Na szczęście zatrzymała się i leżała na ścieżce. Wystarczyłoby pół metra dalej, by spadła. Schylił się, żeby jej pomóc.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła.

Zbliżyła się do nich kolejna grupa turystów. Na widok leżącej mężczyzna idący na przód zapytał, czy nic jej nie jest. David stwierdził, że tylko się potknęła i wszystko jest w porządku. W obecności obcych Alice podniosła się szybko, traktując nieznaną z irytującą Davida serdecznością. Ścieżka była w tym miejscu tak wąska, że aby się minąć, musieli wykonywać zabawne manewry: stawać naprzeciwko siebie, podchodzić jak najbliżej, a następnie zamieniać się miejscami.

W końcu grupa ich minęła, Alice stała jednak w miejscu. Nad ich głowami dudnił helikopter, którego silnik wył głośniejszy niż pociąg metra albo wóz strażacki. Na boku miał wielki napis NA PALI SKY TOURS. Robił tyle hałasu, że niemal kompletnie psuł atmosferę tego miejsca.

Alice założyła włosy za ucho, czekając.

- Daj obejrzeć to ramię - poprosił.

Niechętnie, ale odwróciła się, pozwalając mu sprawdzić, jak bardzo ucierpiała.

Prawe ramię miała podrapane. Kropelki krwi zrobiły się już całkiem spore. Poraniona skóra na brzegach zsiniała.

- Możesz ruszać ręką? - spytał.

- Tak - stwierdziła, nie demonstrując jednak prawdziwości tej odpowiedzi. - Nic mi nie jest - zapewniła i spojrzała na niego kątem oka.

Stał pot znad ust wierzchem dłoni.

- Przykro mi - wyznał.

Milczała.

- Dasz radę nieść plecak?

- Trochę boli.

Westchnął. Wokół znów było cicho. Poczł wyrzuty sumienia. Zaprağnął ją pocałować.

- Pięknie tutaj - powiedział.

Skinęła głową.:

- Chcesz iść pierwsza?

Stała jak dziecko.

- Ty idź - rzuciła w końcu.

Musielł stanąć naprzeciwko siebie, żeby się zamienić miejscami.

Uśmiechnął się, ona jednak nie podniosła oczu.

W ciągu kolejnych trzydziestu minut tempo ich marszu znacznie spadło. Ilekroć się odwracał, Alice, lekko kulejąc, poprawiała pasek plecaka na ramieniu. Kilka razy się zainteresował, czy wszystko w porządku. Odpowiadała, że tak, przestał więc pytać. Po godzinie doszli do urwiska o krawędzi dość szerokiej, by pomieścić z dziesięć osób. Wielki głaz tworzył tam naturalną ławkę, w dodatku stojącą w cieniu drzewa. Idealne miejsce, żeby odpocząć.

Zatrzymała się i zdjęła plecak, trochę się krzywiąc, gdy się zsuwał z jej pleców. Potem usiadła i podniosła prawą nogę.

- Zrobił mi się bąbel - oznajmiła, ściągając but i skarpetkę.

- Zajmę się tym - zaproponował. Pęcherz powstał na zewnętrznej części palucha. Zwisła pod nim zerwana skóra, biała jak śmietana.

Był dumny ze swojej gotowości, zwłaszcza że niósł w plecaku aerozol zasklepiający rany i plastry z opatrunkiem. Ucieszył się, że pozwoliła mu opatrzyć zranienie.

- Może powinniśmy zawrócić? - zapytał, kiedy założyła z powrotem skarpetę i but.

- Chcę iść dalej - stwierdziła, nie podnosząc się z kamiennej ławeczki.

Zza skały wyłoniła się rodzina - turyści niosący tylko butelki z wodą, czyli jednodniowi wędrowcy. Zmierzali z powrotem ku plaży. Rodzice wyglądali na czterdzieści kilka lat, dwaj synowie na kilkanaście. Zatrzymali się nad urwiskiem, podziwiając widok. David kiwnął im głową.

- Zrobi nam pan zdjęcie? - zapytała kobieta.

Zgodził się i wziął od niej aparat. Rodzice stanęli w bardzo oficjalnej pozycji, każde z synem przed sobą. David zastanawiał się, czy takie widoki już zawsze będą budziły smutek w nim i jego żonie.

- A może państwo chcecie, żeby wam zrobić zdjęcie?

David spojrzał na Alice.

Poruszyła kilka razy stopą, po czym po raz pierwszy od kilku tygodni spojrzała na niego z czymś, co choćby odlegle mogło się kojarzyć z ciepłem i życzliwością.

- Prosimy - powiedziała.

Podniosła się i stanęła obok niego. Zdjął z ramion plecak. Zanim zdążył się zorientować, objęła go w pasie. Omal nie podskoczył, tak bardzo wystraszył go jej dotyk. Delikatnie oparł ramię na jej potłuczonym ramieniu.

Wiele miesięcy później uznał, że patrząc na tę fotografię, można dojść do wniosku, iż są na niej szczęśliwi.

Opuścili punkt widokowy. Godzinę później ścieżka zaczęła opadać. Od czasu do czasu migąła im przed oczami plaża, ku której zmierzali, patrzenie na nią byłoby jednak jak wyglądanie z wysokiego tarasu poręczy: wysokość odstraszała od krawędzi szlaku. Prowadzący na dół wąwóz był jak strzała wpuszczona między dwie wielkie skały, o grocie zdradziecko pędzącym w dół. Pomny dotychczasowych obserwacji David stąpa! wyjątkowo ostrożnie. Mimo to się potknął: drobne kamienie usunęły się spod jego stóp, kiedy zbyt przchylił się do tyłu. Musiał usiąść i zjeżdżać przez chwilę na tyłku, zanim się zatrzymał. Upadł w sumie trzy razy, wciąż jednak maszerował, skuszony perspektywą sjesty po tak wielkim wysiłku. Z radością myślał też o tym, że zjedzone produkty odciążą ich plecaki. Doszedł do wniosku, że za nic nie dotrą do obozowiska. Zatrzymali się tylko raz, przy pomalowanej na brązowo drewnianej tablicy zapisanej żółtymi literami. Na samej górze namalowano białą farbą trupa czaszkę nad skrzyżowanymi puszczelami, na dole przekreślonego na czerwono kreskowego ludzika pływającego w czerwonym kółku. Pośrodku biegi napis: UWAGA! NA PLAŻY HANAKAPI TONIE WIĘCEJ LUDZI NIŻ NA INNYCH PLAŻACH KAUAI. NIE PŁYWAĆ POD ŻADNYM POZOREM! Pod tablicą wydrapa- no kreski skreślane po dwie. Razem było ich dwadzieścia trzy.

Ale plaża Hanakapi wcale nie wyglądała na śmiertelnie niebezpieczną. Na ostatnim odcinku ścieżkę przecinał potok kamieni szarych, owalnych i gładkich - albo małych jak ptasie jajka, albo też wielkich jak samochód - biegnący do kolejnego tarasu wysokości mniej więcej dwóch metrów, który musieli pokonać przed zejściem na piasek. Panował tu spory tłok, podobnie jak na plaży Ke'e: kręcili się jednodniowi wycieczkowicze, poważniejsi turyści, odpoczywający przed zakończeniem drogi powrotnej z ośmiokilometrowej wędrówki do Hanakoa Valley oraz kilku prawdziwych wędrowców wracających z ekspedycji do Kalalau. Plaża była znacznie szersza, niż się wydawała z góry. Miała jakieś trzysta metrów. Na przeciwległym końcu znajdowała się olbrzymia pieczara, otwierająca się na ocean. Na skale niedaleko niej ludzie suszyli koszule i poukładali plecaki, sami zaś leżeli w cieniu albo siedzieli w miejscu, gdzie rozbijały się fale, chłodząc się w mgiełce rozpryskiwanej wody. Przed nimi, równoległe do linii wody, rozciągała się gigantyczna kałuża utworzona przez przyływ, wyglądająca

jak boisko futbolowe. Mimo zakazu w oceanie za nią pławiło się mniej więcej dwadzieścioro dzieci.

- Jak się czujesz? - zapytał David.

- Jestem zmęczona - odpowiedziała. - Boli mnie ramię. - Siedziała na kamieniu z plecakiem przy nogach i batonem zbożowym w ręku. Przez chwilę żuła go tak, jakby jedzenie wymagało od niej niemal nadludzkiego wysiłku, po czym spojrzała na butelkę z wodą i wypła łyk. - I jest mi gorąco.

- Też mi gorąco - stwierdził.

- Nie sądziłam, że będzie aż tak trudno.

- Ja też nie - skłamał.

Nie sprawiała już wrażenia rozwścieczonej, czuł się więc szczęśliwy. Nabrał też pewności siebie, przez co natychmiast przyszło mu do głowy, że pływał już w lagunach, nigdy jednak na falach o stromym czole. Teraz miał je przed sobą i być może była to jego ostatnia szansa.

- Woda nie wygląda tak źle - powiedział.

Spojrzał na żonę, potem na ocean. Alice podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem. Z tego miejsca fale nie wydawały się większe od tych, w których już pływał.

- Wchodzę - zdecydował.

- Na tablicach napisali, że nie powinieneś. Kąpiel jest tu niebezpieczna.

- Możliwe, że jest. Ale popatrz na te dzieciaki. - Wyraźnie słyszał ich śmiech. - Trochę się ochłodzę.

Spojrzała tęsknie na wodę i dokończyła baton.

- Idziesz ze mną? - Wyciągnął do niej rękę, ośmielony tym, że go dotknęła, że się uspokoiła. - No, chodź ze mną. Tylko do brzegu.

Zmięła opakowanie, patrząc na niego.

- Zawołasz pomoc, jeśli zacznę się topić.

Wzięła go za rękę i razem podeszli do linii wody. Tam zauważył już pewne niebezpieczeństwa. Zaledwie kilka metrów od brzegu spadek dna był znaczny, a fale groźniejsze, niż sądził - większych w życiu nie widział. Podnosiły się gwałtownie jak kobry indyjskie, żeby z wielkiej wysokości uderzyć z siłą, którą czuł pod stopami, a dwie z nich rozprysnęły się w powietrzu mnóstwem kropel. Niezrażony zdjął buty. Alice także. Zbliżyli się do miejsca, gdzie piana obmywała ich stopy.

- Wspaniałe uczucie - powiedziała. Cofając się, woda szarpnęła nim silnie. Alice kurczowo trzymała go za rękę. Po chwili ich stopy znów się pojawiły na wierzchu, do połowy zakopane w piasku.

- Nie wygląda to tak źle - stwierdził.

- Nie wygląda - zgodziła się.

Dzieci unosiły się na falach ze śmiechem.

- Przetniemy jedną falę i będzie po wszystkim - zachęcał.

Kiedy na niego spojrzała, pomyślał o Haroldzie: Alice czekała, aż on podejmie decyzję.

- Nic nam nie będzie - zapewnił.

Rozebrali się do strojów kąpielowych i czekali. Dzieci śmiały się jak szalone. Przepuścił kilka fal. Obserwując, jak się załamują, próbował wyczuć odpowiedni moment, a kiedy uznał, że jest gotów, poprowadził ich do wody.

Pod spienioną wodą ukrywał się gwałtowny spadek dna, niemal natychmiast zanurzyli się więc po pas. Czuł teraz całą siłę fal. Zawahał się. Przebiegło mu przez myśl, żeby zawrócić. W tej samej chwili jednak - zupełnie jak zaraz po zajęciu miejsca na wyciągu krzeselkowym - prąd powierzchniowy wyszarpnął spod nich stopy. Alice, wciąż trzymając go za rękę, cicho wymówiła jego imię. Jego stopy ślizgały się po dnie. Woda sięgała im już prawie do pachy. - Powinniśmy... - zaczął, ale podniosła się fala. Poczul się tak przerażony i bezradny, że po prostu musiał wybuchnąć głośnym śmiechem. Zdał sobie sprawę, że to największa fala w całym jego życiu. Teraz było już za późno: musieli iść przed siebie. Pociągnął Alice naprzód, z całych sił starając się ją pośpieszyć. Grzbiet fali załamywał się pod swoim własnym ciężarem. Kiedy dali nura w ścianę wody, ręka Alice wyrwała się z jego dłoni. Starał się pozostać jak najniżej, czując, jak fala przetacza się nad nim. Najpierw nastąpiła cisza, potem ciemność, potem znowu światło. Zobaczył górujące nad nim lodowce piany, jakby unosił się w arktycznym krajobrazie. Wypłynął na powierzchnię, odwrócił się i zobaczył żonę, a właściwie nogi żony w garbatych plecach fali. Kawałki Alice - ramię, stopa, noga, ramię - pojawiały się na wierzchu w takt fikołków, które kręciła niesiona przez falę do brzegu tak szybko, jakby pędziła pociągiem. Następnie się załamała, wyrzucając w powietrze słupy wody ze wstrząsem, który poczuł bardzo wyraźnie. Alice wypadła na brzeg z tak

wielką siłą, że kilka razy przetoczyła się po piasku, po czym momentalnie podniosła, opierając na kolanach i dłoniach. W końcu usiadła, kaszląc.

- Nic ci się nie stało? - krzyknął.

Milczała z ponurą miną.

- Wszystko w porządku?

Podniosła się i ruszyła w stronę skały, pod którą zostawili bagaże. Tuż za plecami usłyszał głos małej dziewczynki. Jakby go teleportowało. Znalazł się razem z dziećmi, dobrze ponad czterdzieści metrów od brzegu. Raz jeszcze się odwrócił, żeby spojrzeć na żonę.

- Mam wyjść? - wrzasnął.

Siedziała na kamieniu przygnębiona.

A zatem znów przestali rozmawiać.

Odwrócił się i zaczął pływać z pozostałymi. Dlaczego tak długo zwlekał, zanim się na to odważył? Zamienił "kilka słów z młodymi ludźmi pluskającymi się obok. Przyjechali ze szkolną wycieczką z San Francisco. Spędzili noc na Kalalau Beach, a całą ekspedycję planowali od wielu miesięcy. Droga do plaży była szalenie trudna. Jedna z dziewcząt stwierdziła, że nigdy w życiu tak się nie bała.

David pomyślał, że cokolwiek on i Alice zrobią, zawsze będą powracali do tego miejsca z rozczarowaniem. Nic się na to nie da poradzić. Przypomniał sobie, jak Alice objęła go, kiedy tamta kobieta robiła im zdjęcie. Gdyby spędzili tu jeszcze więcej czasu, z ich związku nie zostałyby kompletnie nic.

Kiedy się odwrócił, Alice nie było.

Zniknął też jej plecak. Pędząc do brzegu, zerkał na przecinający ścieżkę strumień kamieni, nigdzie jednak nie dostrzegł Alice, choć ślady jej stóp prowadziły właśnie w tamtą stronę. Znalazł w plecaku ręcznik, wysuszył się, szybko założył ubranie i pobiegł do ścieżki. Po skałach gramolili się jednodniowi piechurzy z małymi bagażami, Alice wśród nich jednak nie zauważył. Jak zdołała pokonać kawał drogi w tak krótkim czasie? Dotarł do rozdroża. Jedna strzałka kierowała go do Ke'e Beach, druga wskazywała ścieżkę prowadzącą w dół Na Pali do Hanakoa Valley, trzy kilometry dalej. Raz jeszcze przeszukał wzrokiem plażę. Nic. Zważywszy stan fizyczny, w jakim się znajdowała - zważywszy wszystko inne - na pewno postanowiła wrócić do domu. Spojrzał Jo góry na ścieżkę do Ke'e, z tego miejsca jednak niewiele było widać. Krzyknął kilka razy jej imię - kilku turystów spojrzało

na niego z lekkim zdziwieniem; nie słysząc żadnej odpowiedzi, oparł dłonie na kolanach i szeptem zaczął ciskać przekleństwa tak dziwaczne, jakby mówił językami. Spojrzał w górę z rękami na biodrach, przerażony. Musiał podjąć niezmiernie ważną decyzję. Jeśli ona ruszyła do Hanakoa, on natomiast pójdzie do Ke'e, to zobaczą się najwcześniej za dwadzieścia cztery godziny. Albo nawet gorzej.

Postanowił wracać do Ke'e.

Czuł, że to właściwa decyzja. Alice nie miała powodów, żeby iść w przeciwnym kierunku. Nie mogła sądzić, że podoła dalszej trasie, zwłaszcza po wysiłku, jakiego wymagały pierwsze kilometry. On sam z trudem pokonywał wzniesienia, czując tak wielkie zmęczenie, że myśl o dalszej drodze do Hanakoa wydała mu się śmieszna, a sama trasa znacznie powyżej jego możliwości. Szedł wielkimi krokami, stąpając przednią częścią stopy i ciężko dysząc. Przed oczami wciąż stał mu widok Alice poniewieranej przez falę, która wyrzuciła ją na brzeg. Czuł się okropnie. Błędna ocena sytuacji może przynieść straszliwe skutki. Już prawie mu się udało przywrócić jej dobry nastrój. Prawie już mieli to za sobą. Jakoś musi to teraz naprawić. Pokazać jej, że odkąd są razem, na dobre i na złe, zawsze jest dla niego najważniejsza. To ona zajmuje najwięcej miejsca w jego myślach. Dlaczego zrozumiał to dopiero pod jej nieobecność? Co było nie tak z jego duszą, że zawsze o tym zapominał?

Pośpiech wprowadził go w stan bezmyślnego ruchu, krok po kroku. Dotarł na szczyt, skąd raz jeszcze spojrzął na Hanakapi. Tam właśnie ją zauważył.

Dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu zobaczył ją po drugiej stronie doliny Hanakapi, w takiej samej odległości na trasie do Hanakoa i na takiej samej wysokości, na jakiej on sam znajdował się teraz, idąc do Ke'e. Stała na półce skalnej, jakby lustrzanym odbiciu miejsca, gdzie zatrzymał się on. Spojrzała na niego, potem w dół na szlak przed sobą. Miał wrażenie, że obserwują się nawzajem z sąsiadujących drapaczy chmur. Podtrzymywała paski plecaka kciukami, zastanawiając się nad czymś, po czym odwróciła się i spojrzała prosto na niego. Był pewien, że go widzi. Pomachał, ona jednak nie zareagowała. Zaczął podskakiwać, machając w powietrzu obydwoma rękami. Powtarzał jej imię, na zmianę szepcząc i krzycząc na całe gardło, nic to jednak nie dało. Może więc jednak go nie widziała. Z tej odległości była nie większa niż paznokieć jego kciuka. Coś przerwało jej

marsz. Machał i machał, przeprowadzając jednocześnie bezwartościową kalkulację - jego zegarek pokazywał trzynastą dwadzieścia trzy. Obliczył sobie, że jeśli zejdzie na dół, potem wespnie się jeszcze raz na górę, żeby znaleźć się w miejscu, w którym ją zobaczył, będzie miał godzinę straty do niej - oczywiście jeśli bardzo się pośpieszy. A przecież ona wyruszyła trochę wcześniej niż on.

Krzyknął jej imię raz jeszcze, machając oburącz, ona jednak, usłyszawszy go czy też nie, odwróciła się i ruszyła w dalszą drogę, niebawem znikając mu z oczu.

Schodził nieostrożnie, zygzakiem jak narciarz, czasem ślizgając się, czasem podpierając ręką. Raz upadł tak nieszczęśliwie, że musiał się zatrzymać, żeby kilka razy zgiąć i wyprostować obolałe kolano. Gwałtownie spadł mu poziom cukru we krwi. Przez wszystko to, co się dzisiaj wydarzyło, przez odczuwaną na zmianę złość i ulgę, zapomniał o jedzeniu. Zdjął plecak, wyjął z niego kanapkę z masłem orzechowym i bananem i zjadł ją, nie przerywając wędrówki. Wypił też sporo wody. Był teraz zbyt przerażony, żeby odczuwać złość. Potworna cisza, która zapadła między nimi, ściągnęła na oboje wielkie niebezpieczeństwo, jakby stąpali po linie nad bezdenną przepaścią: musieli znaleźć sposób, żeby zachować równowagę i bezpiecznie przejść na drugą stronę. W ciągu pół godziny dotarł do rzeki kamieni i minął znak HANAKOA VALLEY 2 MILE. Być może dzięki posiłkowi złapał drugi oddech. Nasilił się jednak strach. Ta część ścieżki przedstawiała kompletnie inny poziom trudności, z którym mierzył się po raz pierwszy. Dzięki wielkiej liczbie turystów na drodze z Ke'e do Hanakapi na tamtym odcinku była ona raczej gładka i trochę szersza - wydeptana dziesiątkami tysięcy stóp. Tutaj leżało mnóstwo kamieni i łupków, a stok pochylał się tak stromo, że David posuwał się niemal na czworakach. Nikt też nie nadchodził z przeciwnej strony, co pozwoliłoby mu zapytać o Alice; wiedząc, jak jest daleko, może poczułby się lepiej. Nie - ten szlak był tylko dla prawdziwych wędrowców, dobrze przygotowanych do drogi. Mimo to parł naprzód nieustępliwie. Przez kolejne pół godziny nie spotkał żywej duszy.

Kiedy dotarł do miejsca, w którym wcześniej stała ona, stracił zapał. Przez chwilę się zastanawiał, czy Alice zatrzymała się wtedy dlatego, że dostrzegła to samo, co on.

Jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem - dobre półtora kilometra - ścieżka wyglądała jak zdradziecki wąski pasek, tylko odrobinę szerszy od równoważni. Ściana po jej lewej stronie była niezwykle stroma, będzie musiał przywierać do niej i przesuwając po niej palcami, tak jak dziecko przesuwając patykiem po sztachetach płotu, obok którego przechodzi. Z prawej strony krawędź ścieżki, zaokrąglona przez erozję, urywała się raptownie. Absurd. Przypomniał sobie, jak Cary Grant i Eva Marie Saint zsuwają się po stoku Mount Rushmore w filmie *Północ, północny zachód*. Na tak wąskiej ścieżce zwyczajne poślizgnięcie oznaczało upadek w przepaść. Wystarczyło za bardzo się pochylić, a przecież ciężar plecaka mógł przeważać, posyłając wędrowca na pewną śmierć. Już decyzja, żeby iść w dalszą drogę, wymagała negocjacji z własną paniką, arbitrażu między koniecznością ciągłego patrzenia na ścieżkę a zawrotami głowy, które musiał powodować huk spienionego krańca oceanu, wybuchającego w ciszy daleko niżej. Wystarczyło na chwilę stracić rezon w tych negocjacjach, aby strach człowieka sparaliżował i kazał mu wbić się palcami w ścianę oraz stać w bezruchu, czekając, aż ktoś nadejdzie, a wtedy złapać wybawcę kurczowo za ramię i pociągnąć za sobą w dół. Jak desperat uczepił się myśli, że może Alice pojawi się na tej ścieżce, jeśli chwilę tu na nią zaczeka. Garby klifów wystawały jeden z drugiego, ukazując kolejne fragmenty ścieżki na płaskich wierzchołkach. Alice mogła się pojawić w każdej chwili na każdym z nich. Po jakimś czasie, który wydał mu się całą wiecznością, poddał się jednak. Nie mógł też powstrzymać zdumienia, że Alice tamtędy przeszła, przede wszystkim zaś nie potrafił pojąć, jak w ogóle dotarła tak daleko. Dalsza droga była jak magiczna sztuczka, jak akt całkowitej desperacji: nikt nie widziałby upadku, najbliższym pozostałyby więc tylko domysły co do godziny śmierci. Kontynuacja wędrówki była jak wybawienie od świata, które zsyła sam Bóg.

Uznał, że najbezpieczniej będzie iść dalej bez plecaka, postanowił więc zostawić go, zanim ścieżka bardziej się zweźwi. Chodziło mu przecież przede wszystkim o to, żeby ją dogonić. Odpiął plecak, wyjął z niego butelkę wody i tyle batonów zbożowych, ile zdołał wpakować do kieszeni.

Zerknął na listę rzeczy w plecaku. Czy będzie potrzebował czegoś jeszcze? Miał kurtkę przeciwdeszczową, ale na niebie nie wisiała ani jedna chmurka. Czapka z daszkiem do ochrony przed słońcem? Apteczka? Czy będzie żałował, jeśli nie weźmie ze sobą tych rzeczy? Kurtka prze-

ciwdeszczowa wydała mu się ważna. Przypomniały mu się słowa Harolda: „Myśli przed jakimś zdarzeniem są tak samo przypadkowe jak wróżba w ciasteczku. A wróżba tak samo ślepa jak los”. Miał ochotę się roześmiać. Przecież to jak fala, w którą dopiero co się rzucił: tylko na takim rozdrożu można się zastanawiać, którą drogą pójść. Przez całe życie staramy się unikać podobnych niebezpieczeństw.

Ruszył, choć na pewno nie pospiesznie. Tak bardzo przechylał się w lewo, w stronę ściany, że posuwał się naprzód bardzo powoli i z przesadną ostrożnością stawiał każdy kolejny krok, jeśli oczywiście można to uznać za krok. Poruszał się do przodu, jakby odmierzał odległość stopami - pięta do palców - czasem się zatrzymując, a czasem stawiając niepewny krok w tył. Kilka razy przechylił się w lewo trochę za mocno, stopy pod nim się przesunęły, ślizgając dosłownie o centymetr: czuł ciarki na plecach, jego dłoń bezcelowo uderzała o skałę, jakby szukając poręczy, gwałtownie wyrzucał w powietrze prawą rękę, żeby złapać równowagę, po czym przywierał do skały dłońmi, brzuchem oraz policzkiem i stał tak - przerażony, z zamkniętymi oczami, plecami do wody, ciężko łapiąc oddech. Potem szedł dalej. Po kilkunastu minutach takie tempo zaczęło mu doskwierać. Zrozumiał, że nadmierna ostrożność oznacza śmierć. Posuwając się szybciej, znacznie polepszy sytuację. Niektóre czynności można tylko popsuć zbytnią uwagą sprzężoną z nadwrażliwością - choćby przełykanie. Przekonany do nowej metody, wziął trzy zdecydowane oddechy i ruszył do przodu, ze wszystkich sił usiłując iść w zwyczajnym tempie. Próbował zagłuszyć myśli o upadku, powtarzając sobie, że zapewne już nigdy w życiu nie będzie miał okazji podziwiać tak cudownych widoków. To jednak nie działało. Odnosił wrażenie, że stąpa po parapecie okiennym na szczycie olbrzymiego wieżowca. Przez kilka minut koncentrował się na pokonywanej drodze tak intensywnie, że zapomniał o żonie.

Szybko jednak zaczął radzić sobie lepiej. Czy to ze względu na wprawę, czy też może z powodu trafiających się od czasu do czasu szerszych fragmentów ścieżki, a może wreszcie działając pod wpływem instynktu samozachowawczego, udało mu się przełamać brak wiary w możliwość bezpiecznego pokonania tej trasy. Choć śmierć była tuż obok, szedł naprzód w normalnym tempie, początkowo lekko dotykając lewą dłonią skalnej ściany, a prawą wychylając na bok dla utrzymania równowagi. Aż w końcu obydwie ręce zwisały swobodnie wzdłuż ciała. Wbijał wzrok w jeden punkt

kilka metrów przed sobą, zwalniając tylko chwilami, kiedy pozostawiał w tyle własną równowagę, jak dziecko uczące się chodzić, które upada, gdy zbyt szybko się rozpędzi. Jeśli pozwalał sobie na myślenie - co nie zdarzało się często - albo zbyt szybko się skupiał na sobie samym, stawał w miejscu. Zaraz jednak znów nabierał tempa, wybijając wewnętrzny rytm tak długo, aż stawał się automatyczny, a to z kolei zastępowało odwagę. Pozwolił sobie nawet na refleksję, że taki proces - najpierw myślenie o marszu jako czymś oczywistym, a później traktowanie marszu w taki właśnie sposób - składał się na piękno tego górskiego szlaku; że jest swego rodzaju dokonaniem. Po długim czasie znów spojrzał do góry i zobaczył Alice, jakby w nagrodę za podejmowane próby. Zatrzymał się.

Też stała w miejscu, choć najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Jej widok zagroził pewności siebie, którą udało mu się zebrać. Stała w najwyższym punkcie na zakręcie, walcząc ze sobą, by iść dalej. Z tej odległości dostrzegł wyraźnie, jak wąska i ryzykowna jest ta ścieżka. Alice była wycieńczona. Kiedy ruszyła chwiejnym krokiem, plecak wydawał się jeszcze większym zagrożeniem. Patrząc na nią, miał wrażenie, że ogląda głupca taszczącego stos pudeł kołyszących się coraz bardziej, zanim w końcu spadną. Wyciągnęła prawe ramię, żeby zachować równowagę. Dopiero wtedy zobaczył, że trzyma w ręku urnę.

- Alice! - krzyknął.

Zatrzymała się znowu i odwróciła ostrożnie w lewo, aż stanęła prawie przodem do niego. Widział jej twarz, ledwo wystającą zza stelaża plecaka. Dawno już zniknęły z niej łzy, strach, a nawet rezygnacja. Twarz Alice wyrażała coś, czego nigdy wcześniej na niej nie widział - rodzaj bezmyślności. Ten sam wyraz poczuł w tej chwili na własnej twarzy.

- Zostań tam, gdzie jesteś! - poleciła. - Nie zbliżaj się do mnie!

- Co ty wyprawiasz?

- Powiedziałam: trzymaj się z daleka! Rozumiesz? Jesteś przeklęty.

Mimo wszystko zbliżał się do niej. Nic nie mógł na to poradzić.

- O czym ty mówisz?

- Wszystko, czego dotykasz, niszczysz - odparła. Mówiła takim tonem, jakby szli obok siebie bez żadnych emocji. - Każdy twój wybór jest pułapką.

- Daj spokój, Alice. Wracajmy, słyszysz? Czas na powrót.

- Postaw jeszcze jeden krok, a skoczę! - zagroziła.

Zatrzymał się.

- Nie ma żadnego powrotu, nie rozumiesz? Cały powrót jest już tam - stwierdziła, wskazując dłonią na niebo.

- Proszę cię, Alice! Błagam! Pójdę sobie. Obiecuj mi tylko, że sama wrócisz.;

- To wszystko przez ciebie! - stwierdziła.

Zamarł przechylony na bok.

- Chciałeś, żebym to powiedziała, to mówię.;

Płakał.

- Przyznaj, że mam rację.

Była tak blisko, zaledwie kilka kroków od niego, nie mógł jednak się ruszyć.

- Chciałeś tego - ciągnęła. - Chciałeś, żeby on oszedł, a teraz chcesz, żebym odeszła i ja.

- Przestań, proszę, Alice!

- No więc dokończę tę wyprawę. Rozumiesz? To mój wybór, tylko mój. Zrobię to albo zdechnę po drodze!

Była już w jego zasięgu, zanim jednak wyciągnął rękę, obejrzał się, żeby zobaczyć, ile ma miejsca za sobą. Kiedy znów spojrzął na nią, już ruszała.

- Poczekaj! - krzyknął.

Upadła.

Widok był tak przerażający, że nie potrafiłby go sobie wyobrazić; straszniejszy od wszystkiego, co dotychczas sobie wyobrażał. Kiedy się odwróciła przodem do kierunku marszu, żeby iść dalej, jej plecak zaczepił o skałę. Górną częścią jej ciała szarpnęło w tył, poślizgnęła się i zachwiała, wyrzucając nogi w powietrze. Jakimś cudem upadła prosto na dół - tyłem do skały i przodem do oceanu - wylądowała na tyłku i zatrzymała się, opierając prawą dłoń o krawędź ścieżki (udało jej się utrzymać urnę). Obydwie nogi i większa część pośladków zwisały w powietrzu i tylko stelaż plecaka, jak bosak zahaczony o skałę, nie pozwalał jej runąć w przepaść.

Siedziała sztywno, jakby kij połknęła, kołysząc się lekko.

David pośpiesznie podszedł do niej i dopiero wtedy uświadomił sobie, jak wielkiego wysiłku wymagało od niej utrzymanie się w takiej pozycji. Mięśnie jej ramion drżały, trzymała wysoko uniesiony podbródek, wykorzystując całą siłę mięśni karku, a pod koszulką trzęsły się mięśnie brzucha.

- O Boże! - stęknęła.

- Nie ruszaj się!

-Spadam.

- Nie ruszaj się!

Znajdowała się w stanie idealnej równowagi, nie mogła jednak utrzymać jej długo. Bardzo chciał ją chwycić, wiedział jednak, że nie powinien. Gdyby się ześlizgnęła, a on trzymałby jej rękę albo plecak, oboje poleciliby w przepaść. Z boku nie znalazł oparcia dla nóg, nie było się do czego przycisnąć. Spojrzał na nią raz jeszcze. Miał wrażenie, że zbliża się do bezcennego posagu, którego nie wolno dotykać.

- Dlaczego mnie tu zabrałeś?

Słyszał ją, ale jej nie słuchał. Odwrócił się do niej prawą stroną, prawie klęcząc. Prawą rękę oparł obok jej dłoni. Wtedy przyszło mu do głowy, co powinni zrobić.

- Dlaczego kazałeś mi tu przyjść? - zapytała cicho głosem pełnym czegoś między rezygnacją a wściekłością.

- Musisz mnie teraz słuchać. Wiem, co trzeba zrobić.

- Mówiłam ci, że nie damy rady, ale ty mnie namówiłeś.

W wielkiej przestrzeni wokół nich zalegała cisza. Szybko przemyślał sobie wszystko raz jeszcze.

- Przyznaj, że mnie do tego namówiłeś!

Uważnie obejrzał skałę, szukając miejsca, którego mógłby się chwycić. Znalazł jedno i sprawdził.

- Powinieneś był nas chronić.

Musiał ją teraz zignorować.

- Teraz słuchaj tego, co mówię. Jeśli tego nie zrobisz, obydwójecie zginiecie.

Tracił ją. Płakała, zużywając na szlochanie resztki energii, jaka jej pozostała. Przechylała głowę do tyłu, uderzając o plecak.

- Chcesz, żebyśmy zginęli? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na niego z wściekłością.

- Weź go - poleciła.

Rozchyliła palce. Wziął urnę, po czym umieścił ją za sobą na ścieżce.

- Będziesz musiała na chwilę podnieść rękę - stwierdził.

- Niech cię szlag trafi!

- Będziesz musiała na chwilę się puścić, żeby złapać mnie za rękę. -
Wyciągnął prawą dłoń. - Masz mnie złapać prawą ręką, dobrze?

- Ty skurwysynu!

Mówił niemal szeptem, trochę tylko głośniej.

-Dobrze?

Słuchała.

- Żadnych gwałtownych ruchów - polecił. - Chwyć cię za nadgarstek dokładnie w chwili, kiedy oderwiesz rękę od skały. A ty chwycisz mnie. - Machnął dłonią na wysokości jej twarzy, żeby mogła ją zobaczyć. Ale zamknęła oczy. Krzyczał jej imię, dopóki ich z powrotem nie otworzyła, po czym znów powrócił do ściszonego tonu. - Na początku możesz się ześlizgnąć, ale cię utrzymam. I podniosę przynajmniej tyle, żebyś oparła jedną nogę na ścieżce. Zrozumiałaś? Masz się podeprzeć nogą i wstać.

Znów zamknęła oczy, jakby opracowywała własny plan. Całe jej ciało trzęsło się od wysiłku.

- Powiedz mi, że rozumiesz! - krzyknął. Czuł, że ją traci. - Powiedz, że rozumiesz, albo spadnę tam razem z tobą!

Kiwnęła głową. Jej ramiona drżały.

- Na trzy - zarządził.

Liczył na głos, przyciskając lewą dłoń i lewy policzek do skały, wbijając w ziemię lewą stopę, zapierając się o skałę lewą łydką. Ugiął kolana i oparł drugą część masy ciała na zewnętrznej krawędzi prawej stopy, którą umieścił tuż przy plecaku. Owinął palce wokół jej nadgarstka, najpierw delikatnie, później natomiast, kiedy był pewien, że Alice się nie przestraszy, ścisnął najsilniej, jak mógł.

- Trzy - powiedział.

Chwyciła go za nadgarstek. To był jej wybór. Mogła go zostawić, rzucić się w przepaść na złość jemu. Mogła zrobić to tak, że tylko ona by zginęła, ale też mogła pociągnąć go za sobą i zabić oboje. Ale nie pociągnęła. Chwyciła silnie jego nadgarstek, robiąc wszystko tak, jak jej kazał.

Całym swoim ciężarem zawisała na jego ręce, od dłoni do przedramienia, po biceps i ramię. Jej życie wypełniło jego prawą stronę. Z całych sił dźwignął ją prosto do góry. Kiedy stanęła na prawej nodze, ciężar ciała przechylił ją do przodu. Nic dziwnego. Ze względu na plecak jej ciało nie znalazło dla siebie miejsca. Zamknął oczy - z wysiłku i ze strachu. Podnosiła się, zapierając stopę o zewnętrzną krawędź jego stopy. Czuł, jak całe jej

ciało unosi się nad krawędzią ścieżki pochylone do przodu, z głową za linią stóp - jak skoczek narciarski szybujący w powietrzu. Machała lewą ręką, żeby złapać równowagę, kręcąc nią w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Udało jej się stanąć. Kiedy otworzył oczy, zauważył, że przez ułamek sekundy był jedynym punktem oparcia dla całego jej ciała, ono natomiast było jedynym, co nie pozwalało jemu runąć do przodu. W tym ułamku sekundy ciągnęli jedno drugie z całą siłą, wyginając się w łuk. W końcu zdołała się wyprostować - ostatnie centymetry pokonywała bardzo ostrożnie - i stanąć na własnych nogach. Odzyskała równowagę.

- Stoisz mocno? - zapytał.

Ścisnął jej rękę, a ona ścisnęła jego. Wciąż miała podbródek w górze. Wyobrażał sobie, że w tej pozycji Alice widzi tylko niebo. Potem załkała: jeden wyraźny krzyk, który zabrzmiał jak wyraz ulgi.

Twarz nadal miała zwróconą do oceanu, a plecak opierał się o skałę. Wzięła głęboki oddech i głośno wypuściła powietrze. Ich dłonie, wciąż splecione, drżały. Nadlatywał helikopter, ogłuszającym rykiem silnika rozdzierając trwającą chwilę. Przyglądała się, jak maszyna pochyla się na lewą stronę i przelatuje nad ich głowami. Potem odwróciła się do Davida.

Widok jej twarzy w tym momencie: mina wyrażająca znacznie więcej niż wycieńczenie, smutek i euforię. Malowała się na niej także ulga i ślad potwornych chwil, które przeżyła. Zastanawiał się, czy tak wygląda mina kobiety, która właśnie urodziła dziecko. Czy wyrażała taki sam ból i zachwyty jednocześnie? Stratę i zysk? David pomyślał, że dawanie życia może całkowicie złamać życie. Twarz jego żony była równie tajemnicza jak uśmiech Mony Lisy - ujawniała wszystko, czego nie mógł o niej wiedzieć i czego nigdy się nie dowie. Chciał zachować ten obraz, ale mu się nie udało, a kiedy zniknął, David nie potrafił już nigdy odtworzyć wszystkich radości i smutków ich małżeństwa. Przez kilka dni jednak nosił ten obraz w sercu, także tego dnia, gdy wyruszali w podróż powrotną do domu. Alice stwierdziła, że została jej do zrobienia jeszcze jedna rzecz: musi rozrzucić prochy ich syna. Wiedziała dokładnie, gdzie chce to zrobić. Kiedy mu to powiedziała, zatelefonował do Harolda, żeby uzgodnić z nim szczegóły.

- Wybaczyla panu? - zapytał Harold.

- Tak myślę - odpowiedział David.

- Niech więc pan teraz sam sobie wybaczy.

David podziękował mu za wszystko i go pożegnał. Harold wynajął dla nich helikopterową wycieczkę z portu Princeville - ze specjalnym przystankiem. Alice założyła sukienkę, którą właśnie kupiła - białą w czerwone lilie - i wpięła lilię we włosy. Powiedziała pilotowi, co chce zrobić, choć ten był o tym uprzedzony. Podróż helikopterem: tak wielka potęga, tyle siły nośnej nad głową, że David czuł się, jakby dyndał powieszony za kark setki metrów nad ziemią. Widoki za oknem warte były każdych pieniędzy. Żadne opisy nie oddadzą piękna Kauai: to po prostu trzeba zobaczyć. Najpierw polecieeli na południowy zachód, wzdłuż wybrzeża Na Pali. Przelecieli też nad Kalalau Beach.

- Miło byłoby tam przenocować - stwierdziła Alice.

Później skręcili na wschód, by zapaść się w Waimea Canon, a następnie wspiąć na górę Waialeale.

- To niemal pięćdziesiąt dwa tysiące stóp - stwierdził pilot. - Patrzycie na najwilgotniejszy punkt na Ziemi. - Wierzchołek kiął się w chmurach i zaczął padać deszcz, jakby na rozkaz pilota. - Jeśli pokęcimy się trochę w okolicy, pogoda może się zmienić - zawyrokował pilot. Krążyli więc dookoła.

David zachował w pamięci ten widok żony przez kolejny rok, w którym także poroniła. Podobnie jak za pierwszym razem, mimo leków rozrzedzających krew, donosiła dziecko do dziewiętnastego tygodnia. Skurcze poczuła w metrze, jadąc do pracy, wysiadła więc na Harlemie, wezwała pogotowie i po drodze do szpitala urodziła kolejnego chłopca.

Dwa lata później, ważąc prawie trzydzieści pięć kilogramów więcej, z zastraszająco wysokim poziomem ciśnienia krwi mimo przyjmowania najwyższych dawek leków, na jakie pozwalał jej stan, Alice straciła ich trzecie dziecko. W środku nocy. Po dwudziestu tygodniach ciąży. To także był chłopiec.

- Więcej już nie chcę - powiedziała mu wtedy w szpitalu.

W połowie roku szkolnego rzuciła pracę.

- Bogate dzieci, nadopiekuńczy rodzice. Nikt mnie tam nie potrzebuje - stwierdziła.

Dlaczego miałby zabraniać jej odpoczynku? Stać go było na utrzymanie ich obojga - zarabiał mnóstwo pieniędzy, więcej, niż kiedykolwiek planował w marzeniach. Mógł się nią opiekować, dopóki nie wyzdrowieje. Firma rozwijała się wspaniale.

W tym samym miesiącu trafiła do szpitala z powodu depresji. Po kilku tygodniach leczenia ją wypisano, kolejne pięć miesięcy spędziła jednak w domu.

Wstała w końcu z łóżka, choć kiedy to zrobiła, David miał wrażenie, że obydwójce zapadli w sen codzienności, nieskończony jak wstęga Móbiosa.

Minęły trzy lata, a może jednak były to trzy milisekundy?

W sekrecie David pisał książkę. Właściwie zaczął od szkicu gry komputerowej, wkrótce jednak szkic się poszerzył, zamienił w narrację i zaczął rozrastać. I szkic, i powieść były formami tworzenia, uznał jednak, że gra komputerowa ogranicza środki ekspresji. Boże uchwaj, by Alice miała kiedykolwiek przeczytać to, co napisał. Zaczęło się od fantazji. Ponośła śmierć w wypadkach lotniczych albo pobita przez złodziei, którzy chcieli ukraść jej samochód lub włamywali się do domu. W napadach, stawiając opór bandytom. Padała ofiarą rekina albo ginęła zaatakowana przez pitbula czy też niedźwiedzia; ulegała dziwnym wypadkom w zoo, ginęła w kraksach samochodowych oraz katastrofach kolejowych. Traciła życie w metrze, czytając książkę w drodze do pracy, ponieważ skrzep, który skrycie się utworzył w jej nodze, powędrował do serca, do płuc albo jak fajerwerk uniósł się do jej mózgu i eksplodował - a on był wolny. Musiał ukrywać te fantazje będące jego aliasami; formą sztuki, która - choć pośrednia - pozwalała na bezpośrednie doświadczenie; zawoalowaną autobiografią pozwalającą mu badać fikcyjną rzeczywistość własnymi oczami. Przełom nastąpił po pierwszym rozdziale. Grę postanowił zostawić graczom. Zacznie tworzyć awatary.

Nicznym wskutek magicznej sztuczki, na jego oczach Alice zrobiła się gruba.

- Panie Pepin - powiedział policjant. - Mam tragiczną wiadomość dotyczącą pańskiej żony.

Obudził się.

Boże uchwaj, aby jego żona się dowiedziała, co napisał - poznała jego myśli. Przede wszystkim jednak dziękował Bogu za to, że Alice nie mogła czytać jego myśli, kiedy się napawał wspaniałymi widokami nad górą Waialeale. Chmury się rozplynęły. Na szczycie dostrzegł małe jezioro, które przez tych kilka słonecznych minut mrugało do nich jak błyszczące oko.

- Jest pani zapięta? - zapytał pilot.
- Tak - odpowiedziała Alice.
- Może pani zaczynać.

Rozsunęła drzwi. Wiatr wyrwał kwiat z jej włosów. Pilot utrzymywał helikopter w miejscu. Alice odwróciła urnę do góry dnem i rozsypała prochy, które natychmiast zniknęły, rozwiane pędem powietrza pod śmigłem. Obserwując ją, David nagle zrozumiał, że dotarli do tego miejsca wskutek kontinuum wydarzeń: od myśli o dziecku, przez rozmowę o zapłodnieniu i samo poczęcie; od ultrasonografii przez poronienie po kremację. Ten chłopczyk przeżył transformację od zamysłu przez istnienie po proch, w który się obrócił. David musiał jakoś znieść fakt, który ukrywał przed Haroldem, przed Alice i przede wszystkim przed samym sobą: dopiero kiedy zobaczył prochy syna rozsypujące się w powietrzu, dopiero widząc, jak prochy dziecka spadają do górskiego jeziora, uwierzył, że ten mały chłopiec istniał naprawdę.

Kiedy żona detektywa Shepparda ginęła z ręki mordercy, on sam po-
grązał się w sennych marzeniach. Zasnął na leżance przy schodach na górę,
gdzie często ucinął sobie drzemkę, obudził go jednak głos Marylin wy-
krzykującej jego imię. Przez kilka potwornych chwil czekał niepewny,
gdzie się znajduje i czy naprawdę słyszał jej krzyk. Zastanawiał się nawet,
czy nie wrócić w objęcia snu, potem jednak usłyszał swoje imię raz jeszcze.
Później przypominał sobie sceny z tego snu tak samo wyraźnie, jak wyda-
rzenia tamtej nocy, nie potrafiąc odróżnić jednych od drugich, ponieważ
wyobraźnia zrównała ich status - fakt ten dręczył go do dziś.

Śniło mu się, że trzyma na rękach ich drugie dziecko. Marylin była w
czwartym miesiącu ciąży, we śnie jednak mała dziewczynka już przyszła na
świat i trzymał ją, zawiniętą w powijaki, patrząc w jej twarz. Klęczał na
prywatnej plaży przed ich domem nad jeziorem Erie. Działo się to wiele lat
przedtem, zanim uciekł do Nowego Jorku. Mieszkał wtedy w Ohio. Marylin
stała w wodzie, obserwując ich dwoje. Na twarzy dziecka dostrzegał po-
dobieństwo do żony i do siebie: wydatne kości policzkowe oraz orzechowe
oczy Marylin i własne mięsiste usta, przetworzone w coś tak nowego i
niewyobrażalnie cudownego, że nie znalazłby słów, gdyby ktoś kazał mu te
dziecięce usta opisać. Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech.
To zachowanie, będące albo imitacją jego rozmarzonej miny, albo też re-
akcją na jego radość, przepełniło mu serce wielką miłością. Właśnie wtedy
usłyszał, jak żona wykrzykuje jego imię.

Zsunął się z kozetki. Pierwsze trzy stopnie schodów prowadzących do
sypialni pokonał jednym susem. Pomyślał, że Marylin zwija się z bólu -
podczas pierwszej ciąży cierpiała na skurcze macicy – podciągając się w
górze na poręczy, przypominał więc sobie postępowanie medyczne w takich
wypadkach. Sypialnia znajdowała się na szczycie schodów. Wiatr od je-
ziora wpadał przez otwarte okno. Jednym susem dopadł do drzwi. Jego oczy
nie zdążyły się jeszcze przyzwyczaić do ciemności. Zobaczył sylwetkę...

Poczuł uderzenie w kark. Kolana ugięły się pod nim, a oczy zalała
czarna fala. Zanim stracił przytomność, ponownie usłyszał głos Mary-
lin wykrzykujący jego imię.

Mobius - bo tylko takie imię im podał - odmówił kontaktów z Hastrollem. Chciał rozmawiać z Sheppardem - i tylko z nim. Oświadczył, że Hastroll mógłby go nawet torturować, wstrzyknąć mu serum prawdy albo rozebrać go do naga i bić, aż cały się zrobi czarno-niebieski, nie chciał z nim jednak rozmawiać. Zgodził się tylko na spotkanie z doktorem.

- Chyba detektywem? - upewnił się Hastroll.

- Niech go pan przyprowadzi.

Hastroll pokręcił głową, mierząc Mobiusa wzrokiem przez kraty celi.

- Ja nie idę na układy - oświadczył.

- W takim razie się zabiję.. '

Hastroll patrzył na maleńkiego mężczyznę beznamiętnie, po czym złapał się za boki i wybuchnął śmiechem.

W odpowiedzi Mobius ścisnął swój nos palcami prawej ręki i przykrył usta lewą, którą miał zabandażowaną. Siedział na pryczy, machając krótkimi nóżkami - kolana także miał zabandażowane - i Hastroll patrzył zafascynowany, jak z każdą sekundą te nóżki machają coraz wolniej. W końcu twarz Mobiusa zrobiła się fioletowa.

- Hm... - chrząknął Hastroll.

Wtedy Mobius stracił przytomność.

Następnego dnia przyszedł do niego Sheppard.

Gdy tylko się pojawił w zasięgu wzroku, mały mężczyzna wyraźnie się rozpromienił.

- Doktor Sam Sheppard, cóż za przyjemność pana poznać.

Sheppard podпалиł fajkę i pyknął dwa razy.

- Nie jestem już lekarzem - powiedział.

- Prawda, dla mnie jednak zawsze będzie pan doktorem Samem!

Strażnik przyniósł Sheppardowi krzesło. Detektyw usiadł naprzeciw karła.

- Tak jest o wiele lepiej - stwierdził Mobius. - Niech no się panu przyjrzę. No cóż, wcale się pan nie postarzał, doktorze. Nadal jest pan zdrów jak ryba i w dobrej formie. Nadal cholernie przystojny. Czy wie pan, że przez lata miałem obsesję na punkcie pańskiej sprawy?

Sheppard spojrział na zegarek, wsunął fajkę z powrotem do ust i pociągnął. Przez chwilę Mobius wydawał się istnieć w świecie stworzonym z gęstego białego dymu.

- Bo widzi pan, jest pan chyba jedynym mężczyzną w całej Ameryce, który jest jednocześnie niewinny i winny zabójstwa własnej żony. Jednocześnie skazany i uniewinniony. Zrobił to, prawda? A może jednak nie zrobił? Wciąż tego nie wiedzą, a fascynacja pańską historią... Ta fascynacja nie ma końca. Zrobili o panu serial telewizyjny *Ścigany*, potem film pełnometrażowy. Pisano o panu książki. Pan sam napisał książkę! Oczywiście, czytałem *Przetrzymać i zwyciężyć*, jakżeby inaczej! To było okropne! Opis pańskiego pierwszego procesu przeszedł do historii. Widowiskiem określano proces O. J. Simpsona, ale przecież dokładnie tych słów użył sędzia Tom Clark, by opisać pański proces.

- Mam to wszystko już za sobą i staram się nie wracać do tamtych wydarzeń.

Mobius się uśmiechnął.

- Miło słyszeć, że pan potrafi - rzekł.

Sheppard znów zajął się fajką.

- Więc? - odezwał się Mobius.

- Więc? - powtórzył detektyw.

- *Quidpro quo*.

- Proszę mówić.

- W zamian za całą prawdę o Alice Pepin dostanę dwie rzeczy.

- Słucham.

- Po pierwsze, chcę usłyszeć z pańskich ust opowieść o wszystkim, co się wydarzyło w ostatnim dniu życia pańskiej żony.

Przez chwilę do Shepparda wróciła we wspomnieniach Marylin leżąca na łóżku z roztrzaskaną twarzą. Jej czoło było pokryte półksiężycowatymi ranami. Miała wybity górny siekacz. Podciągnięta do góry bluzka od piżamy odsłaniała jej piersi, a opuszczone spodnie - łono, wilgotne i połyskujące. Jej nogi zaczepiły się o ramę łóżka. Wszędzie ściekała krew, jakby otrząsnął się tam z niej jakiś pies: czerwony nimb nad jej łóżkiem, nad jego łóżkiem, na ścianach, a nawet na suficie. Wokół jej głowy także czerwieniała krew, jak lakierowana aureola. Sheppard klęknął przy jej łóżku i sprawdził puls. Nie wyczuł niczego.

- Jaka jest ta druga rzecz?

- Chcę przeczytać powieść Davida.

- Dlaczego?

Mobius znów się roześmiał.

- Chcę zobaczyć, jak wypadłem.

Sheppard stuknął kilka razy fajką, żeby oczyścić główkę.

-Zgoda.?

Mobius klasnął i zatarł dłonie.

-Zacznijmy?

-Od czego?

- Naturalnie od początku.

- Jest wiele miejsc, od których można zacząć.

- Niech więc pan zacznie od sobotniego poranka wtedy w lipcu pięćdziesiątego czwartego - poprosił Mobius.

Tamtego poranka Marylin Sheppard obudziły strzelające race.

Sądząc po ilości światła w sypialni, było tuż po siódmej, dzieciaki puszczały już jednak fajerwerki, szykując się do przypadającego nazajutrz święta Czwartego Lipca; zresztą strzelały już od dobrych kilku tygodni. Marylin nie miała nic przeciw temu, ale hałas przerażał ich se-terkę angielską, która siedziała teraz skulona w kącie sypialni, trzęsąc się i śliniąc.

- Kokie? - zawołała Marylin. Usiadła na łóżku, dwukrotnie uderzając otwartą dłonią o kołdrę. - Nie bój się, Kokie. Chodź tutaj. - Suczka westchnęła i podniosła się, patrząc na panią żałośnie. Biedaczka bała się hałasu. Przed rozbrzmiewającą w południe syreną kryła się pod stołem. Kiedy nad jeziorem szalały burze, uciekała do łazienki, kładła się za sedesem i tak się trzęsła, że aż uderzała obrożą o porcelanę. Kuliła się ze strachu także wtedy, kiedy Marylin i Sam się kłócili. Ostatnio przeżywała prawdziwą męczarnię: wystrzały petard, huk sztucznych ogni tryskających w niebo białymi iskrami albo wybuchami czerwonych chryzantem nad taflą jeziora. A dziś jeszcze kanonada przed jutrzejszym świętem - pokaz na jeziorze Erie - i wreszcie wielka kulminacja Czwartego Lipca. Co potem? Marylin wyobrażała sobie kolejny tydzień strzałów, bo przecież dzieciakom na pewno zostaną jakieś sztuczne ognie. Może powinna zabrać tego biednego psa w jakieś spokojniejsze miejsce? Na przykład do domu ojca? Ale ojciec mieszkał o godzinę drogi, a ona i bez tego miała nie za wiele czasu.

Kolejna raca przeleciała przed oknem sypialni jak mały odrzutowiec ciągnący za sobą dźwięk rozdzieranego papieru. Potem rozległ się lekki trzask. Kokie zaskomlała.

Marylin wyszła z łóżka i podeszła do okna.

- Straszycie psa! - wrzasnęła, przyciskając usta do siatki przeciw owadom.

Na plaży poniżej dwóch chłopców w kąpielówkach, śmiejąc się, wybiegło z krzaków, każdy z kołczanem pocisków na ramieniu. Dziecko wewnątrz Marylin kopnęło dwa razy - a może były to skurcze? W każdym razie zabolowało tak silnie, że całym ciężarem ciała oparła się na parapecie.

„Boże, niech to będzie dziewczynka - pomyślała Marylin - choćby tylko do towarzystwa”. Zasiłaby żeńską drużynę w ich rodzinie. Razem z nią mogłaby się dziwić, że Sam nie wykonuje najmniejszej nawet pracy w domu nie dlatego, że jest leniwy, ale ponieważ nie potrafi. Chociażby to łóżko - pomyślała, patrząc na nieposłane łóżko męża pod oknem. Sam potrafił rozciąć klatkę piersiową i masować serce pacjenta tak długo, aż zaczęło z powrotem bić, ale posłanie łóżka stanowiło dla niego niezgłębioną tajemnicę. Niech to będzie dziewczynka, żeby w takie dni jak dzisiejszy - a składał się on będzie głównie z prac domowych, gotowania dla gości (mieli przyjść Ahernowie), załatwiania różnych spraw, bezustannego porządkowania (Rost, ich syn, natychmiast przecież nabałagani), robienia najpierw listy, a później samych zakupów, wreszcie przygotowania wszystkiego na jutrzejsze przyjęcie z grillem dla tych pieprzonych stażystów Sama (przyjęcie, podczas którego ona zostanie na lądzie, a jej mąż będzie przez całe popołudnie jeździł razem z nimi na nartach wodnych) - miała jakieś towarzystwo, córkę przy boku i choć odrobinę pomocy.

Ból ustąpił i Marylin mogła się wyprostować.

W poprzedni wtorek przy obiedzie Sam powiedział:

- Pomyślałem, że w tym roku też moglibyśmy zrobić imprezę dla moich stażystów.

Akurat kroić hot doga na kawałki, które Rost mógł wziąć do ust. Mimo siedmiu lat chłopiec nie potrafił sam sobie z tym poradzić.

- Jaką znowu imprezę?

- Z okazji czwartego. Podobnie jak w zeszłym roku.

Skrzyżowała nóż i widelec nad swoim talerzem.'

- Dziś jest wtorek, Sam.

- No tak, ale ja już im o tym powiedziałem.?

- Komu?

- Stażystom - wyjaśnił. - Oraz mojej rodzinie. Houkom i Aher- nom także.

- To ponad czterdzieści osób!

- Zrobimy grilla.

Marylin odłożyła sztucce, oparła ręce na stole i patrzyła na męża, który właśnie się zajmował przyprawianiem hot doga. Układał na nim paski musztardy, majonezu i dwóch sosów tak staranie, jakby stawiał ścianę domu. Marylin doszła do wniosku, że przydałaby się jej teraz jakaś cegła.

Sam podniósł wzrok.

- Nie chodzi przecież o jakiś wyszukany posiłek.

Przez jej twarz przebiegł nerwowy uśmiech. W sprawie przyjęcia wygłosił oświadczenie raczej niż propozycję czy prośbę, choć przecież jakiś czas temu pod groźbą rozwodu żądała, żeby nigdy więcej czegoś takiego nie robił... To oczywiście niczego nie zmieniło, a jej kazało zadać sobie pytanie: skoro nie da się zmienić charakteru jej męża w małych sprawach, to co w takim razie z większymi?

Marylin pomyślała, że mogą się teraz pokłócić, ale jak zaczną, sprawa wymknie się spod kontroli i urośnie do rangi nierozwiązywalnego problemu. Znowu trzeba będzie wszystko puścić w niepamięć, a wspomnienia zepchną ich z powrotem do miejsca, w którym znaleźli się kilka tygodni temu, tam zaś powracać nie chciała. Na tym właśnie polega cała sztuka, żeby do niczego nie wracać - doszła do wniosku.

- Masz rację - powiedziała.

Przez okno sypialni Marylin obserwowała chłopców na plaży, aż zniknęli jej z oczu. Potem przetarła oczy nasadą dłoni, założyła włosy za ucho, skrzyżowała ramiona i wpatrywała się w wodę. Dzień był wręcz idealny. Nie tylko ze względu na lekki wiatr i brak wilgotności, ale także z powodu niemal bolesnej przejrzystości powietrza. („Białe światło - pomyślała - jak w sierpniu".) Wydawało się jej, że widzi dosłownie wszystko. Nawet w Huntington Park, odległym o dobrych kilkaset metrów, dostrzegła mężczyznę siedzącego w białej półciężarówce zaparkowanej na podjeździe z widokiem na jezioro, który podobnie jak ona zachwycił się pięknem tego dnia - przynajmniej tak przypuszczała. W takie dni ich plaża była jaskrawa

jak w tropikach: woda robiła się niemożliwie niebieska, chmury gdzieś uciekały, a od piasku bił blask, który aż raził w oczy. Kiedy wiatr poruszał liśćmi przy oknie sypialni na piętrze, miało się wrażenie, że ich dom jest statkiem płynącym pod żaglami.

„Od czego zacząć?” - zastanawiała się.

W sąsiedniej sypialni rozległ się głuchy łomot, a po nim przeciągły jęk. Lester Hoversten, przyjaciel Sama, właśnie wstał. Perspektywa spędzenia poranka w jego towarzystwie była tak niemiła, że odkąd otworzyła oczy, ani razu o nim nie pomyślała. Odgłosy jego przeciągania się tylko pogłębiły frustrację: Hoversten był kolejnym przypadkiem, kiedy Sam zamiast poprosić, postawił ją przed faktem dokonanym.

- Les stracił pracę - powiedział Sam przed wyjściem do pracy w środę rano, nawet nie obracając się do niej. - Zatrzyma się u nas przez kilka dni.

To z tchórzostwa oznajmił jej o tym w ostatniej chwili, niemal z parkingu.

- Zaproponowałaś Lesterowi, żeby u nas zamieszkał? - zapytała.

- Przecież to mój kolega. Teraz potrzebuje pomocy.

- Jezus Maria, Sam! Zachowujesz się, jakby chodziło o drobne nieporozumienie z żoną.

- Les tak to prawdopodobnie odebrał - rzucił Sam, zamknął drzwi siatkowe i poszedł do samochodu.

Marylin już miała za nim wyjść, ale Rost wbiegł do kuchni, z całego rozpędu wpadł na jej nogi i uwiesił się na mamie, chwytając ją za spodnie - zupełnie jakby on i ojciec byli zawodowymi zapaśnikami w tej samej drużynie. Przyklękła, żeby spojrzeć synowi w oczy.

- Jesteś za duży, żeby tak robić - skarciła go, potrząsając nim za ramiona.

Po chwili w drzwiach zobaczyła ponownie ciemną sylwetkę Sama.

- Jak mogłeś! Znów cię nie obchodziło, co ja mam na ten temat do powiedzenia!

Ale był to Dick Eberling, który sprzątał i mył okna w ich domu. Miał wzrost i posturę jej męża, a nawet łysiał w podobny sposób. Byli do siebie niesamowicie podobni. Stał w drzwiach - Marylin usłyszała, jak się zamykają z lekkim stuknięciem - zakłopotany, ze spuszczoną głową.

Auto Sama ruszało z podjazdu.

- Och, nie! - powiedziała, przykładając dłoń do czoła. - Dick! Tak mi przykro! Wzięłam cię za Sama.

Eberling, wyraźnie uspokojony, podniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Przepraszam, pani Sheppard. Powinienem być zapukać.

Głos Hoverstena przerwał jej wspomnienia.

- Jest kawa? - zapytał zza ściany.

Marylin ubrała się pośpiesznie - za nic w świecie nie pozwoliłaby mu zobaczyć się w piżamie - i zeszła na dół.

Dwa lata wcześniej, w taki sam poranek, kiedy Sam wyjechał już do szpitala, a Rost jeszcze spał, między nią a Hoverstenem doszło do niecodziennej wymiany zdań. Starszy od jej męża o dziesięć lat z okładem Hoversten studiował razem z Samem medycynę w Kalifornii. Ich wieloletnia przyjaźń drażniła ją nie tylko dlatego, że Lester był ofiarą losu, uganającym się za spódniczkami alkoholikiem, który przystawiał się do pielęgniarek tak bezczelnie, że żadna nie chciała zostawać z nim sam na sam, ale przede wszystkim dlatego, że pod jej nieobecność zapraszał Sama na podwójne randki.

Tamtego ranka stała w podomce przy zlewie, kiedy Hoversten przycisnął do niej swoją nagość. Końce jego rozchylonego szlafroka owinęły się wokół jej nóg jak macki.

- Potrzebujesz pomocy? - wyszeptał.

Marylin była tak zaskoczona, że na chwilę zamarła.

Hoversten wziął wahanie za zgodę, przywarł do jej pleców jeszcze silniej, złapał ją za łokcie i przesunął dłońmi po jej rękach aż do nadgarstków. Przysunął usta do jej karku.

- Nie udawaj, Marylin - powiedział. - Widziałem, jak na mnie patrzyłaś wczoraj wieczorem.

Odwróciła się i cisnęła spienioną gąbką w jego nagi tors.

- Proszę, proszę! - śmiał się. Stawiając krok w tył, zerknął na ściekającą po jego piersi pianę. Sterczący penis przekrzywił się w prawą stronę, jak sięgająca do liścia gaśienica. - Nie bądź taka małostkowa.

- Oczywiście, że na ciebie patrzyłam! Przecież rozmawialiśmy.

- Nie, nie - zaprotestował, znowu podchodząc bliżej. - Przyłapałem cię, jak mi się przyglądałaś.

Rzeczywiście ją przyłapał. Podczas kolacji poprzedniego wieczoru przyglądała mu się, kiedy mówił coś do jej męża. Patrzyła na egzeme, dodatkowo szpecącą jego łysinę, na zbierającą się leżkę tłuszczu pod jego brodą i na małe zęby, które kojarzyły jej się z zębami dziecka; zastanawiała

się, czy jest w nim choć jedna rzecz, którą kobieta mogłaby uznać za atrakcyjną. Dziwiło ją, jak może siedzieć teraz naprzeciw niej jakby nigdy nic, po tym ostentacyjnym braku szacunku, oczekując, że ona także uzna za nieważny drobiazg wszystkie te flirty z dziewczynami, z którymi on i Sam spotykali się w Kalifornii na podwójnych randkach. Przekleła go w myślach, zanim spuściła wzrok na talerz. A teraz stał naprzeciw niej, podniecony złą interpretacją jej zachowania.

- Dziękuję ci, Lester, że pokazałeś mi to coś - odsunęła od siebie jego penisa mokrą gąbką do naczyń. - Może jednak teraz poszedłbyś już pobawić się nim gdzieś na osobności?

Parsknął, kręcąc głową.

- Niezła z ciebie flirciara, Marylin. Wiesz o tym?

- Nie pochlebiaj sobie.

Przewiązał szlafrok paskiem, odwrócił się i odszedł, głośno tupiąc. Od tamtej pory jednak trzymał się od niej na pełen szacunku dystans.

Teraz Marylin wlała do garnka mleko, nastawiła kawę, a kiedy jej zapach uderzył ją w nozdrza, poczuła ochotę na papierosa. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie umyć talerza i patelni (Sam zrobił sobie na śniadanie jajka na bekonie, zostawiając jej cały bałagan), zmieniła jednak zdanie i postanowiła zejść do hangaru na łódzie. Doszła do wniosku, że zrobi tam trochę porządku, ułoży kamizelki ratunkowe, linki i narty, dzięki czemu znajdzie się z dala od paczki papierosów, którą schowała w gabinecie Sama. Potem wstanie Rost, da mu więc śniadanie i będzie mogła wyjść z domu do sklepu, nie musząc oglądać Hoverstena ani sekundy dłużej, niż to było konieczne, skoro w ogóle było. Ten plan wydał jej się bardzo praktyczny. Właściwie tylko w ten sposób zdoła ze wszystkim wyrobić się na czas, ponieważ nazajutrz nie będzie go miała ani chwili. Zresztą jutrzejszy dzień już się jej nie wydawał taki okropny. Kilku stażystów pomoże jej przy grillu i podawaniu jedzenia. Zrobią wszystko, o co ich poprosi, żeby tylko wkupić się w jej (i Sama) łaski, na pewno więc także ona będzie mogła sobie pojeździć na nartach wodnych. A jeśli dzisiaj dopisze jej szczęście i wszystko pójdzie gładko, to może nawet znajdzie trochę czasu dla siebie.

Gdy tylko jednak zeszła po długich schodach na brzeg, straciła cały entuzjazm. Hangar wyglądał jak pobojuwisko. W łodzi znalazła narty, mokre ręczniki i kamizelki ratunkowe, puste puszki po piwie i lodówkę turystyczną pełną czegoś, co wyglądało na zgniłe. Sama łódź nie była

właściwie zacumowana i przy każdej najmniejszej fali uderzała o drewniane słupki. Krótko mówiąc, bałagan był tak potworny, że można go było narobić tylko jej na złość.

- Szlag by cię trafił, Sam - mruknęła.

Odwróciła się i po schodach weszła do domu.

Udała się do kuchni przez patio, spodziewając się zobaczyć tam Hoverstena nad kawą i gazetą. W domu jednak było cicho. Hoversten musiał wrócić do łóżka. Stąpając cichutko, wślizgnęła się do gabinetu Sama, zdjęła z półki *Kardiologię* i wyjęła paczkę chesterfieldów. Przy puszcze, w której Sam trzymał fajkę, leżało pudełko zapalek. Zapaliła papierosa, przeszła za biurko i usiadła na czerwonym skórzanym krześle. Obok kaloryfera stały trzy naładowane strzelby. Dziesiątki razy go prosiła, żeby je gdzieś schował. Na biurku stało zdjęcie ich dwojga zrobione wiele lat temu w Kalifornii. Byli wtedy tak młodzi, że patrząc na tę fotografię, uświadomiła sobie tym wyraźniej, jak bardzo się postarzel. Siedzieli w jego samochodzie - plymouth fuiy - w czterdziestym czwartym. W tym właśnie roku Sam zaczął studia medyczne. Był wtedy szczuplejszy. Miał więcej włosów. Uprzejmiej ją traktował. Chapmanowie zaprosili ich wówczas na swoje rancho do Big Sur. Za ich plecami widać było nawet odległe wzgórza i mgłę nadciągającą znad oceanu. Z tamtego dnia zapamiętała tylko to, że bardzo zmarzła, ponieważ Sam się uparł, iż nie założy dachu samochodu. Z czasem to zdjęcie zastąpiło jej wszystkie wspomnienia. Stało się dla niej symbolem czasów, kiedy uważała, że mąż nigdy by się nie zdobył na żadne okrucieństwo, że czeka ich razem lepsza przyszłość - w odróżnieniu od obecnej wieczności, gdy każdego dnia musiała wybierać pomiędzy krokiem naprzód a rezygnacją.

„Oto on - pomyślała Marylin. - Mężczyzna, w którym się zakochałam”.

Rozsiadła się wygodniej, wyciągnęła nogi na biurko i odchyliła głowę do tyłu, obserwując, jak dym, który wydycha, wędruje do sufitu. Nie powinna palić ze względu na ciążę. Wiedziała o tym, ale papieros pozwalał jej zamknąć się w tej jednej chwili, kiedy nie musiała o niczym pamiętać. W domu panowała cisza. Zaciągnęła się ostatni raz i wypuściła równy strumień dymu prosto na fotografię.

Co ma teraz robić?

Chwilę później, przeglądając listę zakupów i rzeczy do załatwienia tak długą, że ledwie się zmieściła na kartce bloku papierowego, Marylin za-

stanawiała się, jak by to było, gdyby nie załatwiła żadnej z nich i nie zrobiła zakupów. Przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny zachowywałyby się z całkowitym spokojem, który jej męża wprowadziłby w zdumienie nad jej zdolnościami organizacyjnymi, po czym tuż przed przybyciem gości wpakowałyby do samochodu Rosta oraz Kokie i pojechała do rodziców, by nigdy już stamtąd nie wrócić. Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i pozwoliła myślom podążać tym przyjemnym tropem.

„Kolacja” - napisała, po czym dwukrotnie podkreśliła to słowo. - „Szynka, fasolka szparagowa, chleb ryżowy”.

„Deser” - napisała obok, znów dwukrotnie podkreślając. Zagryzła na chwilę końcówkę długopisu, po czym dodała: - „Placek z jagodami i lody”.

Był to ulubiony deser Sama.

Przez bandażę Mobiusa przesiąkała krew. Grube czerwone kręgi pojawiły się na kolanach i na dłoniach.

Od dnia śmierci Marylin detektyw Sheppard źle znosił widok krwi.

- Ustalmy sekwencję wydarzeń - zaproponował Mobius. - Zabawię się w detektywa.

- W porządku - zgodził się Sheppard.

- Tamtego ranka, trzeciego lipca...

-Tak?

- Wstał pan wcześniej.

- O szóstej byłem już na nogach - odrzekł Sheppard.

- Mimo że była to sobota.

-Tak.

- I pojechał pan do szpitala.

- Dotarłem tam tuż przed siódmą.

- Ten szpital założył pański ojciec, prawda?

- Prawda. Moi bracia Richard oraz Stephen też tam pracowali.

- Przy parkingu natknął się pan na Stephena. Porozmawialiście chwilę o planach na świąteczny weekend.

- Zamierzał spędzić dzień na żaglówce. Przypomniałem mu o przyjęciu dla stażystów. Oczywiście już wcześniej zaprosiłem go razem z żoną.

- Potem poszliście na salę operacyjną?

- Wszystko przebiegało jak co dzień.

- Dopóki nie przywieźli tego chłopca.

- Tak - zgodził się Sheppard. - Około dziesiątej przywieźli chłopca potrąconego przez półciązarówkę.
- Nie oddychał.
- Stracił przytomność i przestał oddychać, jak tylko położyliśmy go na stole.
- Dlatego otworzyliście mu klatkę piersiową. -
- Tak.
- I podjęliście masaż serca.
- Tak.-
- Jakie jest w dotyku serce?
- Jak piłka tenisowa - odpowiedział Sheppard. - O wiele twardsze, niż się nam wydaje. Powraca do swojego kształtu bez względu na to, jak silnie się je naciśnie.
- To ciekawe - stwierdził Mobius.
- Sheppard wzruszył ramionami.
- Mimo to chłopiec zmarł?
- Tak.
- Kiedy poinformował pan o tym jego ojca, ten zrobił panu awanturę, prawda?
- Ojciec twierdził, że jego syn nie mógł umrzeć na skutek tego potrącenia, ponieważ rozmawiał z nim tuż po wypadku. Był przytomny. Skoro tak, to musiałem go zamordować.
- Co pan mu odpowiedział?
- Wyjaśniłem, że taka jest natura obrażeń wewnętrznych. Zabijają ukradkiem. Można funkcjonować normalnie, dopóki organy wewnętrzne nie odmówią posłuszeństwa. Powiedziałem mu też, że bardzo mi przykro.
- Co się stało potem?
- Zrobiłem co trzeba w szpitalu i wyszedłem. Zatrzymałem się po drodze, żeby odwiedzić rodziców.
- A po tej wizycie?
- Pojechałem do domu. Miałem trochę pracy w hangarze na łodzi. Następnego dnia mieliśmy na obiedzie stażystów ze szpitala, sprawdziłem więc silnik, żeby się upewnić, czy wystarczy benzyny. Skompletowałem liny do holowania, przejrzałem narty i kamizelki ratunkowe. Potem była pora na koktajl.
- Która była godzina?

- Mniej więcej za kwadrans siódma. Następnie poszliśmy na drinka do naszych sąsiadów, Nancy i Dona Ahernów.

- Wydawało mi się, że mieli przyjść do was na kolację.

- Owszem, ale mieliśmy taki zwyczaj, że gospodarze zawsze wcześniej odwiedzali gości. Dziewczyny twierdziły, że jeśli pijemy w jednym domu, a jemy w drugim, to bałagan dzieli się po równo.

- Mieszkali blisko was.

- Na tej samej ulicy.

-Co piliście?

- Panie whisky z sokiem z limonki, Don i ja martini.

- O czym rozmawialiście?

- Opowiedziałem Donowi, co się wydarzyło w pracy; o tym chłopcu, który umarł.

- Nie dawało to panu spokoju, prawda?

W poczekalni ojciec chłopca cofnął się dwa kroki od Shepparda, wymierzył w niego palec, po czym dzikim wzrokiem powiódł po pozostałych. „To twoja wina” - stwierdził. - „To ty go zabiłeś. Rozmawiałem z synem po drodze tutaj. Siedział obok mnie na siedzeniu w samochodzie. Nic mu nie było. Czuł się dobrze”. - Pokiwał wyciągniętym palcem. - „Ty chciałeś, żeby mój syn umarł”. - Rozłożył ręce. - „Nie pozwalajcie temu człowiekowi zbliżać się do waszych bliskich. To zabójca, słyszycie? On zabił mojego syna!”

- Prawda - potwierdził Sheppard.

- Co się działo potem?

- Marylin wyszła, żeby dokończyć gotowanie.

- Jak długo pan tam jeszcze został?

- Nie więcej niż kilka minut. Wezwano mnie do szpitala.

- Po co?

- Żeby opisać zdjęcia rentgenowskie. Jakiś chłopiec złamał nogę.

- Która była godzina?

- Około ósmej trzydzieści.

- Wrócił pan szybko?

- Jak tylko zrobiłem, co do mnie należało.

- Od razu siedliście do stołu?

- Nie. Marylin miała opóźnienie. Don słuchał relacji z meczu Indianów, zabrałem więc dzieci do piwnicy, gdzie niedawno powiesiłem worek treningowy. W tym czasie panie kończyły obiad.

- Gdzie jedliście?

- Na patio..

- A dzieci?'

-Wkuchni.

- To był ładny wieczór.

- Pięknie zachodziło słońce.

- Marylin zrobiła pyszny obiad.

- Szyńka. Fasolka szparagowa. Placek z jagodami.

- Co robiliście później?

- Po kolacji oglądaliśmy sztuczne ognie. Był wielki pokaz w wigilię Święta Niepodległości. Potem Don zabrał dzieci do domu i położył je spać.

- O której?

- Około wpół do jedenastej.

- Potem wrócił?

-Tak.

- I co się działo?

- Panie sprzątały kuchnię. Don wysłuchał końcówki transmisji meczu w radiu. Ja odpoczywałem w salonie.

-A później?

- Pomogłem Rostowi naprawić samolot.

- Pozwolił pan chłopcu zostać z wami do późna? - Nie. Zszedł na dół w piżamie. Uwielbiał samoloty i ptaki. Wszystko co potrafi latać. Zszedł na dół i zapytał, czy naprawię samolot, zanim pójdzie spać. Zeszliśmy więc do piwnicy i skleiliśmy połamany model. Uprzedziłem go jednak, że i tak nie będzie już chyba latał.

- Dlaczego nie?

- Miał złamane skrzydła. Był z drzewa balsa. Bardzo delikatna konstrukcja.

- Jak Rost zareagował?

- Stwierdził, że jeśli nie, to trudno, ale spróbować trzeba.

- Co było potem?

- Marylin położyła Rosta spać.

- A wy co robiliście?

- Obejrzeliśmy film.

-Jaki?

- *Strange Holiday*.

- Kto grał główną rolę?

- Taki mały aktor. Jak pan.

- Claude Rains - powiedział Mobius. - O czym jest film?

- Po powrocie z wakacji bohater stwierdza, że Ameryka została przejęta przez faszystów.

- Podobał się panu?

- Był okropny! Nie mogłem go oglądać. Zresztą nie lubię filmów.

- A to dlaczego? .

- Są zbyt przewidywalne.

- W jakim sensie? '...

- W filmie wszystko ma swoje znaczenie. Jeśli któryś z bohaterów mówi: „Ten zbiornik jest wypełniony sprężonym powietrzem. Wystarczy chwila nieuwagi, a wybuchnie”, to prędzej czy później zbiornik eksploduje.

- Co z tego?

- W życiu tak nie bywa.

- Tak pan myśli?

- Nie myślę. Wiem.

- Ja wiem, że umrę w tej celi.

Sheppard ponownie nabił fajkę.

- Jak to?

Mobius się uśmiechnął.

- Powieść Davida mnie zabije.

Sheppard podпалиł. Pyknął dwa razy.

- Co się działo potem? - zapytał Mobius.

- Byłem zmęczony. Położyłem się na leżance i zasnąłem.

- Gdzie stała leżanka?

- Zaraz obok salonu. Przy schodach na piętro.

- Czy coś jeszcze pamięta pan z tego wieczoru?

- Usiadłem na chwilę i widziałem, że pozostali oglądają telewizję. Marylin odwróciła się do mnie i coś powiedziała.

-Co?

Sheppard wypuścił dym. Miał przed oczami Marylin odwracającą się do niego na fotelu, bujanym fotelu, którego oparcie częściowo zasłaniało jej twarz. Miała rozpuszczone włosy. Gestem dała mu znak, żeby usiadł obok niej, nie ruszył się jednak z miejsca. Z jakiegoś powodu sprawiło mu to wielką przyjemność, że jej nie posłuchał. Było w tym coś tak przyjemnego, że porównał ten moment do wspomnienia z dzieciństwa, kiedy rodzice sprawdzali go, raz lub dwa wołając jego imię, a on udawał, że śpi. Marylin miała na sobie białe szorty i bluzkę z krótkim rękawem w małe skrzydełka. Machnęła na niego raz jeszcze. Pomyślał wtedy, że pełnia szczęścia w małżeństwie jest jednak możliwa.

- Nie dosłyszałem - ponaglił go Mobius.

- Powiedziała: „Chodź, Sam. Potem na pewno będzie lepiej” - oznajmił Sheppard, nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu.

Mobius skrzyżował ramiona.

- Co pan pamięta potem?

- Potem się obudziłem.

- Dlaczego?

- Słyszałem, jak Marylin woła moje imię.

- Wiedział pan, że ktoś jest w domu?

- Nie. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Myślałem, że ma skurcze macicy.

- Dalej, proszę.

- Pobiegłem na górę, wszedłem do sypialni i ktoś mnie uderzył.

- Widział pan napastnika?

- Nie jestem pewien. Widziałem sylwetkę.

- Co pan ma na myśli?

- Nie widziałem wyraźnie. Było ciemno. Czasem wydaje mi się, że wyglądał inaczej.

- Jak?

- Czasem ma bujne włosy, a czasem jest tak samo łyсы jak ja.

- Tak czy owak ktoś pana znokautował.

-To prawda.

- Co było potem?

- Kiedy się ocknąłem, leżałem na podłodze. Odznaka lekarza policyjnego leżała tuż obok mojej twarzy. Zwykle nosiłem ją wportfelu, nie rozumiałem więc, co się stało. Potem zobaczyłem pod łóżkiem swój portfel.

-I?

- Wtedy też zobaczyłem krew. Na drzwiach po mojej prawej stronie. Różnej wielkości krople spływały, tworząc na dole delikatną mgiełkę. Podniosłem się i wtedy zobaczyłem Marylin.

- Leżała na łóżku?

- Z twarzą zwróconą w moją stronę.

- Była zmasakrowana.

- Nie do poznania - potwierdził Sheppard, choć w głębi ducha doskonale wiedział, że to niewłaściwe określenie. Tak się po prostu mówi, on tymczasem nie miał najmniejszych problemów, żeby rozpoznać Marylin. Nawet po upływie tylu lat doskonale pamiętał kolor jej włosów połyskujących wokół twarzy i przyklepionych do krwi wokół jej głowy. Kilka grubszych kosmyków przykleiło się do jej policzków, jakby od potu. Bez trudu rozpoznał wyraz jej twarzy - strapiony i zatroskany, jak zawsze, kiedy niepokoiły ją sny, których omal mu nie opowiedziała po przebudzeniu. Ten sam wyraz twarzy, który wiele razy w środku nocy budził w nim ochotę, żeby ją przytulić.

- Co potem?

- Byłem półprzytomny. Nie wiedziałem, co się dzieje. Ale przykleknąłem przy łóżku, żeby zbadać jej puls. Nie żyła.

- Niech pan mówi.

- Poszedłem do pokoju Rosta, żeby sprawdzić, co z nim. Spał.

- Ale mówił pan przecież, że słyssał pan krzyk. Marylin była brutalnie bita.

- Rost miał to samo co ja: mógłby przespać prawie wszystko.
- Dlaczego nie wezwał pan policji?
- Usłyszałem jakiś hałas na parterze, zbiegłem więc na dół. Morderca wciąż był w naszym domu. Widziałem go przy drzwiach na patio.
- Widział go pan?
- Sylwetkę.
- Jak wyglądała?
- Jak sylwetka mężczyzny.
- Tak, ale jaki on był?
- Duży, jak ja. Miał tak bujne włosy, że sterczały niemal pionowo.
- Co się stało potem?
- Usłyszał mnie i rzucił się do ucieczki. Wybiegłem za nim na zewnątrz po schodach na plażę. W końcu go dopadłem i zaszedłem mu drogę. Szarpaliśmy się. Wciąż nie doszedłem do siebie po tamtym uderzeniu. Było ciemno. Nie mogłem wyprowadzić celnego ciosu, jakbym próbował uderzyć kogoś, kto stoi w budce telefonicznej. Znów mnie znokautował.
- Skąd pan wie?
- Bo kiedy się ocknąłem, leżałem na plaży. Moja koszula zniknęła, a nogi miałem w wodzie.
- Jak długo pan tam leżał?
- Nie wiem. Prawie świtało.
- Podniósł się pan i przypomniał sobie, co się stało.
- Tak.
- Przypomniał pan sobie, że Marylin nie żyje.
- Wiedziałem, że ją straciłem.
- Niech mi pan powie, doktorze, jak najdokładniej pan potrafi, co przemknęło panu wtedy przez myśl?

Richard Eberling siedział w półciężarówce przy Huntington Park, obserwując dom Sheppardów.

Pomyślał, że dobrze byłoby jakoś zdobyć aparat z długim obiektywem, bo mógłby wtedy oglądać Marylin w sytuacjach, gdy nie miała pojęcia, że ktoś na nią patrzy. Robiłby też jej zdjęcia w oknie, na patio albo na plaży; później mógłby je wywołać i pokazać jej, jaka jest piękna, ponieważ rozmawiając z Marylin Sheppard, miało się wrażenie, że wcale nie docenia ona własnej urody, co czyniło ją jeszcze piękniejszą. Pokazałby jej te ujęcia,

mówiąc: „Proszę zobaczyć, to pani, kiedy nie patrzy nikt na świecie poza mną. Tak panią widzę, a najbardziej podobają mi się gęste kręcone włosy i pani orzechowe oczy. Podoba mi się to, że zawsze wygląda pani, jakby była trochę smutna. Podobają mi się pani nogi i małe piersi, a najbardziej mi się podoba, kiedy się pani śmieje. To niebezpieczny śmiech. To śmiech dziewczyny, która zna różne sekrety.

A ja chcę pani wyjawić mój sekret”.

Trzy dni temu Marylin powiedziała mu, że wygląda jak doktor Sam. Patrząc na siebie w lusterku wstecznym, rozumiał, dlaczego tak stwierdziła. Mieli tak samo szerokie brwi i pełne usta - nawet kształt uszu mieli taki sam - ale choć obydwaj zaczęli łysieć, doktor Sam miał wyraźne zakola i chodził, jakby w każdej chwili miał puścić się gdzieś pędem szybciej niż ktokolwiek. Wyglądał na mężczyznę, który nigdy nie patrzy w lustro, ponieważ dobrze wie o sobie wszystko, co chce wiedzieć. Eberling widział go, jak wychodził z domu rano w zeszłą środę: zatrzymał półciężarówkę dokładnie w chwili, kiedy doktor Sam mówił coś do żony, już w drzwiach kuchennych. Eberling wziął z bagażnika środki czystości oraz przybory do sprzątania i wyszedł zza półciężarówki prosto na Shepparda. Podziwiał jego nienaganny dwurzędowy garnitur, szeroki w ramionach, a węższy w talii; podziwiał luksusowy czerwony jedwabny krawat, błyszczące pantofle ze skórzanymi chwościami, myśląc, że tak samo ubrany on też wyglądałby przystojnie. Tak właśnie by wyglądał, gdyby był lekarzem. Gdy się mijali, Eberling, taszcząc wiadra i gumowe wycieraczki do okien, powiedział: „Miłego dnia, panie doktorze”. Nie patrząc na niego, doktor odparł: „Na wzajem”. Potem wsiadł do nowiutkiego jaguara ze składanym dachem - pozbył się poprzedniego MG - i delikatnie zwiększył obroty silnika, zanim odjechał.

Eberling przystanął na chwilę, patrząc, jak auto znika za rogiem.

Był jasny dzień i kiedy Eberling wszedł do domu, jego oczy musiały się odzwyczaić od słonecznego blasku. W kuchni wyłoniła się z ciemności Marylin. Klęczała przy synu, trzymając go za ramiona, jakby była na niego zła. Niespodziewanie odwróciła się do niego.

- Jak mogłeś! Znów cię nie obchodziło, co ja mam na ten temat do powiedzenia! - krzyknęła, podnosząc się. - Och, nie! - dodała zaraz. - Dick! Tak mi przykro! - Spojrzała w światło drzwi nad jego ramieniem. - Wzięłam cię za Sama.

- Przepraszam, pani Sheppard. Powinienem był zapukać.

- Nie, nie. Nie chciałam robić ci wyrzutów. - Pokręciła głową i roześmiała się. Miała na sobie białe szorty i przyciskała głowę synka do nagiego uda.

- Mów mi Marylin - zaproponowała. - Pani Sheppard mnie postarza.

Eberling opuścił szybę w oknie od strony kierowcy. W półcieżarówce robiło się gorąco, przez co czuć było leżące na pace środki czystości: płyn do czyszczenia Fantastic, płyn do szyb Windex, wciąż zamoczone w płynie do podłóg Pledge szmaty i mopy, z których unosił się lekki zapach amoniaku i mydlin. Miał dziś do sprzątnięcia cztery domy. W każdym zaplanowano przyjęcie z okazji Czwartego Lipca i wszyscy chcieli, żeby ich dom lśnił jak brylant i żeby goście pomyśleli, że zawsze taki jest; że zamiast rozmazanego gówna na desce sedesowej, sierści psa na kanapie oraz zaschniętych strupów pasty do zębów w umywalce zawsze widzą swoje odbicie w błyszczącej armaturze i można bezpiecznie jeść z podłogi. Wtedy zazdrośni goście pomyślą, że ten dom jest znacznie czystszy, miłszy i bardziej lśniący od ich własnego, a więc ich gospodarze wiodą życie na wyższym poziomie. A czy ktokolwiek podziękuje firmie Dick's Cleaning Service za dobrze wykonaną pracę? Wątpliwe. Z wyjątkiem Marylin nikt mu nigdy nie dziękował.

W oknie sypialni Sheppardów pojawiła się jakaś postać. Eberling był pewien, że to ona. Wsiadł z szoferki. Uderzył go chłodny i ostry powiew wiatru. Z krzaków pod domem wybiegło dwóch chłopców, którzy popędzili w dół po schodach, a potem na plażę. Eberling miał wrażenie, że Marylin patrzy w jego stronę. Zastanawiał się przez chwilę, czy ona też go widzi. Czy gdyby wiedziała, że to on, podniosłaby okno i pomachała mu ręką? Czy dałaby mu jakiś znak?

Trzy dni temu, kiedy skończył sprzątać, zastukał w futrynę drzwi prowadzących na zaciszne patio z widokiem na jezioro na tyłach domu. Była pora lunchu, Marylin siedziała więc przy stole z synem, jedząc ciastka czekoladowe z orzechami, które popijała mlekiem. Miała na sobie białe szorty, odsłaniające sporą część uda, i białą bluzkę, między guzikami której widać było jej opalone ciało i kawałek stanika z białej koronki.

- Już skończyłem, pani Sheppard.

- Dziękuję, Dick.

Przyglądając się, jak Marylin obserwuje Rosta jedzącego ciasteczko poczuł ukłucie czegoś w rodzaju głodu.

- Jeśli pani chce, może pani sprawdzić, zanim sobie pójde - zaproponował.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła. - Zawsze robisz wszystko bardzo starannie.

Eberling się uśmiechnął, a kiedy Marylin odwzajemniła uśmiech, zauważył, że w jej orzechowych oczach jest więcej zieleni niż brązu. Potem chłopiec strącił ze stołu szklanekę z mlekiem.

- Zajmę się tym - powiedział. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął szmatę, stał mleko, gapiąc się przez chwilę na zwisające z krzesła tłuste nogi chłopca i model samolotu z drewna balsa, na który nadepnął kolaniem i naciskał tak długo, aż usłyszał trzask łamiącego się skrzydła. Kiedy skończył, poszedł wycisnąć szmatę nad zlewem w kuchni. Marylin wyjęła mleko z lodówki i sięgnęła po nową szklanekę, zanim jednak wróciła na patio, zapytała:

- Może się poczęstujesz ciasteczkami?

Eberling uniósł brwi i wskazał na siebie.

- Upiekłam je dziś rano - dodała.

- To bardzo miło z pani strony - powiedział. Potem czekał.

- Chodź, dołącz do nas - zaprosiła.

- Dobrze.

Umył ręce bardzo starannie i nie chcąc ruszać ładnie poskładanych ściereczek przy zlewie, wytarł je o spodnie. Gdy wyszedł na patio, czekała na niego duża szklanka mleka z pięcioma ciasteczkami na talerzu z porcelany tak białej jak mleko oraz szorty i bluzka Marylin, które okrywały jej skórę - równie ciemną jak ten drobny poczęstunek, i równie miękką i kuszącą. Kto by się zmęczył towarzystwem takiej kobiety?

Marylin siedziała z rękami na stole, jedną opartą na drugiej. Klepnęła siedzenie krzesła obok siebie.

- Siadaj. Pewnie umierasz z głodu.

- Chyba tak - odparł.

- Proszę, częstuj się.

Najpierw starał się jeść powoli, żeby nie robić z siebie świni, ale Marylin i chłopiec i tak obserwowali go uważnie, jakby stanowił najbardziej fascynujący widok na świecie. Zażenowany ich spojrzeniem, zaczął gryźć

większe kęsy ciastek, żeby szybciej skończyć, ku radości dzieciaka pożerając je jedno po drugim i wydając zwierzęce odgłosy, gdy je przeżuwał. Śmiech Marylin i chłopca dodatkowo go podpuszczał. Rozmoczone ciasto groziło mu udławieniem się oraz odjęło mu mowę na - miał wrażenie - co najmniej dziesięć minut.

Marylin śmiała się tak serdecznie, że aż musiała położyć dłoń na jego ramieniu.

- No proszę! Naprawdę był pan głodny! - powiedziała.

- I dużo pan zjadł - dodał chłopiec.

- Chyba tak - Eberling wytarł usta. Palce miał lepkie od polewy, pozwolił więc psu wylizać je pod stołem.

- Mam jeszcze ciasteczka - zaproponowała Marylin.

- Bardzo dziękuję, ale już nie chcę.

Chłopiec zapytał, czy może iść. Marylin pozwoliła, wycierając mu przedtem buzię. Po jego odejściu razem z Eberlingiem popatrzyli na siebie, a następnie oboje odwrócili się do jeziora. Od wody wiał lekki wiatr. Siedzieli w milczeniu. Przed nimi przepłynęła łódka. Przez chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem było plask, plask, plask kadłuba uderzającego o małe fale. Chlupot ucichł, zanim łódź zniknęła im z oczu.

- To piękne miejsce - powiedział Eberling

Marylin nie oderwała oczu od jeziora.

- To prawda, bardzo piękne.

Zawsze wiedział, co ma mówić kobietom, zwłaszcza jeśli były smutne albo samotne. Wiedział też, co powiedzieć Marylin, ale się bał.

- Powinnam chyba bardziej je doceniać - dodała.

- Czy przez to zrobiłoby się piękniejsze?

- Nie - odparła. - Ale może ja byłabym miłsza.

Eberling czekał, aż na niego spojrzy, co w końcu zrobiła. Potem zaczął zbierać z talerza okruszki, dopóki znów się nie zrobił nieskazitelnie biały. Wiedział doskonale, że jej ręce wciąż są na stole i bardzo chciał ich dotknąć.

- Trudno sobie wyobrazić, żeby mogła pani być lepsza - powiedział.

Marylin dotknęła dłonią twarzy, patrząc na niego tak ostentacyjnie, że powinno mu się zrobić niezręcznie. Przez chwilę wyobraził sobie, że to jego dom, a Marylin jest jego żoną, i że we dwoje spędzają wietrzne popołudnie, korzystając z okazji, że ich synek gdzieś sobie poszedł. Wtedy przezwy-
ciężył strach.

-Wie pan co?

-Co?

- Wygląda pan tak samo jak mój mąż.

- Pani Houk ciągle mi to powtarza - powiedział.

- Bo to prawda. Ale pan jest inną wersją. v

- Jak to inną?

Jej oczy przebiegały w tę i z powrotem po jego twarzy.

- Pańskie oczy... - zawahała się. - Ma pan dłuższe rzęsy. I bardziej miękkie.

Eberling czekał.

- Ma pan smutne oczy - dodała.

- Nie czuję się smutny.

- Nie?

- Nie myślę o smutnych rzeczach. - Uśmiechnął się szeroko, żeby jej dowieść prawdziwości swoich słów.

- Chodziło mi o to, że są ładne - wyjaśniła.

To zabawne, pomyślał, że doktor Sam nadal jest w tym pomieszczeniu, że nadal ją zasmuca; to przez niego Marylin mówi mu takie rzeczy, starając się zatrzymać go tutaj jak najdłużej, żeby jej przypominał, jak bardzo się różni od jej męża. Uznał, że to właśnie jest klucz - być takim samym, a jednocześnie się różnić: być mężczyzną, jakim jest jej mąż, zarazem nim nie będąc. Choć nie tego chciał. W ten sposób zawsze by ich ze sobą kojarzyła.

- Wygląda pani inaczej od wszystkich Marylin, które znam - powiedział.

Pokiwała głową i wybuchnęła tym swoim niebezpiecznym śmiechem. i¹; - Co to znaczy? - zapytała.

Eberling poczekał, aż przestanie się śmiać. Marzył, żeby jej to powiedzieć, wyobrażał sobie, że to mówi dokładnie w tym miejscu, a teraz miał szansę zrealizować swoje marzenia.

- To znaczy, że ilekroć słyszę imię Marylin, zawsze myślę o pani, o Marylin Sheppard. Wszystkie inne tylko pożyczają imię od pani.

Zapadła cisza, przygważdżając wszystkie kończyny Eberlinga do miejsc, w których je zastała. Był pewien, że podobnym uściskiem chwyciła także Marylin.

- To najmiłsze słowa, jakie mi kiedykolwiek powiedziano.

Spojrzeni na siebie. Doszedł do wniosku, że teraz zostało mu już tylko ją pocałować, czekał z tym jednak zbyt długo i ona spuściła powieki, wbijając oczy w swój talerz.

- Dziękuję za ciasteczka - rzekł, wstając z miejsca.

- Proszę.

Odwrócił się do wyjścia.

Ona jednak dotknęła jego ramienia, żeby go powstrzymać.

- Pomyślałam, że następnym razem mógłbyś zabrać ze sobą kąpielówki.

- Słucham?

- Po pracy mógłbyś popływać. Trochę byś się rozerwał.

Eberling spojrzał na plażę, potem na Marylin.

- Naprawdę?

- Sprawiłoby mi to przyjemność.

- Przyjemność?,

- Lubię patrzeć, jak ktoś przyjemnie spędza czas w naszym domu.

- Następne sprzątanie mamy w najbliższą środę.

- Jesteśmy zatem umówieni - postanowiła.

- Do zobaczenia.

Obserwując dom Sheppardów z półcieżarówki, Eberling wyobrażał sobie najbliższą środę chyba po raz setny od czasu tamtej rozmowy z Marylin. Widział, jak przebiera się w kąpielówki w gabinecie doktora Sama, potem przechodzi przez dom do patio, na zewnątrz i w dół po schodach. Później, wiedząc, że Marylin obserwuje go z okna sypialni, brodzi przy brzegu, idąc na głębszą wodę i pływa, aż zabolą go ramiona, a wszystkie zapachy związane z pracą całkowicie się z niego zmyją. Po wyjściu z wody wytrze się ręcznikiem, ale potem i tak poczeka, aż wysuszą go słońce i wiatr, żeby się jej nie wydać zbyt niecierpliwym. Dopiero po chwili wróci do domu. Na dole nie zostanie nikogo. Ale Marylin zawoła go z sypialni na górze. A kiedy to się stanie, nie zawaha się, jak przed pocałunkiem na patio. Będzie gotowy. W ciemnym i chłodnym domu, w mokrych kąpielówkach i z mokrymi włosami pójdzie na górę, gdzie będzie na niego czekała, leżąc w łóżku stojącym bliżej okna - to wiedział, bo zawsze zmieniając pościel, wdychał jej delikatny zapach.

Będzie leżała w zmienionej pościeli. Będzie na niego czekała. Wtedy zdejmie kąpielówki, położy się obok niej, weźmie ją w ramiona i przytuli

się do niej, przywierając do jej pleców. Jej ciało będzie ciepłe, jego - chłodne. Razem posłuchają wiatru znad wody, szumu liści uderzających o szyby w oknie. Wtedy wyjawí jej swój sekret.

- Wie pan, doktorze, niektórzy mężczyźni doznają czegoś zabawnego, zanim zabiję ich żony - powiedział Mobius. - To chyba coś w rodzaju wyrzutów sumienia nabywcy, raz na jakiś czas, kiedy pieniądze przejdą już z ręki do ręki, a ja mam spreparowaną awarię hamulców, odpowiednio przygotowany do zawalenia się dach na patio albo piec gazowy czekający z wybuchem na właściwy moment, raz na jakiś czas mąż dzwoni do mnie dzień wcześniej, żeby wszystko odwołać. Cały jest skruszony. Trochę zakłopotany. Twierdzi, że nie przeszkadza mu przypadek depozytu. Chce tylko, żebym się wycofał. Zgadzam się oczywiście - to w końcu znaczna suma pieniędzy - kiedy jednak pytam go, dlaczego nie chce doprowadzić sprawy do końca, za każdym razem słyszę to samo: że sytuacja zmieniła się na lepsze albo ich sprawy się już poukładały; w jego głosie pobrzmiwa zawsze prawdziwy optymizm, wręcz radość nowożeńca. Czasem słyszę nawet coś takiego: „Dziękuję, panie Mobius. Gdyby nie pan, nigdy nie wspiałbym się na ten poziom relacji z moją żoną. Jesteśmy teraz szczęśliwsi niż kiedykolwiek. Zawdzięczam panu więcej, niż potrafię wyrazić”. Odkładamy słuchawki, a ja się uśmiecham, bo tydzień albo dwa tygodnie później każdy z nich dzwoni do mnie znowu i błaga dokładnie o to co wcześniej.

- Co mianowicie?
- Zabij tę sukę!
- Jest pan obłąkany.
- A pan nie odpowiedział na moje pytanie.
- Nie zadał mi pan żadnego pytania.
- Czy opowie mi pan historię swojego małżeństwa?

Ponieważ Sheppard był detektywem, często analizował historię swojego związku z Marylin, notując przemyślenia w kilku blokach biurowych, zwłaszcza w ciągu miesięcy, które spędził w więzieniu przed procesem i dziesięciu lat po nim, dopóki nie unieważniono wyroku. Poczynając od pierwszego dnia, przeanalizował każdy jego aspekt, odkrywając wszystkie ciemne strony, próbując dowieść swojej winy albo niewinności oraz stopnia

własnego współudziału, ponieważ czasem widział jej śmierć jako nierozwalnie powiazaną z ich miłością, jako straszliwą konsekwencję ich wspólnego życia, efekt jego zachowania, którego był w pełni świadomy, tylko zbyt długo zwlekał z jego poskromieniem. W tej wersji ich wspólnego życia Sheppard uznawał, że jest jej mordercą w takim samym stopniu jak mężczyzna, który ją zatłukł na śmierć.

„Krażymy po orbicie” - napisał. - „Powtarzamy się”.

Ten wzorzec był obecny w ich życiu od samego początku.

Naprawdę chłopiec miał na imię Sam, ale zaraz po urodzeniu ojciec zaczął go nazywać Rostem, co powstało po skróceniu „odrostu”. Chodziło oczywiście o to, że odrost jest taki sam jak pień, z którego wyrasta, a mały Sam, podobnie jak jego ojciec, przespałby nawet tornado. Marylin widziała to jednak zupełnie inaczej. Rano, tuż po przebudzeniu, synek tak łatwo wpadał w irytację i był tak uparty, że odrosty natychmiast się jej skojarzyły z odgałęzieniami na rogach szarżujących kozłów. Wieczorami zaś, po całym dniu spełniania tych jego kaprysów, które wydały się jej choć trochę rozsądne oraz całym mnóstwie awantur wywołanych odmową wykonania nierozsądnych (co nieuchronnie prowadziło do kolejnych napadów złości), Marylin nazywała go w duchu porostem, pasożytującym na jej poczytalności.

- Rost? - zawołała z dołu schodów. - Wstałeś już?

- Nie, nie wstał - odpowiedział jej Hoversten. Pojawił się na podeście, a raczej pojawił się tam jego cień trzymający w dłoni coś w rodzaju młotka. Przeraziła się. - Przed chwilą zaglądałem do jego pokoju - dodał Hoversten, schodząc na dół w białych butach, białych spodniach z białym paskiem i czerwonej kamizelce, którą włożył na koszulę. Młotek okazał się kijem golfowym. - Co to za cholerne ustrojstwo na jego twarzy?

Zatrzymał się na schodach tuż nad nią.

- Klamra korekcyjna na podbródek.

- Co jest nie tak z jego podbródkiem? - zdziwił się.

- Nic - odparła Marylin. - Trochę odstaje i Sam uważa, że jeśli się tego nie skoryguje, Rost może mieć później problemy ze zgryzem.

Hoversten wzruszył ramionami.

- Powiedz Samowi, że w mojej zawodowej opinii chłopiec będzie miał więcej problemów z obrazem własnej osoby, jeśli będzie musiał zakładać to coś co wieczór. Przecież przez tę kłamrę wygląda jak Frankenstein.

- Na pewno przekażę mu twoje rokowanie.

Hoversten prychnął. Wokół oczu miał czarne obwódki spowodowane bezsennością. Poprzedniego wieczoru Sam powiedział Marylin, że krążą pogłoski o cofnięciu Hoverstenowi pozwolenia na wykonywanie zawodu, ponieważ, jak to ujęto, jego psychika budzi wątpliwości. Z kolei pielęgniarka ze szpitala, w którym pracował Sam, mówiła jej, że kiedyś, badając piersi, Hoversten kazał się pacjentce rozebrać, ścisnął mocno obydwie jej brodawki sutkowe i pociągnął w dół, jakby miał zamiar opuścić roletę, po czym powiedział: „Z nimi na pewno wszystko jest w porządku”.

Uśmiechnął się do niej zdawkowo.

- Niestety, nie mogę z tobą dłużej gawędzić. Umówiłem się na golfa z doktorem Stevensonem.

- Myślałam, że pracujesz dziś z Samem w szpitalu.

Jego oczy powędrowały do sufitu.

- Chyba potrzebuję trochę odpoczynku. Muszę się zregenerować. Powiedz Samowi, że ten weekend spędzę u Stevensona.

Oparł worek z kijami o poręcz i powlókł się z powrotem na górę, używając popychacza jak laski.

- Bądź tak dobry i zdejmij pościel, zanim wyjdiesz! - krzyknęła za nim Marylin. Brzydziła się dotykać jego pościeli. Usłyszała, jak na górze zasuwana z trzaskiem kilka szuflad, potem cicho zamknęły się drzwi sypialni. Hoversten stawiał każdy krok powoli i ciężko, dopóki nie mogła go widzieć. Trzymając w ręku torbę podróżną, wrzucił na ramię torbę z kijami.

- Zostawię to sprzątaczkowi - powiedział, patrząc na nią, po czym odwrócił się do wyjścia.

- Ty skurwysynu - wycedziła.

- Ostrożnie z tymi przekleństwami, Marylin. Po śmierci możesz trafić do piekła.

- Jesteś nieudacznikiem, wiesz o tym?

Hoversten zatrzymał się przy drzwiach.

- Czyżby?

- Pieprzonym nieudacznikiem.

Odstawił torbę z kijami.

- Tylko spójrz na siebie! - wycedziła. - Wyrzucili cię ze szpitala. Rzuciła cię żona. Jesteś tłusty jak świnia. I pukasz do cudzych drzwi, żebrząc o pomoc i schronienie. Dajemy ci jeść, pozwalamy ci tu nocować, Sam zaproponował nawet, że załatwi ci pracę, a ty masz czelność tak się do mnie odzywać?

- Mów dalej.

- Załatwiasz mojemu mężowi panienki. Choćby te pielęgniarce w Kalifornii. I potem masz czelność przystawiać się do mnie. Jesteś taki obrzydliwy, że aż się niedobrze robi.

Hoversten stał spokojnie, opierając się o kij, który trzymał w ręku. Powoli kiwał głową, wypychając policzek językiem.

- Skończyłaś już?

- Tak.

- To dobrze - stwierdził, celując w nią końcem kija. - Bo to ty jesteś nieudacznikiem. Poniosłaś klęskę jako żona. Chcesz wiedzieć, dlaczego Sam spotykał się z tymi wszystkimi kobietami? Przez ciebie! Bo ty potrafisz tylko brać, nie dając nic w zamian. Bo bez względu na to, ile dostajesz, ciągle ci mało. Mój Boże, jesteś wyjątkowo pazerną suką! Sam daje ci wyjątkowo piękny dach nad głową, kupuje ci ciuchy i piękne drobiazgi, a ty musisz tylko dawać mu jeść i dbać o dom, opiekować się dzieckiem i nie więcej niż raz dziennie być kochającą żoną. Ale to dla ciebie za wiele, prawda? Myślisz, że się nie skarżył? I winisz mnie za te panienki na boku? Proszę cię! On sam chciał się z nimi spotykać, Marylin. Chciał od ciebie odpocząć. Nie powinna cię zdziwić wiadomość, że teraz też jest u kobiety.

- Sam już tego nie robi.

- Naprawdę? No to cieszy mnie fakt, że Sam się zmienił. Ciebie zapewne też.

- Wynoś się.

Przez drzwi kuchenne obserwowała, jak Hoversten wycofuje samochód z podjazdu. Stojąc na głównej drodze, posłał jej buziaka, po czym odjechał.

Usiadła na schodach kuchennych z dłońmi splecionymi na karku. Włosy zasłaniały jej twarz. Zamknęła oczy i - choć bardzo tego nie chciała - natychmiast zobaczyła, jak Sam kocha się z inną. Wbrew sobie zobaczyła też tę kobietę. Ponieważ Lester wspomniał o doktorze Stevensonie, zobaczyła Susan Hayes, najpierw czekającą w jego samochodzie, w czerwonym

MG, którego Marylin kazała mu się pozbyć zaraz po powrocie z Kalifornii, w marcu. Potem wyobraziła sobie, jak obydwójce się w nim pieprzą. Nie czuła jednak zazdrości, a jej przerażenie nie miało nic wspólnego z seksem ani zdradą, tylko z faktem, że nie był tam, gdzie powiedział. To właśnie przerażało ją najbardziej. Kompletnie nieracjonalna była myśl o Susan, która dawno już wróciła do Los Angeles, jeśli jednak znajdował się w innym miejscu, niż zapowiedział, to przecież mógł być wszędzie. A jeśli mógł być wszędzie, to pewnego dnia ona nie znajdzie go nigdzie, pewnego dnia wróci do pustego domu i stwierdzi, że odszedł. Poczwała, że musi się dowiedzieć, gdzie on teraz jest, dokładnie w tej minucie!

Podeszła do telefonu. Odebrała Patti, recepcjonistka w szpitalu Bay View. Poznała głos Marylin, sprawdziła plan zajęć Sama i połączyła ją z salą operacyjną. Donna Bailey, która pracowała tam na dyżurce, powiedziała jej, że widziała Sama mniej więcej kwadrans wcześniej.

- Niech mi pani da kilka minut, a na pewno go znajdę - stwierdziła. Marylin czekała w milczeniu, mając nadzieję, że Sam zaraz podniesie słuchawkę, była jednak pewna, że tego nie zrobi.

- Nie mogę go namierzyć - odezwała się Donna. - Ale wiem na pewno, że gdzieś tu się kręci. Odszukam go i powiem, żeby do pani zadzwonił. Wszystko w porządku?

-Tak.

- Jest pani w domu?

Nie było łatwo z nią rozmawiać, ponieważ to właśnie Donna pozwoliła jej odkryć ostatni romans Sama, to ona kilka tygodni po ich powrocie z Kalifornii otworzyła list wysłany do niego przez Susan Hayes z Los Angeles, a następnie przekazała go jej: „Czułam się okropnie, kiedy byłeś tutaj, Sam. Wiem, że zachowywałam się jak dziecko, ponieważ chciałam od Ciebie więcej - zbyt dużo i zbyt szybko. Ale nadal czekam na Ciebie, obiecuję. Nie myśl, że mnie straciłeś. Patrzę teraz na zegarek, który mi podarowałeś i myślę, że ten czas powinniśmy spędzać wspólnie”. Donna doskonale wiedziała, dlaczego Marylin teraz dzwoni, a w jej zatroskanym głosie pobrzmiwał też współudział, jakby tych dwoje dzieliło jakiś sekret. Donna sprawiała wrażenie, jakby uczestniczyła w oszustwie Sama.

- To nic pilnego - odparła Marylin. - Jutro wydajemy przyjęcie dla stażystów i chciałam znać ostateczną listę gości, zanim pójde po zakupy.

- Na pewno? Jeśli trzeba, rzeczywiście mogę go odnaleźć.

- Nie, nie. Wszystko jest w porządku - zapewniła Marylin.

Odkładając słuchawkę, naprawdę myślała, że wszystko jest w porządku. Sam był w szpitalu. Musiała uwierzyć, że on tam jest, o to właśnie chodziło: rozwiać wątpliwości, uwierzyć w wersję planu dnia przedstawioną jej przez męża, nie dać się podpuścić Hoverstenowi. Spędzi więc dzień jak zwykle. Od teraz przestanie kwestionować to, co mówi jej Sam. Tak przecież ustalili. Poza tym ma mnóstwo roboty.

- Rost! - krzyknęła, stając przy schodach. - Proszę już wstawać!

Słyszając w odpowiedzi ledwie cichy szelest, weszła na górę i otworzyła drzwi do jego pokoju. Wiszący nad łóżkiem mobil z czarnych i białych łabędzi wirował powoli na wietrze. Wewnątrz panowała cisza tak martwa, że słyszała, jak drewniane figury ptaków uderzają o siebie delikatnie poruszane przeciągiem. Rost spał na plecach z metalowymi klamrami przy-mocowanymi do brody i czoła. We śnie wyglądał tak samo jak Sam, choć przez te klamry miał lekko rozchylone usta. Odpięła sprzączki i zdjęła aparat. Po paskach zostały czerwone odgniecenia wyglądające jak plemienne malunki.

- Rost! - powiedziała, przykładając dłoń do jego ramienia. - Obudź się, Rost! - Nie zareagował. Szturchnęła go dwa razy w żebra. - Halo! Rost!

Wyglądał jak martwy, musiała więc teraz zrobić to, czego bardzo nie lubiła: chwyciła jego małe ramiona i zaczęła nimi silnie potrząsać, niemal unosząc chłopca nad łóżko. Zawsze miała wrażenie, że to jakby uderzać nim o ścianę.

- Pobudka, Rost! Wstawaj! - Chłopiec jęknął boleśnie. Obawiała się, że za chwilę zacznie płakać. Ale przynajmniej się obudził. Otworzył oczy. Nic nie powiedział, zrobił za to kwaśną minę. - Teraz cię ubierzemy - zapowiedziała.

Posadziła go na łóżku, podciągając go za ręce tak, że głowa opadła jemu tyłu; pomogła mu złapać równowagę, po czym odwróciła go i teraz nogi dodały z boku łóżka. Przez chwilę siedział zgarbiony z zamkniętymi oczami, brodą przyciśniętą do klatki piersiowej i dłońmi zwróconymi do góry, jak marionetka, której odcięto sznurki.

Zajmiemy się dzisiaj naszymi sprawami, pomyślała, ubierając syna. A mamy się czym zajmować i o czym myśleć. Tak właśnie zrobimy! Spojrzała na zegar nad łóżkiem. Była prawie dziewięć trzydzieści, a ona niczego jeszcze nie załatwiła! Zanim Rost zjadł śniadanie, zrobiło się pół do jede-

nastę, a Sam nie zadzwonił. Istniała możliwość, że jest zajęty. Wieczorem mówił jej, że czeka go ciężki dzień, ale spróbuje załatwić wszystkich pacjentów do czternastej - nie powinna więc zawracać mu głowy. Rost bawił się w swoim pokoju, gdy tymczasem ona sprzątnęła salon i kuchnię, wyczyściła na błysk łazienkę dla gości, po czym zeszła do hangaru, żeby go trochę ogarnąć, ale na widok panującego tam bałaganu odwróciła się z niesmakiem. Postanowiła raz jeszcze zatelefonować do szpitala, rozmyśliła się jednak, kiedy chwyciła za słuchawkę. Ukradkiem wypaliła na patio jeszcze jednego papierosa. Zanim wpakowała Rosta do samochodu, żeby jechać po zakupy, zrobiła się jedenasta trzydzieści. Ruszając z podjazdu, uprzytomniła sobie, że nie zabrała listy zakupów. Wróciła do domu, znalazła listę w kuchni, spojrzała na telefon i wykręciła numer.

- Znalazłam go - poinformowała ją Donna. - Przekazałam mu wiadomość.

- Dziękuję - powiedziała Marylin. Zamknęła oczy i zaczęła szczypać grzbiet swojego nosa. - Czy on jest gdzieś pod ręką?

- Wyszedł.

Marylin spojrzała na zegarek.

-Na lunch?

- Nie mówił, po co.

Zapanowało milczenie. Ulga, którą poczuła chwilę wcześniej, zniknęła.

- No cóż - odezwała się w końcu. - Najważniejsze, że dostał moją wiadomość.

- Przekazałam mu ją osobiście.

- Mówił, o której wróci?

- Powiedział tylko, że się pośpieszy.

Jadąc z Rostem do miasta, Marylin uświadomiła sobie, jak niewiele wie o codziennych zajęciach męża - i odwrotnie, jak niewiele on wie o jej rozkładzie dnia. Jeśli wszystko przebiegało zgodnie z jego oczekiwaniami, nawet przez chwilę się nie zastanawiał nad jej codziennymi obowiązkami. Mogłaby teraz pojechać wszędzie, i tak nie wzbudziłaby jego zainteresowania. Zerkała na samochody mknące naprzeciwko niej po Lake Road. Dokąd jechali ci panowie i panie? Czy ich żony i mężowie mieli o tym pojęcie? Czy wszyscy oni byli tam, gdzie mieli być, czy może któreś z nich jechało dokądś potajemnie? A gdyby ona tak zrobiła? Miała o wiele więcej

swobody niż Sam. Gdyby tylko chciała, miałyby do dyspozycji dogodniejsze jeszcze formy oszustwa, ponieważ w przeszłości Sam zdradzał ją zawsze, ilekroć gdzieś wyjeżdżała. W większość romansów w Kalifornii, gdzie mieszkali, dopóki studiował medycynę, wdał się, gdy ona wracała na jakiś czas do Cleveland. Po jej powrocie wymykał się chyłkiem z domu, niby wezwany do pilnych przypadków, albo randkował podczas lunchu czy w drodze z pracy do domu. Zapewne musiał bardzo się śpieszyć, żeby pomieścić kochanki w planie dnia tak, by utrzymywać, że w czasie spotkania z nimi ma jakieś służbowe zajęcia. Ona mogłaby po prostu zostać w domu i robić, co jej się żywnie podoba, bo Sam nie myślał o domu nawet przez krótką chwilę w ciągu dnia. Przyszła jej do głowy ubiegła środa, kiedy siedziała na patio z Dickiem Eberlingiem. Gdyby wtedy podrzuciła Rosta do Ahernów, gdzie bawiłby się z ich dziećmiakami pod okiem Nancy, Dick mógłby robić, co tylko chce. Potem skończyłby sprzątanie i odjechał, a Sam jeszcze by za wszystko zapłacił.

„Jeśli Sam nie wróci do szpitala, to ja się prześpię z Dickiem Eberlingiem przy pierwszej nadarzającej się okazji” - postanowiła.

Ta myśl natychmiast uderzyła jej do głowy. Wyobraziła sobie, jak w przyszłą środę Dick przyjeżdża do pracy. Kazała mu zabrać kąpielówki i była pewna, że je zabierze. Powie mu, żeby się przebrał w gabinecie Sama i pozwoli iść na dół, nad wodę. Ona tymczasem pójdzie do sypialni, rozbierze się, położy do łóżka i będzie czekała, aż usłyszy, że Dick wszedł z powrotem do domu. Wtedy zawoła go cichym głosem na górę, a on przyjdzie i będzie jej całkowicie posłuszny - delikatny, jeśli ona zechce. I będzie mogła mu powiedzieć, żeby zrobił, cokolwiek jej się zamarzy. Wskaże mu, gdzie ją dotykać, a on tam dotknie. Potem zawsze już będzie na jej zawołanie...

Nic dziwnego, że w przeddzień tak wielu przyjęć z okazji Święta Niepodległości po supermarkecie krążyły tłumy. Rost chciał siedzieć w wózku na zakupy. W pierwszym odruchu się nie zgodziła. Był już na to za duży, ciężko pchałoby się jej wózek, ale z kolei ganianie go po całym sklepie też się jej nie uśmiechało, ustąpiła więc, pozwalając mu wcisnąć się do metalowego kosza. Rozpierała go energia. Po drodze chwycił różne produkty, inne strącał z półek, za co dwukrotnie dostał od niej reprimendę. Później zaczął wierzgać nogami, przez co metalowa kratka nieznośnie hałasowała. Chwyciła go za nogi w kostce.

- Proszę, żebyś przestał kopać - powiedziała. Zaczął więc walić w kosz rękami. - Chcesz iść za karę do samochodu?

Spojrzał na nią, roześmiał się, pochylił do przodu i potarł czołem o wierzch jej dłoni, czym uspił jej czujność..wi.

- Nie zostawisz mnie w samochodzie - powiedział.

- Tak? A skąd wiesz?

- Bo nigdy tego nie robisz.

- Może dzisiaj będzie pierwszy

-Nie będzie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo jest gorąco i mógłbym umrzeć.

- Tylko gdybym zostawiła zamknięte szyby.

- Nie zostawiłabyś mnie z opuszczonymi.

- Niby dlaczego?

- Bo jakiś zły człowiek mógłby mnie zabrać.

- Wydaje mi się, że doprowadziłbyś do szalu nawet jego. Zły człowiek odstawiłby cię z powrotem do samochodu i uciekł.

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Marylin dotknęła dłonią jego brody.

- No cóż, masz rację. Dlatego chcę, żebyś siedział grzecznie.

Zastanowił się nad jej słowami, dając jej tym samym kilka cennych minut, w czasie których wykreślała kolejne artykuły z listy zakupów.

- Mogę chodzić razem z tobą? - zapytał nagle Rost.

- Możesz, ale pod warunkiem, że będziesz się mnie trzymał. Nie wolno ci odchodzić nigdzie na bok.

Ze smutkiem pokręcił głową, po czym zobaczył coś zielonego na jednej z półek.

- Weźmiemy pikle?

- Tak - odpowiedziała. - Pickle są na liście zakupów. Zdjęła z półki duży słoik.

- Chcę je trzymać.

- Możesz je trzymać, ale nie możesz upuścić. Jeśli upuścisz, będziemy musieli za nie zapłacić i nie będzie pikli do jedzenia w domu.

Skrzywiła się, wiedząc, co się teraz stanie.

- Mogę zjeść teraz ogórka?

- Nie, nie możesz zjeść ogórka, dopóki za niego nie zapłacimy.

- Spróbowała zabrać mu słoik, ale że trzymał go z całej mocy, ustąpiła.

- Dopóki nie zapłacimy, to nie są nasze pikle.

- Ale przecież i tak zapłacimy. -To nieważne.

- Ale przecież zawsze jem ogórka - upierał się. Jego oczy zasły łzami. -

Oni już ci nie ufają?

- Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy, Rost. - Ponownie spróbowała zabrać mu słoik z marynatą, tym razem jednak trzymał go obydwoma rękami, jak marynarz obejmujący maszt podczas sztormu. - To nie jest restauracja.

- Jestem bardzo głodny. Muszę zjeść jednego ogórka.

- Nie - powiedziała, zdejmując z półki trzy opakowania bułek do hot dogów. - Będziesz musiał poczekać.

- Ale ja jestem głodny!

- Nie jesteś głodny, tylko marudny - skwitowała. Włożyła do koszyka dwukilowe opakowanie mielonej wołowiny, pięć paczek hot dogów, trzy paczki cienkiej kiełbasy i trzy porcjowanego drobiu. „Nie będzie to najwykwintniejszy posiłek”.

Rost zaczął płakać.

- Na pewno się zagłodzę. Nie mogę głodować, mamo!

- Przestań - zażądała, ściskając jego ramię. - Przestań **natychmiast!**

- Mogę zjeść chociaż pół ogórka?

- Nie.

Wtedy spróbował otworzyć słoik. Gdyby Marylin nie była tak rozwścieczona, uznałaby ten widok za komiczny: z całych sił obydwoma rękami starał się odkręcić pokrywkę słoika. Z zachowaniem proporcji dorosły człowiek wyglądałby tak, gdyby usiłował odkręcić beczkę wina. Kusiło ją, żeby mu pozwolić zjeść ogórka, jeśli zdoła się do niego dostać, bo to zajęłoby go na jakiś czas. Niemal w tej samej chwili Rost omal nie upuścił słoika, wyrwała mu go więc z rąk i odstawiła do kosza. Wtedy zaczął wyc.

- Rost - syknęła. - Przestań natychmiast albo resztę dnia spędzisz dziś w swoim pokoju, słyszysz?

To tylko zwiększyło natężenie jego płaczu. Przechodzące obok kobiety kręciły głowami; jedne ze współczuciem, inne nie.

- Dość tego!

- Ja... chcę... zjeść... pi... kle... - wykrztusił.

Przystanęła obok alejki z mrożonkami, szerszej, jaśniejszej i chłodniejszej od pozostałych.

- Daję ci ostatnią szansę - oświadczyła.

Z twarzą czerwoną od krzyku zaczął skandować teraz jedno słowo: „Pikle”.

- Dobrze więc - rzuciła. Silnie pchnęła wózek, dokładnie tak, jak chłopcy, których obserwowała kiedyś na parkingu przed sklepem, celując nim w inne jak kulą w kręgle. Niespodziewana prędkość zaabsorbowała Rosta. Natychmiast przestał płakać. Szeroko otwartymi oczami patrzył, jak wraz ze zwiększającą się odległością matka robi się coraz mniejsza. On sam wyglądał jak ptasie pisklę w gnieździe utkanym z produktów spożywczych. Kobieta ciągnąca za sobą córeczkę odwróciła się, podążając wzrokiem za rozpędzonym wózkiem.s;

- Muszę kiedyś tak zrobić - oświadczyła.

Rost siedział zszokowany.

-Mama?

Pomachała mu ręką i zniknęła za rogiem.

Idąc między regałami, słyszała, jak ją woła. Wzięła z półki najpierw kawę, potem owsiankę, próbując sobie przypomnieć, co jeszcze wpisała na listę zakupów. Napawała się cierpieniem Rosta, odpłacając mu za wszystkie chwile, kiedy ona cierpiała przez niego; delektując się jego strachem, jakby była jego starszą siostrą. Jednocześnie jednak czuła, że cała krew spływa na jej lewą stronę, jakby Rost był magnesem przyciągającym do siebie jej pomoc. Jego przerażenie aż przyprawiało ją o dreszcze. Obawiała się jednak, że biegnąc, by go utulić, zrobi z niego kopię ojca, ponieważ pokaże mu wyraźnie, że jest na każde jego zawołanie. Miała nadzieję, że zapamięta chwilę, w której go zostawiła, że jej zniknięcie pozytywnie wpłynie na jego zachowanie. Potem zwróciła się do dziecka, które nosiła w swoim łonie: „Potrafiłam zostawić Rosta. Potrafiłabym zostawić ich obydwu - Rosta i twojego ojca. Ale ciebie nie, kochanie. Ciebie nie”.

Z dłonią lekko przyciśniętą do brzucha dostrzegła przy swoim wózku pracownika sklepu, starszego mężczyznę ze ślepyim okiem o źrenicy zaciągniętej białą chmurą jaskry. Musiał być nowy, bo go nie rozpoznała. Rost stał w koszu, a więc nie zdobył się na odwagę, żeby stamtąd zeskoczyć i zacząć jej szukać. Mężczyzna z jaskrą trzymał go za kołnierz koszuli, ale jego pobrużdżona twarz z okiem upiora przerażała Rosta jeszcze bardziej. Choć miał otwarte usta, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

- To pani chłopak? - zapytał ekspedient.

Marylin założyła ręce i zerknęła na syna z ukosa.

- Nie jestem pewna - stwierdziła. - Jak ma na imię?

- Jak masz na imię, chłopczyku? - ponownie zapytał mężczyzna z jaskrą.

Rost wziął głęboki oddech, podał swoje imię, po czym znów zamknął oczy i kontynuował niemy krzyk ze łzami ściekającymi po policzkach.

- Hm - mruknęła. - Mój syn tak właśnie ma na imię, ale on nie wygląda jak mój syn. A przynajmniej nie z taką miną. - Zerknęła na Rosta, który wyciągał do niej obydwie rączki. Ekspedient przytrzymał go za spodnie, gdy tymczasem ona zachowała dystans. - Może bym go rozpoznała, gdyby przestał płakać.

- Ona mówi, żebyś przestał płakać, chłopcze - powtórzył mężczyzna, szarpiąc za spodnie Rosta. - Niech ci się dokładnie przyjrzy.

Rost przestał płakać tak szybko, jakby ktoś zakręcił kran ze łzami. Odychał ciężko i jego małe ramiona falowały w górę i w dół.

- Poznaje go pani teraz? - zapytał ekspedient.

Przerażony Rost patrzył na nią, jak gdyby od tej odpowiedzi zależało jego życie.

- Wyglądem przypomina Rosta, ale mój Rost inaczej się zachowuje - stwierdziła. - Jesteś grzecznym chłopcem?

- Tak - odrzekł.

- Potrafisz usiedzieć na miejscu?

Z pomocą ekspedienta usiadł w siodełku dla dzieci.

- Mój syn słucha matki. Czy umiesz słuchać mamy?

Skinął twierdząco głową.

- Potrafisz być cicho podczas zakupów w supermarkecie?

Skinął silniej nawet niż poprzednio, może dlatego, że zabrakło mu głosu. Jego rzęsy były posklejane od łez, które jeszcze na nich wisiały.

- Tak - zwróciła się do ekspedienta. - To chyba on.

- No to w porządku - stwierdził mężczyzna. Poklepał Rosta po ramieniu.

- Słuchaj mamy, chłopcze - dodał, odchodząc.

Przesuwając się w kolejce do kas, przechodziła powoli obok promocyjnych fotosów nowego filmu Hitchcocka *Okno na podwórze*, z Grace Kelly i Jimmym Stewartem. Reżyser pożerał Kelly wzrokiem, udając, że skrada się, żeby ją udusić. „Mój Boże - pomyślała Marylin, patrząc na Stewarta. - To dopiero idealny mężczyzna! Czy on się nie spotyka z Anitą Colby? Tą samą, która była dziewczyną Clarka Gable a? Ma kobieta szczęście!”

Pomyślała też, że Grace jest bardzo piękna. Wiele lat temu widziała ją w Hollywood Tennis Club. Na żywo była jeszcze piękniejsza. Ale czy nie rozbiła małżeństwa swojego filmowego partnera, tego z *Mjak morderstwo*? Jak mu było, Ray Milland? Ona zawsze wybierała sobie kochanka. Cóż, mogła sobie pozwolić, żeby żyć jak mężczyzna i chyba wcale jej to nie nużyło. A może takie życie jest łatwiejsze, niż się wydaje? Własny ojciec ją zostawił, kiedy matka umarła, rodząc martwego brata. Odesłał ją do wuja Buda i ciotki Maiy, twierdząc, że zżera go smutek. Może po prostu chciał być sam? Albo dostrzegł w śmierci żony okazję, żeby zacząć wszystko od nowa? Czy tylko mężczyźni tak potrafią? Oni chyba zawsze zachowują tę zdolność, którą tak rzadko posiadają kobiety: odejść, mimo że są dzieci. Spojrzała na Rosta. Oczywiście, że nigdy by go nie zostawiła! Ale coraz częściej miała wrażenie, że Sam prowokuje ją, żeby odeszła. Popychają do tego. Po co? Żeby ciężar winy za rozstanie nie spadł na niego?

- Dzień dobry, pani Sheppard.

- Dzień dobry, Timothy.

- Zakupy na przyjęcie?

- Niestety.
- Dziś wieczorem pokaz fajerwerków. A raczej przez cały weekend.
- Podobno.
- Witaj, Rost - rzucił kasjer.

Chłopiec spojrział na matkę, czekając na pozwolenie.

- Przywitaj się - poleciała.
- Dzień dobry
- Którą masz godzinę, Timothy? - zapytała. » - Kwadrans po dwunastej.
- Mógłbyś popilnować Rosta? Pójdę zadzwonić.

Zatelefonowała do szpitala, kazała się połączyć z Donna, która wiedziała, o co chodzi, jak tylko Marylin się przywitała.

- Odwołał ostatni zabieg - powiedziała. - Wyszedł jakieś pół godziny temu.

Pożegnawszy się, Marylin patrzyła na czarną słuchawkę. Przed oczami miała jednak Susan Hayes, siedzącą na fotelu pasażera w aucie Sama i czekającą na niego w ich garażu.

Idąc za chłopakiem niosącym jej zakupy do samochodu, Marylin doszła do wniosku, że była głupia, sądząc, że Sam mógłby się zmienić. Ale trudno, przynajmniej taka z tego korzyść, że próbowali. Skoro się nie udało, miała zamiar pokazać mężowi, że ona potrafi sobie z tym poradzić. Udowodni to, zapraszając do łóżka innego mężczyznę albo wielu innych mężczyzn. Zrobi sobie z tego sport. W końcu kiedyś on sam jej powiedział, że to rodzaj sportu. Będzie sobie wybierała spośród Dicków Eberlingów, Donów Ahernów i Spenów Houków - wszyscy poszliby z nią do łóżka na każde skinienie - i zagra z nimi zgodnie z regułami własnego męża. Zobaczymy, czy Sam poczuje się tak sportowo, kiedy coś takiego przytrafi się jemu; kiedy jego pacjenci zyskają też opiekę jego żony; kiedy się o tym dowiedzą ich żony, wszystkie pielęgniarki w szpitalu, a nawet sklepowi sprzedawcy. Zresztą czyż podstawą jego skoków w bok nie była jej wierność? Czy takie zachowanie - podobnie jak jego wdzięk i nieprzystępność - nie wymagało jednostronności?

Wracając przez Lake Road, zobaczyła samochód Dicka Eberlinga zaparkowany przed domem Houków. Dlaczego nie miałyby zacząć od razu?

Skreśliła na podjazd, kazała Rostowi posiedzieć chwilę cicho i zapukała do drzwi.

Otworzyła jej Esther, rozgorączkowana z powodu domowych porządków.

- Widziałam samochód Dicka Eberlinga przed twoim domem. Muszę się z nim umówić na inny termin.

- Jest na górze - odparła Esther.

Spen, burmistrz Bay View, był z zawodu rzeźnikiem. Ich dom zawsze pachniał dymem i spalenizną. Na piętrze było ciemno, przytulnie i cicho. Stąpając cicho po wykładzinie, Marylin podeszła do sypialni. Zatrzymała się tuż przy drzwiach, żeby móc obserwować Eberlinga z korytarza. Siedział na parapecie wychylony niczym na huśtawce i namydła! szybę, kreśląc na niej ósemkę za ósemką, aż jego postać wydała jej się rozmazana, pokryta pianą. Potem jednym gestem gumowej wycieraczki usunął pianę, co wyglądało, jakby się wynurzył z morskich fal. Był bardzo podobny do jej męża, wręcz niesamowicie, choć chyba nawet przystojniejszy. A już na pewno szczuplejszy. Rozebrał się do podkoszulka, przez mokry materiał widać więc było twarde mięśnie ramion i brzucha. Nawet po dłoniach można się było zorientować, że jest silny. Dłonie jej męża też były duże, ale miękkie od ciągłego mycia przed zabiegami, niemal jak dłonie dentysty. Ale to przede wszystkim oczy sprawiały, że Eberling był taki piękny. Mieli taki sam kolor oczu, on i Sam, ale oczy Eberlinga były smutne. Zresztą wszystko w jego wyglądzie świadczyło o tym, że w jego życiu wydarzyło się coś tragicznego. Ilekroć na nią patrzył, sprawiał wrażenie, jakby miał jej coś ważnego do powiedzenia.

- Dick?

- Pani Houk?

Wsunął się do środka zza okna.

- Nie, to ja, Marylin - powiedziała, wchodząc do pokoju.

Patrzył na nią, siedząc na parapecie i mrugając, dopóki oczy się nie dostosowały do zmiany światła. Potem wbił wzrok w podłogę.

- Witam, pani Sheppard.

Powstrzymując się, by nie dotknąć dłonią jego podbródka, powiedziała:

- Widziałam pańską półcieżarówkę przed domem.

Bała się przełknąć ślinę.

Eberling siedział zgarbiony w oknie.

- Zastanawiałam się nad przyszłym tygodniem - ciągnęła. - Doszłam do wniosku, że może umówilibyśmy się na sprzątanie w poniedziałek zamiast środy? - Jej serce waliło jak oszalałe. Poszło łatwiej, niż to sobie wyobrażała. Czowała, że Eberling czeka na każde jej słowo. - Przyjdź po południu. Rosta zostawię na chwilę u sąsiadów. Nie będzie nam przeszkadzał.

Eberling, wciąż ze spuszczonego wzrokiem, uśmiechnął się.

- Nie zapomnij o kąpielówkach. - Podeszła bliżej. Jego skóra była jak mokra miedź, tak ciemna, że prawie czarna. - Moglibyśmy spędzić kilka przyjemnych chwil.

Nadal milczał. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

- Chciałbyś? - zapytała.

- Tak - odrzekł. - Tylko że...

- Tylko że co?

- Żałuję, że nie możemy się spotkać wcześniej.

Nie potrafiła się powstrzymać: szeptała. Dotychczas mówiła w ten sposób tylko do Sama.

- Też żałuję. - Nie mogła uwierzyć, że to robi. - Chciałabym, żeby to było już dzisiaj w nocy.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co mu powiedziała, po czym podniósł wzrok. Wyglądał niemal, jakby się rozżłościł.

- Powie mi pani coś?

- Oczywiście.

Głośno wypuścił powietrze przez nos.

- Nie oszukuje pani, prawda?

Zamrugnęła powiekami.

- Oczywiście, że nie - zapewniła.

- Mogłaby pani polubić kogoś takiego jak ja?

- Tak.

- Na długo?

Wzruszyła ramionami, czując przebłysk powątpiewania.

- Dlaczego nie?

Znów opuścił wzrok, śmiejąc się do podłogi.

- Czyli poniedziałek? - zapytała.

Skinał głową.

- Muszę już iść.

Schodząc na dół, myślała, jak niewiele trzeba, by się stać kimś innym. Nie odpowiedziała na pożegnanie Esther. Słowa Dicka były takie słodkie, takie tajemnicze. „Na długo”. Dziwne, że zanim jeszcze zaczniesz się miłość, wszyscy chcą mieć pewność, że będzie wieczna.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała tyłem sprzed posesji, piotkowie mieszkali zaledwie kilka domów od nich. Już miała zmienić bieg, gdy zobaczyła samochód Sama zaparkowany na podjeździe.

Podjechała pod dom, powoli zatrzymując auto obok jego jaguara. Wysiadła, cicho zamykając za sobą drzwi. Trzymając Rosta za rękę, ostrożnie podchodziła do drzwi, jakby się spodziewała, że wewnątrz zostanie włamywacza. Weszła przez kuchnię.

- Sam? - zawołała.

Żadnej odpowiedzi. Kazała Rostowi się pobawić i otworzyła drzwi do piwnicy. Ponownie krzyknęła jego imię, po czym zamknęła drzwi. Poszła na górę do sypialni. Tam też go nie znalazła, ale łóżko było zasłane. Na ten widok podskoczyło jej serce.

Przez okno usłyszała, że Sam jest w hangarze na łodzi.

Zatrzymała się na pomoście schodów nad hangarem i obserwowała go zza drewnianej poręczy. Wiatr trochę się uspokoił, ale wciąż wiał dość silnie, by zagłuszyć jej kroki. Ubrany zwyczajnie, w sztruksowe spodnie i koszulkę z krótkim rękawem, ciężko pracował. Poskładał parami wszystkie narty, starannie pozwijiał linki holownicze, rozwiesił kamizelki ratunkowe, żeby się suszyły, poskładał ręczniki, a nawet zniósł na dół kontener na śmiecie - na jedzenie i wszystkie puszki po piwie. Starannie przywiązał łódź do pochylni i mył ją teraz węzem.

Słyszając, że weszła na nabrzeże, odwrócił się, a gdy podeszła wystarczająco blisko, objął ją wolnym ramieniem i pocałował w szyję, drugą ręką kierując strumień wody na dziób łodzi.

- Zepsułaś całą niespodziankę - powiedział.

- Która polegała na?

- Na tym, że miałem zamiar posprzątać to wszystko, zanim wrócisz do domu. Plus sprzątnięcie sypialni, a nawet łazienki. Ale chyba mnie uprzedziłaś.

- Nie we wszystkim.

- Przepraszam, że zostawiłem hangar w takim stanie. Cieszę się, że się za to nie zabrałaś.

- Nie schodziłam tu od dawna.

- Ech - westchnął. Pokręcił głową, a potem zamknął oczy, jakby chciał zasnąć na stojąco.

- Co się stało? - zapytała.

- Widzisz, ja...

- Powiedz, kochanie. - Objęła go obydwoma rękami w pasie.

- Pewien chłopiec wpadł pod ciężarówkę. Miał zaledwie osiem lat. Potrąciła go, cofając. Doznał poważnych obrażeń wewnętrznych. Kiedy go przywieźli, był jeszcze przytomny, ale umarł niemal natychmiast, jak go położyliśmy na stole. Potem jego ojciec strasznie na mnie naskoczył. - Upuścił wąż, oparł dłonie na kolanach, a po chwili zaczął szlochać, zasłaniając twarz rękami. - Naprawdę nie wiem, dlaczego mnie to tak obeszło.

Wpadł w taki dygot, że pochyliła się nad nim, posadziła go, następnie sama usiadła obok i przytuliła się do niego. Dotychczas tylko dwukrotnie widziała, żeby tak płakał z powodu pacjenta. Tak bardzo próbował powstrzymać łkanie, że aż świszczał.

- Przykro mi - powiedział w końcu. - Robiłem, co się dało, żeby przywrócić mu akcję serca, ale na próżno. A jego ojciec nazwał mnie potem zabójcą. Powiedział, że zabiłem jego syna. Przepraszam cię, Marylin. Wróciłem do domu wcześniej, żeby posprzątać, ale i tak się okazało, że za późno, bo nie zdążyłem. Przepraszam.

Uspokajała go łagodnym głosem, owijając ramiona wokół jego wciąż trzęsących się ramion. Jego ciało było gorące od wysiłku i wyrzutów sumienia. Wiatr trochę się wzmógł. Przejęta chłodem, także ona zaczęła drżeć. Nie tylko dlatego, że poczuła miłość do Sama, ale też świadoma, jak niewiele brakowało, by postawiła fałszywy krok. Teraz jednak była już bezpieczna. Nic złego się nie stało. Wróciła i zastała Sama tutaj, a nie gdzie indziej. Była za to wdzięczna: za to odkrycie, za to dziecko i za wiele innych rzeczy, przede wszystkim jednak za szczęście, które ją w życiu spotkało.

- Powiem panu, co mnie zaskakuje w pańskiej sprawie - stwierdził Mobius. - Jest w niej kilka pytań, które ciągle mnie nurtują. Może pan potrafi na nie odpowiedzieć, bo jeśli chodzi o dowody, to wszystkie one są tak niejednoznaczne albo sprzeczne, że czasem się zastanawiam, czy sam dia-

beł, czy też jakaś inna siła, wyznaczająca na tym świecie ścieżki zła, postanowił zamienić pańskie życie w piekielną grę; w labirynt, gdzie prawda ciągle się chowa po dziurach, kiedy usiłuje ją pan w nim odnaleźć.

- Nie wierzę w diabła - odparł Sheppard.

- W co więc pan wierzy?

- W świadomość.

Mobius przewrócił oczami.

- Tamtego ranka najpierw zatelefonował pan do swoich sąsiadów, Spena i Esther Houków, około piątej czterdzieści pięć. Pierwsze słowa, które powiedział pan do słuchawki, brzmiały tak: „Mój Boże, Spen, przyjdź tu natychmiast. Chyba zabili Marylin”. Skąd liczba mnoga, panie doktorze?

- Detektywie.

- To interesująca pomyłka. Czy naprawdę pan sądził, że w domu była więcej niż jedna osoba, czy też po prostu pan się przejęzyczył? A może obrażenia, których pan doznał: krew w ustach i na połamanych zębach, poważne potłuczenia prawego policzka, okolicy nad prawym okiem oraz okolicy karku, że nie wspomnę o pęknięciu kręgów szyjnych, były tak poważne, że stracił pan orientację; że pański mózg robił złośliwe sztuczki z pamięcią krótkotrwałą i jakoś rozdzielił na dwoje sylwetkę, którą, jak pan twierdzi, widział pan, wbiegając na górę? Czy mężczyzna, który najpierw pozbawił pana przytomności, zamienił się w drugiego - tego, który według pańskiej relacji obezwładnił, a następnie znokautował pana na plaży po raz wtóry i zostawił do połowy zanurzonego w jeziorze Erie? Czy to była jedna i ta sama osoba, czy dwie różne? Jakże troskliwy' okazał się morderca pańskiej żony, który zamienił jej twarz w krwawą masę, że zostawił pana na plaży tak, żeby pan nie mógł się utopić. Mój Boże, Spen... chyba zabili Marylin. Tak pan powiedział, ale może miał pan na myśli coś innego. On chyba zabił Marylin? Chyba zabiłem Marylin? Czy to chciał pan powiedzieć?

- Nie - odparł Sheppard.

- Oczywiście, że nie - kontynuował swój wywód Mobius. - Zważywszy charakter i rozległość pańskich obrażeń, możemy niemal z całkowitą pewnością wykluczyć, że zadał je pan sobie sam. Ktoś nieźle pana sprął, ktokolwiek to jednak był, pozostawił pana przy życiu. Marylin była dość wysportowana, prawda? Wspaniale jeździła na nartach wodnych. Potrafiła dać panu, zawodnikowi uniwersyteckiej drużyny futbolowej i gwiazdzie

bieżni, porządny wycisk na korcie tenisowym. Może więc to ona pana po-
biła albo przynajmniej zadała panu na tyle silny cios, że wpadł pan w furję?
To nie jest niemożliwe, prawda?

Sheppard słuchał obojętnie.

- Wówczas zostaje oczywiście kwestia rozmiaru obrażeń, których pan
doznał. Pańskie obrażenia niewątpliwie były bardzo poważne, jeśli wierzyć
wynikom oględzin dokonanych przez pańskiego brata. Stephen posłał pana
do waszego rodzinnego szpitala niemal natychmiast, w niecałą godzinę po
tym, jak zatelefonował pan do Spena. Zanim jeszcze na miejscu pojawili się
detektywi. Tymczasem koroner Gerber na zdjęciach, które panu wykonał,
nie dopatrywał się najmniejszych objawów świadczących o pęknięciu kręgów
szyjnych, prawda? Niewykluczone, że pański brat chronił dynastię Shep-
pardów, podkładając jakieś stare klisze.

Sheppard oczyścił fajkę, po czym wbił wzrok w podłogę.

- Ale nie wyprzedzajmy faktów. Spen i Esther pojawili się prawie na-
tychmiast. Znaleźli pana w gabinecie, przemokniętego, zdezorientowanego
oraz nagiego od pasa w górę. Powiedział pan wtedy: „Trzeba coś zrobić z
Marylin” - choć przecież wcześniej sprawdzał pan jej puls. Wiedział pan, że
jest martwa.

Sheppard kiwnął głową, nie podniósł jednak wzroku.

- Co się stało z pańską koszulką, doktorze? Czy mam rozumieć, że w
szamotaninie ten człowiek albo ci ludzie zerwali ją z pana, żeby zachować
na pamiątkę? To równie dogodna okoliczność jak pańskie usytuowanie na
plaży, nie sądzi pan? Przecież ktokolwiek zatłukł Marylin na śmierć, musiał
wręcz ociekać krwią. A jeśli to pan? Czy też może była to koszula, którą
kilka dni później znaleziono na terenie przylegającym do pańskiej posesji,
rozerwaną od pasa do rękawa i pokrytą brązowymi plamami, których wła-
dze nie raczyły zbadać, po prostu je ignorując?

- Nie wiem.

- To prawda, że nie miał pan na ciele żadnych ran, zadrapań ani innych
śladów, a przecież należało oczekiwać, że miałby pan na dłoniach i rękach
rany zadane przez broniącą się ofiarę, gdyby to pan zamordował Marylin.
Ale znaleziono na panu cudzą krew, dużą okrągłą plamę na kolanie pań-
skich spodni, która według pańskich zeznań powstała, kiedy przyklęknął
pan przy łóżku, żeby sprawdzić żonie puls.

- Owszem - stwierdził Sheppard.

- To paskudztwo na pańskim kolanie pasowało do grupy krwi Marylin, zero Rh minus, co potwierdzałoby pańską wersję. Gdyby to pan był zabójcą, jak udałoby się panu uniknąć innych zabrudzeń? Przecież wszystko w pomieszczeniu wręcz ociekało krwią, a na ścianie przy jej łóżku znajdował się biały zarys sylwetki mordercy; biały, ponieważ strugi krwi z jej głowy i twarzy spadły na jego ciało.

- Nie miałem na sobie jej krwi, ponieważ jej nie zabiłem - powiedział Sheppard.

- Czasem nawet skłaniam się ku temu, żeby panu uwierzyć. Przede wszystkim ze względu na obrażenia, które odniosła, zwłaszcza jeden złamany ząb, górny siekacz złamany przy korzeniu. Detektywi znaleźli go w jej łóżku, podczas gdy pozostałe zostały wgniecione do jej ust. Prawdopodobnie więc zabójca chciał zatkać dłonią jej usta, gdy ona ugryzła go tak mocno, że wyrywając rękę, wyszarpnął jeden z zębów. Musiała go ugryźć do kości. Rana po takim ugryzieniu na pewno krwawiła jak cholera, zgodzi się pan ze mną, doktorze?

Sheppard lekko kiwnął głową.

- Zastanawiam się także, jakim cudem Stephen dotarł do pańskiego domu tamtego ranka w niespełna kwadrans po pańskim telefonie, wykapany, ogolony, w garniturze pod krawatem. Jeśli dobrze pamiętam, jeden z detektywów przejechał tę samą trasę o tej samej porze i zajęło mu to dwanaście minut. Czy Stephen był pańskim wspólnikiem? Czy zatelefonował pan do niego w środku nocy, ogarnięty paniką po tym, jak pan pobił Marylin na śmierć? Czy razem upozorowaliście włamanie? Wyciągając szuflady w salonie i w gabinecie, nie kradnąc ani jednej wartościowej rzeczy w całym domu? Wysypując zawartość pańskiej torby medycznej i nie biorąc z niej ani jednego lekarstwa? Zostawiając złoty zegarek Marylin spryskany krwią oraz naładowane strzelby w pańskim gabinecie, zresztą te same, po które mógł pan z łatwością sięgnąć, zanim wybiegł pan za jej zabójcą na plażę? Nie biorąc nawet pańskiego portfela, który ponoć wypadł podczas pierwszego ataku? Jaki włamywacz odbierze życie, a nie weźmie łupu? Nie sądzi pan, doktorze, że to gra, w której wygrywa tylko jedna strona? Czyż nie dodaje to wiarygodności świadkom, którzy zeznali, że wszystkie światła w pańskim domu były zapalone o drugiej w nocy? Tej starszej parze, która przypadkiem przejeżdżała obok? A może prawdziwa jest inna wersja, bardziej pokretna i podstępna, metakryminalna, że się tak

wyrażę? Może ktoś próbował tak zaaranżować sytuację, żeby wyglądało, że to pan próbował zaaranżować sytuację tak, jakby chciał pan ukryć przestępstwo?

Sheppard patrzył w zakratowane okno celi Mobiusa.

- Tylko dlaczego miałby pan zabijać własną żonę po tym, jak podczas obiadu miesiąc wcześniej uszczęśliwieni ogłosiliście rodzinie, że Marylin jest w ciąży? Czy może doktor Bailey, mąż Donny Bailey, nie mówił prawdy, zeznając, że kiedy trzeciego lipca pogratulował panu ojcostwa, usłyszał w odpowiedzi: takie są skutki, jeśli się zapomina o antykoncepcji? Może taka właśnie jest odpowiedź na to akurat pytanie?

Mobius wziął głęboki oddech.

- A może odpowiedzią jest dwoista natura małżeństwa, nierozłączność przemocy i miłości? Ubrania Marylin były starannie ułożone na krześle w sypialni. To znaczy, że zanim włożyła piżamę i poszła spać, złożyła je starannie. Stąd z kolei płynie wniosek, że kładła się spać spokojnie, jak zwykle. Jeśli więc Ahernowie zeznali prawdę, że widzieli pana śpiącego na leżance, gdy wychodzili tuż po północy, to musiałyby się pan obudzić i pójść na górę z zamiarem zabicia żony. A może Marylin obudziła się w nocy, następnie obudziła pana, żeby zacząć awanturę tak zaciekle, że odpowiedział pan, masakrując ją bronią, której nigdy nie odnaleziono? Kto zadaje własnej żonie dwadzieścia siedem ciosów w głowę? Jak szalonym trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

- Nie mam pojęcia.

- Dlaczego pies nie zaczął szczekać?

- Kokie była cicha i potulna.

- Jeśli to pan ją zabił, to dlaczego z pańską siłą nie roztrzaskał pan jej kości czaszki, a tylko wgniótł oponę twardą? Czy zabójcy brakowało determinacji? Czy morderca dysponował niewielką siłą fizyczną, czy też miał potulną naturę, jak pies?

Sheppard zamknął oczy.

- A zielony worek marynarski znaleziony w poranek po morderstwie w krzakach na wysokości połowy schodów na plażę nad jeziorem, z pańskim szkolnym sygnetem, kluczami oraz zegarkiem, który nie tylko nosił ślady krwi, nie tylko zatrzymał się kwadrans po czwartej, ale też miał mocno zaparowane szkło. Zapytany o krew, wyjaśnił pan detektywom, że na pewno znalazła się na zegarku, kiedy badał pan puls Marylin- Powiedział

im pan także, że zaparowane szkło było skutkiem partii golfa, którą rozegrał pan kilka dni wcześniej w deszczu. Ciekawe, że uznał pan za stosowne poinformować o tym policję. Podobnie jak ciekawy jest fakt, że Eberling, który wtedy nie znajdował się nawet w kręgu zainteresowania policji, podczas rutynowego przesłuchania palnął, iż jego krew znajduje się w całym pańskim domu, ponieważ kilka dni wcześniej skaleczył się, wyjmując z ramy rozbity kawałek szyby okiennej, a następnie zszedł do piwnicy, żeby przemyć ranę. W domu zabezpieczono liczne ślady krwi: od sypialni po patio i piwnicę, na podstopnicach schodów także. Chociaż ślady to może niewłaściwe określenie, bo taką ilość zostawiłby krążący po domu kogut z obciętą głową. Co więcej, była to krew niepasująca ani do pańskiej krwi, ani do krwi Marylin. Mimo to policja była pewna, że to pan zabił, nie przesłuchano Eberlinga po raz kolejny ani nie sprawdzono grupy jego krwi. Ciekawe. Na tym nie koniec. Włókna, które znaleziono pod paznokciami Marylin, nie pasowały do niczego w pańskiej garderobie. Ale jest jeszcze jedna ciekawostka. Do kogo się przeniósł Hoversten na dzień przed morderstwem? Ano do doktora Roberta Stevensona, moim zdaniem jedyne go człowieka, który naprawdę mógłby chcieć pana zniszczyć, ponieważ przez kilka lat ruchał pan jego narzeczoną Susan Hayes. Do marca, jeśli mi dobrze wiadomo. Nie wahał się pan zniszczyć jego związku, miał więc powody, żeby się wściec, czyż nie? Jeśli przyjmiemy, że morderca nie pragnął krzywdy samej Marylin, tylko wpadł na chory pomysł, żeby ją zamordować, by upozorować, iż to pan ją zabił i próbuje sprawę zatuszować? Rozważając tak obłąkany plan, nie możemy wykluczyć Lestera. Czy może się mylę?

Sheppard pokręcił głową.

-I tu mamy dziurę w pańskiej historii, doktorze. Albo dziurę, przez którą pańska historia prześwituje. Rzecz się zaczyna od pańskiego zegarka. Słucha pan uważnie?

Sheppard zapalił fajkę.

- Twierdził pan, że kiedy pierwszy raz odzyskał pan przytomność, pański portfel leżał pod łóżkiem. Czy tak?

- Zgadza się.

- Podniósł się pan, zobaczył Marylin, po czym zbadał jej puls, co wyjaśnia, skąd na szkiełku i pasku pańskiego zegarka znalazły się ślady jej krwi. Potwierdza pan?

- Niech pan mówi dalej.

- Usłyszał pan ruch w salonie, zbiegł pędem po schodach, zobaczył kogoś, pobiegł za nim do jeziora, tam walczył z nim i został ponownie znokautowany.

Sheppard się nie odezwał.

- Worek z pańskim zegarkiem został znaleziony w połowie drogi do jeziora, prawda?

- Prawda.

- To oznacza, że zabójca Marylin zostawił pański portfel pod łóżkiem, a zegarek na pańskim ręku, kiedy pierwszy raz pozbawił pana przytomności. Potem przeszukał dom, nie zabierając niczego wartościowego - ani złotego zegarka pańskiej żony, ani lekarstw, ani strzelb, i po walce z panem na plaży, podczas której drugi raz pana znokautował, ten sam włamywacz zdjął panu z ręki zegarek i sygnet, zabrał panu klucze i co zrobił? Wyrzucił ten łup w połowie schodów, kiedy opuszczał pański dom. Dlaczego nie zabrał skradzionych rzeczy? Po co wracał do domu? Czy na tym polegał genialny plan wrobienia pana w to morderstwo? Czy osoba wrabiająca pana przewidziała, że to niemożliwe? A może po prostu wybiegł pan na dwór i kręcił się w ciemności wokół tego przerażająco cichego domu, w którym leżały zwłoki pańskiej żony i spał wasz syn? Kręcił się pan sam, poraniony, usiłując wymyślić jakąś prawdopodobną historię? Ale wymyślanie historii chyba nie jest pańską specjalnością, doktorze.

- Dość tego - wycedził Sheppard.

Czasem, kiedy wracał myślami do tamtej nocy, Sheppard nie umiał określić, co zdarzyło się naprawdę, a co nie.

Kiedy na przykład przypominał sobie moment, gdy krzyk Marylin wyrwał go ze snu, nie był pewien, czy zasnął z powrotem, czy nie. Często się zastanawiał, ile czasu trzeba, żeby zadać komuś dwadzieścia siedem ciosów. Wydawało mu się, że słyszał część tych uderzeń albo że słyszał dwa głosy - Marylin i jeszcze czyjś. Czasem nawet sądził, że więcej niż dwa. A może słyszał tylko ich postękiwanie - jakby odgłosy uprawianej miłości oraz zadawanych ciosów: tępe narzędzie uderzające o kość, coś wystarczająco ciężkiego, żeby wgnieść kości głowy, jednocześnie ich nie roztrzaskując. Nie był pewien.

Pamiętał, jak biegł na górę po schodach, trzymając się barierki. Pamiętał wiatr od jeziora, a później, kiedy wpadł z rozpędem do sypialni, widok sylwetki w ich sypialni, która zamieniła się w mężczyznę o gęstych włosach, z którym bił się później. Innym razem znów wydawało mu się, że poczuł cios - jakby uderzenie morskiej fali - zanim zdołał cokolwiek zobaczyć. Co więc było prawdą?

Jako lekarz wiedział, że konsekwencją urazów układu nerwowego jest dezorientacja, nie zaskakiwało go więc, że wspomnienia tak mu się mieszają, ta świadomość jednak nie przynosiła wielkiego pocieszenia.

Pamiętał, że kiedy patrzył na zmasakrowaną twarz i wklęsnięte usta Marylin, usłyszał kogoś na dole i wybiegł z sypialni. Czasem jednak wydawało mu się, że wcześniej jeszcze wpadł do pokoju Rosta, żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało, a dopiero potem usłyszał hałas na dole. Zastanawiał się niekiedy, czy wersja z zagładaniem do Rosta wynikała z poczucia winy, bo nie byłby to pierwszy raz, kiedy nie pomyślał o własnym synu.

A przecież wspomnienia układały się w idealną sekwencję: sen, krzyk Marylin, bieg na górę, cios, odzyskanie przytomności, odgłos intruza na dole, widok intruza przy patio, wyścig po schodach na plażę, szamotanina, wreszcie ponowne odzyskanie przytomności i widok domu w świetle poranka oraz świadomość, że Marylin leży martwa w ich sypialni. Czasem we wspomnieniach pojawiał się tylko jego sen, w którym kołysał swoją córeczkę, a Marylin obserwowała ich oboje z wody - tak cicho, z tak wielką miłością. To przywodziło mu na myśl sny z dzieciństwa. W najbardziej przerażającym z nich gigantyczna sowa wyrywała się z klatki w jego pokoju, gdy tylko tam wszedł. Broniąc się przed nią, musiał zablokować jej dziób rękami. Uświadamiał sobie wtedy, jak bardzo sny są niezakotwiczone w czasie; że wyznaczają czas same dla siebie. Choć z upływem lat także wydarzenia zaczęły mu się wydawać zupełnie niezakotwiczone w czasie.

Sylwetka intruza przy drzwiach na patio, kiedy zszedł na dół: musiał to być człowiek potężny, jego wzrostu i budowy ciała, a włosy na głowie sterczały mu w wyjątkowo gęstym jeżu. Pamiętał, że pogrążony w ciemności intruz odwrócił się, żeby spojrzeć na spowitą mrokiem jego sylwetkę, po czym wybiegł z domu.

Często w snach Shepparda pojawiały się wydarzenia, które uznawał za wspomnienia tamtej nocy, na przykład biegł za intruzem w kierunku plaży, ale we śnie jakby leciał, jednym susem pokonując po pięć stopni niczym astronauta na księżycu, z każdym krokiem nabierając mnóstwa siły, by w końcu rzucić się na uciekiniera jak sokół na ofiarę. W innym śnie zdołał go dopaść, przygwoździł i dusił, to jednak nie mogło się zdarzyć, ponieważ ścisnął własną szyję i patrzył we własną twarz. „Czyja tak wyglądam?” - zastanawiał się. Nie mógł oczywiście zabić samego siebie, pamiętał jednak, że w tamtym śnie doszedł do następującego wniosku: „Walczę z samym sobą, bo to ja zabiłem Marylin”. Tak czy owak jego sobowtór wykorzystał moment zaskoczenia, żeby go z siebie zrzucić i wepchnąć do wody. Potem podniósł pięść gotową do ciosu i wszystko zrobiło się czarne.

Zastanawiał się czasem, czy mógł zabić żonę w jakimś stanie psychotycznym, który następnie wyparł ze świadomości. Nie wskazywa na to jednak żadne dowody. Choć sypialnia była zachlapana krwią j obraz Pollocka farbą, on miał krew tylko na kolanie i na zegarku, n samym szkiełku zaparowanym od wody, kiedy leżał na brzegu jeziora zanurzony do połowy. Owszem, lunatycy potrafią wykonywać wysoko skoordynowane działania; jego ojciec opowiadał mu kiedyś, że matka na własne oczy widziała, jak we śnie podszedł do lodówki, wyjął szynkę, a następnie pokroił ją na cieniutkie plasterki. Prawdą jest także to, że czasem reagujemy fizycznie na nasze sny. Którejś nocy, kiedy walczył we śnie z własnym ojcem, Marylin słyszała, jak jęczy, próbowała go obudzić i w nagrodę za podjęty wysiłek dostała łokciem w nos. Przeszukał jednak dokładnie swoją duszę: nie znalazł tam wściekłości do żony. Nie żywił jej nigdy, nawet w najczarniejszych chwilach.

Ale jedno pamiętał z całkowitą pewnością.

To było, kiedy oprzytomniał na plaży, półnagi i przemoknięty, bez koszuli, za to z kieszeniami pełnymi piasku. Podniósł się, po czym spojrzał na dom, na okno ich sypialni. Wiedział, że Marylin odeszła na zawsze. Pamiętał swoją pierwszą myśl: był taki paskudny czas, pozornie bez końca, kiedy tego właśnie chciał.

Jadąc w kierunku Kentu, Hoversten ciągle od nowa analizował wymianę zdań z Marylin. Tyle tylko, że kiedy Marylin powiedziała: „Jesteś nieudacznikiem, wiesz o tym?”, nie powtarzał jej całego tego gówna, o którym

tak doskonale wiedziała, ponieważ było to zniżanie się do czysto emocjonalnego kobiecego poziomu. Zamiast tego dwukrotnie pokiwał głową w zamyśleniu, udając przez chwilę, że się zastanawia nad jej słowami, po czym w odpowiedzi chwycił oburącz kij golfowy, który trzymał w ręku, i rozwał głowę tej głupiej pizdzie.

- Jeszcze lepiej! - darł się na całe gardło, siedząc w kabriolecie. - Wybijam ci te twoje zębki! - To dopiero byłby numer: silne uderzenie główką kija tuż nad górną wargą! Taki cios najprawdopodobniej by ją ogłuszył, bo wokół ust jest tyle zakończeń nerwowych, co na fiucie. Oczywiście poleciałaby do tyłu. - A potem przyszłoby najprzyjemniejsze - wrzeszczał, zerkając na siebie w lusterku wstecznym. - Najsmakowitszy moment. Obszedłbym cię, przyłożył ci kij do ucha od tyłu, zamachnąłbym się i uderzył jak z podkładki! - Ręce i nogi tej suki dostałyby drgawek, a jej nos i policzki zrobiłyby się miękkie jak polędwica. Po kolejnym uderzeniu kości złamanej czaszki przecięłyby istotę szarą jej mózgu, wywołując istne szaleństwo w układzie nerwowym, „który niechybnie zaznałby całkowitej katastrofy neurologicznej. Może przerwałaby na chwilę, pozwalając jej coś powiedzieć, choć byłby to raczej odgłos płukania gardła ze słowami okrągłymi jak u niemowy: Po-sze nie, Fester, posze. - A może byś chciała teraz kutasa do buzi? To jakby robiła mi laskę kobieta, która wyjęła sztuczną szczękę. Więc jak, Marylin? Wyruchać cię w twarz?

Kiedy wyprzedzał ciężarówkę z naczepą, musiał zakryć dłonią krocze.

Zły nastrój towarzyszył mu przez całe sześćdziesiąt kilometrów do Kentu. Hoversten nie zdawał sobie sprawy, jak szybko jedzie. Ale miał świetny czas i zajechał do klubu, w którym grał Robert, godzinę przed podwieczorkiem. Ucieszyło go to, bo zawsze rozgrzewał się zbyt krótko i Robert go ogrywał, a przecież szło o pieniądze. Wziął kosz piłek. Wyrwał kilka sporych kawałków darni. Latające skalpy trawy. Nie grał od dłuższego czasu, a ponieważ zwykle wysiadał na greenie, krótkie strzały i patowanie ćwiczył dłużej niż zwykle. „Kiedy uderzasz, wyobraź sobie, że zapalasz zapalnik” - mawiał Gary Player.

Ależ miał dzisiaj świetne wyczucie! Choć było wietrznie, nieźle się spocił. Z wyczuciem kontrolował siłę uderzenia, zwłaszcza gdy sobie wyobrażał, że piłeczka to głowa Marylin.

- Proszę, proszę, ktoś tu oszukuje i ćwiczy - rzucił Robert.

Hoversten nie zauważył, kiedy doktor Stevenson stanął tuż za jego plecami i ze skrzyżowanymi na piersi ramionami patrzył, jak trafia w pij. kę. Gdy już wymienili powitania, Hoversten dostrzegł, nawet przez długi, ciemny tunel swojego nastroju, że Robert także nie jest w najlepszym humorze. „No, to sobie dzisiaj pogramy” - pomyślał.

Idąc na pierwsze pole razem z pomocnikami, umówili się na pięć dolarów za pełne osiemnaście dołków. „Dużo jak na człowieka bez pracy” - pomyślał Hoversten, ale z drugiej strony był przecież świetny w najdłuższych uderzeniach, zwłaszcza driverem. Nudna droga pod górę, wspinająca się coraz wyżej i wyżej. Rzucili monetą. Hoversten wybrał orła i wygrał, on więc pierwszy zagrał z kołka; zszedł z tee, nie patrząc nawet, gdzie wylądowała piłka.

- To się pościgamy - stwierdził Stevenson.

- Naprawdę ładna piłka - dodał jego pomocnik.

Stevenson postawił swój kołeczek na ziemi i spojrzał wzdłuż fair- waya. Zamierzył się do uderzenia z półobrotu, po czym przemówił do swojej piłki:

- To się pościgamy.

Hoversten mimowolnie mu się przyglądał. Był po prostu ideałem: wysoki, przystojny, w doskonałej formie, umięśniony. Pozycja, którą przyjął, wydawała się idealnie geometrycznie wyważona - odwrócony trójkąt górnej połowy jego ciała spoczywał na wierzchołku trójkąta jego rozstawionych nóg, natomiast trójkąt utworzony przez ręce zwisające swobodnie z jego ramion kończył się trójkątem potężnych dłoni. Stanowił prawdziwie apoliński widok: głowę pełną kręconych włosów trzymał wysoko. Uderzył. Piłeczka poszybowała jak jedna z boskich strzał, lądując prawie dwadzieścia metrów dalej, niż dorzucił Hoversten.

- Też całkiem nieźle - zawyrokował pomocnik Stevensona, najwcześniej z nich wszystkich ruszając po torze.

Hoversten i Stevenson prawie wcale się nie odzywali aż do czwartego dołka. Hoversten nie mógł nie zauważyć, jak przygnębiony jest jego towarzysz. Pomyślał, że Stevenson jest w naprawdę kiepskiej sytuacji, najwyraźniej jednak sprzyjała ona błyskotliwości jego gry. Pierwsze dwa dołki zaliczył jednym punktem poniżej para, trzeci natomiast rozegrał przewidzianą liczbą uderzeń. Hoversten musiał zadbać o własne interesy - po pierwsze, starając się, by z jego portfela nie wypłynęły kolejne pieniądze, po drugie, dbając o dzisiejszy nocleg.

- Chyba ktoś jeszcze tu miał czas poćwiczyć przed spotkaniem - stwierdził, po czym splunął.

- Nie mogę narzekać - odparł Stevenson.

- Chcę cię prosić o przysługę. Mógłbym dziś u ciebie przenocować?

- Myślałem, że w tym tygodniu pracujesz z Sheppardem.

- Pracuję. Ale nie mogę przebywać pod jednym dachem z jego żoną.

Stevenson przyglądał mu się przez chwilę, następnie wszedł między markery i przyjął piękną pozycję do uderzenia. Wycofał się jednak, odkasłując. Czwarty dołek leżał na sto sześćdziesiątym metrze, miał par trzech uderzeń, a jakieś czterdzieści metrów na lewo od niego była woda, małe jezioro graniczące z greenem; niewygodna sytuacja dla Stevensona, który zawsze uderzał, skręcając piłkę z prawej na lewą. Z jakiegoś powodu wykonał popisowy strzał, ignorując ryzyko.

- Cóż - warknął. - Ja nie mogę przebywać pod jednym dachem z nim.

Zamierzył się i zblokował kolejny strzał bardzo na prawo, tak że mógłby chyba zdobyć czwarty dołek z dwudziestu metrów; zamierzył się żelazną piątką tak silnie, że piłka omal nie wpadła do wody.

Hoversten wystąpił do przodu. Flaga była zatknięta po lewej. W normalny dzień celowałby w środek greenu, unikając problemów. Teraz jednak uderzył nad wodą, skręcając piłkę z lewej na prawą tak, że wylądowała mniej więcej trzy metry od dołka.

Ruszyli w stronę dołka, z putterami pod pachą, pomocników mając przed sobą.

- A to dlaczego? - zapytał Hoversten.

- Co dlaczego?

- Dlaczego nie możesz być z nim pod jednym dachem?

- Z Sheppardem? Daj spokój, Les. Nie udawaj idioty!

Hoversten wzruszył ramionami.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O Susan.

- Twojej Susan?

Stevenson zwrócił się do pomocników:

- Panowie, proszę na nas poczekać koło dołka!

Obydwaj skinęli głową z obojętnością, jaką można nabyć, tylko oglądając miliony kiepskich strzałów, i poszli dalej.

Stevenson poczekał, aż odejdą poza zasięg głosu.

- Widzisz, okazuje się, że Susan nigdy nie była moja - wyznał. - To była jego Susan.

„Ach tak” - pomyślał Hoversten.

- Ach tak - powiedział na głos, kręcąc głową. „Sam, ty łajdaku!” Przez chwilę przypominał sobie długą kolejkę kobiet, które Sheppard zaciągnął do łóżka. Były wśród nich różne, ale Susan Hayes stanowiła klasę sama dla siebie. - Jak długo? - zapytał.

- Długo, zanim ja i Susan się poznaliśmy, i przez cały czas potem.

- Nawet kiedy się zaręczyliście?

Stevenson skinął potakująco głową.

Hoversten zagwizdał, mając nadzieję, że zdoła się w ten sposób powstrzymać od śmiechu.

- To skurwysyn - rzucił.

- Dobrze powiedziane.

Po usłyszeniu takiej wiadomości można tylko skupić się na grze. Hoversten zakończył dołek jednym uderzeniem poniżej para, ale Stevenson po rewelacyjnym strzale miał tylko piętnaście metrów i pewniaka na dwa. Poczul się zbyt pewnie, uderzył zbyt agresywnie i piłka spadłaby zapewne z greenu, gdyby się szczęśliwie nie odbiła od pojemnika przytrzymującego flagę, nie wyskoczyła w powietrze i nie opadła trzydzieści centymetrów od dołka. „Impet potrafi wiele zmienić” - pomyślał Hoversten.

Po dwóch uderzeniach, drugie oczywiście celne, Stevenson podszedł do Hoverstena i wybił w trawie wgłębienie. Był cudowny, wietrzny dzień. Powiew sprawiał, że nie było słyhać innych graczy ani żadnych hałasów, pole wydawało się więc jeszcze bardziej ustronne.

- Więc to dlatego z nią zerwałeś.

Stevenson splunął z obrzydzeniem.

- Szczerze, Robercie, nie wiedziałem. Myślałem po prostu, że nie jesteś gotowy.

Spojrzeli na pomocników stojących na kolejnym polu.

- Coś ci powiem - rzekł Stevenson.

Hoversten czekał.

- Nie jest to coś, z czego byłbym dumny, ale odkąd zerwałem z Susan, bo mi o wszystkim powiedziała, nie ma dnia, przysięgam na Boga, ani jednego jebanego dnia, żebym nie myślał o...

- Nie kończ.

Kiedy Stevenson podniósł wzrok, okazało się, że oczy nabiegły mu krwią.

Hoversten nie mógł się powstrzymać. Byli sami na polu golfowym, on jednak wolał się rozejrzeć, czy nikt ich nie słyszy. Jakby można było usłyszeć to, co sobie pomyślał. Poczł mianowicie wobec tego pięknego, stojącego przed nim mężczyzny coś, co wcześniej odczuwał tylko wobec Shepparda: chciał sprawić mu przyjemność, chciał jakoś się nim zaopiekować. Chciał wziąć go w ramiona i pocałować w usta.

- Wie pan, że mogę wyliczyć wszystkie pańskie kochanki? Odkąd skończył pan czternaście lat do czasu, kiedy zaczął pan się spotykać z Marylin, i oczywiście później, aż do jej śmierci - stwierdził Mobius.

- Nie uważa pan tego za perwersję?

- Pierwsza była Frances Stevens. Latem po tym, jak podarował pan Marylin odznakę swojej korporacji studenckiej, po ostatnim roku pańskich studiów, kiedy Marylin spędziła jesień w Skidmore, w drzwiach garażu pańskich rodziców pojawia się piersiasta Frances, kiedy akurat chce pan się przejechać swoim fordem A. Umawiacie się na randkę i jej także daruje pan odznakę korporacyjną, zaraz jednak ją pan odbiera, bo dostaje od ojca niezłą burę za takie zachowanie. To oczywiście był tylko początek długiej listy spotkań, o których nie mówił pan Marylin. Była też Melanie, żona pańskiego kolegi ze studiów w Los Angeles. Zaczął pan z nią kręcić zaraz po tym, jak się urodził Rost, prawda? Kiedy Marylin zapadła na poporodowe zapalenie gruczołu tarczowego, które wpędziło ją w głęboką depresję. Nie chciała pana nawet dotknąć, prawda? A pan był mężczyzną z dużymi potrzebami. Lubił pan coś zerznąć raz dziennie. Jeszcze później był ten miły czworokącik z Lesterem i dwiema pielęgniarkami. A zaraz po nim Margot Wendice, uroczą instruktorka pielęgniarstwa, z którą poznał pana ten tłusty alfons.

Spotykaliście się przez rok, podczas gdy Marylin przebywała z Rostem na rekonwalescencji w Cleveland. Julie Lossman zamknęła listę ledwie kilka miesięcy przed śmiercią Marylin.

- Nic mnie z nią nie łączyło.

- Nie, wysoki sędzie, byliśmy jedynie przyjaciółmi, Losmanowie i my. Wspólnie pływaliliśmy łodzią po jeziorze Erie i postanowiliśmy zawinąć na małą wysepkę przy Put-in-Bay. Julie i ja po prostu wybraliśmy się do lasu. Zniknęliśmy mniej więcej na godzinę. To prawda, spaliśmy ze sobą kilka lat wcześniej. To prawda, że dostała od męża w twarz po naszej małej wyprawie. Nic jednak się nie wydarzyło, kiedy byliśmy razem w lesie, wysoki sędzie. Przysięgam.

Sheppard wzruszył ramionami.

- No i była też oczywiście przepiękna Susan Hayes. Jak długo byliście razem?

- Spotykaliśmy się przez trzy lata. Z przerwami.

- Do marca pięćdziesiątego czwartego roku. Koniecznie musimy o niej teraz porozmawiać, prawda?

- A to dlaczego?

- W końcu to ona była motywem, dla którego zabił pan Marylin.

Sheppard i Susan Hayes wracali do Los Angeles z San Diego, gdzie byli na ślubie znajomych, choć Sheppard nie potrafił sobie przypomnieć imienia pana młodego. Pora była późna i zrobiło się bardzo zimno. Kabriolet pożyczony od doktora Millera, roadster MG, miał zepsute ogrzewanie, a wycieraczka od strony kierowcy też nie chodziła, jak trzeba, Sheppard zdjął więc dach, żeby lepiej widzieć we mgle, która opadła, gdy jechali drogą stanową numer jeden.

- Widzisz? - zapytała Susan.

- Czasem tak - odrzekł Sheppard, przekrzykując silnik, znacznie utrudniający im rozmowę. Specjalnie mu to zresztą nie przeszkadzało, bo nie miał nic do powiedzenia. Nie miał też ochoty słuchać tego, co chciała mu powiedzieć Susan, ona jednak nie przestawała.

- Może tak byś ją włączył? - Sheppard wskazał palcem swoje ucho. - Wycieraczkę.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Siedziała z założonymi rękami, oparta plecami o drzwi pasażera, umiarkowanie wściekła i odrobinę zdumiona. Jej smukła twarz wyglądała blado w skąpym świetle deski rozdzielczej, wyostrzając jej rysy i wydobywając z ciemności drapieżną starszą panią o wyglądzie jastrzębia, w którą miała się zamienić za kilkadziesiąt lat.

Wisząca w powietrzu atmosfera kłótni typowej dla małżonków, do jakiej często dochodziło między nim a Marylin, stała się nieznośna. Nagle przyszło mu do głowy, że oprócz Marylin nigdy nie był związany tak długo z żadną kobietą.

- Wtedy mógłbyś założyć dach - dodała.

Gdzie się podziała kobieta, którą Susan była trzy lata temu?

Mimo wszystko nie był to jednak zły pomysł. Sam też odczuwał chłód, choć jeszcze nie zmarzł. Kilka minut później zatrzymał się więc na parkingu - zwirowanym cyplu z widokiem na Pacyfik. Zostawił włączone światła, żeby sprawdzić pióro wycieraczki. Było przykręcone na dwie śrubki krzyżowe, przejrzał więc auto w poszukiwaniu narzędzi (tylko klucz do kół), a potem stał przy bagażniku, zastanawiając się, co ma teraz zrobić i przy okazji obserwując, jak brzuch mgły prześlizguje się nad światłem reflektorów. Po chwili przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Odwrócił się i nachylił nad autem. Niesmak, który się malował na twarzy Susan, wyglądał niemal na strach. Sięgnął nad kierownicą, wyłączył stacyjkę i wyciągnął kluczyki. Samochód zadrżał w ciszy od wstrząsu pod maską. Teraz słyszeli tylko uderzenia fal i westchnienia oceanu, nieustanne wstrząsy, które cios po ciosie zabierają kolejne milimetry linii brzegowej. Pomyślał, że pewnego dnia także ta droga zostanie pochłonięta przez wodę.

- Co robisz? - zapytała. Kiedy nie odpowiedział, spojrzała tylko przed siebie.

Podniósł kluczyk do światła. Płaska krawędź była na tyle ostra, żeby się zmieścić w nacięciu śrubek, choć klucz wydawał się zbyt gruby. Nie bez trudu odkręcił dwie śrubki, umieszczając zwichrowane pióro na masce; ani razu nie spojrzał na Susan, żeby jej nie dawać okazji do okazywania niezadowolenia. Drugie pióro wyglądało dobrze, ale śrubki trzymały się jak przyspawane, użył więc kluczyka od samochodu, żeby zdrapać z wierzchu choć trochę brudu. Kluczyk ześlizgnął się na jego kciuk, przecinając skórę. Ból przeszył całą rękę. Sheppard upuścił kluczyki, a gdy usłyszał, że otwierają się drzwi od strony pasażera, ryknął: »Zostań w tym cholernym samochodzie!"

Została, przynajmniej na chwilę. Zatamował krew, ściskając ranę, a następnie opatrzył ją chusteczką do nosa, od której zdrową ręką oderwał dwa cienkie paski, chwytając tkaninę zębami. Obszedł samochód dookoła i oparł się o maskę, żeby się uspokoić. Dołączyła do niego, nadchodząc z

przeciwnego kierunku. Wzięła pulsujący bólem kciuk w dłonie. Przewięzała opatrunek nad nadgarstkiem i delikatnie klepnęła.

- To nie był dobry pomysł - powiedziała. Stanęli twarzą do oceanu, wpatrując się w bezksiężycową noc i usiane gwiazdami kawałki nieba prześwitujące między pasmami mgły. Rozbijające się o brzeg fale wprawiały w drżenie skałę pod ich stopami, a ich dźwięk z łatwością pokonywał wysoki klif i wypełniał bezkres za ich plecami. Sheppard poczuł się zagubiony, jakby dryfował, czemu towarzyszyło niejasne poczucie zagrożenia. W ciemności wisiała groźba, że ta noc się nigdy nie skończy.

- Nie jest tak strasznie zimno, kiedy nie jedziemy samochodem - stwierdziła Susan, pocierając ramiona dłońmi.

Znów zaczął się zastanawiać. Dokąd odeszła tamta Susan? Gdzie się schowała? Tamta druga Susan, tamta dawna, była prostsza i odważniejsza od dzisiejszej. Gdzieś się ulotniła, choć towarzyszyła mu jeszcze nie tak dawno temu, kiedy pojawił się w Los Angeles razem z Marylin. Wcześniej korespondował z Susan, która w lutym wyjechała z Cleveland po oficjalnym zerwaniu zaręczyn z doktorem Stevensonem. Właśnie wtedy się przeniosła do Kalifornii. Sheppard zaplanował pobyt tutaj na stażu z chirurgii naczyniowej i neurochirurgii. Był to oczywiście wielki krok w jego medycznej karierze, ale prawdziwym celem wyjazdu do Kalifornii była Susan.

- Na czas mojego pobytu w Los Angeles mogłabyś się przenieść do Big Sur razem z Jo. Odpowiadałoby ci to, prawda? - zaproponował Marylin.

Leżeli razem w jego łóżku. Marylin przez chwilę wpatrywała się w sufit.

- Los Angeles - odezwała się w końcu. - To się wydaje jak wieki temu, prawda?

Minęły zaledwie cztery lata, ale przytaknął.

- Racja. - Chodziło mu oczywiście o to, żeby wyjazd wydał jej się jednocześnie kuszący i mało ciekawy. Chciał zasugerować, że chce jej obecności mimo wielu związanych z tym ograniczeń: proponował jej takie wspólne wakacje, które będzie musiała spędzać sama. - Moglibyśmy zostawić Rosta z Richardem - dodał. - Ja będę całymi dniami siedział w szpitalu, ale przynajmniej ty trochę odpoczniesz.

Objęła go ramionami w pasie, podczas gdy on siedział oparty na poduszkach. Zwykle zaczynała noc w jego łóżku, przechodząc do swojego, dopiero kiedy zasypiał. Nagle uściśnęła go mocno. Wtedy spojrzał na

czubek jej głowy; wyobraził sobie, że zamiast włosów ma przezroczystą płytkę, przez którą widzi jej mózg i może odczytać myśli. Pocałował ją, wachając jej włosy - zapach tak znajomy i tak niepowtarzalny, że równie dobrze mógłby być zapachem krwi.

Podniosła głowę z jego ramienia, żeby go pocałować w policzek.

- Moglibyśmy zabrać rakiety i znów pograć trochę w klubie.

- Moglibyśmy - zgodził się. - Jeśli oczywiście zdołam zorganizować jakieś wolne popołudnie.

- Nie gramy już w tenisa - powiedziała. - Dlaczego?

- Jesteśmy zajęci.

- Wtedy także byliśmy zajęci.

- Jeszcze będziemy grali w tenisa - zapewnił, myśląc o innych rozrywkach, ale też wspominając mecze, które rozgrywali, kiedy był rezydentem w szpitalu ortopedycznym, na szarych, glinianych kortach w Hollywood Tennis Club. Jak przyjemnie było oglądać Marylin, kiedy przygotowywali kort do następnej partii, wygładzając powierzchnię i przywracając biel linii. Jego żona miała prawdziwy talent. Dotykając piłki, jej rakieta wydawała dźwięk, którego on zwyczajnie nie potrafił wydobyć ze swojej - przypominający odgłos wybuchu, a jednocześnie dźwięczny. Jego forhendy i bekhendy odbierała pod takim kątem i w takim tempie, że potem jemu łatwiej było uderzać, łaskawie pozwalając mu się łudzić, że to on zyskuje przewagę z każdą wymianą piłek.

Ale to było dawno temu. Teraz - nawet kiedy wspominał tamte dni - jego myśli zwracały się ku Susan, pokrywając obrazy z przeszłości niewidzialną linijką wyrazów, które do niego napisała. Nie dbał o to, czy Marylin do niego dołączy. I tak będzie się widywał z Susan. Jakoś to urządzi.

Każdy dzień tego najkrótszego miesiąca był odliczaniem do marca. Kiedy załatwił wszystko, co się wiązało z wyjazdem, przez ostatnie dwa tygodnie, które dzień po dniu wykreślał z kalendarza, oświetlała gwiazda przewodnia, wabiąc go nawet teraz, kiedy leża! w łóżku z żoną i wspominał ich dawne lata, najlepszy chyba czas w jego życiu przed poznaniem Susan Hayes.

Doskonale pamiętał ten moment w laboratorium diagnostycznym Bay View Hospital. Jego brat Richard oprowadzał Susan po szpitalu jako nowo zatrudnioną laborantkę, trzeciego pracownika zatrudnionego w ciągu miesiąca. Właśnie skończył operację usunięcia wyrostka robaczkowego. Ru-

tynowy zabieg, a mimo to czuł się niemal namaszczonego jego skutecznością - rad, że zdołał przywrócić zaburzony porządek. Podobnej satysfakcji doznawał, zamykając z hukiem maskę samochodu po wymianie oleju. Pod kitlem operacyjnym był nagi - tak lubił pracować - co zawsze dawało mu poczucie komfortu i relaksu tuż przed snem, ale też podnosiło jego gotowość libidinalną, kiedy spacerował po bloku operacyjnym niczym nieskrępowany, całkowicie swobodny. Zawsze czuł się najbardziej męski po kąpieli przed operacją.

Sheppard wszedł do laboratorium. Susan stała tyłem do niego. Kiedy się odwróciła, Richard mu ją przedstawił. Później przywoływał w myślach najważniejsze cechy jej wyglądu: silna, szczupłe dłonie, kręcone kasztanowe włosy, złotobrazowa cera, piegi na policzkach i nosie widoczne tak wyraźnie, że wyglądały jak tatuaż. Musiał je sobie przypominać, ponieważ widząc ją po raz pierwszy, jakoś ich nie zauważył.

- Mam nadzieję, że lubi pani być zajęta - powiedział.

- Lubię, doktorze Sheppard.

- Zaczynamy o świcie.

- Autobus z Rocky River zawsze przyjeżdża na czas.

- Nie ma pani samochodu? - zapytał Richard.

- Sądziłam, że dostanę służbowy - zażartowała.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nawet Richard był pod jej wrażeniem.

- Mówi pani: Rocky River? Gdzie dokładnie? - zapytał Sheppard.

- Pięćdziesiąt dziewięć zero trzy.

- Mieszkam za ledwie przecznicę dalej.

- Możemy jeździć tym samym autobusem.

- Myślałem raczej, że mógłbym panią podwozić.

- Nie tak prędko, Sam - skarcił go Richard. - To młoda dziewczyna.

Mieszka jeszcze z rodzicami.

- Jeśli doktor Sheppard chce prowadzić autobus, to nie mam nic przeciwko temu.

„Mówi jak gwiazdka filmowa” - pomyślał Sheppard, gdy znalazł się w swoim gabinecie. I jest równie ładna. Oczywiście ten sposób mówienia można jej wybaczyć. Oparł nogi na biurku, założył ręce za głowę i gapił się w sufit. Zwykle ucinał sobie drzemkę między porannymi operacjami a lunchem, tego dnia jednak nie chciało mu się spać. Wcześniej, z innymi

kobietami, mógł się cieszyć, że życie dzięki nim znów stało się interesujące. Z nią było zupełnie inaczej.

Zobaczysz się z nią jutro - powiedział sobie.

Czekała na niego w czerwonym MG już następnego ranka.

Gdy wszedł do garażu, zobaczył ją na fotelu pasażera, jakby spędziła na nim całą noc; tak pewna siebie, że nawet nie podniosła wzroku. Aż go zamurowało. Jakby podarował mu ją dzin z butelki, zanim jeszcze wypowiedział życzenie. Tego ranka wybrał garnitur w niebieskie prążki. Sam nie wiedział, dlaczego przystanął na chwilę, dotknął krawata i spojrzał na swoją pierś oraz przyoblekł uśmiech na wargi. Zaraz jednak wziął się w garść, doszedł do samochodu i otworzył drzwi od strony kierowcy. Spojrzała na niego z bezpośredniością, która wykluczała jakiekolwiek pytania, nie dopuszczając też pustej towarzyskiej pogawędki. To spojrzenie było cudowne, a gdy je odwzajemnił, poczuł niepokój. Włączył silnik, wyjechał tyłem z garażu i ruszył do szpitala, jak na niego wyjątkowo powoli, choć przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Samochód aż się prosił o wyższy bieg niż trójka, a kiedy redukował biegi przed światłami, wręcz czuł wszystkie tryby skrzyni. Po zmianie świateł przyśpieszył ostrożnie, jakby jechał po lodzie. Na parkingu szpitalnym powiedziała: „Dziękuję, panie doktorze”, ale nie wysiadała. Instynktownie wybiegł z samochodu, żeby otworzyć jej drzwi - coś, czego nigdy nie robił dla Marylin.

Otworzył jej także drzwi do szpitala. I do laboratorium; przeszła, mówiąc mu tylko do widzenia.

Wiedział, że nie będą rozmawiali, jeśli zobaczy ją tego dnia na korytarzu albo w bufecie. Był o tym przekonany tak samo, jak o tym, że następnego ranka także zastanie ją czekającą w samochodzie.

Czekała z dłońmi spoczywającymi na udach. Tym razem także nie rozmawiali: słowa mogłyby coś zmienić. Była połowa maja. Przepiękna wiosna - kwitnące derenie, pąki na czereśniach jak cukrowa wata, a na judaszowcach kanadyjskich jak świeżo uprażona kukurydza - szeptała do niego różnymi barwami, podobnie jak siedząca obok Susan. Sheppard bał się spojrzeć prosto na nią, żeby nie prysł ten czar, który ją obok niego postawił. W pracy było podobnie. Jeśli się do siebie odzywali, to wymieniali tylko jakieś uwagi ściśle zawodowe, związane wyłącznie z diagnostyką laboratoryjną. Wydawał jej też krótkie polecenia. Obserwujący ich kontakty współpracownicy mogliby pomyśleć, że oni nawzajem sobą gardzą. Często

nawet na niego nie patrzyła. Zniknął gdzieś błyskotliwy styl bycia filmowej gwiazdeczki. Wiedział, że to ich milczenie, które bardzo go niepokoiło i było dziwaczne, pozwalało mu też skupić się na pracy. Dzięki świadomości, że będzie czekała na niego w samochodzie następnego ranka, był w stanie odrzucić od siebie wszystko, co mogłoby go rozpraszać. Zmiana cokolwiek, jakiegokolwiek inne zachowanie stanowiłoby apostazję.

- Kto to jest? - zapytała go Marylin następnego ranka. Właśnie wróciła z garażu, wciąż jeszcze w koszuli nocnej. Rost, już czteroletni, smacznie spał.

Wypił ostatni łyk kawy.

- Susan Hayes. Od niedawna pracuje w naszym laboratorium.

- Co tam robi?

- Jak to co?

- Co robi w twoim samochodzie?

- Podwożę ją do pracy.

- Dlaczego?

- Ona nie ma innej możliwości.

- Brak samochodu czy chętnych kierowców?

- Jedno i drugie.

Marylin założyła ręce na piersiach.

- Kupi sobie auto?

- Nie mam pojęcia.

Marylin pokręciła głową zdumiona.

- To znaczy, że mamy się jej spodziewać także jutro rano?

- Dlaczego sama jej nie spytasz?

Marylin czekała. W odpowiedzi mogłaby mu powiedzieć tylko jedno, ale od lat nie chciała tego zrobić.

- Muszę iść - oznajmił.

Wsiadł do samochodu. Po raz kolejny wyglądało na to, że Susan go zignorowała. Żadnego uśmiechu, żadnego przywitania, nawet skinienia głową. Mimo to Sheppard złapał się na tym, że bezwiednie kiwa jej głową na powitanie, jak się wita kogoś, kto siada na sąsiednim fotelu w autobusie albo staje obok w windzie.

- Czy to była pańska żona? - zapytała Susan.

Zaskoczony, musiał zatrzymać auto na końcu podjazdu, żeby jej odpowiedzieć.

- Tak.

- Jest ładna.

Nie skomentował. W odpowiedzi mógłby tylko porównać je obydwie, a to było niemożliwe w najbardziej dosłownym sensie tego słowa. Przekonany, że Susan nie zamierza powiedzieć nic więcej, ruszył z miejsca.

- Zapytała, co robię w pańskim samochodzie - odezwała się kilka minut później. - Wyjaśniłam, że mnie pan podwozi do szpitala.

Po raz kolejny Sheppard jechał tak wolno, że od czasu do czasu wyprzedzał go jakiś samochód.

- Powiedziała mi, że się pan spóźni i powinnam pojechać sama.

Ilekroć skręcał w lewo albo w prawo, jego dłonie spotykały się na szczycie kierownicy, a kiedy kończył manewr, znów się przesuwały na godzinę dziesiątą i drugą.

- Wiedziałam, że pan się nie spóźni. - Przekręciła lusterko wsteczne tak, żeby móc się przejrzeć. Zadowolona z wyglądu, ustawiła je z powrotem, jak było, i usiadła wygodnie. - Podziękowałam więc i czekałam.

Sheppard pomyślał, że ona ma przewagę. Jak Marylin, kiedy grali w tenisa, Susan dyktowała warunki. Z tej sytuacji mógł wyciągnąć tylko jeden wniosek: jakikolwiek wysiłek z jego strony, mający na celu odebranie jej tej przewagi, wszystko zniszczy. Przez całe dwa tygodnie pojawiała się rano w garażu. Na to właśnie czekał codziennie: chciał zobaczyć ją tam, kiedy otworzy drzwi - tak samo stanowiącą część jego samochodu, jak koła, i tak samo zaskakującą, jak kot rozprostowujący się na przednim siedzeniu, by zaraz dać susa do ogrodu. Co rano otwierał drzwi i patrzył na nią. Miała piękną długą szyję, wygięte w wysoki łuk brwi, małe usta, których nie przykrywała szminką i których górna warga wydawała się w każdej chwili gotowa wykrzywić w grymasie. Podchodził do samochodu powoli, żeby zapamiętać jak najwięcej szczegółów, zanim wkroczył do strefy ciszy i milczenia. Jej włosy, kasztanowe i kręcone, były jeszcze mokre na szyi po porannym prysznicu; górna warga lekko piegowata przy dwóch wzniesieniach rynienki podnosowej. Siadał za kierownicą, wkładał kluczyk do stacyjki, uruchamiał silnik, zwalniał hamulec, wrzucał sprzęgło na luz, po czym kilka razy przesuwał dźwignię biegów w lewo i w prawo przed wrzuceniem wstecznego, co pozwalało mu popatrzeć na jej dłonie. Miała długie palce z wyraźnymi żyłami i kości śródreçza tak wyraźnie widoczne, jak delikatne palce, które napinają skrzydła nietoperza.

- Nie mogę pani odwieźć do domu dziś wieczorem - zapowiedział, wyłączając stacyjkę. Siedzieli na parkingu przed szpitalem. - Mam dyżur.

- To się szczęśliwie składa - odparła. - Ja też.

Była środa. Dwa razy w miesiącu Sheppard miał dwudziestoczętrogodzinny dyżur od siódmej do siódmej. W weekendy bywało zwykle dużo roboty, żeby nie użyć dosadniejszego określenia, zwłaszcza teraz, na początku czerwca, kiedy wiosna rozbuchała się na dobre, na jezioro wypłynęło więcej łódek i całe rzesze chłopaków wyczyniały różne wygłupy. W zeszłym miesiącu stracili szesnastolatka, który zsunął się z rufy łodzi motorowej, a nieświadom tego starszy brat odpalił silnik. Łopaty poszatkowały mu dłonie, przedramiona oraz prawą nogę, niszcząc sześć palców, tętnicę kręzkową górną i tętnicę biodrową, a także żyły odłokciową i odpromieniową. Zanim położyli go na stół, stracił ponad cztery litry krwi. Stanąwszy nad tą jatką, której czerwień kontrastowała z białą jak mleko - z powodu wstrząsu - skórą, Sheppard zamarł z przerażenia. Prawa strona chłopca wyglądała jak zmasakrowana przez jakiegoś mitycznego potwora: z poszarpanych ran wystawały żyły i ścięgna, a kończyny były tak straszliwie zniszczone, że trzeba by je amputować, by dać dzieciakowi jakąkolwiek szansę na przeżycie. Ale chłopiec zmarł w ciągu kilku minut. Potem twarz jego brata była cała pokrzywiona z bólu, a usta rodziców rozwarte szeroko, kiedy przyjmowali wiadomość o śmierci syna z czymś w rodzaju podziwu i respektu. Ich smutek był tak wielki i wyraźny, wręcz namacalny, kiedy obejmowali się ramionami, niczym rugbiści, kiedy tworzą zwarty młyn, próbując pocieszyć się w cierpieniu. Przepływające między nimi uczucia były jak pole magnetyczne między przeciwnymi biegunami magnesu intensywne i całkowicie nieprzeniknione. Przy okazji takich tragicznych wypadków, kiedy śmierć nie tyle pojawiała się znienacka, co eksplodowała, Sheppard pozwalał sobie na wdzięczność za to, że jest bezpieczny. Za życie wolne od cierpienia. Za wielkie, wspaniałe szczęście, które mu dopisywało.

Tej nocy jednak panował taki spokój, że Sheppard zaczynał tęsknić za jakąś katastrofą. Nudził się. Zrobił obchód, który mógł przecież zlecić pielęgniarce. Przy okazji nadłożył trochę drogi, żeby przejść koło laboratorium analitycznego. Przez uchylone drzwi zajrzał do środka najdyskretniej, jak potrafił. Za mleczną szybą dostrzegł szarą sylwetkę Susan - niczym obrys wykonany płaskim końcem ołówka. Słyszał, jak obcasy jej

butów stukają o podłogę, a kiedy zbliżały się do drzwi, popędził do swojego gabinetu i uciał sobie drzemkę.

Później, około siedemnastej, policja przywiozła mężczyznę po trzydziestce. Był ubrany w dobry garnitur. Ale też rozmamłany: wychodząca ze spodni koszula, poluzowany krawat, pomięta marynarka, spodnie ubłocone przy mankietach i buty całe w trawie. Na jego twarzy jeżył się jednodniowy zarost, oczy miał szkliste z czerwonymi brzeżkami powiek, nie czuć jednak było od niego alkoholu.

- Szedł po Lake Road - wyjaśnił jeden z policjantów. - I mówi bez składu.

Kiedy Sheppard zapytał mężczyznę o nazwisko, ten tylko spojrzał na niego, jakby słyszał jakieś odległe echo.

- Proszę to położyć tam - powiedział. - Bardzo proszę. - Podniósł obydwie dłonie i zakaszał silnie, kuląc się. Grudka zielonej flegmy spadła na podłogę między jego stopami. Sheppard kazał pielęgniarce przynieść nerkę i zebrał flegmę drewnianą szpatułką. Następnie położył pacjenta na kozetce. Uszczęśliwiony mężczyzna zamknął oczy. Sheppard osłuchał jego płuca, które świstały jak gwizdek wodny. Śledziona była powiększona, brzuch gorący. Kiedy Sheppard go dotknął, mężczyzna skrzywił się z bólu.

- Ile razy mam to jeszcze powtarzać? - wypalił, rozglądając się, jakby właśnie wylądował na Marsie. Ciśnienie krwi miał niskie i ciągle spadało. Sheppard zastanowił się przez chwilę, po czym kazał podać płyny dożylnie i pobrać krew do analizy, czemu pacjent przyglądał się speszony, zanim znów przysnął.

- Proszę zlecić panie Hayes, żeby zrobiła analizę krwi - wydał dyspozycję pielęgniarce. - Niech jej pani też powie, żeby przyniosła mi wyniki, jak tylko będzie gotowa - dodał i poszedł porozmawiać z policjantami.

Mężczyzna nie miał przy sobie portfela ani dokumentów. Nosił obrączkę. Żaden z policjantów go nie znalazł.

- Czy jest pod wpływem narkotyków? - zapytał jeden z nich.

- Nie sędzę - odparł Sheppard.

- Jest chory?

- Bardzo.

Sheppard wrócił do sali, żeby czuwać przy pacjencie. Ciśnienie krwi nadal spadało. Sheppard spojrzał na zegarek. Minęło prawie dwadzieścia minut. Gdy weszła Susan, zdołał zachować spokój.

- To on? - zapytała.

-Tak.

Przyglądała się pacjentowi przez chwilę, po czym przekazała Sheppardowi diagram z wynikami na podkładce z klipsem. Przez chwilę trzymali ją obydwójce.

- Ma wyraźnie podniesioną liczbę białych krwinek - powiedziała.

-Ile?

- Dwadzieścia dwa tysiące.

- Hematokryt?

- Trzydzieści pięć.

Wszystkie wyniki widniały na papierze, on jednak wołał pytać.

- Rozmaz krwi obwodowej?

- Zauważyłam wakuole w niektórych białych krwinkach.

Sheppard napawał się jej zapachem.

- Ewidentnie zakaźny - stwierdziła.

- Badała pani flegmę?

- Gram dodatnie.

- Pojedyncza populacja?

-Tak.

- Jak wyglądają bakterie?

- Lancetowate.

- Proszę dalej.

- Powiedziałabym, że diplokoki. Ale może pan obejrzeć preparat, jeśli pan chce.

Puścił podkładkę. Jedną rękę oparła na biodrze, drugą przycisnęła kartkę do piersi, patrząc na niego, jakby oczekiwała, że ją skoryguje.

- Bardzo dobrze - pochwalił.

Uśmiechnęła się.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Zauważyłam inkluzję erytrocytów.

Sheppard także się uśmiechnął. Była to najdłuższa rozmowa, jaką dotychczas odbyli. Przysunął się do niej o krok. Teraz obydwójce stali w hughach łóżka pacjenta, młodego mężczyzny w garniturze, oznaczonego jako

N. N., z ciśnieniem krwi spadającym do wartości zagrażających życiu. Ciężko oddychał, lekko poświstując.

- Jaką postawiłaby pani diagnozę?

- Nie jestem lekarzem.

- A gdyby pani była?

Zarumieniła się. Chciał wziąć jej twarz w dłonie i pocałować.

- Powiedziałabym, że to pneumokokowe zapalenie płuc. To by wyjaśniało niską saturację. I dezorientację.

- Coś jeszcze?

- Zapalenie otrzewnej. Także posocznica.

- Jakie zastosowałyby pani leczenie?

- Penicylina dożylnie. Natychmiast. I płyny, oczywiście.

Sheppard zdjął z ramy łóżka kartę choroby i coś na niej zanotował.

- A zatem tak właśnie zrobimy, panno Hayes - oświadczył.

Przeniosła wzrok z pacjenta na Shepparda i przez chwilę czekała.

- To wszystko - powiedział i przyglądał się, jak Susan wychodzi.

Jego brat, Stephen, pojawił się wcześniej, niespełna kwadrans przed szóstą. Do tego czasu stan pacjenta z ciężkim zapaleniem płuc się ustabilizował. Sheppard przekazał bratu dyżur, informując go o wszystkich ważnych wydarzeniach, po czym zmęczony poszedł do swojego gabinetu. Zdjął kitel, założył marynarkę w prążki i postanowił po drodze zajrzeć do laboratorium.

Ale Susan już nie było.

Tricia zajęła jej miejsce, oglądając jakieś preparaty.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry, doktorze.

Czekała na niego w samochodzie.

Powietrze na zewnątrz było zaskakująco wilgotne, niebo przykryte chmurami, przez które świat wydawał się smutniejszy, a wszystkie dźwięki jakby przytłumione zapowiedzią deszczu. Od czasu do czasu odzywały się ptaki, poza tym jednak panowała osobliwa cisza, jaką czasem się słyszy w najdziwniejszych snach. Sheppard wsiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Jest pani głodna? - zapytał, choć się nie zdobył, żeby na nią spojrzeć.

- Tak - odparła. Niepokój w jej głosie wydał mu się porównywalny z tym, który odczuwał.

Potrzeba jedzenia dała mu pretekst. Wyjeżdżając z parkingu, skręcił nie w stronę Rocky River, ale na zachód, przejeżdżając przez Bay Village w kierunku Avon, choć prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Jazda bez celu omal nie wprawiła go w desperację. Musiał w końcu gdzieś się zatrzymać. Poczł się zagubiony w kiepskiej dzielnicy obcego miasta, jadąc na resztkach paliwa. Już za miastem zauważył brązową tablicę z wypisanym złotymi literami napisem THORNTON PARK nad graficznymi symbolami stołu piknikowego, turysty i łodzi. Skręcił tak gwałtownie, że zarzuciło tyłem auta. Kiedy pędził w dół po wąskiej i krętej dwupasmowej drodze, oparła dłoń na desce rozdzielczej. Pokonali jeszcze jeden zakręt i na tle szarego nieba pojawiło się jezioro Erie w całym bezmiarze szarości. Pirs. Leniwa fala. Ani jednej łodzi w zasięgu wzroku. Woda wyglądała złowrogo, zastygła w bezruchu. Ogrodzony teren parkingowy ze stołami piknikowymi był pusty. Sheppard zatrzymał auto i wyłączył stacyjkę. Nie słysząc było żadnych dźwięków oprócz dobiegającego z za zasłaniających plażę krzaków cichutkiego plusku małych fal. Patrzył przed siebie długo, nie dostrzegł jednak niczego.

Dotknęła jego uda.

Rzucił się na nią. Gdyby mógł, zjadłby jej usta; mocniej nie potrafiłby już chyba do nich przyłgnąć. Wyciągnął rękę z płaszcza, by przytrzymać tył jej głowy na wypadek, gdyby chciała się cofnąć choćby na chwilę następnie wyszarpnął z rękawa drugie ramię. Odsunęła go od siebie, naciskając jego ramiona. Jego usta drżały, a zęby zaczynały szczekać. Ona była spokojna jak tafla jeziora.

- Siedzenia - powiedziała.

Sięgnął pod nią, między jej udami, pociągnął zatrask i z całej siły odepchnął fotel najdalej, jak się dało, od deski rozdzielczej. Przełożył rękę nad jej talią, dotykając policzkiem bluzki, znalazł dźwignię po bocznej stronie fotela, podniósł ją i kubelkowy fotel położył się niemal poziomo. Znow zaczął ją całować. Sam dotyk jej nóg, które leżąc na niej, trzymał w dłoniach - lekko wilgotne zagłębienie pod kolanami i delikatne, rozgrzane od skóry fotela uda - wystarczyłby chyba, żeby go zadowolić; albo ból, z jakim wbijały się w jego łydki obcaszki jej butów; albo sam jej widok, kiedy podpierając się łokciami, podciągała się wyżej na oparciu rozłożonego fotela, żeby mógł zsunąć jej majteczki, najpierw z tej nogi, którą zgięta przyciskał do jej piersi, a następnie z kolana drugiej, zostawiając je dyn-

dające na kostce. Wystarczyłoby mu chyba samo to, jak go powstrzymuje, rozpinając jednocześnie klamrę jego paska i delikatnie unosząc jego biodra, żeby zsunąć spodnie ostrym czubkiem pantofelka, a następnie odciągnąć bokserki, pozwalając, by jego kutas mógł się wyprężyć na chłodnym powietrzu poranka. Opuścił głowę do jej piersi, przytrzymała go jednak.

- Połóż się na plecach - powiedziała i nie rozluźniając uchwytu ani na chwilę, kiedy wsuwał się pod nią, ani potem, wprowadzając go do środka i siadając na nim powoli, delikatnie. Ciasnota samochodu uniemożliwiała obojgu pełną swobodę ruchów, co zwiększało jeszcze jego rozkosz. - Szlag by trafił! - jęknęła, opierając dłoń o zagłówek fotela dla równowagi, drugą ręką łapiąc za pałąk nad drzwiami. W końcu obydwójce przyjęli odpowiednią pozycję; Sheppard dopiero, kiedy się położył prawie po przekątnej, z jedną nogą przerzuconą nad dźwignią zmiany biegów i stopą opartą o hamulec. - Gotowy? - szepnęła. Zamknął oczy. Poruszała się tak szybko, że bał się patrzeć. Jakby odprawiała czary, na których widok zamieniłby się w słup soli. Czuł, jak z całego jego ciała schodzi zasysana przez nią delikatna powłoka, której istnienia nie był wcześniej świadom. Kiedy przestała, leżał ogłuszony. Na chwilę jego żołądek skurczył się spazmatycznie, a w nogach czuł tak silne mrowienie, że musiał się naprężyć, żeby nie drżeć. I wtedy poczuł ciepły płyn rozplływający się po jego podbrzuszu - wyciek, który niemal natychmiast doprowadził go do ponownej erekcji i kolejnego wytrysku. Leżał nieruchomo, jęcząc. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Susan mu się przygląda. Włosy przyklejały się do jej czoła a szyja i piersi lśniły od potu. Olbrzymie sutki wyrwały się spod białego biustonosza. Śmiała się teraz filuternie, pochylając się nad nim i zaciskając pięści na kołnierzyku jego koszuli. Po raz kolejny zaczął mu sztywnieć.

- Poczujesz to? - zapytała.

Zamrugnął powiekami, usuwając z oczu pot.

Kim ty jesteś? - chciał zapytać.

Gdzie się podziała tamta Susan? - myślał teraz, gapiąc się w otchłań nad klifem. Czy ona też się nad tym zastanawiała? Przecież pierwszy raz kochali się w takim samym samochodzie jak ten.

Jak kiedyś, na przekór wszystkiemu, podszedł do auta od strony pasażera i otworzył jej drzwi, choć tym razem mu nie podziękowała. Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik (ból w kciuku zapulsował), po czym wyjechał

na drogę. Nie powinien być zaskoczony, że relacje między nimi zmieniły się i stały trudne do zniesienia. A przecież osiągnęli stan, który Sheppard uznał za idealne porozumienie: jedno doskonale zaspokajało potrzeby drugiego. Marylin odstawiła go od siebie, a przynajmniej dała mu do zrozumienia, żeby dał jej spokój. Powiedziała, że ma wolną rękę, jeśli tylko ona nie będzie o niczym wiedziała. Tak więc przez całą wiosnę i lato 1951 roku pieprzył się z Susan w samochodzie, aż osiągnęli etap, na którym obydwójce uwierzyli, że to pośpieszne współżycie jest im niezbędne. On rozumiał jednak, że znajomość z nią jest czymś innym, czymś kompletnie nowym, czymś więcej. Nawet jesienią zachowywali jeszcze pragmatyczny stosunek do łączącej ich relacji, stosując niepisaną umowę, żeby na spotkanie umawiać się w szpitalu (między wizytami u pacjentów albo podczas przerw w pracy), po czym kolejne godziny były już tylko oczekiwaniem, aż się skończy dzień. Czekala w jego samochodzie i jechali na pusty parking koło któregoś z zamykanych na noc sklepów, w jakieś przejście między zaułkami, których ślepe ściany wyrastały z podziurawionych kałużami chodników, na nieczynną rampę załadunkową z gumowymi odbojami, pod płot wykończony spiralą z drutu kolczastego, budynek gospodarczy, altankę śmietnikową, dużą metalową rurę przy jakimś budynku albo wejście służbowe opatrzone napisem DZWONIĆ lub TYLKO DOSTAWY. Jeśli się spotykali bardzo późną nocą, przy okazji nagłych wizyt albo operacji, zatrzymywał auto za sklepem spożywczym, za stosami pustych drewnianych skrzynek, które kojarzyły mu się z pułapkami na homary, albo w jednym z parków nad jeziorem Erie, gdzie bruk na ścieżkach zamienił się w żwir i piach. Sheppard zawsze gasił światła po zaparkowaniu samochodu.

- Czy my nie możemy się kochać w łóżku jak ludzie? - zapytała w końcu Susan.

Sheppard przyjął tę uwagę z przykrością. Choć upłynęły miesiące, on jeszcze nie widział jej nago. Zresztą w głębi duszy wcale tego nie chciał. Częściowo rozebrana była piękniejsza, jak bezręka Wenus z Milo albo bezgłowa Nike z Samotraki: to brakujące elementy czyniły ją ideałem. Tak właśnie wyglądała, wykonując swoją pracę, a Sheppard, pogrążony w rozmowie z jakimś innym lekarzem, spoglądał na nią zaalarmowany odgłosem jej obcasów na korytarzu, widząc najpierw kostki, potem szczupłe łydki, wreszcie skraj spódnicy ocierający się o kolana. Wezwał ją do swojego gabinetu, kazał stanąć obok siebie za biurkiem, po czym gładził jej uda,

sięgając coraz wyżej pod spódnicę. Pozwalała mu się dotykać, czuł bijący także z niej żar, i przymykała oczy jak lalka, którą położono do snu. W końcu jednak się zbuntowała.

- Nie możemy? - powtórzyła.

Zaczął się zachowywać lekkomyślnie.

Na szpitalnym balu przebierańców z okazji Halloween postanowił przebrać się za kobietę. Ogolił nawet nogi. Marylin śmiała się i z jego nóg, i z płątaniny czarnych włosów, które po obcięciu wrzucał do umywalki.

- Jak wy możecie to robić codziennie? - marudził.

Zrobiła mu makijaż, doklejając rzęsy długie niczym u kinowego wampa, malując usta czerwoną szminką równie jaskrawą, jak lakier jego MG, pokrywając policzki pijackimi rumieńcami z rózu. Założył na- tapirowaną perukę i najbardziej ponętną sukienkę, jaką Marylin zdołała znaleźć w jego rozmiarze. Stojąc obok niego przed lustrem, Marylin (przebrana za Alicję z Krainy Czarów z kubkiem, na którym widniał napis WYPIJ MNIE) powiedziała:

- Dzięki Bogu, że Rost jest chłopcem! - a kiedy zapytał dlaczego, odparła: - Bo dziewczynkę zrobiłbyś brzydka.

Sheppard wypił dwa kieliszki martini na odwagę i kazał prowadzić Marylin, choć ona też była już pod dobrą datą. Do restauracji w Bay View, gdzie się odbywał bal, weszli ramię w ramię. Natychmiast zauważył Susan. Przebrała się za mężczyznę, notabene podobnego do ojca Shepparda: domalowała sobie wąsy, założyła takie same grube okulary w czarnych oprawkach i zaczesła włosy do tyłu. Podeszła do niego, także lekkomyślna, ponieważ Marylin stała tuż obok.

- Masz zapalić, panienko? - zapytała.

- Mam - odpowiedział, wyciągając fajkę zza paska spódnicy.

Wetknęła między wargi porysowany zębami ustnik, poruszała czarnymi brwiami jak Groucho Marx, po czym postukała zaślinionym drewnem w jego pierś.

- Bo widzisz, ja jestem doktor Sam - oświadczyła.

Marylin spojrzała na niego zdumiona i przerażona. Wzruszył ramionami, po czym patrzył, jak Susan przepycha się przez tłum.

- Jestem doktor Sam - powtórzyła, szczypiąc w tyłek Donnę Bailey.

Sheppard wypił jeszcze trochę i wmieszał się w tłum. Przez cały

czas szukał wzrokiem Susan. Marylin coś mu powiedziała, zagadywali go też inni ludzie. Odpowiadał im, udając, że słucha, choć nie miał pojęcia, co mówią. Zauważył, że Susan tańczy ze Stevensonem, jednym z rezydentów, i podszedł do nich. Nawet pod workowatymi spodniami i marynarką, której rękawy musiała podwijać, dostrzegał kształt jej szczupłego, chłopięcego ciała.

- Odbijany - powiedział.

Stevenson był wysokim wysportowanym facetem o szerokich barach i Susan wydawała się nieco rozczarowana nadejściem Shepparda. On jednak nie dbał o to. Czekał już dość długo.

- Oddaję go do dyspozycji, doktorze.

Teraz miała jeszcze wokół szyi stetoskop. Spojrzała na niego szklistymi oczami.

- Masz całkiem dużo w majtkach, jak na panienkę - stwierdziła.

Sheppardowi stał tak mocno, że dziękował Bogu za rajstopy.

- Na co leżysz? - pytała. - Masz przepuklinę? A może cię zbadać *per rectum*?

Chciała mu włożyć rękę pod spódnicę, ale ją powstrzymał, łapiąc zgorzone spojrzenie Marylin.

- Ach, już wiem! - krzyknęła. - Chodzi o serce. - Przyłożyła stetoskop do jego piersi, przesuwając zimną końcówkę po jego ciele. - Hm - mruknęła. - To serce chyba nie bije. - Wspięła się na palce, by znaleźć się bliżej jego ucha. - Chyba cała krew spłynęła ci do chuja.

Przywarł do niej. Przetanączyli trzy kawałki, a kiedy podniósł wzrok, Marylin już nie było.

Po powrocie światła w ich domu zastał wyłączone. Żeby pokonać schody, Sheppard musiał się trzymać poręczy, drugą rękę przyciskając do ściany. Wysikał się i obejrzał swoją wiedźmowatą twarz w lustrze. Strącając klipsy do umywalki, wyszedł z łazienki niepewnym krokiem. Marylin czekała w salonie. Owinęła się w tyle koców, że wyglądała jak kokon.

- Zrobiłeś to - powiedziała. - Naprawdę to zrobiłeś.

-Co?,

- Pieprzysz tę kobietę.

Roześmiał się na samą myśl.

- Nie powiedziałbym, że lo ja ją pieprzę.

- A więc postanowiłeś skorzystać z mojej propozycji.

- Tej, żebyśmy się przestali pierdolić, czy tej, żebym się pierdolił poza domem?

- Naprawdę myślałam, że tego nie zrobisz.

- A niby od czego jest dziewczyna? - stwierdził i powlókł się do sypialni.

Kiedy się obudził rano, Marylin przyglądała mu się ze swojego łóżka. Kac spowijał go niczym żalobny kir.

- Wszystko mi jedno - powiedziała. - Nie chcę tylko tego widzieć.

Sheppard obejrzał się od stóp do głów. Wciąż był ubrany jak kobieta. Musiał się ogarnąć.

- Obiecuj mi - zażądała.

On jednak nie potrafił się na to zdobyć.

Tej samej jesieni przeniósł się z Marylin do domu przy Lake Road, który miał trzy sypialnie na piętrze, pirs do cumowania łodzi i oszkloną werandę z przepięknym widokiem. Nad jeziorem wisiały chmury w kształcie spodków pogrupowane w różne odcienie szarości, wszystkie brzemienne od śniegu. Sheppard pomyślał, że każdy akwen jest wielką tajemnicą pokazującą codziennie oblicza tak różne i nieprzeniknione jak tekst w alfabecie Majów. Przenosiny uszczęśliwiły Marylin, która rzuciła się w wir urządzania domu, zostawiając mu tylko decyzje dotyczące jego gabinetu oraz hangaru. Trochę się uspokoiła, zrobiła potulniejsza. Którejś nocy rozmawiali, leżąc każde w swoim łóżku. Ledwie rozpoznawał jej sylwetkę w ciemności, kiedy mu mówiła, że chciałyby spróbować. Następnego popołudnia ostrzegł ją: „Jadę do domu na lunch”, zerknął tylko na kanapkę i szklankę mleka, które mu przygotowała, i popędził na górę do sypialni. Urządzając dom, Marylin kazała mu kupić dwa łóżka, żeby jej nie budził, wstając w nocy wezwany do szpitala. Czekala teraz na niego w swoim, jeszcze ciepła po kąpieli, czysta i bezwonna. Poły jej białego szlafroka rozchyłały się jak płatki kwiatu. Patrzyła w okno, kiedy się rozbierał, układając marynarkę, spodnie i koszulę na krześle obok łóżka. Gdy się na niej położył, naprężyła się.

- Jesteś zimny - powiedziała. Pocałowali się. Jej usta, miękkie wargi idealnie pasujące do jego warg, były tak samo znajome, jak dziwnie metaliczny smak jej sutków. Sheppard tak doskonale pamiętał kolejność ruchów podczas ich stosunku, jak drogę po ciemku z salonu do sypialni. Miała zamknięte oczy i wyraz bólu na twarzy, kiedy w nią wchodził. Dopiero na samym końcu, patrząc na jej twarz, zaczął się niepokoić, że mogłaby po-

wiedzieć coś, co go rozczaruje. Ale nie rozmawiali przez kilka minut po wszystkim. W końcu pocałowała go w policzek i objęła za szyję.

- Było cudownie - powiedziała. Poszedł do łazienki. Obmył się nad umywalką, dumny z wielkości penisa po wytrysku. Potem się ubrał, zjadł kanapkę i wypił mleko. Jadąc z powrotem do pracy, czuł się, jakby wracał właśnie z alternatywnej rzeczywistości. Jakby Marylin, Rost i ich wspólne życie tylko mu się śniły.

Nie mógł się powstrzymać przed porównywaniem tych popołudni ze stosunkami, jakie odbywał z Susan. Spełniając jej prośbę, pieprzył ją teraz w prawdziwym łóżku, w mieszkaniu wynajmowanym przez szpital dla stażystów. Prywatność nie stanowiła problemu, ponieważ rzadko mieszkało w nim więcej niż dwóch stażystów, a plan ich zajęć dało się łatwo sprawdzić. Nie miał racji, obawiając się nagości Susan i tego, że nowe okoliczności wszystko zmienia. Swoboda pozwoliła im trochę zwolnić, eliminując strach przed przypadkowymi widzami, co otworzyło drogę do nowych eksploracji. Do mieszkania przyjeżdżali każde oddzielnie, bo Susan miała już własny samochód. Po wejściu do środka stawał w salonie i nasłuchiwał, dopóki za którymiś drzwiami nie usłyszał jej oddechu. Już rozebrana leżała na jednoosobowym łóżku tak samo beczynnemu jak wtedy, kiedy jeszcze nie należała do niego, i z miną wyrażającą częściowo przekonanie, że ma do niego prawo, a częściowo znudzoną. Dziwnie powoli podnosiła wzrok, żeby na niego spojrzeć, nawet kiedy nad nią stawał, brał za rękę i przyciągał do siebie. Odczuwał wtedy zawsze ukłucie strachu, że mogłaby go odrzucić. Dotykał jej ciała, podczas gdy ona obojętnie zdejmowała z niego marynarkę, koszulę i spodnie, nie reagując na pieszczoty, jakby chciała mu w ten sposób przypomnieć, że to do niej należy inicjatywa.

- Co cię tak długo zatrzymało? - zapytała pewnego dnia.

- Musiałem się wykręcić od mandatu za przekroczenie prędkości - odparł.

Uśmiechnięta, uspokojona pocałowała go, usiadła na nim, oplatając nogi wokół jego bioder, po czym wspinała się wyżej, dopóki nie usiadła na jego ramionach. Choć drobna, z wielką siłą ciągnęła go za włosy, kiedy jadł jej malutką cipkę. Sheppard nie potrafił się nadziwić, że tak nieduża kobieta mogła dawać mu aż tyle rozkoszy, dostarczając tego, co wydawało się niezbędne jak woda. Zdjął ją z siebie, umieszczając twarzą do dołu na łóżku, a kiedy uniosła ku niemu tyłek i odwróciła głowę, żeby na niego

spojrzeć, pokazując piegi na policzku oraz poczerwieniały nos, jego kutas powędrował w jej kierunku jak namagnesowany, sztywny niczym dziób przebijający się przez skorupę. Kiedy chwycił dłońmi jej pośladki, miał wrażenie, że obydwójce uczestniczą w jakimś szalonym pościgu, pędząc za czymś coraz szybciej. Przekręcił ją, żeby patrzeć, jak powoli osiąga orgazm. Odchyliła głowę do tyłu, jakby płukał jej włosy. W kącikach zamkniętych oczu zaczęły się zbierać łzy. Fałdy jej pochwy powilgotniały jeszcze bardziej i tak się rozgrzały, że ich ciepło promieniowało na jej brzuch i nogi. Kiedy przycisnął do niej policzek i tors, czuł się jak chłopiec, który właśnie wyszedł z wody na gorący beton basenu.

- Czyj to pokój? - zapytał, kiedy po raz kolejny kochali się w tym samym. Siedział na krześle przy łóżku już w spodniach, patrząc, jak Susan otwiera butelkę męskiej wody stojącą na komodzie.

Powąchała ją, ubrana tylko w koszulę Shepparda, a następnie nałożyła po kropli za każdym uchem.

- Roberta - odparła, zamknęła butelkę i ostrożnie odstawiła ją na komodę. - Znaczy, doktora Stevensona.

- Nie jest jeszcze lekarzem.?

- Ale będzie.

- Oczywiście, że będzie.

- Zakochał się we mnie.

Sheppard uniósł brwi.

- Ja chyba też go kocham - dodała.

- Nie wiedziałem, że się z nim spotykasz.

- Ty nic o mnie nie wiesz.

Wiedział. Przecież rozmawiali. Choćby teraz.

- Uważam, że wiem wszystko, co chcę wiedzieć.

- A wiesz, że twój ojciec zwalnia mnie z pracy?

Oszupiały wyprostował się na krześle i skrzyżował ręce.

- Jak to?

- Chociaż właściwie nie jest to zwolnienie. Przenosi mniedo Armstrong Labs w centrum miasta.

- Niby dlaczego?
- Najwyraźniej uznał, że zakłócam spokój.
- Czyj?
- Twój, głuptasie.

Mówiła coś dalej, ale Sheppard, ubierając się, nic nie słyszał.

Wróciwszy do szpitala, wszedł do gabinetu ojca bez pukania; ten nie podniósł nawet wzroku, zajęty jakimiś dokumentami. Układał wszystko w sterty według sobie tylko znanego klucza, co doprowadzało do szału jego sekretarkę. Stosy dokumentów tworzyły blanki wokół blatu jego biurka - wyglądał jak stary król za murami ufortyfikowanego zamku, bezpieczny od wszelkiej szkody.

- Usiądź - powiedział w końcu.

Sheppard wolał stać - z rękami zaciśniętymi w kieszeniach - wyczuł jednak polecenie w głosie ojca, który nie przestawał pisać. Choć był naprawdę wściekły, nie potrafił go zignorować, zajął więc jedno z krzeseł stojących naprzeciw biurka.

- Wiem, po co przyszedłeś - podjął ojciec, odkładając pióro. Był siwy, a zarówno jego wąsy, jak i bokobrody przypominały śnieżne błoto. Mimo okularów mrużył oczy, spoglądając na ludzi; unosił jednocześnie brodę, jakby patrzył na wszystkich z góry. - Chcesz porozmawiać o pannie Hayes.

- Tak

- Pozwolę ci mówić, zanim jednak cokolwiek powiesz, chcę, żebyś się nad tym zastanowił. Chcę, żebyś pomyślał, czy rzeczywiście jest o czym mówić.

- Dobrze.

- Jeśli zamierzasz argumentować, że powinna zostać, to nie widzę sposobu, jak miałbyś tę tezę obronić. Nie tylko dlatego, że to jest szpital, ale też dlatego, że jesteś mężem i ojcem.

- Co to znaczy?

- Personel szpitala zaczął o tym plotkować. Ludziom się to nie podoba.

- Sugerujesz, że z tego powodu zaniedbuję obowiązki? Ojciec milczał.

- Więc?

- Sugeruję znacznie więcej.

- Naprawdę sądzisz, że tak łatwo się dekoncentruję? Ojciec rozsiadł się wygodnie.

- Czy ty romansujesz z tą kobietą, Sam?

- Nie nazwałbym tego romansowaniem.

- Jak więc byś to nazwał?

Sheppard zastanowił się chwilę.

- Powiedziałbym, że doskonale się rozumiemy.

- Co to znaczy?

Wzruszył ramionami.

- Że jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Czyżby?

- W pewnym sensie tak.

- Czy Marylin wie o tej waszej przyjaźni?

- Wie.

Ojciec pokiwał głową.

- Większość ludzi by w to nie uwierzyła, reszta natomiast nie potrafiłaby zapewne zrozumieć.

- Nie dbam o to, co myślą inni.

- Nie?

-Nie.

Ojciec wziął leżącą przed nim stertę papierów, wyrównał ją kilkoma uderzeniami dłoni, po czym położył na niej rękę. Szklą jego okularów połyskiwały.

- W takim razie jesteś wolny.

Sheppard czekał przez chwilę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć, że kończę naszą współpracę - wyjaśnił ojciec. - Chyba słyszałeś? Nie mogę pracować z kimś, kto nie dba o to, co myślą inni. - Następnie, kiedy Sheppard właśnie zamierzał się odezwać, przejechał dłonią po twarzy. - Rozwiedź się z Marylin, jeśli chcesz. Zostaw Rosta. Wynieś się z powrotem do Kalifornii. Już wcześniej chciałeś to zrobić i jest to bez znaczenia. Nie należysz już do zespołu mojego szpitala. Nie będziesz przynosił wstydu ani tej rodzinie, ani tej instytucji. A ja nie będę akceptował takiego zachowania, dopóki tu pracujesz. Zrozumiałeś? Przenieś się gdzie indziej, jeśli chcesz tak żyć. Jeśli jednak zamierzasz się rozwieść z Marylin, najpierw weźmiesz rozwód z tym szpitalem.!

- Ja nie....

-Co ty nie?

Sheppard milczał.

- Co ty nie? Chcesz tego? Owszem, chcesz. Ale nie do końca. Chcesz tego, ale też chcesz zostać w szpitalu. Chcesz należeć do tej rodziny, naszej rodziny, ale też chcesz sobie pohulać. Nie chcesz tylko jednego: przyznać się do wszystkiego, czego chcesz. Martwi mnie to, Sam. Zawsze martwiło. Takie zachowanie jest bliskie nałogu.

- Nie diagnozuj mnie!

- Jesteś świetnym lekarzem, ale okropnym człowiekiem.

- Dostyc tego!

- Jeśli twoje małżeństwo jest chore, to znajdź sposób, żeby je wyleczyć.

- Nie waż się mówić o moim małżeństwie!

Walnął obydwoma pięściami w biurko ojca i pochylił się, patrząc mu prosto w oczy, dopóki - wzorem ojca, który zawsze uśmierzał wściekłość nieprzejednaną prawością, rezygnacją i dyscypliną - w końcu się nie uspokoił.

- W porządku, Sam - odezwał się ojciec.

Sheppard potarł oczy, wyprostował się na krześle, skrzyżował ręce i założył nogę na nogę.

- Przepraszam - powiedział.

Siedzieli naprzeciw siebie, patrząc przez okno na wodę. Jezioro wydało się szerokie jak ocean, nie budziło jednak takiego respektu jak jego fale.

- Wiesz, z upływem czasu zmienia się także moje rozumienie grzechu - stwierdził ojciec. - Kiedyś wierzyłem, że grzechem jest to, co robimy- Teraz jednak już tak nie myślę.

Ojciec miał zamiar mu powiedzieć, czy mu na nim zależy, czy nie.

- Uważam, że grzechem jest to, co ignorujemy.

Sheppard, nadal zbulwersowany swoją uległością, nie mógł wykrztusić ani słowa.

- Bo zawsze wiemy, co robimy. - Ojciec zdjął okulary i przecierał je ręką lekarskiego kitla. - Całe nasze działanie jest reakcją właśnie na wiedzę. - Podniósł oprawki do światła, po czym z powrotem założył. - Teraz podejmij decyzję.

-Jaka?

- Zostajesz czy nie?

- Za nic bym stąd nie odszedł - stwierdził Sheppard, zdumiony oczywistością tego wyznania.

- To dobrze - powiedział ojciec. - Teraz wybacz mi, proszę, ale chciałbym to skończyć, zanim pójdę do domu.

W marcu Susan spokojnie opuściła Bay View, przenosząc się do nowej pracy. W maju wraz z doktorem Stevensonem wyjechali do Minnesoty, gdzie on miał zakończyć staż. Sheppard ani jej nie widział, ani z nią nie rozmawiał przed wyjazdem. Nie odczuwał takiej potrzeby; tylko z przyzwyczajenia zerkał do laboratorium, ilekroć obok przechodził. Świata bez niej nie brakowało ani uczucia, ani satysfakcji; może trochę nadziei i oczekiwania. Któregoś wieczoru podczas kolacji Marylin zupełnie ni stąd, ni zowąd zakomunikowała:

- Podobno Susan Hayes zareczyła się z Robertem Stevensonem.

Trzymał nóż i widelec skrzyżowane nad pulpetem, nie odrywając wzroku od talerza. Przy stole padło wtedy całkiem sporo słów, dopiero te jednak naprawdę do niego dotarły.

- Tak? To wspaniale - rzucił.

W maju i czerwcu miał piekielnie dużo pracy; zaskakujące, jak szybko mija czas, kiedy nadejdzie lato. Tylko ciało Rosta wydawało się za nim nadążać. Kiedy jego twarz nabrała rysów młodziutkiego mężczyzny? Sheppard nie potrafił sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio spędził z nim więcej niż godzinę. Zastawał syna rysującego coś na patio, pochylał się nad nim, przykładał dłoń do jego policzka, a potem go całował, chłopiec jednak go odpychał, wołając matkę. Albo tylko mówił: „Nie!”, po czym zabierał swoje książki, kredki i wychodził, zostawiając oniemiałego ojca, który długo mrugał oczami ze zdumienia. W pracy zdarzały się wieczory, kiedy chciał popędzić do domu, żeby wziąć Rosta w ramiona, nie robił tego jednak. I choć nadal przyjeżdżał do domu na lunch, często zjadał go samotnie w kuchni. Słyszał, jak Marylin spuszcza wodę z wanny w łazience na górze, a potem stąpa cicho po korytarzu, z niewiadomego powodu jednak bał się z nią zobaczyć. Pewnego sierpniowego dnia, kiedy wrócił do domu przed południem, Marylin właśnie skończyła brać kąpiel. Zaprowadził ją do sypialni podniecony jej widokiem. Rozebrał się i położył obok niej.

- Nie mam kapturka - powiedziała. Poszedł do szafki na lekarstwa, żeby go stamtąd przynieść. Ich sypialnia była ciepła i pełna światła. Wiatr marszczył powierzchnię jeziora w fale, których uderzenia o brzeg słyszeli przez okno. Siedząc na łóżku, obficie posmarował krążek pastą plemnikobójczą. Leżała przed nim w rozchyłonym szlafroku; kiedy już wprowadził krążek do jej pochwy, spojrzał na nagie ciało, na małą porcyjkę pasty na jej czarnych włosach (Marylin także ją zauważyła i natychmiast usunęła palcami), uprzytomnił sobie coś, czego nie potrafił już przed sobą ukrywać; to kazało mu spojrzeć za okno w nadziei, że ona nie wyczyta tego z jego twarzy. Marylin nie budziła w nim już pożądania. Siedział tuż przy niej, ale jego penis był martwy. A gdyby to był tylko taki okres w ich małżeństwie, który miał minąć, jak przemija lato, czyjego samotność byłaby tak dojmująca? Jeśli jego ojciec miał rację, jeśli rzeczywiście wiemy, co robimy, to dlaczego nie miał pewności, że to już koniec, że wszystko, co było kiedyś między nimi, na zawsze się wypaliło?

- Już dobrze - powiedziała, gładząc jego ramię. - Nie musimy dzisiaj.

Położył się obok niej i słuchał, jak liście uderzają o szyby w oknie. Kiedy zaczęła płakać, wziął jej głowę w dłonie, przycisnął jej skroń do swojej, tuląc jak brat siostrę.

- Ale Susan wróciła tego lata, prawda? - zapytał Mobius.
- Wróciła - odpowiedział Sheppard.
- Sama?
- z narzeczonym. Z doktorem Stevensonem.-
- Kontynuowaliście romans? -Tak.
- Tak po prostu? Podejmując go tam, gdzieście przerwali?
- Niezupełnie.
- Co było inaczej?
- Nie spotykaliśmy się już tak często.
- Dlaczego?
- Nie miała już takiej swobody. Może nabrała wątpliwości?
- Dlaczego?
- Tym razem miała coś do stracenia.
- Chyba obydwoje mieliście.
- Trudno powiedzieć.
- Bo Marylin była tolerancyjna, czy tak?
- Raczej chyba zrezygnowana.
- Ze względu na to niby-porozumienie, które zawarliście?
- Wiedziała, że nie zaspokaja pewnych moich potrzeb, owszem.
- Ale nigdy nie sugerowała, żebyście się rozwiedli? Sheppard wzruszył ramionami.
- W każdym razie nigdy na poważnie.
- A Susan? Sheppard milczał.
- Czy Susan naciskała, żeby się pan rozwiódł? - powtórzył swoje pytanie Mobius.
- Tak.
- Czy kiedykolwiek powiedział jej pan, że bierze to pod uwagę?
- Tak. Ale powiedziałem jej także o moim ojcu. O niepotrzebnym zainteresowaniu, jakie ściągnęłoby to na rodzinę.
- Jak na to zareagowała?
- Powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć.
- Czyli zerwała wszystko, co was łączyło?
- Próbowała.

- Co pan ma na myśli?
- Przez kilka tygodni nie rozmawialiśmy ze sobą, a potem zadzwoniłem i się spotkaliśmy.
- Wygląda mi na to, że byliście w sobie zakochani.
- Ma pan prawo do własnej opinii.
- Ależ doktorze!
- Detektywie.
- Niech pan sam siebie posłucha! Sheppard nabił i zapalił fajkę.
- Wiele z tego, co pan mówi, przeczy zdrowemu rozsądkowi.
- W odniesieniu do czego?
- Pańskiego małżeństwa. Sheppard wpuścił do celi kłęb dymu.
- Co sensownego w ogóle jest w małżeństwie?
- Ludzie nie potrafią się sobą dzielić w taki sposób.
- Nie zaprzeczam.
- Nie dają rady znieść takiego nieszczęścia.
- Tutaj chyba jednak się pan myli.
- Naprawdę? Niech pan pomyśli o Susan. Zerwała z narzeczonym.
- To on z nią zerwał.
- Czyż nie było to marginalne?
- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.
- Czy to nie jest zbyt wygodne tłumaczenie?
- Nie zgadzam się z tym, co pan sugeruje.
- Niech pan się nie wygłupia, doktorze!u
- Detektywie.,
- Spójrzmy na fakty. Susan Hayes wraca do Cleveland z Minnesoty i natychmiast odnawiać romans. Rok później ona i narzeczony zrywają ze sobą. Prawda?
- Prawda.
- W lutym tamtego roku, na kilka miesięcy przed zamordowaniem Marylin, Susan przeprowadza się do Kalifornii, a więc tam, gdzie swego czasu sam planował pan zamieszkać. Niech mi pan powie, czy tym razem widział się pan z Susan, zanim wyjechała?
- Tak.
- Pożegnał ją pan miło? Życzył jej szczęścia na do widzenia?
- Owszem.

- Poczyniliście wtedy plany na przyszłość, prawda? Ustaliliście następne spotkanie.

- Tak, mniej więcej za miesiąc.

- Dlatego zorganizował pan sobie staż chirurgiczny w Los Angeles, jjo mógł pan zaliczyć go gdziekolwiek, prawda?

- Zapewne.

- Czy dał jej pan jakieś prezenty, zanim wyjechała?

- Podarowałem jej żakiet zamszowy...

- Który miał ją rozgrzewać.

- ...i pierścionek.

- Czyli obietnicę na przyszłość.

- Wszystkimi sugestiami trafia pan jak kulą w płot.

- Przylatuje pan do Kalifornii i niemal natychmiast paWylądowa- niu wysłała żonę do Big Sur razem z Jo Chapman, a sam jednie się spotkać z Susan. Czy tak?

-Tak.

- Jeszcze tego samego wieczoru zabiera ją pan do domu swojego przyjaciela, doktora Millera, gdzie odbywa się przyjęcie, na którym są także ludzie znający Marylin.

- Gdybym planował zamordowanie żony, po co robiłbym coś tak ostentacyjnego?

- Nie twierdę, że już wtedy planował pan zabójstwo żony. Ale z pewnością już panu na niej nie zależało. Zrobił pan to właśnie dlatego, że było ostentacyjne. Chciał pan, żeby Marylin się dowiedziała, ponieważ wtedy mogłaby już tylko zażądać rozwodu.

- Znowu pudło.

- Gdyby to ona zażądała rozwodu, co mógłby powiedzieć pański ojciec?

- Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Gdzie w panu Ubermensch? Gdzie pański kręgosłup? Nigdy nie potrafił się pan postawić swojemu staremu, prawda?

Sheppard zdławił chichot.

- Dwa dni później pan i Susan wprowadziliście się do hotelu w Los Angeles. Dnie spędza pan, ucząc się w szpitalu, noce natomiast z nią. Jakbyście to wy dwoje byli razem na wakacjach. Jakbyście byli po ślubie.

- Jakkolwiek może to wyglądać z zewnątrz, i tak pan się myli.

- W tamten weekend zabierają pan nawet ze sobą na wesele. Czyżby mała próba z myślą o przyszłości?

- Susan i ja zerwaliśmy po tym weselu. W drodze powrotnej z przyjęcia.

- Tak po prostu?

- Nie. Coś się wydarzyło.

- Co?

- Coś okropnego.

- Niech pan mi powie, doktorze, jeśli skończyliście ze sobą, to dlaczego nie powiedział pan o Susan detektywom prowadzącym sprawę morderstwa Marylin? Kilka dni po tym, jak została zabita, zapytano pana wprost, czy miał pan romans z Susan Hayes i skłamał pan. Powiedział pan, że byliście tylko przyjaciółmi. Później skłamał pan raz jeszcze, kiedy dochodzenie prowadzono już przeciwko panu. Skoro wszystko się skończyło, po co pan kłamał?

- Skłamałem, ponieważ to nie miało żadnego związku ze sprawą. Ponieważ było wcześniej skończone.

- Dlaczego więc ona skłamała? Kiedy przesłuchiwał ją prokurator okręgowy w Los Angeles, zeznała, że nigdy nie mieliście romansu.

- Nie miałem wpływu na to, co zeznawała.

- Przez to kłamstwo mogła wiele stracić. Ale obydwaj dobrze wiemy, dlaczego skłamała, prawda?

Sheppard zdjął zegarek i nakręcił go.

- Myślała o przyszłości, mam rację?

- Nie wiem.

- To ona była motywem pańskiej zbrodni. Postanowił pan zerwać z nią w Los Angeles, żeby morderstwo nie wyglądało na zaplanowane.

- Po drodze z tamtego wesela między nami wszystko się skończyło.

Mobius pokręcił głową.

- Taki romans wymaga wielkiego zaangażowania, doktorze. Wielkie zaangażowanie nie kończy się tak po prostu pewnej nocy.

- Nie mówię o zaangażowaniu - stwierdził Sheppard. - Mówię o miłości.

Tamtego lata, kilka dni po tym, jak Susan wróciła do Cleveland, do Bay Village, z pierścionkiem od doktora Stevensona na palcu, zaledwie kilka minut po tym, jak się spotkali z Samem w motelu w Avon, ledwie kilka chwil po tym, jak skończyli się kochać, Sheppard krzyknął:

- Kocham cię!

Wiedział, że to nieprawda, tylko słowa maskujące brak miłości; język, który - jak w sonarze - miał się odbić i powrócić echem. Ale wypowiadając je, a następnie przeklinając samego siebie za brak opanowania, rozumiał, dlaczego to zrobił.

Przez ponad rok on i Marylin zachowywali niemal zupełną wstrzeмиęźliwość seksualną. Na ten rok złożyły się noce pijaństwa, wieczory spędzane do późna z Ahernami, Houkami albo jego braćmi z rodziną, podczas których Sheppard liczył wypijane przez Marylin drinki, obserwując ubywający alkohol jak piasek w klepsydrze, dopóki nie złapała go za ramię, dając mu znak, że pokój zaczął już wirować. „Zabierz mnie do domu” - mówiła. Wtedy usprawiedliwiał ją przed towarzystwem, pomagał wsiąść do samochodu, a potem wysiąść, gdy dojechali do domu, obserwował, jak głucha i niema, z ciężkimi powiekami i uśmiechem na twarzy stoi obok opiekunki, która informuje o wyczynach Rosta. Następnie Sheppard płacił opiekunce i odprowadzał ją do drzwi, podczas gdy Marylin, zatrzymując się po drodze koło lodówki na wodę z Alka Selzer, z trudem pokonywała schody na górę, gdzie stojąc nad swoim łóżkiem, czekała, aż Sheppard rozbierze najpierw siebie, a potem ją, jak rozebrałby małe dziecko, wysłuchując czasem jej radosnych pomrukiwań, a czasem pełnych złości protestów. Któregoś dnia w końcu rzucił się na nią, całując namiętnie jej ciało, kładąc jej rękę na swoim kutasie, którym się zajęła półprzytomna, i zanurzając twarz między jej udami, żeby skosztować choć odrobiny Susan, żeby ją sobie wyczarować. Marylin w przypływie świadomości usiadła na jego biodrach i zaczęła się poruszać, a Sheppard podkreślał wyobraźnię do granic możliwości, aż w końcu zobaczył na sobie Susan. Kiedy się spuścił, podniósł Marylin i zdjął ją z siebie, przykrył i wpełzł do swojego łóżka tak zaskoczony własnym zachowaniem, że nie mógł długo zasnąć, co nie zdarzało mu się nigdy w życiu.

- Och, Sam. Ja też cię kocham - wyznała Susan.

Mimo to widywali się teraz o wiele rzadziej. Może raz w tygodniu. Czasem nie rozmawiali ze sobą nawet przez trzy. Po części spowodowane

to było logistyką. Susan mieszkała teraz z Robertem. Ale była też inna przyczyna. Susan się zmieniła. Podczas rocznej nieobecności przytyła jakieś siedem kilogramów. Nawet jej to wyszło na dobre. Nie widać już było żeber, miała też trochę szersze biodra.

- Tam jedzą tylko mięso i sery - mówiła.

Zacząła też palić: chesterfieldy, jak Marylin, tylko że patrzeć na nią z papierosem nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak obserwowanie palącej żony. Susan zaciągała się i niemal natychmiast wypuszczała dym, zupełnie się tym nie delectując. Zapewne naśladowała jakąś gwiazdę filmową palącą w taki sposób. Dla Marylin palenie było jedną z najbardziej zmysłowych czynności - przynajmniej wtedy, kiedy udawało mu się ją na tym przyłapać.

- Co się stało? - zapytała Susan. Znajdowali się w motelowym łóżku. (Był już wrzesień.) Leżała nakryta kołdrą z popielniczką na brzuchu. Sheppard przyglądał się, jak gasi do połowy wypalonego papierosa.

- Nic - odparł.

Odstawiła popielniczkę na stolik nocny, po czym odrzuciła kołdrę. Gdy zakładała majtki i biustonosz, odwróciła się do niego tyłem.

- Myślę, że musimy z tym skończyć - stwierdziła. Znalazła spódnice, strzepnęła ją dwukrotnie jak pościel i wciągnęła na siebie.

- W porządku.

- Nie chcę, żebyś do mnie dzwonił. Obiecuj mi to - zażądała. Kiedy się nie odezwał, odwróciła się do niego. - Słyszałeś? Powiedziałam, żebyś mi to obiecał!

- Obiecuję.

Zadzwoił do niej tydzień później. Odczuwał dziwną przyjemność, zamilkła bowiem, odebrawszy telefon, ale potem łatwo się złamała.

- Będę w motelu Perkins za godzinę - oświadczył. - Jeśli nie przyjedziesz, zrozumieć.

Czekał w pokoju, nie zadając sobie nawet trudu, żeby zapalić światło albo włączyć radio. Leżał na łóżku w garniturze, z rękami założonymi za głowę, obstawiając, ile czasu zajmie jej dojazd. Kiedy cicho zapukała do drzwi, wpuścił ją do środka i usiadł. Ona stanęła przy łóżku. Poddała się, choć z początku, kiedy całował ją w policzki, kąciki warg i usta, z rezygnacją, i szybko skończyli tam, gdzie zawsze.

„Oczywiście - pomyślał Sheppard. - Susan ma teraz znacznie więcej do stracenia”.

Stała przy lustrze, zakładając kolczyki. Kiedy skończyła, oparła dłonie o toaletkę, patrząc na jego odbicie.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Sam - poprosiła.

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Skrzyżował ręce.

- Coś bardzo, bardzo ważnego.

- Powiedz co.

- Chcę żebyś wyszedł. Natychmiast. - Omal się nie rozplakała. - Żebyś się trzymał z daleka ode mnie i nigdy więcej do mnie nie dzwonił, - Otarła oczy środkowymi palcami: najpierw jedno, potem drugie. - Między nami nic więcej nie będzie. Wyjdź więc, proszę. Bez żadnych rozmów ani pożegnań. I niech ci się dobrze wiedzie. Po prostu wyjdź.

- Natychmiast?

-Natychmiast.

- Bez żadnych pytań?

- Bez.

- Nie mogę tego zrobić.

-Dlaczego?

- Myślę, że wiesz.

-Powiedz.

- Ty mi powiedz.!!

- Kocham Boba.

Skoczył na równe nogi i stanął za nią, patrząc na jej odbicie w lustrze.

- Jak możesz kochać Boba i być tutaj ze mną?

- Jak możesz kochać swoją żonę i być tutaj ze mną?

- Chyba kochasz Boba tak samo, jak ja moją żonę.

Jadąc do szpitala, żałował jednak tych słów, bo wynikały tylko z potrzeby chwili i świadczyły o jego słabości. Co gorsza, były nieprawdziwe. Coraz częściej dochodziło między nimi do kłótni. Nie chciał rozmawiać z Susan o swoim małżeństwie. Jego miłość do Marylin miała pozostać nie-tykalna. Tylko z kim w takim razie miał rozmawiać o miłości?

Uwielbiał niedzielne jesienne popołudnia, kiedy mógł pogrzebać przy łodzi, naprawić schody na pomost albo malować podbitkę. Takie prace sprawiały mu przyjemność, ponieważ mógł doprowadzić je do końca, w

odróżnieniu od bezkresnej listy przypadków w szpitalu, gdzie miejsce już połatanych ciągle zajmowali nowi pacjenci. Po pracy natomiast mógł przez resztę popołudnia popijać piwo bez najmniejszych skrępowań, przysypiając na kozetce przy dźwiękach radiowej transmisji meczu Cleveland Indians albo Cleveland Browns, co było równie przyjemne jak zasypianie przy dźwięku rozmowy rodziców podczas długiej przejażdżek samochodowych, na które często wybierali się całą rodziną. W październiku liście na drzewach rosnących wzdłuż drogi nad wodę były pomarszczone i suche jak pieprz, tak szorstkie i kruche, jak pancerze martwych chrząszczy. Ilekroć wiatr wyginał gałęzie, do połyskliwej wody wpadały strzępy tych, które już poczerniały. Podwórze przykrył żwir kasztanów, żołądzi i drobnych gałązek, a trawa dawno przestała rosnąć. Siedział w fotelu bujanym na werandzie, przysypiając, kiedy pojawiła się Marylin, ubrana w gruby sweter jeszcze ze szkolnych czasów i dzinsy. Stała naprzeciw niego oparta o szybę.

- Widziałam dziś Susan Hayes - powiedziała w końcu.

Sheppard, rozbudzony w jednej chwili, pociągnął łyk piwa.

- Spotkałyśmy się w sklepie. Powiedziała mi dzień dobry, co wywołało we mnie obrzydzenie, naprawdę. Bo po co się w ogóle odzywała?

Odstawił butelkę na podłogę i oparł ręce na brzuchu, bujając się w tył i w przód.

- Nie mówiłeś mi, że wróciła.

- A powinienem był?

- Widujesz się z nią? - zapytała. - Nie, nie mów mi. Muszę najpierw zapalić.

Ciężko stąpając, przeszła przez salon i kuchnię, sprawdzając swoje kryjówki za pojemnikiem na chleb, w srebrnych kielichach oraz w glinianym dzbanku. Potem usłyszał, jak zdejmuje książki medyczne w jego gabinecie; wiedział, że wszystkie będzie musiał potem sam odłożyć na miejsce.

Zamknął oczy, po czym odwrócił się w stronę drzwi.

- Są za moimi trofeami kręglarskimi - krzyknął.

Wróciła na werandę ze szklaną popielniczką w ręku i głęboko zaciągnęła się dymem. Wyglądało to tak, jakby jej ciało było dzbanem, który napęnia ulgą.

- Czy to tak właśnie wygląda? - zapytała.

-Jak?

Wskazała gestem na papierosa.

- Tak jak z paleniem? Chodzi mi o tę twoją potrzebę. Bo ja nie chcę palić. Nie, to nie tak. Nie chcę czuć się taka słaba potem. Nie chcę się czuć jak nieudacznica. - Odczekała chwilę. - Czy jest tak samo?

-Niezupełnie.

- Może mi to wyjaśnisz?

Zamyślił się przez chwilę.

- Czy fakt, że muszę to wyjaśniać, nie stanowi wystarczającego wyjaśnienia?

Marylin pokręciła głową.

- Nikt nie zna cię lepiej niż ja - stwierdziła. - Cokolwiek byś robił-

- Wiem o tym.

- Nikt nie dałby ci tyle... tyle miejsca.

Nie przestawał się bujać.

- Odezdziesz się? - spytała.

- Czy to nie pogwałciłoby naszego porozumienia?

Twarz Marylin pociemniała. Rzuciła w niego popielniczką, która uderzyła w oparcie fotela tuż przy jego lewym uchu, roztrzaskując się z hukiem przypominającym pękającą żarówkę. Kawałki szkła poraniły mu policzek. Kiedy dotknął swojej twarzy, opuszki palców pokryły się krwią.

Zanim oderwał od nich wzrok, Marylin zdażyła wyjść z domu. Przysłuchiwał się, jak włącza silnik samochodu i odjeżdża z piskiem opon, po czym długo siedział na werandzie, bujając się w fotelu.

Później na werandę przyszła Kokie. Dał jej do wylizania swoje palce. Kiedy skończyła, położyła się ciężko u jego stóp i westchnęła.

„Gdyby życie było właśnie takie - zastanawiał się - gdyby zawsze panowała taka cisza, czy siedziałbym tutaj, tęskniąc za hałasem?”

Doszedł do wniosku, że Marylin wróci do domu. Dawniej mógłby się zastanawiać; mógłby się martwić albo żywić nadzieję. Sztuka polega oczywiście na tym, by zrozumieć, że prędzej czy później wszystko się wyprostuje. Jakież decyzje zostaną wymuszone albo też w końcu podjęte dobrowolnie.

Małżeństwo to sztuka czekania.

Pod koniec listopada późnym wieczorem Susan zadzwoniła do niego do domu. Marylin kąpała Rosta na górze i tylko ślepy los sprawił, że to nie ona odebrała telefon.

- Muszę się z tobą zobaczyć - wyznała potwornie zmartwionym głosem. Gdy zapytał, dokąd ma po nią przyjechać, powiedziała, że jest w domu rodziców. Znaczenie spotkania w tym akurat miejscu dotarło do niego dopiero wtedy, kiedy wsiadł do samochodu, skłamawszy Marylin, że został pilnie wezwany do szpitala. Na dworze szalała potworna późnojesienna burza i było tak zimno, że lada moment deszcz mógł się zamienić w deszcz ze śniegiem; wiatr niósł uschnięte liście, które zaczepiały się o wycieraczkę albo przyklejały do przedniej szyby jak rozgwieżdżone. Gdy tylko skręcił na podjazd przed kamienicą, w świetle reflektorów zobaczył Susan. Stała w deszczu i była całkowicie przemoknięta. Wsiadła do samochodu, a wtedy w środku zrobiło się chłodniej. Płakała.

Ruszył, ale nie musiał jechać daleko, by się ukryć. W taką noc nie widać niczego za szybą samochodu, a co dopiero za dwiema. Zaparkował w bocznej uliczce, teraz zupełnie pustej.

- Bob i ja... - rozszłochała się. - Bob i ja się nie pobierzemy. - Zakryła oczy ramieniem i zaraz spojrzała na niego. - Powiedział, że nie jest gotowy. - Roześmiała się. - Możesz sobie wyobrazić, jak mnie to rozbawiło.

Sheppard wyciągnął do niej dłoń.

- Chcę wyjść za męża. Ale chcę być zakochana. - Wzięła jego dłoń i spojrzała na niego błagalnie. - Ty też chcesz być zakochany?

- Tak - odpowiedział.

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Miała zimną twarz.

- Musiałam cię zobaczyć - wyszeptała. - Musiałam cię zobaczyć po rozstaniu z Bobem, żeby sprawdzić, czy to coś zmieniło. - Jeszcze raz go pocałowała. Nie pozostał jej dłużny, czując niewyobrażalne pożądanie. Wsunęła dłoń między jego uda. - Nie zmieniło.

- Nie - potwierdził.

- A czy zmieniło coś dla ciebie?

- Nie - odparł i pomyślał: „Niby dlaczego miałoby zmienić?”

Zdażyła już rozpiąć jego pasek.

- Widzisz sam - mówiła, całując go. - Tacy już jesteśmy, ty i ja. - Uniósł się, kiedy zsuwała jego spodnie. - Mogłoby tak pozostać zawsze.

- Mogłoby - przytaknął.

- Chcesz tego?
- Tak.
- Nie boję się takiej radości.

Radości? Żadne słowo nie zabrzmiałoby chyba dziwniej w jej ustach, onieważ o chwilach, które spędzali razem, nigdy nie myślał jako o radosnych. Wspólny czas wypełniali wolnością, którą sobie dawali, co potwierdzali przy każdym spotkaniu, cielesną uczciwością połączoną z ekstatycznym brakiem konwenansów i słów, słów, słów. Podziwiał jej bezpośredniość i gotowość zniszczenia wszystkiego, co nie pozwalałoby jej 8^o ^{me}ć- Nawet teraz przyjemność, którą czerpała ze sprawiania mu rozkoszy, była przejawem łaskawości, podobnie jak sposób, w jaki Marylin uderzała piłkę tenisową, sprawiał, że Sam grał lepiej. Ale radość? Tę Sheppard rezerwował dla żony, bez względu na to, co się między nimi działo - albo nie działo. Radość była domeną Marylin. Radość odczuwał, kiedy pierwszy raz ją pocałował jako czternastoletni chłopak w domu jej wuja Buda, gdy otaczała ich cisza pokoju, do którego dorośli mogli w każdej chwili wejść. Radością była chwila, gdy Marylin czekała, aż ją obejmie i przycisnie w krzyżu, żeby się do niego przytuliła, z wypiekami na twarzy i gorącymi ustami. (Czy rodzimy się właśnie po to, żeby całować tę, a nie inną kobietę?) Z radością poszedł z nią na film do kina w Hollywood, kiedy jeszcze studiował i miał tylko jeden wolny od zajęć dzień w miesiącu. Wybierali się na plażę, ale zaczęło padać, siedział więc obok niej w chłodnym kinie, rozradowany czując obok jej ramię i udo, jakby w samym dotyku ich ciał kryła się wielka tajemnica. Miała na sobie krótkie białe szorty, a pod nimi kostium kąpielowy. Biała bluzka kontrastowała z opalenizną. Obejrzeliby wtedy *Cień wątpliwości*, a potem, gdy po ekranie przepływały napisy końcowe, radość sprawiło mu słuchanie jej interpretacji filmu - dowodziła, że reżyser sportretował odtwarzaną przez Josepha Cottena postać jako wampira.

- Zwróciłeś uwagę, jak unikał słońca i spał w ciągu dnia? - pytała.

Radością było śledzenie toku jej myślenia.

- Wyglądasz jak Teresa Wright - stwierdził. - Naprawdę. Jesteś równie piękna.

Siedzieli w pustym kinie jeszcze długo po tym, jak zapalono światła, a pracownicy pochyleni sprząтали podłogę. Z radością powiedział jej potem:

- Nigdy bym się tobą nie znudził!

Radością było przyjęcie porodu Rosta, jeszcze podczas stażu. Oddział ginekologiczno-położniczy sam mu to zaproponował, a potem Marylin rodziła przez szesnaście godzin. Jak tylko odeszły jej wody zniknęły dręczące ją przez całą ciążę obawy, że umrze podczas porodu albo jak jej matka popadnie w odrętwienie. Zamiast tego pojawiła się prawdziwie sportowa determinacja, by wydać dziecko na świat. Trzeba było użyć kleszczy i Sheppard nie mógł się nadziwić, jak silnie ginekolog kazał mu ciągnąć, dopóki nie poczuł, że dziecko, zaklinowane niczym śruba w ścianie, trochę się przesunęło w kanale rodnym.

- Oddaj mi wszystko, co masz - powiedział wtedy do Marylin.

Radością była chwila, kiedy Rost nagle się z niej wysunął, kompletnie zaskakując Shepparda, który gapił się na niego zszokowany. Rączki noworodka zginały się w łokciach, a paluszki chwytały powietrze. Darł się tak głośno, że Sheppard miał wrażenie, iż przez nieprzeciętą jeszcze pępowinę chłopczyk czerpie dodatkową energię, co uświadomiło mu, jak wiele musi jej tkwić w Marylin. Malec był umazany jej krwią i mazią płodową, żółtą jak pyłek kwiatowy. Trzymając maleńkie kostki między palcami, a główkę na dłoni, Sheppard podał syna żonie.

- Kocham cię - powiedział. Płakali wszyscy troje. - Bardzo cię kocham. Radość ujawniała się w jej całkowitym braku.

W lutym Susan zadzwoniła do jego szpitalnego gabinetu, informując, że się przeniosi do Los Angeles, bo dostała pracę w Good Samaritan Hospital. Zamierzała zacząć życie od nowa.

Dzień przed jej wyjazdem zabrał ją na lunch do restauracji Leytonstone, gdzie dał jej w prezencie zamszowy żakiet i pierścionek z heliotropem.

Zapowiedział, że się spotkają przed końcem marca.

Aż do końca marca o niej nie myślał.

- Niektórzy ludzie uczą się na pamięć wierszy, inni sławnych przemówień. Ja się uczę na pamięć wyznań winy. Pańskiego również, oczywiście - oświadczył Mobius.

- Nigdy się nie przyznałem do zamordowania Marylin. „;

- Chciałby pan je usłyszeć?

Sheppard poruszył się na krześle.

- To fragment pamiętnika, który prowadził pan w więzieniu. - Mobius odkaszlnął. - „Przez kilka miesięcy po tej tragedii nie myślałem miłości, tylko o Marylin, po czym doszedłem do wniosku, że nigdy już nie pokocham nikogo tak jak M. Nie brałem już pod uwagę prawdziwej miłości. Miałem wyrzuty sumienia, że nie byłem dla niej dość czuły i że nie poświęciłem czasu na to, żeby trochę bardziej cieszyć się domem”.

Sheppard się zamyślił.

- Chce pan wiedzieć, czego się nauczyłem o miłości? - zapytał.

- Oczywiście - odparł Mobius.

- Jeśli kocha się kogoś tak samo mocno, jak ten ktoś kocha nas, to nie ma czegoś takiego jak wyznanie.

Gdzieś nad pustynią, podczas lotu z Cleveland do Los Angeles, Sheppard zauważył, że Marylin płacze.

Siedziała z głową odwróconą do okna i płakała tak cicho, że nawet by tego nie usłyszał, gdyby nie jeden krótki szloch. Kiedy zapytał ją, co się stało, powiedziała: „Nic”, a więc udzieliła mu odpowiedzi, którą w ciągu wszystkich lat ich małżeństwa słyszał tak wiele razy, że znów poczuł się jak głupiec. Przez chwilę próbował ją ignorować, ale jej wysiłki, by pozostać cicho, zamieniły płacz w lament; poirytowany kazał jej iść do łazienki. Pośpieszyła na tył samolotu, zanosząc się płaczem, a kiedy w przejściu pojawiła się stewardesa, zamówił dla siebie i dla niej po drinku. Patrzył przez okno na pustynię pod samolotem widoczną z bezchmurnego w tej części podróży nieba. Ogrom Ameryki wydał mu się oszałamiający, a ta myśl z kolei kazała mu się zastanawiać nad maleńką strukturą przemieszczającą się na dole, białą drobką, będącą prawdopodobnie domem, niemal zabawną z tak wielkiej odległości, umieszczoną na końcu wyglądającej jak draśnięcie czubkiem igły drogi. Kto mógł mieszkać w takim miejscu? Stewardesa przyniosła drinki. Nie był pewien, dlaczego Marylin cierpiała, przypuszczał jednak, że miało to związek z powrotem do Los Angeles, gdzie zaczęło się ich dorosłe życie, emocjami wywołanymi lotem oraz nieuniknionym w tej sytuacji wspomnieniem czterech lat, które upłynęły, odkąd stamtąd wyjechali - analizowania ich dzień po dniu w poszukiwaniu przyczyn obecnej sytuacji. Były to oczywiście ich wspólne lata, ale - jak się wielokrotnie przekonał - wspominali je tak różnie, że czasem ogarniała go rozpacz.

Marylin wróciła na miejsce i podniosła kieliszek martini, trzymając go za nóżkę. Trząśnięcie w jej dłoni.

- Dziękuję - powiedziała.

Nie rozmawiali przez resztę lotu.

Te jej napady smutku były irytujące także dlatego, że znikwały niemal natychmiast; przemieszczały się tak szybko jak szkwał. Po wyjściu z samolotu na asfalt lotniska, w ostrym słońcu, które trudno było znieść Marylin, przytrzymując na wietrze kapelusz, powiedziała:

- Nie wierzę, że znów tu jesteśmy!

Zrobiła się nagle podekscytowana i szczęśliwa; chwyciła go za ramię, co jego z kolei odrzuciło, jakby jej dotyk był radioaktywny albo przenosił jakieś choroby. Ona jednak tego nie zauważyła, czym zdegustowała go jeszcze bardziej. Nastroje odbierały jej zdolność postrzegania tego, co czuli inni ludzie. Chwilowy entuzjizm przesłaniał jej cały świat. Wiele miesięcy temu obiecał sobie, że będzie rozmyślał nad swoimi uczuciami dostatecznie długo, by coś z nimi zrobić - czyli w końcu odejść. Po to właśnie przyjechał znów do Kalifornii. Tymczasem kazał bagażowemu odszukać ich torby.

Nagle Jo Chapman, żona Chappiego, pojawiła się w poczekalni z rękami w górze, machając samymi dłońmi.

- Hej, wy! - krzyczała. - Hej, wy!

Była ubrana w obcisły biały golf, spodnie do jazdy konnej i wysokie buty. Brązowe włosy związała z tyłu w koński ogon. Miała szczuplejszą niż poprzednio twarz, trochę wymizerowaną wokół oczu, co - jak się domyślał Sheppard - było rezultatem stresującego życia żony chirurga albo trudów ciągłej konieczności relaksu. Tryskająca energią, ścisnęła go z siłą amazonki, po czym odsunęła go od siebie, prostując ramiona, żeby mu się przyjrzeć.

- Wciąż jeszcze niezły z ciebie ogier - stwierdziła, a potem odwróciła się do Marylin. - Z naciskiem na jeszcze - dodała. Marylin się roześmiała. Sheppard za to uśmiechnął się w duchu, uświadamiając sobie, że Jo zawsze trzymała go na odległość wyciągniętych ramion. Zawsze mu przypominała, że jest mężczyzną, a w jej opinii niemal wszyscy mężczyźni to kompletni głupcy. Ona i Marylin znacznie lepiej radzą sobie bez nich. A może było tak, że w życiu ich czwórki - Jo, Chappie, Marylin i Sam - Jo zawsze czuła się w obowiązku podkreślać w imię kobiecej lojalności, że Marylin jest ważniejsza.

- Mamy cię wyrzucić koło doktora Millera? - zapytała go.

- To w przeciwnym kierunku - stwierdził Sheppard.

- Nie przeszkadza mi to. A tobie, Marylin?

- Przeszkadza, jeśli miałybyśmy nie trafić na plażę przed zachodem słońca.

- Wezmę taksówkę - postanowił. - Jedźcie prosto do domu.

Polecił bagażowemu załadować torby do samochodu i pocałował ją na do widzenia.

- Przyjedziesz z Chappiem? - zapytała.,,

- Tak. W niedzielę - odrzekł.

Zanim usiadła za kierownicą, Jo krzyknęła jeszcze znad dachu auta:

- Nie zapomnij mu przekazać, żeby poszedł do diabła!

Zawsze ostentacyjnie narzekała na niego - w taki czy inny sposób. Potrafiła wyliczać głośno przy obiedzie, ile to lat świetlnych minęło, odkąd ostatnio byli w łóżku. Słyszając znajome teksty, Sheppard się uśmiechnął. Jo jednak nie było do śmiechu: zajęła się zapalaniem papierosa i uruchamianiem silnika.

On i Marylin stali naprzeciw siebie. Znowu wydawała się smutna, nie zdobył się jednak, żeby zapytać, z jakiego powodu.

Po chwili zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła go.

- Będę o tobie myślała - zapewniła. Czekala, aż coś powie, a skoro się nie odezwał, poszukała wzrokiem jego oczu, po czym pocałowała go namiętnie. Publiczne okazywanie miłości nigdy nie było w jej stylu, był więc zdziwiony, a jego opór jeszcze się nasilił. Wsiadła do samochodu. Zanim ruszyły, opuściła szybę, uśmiechnęła się porozumiewawczo i smutno zarazem. - Nie baw się zbyt dobrze - poprosiła.

Ruszyły, a Sheppard patrzył, jak auto włącza się do ruchu, mieszając z innymi, dopóki całkowicie nie zniknęło mu z oczu.

Później w taksówce, po drodze do mieszkania Susan, nie mógł wyrzucić z pamięci tego, co powiedziała Marylin. Nie był pewien, co miała na myśli. Zastanawiał się, czy była to bezceremonialna akceptacja tego, co zamierzał zrobić, choć nie miał pojęcia, skąd mogłaby wiedzieć. Powiedziała to z uśmiechem Mony Lisy: ani słów, ani miny nie sposób było rozszyfrować. Bez względu na to, co miała na myśli i jak bardzo próbował wypchnąć jej słowa ze świadomości, to pożegnalne zdanie sprawiło, że świat wydał mu się niestabilny. Palmy za oknem wyglądały jak patyki, które lada moment

załamia się pod własnym ciężarem, a ich podobna do skorupy pancernika kora, rozłupując się, ukaże poszarpane wnętrze. Miał wrażenie, że domy wspinające się po wzgórzach wzdłuż Ro-deo Drive zaraz się oderwą od fundamentów i spadną, tarasując drogę. Usiłował ignorować to uczucie, składając je na karb zmęczenia podróży, zmiany czasu oraz przemieszczania się z wielką prędkością na dużych wysokościach. Pomyślał też o swoim pragnieniu, by zobaczyć Susan. Doskonale wiedział, że takie niecierpliwe wyczekiwanie jest bardzo zbliżone do strachu. Mimo to jednak nadal brakowało mu stabilności. Jakby swoimi słowami Marylin zesłała go w sferę snów z typową dla nich zmiennością krajobrazów oraz lękiem, że jeśli się nie poskłada odpowiednio fragmentów otoczenia albo nie zdoła rozwiązać zagadki, która na nas czeka, w konsekwencji całe nasze życie legnie w gruzach.

Wytrąciło go to z równowagi i sprawiło, że budynek, w którym znajdowało się mieszkanie Susan, wydał mu się złowieszczy i ponury mimo oślepiającego słońca. Był to nijaki trzypiętrowy gmach z pomalowanej na biało cegły przy North Alfred Street, z podwórzem oddzielonym od ulicy płotem. Za płotem znajdowała się nieczynna fontanna, w której pływały glony. Na domofonie przy wejściu odnalazł wizytówkę „Shaw/ Hayes” - Susan dopisała swoje obok nazwiska współlokatorki. Delikatne linie liter wyglądały na wydrapane raczej niż napisane, cienkie i kruche jak kości ptaków. W domofonie nie poznał jej głosu: brzmiał jak gdakanie.

- To ja, Sam - powiedział i rozejrzał się po pustej ulicy. W oddali widać było góry Santa Monica. Przez chwilę miał wrażenie, że na całym świecie nie ma żadnej żywej istoty oprócz niego.

Odezwał się brzęczyk i wszedł, a następnie szarpnął bramą, żeby sprawdzić, czy się zamknęła. Jego kroki odbijały się echem po podwórzu jak w tunelu. Ulicą przejechał motocykl, od ścian rykoszetem odbijał się ryk silnika. Sheppard skrzywił się, zatkał uszy i odwrócił się w stronę źródła dźwięku, ale przez kraty zobaczył tylko ulicę. Podwórze otaczały otwarte korytarze. Okna wszystkich mieszkań były zasłonięte roletami albo żaluzjami. Nie miał pojęcia, czego ma się spodziewać, wchodząc tutaj; wiedział tylko, że to będzie coś innego.

I oczywiście oczekiwał, że zastanie Susan w domu, tymczasem to jej współlokatorka odebrała domofon i stała teraz w drzwiach mieszkania.

Miała na sobie strój pielęgniarski, choć bez czepka. Dwa górne guziki były odpięte.

- Zapewne pan doktor?

- Tak - odpowiedział, reagując panicznym strachem na fakt, że Susan komukolwiek o nim wspominała.

- Jestem Janet - przedstawiła się. Podała mu wiotką dłoń, niemrawo i delikatnie, po czym opuściła rękę, zwieszając ją wzdłuż ciała tak samo bezwładnie, jak trzymała drugą. Zaprosiła go i Sheppard poszedł za nią do środka. Jej biodra objęły się o rękę jak serce o dzwon.

- Susan jeszcze nie wróciła - powiedziała. - Na pewno są korki. - Głos miała bezbarwny. Odnosił wrażenie, że stara się wypowiadać słowa, nie fatygując przy tym języka ani ust. Weszła do kuchni mieszczącej się po prawej, gdzie wcześniej zaczęła robić sobie drinka. zaproponowała też Sheppardowi, ale odmówił. Wrzuciła kostki lodu do wysokiej szklanki, a następnie wypełniła ją niemal po brzegi szkoeką i dodała odrobinę wody. - Miałam nocny dyżur - wyjaśniła, podnosząc szklanekę w toaście. - Zaraz się kładę spać. Byłoby rozsądniej, gdybym pojechała do parku i zafundowała sobie spacer, ale nigdy tego nie robię.

Miała puciołowate policzki, małe piersi, maślane oczy i była ponura. Prawie ładna, pomyślał, choć wszystko - od małego torsu po gruszkowatą głowę - sprzysięgło się, żeby to „prawie” było konieczne. Jej starannie utrzymane paznokcie pomalowane były wiśniowym lakierem tak ciemnym, że wydawał się niemal czarny. Kiedy zauważyła, że się im przygląda, wetknęła dłoń pod łokieć.

Sheppard zerknął na zegarek. Nie minęła jeszcze nawet pierwsza, ale on był na nogach od trzeciej rano.

- Chyba jednak poproszę o drinka - stwierdził. - To samo, co pani pije, jeśli można.

Opierając się o blat, który ich rozdzielał, kiedy przygotowywała drinka, rozglądał się po pokoju. Ściany były gołe; tylko na jednej z nich wisiało wielkie lustro, w zamierzeniu chyba wyobrażające słońce, bo otoczone postrzępionymi paskami złotego metalu. Zawieszane nad brzydką zieloną kanapą, wyglądało na dość ciężkie, by zabić siedzącą na niej osobę, gdyby nagle spadło. Pokój Susan - rozpoznał jej buty obok toaletki - był czymś w rodzaju wnęki oddzielonej ścianką od kuchni, ale bez drzwi. Jednoosobowe łóżko stało między dwoma oknami wychodzącymi na podwórze. Żaluzje w

obydwu były zaciągnięte. Tylko Janet, zajmująca pokój po lewej za jego plecami, mogła się cieszyć widokiem drzew i światłem, też przytłumionym przez ściany sąsiedniego budynku.

- Pańskie zdrowie! - powiedziała.

Stuknęli się szklaneczkami.

- Na jak długo pan przyjechał?

- Dwa tygodnie.

- Susan mówiła, że na tydzień.

- Drugi tydzień spędzę w Big Sur - wyjaśnił.

- Szczęściarz. Podobno jest tam bardzo pięknie.

- Owszem.

- Wszystko bym dała, żeby tam pojechać.

- Proszę się wybrać na wycieczkę któregoś dnia.

- Ale na stałe. Chciałabym mieć tam dom.

- Kto by nie chciał?

- Wszystko bym oddała za taki dom.

- Może kiedyś będzie go pani miała.

- Nie sądzę. Chyba że wyjdę za lekarza. - Zamieszała lód wszklan-
ce palcem i znów na niego spojrzała. - Czy tylko pan jedzie?

- Nie rozumiem.

- W przyszłym tygodniu. Jedzie pan sam?

Sheppard wbił wzrok w drinka, z lekka obrażony, zastanawiając się nad odpowiedzią, ale niemal w tej samej chwili Janet stwierdziła:

- Chyba idzie Susan.

Pojawiła się w drzwiach, które trzymała, żeby się nie otworzyły na oścież i stała w świetle wlewającym się za nią do mrocznego mieszkania. Przez chwilę patrzyli na siebie pod uważnym spojrzeniem opartej o lodówkę Janet, nie wiedząc, jak się zachować. Także tego Sheppard się nie spodziewał, choć natychmiast sobie uprzytomnił, jak wiele zmian zaszło w jej życiu - było ono teraz przerażające - a zarazem jak niewiele, bo przecież znajdowało się w nim nadal miejsce dla niego. Chwycili się za ręce bez słowa, on poruszony faktem, że przed przyjściem najwyraźniej odświeżyła makijaż.

- Przepraszam za spóźnienie. Dzisiaj w pracy było... - Spojrzała na Janet, która ciągle przyglądała się im bezceremonialnie. Sheppard był przekonany, że w tym spojrzeniu przekazała aluzję do jakiegoś wcześniejszego ustalenia, którego Janet najwyraźniej nie dotrzymała.

- Pójdę się położyć - odezwała się w końcu Janet. - Miło było pana poznać, doktorze.

Poszła do swojego pokoju i położyła się na łóżku - częściowo widocznym przez framugę, ponieważ nie zamknęła za sobą drzwi.

Sheppard pomyślał, że wszystko jest tu całkiem inne. Wskazał gestem na pokój Janet. Susan pokręciła głową i zabrała go do swojej ciemnej wnęki, gdzie częściowo zasłonięci mogli się wreszcie pocałować. Sheppard, zominając na chwilę o całym świecie, nie potrafił się powstrzymać, by jej nie dotykać.

- Nie tutaj - wyszeptała. - Nie przy niej. - Pocałowali się raz jeszcze. - Nie teraz - powstrzymała go ponownie Susan. - Niech się na ciebie napatrzę. - Leżeli na wąskim łóżku, całując się i patrząc sobie w oczy, choć kiedy Susan chwyciła go mocno za kark, poczuł ból, a gdy mu wyjaśniała, jak jest jej trudno, wrócił do niego ten koszmaryny niepokój. Nad ramieniem Susan widział nogi Janet, leżące w jej pokoju tak nieruchomo, że wyglądały jak amputowane.p.

Usiadł na krawędzi łóżka.

- Nie mogę - wyszeptał.

Susan, wyraźnie zaskoczona, także usiadła. Chwyciła go za rami.

- Co ty wygadujesz?

Wskazał na wiedźmowate nogi Janet.

- Czy ona tu zostaje?

Susan sprawiała wrażenie zdziwionej.

- W końcu to jej mieszkanie.

- Chodzi mi o ten tydzień. Nie mogłaś jakoś tego załatwić?

- Myślałam... - urwała na chwilę. - Myślałam, że ty coś zorganizujesz.

Nie przyszło mu to do głowy. Zakładał, że będą mieli trochę prywatności u niej. Czegoś takiego na pewno nie przewidywał. Ścisnął palcami grzbiet nosa. Zaczął odczuwać skutki zmęczenia podróżą oraz wypitego alkoholu.

- Pójdę już - powiedział.

- Dlaczego? Dokąd?

- Będę mieszkał u doktora Millera. To mój przyjaciel.

- Czyli nie masz... Myślałam, że się zatrzymasz w hotelu.

- Nie.

- To jak będziemy...

- Będziemy - zapewnił. - Wszystko będzie dobrze. - Położył dłoń **na** jej dłoni, czując gonitwę myśli. - Obiecuję. - Podniósł się.

- Nie wychodź, proszę - chwyciła go za rękę.

- Tylko na kilka godzin - stwierdził, rozdrażniony jej przerażeniem. Uśmiechnął się jednak i potarł jej ramię. - Zadzwoń do ciebie, jak tylko wszystko pozalatywam.

Czuł się jednocześnie zawiedziony i wściekły. Susan wpadła w panikę, której nie spostrzegł u niej nigdy przedtem. Jadąc taksówką do Michaela Millera, zastanawiał się, co robić. Gdyby teraz nagle przeniósł się do hotelu, Marilyn nabrałaby podejrzeń i niechybnie doprowadziłaby do konfrontacji, na którą nie był gotów, jeszcze nie teraz. Z kolei rozłąka z Susan już zaczynała mu doskwierać, przypominając czasy, zanim zaczęli się ze sobą kochać. Poczul nieodpartą potrzebę, żeby w końcu gdzieś zakotwiczyć. Nie przewidział ani jednego, ani drugiego, a niespodzianek potrzebował teraz akurat najmniej.

U Michaela zapomniał na chwilę o tych problemach. Jego przyjaciel przeprowadził się do pięknego domu w Beverly Hills, olbrzymiego budynku w stylu kolonialnym tuż przy Burton Road, półtora kilometra od Coldwater Canyon. Michael wyglądał świetnie. Śnieżnobiałe włosy zaczesał do tyłu, a grzbiet jego długiego nosa był opalony na taki sam róż, jak kolor jego koszulki golfowej (właśnie wrócił z pola w Hillcrest). Jego żona, Emma, podała pyszny lunch przy basenie, który lśnił jasno jak słońce. Pojawiły się dzieci, które przez te cztery lata wyrosły na małych ludzi: Anne, dziesięcioletka w okularach, typ mola książkowego, trzymała pod pachą egzemplarz *Ivanhoe*; ośmioletni Roger wypytywał go o Ottona Grahama.

- Naprawdę jest pańskim kolegą?

Sheppard skinął głową.

- Naprawdę. Razem uczestniczymy w wyścigach samochodowych - wyjaśnił, podając chłopcu podpisany przez Grahama plakat (pomysł Marilyn). Dzieciak natychmiast popędził do swojego pokoju, żeby powiesić plakat na ścianie.

Małej Anne podarował egzemplarz książki *Charlie i wielka szklana winda*.

- Zacznę czytać od razu - stwierdziła, po czym także ona pobiegła do pokoju.

TLR

Dorośli zostali sami, jedząc lunch. Rozmawiali jeszcze długo potem w przepięknej scenerii, której towarzyszyła wspaniała pogoda - z braku takiej scenerii i takich dni życie w Cleveland wydawało mu się niepełne.

- Po pierwsze, gdybyś się tu przeniósł, zacząłbyś lepiej grać w golfa. A po drugie, zarabiałbyś o wiele więcej - argumentował Michael.

- Naprawdę się nad tym zastanawiasz? - zapytała Emma.

- Myślę o tym przez cały czas - odparł Sheppard.

- Tak? - rzuciła Emma. - Przykro mi, że Marylin nie mogła przyjechać.

Ominie ją wspaniałe przyjęcie.

Sheppard spojrzał na gospodarza.

- Nic wielkiego - powiedział Michael.

- Może dla ciebie - odcięła się. - Ty nie musisz go przygotowywać.

Michael przewrócił oczami.

- Odbywa się co miesiąc - wyjaśnił Sheppardowi. - Poker dla młodszych lekarzy i ich żon.

- Mówisz, jakby żonom też wolno było grać - stwierdziła Emma.

- Mogłyby, gdyby traktowały grę poważnie. Ale one ciągle rozmawiają.

- To dlatego, że poker jest nudny!

Michael westchnął, po czym ścisnął Shepparda za ramię.

- Sam, bracie, jeśli czeka na ciebie jakaś kochanka, z którą chcesz się zobaczyć, korzystając z rzadkiej wolności, to nie czuj się, proszę, skrepowany koniecznością dotrzymywania nam towarzystwa.

- Może ją tutaj zaproszę? - zapytał Sheppard.

Oczywiście żartował, ale byłoby cudownie, gdyby rozwiązanie jego problemów okazało się takie proste. Doszedł do wniosku, że dobrze mu zrobi kąpiel w basenie - kąpiel, a po niej drzemka. Odświeży umysł i razem z Susan ustalą jakiś plan. Włożył kąpielówki, odbił się z trampoliny, skoczył na główkę i energicznie przepłynął kilka długości basenu. Na szczęście nie stracił formy przez te lata. Ale nawet w wodzie nie przestawał myśleć o żonie i o tym, co mu powiedziała. „Nie baw się zbyt dobrze!” I ten wyraz twarzy, jakby o wszystkim wiedziała. Teraz znów byli od siebie daleko, a mimo to prześladowała go myśl o niej. Ich małżeńskie życie w tak wielkiej części składało się z rozstań, kiedy co rano wychodził do pracy albo wzywano go do chorego w środku nocy. Ale rozdzielały ich także wszystkie kobiety, z którymi się spotykał, zostawiając ją pod pozorem nagłego wezwania albo korzystając z jej nieobecności. Pomyślał o Frances Stevens

latem dawno temu, kiedy Marylin wyjechała na uczelnię, a on był na ostatnim roku. Spojrzał spod maski swojego forda A i zobaczył Frances w drzwiach garażu. Nie miał pojęcia, jak długo mu się przyglądała, ale kiedy do niego podeszła, miał taką samą jak teraz świadomość obecności Marylin. Przypomniawszy sobie czworokąty z Lesterem i pielęgniarkami podczas studiów, kiedy Marylin pojechała na kilka tygodni do Cleveland, żeby pobyć z ojcem. Do dziś pamiętał niewyobrażalnie wspaniałą urodę dziewczyny, którą wtedy przyprowadził dla niego Lester. Andrea: kruczoczarne włosy, rubinowe usta i oczy czarne jak u łani. Kolacja z winem, jak za kawalerskich czasów, potem alkohol w domu Lestera i pijacka gra, podczas której musiał wypić ten, kto się pomylił w wyliczance, a jego przyjaciel i tamta druga dziewczyna czekali, aż oni dwoje podejmą jakąś decyzję. Siedzieli wszyscy po turecku na podłodze wokół małego stolika, przepijając do siebie nawzajem, aż przyszła kolej na Shepparda; podał kieliszek Lesterowi, polecając mu, żeby go jej przekazał.

- Podaj dalej, Les - powiedział.

W końcu Lester odstawił kieliszek, patrząc na Shepparda z prośbą o przyzwolenie, a potem pocałował tamtą drugą kobietę, po czym nie przerywając pocałunku, poprowadził ją do kanapy. Sheppard wziął Andree za rękę, zaciągnął do sypialni, rzucił na łóżko twarzą do dołu, podciągnął jej spódnicę, ściągnął majtki jedną ręką, trzymając drugą na jej karku. Wszedł w nią i mieszkanie wypełniło się jęczeniem całej czwórki. Także wtedy przed jego oczami pojawiła się twarz Marylin, która zrobiła zawiedzioną minę, gdy Les z tamtą drugą kobietą weszli półnaczy do sypialni, rzucili się na łóżko i splekli w uścisku. Sheppard wyprostował się na chwilę, jakby był zaczarowanym wężem, a oni, wijący się poniżej, resztą jego ciała. Marylin obserwowała to wszystko z takim samym wyrazem twarzy, jaki zaprezentowała dzisiaj na lotnisku, zanim odjechała. „Dlaczego teraz? - zastanawiał się Sheppard. - Dlaczego w ogóle jeszcze? Nie baw się zbyt dobrze”. Nie chciał się bawić. Nie po to tu przyjechał. Ale też cel przyjazdu nie wydawał mu się już tak oczywisty jak wcześniej.

Leżał w odległym końcu basenu z ramionami nad krawędzią wody i podbródkiem opartym na splecionych dłoniach. Czuł słońce na włosach. Coś w dzisiejszym zachowaniu Susan go odrzucało. Nie było to wobec niej fair, ale nie potrafił się pozbyć tego wrażenia, podobnie jak nie potrafił zapomnieć słów Marylin. Odświeżony makijaż nie zatuszował sińców pod jej oczami. Miała też w oddechu odstręczający odór strachu i nadziei. Kiedy chwyciła go za przegub, usiłując zatrzymać, wbiła mu w ciało paznokcie. Musiał użyć całej siły woli, żeby nie wyrwać ręki. Nawet wtedy, kiedy w końcu chciał zacząć działać, Marylin tam była. Jakby poddawała go ciągłej inwigilacji. Chociaż nie, to wcale nie była inwigilacja. Raczej oczekiwanie na coś z jego strony. Tylko co?

Wieczorem, podczas pokerowego przyjęcia, zatelefonował do żony. Musiał zamówić międzymiastową, dochodziła jedenasta, a on był pijany jak wszyscy pozostali. Czuł potrzebę, żeby z nią porozmawiać, ale też chciał ją uspokoić, że jest u Michaela, tak jak mówił. Chciał podtrzymać w jej umyśle złudzenie, że zaraz pójdzie spać w gościnnym łóżku, żeby zregenerować siły przed czekającym go ciężkim dniem - choć oczywiście zamierzał się spotkać z Susan. Odczekał kilka dzwonek. Po dziesiątym miał zamiar odłożyć słuchawkę, coś jednak kazało mu czekać dalej. Kiedy Jo odebrała telefon, zaczął ją przeproszać.

- No coś ty - powiedziała. - Nie przejmuj się. Chyba przysnęłam.

- Mogę zamienić kilka słów z Marylin?

Usłyszał stukot odkładanej słuchawki, potem ciszę, mamrotanie i odgłos stąpania.

- Sam? - odezwała się Marylin.

- Dobry wieczór.

- Coś się stało?

-Nic.

- Obudziłeś nas.

- Wiem. Wracaj do łóżka.

- Co tam się dzieje?

- Przyjęcie. No wiesz, przyszło kilka osób.

- Gdzie jesteś?

- W domu. Michael urządza przyjęcie u siebie.

Czekała.

- Po prostu chciałem usłyszeć twój głos - powiedział.
- Więc jestem. Ja i mój głos.
- Rozumiem. Powiedz Jo, że ją przepraszam.

Odłożyła słuchawkę, zanim on to zrobił.

Zatelefonował do Susan z informacją, żeby natychmiast przyjeżdżała. Kiedy zapytała go, czy jest tego pewien, potwierdził. Kiedy zaraz potem zapytała, czy to eleganckie przyjęcie, słyszał ekscytację w jej głosie. Akurat stała obok grupka kobiet, opisał więc, jak są ubrane i powiedział, żeby się pośpieszyła. Podszedł do baru, żeby sobie zrobić kolejne martini - wiedząc, że nazajutrz pożałuje tego drinka - i dołączył do mężczyzn grających w pokera w gabinecie Michaela. Przy stole siedziało ich ośmiu, otoczonych tak wielką ilością popiołu oraz chmurą dymu z cygar i fajek, że zielony filc wyglądał, jakby się zapalił. Dwóch z nich, Josepha Newtona i Herbiego Hawkinsa, znał jeszcze z okresu studiów. Wiedząc, że ich żony przyjaźnią się z Marylin, Sheppard poczuł ukłucie strachu przed wizytą Susan.

Później jednak, kiedy - wprowadzona do gabinetu przez Emmę - stanęła w kręgu światła z lampy, pod którą siedzieli mężczyźni, jej widok rozproszył wszelkie jego skrupuły. Miała zieloną sukienkę, zielony pasek, zielony żakiet i sznur pereł na szyi. A na palcu pierścionek z heliotropem, który jej podarował. Prawdopodobnie uciekając się do strategii obronnej, przybrała wyniosłą pozę. Znowu była dziewczyną, którą poznał trzy lata wcześniej - pewną siebie i bezpośrednią. Promieniała, kiedy pochyliła się nad nim, kiedy objęła go ramieniem - Sheppard położył dłoń na jej biodrze - a potem go pocałowała. Pozostawili swoje dłonie tam, gdzie były, podczas gdy przedstawiał jej pozostałych siedzących przy stole mężczyzn. Jej uroda odwróciła uwagę wszystkich od gry, co dodatkowo ją ośmieliło. Wodziła palcami po karku Shepparda przez całe następne rozdanie, po czym przeprosiła i wyszła zrobić sobie drinka, zanim rzucił karty i zakończył udział w grze. Wszyscy mężczyźni oblepiali ją wzrokiem, a kiedy drzwi salonu się za nią zamknęły, wymienili spojrzenia między sobą, by w końcu spojrzeć na Shepparda. Kilku mlaskało i pogwizdywało, podczas gdy jeden, którego Sheppard nie znał, zaśmiał się cicho - drwiąco albo z uznaniem; Sheppard był zbyt pijany, żeby to ocenić.

- Szlag by to, Sam! - odezwał się w końcu Michael.

Sheppard wpatrywał się w karty, które chwilę wcześniej położył na stole, po czym oparł się wygodnie, splatając palce na brzuchu. Czuł na swojej twarzy zastygły grymas uśmiechu.

- Nie wiem... - podjął Michael. - To po prostu... nie wiem.

Ani Newton, ani Hawkins nie oderwali wzroku od kart, choć po chwili milczenia odezwał się Herb:

- Racja, szlag by to.

Sheppard wyszedł z gabinetu. Przeszedł przez salon, ciągnąc za sobą milczenie siedzących tam kobiet. Znalazł Susan na zewnątrz przy basenie z papierosem w ręku; wpatrzona była w unoszące się na wodzie lampiony. Oplótł ją ramionami w talii, pocałował w kark i napawał się wonią jej perfum, która mieszała się z niesionym przez wiatr zapachem kapryfolium i jaśminu. Cleveland było odległe o całe galaktyki.

- Nie powinnam była tu przychodzić - stwierdziła.

- Oczywiście, że powinnaś!

Ruchem głowy wskazała dom.

- Nikt tam nie chce ze mną rozmawiać.

- To się nie liczy.

- Dla ciebie nie.

- A dla nas nie powinno.

- A to dlaczego?

- Chodź ze mną.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do swojego pokoju, przechodząc przez rozsuwane drzwi na basen. Kiedy je zamykał, zauważył Emmę wpatrującą się w niego pełnymi wściekłości oczami. Zapomniał jednak o tym, jak tylko znaleźli się sami. Zapomniał nawet o żonie i o tym, co mu powiedziała. Kochał się z Susan wściekle i z pasją, choć tym razem miał wrażenie, że to on - a nie żona - unosi się w powietrzu i obserwuje ich dwoje, co pozwoliło mu skonstatować, że albo jego potencja wzmaga się, gdy jest całkowicie zdystansowany, albo że - jak mężczyźni, którzy nadal grali w pokera tuż za ścianą - doskonale wiedział, co się w tym pokoju wyprawia, ale jakby w tym nie uczestniczył.

Ten nieczuły dystans towarzyszył mu także, kiedy próbował zasnąć, świadomy obecności Susan obok siebie, świadomy jej ciała. Usiłował leżeć jak najdalej od niej, jakby to sen w jednym łóżku z inną kobietą był jedynym grzechem, który popełnił; utrzymując ten fizyczny dystans, zapewniał so-

bie alibi na wypadek, gdyby ktoś miał nagle wparować do pokoju. A może po prostu nie był przyzwyczajony, by dzielić z kimkolwiek przestrzeń snu, bo przecież z Marilyn nie robili tego od bardzo dawna? Bez względu jednak na przyczynę, poczucie dyskomfortu przez cały czas nie pozwalało mu głęboko zasnąć. Kiedy w końcu spojrzał na zegarek, była czwarta piętnaście. Susan leżała tyłem do niego odkryta do pasa. Pościel układała się w literę V tuż nad jej pośladkami, ukazując warkocz jej kręgosłupa, wyraźny w ciemności jak odbicie skamieliny. Uniósł się, żeby spojrzeć na jej twarz. Uświadomił sobie, że nigdy dotąd się przy niej nie obudził. Nie znał też imion jej rodziców, jej drugiego imienia ani daty urodzin. Nie znał żadnych ważnych faktów z jej życia ani historii rodziny. Opanowała go tak wielka panika, że aż się położył na plecach, zakrywając oczy ramieniem i zmuszając się, żeby oddychać głęboko i powoli, aż doprowadził bicie serca do poziomu, na którym zdołał uwierzyć, że ta noc się kiedyś skończy. Ponad godzinę później niebo za oknem w końcu zrobiło się błękitne. Dziękował Bogu za maswerk światła rozpalającego się nad szczytami wzgórz. Potrzebował jeszcze dwóch godzin, żeby się pozbyć resztek snu. Chciało mu się kawy, nie miał jednak ochoty udawać się na poszukiwania do kuchni. Obudził więc Susan, kazał jej się ubrać, znalazł kluczyki do MG, które pożyczył mu Michael, i odwiózł ją do mieszkania, pokonując puste ulice niebieskiego świata: Los Angeles o poranku bardziej niż o innej porze dnia sprawiało wrażenie pustyni.

Zamiast zatrzymać się gdzieś na śniadanie, pojechał prosto do szpitala, gdzie z wielką ulgą spotkał Chappiego, który przywitał go potokiem słów i jak tylko uścisnęli sobie dłonie, wziął w ramiona tak silnie, że roześmiany Sheppard poczuł, iż drętwieją mu ręce. Chappie był niski, ale w rękach miał siłę faceta dwa razy większego. Energia wydawała się rozpierać najdrobniejsze włókna jego ciała, nawet włosy jeżące się na rękach, uszach i wbrwiach jak błyskawice od statycznej elektryczności. Bez względu na zdobyte doświadczenie zawodowe i biegłość chirurgicznego rzemiosła Sheppard zawsze musiał się starać, żeby za nim nadażyć. Po drodze na blok operacyjny Chappie mówił o czekającej ich operacji tak obrazowo, że Sheppard niemal widział, co się dzieje, choć momentami słowa przyjaciela wyprzedzały jego wiedzę. Potakiwał, wciąż czując się słabo po wczorajszej nocy, odzyskał jednak panowanie nad sobą, jak tylko się umył do zabiegu. Błogosławił chirurgiczną rutynę, która przywróciła do równowagi jego

ciało i umysł. Kiedy wchodził do sali operacyjnej, zmęczenie fizyczne i rozchwianie emocjonalne całkowicie zniknęły; zastąpił je spokój i zapał. Tego dnia miał obserwować operację na otwartym sercu - pasjonujący zabieg, który oglądało się z przyjemnością: cięcie w dół od mostka, a potem półokrągłe z boku odsłaniające klatkę piersiową, która - z żebrami i wieńczącą je kością obojczykową - wyglądała jak gigantyczny insekt. Wprowadzono rozwieracz żeber ze stali nierdzewnej, gładko przekreśliła się korbka i w prostokątnym oknie pojawiło się serce otulone purpurowym osierdziem. Nacięto tkanekę i cztery trójkąty rozchyliły się jak opakowanie prezentu, unosząc wyjmowany organ za pomocą rozwieracza niczym na hamaku. Chappie tymczasem wyjaśniał, że pacjentka cierpi na ostrą niewydolność zastawki aortalnej, a jej stan jest krytyczny. Wymagała eksperymentalnego protezowania: wstawienia zastawki kulkowej z wieloma pierścieniami mocującymi koszyk zastawki do wstępującej aorty. Siedmiogodzinna operacja wymagała wielkiej precyzji i tak zawansowanego sprzętu, jakiego Sheppard nigdy wcześniej nie widział. „Mógłbym tu spędzić całe życie. Cieszyć się, wejść do awangardy, maszerować na czele postępu wiedzy” - pomyślał. Pozwolono mu wszczepić zastawkę, co było piekielnie trudne, zważywszy stan ścian tętnicy głównej pacjentki.

- Ten fragment jest zbyt zniszczony - stwierdził Chappie. - Musimy go zastąpić.

- Skąd bierzecie wszczepy? - zapytał Sheppard.

- Od dawców - wyjaśnił Chappie. - Pobieramy ze zwłok. Niestety, ostatnio mieliśmy problemy z odrzutami.

Kiedy pacjentkę odłączono od pompy, Chappie obejrzał jej elektrokardiogram.

- Zobaczymy, czy ten silnik zadziała - powiedział.

Kobieta umarła na stole.

Kiedy przyjechał do mieszkania Susan, był zbyt zmęczony, żeby jej opowiadać o całym dniu. Marzył tylko o tym, żeby się przespać, ale Susan była głodna, a jej strój wyraźnie sugerował, że chce się gdzieś wybrać wieczorem. Chappie polecał mu restaurację w Santa Monica - U Erniego przy Barnard Way - która okazała się rzeczywiście świetna. Usiedli przy stoliku na zewnątrz: widok na molo, rzewne dźwięki katarynki rozchodzące się nad oceanem i w oddali diabelski młyn, który Sheppardowi nasuwał skojarzenie z rozszerzoną źrenicą. Mimo tej atmosfery z trudem przewy-

ciężał wewnętrzne wyciszenie i chłodne opanowanie, które pozostały w nim po długich godzinach operacji oraz wydarzeniach poprzedzającej ją nocy. Zapewne aby zagłuszyć niezręczną ciszę, Susan zaczęła mu opowiadać o swojej przełożonej, kobiecie prowadzącej laboratorium analityczne. I choć Sheppard błędził myślami daleko, to jednak zauważył, że Susan zawsze upatrywa sobie w pracy jakiegoś wroga, który od pierwszej chwili ogranicza jej potencjał i uprzykrza życie - w Bay View była to Tricia - żeby potem, kiedy odejdzie albo zostanie zwolniona z pracy, nie musiała się poczuwać do odpowiedzialności.

- Słuchasz mnie? - zapytała.

- Przepraszam - powiedział, przykrywając dłonią jej rękę. Choć także to było tylko zagranieniem, namiastką intymności. - Jestem zmęczony. - Podniósł jej palce, zerkając na pierścionek, który jej podarował. Pokryty zielonymi cętkami kamień miał delikatnie czerwony odcień.

- Pisałeś w listach kilka razy, że chcesz mi coś powiedzieć, kiedy tu przyjedziesz - stwierdziła.

- Wiem - odparł. Nagle cała pewność zaczęła go opuszczać.

- Powiesz?

- Powiem. Ale przecież dopiero co przyjechałem.

Wyglądała na zakłopotaną.

- Chodzi mi o to, że chciałbym, żebyśmy przez te kilka dni po prostu byli, byli razem. Daj mi czas, żebym odpoczął po podróży.

- Ale powiesz? - upewniała się.

- Oczywiście, że tak. Powiem - obiecał.

Obiad poprawił mu nastrój, odsyłając Marylin bardzo daleko. Po wyjściu z restauracji pojechali na północ autostradą wzdłuż Pacyfiku w kierunku lodowców Palisades, potem na wschód obok Will Rogers Park. Od czasu do czasu Susan nachylała się, żeby go pocałować w policzek, albo gładziła dłonią po udzie. Jego chłodny dystans zniknął i raz jeszcze stało się oczywiste, że muszą szybko gdzieś pojechać, że ta kobieta wcale nie przestała go pociągać. Po powrocie do domu Michaela - było już po dziesiątej i nikt nie przywitał ich w drzwiach - poprowadził ją pośpiesznie do swojego pokoju. Potem, kiedy leżeli razem, wyszeptowała:

- Kiedyś już mi się to śniło.

Potem zasnęła, chrapiąc tak głośno, że aż się podniósł. Zaczął myśleć. Kolejna bezsenna noc by go zabiła. Nadmiar wina sprawił, że chciało mu się

pić, poszedł więc do kuchni. Stał nad zlewem, wypił duszkiem dwie szklanki wody i już miał gasić światło, kiedy pojawił się Michael. 2 rękami wciśniętymi w kieszenie szlafroka spojrzał na Shepparda ponuro, głową wskazując pokój gościnny.

- Czy ona tam jest? - zapytał.

- Susan? Tak.

Michael podniósł ramiona i zaraz je opuścił bezsilnie,

- Co ty wyprawiasz, Sam?

Sheppard nie odpowiedział.

- Może więc zapytam inaczej. Co ty wyprawiasz w moim domu? Tutaj są dzieci, na litość boską! A na dodatek jesteśmy przyjaciółmi Marylin. Jak mogłeś postawić nas w takiej sytuacji?

- Wolałbym, żebyś nic nie mówił.

Michael puknął się dłonią w czoło.

- O to właśnie chodzi, Sam.

- W takim razie jest mi przykro.

- Czy rozwodzisz się z Marylin?

Sheppard wzruszył ramionami,

- Powinieneś.

- Michael, proszę.

- Żadne proszę. Twoje zachowanie to patologia.

- Coś mi się wydaje, że obydwaj przeżyliśmy momenty patologicznego zachowania.

Michael podszedł bliżej.

- Ale ty wysuwasz się przed szereg - wyszeptał. - Musisz sobie zbadać tę pieprzoną głowę. Mówię poważnie. Musisz iść do psychoanalityka.

Zawstydzony i wściekły Sheppard nie mógł spojrzeć mu w oczy.

- Wyjedziesz wcześniej - stwierdził Michael. - Jeszcze dzisiaj rano. Zabierz samochód. Wtedy mogę mieć to w dupie. Jedź sobie do hotelu i tam się pieprz do upadłego. Ale żeby cię tu nie było, kiedy wstanie Emma, bo przysięgam, że nie wiem, co ona robi, jak cię zobaczy. Zrozumiałeś?

- Tak - odrzekł Sheppard.

Dziwna rzecz, ale ta wymiana zdań oczyściła atmosferę. Dlaczego czekał? Co było z nim nie tak? Następnego ranka zameldował się razem z nią w hotelu Argyle.

Wydawało mu się, że Susan odebrała to posunięcie jako rodzaj deklaracji. Była zachwycona. Kiedy wrócił ze szpitala, na toaletce stały kwiaty i martini świeżo nalane dla niego z shakera.

- Witaj w domu, doktorze - powiedziała, podchodząc do niego z kieliszkiem w ręku. Zanim jeszcze zdążył dopić drinka, siadła na nim z tą samą energią, jaką wykazywała trzy lata temu, głodna, zmyślna i niestrudzona, choć później, w półmroku, poprosiła:

- Powiedz mi to, co miałeś powiedzieć. Czekam. Czekam niecierpliwie, Sam.

- Mam ci powiedzieć, że cię Kocham? - zapytał.

- To mówiłeś już wcześniej. Ale możesz powtórzyć, jeśli chcesz.

Naciskany przez nią przyjął pozycję obronną.

- Może jakieś jedzenie odblokuje mi pamięć - zażartował.

Kiedy się ubierali, milczała; potem zrobiła sobie jeszcze jednego drinka, a kiedy stanął za nią w lustrze i objął ramionami, zeszywniała. Teraz Sheppard zaczął mówić dla zagłuszenia ciszy, próbując skierować rozmowę na coś konkretnego, jak choćby jego staż. Zawsze lubił rozmawiać z nią o pracy. W odróżnieniu od Marylin Susan miała o niej pojęcie - wiedziała, jakich pytań nie zadawać - nie zdołał jednak poprawić jej nastroju.

Podczas deseru, kiedy opisywał zakończenie dzisiejszej operacji, Susan upuściła łyżeczkę. Spadając, metal głośno brzęknął o spodek.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała.

- Co masz na myśli?

- Stąd, z Los Angeles. Kiedy wyjeżdżasz?

- W niedzielę. Przecież wiesz.

Jej oczy zasły łzami.

- A kiedy wrócisz? I czy w ogóle wrócisz?

- Wrócę - zapewnił.

- Kiedy?! - krzyknęła zniecierpliwiona. Para przy sąsiednim stoliku zmierzyła ich wzrokiem. - Powiedz mi, kiedy. Powiedz coś konkretnego.

- Mów ciszej, proszę.

- Nie traktuj mnie jak dziecko.

- Proszę cię, to nie jest dla mnie łatwe. - Czuł już grunt pod nogami. Mimo wszystko była to przecież prawda. - Czy tobie łatwo było odejść?

Sięgnął do jej dłoni, ale mu ją wyrwała i splotła ręce na piersiach.

- Wyobraź sobie, proszę, moją sytuację - powiedział.

- Ja swoje już zrobiłam - odparła.

Przez chwilę siedzieli, rozglądając się po sali. Zapłacił rachunek i wyszli, nie zamieniając ani słowa. Kiedy jednak wrócili do pokoju, odezwała się:

- Przepraszam. W przyszłości będę bardziej cierpliwa.

Później się kochali. Czułość i delikatność, od której zaczęli, szybko zamieniła się w szalony i wyuzdany seks. Zasnęła zaraz potem, a jej oddech, kiedy pochrapywała, pachniał czosnkiem. Nieswojo się czuł z otwartymi oczami. Zawsze zasypiał wcześniej od żony. Zaczął przywoływać mgliste wspomnienia Marylin, która próbowała się czymś zająć, podczas gdy on pogrążał się we śnie, częścią świadomości tylko rejestrując, jak czyta książkę albo stara się cicho zmywać naczynia na dole, jak w domu pali się światło, choć przecież o tej porze powinno być zgaszone, albo jak trzaskają lekko drzwi na patio, co znaczyło, że się wymknęła na papierosa. Raz jeszcze pomyślał o jej słowach. Mówiła mu, żeby się nie bawił zbyt dobrze. Teraz uważał, że z niego drwiła, nabijała się z niego, jak matka z głupiego chłopczyka. Wstał i nagi podszedł do okna; patrzył na centrum Los Angeles. Drapacze chmur rysowały się w oddali na tle nieba, zabezpieczone przez rozświetloną płaskość, która je otaczała. Los Angeles nie pozwala, by się w nie wtopić bez reszty; zawsze się je obserwuje z zewnątrz, nie mogąc tam dotrzeć, widok za oknem idealnie więc oddawał charakter miasta. Poczł się jak nomada, który mając już w zasięgu wzroku cel swojej podróży, rozbija jeszcze obóz, by dopiero następnego ranka pokonać ostatnie kilometry.

Wyszedł z hotelu dobrze przed szóstą, starając się za wszelką cenę nie obudzić Susan. W samochodzie odetchnął z ulgą, że udało mu się uniknąć rozmowy. W drodze do szpitala znów jednak poczuł niepokój. Dlaczego się wahał? Potem był Chappie i kolejna operacja, a jeszcze potem w pokoju lekarskim Bart Elster, młody chirurg, który trzy lata temu odbywał staż w Bay View, przywitał się z Sheppardem i zaprosił jego oraz kilku innych chirurgów na lunch. Szybko się okazało, że Bart bierze ślub w San Diego.

W najbliższą sobotę. Czy doktor Sheppard zaszczyci go i przyjmie zaproszenie na przyjęcie weselne?

Oczekiwał, że Susan będzie podekscytowana perspektywą wycieczki wzdłuż wybrzeża, ona jednak go zaatakowała.

- Po co niby miałabym jechać na wesele jakiegoś obcego człowieka? - warknęła.

Oniemiały Sheppard wyjaśnił, że ten młody człowiek jest tylko kolegą z pracy. Na przyjęciu nie będzie właściwie nikogo znajomego, a on całą imprezę traktuje jako okazję do wycieczki.

- Po co nam okazja? - zapytała. - Nie możemy wymyślić czegoś sami? - Zdjęła miarkę z shakera, żeby nalać mu drinka. Zachlapała przy tym blat. - Zupełnie jakbyś mi kazał jeszcze raz przechodzić przez wszystko to, co mnie spotkało u Millera - dodała. Kiedy jej wyznał, że nie rozumie, cisnęła jego szklanką o ścianę. - To sam sobie jedź, skoro tak bardzo chcesz się wyrwać z miasta! - krzyknęła, po czym rzuciła się na łóżko, łkając.

Patrząc na jej wstrząsane płaczem plecy, Sheppard nie był pewien, czy ma wyjść, czy zostać. Położył dłoń na jej ramieniu, ale się wyszarpnęła.

- Nie dotykaj mnie - krzyknęła i rozszłochała się jeszcze bardziej.

- Jak chcesz - powiedział, ale został obok niej. Kiedy nie przestawała płakać, sięgnął po wiszącą na krześle marynarkę i ubrał się.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Na obiad.

- Zostawisz mnie tak?

- Tak, chyba że mi powiesz, o co ci chodzi.

Usiadła na łóżku i odwróciła się do niego. Strużki tuszu ściekające po jej policzkach dodawały twarzy dzikości.

- Nie rozumiesz? - spytała. - Przecież to wesele, a ja nie mam co na siebie włożyć!

Recepcjonista dał mu listę sklepów otwartych do późna. Powiedział, że najbliższej jest salon Ransohoff. Po tej awanturze Sheppard czuł się roztrzęsiony i zamknął się w sobie. Nigdy wcześniej nie widział jej w takiej furii. Dopiero teraz pokazała wściekłość, impulsywność i coś w rodzaju desperacji. Czy taka była naprawdę? Czując nagłą potrzebę powrotu do Cleveland, z tęsknotą pomyślał o jeziorze, codziennej rutynie, domu. Gdyby teraz odszedł, nie stałaby mu się żadna krzywda. Wyszedłby z tego bez szwanku.

Mimo to wzięła go pod ramię, kiedy wchodzili do sklepu, drugą ręką trzymając jego dłoń.

- Masz prawo być na mnie wściekły - stwierdziła. - Wiem, zachowuję się głupio i śmiesznie. - Kiedy westchnął, szepnęła mu do ucha: - Powiedz to.

- Zachowujesz się głupio i śmiesznie.

Zatrzymała go i zarzuciła mu ręce na szyję..;

- To dlatego, że chcę, żebyś się o mnie troszczył - wyznała.

- Naprawdę?

- Chcesz się o mnie troszczyć?

- Chcę.

- To dobrze, sprawa załatwiona - zawyrokowała. I rzeczywiście było po sprawie.

Sprzedawczyni zaprowadziła ich do przymierzalni. Zza kotary zaczęły wychodzić modelki, paradując przed kanapą, na której usiedli obydwój z Susan. Kroki dziewcząt tłumił gruby dywan, a w wielkim szarym pomieszczeniu było tak cicho, że słyszał szelest tkanin. Nie sposób było nie docenić jakości strojów, prezentowanych w świetle odbijających się dodatkowo w wielkim lustrze dwóch żyrandoli. Widząc podniecenie Susan na widok kolejnych kreacji, zaczął się zastanawiać z naukową ciekawością, dlaczego nigdy mu nie przyszło do głowy, żeby się wybrać do takiego sklepu z Marylin. Skąd mu się wzięły marzenia o podrywaniu innych kobiet, sny o chodzeniu z nimi (albo z Susan) za rękę po ulicach obcych miast? Skąd teraz ta nagła hojność? Cudowna kolacja. Drogi hotel. Pokaz jego lekarskiej zamożności i ani odrobiny jego podłego skąpstwa, kiedy sprzedawczyni podawała ceny. Przecież z żoną oszczędzał każdy grosz.

Najbardziej spodobała się Susan czarna sukienka z dekoltem w łódkę, który eksponował jej obojczyki i szczupłe ramiona. Przymierzyła ją i weszła do pokoju pewnym krokiem - jakby zwielokrotniona smugą ciągnących się za nią odbić w lustrze - Sheppard nie mógł opanować nagłego pożądania. Coś w niej, jakiś aspekt jej wielkiej urody wymazał wszelkie nieprzyjemne odczucia. Jawiła mu się niczym Wenus wynurzająca się z morskiej piany. Nie posiąść jej znów i znów od początku byłoby równoznaczne z zaniedbaniem. Przypomniwał sobie o wolności, którą mieli teraz i którą mógłby zachować na zawsze, gdyby tylko chciał.

Tamtego wieczoru zatelefonował do Marylin.

- Boże! - powiedziała. - Nie ma na ziemi cudowniejszego miejsca niż to! Tutaj mam wrażenie, że pozostawanie w Cleveland to głupota.

- Nie myślałaś tak, kiedy tam mieszkałaś - stwierdził.

- Owszem, myślałam - zaproponowała.

- Daj spokój, Marylin. Zawsze chętnie wracałaś do domu.

- Byłam młodsza i głupsza. To nie znaczy, że musimy kultywować tę głupotę. Teraz też jesteśmy głupi. Moglibyśmy żyć tu szczęśliwie, Sam. Pomyśl, że Rost dorastałby nad oceanem.

- Znów zmieniałabyś zdanie. Wszystko wydaje ci się cudowne, bo jesteś tu tylko na wakacjach.

Przez chwilę milczała.

- Jeśli dobrze pamiętam, kochanie, Chappie zostawił ci otwartą furtkę. I to ty chciałaś się tu przenieść.

- Możemy już skończyć z tym nonsensem?

Trzaski w słuchawce brzmiały jak odgłos morza. Czuł, jak gwałtownie opada nastrój ich obojga.

- Masz dużo zajęć? - zapytała.

-Tak.

- Podoba ci się pobyt tutaj? Jesteś zadowolony?

- Jestem.

- Powinieneś więc jeszcze się tu wybrać.

- Na pewno.

- Czyli widzimy się w niedzielę?

Odkładając słuchawkę, był pewien, że podjął decyzję o rozstaniu.

Pamiętał o tym, kiedy jechali stanową jedyneką tamtej soboty. Wyruszyli z Susan po południu, około czwartej.

Ta droga wydłużała podróż - bite dwie i pół godziny do La Jolla - ale pogoda była zjawiskowa: popołudnie niezwykle ciepłe o tej porze roku, a niebo tak jasne i klarowne jak jego umysł. Był gotów jej powiedzieć. Dziś wieczorem. Następnego ranka miał wyjechać do Big Sur, należało więc poczynić jakieś plany. Owszem, mógł jej powiedzieć teraz, ale było zbyt przyjemnie na rozmowę, kiedy niemal utożsamiał się ze stłumionym warkotem silnika przy lekkich szarpnięciach na każdym zakręcie, kiedy na nagłych spadkach drogi żołądek zawisał w powietrzu, kiedy inne auta cicho

pojawiły się w zasięgu wzroku, by przepłynąć obok, a brązowe klify, pokryte zielonymi łatami krzewów i trawy, pięły się od drogi ku wysokim kępom sosen.

- Taka pogoda mogłaby trwać wiecznie - stwierdziła Susan. Zgodził się i złapał ją za rękę.

Ale zanim dotarli do klubu jachtowego, front atmosferyczny się przesunął, a całkowicie spokojny ocean odbijał ostatnie promienie zamglonego słońca. Dopiero później Sheppard uświadomił sobie, że bardzo długo nic nie jedli. Na przyjęciu było w bród zakąsek, a więcej jeszcze szampana, pił więc kieliszek za kieliszkiem. Zanim się opamiętał, przerzucił się na dzin. Tak się złożyło, że Susan знаła kilku gości jeszcze z Cleveland i odeszła od jego boku niemal natychmiast. Sheppard dał się złapać w pułapkę długiej rozmowy z okulistą z San Francisco, zdołał jednak się wyrwać, kiedy zobaczył pierwsze krople spadającego deszczu - zostawił samochód ze zdjętym dachem, pośpieszył więc, żeby go założyć, a potem stanął w miejscu i zamknął oczy, żeby posłuchać, jak trzeszczą i gwizdzą na wietrze maszty przycumowanych łodzi. Wiatr był niespokojny, a deszcz okazał się raczej mżawką niż ulewą, zrobiło się jednak zimno, a to go nieco orzeźwiło i doszedł do wniosku, że jest bardzo pijany.

Wrócił na przyjęcie zaskoczony, jak głośno i jak ciepło jest w środku, i natychmiast zaczął szukać Susan. Poczul palącą potrzebę, żeby się z nią znaleźć sam na sam, powiedzieć jej wszystko, co w sobie tłumił, zapewnić, że jest wreszcie pewien. Ale w sali bankietowej Susan nie znalazł. Dopiero w barze zobaczył ją stojącą w rogu pomieszczenia z jakimś młodym mężczyzną, roześmianą, z brodą zadartą ku rozmówcy i kieliszkiem opartym na palcach obydwu dłoni. Mężczyzna stał pod ścianą chłodny i butny, zadowolony, że ona poświęca mu całą uwagę. Miał ciemne włosy i ostre rysy, jak ona. Nagle pochylił się nad nią, żeby powiedzieć jej do ucha coś o gościu, którego wskazywał palcem; najpierw się roześmiała, a następnie chwyciła go za przegub dłoni, by podkreślić, że jest tego samego zdania. Sheppard omal się nie rozbił o przezroczysty klosz intymności, którym otoczyli się ci dwoje; kiedy się odwróciła, jej oczy błyszczały. Może by nie poczuł tak nagłej zazdrości i nie wpadł we wściekłość, gdyby potem znów nie stanęła do niego plecami, okazując mu zupełny brak zainteresowania.

- O, Sam!

- Susan.

Spojrzał na nieznanomego, który też mu się przyglądał. :

- Jestem doktor Sheppard.a
- Doktor Kessler.
- Mark i ja pracujemy razem w Good Samaritan Hospital.

Czekali.

- Mogę zamienić z tobą słowo? - powiedział Sheppard, biorąc ją pod ramię. - Wszędzie cię szukałem.

- No to znalazłeś.

Zamilkł i uważnie się jej przyglądał. Jej spojrzenie przeniosło się po jego twarzy z góry do szyi, po czym znów podniosła oczy.

- Chyba powinniśmy już jechać - stwierdził.

- Nigdzie nie jadę.

- Nie?

- Przynajmniej nie teraz. Świetnie się bawię.

Sheppard spojrzał przez jej ramię na Kesslera.

- Może jesteś po prostu pijana - rzucił.

- Czyżby? Wybacz, że cię opuszczę.

Odwróciła się, żeby odejść, ale chwycił ją za ramię.

- Zostaw mnie!

- Chodźmy się przewietrzyć.

- Nie potrzebuję powietrza. Za to chcę się znaleźć jak najdalej od ciebie!

- Więc to tak?

- Tak. Jesteś wielkim żenującym znakiem zapytania.

-Susan.

- Nawet Mark powiedział to przed chwilą. „Z kim jesteś?” - spytał, a kiedy mu powiedziałam, że z tobą, nie mógł uwierzyć: - „Jesteście ze sobą?” A ja nie potrafiłam mu odpowiedzieć, naprawdę nie potrafiłam. Bo czym my jesteśmy? Co miałam mu powiedzieć? Co mam mówić ludziom, a przede wszystkim na przyjęciu?

- Nie rób z siebie idiotki!

- Masz rację. Jestem idiotką. Daję ci się pieprzyć jak idiotka!

Ścisnął ją za obydwa łokcie, przysunął jej ciało do siebie, niemal wciskając usta do jej ucha.

- Jeśli chcesz mnie jeszcze kiedykolwiek zobaczyć, to natychmiast wyjdiesz ze mną przez te drzwi - wyszeptał. - Rozumiesz?

Zachichotała i szarpnęła się w jego uścisku.

- Rozumiesz? - powtórzył, odstawiając ją na ziemię.

Spojrzała na swoje łokcie, na blednące czerwone ślady w miejscach, gdzie zacisnął na nich palce. Potem, kiedy już się przekonała, że powiedział to serio, jej oczy się zwęziły, a na twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

- Jesteś śmieszny - stwierdziła.

To był błąd, że się zdecydował na drogę wzdłuż wybrzeża, nie tylko ze względu na pogodę i stan techniczny samochodu, ale też z powodu dodatkowych kilometrów oraz znacznie ograniczających prędkość zakrętów na drodze, bo mógłby się znaleźć w Los Angeles szybciej, a więc i wcześniej położyć spać, co następnego ranka pozwoliłoby mu wstać także wcześniej, żeby pojechać z Chappiem do Big Sur i dołączyć do Marylin. Decyzja nie tylko błędna, ale też w tych warunkach niebezpieczna. Był to jeden z wielu błędów, które popełnił ostatnio, co uświadomił sobie, walcząc z bólem kciuka pulsującym tak ostro w miejscu, gdzie go przeciął, że na pewno trzeba będzie założyć szwy.

Opanował go ten sam niepokój, który odczuwał wcześniej - irracjonalny lęk, że nie przeżyje tej nocy, bo wszystkie popełnione dotychczas błędy sprzysięgną się przeciwko niemu i jakoś spowodują jego śmierć tutaj, u boku Susan, żeby także śmierć świadczyła przeciw niemu. Choroba ma symptomy, diagnostyk szuka infekcji albo zwykłego przypadku, ale błędy są wynikiem wyboru, sekwencji wydarzeń, którą można prześledzić od samego początku. To był błąd, pomyślał Sheppard, że się zaangażował w relację z Susan. Jak mógł pomyśleć, że kobieta, którą wybrał na kochankę, może być czymkolwiek więcej? Nie, od początku ich znajomość nie miała przyszłości. Tylko że ani jedno z tych przemyśleń nie przybliżało go do właściwego rozwiązania.

Nagle zrozumiał z całą jasnością, co znaczyły ostatnie słowa jego żony. „Nie baw się zbyt dobrze”. Ona wiedziała. Zawsze wiedziała!

Uśmiechnął się pokornie. Od chwili, gdy tu przyjechała, a pewnie też znacznie wcześniej, wiedziała, że on się spotka z Susan. Wiedziała i z góry mu wybaczyła - ale to tylko część tego, o co jej chodziło. Reszta jest taka: ona czeka. Jeśli to ma być ich koniec, niech nadejdzie. Jeśli tylko kolejny

jego skok w bok, też dobrze. Ona będzie czekała, aż on coś postanowi: przytuli ją albo odrzuci, cokolwiek; ona nie zakończy tego małżeństwa. Kocha go, da im więc jeszcze jedną szansę - tym razem ostatnią.

„Boże - modlił się Sheppard - pozwól mi dojechać do domu”.

- Zatrzymaj się - powiedziała Susan.

- Po co?

- Umieram z zimna. Chcę, żebyś założył dach - wyjaśniła.

- Chłód mnie orzeźwia.

- Zatrzymaj ten cholerny samochód, Sam, albo przysięgam na Boga, wyskoczę..

- To skacz. Wszystko mi jedno.

- Pewnie, zawsze ci było wszystko jedno.

- Wyobraź sobie, że dopiero od dzisiejszej nocy. ,

-Ciekawe!

- Owszem, po twoim małym przedstawieniu.

- Oczywiście! Wszystko, co wychodzi poza wąskie granice twoich przyzwyczajzeń, to przedstawienie. Ale to nie było przedstawienie, tylko pieprzone życie!

Podniósł prawą rękę przed jej oczy, szybko złączając i rozdzielając palce z kciukiem, jakby naśladowując ruchy jej ust i dając do zrozumienia, że plecie byle co.

- Jesteś żaloszny - stwierdziła. - Żaloszny i tchórzliwy.

- Idź do diabła!

- Nie potrafisz zająć stanowiska w żadnej sprawie. Ani nikomu się postawić.

Włączył radio.

Wyłączyła je.

- Nie potrafisz się postawić swojemu ojcu. Jesteś malutkim chłopczykiem, który realizuje jego malutką wizję twojego malutkiego życia.

- Nie tykaj mojej rodziny!

Jechał prawie sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Opony aż furczały.

- Wszczynasz te swoje bunciki, by mieć złudzenie, że jesteś wolny - szydziła.

Oblizwał górną wargę.

- Nie potrafisz się postawić żonie. Nie umiesz z nią skończyć nawet wtedy, kiedy szepczesz mi do ucha, że mnie kochasz. W ten sposób ledwie dwoma słowami upokarzasz nas obydwie jednocześnie.

- Zamknij się!

- Nie potrafisz się określić nawet teraz: „Owszem, po twoim małym przedstawieniu”. Jakby to była kropla goryczy, która przepełniła puchar!

- Zamkniesz się wreszcie, do jasnej cholery?

- Boże, ależ ja byłam głupia! Robert był dobrym człowiekiem. Kochał mnie. Przynajmniej wiedział, co to miłość. I znał własne ograniczenia.

Sheppard zaczął się śmiać jak szalony. Przekroczył sto czterdzieści na godzinę i miał ochotę odbić kierownicą w lewo, posyłając ich jak pocisk w powietrze tylko po to, żeby zobaczyć jej strach, kiedy będą spadali do Pacyfiku.

- Zawsze na tobie traciłam! - stwierdziła. - Wisisz nad moim życiem jak kłątwa. Jesteś przekleństwem.

- Jutro już mnie nie będzie.

- Ciekawe, która teraz padnie twoją ofiarą? Która szczęśliwa niewiasta nie ma jeszcze pojęcia, że już niebawem Sam Sheppard wykończy właśnie ją?

- Jesteś ostatnia, możesz mi wierzyć. Dałaś mi wystarczająco dobrą nauzkę.

- Żal mi twojej żony.

Odwrócił głowę, celując palcem prosto w jej twarz.

- Nie waż się mówić o mojej żonie!

Krzyknęła, ostrzegając przed czymś na drodze. Wybałuszyła oczy, opierając obydwie ręce na desce rozdzielczej.

W ułamku sekundy Sheppard skierował wzrok z powrotem na drogę i nacisnął hamulec. Tuż przed uderzeniem zobaczył jakiś kształt i brązowe włosy - w kolorze włosów jego żony. Chciał krzyknąć: „Marylin!” Był przekonany, że jakiś koszmarny zbieg okoliczności albo diabelska sztuczka przywiodły ją setki mil od Big Sur na tę drogę w tym właśnie momencie; pewien, że ciało, w które właśnie uderzył, należy do niej. Dźwięk był potworny: chrzęst łamanych kości i ciała rozrywanego siłą uderzenia, a potem głuchy odgłos pod prawym tylnym kołem, kiedy zarzuciło tył auta. Lata, które spędził za kierownicą samochodu rajdowego, uratowały im teraz życie - zamiast kontrować, obrócił kierownicę w kierunku, w którym ich

znosiło. Przez chwilę auto jechało tylko na lewych kołach przechylone jak katamaran, po czym znów osiadło na jezdni wszystkimi czterema, piszcząc nieprawdopodobnie podczas wszystkich trzech obrotów, które wykonało, zanim zjechało na przeciwległy pas jezdni i zatrzymało się przodem w kierunku dotychczasowej jazdy.

Dobre trzydzieści metrów za miejscem zderzenia siedzieli przez kilka sekund w całkowitym milczeniu.

- Co to było? - zapytała Susan. - Mój Boże, czy to była kobieta?

Sheppard wrzucił wsteczny, naciskając pedał gazu do dechy. Zatrzymał, widząc coś, co wyglądało jak kończyna.

- Zostań tutaj - rzucił, po czym zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z auta.

Lata praktyki lekarskiej sprawiły, że nagły przyływ adrenaliny przyniósł opanowanie oraz zdwojoną czujność. Światła hamulca rzucały czerwony blask. Choć wprowadził umysł w stan profesjonalnego spokoju, Sheppard odczuł wyraźną ulgę stwierdzając, że kończyna należy do psa. Podszedł bliżej - duży pudel. Dopiero gdy postąpił jeszcze parę kroków, zauważył, że zwierzę żyje.

Stanął nad nim. Pies leżał na prawym boku. Siła uderzenia urwała mu przednią łapę, odsłaniając splecione węże mięśni, których prążki lśniły w szkarłatnym świetle.

Przyklęknął. Ciało zwierzęcia było brązowe od krwi, a tylne łapy połamane w kilku miejscach. Kości piszczelowe w jednej i drugiej sterczały wyrwane ze stawu jak dwa patyki. Krew wyciekała z uszu i pyska, a mimo to pies zachował przytomność. Na widok człowieka i pana podniósł łeb, zaskowytał i podkulił przednią łapę, która mu pozostała, żeby okazać uległość.

- Już dobrze, piesku - powiedział. - Już dobrze.

Pomacał kark zwierzęcia - żadnej obroży. - Zajmę się tobą - rzucił i wrócił do samochodu.

- To kobieta? - dopytywała się Susan. - Czy chłopiec?

Nie odpowiedział, tylko otworzył bagażnik. Wziął klucz do kół i poszedł z powrotem na miejsce zderzenia. Susan szła za nim, dopóki nie dostała odruchu wymiotnego na widok leżącej kończyny.

Sheppard raz jeszcze pochylił się nad psem.

Taki właśnie jest koszt, myślał. Każde posunięcie w łańcuchu wydarzeń zapoczątkowanym trzy lata temu, kiedy poznał Susan, prowadziło właśnie do tego. Wszystko może się skończyć właśnie tutaj, jeśli on okaże się dość silny. To może być jedyna ofiara, ale też zapowiedź kolejnych. Nie wolno mu do tego dopuścić.

Dotknął pyska zwierzęcia i poczuł na dłoni jego krew. Pies próbował się podnieść, ale zaskowytał tylko z bólu i opadł bezwładnie.

- Spokojnie - powiedział Sheppard. Zwierzę poruszyło łapami - rozcięte mięśnie wciąż żyły - i patrzyło mu prosto w oczy. W jego spojrzeniu, błagalnym i bezgranicznie posłusznym, widział miłość, którą wcześniej zbezczęścił.

Przyklęknął na jedno kolano, delikatnie chwycił kark zwierzęcia prawą ręką i zaczął uderzać w jego głowę szybko i z taką siłą, że aż jęczał, zasypując czaszkę gradem ciosów. Uderzał, dopóki poprzeczne ramię klucza się nie oderwało, tocząc po asfalcie z brzękiem, dopóki on sam nie pokrył się krwią, a jedynym dźwiękiem, który słyszał, był własny oddech. Po raz pierwszy od bardzo dawna Sheppard wiedział, jak powinien postąpić.

„Bardzo rzadko - pomyślał Richard Eberling - spełniają się nasze najskrytsze pragnienia”.

Miał dziś cztery domy do posprzątania i musiał się trzymać grafiku, ale po drodze między jednym a drugim był myślami z Marylin. Przypominał sobie, jak siedzi z nią na patio, myślał o szansie, którą stracił i propozycji, którą mu złożyła („Po pracy mógłbyś popływać. Trochę byś się rozerwał”). Doszedł do wniosku, że im ciężiej będzie pracować, tym szybciej zleci mu czas do środy. Inaczej oczekiwanie byłoby torturą. Pomyślał o dzieciństwie spędzonym w sierocińcu, gdzie nauczył się spać nawet po piętnaście godzin na dobę, jeśli było trzeba. Teraz to byłoby niemożliwe. Miał przecież pracę. Wiele razy wyobrażał sobie, jak spędzi ten dzień z Marylin i za każdym razem, kiedy powracał do swojej fantazji, która kończyła się wejściem do jej sypialni, powtarzał sobie: „Muszę być dzielny. Muszę uwierzyć. Nie

wolno mi się zawahać nawet na chwilę. Wsunę się pod chłodną pościel i powierzę jej mój sekret".

Chciał dać jej jakiś prezent. Pomyślał, że może książka otworzyłaby mu drogę, może tomik poezji, dlatego sprząając dom Newhartów w Huntington Park przyglądał się ich potężnej bibliotece z oknami wychodzącymi na wodę (i na plażę - więcej kurzu), wyciągając na chybił trafił książki autorów, o których nie miał pojęcia i kartkując je w nadziei, że może trafi na coś, co mu się przyda.

*Z woli Wenus ja mistrzem Amora zostałem,
Bom amorów Tifysem i Automedontem.
Choć Amor się opiera, bo dziki i chytry,
Dzieckiem jest, więc bez trudu wezmę nad nim górę.*¹*

„Ja także jestem jak dziecko” - pomyślał Eberling zdumiony. Także nad nim łatwo było wziąć górę, no i Amor mu się opiera. Gdyby został lekarzem jak doktor Sam, wtedy byłoby zupełnie inaczej. Przypomniał sobie, jak któregoś dnia Sheppard przeszedł obok niego, jakby był niewidoczny, choć przecież on mu się uklonił. Albo jak na szkolnym meczu futbolowym doktor Sam wpadł na boisko, kiedy jakiś chłopak rozwalił sobie kolano, a piękna dziewczyna siedząca tuż obok powiedziała: „Dla takiego lekarza mogłabym się rozchorować!” - po tych jej słowach Eberlingowi zrobiło się niedobrze. Przeczytał jeszcze kawałek, niewiele jednak zrozumiał, bo kolejne wersy roily się od dziwnych imion i wyczynów. Ale potrafił sobie wyobrazić, jak czyta ten wiersz na głos Marylin. To mógłby być dla niej prezent. Ona rozumiałaby wszystko, a później, kiedy czytałaby go sama, miałaby wrażenie, że to on czyta, jakby ciągle był obok niej. Słyszałyby jego głos, przewracając kartki: jakby był bardzo malutki, a ona bardzo duża, i wspinałby się do jej ucha, żeby szeptać. Wsunął książkę do tylnej kieszeni kombinezonu.

U Newhartów poszło mu całkiem szybko - pominął pokój gościnny, ale wydawał się nieużywany od zeszłego tygodnia - a następny miał na liście dom Bradfordów, gdzie z pewnością znajdzie coś dla Marylin. Matka pani Bradford, Priscilla, mieszkała w pokoju nad garażem. Ta stara wariatka nie wiedziała już nawet, jak się nazywa, a miała szufladę pełną biżuterii po-

¹ * Owidiusz, *Sztuka kochania*, przeł. E. Skwara, Warszawa 2008.

układanej w ozdobnych pudełeczkach i pogrupowanej starannie (pierścionki, kolczyki, naszyjniki). Na tej samej komodzie stał szklany pojemnik z wieloma przegródkami pełnymi starych bibelotów: medalion w kształcie srebrnej rybki z otwieranym pyskiem, pierścionek ze schowkiem pod kamieniem, delikatny zegarek z czarną tarczą i dwiema złotymi wskazówkami. Żeby coś stamtąd wziąć, wystarczyło przypomnieć pani Bradford o starszej pani: „Czy mam zanieść na górę herbatę dla starszej pani?” Albo: „Pani Bradford, może pójdzie pani ze mną na górę, jak będę tam sprzątał, żeby pani matka się nie przestraszyła na widok kogoś obcego w domu”. Wtedy ona dotykała jego ramienia - napalona, choć już stara - i mówiła: „Dickie, ona pewnie myśli, że jesteś jej synem, którego nigdy nie miała”, po czym zapalała swojego cienkiego papierosa i wybuchała śmiechem.

Kiedy Eberling wszedł na górę, Priscilla siedziała na krześle przy oknie wychodzącym na jezioro. Najpierw dał wielki pokaz pracowitości, po-brzękując mopami i wiadrem, energicznie czyszcząc wannę i sedes, trzaskając deską - w oczekiwaniu, aż usłyszy trzask zamykanych drzwi, a następnie zobaczy panią Bradford idącą na plażę ze szklaneczką whisky w dłoni. Wtedy podszedł do Priscilli, stając tak blisko, że widział własne odbicie w jej zamglonych oczach, i dokładnie obejrzał biżuterię, którą dziś założyła jej pani Bradford, ubierając ją, jak codziennie rano. Kiedy zapamiętał już pierścionki, kolczyki i naszyjnik - stara wiedźma przechylała głowę wyczekująco jak pies - przejrzał szuflady, żeby znaleźć możliwie najbardziej podobne, powiedzmy, perłowe kolczyki albo złoty medalion, po czym porównywał jedno z drugim, przystawiając do Priscilli, jakby była manekinem. Na koniec zamieniał biżuterię, wrzucając tę, którą zdejmował, do wiadra z brudną wodą, a starucha mu w tym sekundowała: odwracała głowę, kiedy zamieniał kolczyki, a nawet lekko unosiła rękę, kiedy się zajmował pierścionkami.

Myśląc o Marylin, powiedział bezgłośnie: „Chcę ci wyjawić mój sekret”.

Eberling sprzątał wielki dom Bradfordów od dwóch lat, a nigdy jeszcze nie spotkał pana domu. Ale wiedział, że jakiś pan Bradford musi się tam pojawiać, bo czasem łóżko w pokoju obok głównej sypialni było rozesełane, a na wygodnym fotelu z zagłówkiem leżał garnitur równie elegancki jak te w szafie. Eberling obmacywał kieszenie marynarek, często znajdując jakiś

zaskakujący skarb: dobre cygara zapakowane w celofan, kołki do golfa z monogramem, srebrny wizytownik albo grawerowany spinacz do banknotów. Także w tym wypadku sztuka polegała na tym, żeby nie korzystać z każdej nadarzającej się okazji. Należało się powstrzymać przed tymi najbardziej oczywistymi, ponieważ łatwe zdobycze mogły być zasadzką, testem zaufania, pułapką zastawioną przez pracodawcę sprawdzającego za każdym razem, czy przedmioty te leżą tam, gdzie je zostawił. Prawdziwe łupy kryły się pod komodami i obok stołów, w upchniętych po zagraconych szafkach pudełkach, na których napis ZDJĘCIA przekreślono, zastępując jakimś innym, a następnie schowano je tak, by nie pominąć ich tylko podczas przeprowadzki - albo po śmierci, kiedy dzieci lub małżonek zmarłego przeglądają jego rzeczy.

- Dickie? - krzyknęła pani Bradford. - Chodź na górę i zrób sobie przerwę.

Aha, znowu ma chcię! Będzie na niego czekała z rękami opartymi o wysokie wezglowie antycznego łóżka, opierając o nie także wysoko upiętą stertę siwych włosów pod wyrzeźbionymi w drewnie skrzydłami, które wyglądały, jakby wyrastały z jej ramion. Na szafce nocnej zawsze stał świeżo przygotowany drink w oszronionej szklaneczce z wiśnią uwięzioną między kostkami lodu jak czerwona tęczęwka w brązowym oku i palił się papieros na złotej popielniczce, której niestety nigdy się nie uda podwędzić. Pani Bradford zawsze się rozbierała wcześniej, żeby nie tracić czasu i czekała gotowa w pościeli, którą potem starannie i równie posłuszenie prał. Szedł na górę, oglądając po drodze wiszące na ścianach zdjęcia w pozach szczęśliwej rodziny: matka, ojciec, córka i syn, wszyscy z głową lekko na prawo i oczywiście wszyscy szeroko uśmiechnięci. Ale każde małżeństwo w każdym domu, który Eberling sprzątał, miało własny brud, niepowtarzalny jak zapach i zastarzały jak tłuszcz na kuchence po latach gotowania. Myśląc, że tak samo będzie się wspinał po schodach w przyszłym tygodniu do Marylin, czuł już zapach papierosa oraz smak tytoniu i cukru w ustach pani Bradford, na jej długim zimnym języku, resztki wiśni między jej zębami i szminkę rozmazaną na siekaczu jak zastygła krew. Czuł, jak znów tężeje w nim jego sekret; myślami wracał do przybranej rodziny na farmę Eberlingów, gdzie się wychował, przeszedłszy wcześniej przez pięć innych domów. Jego przybrana matka Christine wślizgiwała mu się do łóżka, gdy budził go własny krzyk, żeby trzymać go w ramionach, dopóki znów nie

zasnął. Później, w środku nocy, Christine niczym w transie - czasem przecież śni się nam, że leży obok nas ktoś inny - kładła jego chłopięce ciało na sobie, stopą ściągała mu spodnie od piżamy, zaczepiając palcami o majtki i drapiąc jego chude nożyny, zadzierała koszulę nocną, powtarzając: „powolutku, tylko powolutku”. Eberling był pewien, że śni jej się coś cudownego, ale później brała go za uszy - bał się jej siły - i wciskała jego twarz między swoje uda, jakby jego głowa stanowiła część całkiem odrębną od ciała. Trzymała ją tam, przesuwając w górę i w dół, zmieniając kąt nachylenia jego języka, który czasem ścisnęła między kciukiem a palcem wskazującym, a potem wycierała mu usta dłonią i wciąż śpiąc, jak się Eberlingowi wydawało, powtarzała mu, że jest cudowny i kochany (choć nigdy nie wypowiedziała jego imienia), że może robić, co chce - co rozumiał jako pozwolenie na dowolne zachowanie w życiu - że nie powinien się bać i że jest dla niej kimś wyjątkowym.

W końcu: „Możesz już włożyć piżamkę”

Zasypiał.

Rano wstawała zawsze wcześniej niż on, żeby mu zrobić śniadanie: „Dickie, zejdź na dół i zjedz!”

Teraz uważał, że to był błąd Christine. To przez jej zachowanie był nikim - nie został doktorem Samem, a mógł. Nie wszystko jednak jeszcze przepadło. Życie przynosi niespodzianki, czego dowodem jest zaproszenie od Marylin. Powie jej o tym wszystkim w przyszłym tygodniu, a ona się nie wystraszy. O to właśnie chodziło, żeby znaleźć kobietę, która nie będzie się go bala, która w niego uwierzy. Był pewien, że to właśnie ona. Może z nią porozmawiać, wyjawić jej swój sekret, a ona powierzy mu swój. Bo każdy ma przecież jakiś sekret, prawda?

Kiedy skończył u Bradfordów, miał trochę czasu na lunch, pojechał więc do Huntington Park i zatrzymał samochód w tym samym miejscu, co rano, ale dom Sheppardów wydawał się pusty. Nagle zaczął odczuwać niepokój, ogarnęły go wątpliwości. Powyjmował swoje łupy z kieszeni kombinezonu i z wiadra, umieszczając na desce rozdzielczej, żeby wyschły. Choć bił od nich wspaniałe blaski, wydały mu się marne i tanie. Marylin nie będzie wiedziała, co powiedzieć, patrząc na te rzeczy. Wystraszyłyby ją. On by ją wystraszył. Eberling przypomniał sobie, że wyobrażenie o osobie nie jest tym samym, co ta osoba. Musi o tym pamiętać. Popułnił ten błąd już wiele razy wcześniej. Chłopcy w domu dziecka donosili na niego, kiedy dotykał

ich penisów pod prysznicem. Dziewczeta, które próbował pocałować, z krzykiem biegły do pielęgniarki. Przede wszystkim jednak dlaczego Marylin w ogóle chciałyby mieć cokolwiek wspólnego z kimś takim jak on? Zrezygnować z poziomu doktora Sama? Iść do łóżka z pracownikiem firmy Dick's Cleaning Service? Miała wiele do stracenia: synek, pieniądze i piękny dom z ładnym widokiem na pewno wynagradzały jej brak szczęścia, o którym napomykała. Był głupcem. Nie zabierze ze sobą kąpielówek w najbliższą środę. Pojawi się tam tylko po to, żeby posprzątać. A może nawet się nie pojawi? Powie jej, że zapomniał. Albo wymówi pracę.

Był teraz wściekły, że ona w ogóle cokolwiek mu sugerowała.

Uruchomił silnik.

„Wszystko mi jedno, mogę cię już więcej nie widzieć” - pomyślał.

Trochę się spóźnił do Houków, ale Ethel nawet tego nie zauważyła. Pani Houk była naprawdę miłą kobietą i nie zasłużyła sobie na to, żeby jej się stało coś złego. Podobnie pan Houk, nie tylko burmistrz, ale i najlepszy rzeźnik w mieście. Jeśli był w domu, kiedy Eberling kończył pracę, dawał mu czasem gratis kawałek wołowiny na stek.

- Natrzyj ją dobrze oliwą - mówił, stukając w zimny, wilgotny papier owijający mięso - posyp obficie solą i pieprzem, a potem smaź na dużym ogniu, ale nie więcej niż cztery minuty z każdej strony. I pamiętaj, że mięso musi potem poleżeć co najmniej połowę czasu, przez który się smażyło. Na tym polega cały sekret, rozumiesz? Żeby się soki rozeszły. - Kiwał palcem, po czym klepał Eberlinga po policzku, jak kiedyś mógłby go klepać ojciec.

Eberling miał dziś u pani Houk tylko umyć okna, ale to i tak dużo roboty, zwłaszcza przed sprzątaniem u Humphriesów. Dopiero potem czekał go fajrant.

„Mogę cię nawet już więcej nie zobaczyć” - powtarzał sobie, wychylając się za okno na drugim piętrze domu Houków, kiedy usłyszał, że ktoś wymawia jego imię. Pomyślał, że to pani Houk, odpowiedział więc i wsunął się do środka. Siedział na parapecie, czekając, aż oczy mu się przyzwyczają; wtedy z ciemnej plamy przed oczami wyłoniła się Marylin.

- Witam, pani Sheppard.

Zdawała się lekko zadyszana, może od schodów, ale uśmiechała się do niego szeroko, tak samo jak kilka dni temu. Poczul się przytłoczony jej obecnością, jakby potwierdzając tezę, że boimy się tego, czego pragniemy. Bał się na nią spojrzeć ze strachu, że mógłby się roześmiać albo stchórzyć,

wbił więc wzrok w podłogę. Mówiła bardzo cicho. Eberling wiedział, że w każdym domu głos rozchodzi się subtelnie jak dźwięk instrumentu muzycznego. Pani Houk nie mogła ich usłyszeć, mimo to Marilyn chciała mieć pewność.

- Zastanawiałam się nad przyszłym tygodniem - powiedziała. - Doszłam do wniosku, że może umówilibyśmy się na sprzątanie w poniedziałek zamiast środy?

Słyszał, jak Marilyn nerwowo przetyka ślinę. Nie mógł uwierzyć, że ona tu naprawdę jest. To musiał być sen! Był tak bardzo oszołomiony, że nie potrafił wykrztusić nawet słowa.

- Przyjdź po południu - mówiła dalej. - Rosta zostawię na chwilę u sąsiadów. Nie będzie nam przeszkadzał.

Eberling uśmiechnął się, wciąż wpatrzony w podłogę.

- Nie zapomnij o kąpielówkach. - Podeszła bliżej. - Moglibyśmy spędzić kilka przyjemnych chwil.

Stał nieruchomo oparty-o parapet i nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

- Chciałbyś? - zapytała.

- Tak - odpowiedział. - Tylko że...

- Tylko że co?

To, że sobie tego nie wyobrażał. Wszystko było takie niesamowite, takie cudowne, że powiedział jej teraz to, co myślał przez cały dzień.

- Żałuję, że nie możemy się spotkać wcześniej. - I natychmiast zaczął się przygotowywać do działania. Teraz musiał już tylko postawić ostatni krok, powierzając jej swój sekret, a potem będzie mówić jej wszystko. Drżał.

- Też żałuję - odparła, opuszczając głowę. Jej głos był nawet jeszcze delikatniejszy. - Chciałabym, żeby to było już dzisiaj w nocy.

Głośno wypuścił powietrze przez nos i podniósł wzrok, nagle czując złość. Gdyby stała przed nim pani Bradford, jej słowa nic by dla niego nie znaczyły. Ale ta sytuacja była zupełnie inna. On naprawdę kochał!

- Powie mi pani coś?

- Oczywiście.

- Nie oszukuje pani, prawda?

- Oczywiście, że nie - zapewniła.

- Mogłaby pani polubić kogoś takiego jak ja?

- Tak.

- Na długo?

Wybuchnęła tym okropnym śmiechem, przepelnionym pewnością siebie i własną racją.

- Dlaczego nie?

Znów opuścił wzrok, śmiejąc się do podłogi. Pomyślał, że doktora Sama już nie ma. Teraz są tylko oni dwoje.

- Czyli poniedziałek? - zapytała.

Skinął głową.

- Muszę już iść.

I poszła.

Przez resztę czasu u Houków i później u Humphriesów poruszał się jak automat. Od czasu do czasu zerkał na swoje podwójne odbicie, kiedy czyścił lustro w łazience Humphriesów, widząc plecy i profil - jakby patrzył na kogoś obcego. Przyjrzał się sobie krytycznym wzrokiem: miał silne ramiona, żylaste i opalone podczas godzin, które spędzał wychylony za oknami. Miał wiele pomysłów. Dzięki nim dokona wielkich rzeczy! Zawsze już będzie wspominał ten dzień jako początek wszystkiego. Zawsze będzie o nim pamiętał, bo przyniósł mu wielką niespodziankę! Dzisiaj zrozumiał, że to, co uważał za niemożliwe i nieosiągalne, od dawna leżało w jego zasięgu. A skoro tak, to co nie leżało? Czego nie mógłby dokonać?

„Żałuję, że nie możemy się spotkać wcześniej”.

Jego oczekiwanie graniczyło niemal z szaleństwem.

Wrócił do domu, wziął prysznic, zrobił sobie obiad. Zjadł. Napił się i włączył relację z meczu Indiansów. W trzeciej kwarcie wygrywali. Znów się napił. Położył się na łóżku. Próbując zasnąć, przykrył głowę poduszką. Wypił jeszcze jednego drinka i postanowił poukładać biżuterię, którą zdobył w ciągu ostatnich dwóch lat: pierścionki z pierścionkami, naszyjniki z naszyjnikami i tak dalej. Spojrzał na zegarek. Minęła zaledwie godzina.

„Żałuję, że nie możemy się spotkać wcześniej”.

Nie mógł dłużej wytrzymać.

Wieczorem mieli puszczać sztuczne ognie nad jeziorem - wstępny pokaz przed jutrzejszą wielką galą. Wsiadł do samochodu i pojechał znów do Bay View. W Huntington Park stało tak wiele samochodów, że musiał zaparkować kilkaset metrów dalej. Szedł do jeziora w tłumie rodzin, między ojcami z dziećmi na ramionach, potem znalazł się na plaży i ruszył w stronę

domu Sheppardów. Plaża także była zatłoczona. Zrobiło się zimno i wietrznie. Zapadał zmrok. Pierwsza salwa strzeliła w niebo powoli, najpierw poszybował jeden pocisk, potem drugi, w wolnym tempie, jakby chłopcy podawali sobie piłkę. Eberling poruszał się między ludźmi niezauważony, bo wszystkie oczy zwrócone były na jezioro. Zszedł z plaży schodami Houków, przeciął ich podwórze i stanął przed domem Sheppardów. Mieli gości. Wśród licznych głosów rozpoznał należący do Marylin.

Obserwując werandę, widział twarze doktora Sama i Rosta oraz gości Sheppardów - wyglądało na to, że są u nich tylko Ahernowie z dwójką dzieci - oraz samej Marylin, wszystkie oświetlone światłem wybuchów, raz białe, raz niebieskie, a potem znów czerwone. Kiedy zamykał oczy, widział je wszystkie jak na negatywie. Jej twarz była biała. Miała otwarte usta.

„Żałuję, że nie możemy się spotkać wcześniej”.

Pokaz zbliżał się do punktu kulminacyjnego, kolejne salwy waliły coraz głośniej. Podeszedł pod sam dom i sprawdził drzwi do węzłów sanitarnych. Kiedy w powietrzu huczał wielki finał, a setki oczu czarnych jak góry w burzową noc, od plaży po park, się podniosły, błyszczące jak świece dla miliona umarłych, Eberling wyjął z kieszeni śrubokręt, podważył drzwi i wszedł do środka.

Zabrał z domu długą latarkę Eveready. Najpierw wybrał miejsce na kryjówkę, gdyby się okazała potrzebna, a potem zaczął przeglądać rzeczy Sheppardów: stare narty wodne, stare pudełka na narzędzia, części zamienne do silnika łodzi motorowej, chłopięce kije do bejsbola, gry planszowe. Pośrodku piwnicy wisiał wielki powgniatany worek. Kiedy fajerwerki umilkły, wyłączył światło i siedział w ciemności, nasłuchując. Przypomniawszy sobie dzieciństwo, ponieważ słyszał tylko głosy dorosłych; potem na chwilę przysnął. Nagle usłyszał szcęk otwieranych drzwi i zapaliło się światło.

Doktor Sam zszedł do piwnicy razem z synem, niosąc model samolotu z drzewa balsa ze złamanym skrzydłem. Doktor sprawiał wrażenie zmęczonego. Miał na sobie sztruksowe spodnie i marynarkę z białą koszulką pod spodem. Czekał, aż klej zwiąże, oparł głowę na ręce, ziewał i odpowiadał chłopcu bardziej niecierpliwie, niż zamierzał. Ten ton dotknął Eberlinga, bo przecież to on połamał samolot. Doktor Sam kazał synowi spiąć złamane skrzydło klamerką do bielizny, po czym zgasił światło i obydwaj Sheppardowie poczłapali na górę.

Eberling siedział w ciemności, czując się jak dziecko, które właśnie wygrało zabawę w chowanego. Słuchał dźwięków radioodbiornika dudniącego w mieszkaniu. Transmisja meczu Cleveland Indians - głos komentatora przypominał dyspozytora w centrali taksówek, tylko od czasu do czasu darł się niemiłosiernie, jakby był świadkiem startu wyścigów albo jakiejś niespodziewanej klęski. Kiedy obudził się ponownie, dom był pogrążony w ciszy.

„Żałuję, że nie możemy się spotkać wcześniej”.

A może mu się to śniło? Wszedł do kuchni z latarką w dłoni, a stamtąd do gabinetu doktora Sama. Nie mógł się powstrzymać. Usiadł w wielkim skórzanym fotelu, mając wrażenie, że obejmują go i kołyszają wielkie silne ramiona. Spojrzał na trofea majaczące w ciemności naprzeciw niego. Zapewne zdobył je doktor, choć było zbyt ciemno, żeby odczytać plakietki. Jedne figurki składały się do rzutu, inne szykowały do skoku w nurty wody. Nigdy w życiu nie dostał żadnego pucharu. Być może dlatego chwycił jedną z figurek i przełamał złotego mężczyznę na pół. Nie wiedział, co go napadło.

Wszedł z gabinetu. Stał na niewielkim podeście, z którego na dół prowadziły schody do salonu, a na górę do sypialni. Poczul wiatr od wody i w tej samej chwili zobaczył swoje odbicie w lustrze nad kominkiem: czarna pochylona postać wystraszonego żółtodzioba. Ten widok zmroził mu krew w żyłach. Serce na chwilę się zatrzymało, po czym zaczęło walić jak oszalałe. Spojrzał w dół. U swoich stóp zobaczył doktora Sama pogrążonego w głębokim śnie na leżance. Znow zamarł. Podeszedł blisko i nachylił się nad śpiącym, wyciągając szyję niczym jaszczurka albo ptak. Byli do siebie podobni jak bracia, tylko Eberling miał mniej włosów, ciemniejszą skórę i lekko się garbił. Sheppard leżał jak nieżywy. Jeden porządny cios latarką w skroń i pozbyłby się go na zawsze. Eberling mógłby nawet powiedzieć o tym Marylin. Powiedziałałby jej: „On jest na dole. Zająłem się nim. Nie będzie nam przeszkadzał. Przepraszam, że cię budzę, ale nie mogłem czekać”.

Spojrzał w górę schodów. Obiecywał sobie, że zawsze będzie posłuszny instynktowi, że kiedy w końcu nadejdzie ta chwila, nie będzie się wahał. Zakryje Marylin usta, żeby nie krzyknęła i powie jej, że wcześniej właśnie nadeszło. Że jest dzisiejszej nocy.

Wyprostował się i ruszył w górę po schodach, usłyszał jednak jakiś hałas i zamarł po raz trzeci. Odgłosy kroków. Zszedł do salonu.

Za oknem wychodzącym na Lake Road dostrzegł cień przy drzwiach kuchennych. Zanim uciekł do piwnicy, usłyszał, jak klucz wsuwa się do zamka ząbek po ząbku.

- Czy to pańska teoria? - zapytał Mobius.

Sheppard patrzył na niego obojętnym wzrokiem.

- Może chciałby pan jeszcze coś dodać?

Sheppard poprawił się na krześle i odkaszlnął.

- Dał pan dupy, doktorze Sheppard, wie pan o tym?

Sheppard nadal milczał.

- Bo ja wiem - oświadczył Mobius

Eberling miał przed sobą obydwoje - Marylin i doktora Sama - w sypialni, oddychając ciężko i z przerażeniem z powodu tego, co zobaczył, z sercem łopocącym jak flaga podarta na strzepy przez wichur. Było cicho, o wiele za cicho na to, co widział. Stał w drzwiach z latarką lepłą od krwi ze skaleczonej dłoni, bojąc się ją włączyć, żeby rozświetlić mrok. Marylin leżała na łóżku po jego lewej stronie, zsunięta do połowy materaca. Górę piżamy miała podciągniętą pod szyję, a nogi zwisały pod poprzeczką łóżka. Twarz miała zmiażdżoną, jakby stopniała, pozbawiona wyrazu połyskiwała w ciemności czarną krwią, która lśniła też przy jej głowie jak kiyza wokół szyi królowej. Mimo to Eberling musiał jej dotknąć. Nie mógł się powstrzymać. Jej tors nie pasował do głowy, nieskalany od szyi w dół i od łona w górę, piersi i brzuch bieleły jak alabaster. Stanowił jedyną część ciała, która pozostała nią. Bardzo chciał ją kochać, ale teraz stracił ją bezpowrotnie. Zaczął płakać. Sheppard leżał między jego nogami, z głową przy stopach Marylin. Jego koszulka była nieskazitelnie biała.

Było nadzwyczaj spokojnie. Eberling miał wrażenie, że znajduje się nie w ich domu, lecz we śnie, który nie pozwala mu się poruszyć ani nawet obrócić - może tylko wodzić oczami. Na białych ścianach i wyżej, na suficie, rozprysnęło się tyle krwi, że sypialnia wyglądała jak negatyw rozgwieźdzonego nieba. Czuł, że musi stąd wyjść, ale stał jak na szkle albo cienkim lodzie, który zaczynał właśnie topnieć: jeden niewłaściwy ruch, a wszystko bezpowrotnie się zmieni.

Zaczął się pomalutku cofać, nie zachował jednak równowagi i omal nie upadł. Pokój wydał mu się namalowanym obrazem, na którym każdy jego ruch mógł rozmazać farbę. Niewiele brakowało, żeby zaczął szlochać. Z rękami wysuniętymi w bok postawił nieśmiały krok do tyłu. W tym samym momencie u jego stóp rozległ się jęk Shepparda.

Eberling zbiegł po schodach. Upadł przy pierwszym susie i zjechał na tyłku aż do podestu, podpierając się jedną ręką - w drugiej wciąż trzymał latarkę. Wbiegł do salonu, gdzie stąpnął tak niefortunnie, że kostka strzeliła jak garść łamanych patyków. Leżał skulony jak płód, masując ją przez chwilę, następnie przyklęknął i z kolan stanął na nogi. Najpierw podskakiwał, jęcząc, gdy opierał ciężar ciała na bolącej nodze. Dotarł do werandy, pewien, że słyszy za sobą doktora Sama. Już na zewnątrz odwrócił się i zobaczył stojącego w domu Shepparda, a przynajmniej jakąś sylwetkę w białej koszulce.

Przy schodach na plażę, słysząc dudnienie kroków doktora za plecami, przeskoczył barierkę i zbiegł na piasek. Aż zachrzęściły mu plecy, kiedy Sheppard go uderzył, a ból przebiegł w górę do samego karku. Doktor rzucił się na niego, wymierzając ciosy niezdarnie, jakby był pijany albo spał, machając bezładnie rękami. Eberling kopnął go w brzuch, siłą uderzenia podnosząc całe jego ciało, po czym szarpnął białą koszulkę tak silnie, że się rozerwała. Sheppard przeleciał nad nim i wylądował w wodzie.

Kłęcząc, patrzyli na siebie. Sheppard trzymał ręce przy sobie kompletnie zdezorientowany. Wyglądał jak nafaszerowany środkami odurzającymi.

Eberling walnął go w szczękę latarką. Siła ciosu powaliła doktora na ziemię, twarzą do dołu, w wodzie. Eberling usiadł na jego plecach, wziął go za głowę i gwałtownym ruchem przekręcił ją, żeby widzieć jego twarz.

„Dlaczego to ty ją miałeś? - trząśł nim. - Dlaczego ty?”

Ale doktor niczego już nie słyszał.

Eberling puścił jego głowę, pozwalając jej znów opaść do wody. Przez chwilę się gapił na jego gołe białe plecy. Wziął koszulkę unoszącą się na wodzie jak meduza i owinał nią stopę. Odwrócił się i ruszył wzdłuż linii wody w stronę Huntington Park, utykając silnie, odbił w prawo, wszedł pod górę między drzewa, a kiedy otoczyły go gęste zarośla, doszedł do wniosku, że nie może mieć przy sobie takiego dowodu rzeczowego, wyrzucił więc koszulkę i dalej wspinał się na oślep.

Mobius pokręcił głową.

- Nie ma tu żadnego finału - stwierdził. - Żadnego prawdziwego zakończenia.

Nie odzywali się przez długą chwilę.

- Chyba że pan kłamie - powiedział w końcu Mobius. Utykając, przeszedł do drzwi celi, oplótł obydwie ręce wokół prętów i wetknął podobną do pyska rottweilera twarz w dziurę między nimi. - Dam panu jeszcze jedną szansę. Czy zabił pan żonę?

-Nie.

- Nie wierzę panu.

-Nieistotne.

Mobius puścił pręty i usiadł.

- A jednak to poniekąd morderstwo doskonałe - stwierdził.

Sheppard pobladł z wściekłości.

- Doskonałe? - syknął.

- Nikt naprawdę nie wie, co się z nią stało - wyjaśnił Mobius. - Może nawet z panem włącznie. Czyż nie jest to niezwykle? Gdzieś między zero trzydzieści a czwartą piętnaście tamtej nocy Marylin wpadła w czarną dziurę, czy wierzymy w to, czy nie.

Sheppard wydłubał z języka drzazgę odłupaną z fajki.

- Tylko ona wie, co się stało - stwierdził Mobius. - My możemy sobie to jedynie wyobrazić.

Sheppard podpalił fajkę i wypuścił kłęb słodko pachnącego dymu.

- Taka jest prawda.

Kiedy Sheppard jakoś się pozbył myśli o zmarłym chłopcu i przestał płakać, podniósł się z miejsca i ręka w rękę z żoną przeszedł do hangaru. Humor zdecydowanie mu się polepszył, kiedy Marylin powiedziała, co robi na obiad i co przygotowała na jutrzejsze przyjęcie - pomyślała o wszystkim. Potem go pocałowała i pozwoliła mu wsunąć dłonie pod bluzkę. Podniósł ją, a wtedy owinęła nogi wokół jego bioder i ssał jej piersi. Nie szukała żadnych wymówek, nie próbowała go powstrzymać. Czuł, że dźwiga nie tylko ją, ale i dziecko w jej łonie. Przybyło jej ciała, ale to nie jedyna nowość. Coś się w niej zmieniło, załamał się opór, który stawiała nie tylko jemu, ale również własnym potrzebom. Stała na ziemi, rozpięła mu spodnie, zdjęła szorty i majtki, po czym znów wspięła się na niego, jakby

był drzewem. Kiedy przyjęła go do środka, jej orzechowe oczy na chwilę zaszyły łzami, a twarz poczerwieniała. Pozwoliła się pocałować i pocałowała jego. Wystarczyłby mu sam ten pocałunek, ponieważ to właśnie pocałunek ich połączył, gdy byli jeszcze dziećmi. Uścisk, który ich splatał, wydał mu się trwać całe wieki, długo przed nimi i długo po nich. Pomyślał, że są zagrzebaną gdzieś w ziemi, jeszcze nieodkrytą rzeźbą pocałunku, że jakaś wielka tajemnica, jakiś wyjątkowy rodzaj rozkoszy, którego żadna nauka nie zdoła wyjaśnić, połączył ich ciała na wieczność. Przez ten pocałunek próbowali dotrzeć do najskrytszych zakamarków swoich dusz, żeby po omacku odnaleźć coś, co przecież musiało się tam znajdować. Jakby byli jednocześnie niemowcami zagubionymi w głębokiej jaskini i samą jaskinią.

Później, kiedy szli po schodach z plaży na patio, Sheppard powiedział:

- Dom jest przerażająco cichy.

- Chyba nie sądzisz, że Rost zrobił sobie krzywdę? - odparła, trzymając jego dłoń i opierając się na jego ramieniu. Prawdę mówiąc, jednak trochę się obawiała. Kiedy weszli na górę i zobaczyła synka, odetchnęła z ulgą.

Drzemał na leżance.

Sheppard zerknął na zegarek i zaczął masować skronie.

- Mój Boże, nie ma mowy, żeby dzisiaj usnął! - westchnął.

- Lepiej go obudzę - stwierdziła Marylin, choć niechętnie myślała o tym, przez co będzie musiała przejść, robiąc to. Spojrzeli na siebie, niemal telepatycznie wymieniając myśli. - Albo nie - zmieniła zdanie, po czym cicho weszli na górę.

Takie popołudnia, pomyślał później, kiedy leżeli w jego łóżku, Rost ciągle smacznie spał, a łóżko żony świeciło nieskazitelnie białą pustką po ich prawej stronie, kiedy wiatr zostawiał w ustach posmak jeziora, a jedynym dobiegającym dźwiękiem był stukot gałęzi drzew o ścianę domu, kiedy ciało powoli otrząsało się ze snu idealnie ciepłe lub chłodne - takie popołudnia sprawiały, że Sheppard wierzył w Boga. Nie w tego Boga, którego syn przeszedł do historii, nie w Boga opisanego kanonami jakiejś określonej religii, który dobre uczynki nagradzał życiem wiecznym, a karał za złe, w którego nie miał prawa wierzyć jako lekarz, zetknąwszy się z ogromem bezsensownego cierpienia. Był to raczej Bóg tej konkretnej chwili, hojniejszy nawet, bo rozdający łaski tym, którzy zwalczają przeszkody na drodze do miłości, znosząc wytrwale wszystkie jej cykle - nagradzający ich rozkoszą takiej właśnie ciszy, takiego spokoju. Przytulił Marylin. Dotknął jej włosów. Pocałował ją w czubek głowy. Nigdy wcześniej, nawet kiedy byli dziećmi, nie kochali się w taki sposób, jak przez ostatnie tygodnie. Sheppard, starając się jej nie obudzić, usiadł na łóżku i patrzył przez okno na jezioro. Żaglówka podskakiwała na falach jak dziecięca zabawka. Dopiero teraz zrozumiał, kiedy to się zaczęło. Nie tylko nowe podejście do seksu, ale odrodzenie ich związku, nowa era, wielka zmiana. Otóż zaczęło się w Big Sur, po trzygodzinnej podróży samochodem, kiedy Chappie mu powiedział, że jego małżeństwo z Jo zaczyna się rozpadać, bo ona się dowiedziała o jego kochance w Santa Monica. Sheppard nieustannie myślał o Susan Hayes, z którą seks przedtem wydawał mu się tak ważny, a teraz jakby mniej; która wpadła w panikę na widok zdychającego psa i pochyłona, wymiotowała na drodze. Było w niej coś słabego, a zarazem gwałtownego, przez co on sam stawał się jeszcze bardziej nerwowy. Coś, co sprawiało, że nie wiedziała o sobie tego, co Marylin od zawsze wiedziała o sobie i o otaczającym ją świecie. Coś niepodobnego do Marylin, co za dziwny obrót wydarzeń! Przez tyle lat patrzył na Marylin przez pryzmat braków, porównywał ją z innymi kobietami i uznawał za gorszą, kiedy jednak podwoził Susan na stację benzynową, żeby mogła się odświeżyć po wymiotowaniu, porównał ją - i wszystkie inne kobiety, z którymi sypiał - do Marylin. Wypadły przy niej blado. Znalazł stację Shell kilka kilometrów dalej. Susan wysiadła z auta, zabierając ze sobą torebkę, co go zastanowiło. Bo niby po co? Co takiego w niej miała, czego mogła teraz potrzebować? Patrzył, jak idzie w kierunku toalety, elegancko stukając obcasami nawet na

zwirze, jak kobieta świeżo przybyła na przyjęcie, która ma za chwilę zrobić wielkie entree. Nagle zrozumiał, że Susan zabrała torebkę ze względu na kosmetyki. Ona uważała nawet teraz, mimo wymiocin na ustach, podbródki i rękawie płaszcza, że musi wyglądać ładnie, by się jakoś pozbierać. Marylin byłoby wszystko jedno. Po kilku minutach wyszła z toalety i siadła obok niego w samochodzie. Nie odzywali się do siebie. Ostra wymiana zdań coś między nimi zniszczyła, a może obnażyła: uświadomiła im fakt, że łączy ich tylko romans, krótkie wakacje, które właśnie się kończą; że nie mają przed sobą przyszłości. Byli tak bliscy końca, że nie musieli nawet się nad tym zastanawiać.

„Nie baw się zbyt dobrze”.

Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu z żoną.

- Moja torebka - krzyknęła Susan, kiedy zajechali do hotelu. Przez ostatnią godzinę jazdy nie zamienili ani słowa.

- Co takiego?

- Zostawiłam ją w toalecie na stacji benzynowej.

Stacja benzynowa mogłaby równie dobrze leżeć na Marsie.

- W torebce był mój zegarek - ciągnęła. - Dostałam go od matki. I już po nim.

Czekał.

- Gdybyś nie przejechał tego głupiego psa, nie straciłabym zegarka!

Sheppard patrzył na nią dość długo, po czym wybuchnął śmiechem.

Nie potrafił się powstrzymać. Zdjął z siebie potwornie zabrudzone ubranie, wykopał się i posłał sobie na kanapie.

Rano, zanim odwiózł ją do mieszkania, poszli na śniadanie. Poprosiła go o to, ale i on sam czuł się głodny, a była to ostatnia szansa, żeby coś przegryźć przed wyjazdem do Big Sur. Jedli w milczeniu. Co jeszcze zostało do powiedzenia? Po drugiej stronie ulicy był akurat sklep jubilerski. Zabrał ją tam po posiłku i powiedział, żeby wybrała sobie zegarek. Bez wahania wybrała najdroższy chyba, marki Lady Elgin, stukając w szybę paznokciem z ponurą miną. Niemal natychmiast pożałował tej propozycji, odbierając jej zachowanie tak, jakby raz jeszcze, na pożegnanie, powiedziała mu: „Pierdol się!” Obiecał sobie potraktować ten wydatek jako wyrównanie rachunków, ostateczne załatwienie całej sprawy. Wysiadając z samochodu przed domem, powiedziała, że do niego napisze. Doskonale wiedział, że tego nie

zrobi, a jeśli rzeczywiście sięgnie po pióro, to tylko po to, żeby napisać coś, co obydwójce doskonale wiedzieli: nigdy więcej się nie spotkają.

- I to by było na tyle - powiedziała.

Wyglądała okropnie. Choć tego ranka brała prysznic i powinna wyglądać świeżo, to skorupa makijażu sprawiała wrażenie drugiej twarzy. Wyobraził sobie, jaka będzie, kiedy się zestarzeje, i poczuł odrazę. „Jak mogłem popełnić taki błąd?” - pomyślał, a głośno powiedział:

- Muszę już jechać.

Słuchając, jak Chappie opowiada mu podczas jazdy, że całkowicie zrujnował sobie życie i rozważa możliwość przeniesienia się do Cleveland, by podjąć pracę w Bay View (do domu, pomyślał Sheppard), żeby zacząć wszystko od nowa, Sam przeanalizował ostatnią godzinę spędzoną z Susan Hayes i doszedł do wniosku, że jedyną kobietą, na której mu w życiu zależy, jest Marylin. Owszem, przez jakiś czas piekielnie ważne wydawały mu się inne, ale znaczenia nabierały zawsze ze względu na jego żonę - odzwierciedlało ono stopień, w jakim tracili się nawzajem. Nagle wydało mu się to potwornie oczywiste. Kiedy przybyli na rancho Chappiego, zastali panie w salonie przy kominku. Miły nastrój prysnął od razu, gdy tylko Chappie i Jo spojrzeli na siebie. Ze sposobu, w jaki siedziały na kanapie - kolano w kolano i twarz w twarz, prawa dłoń Marylin niemal dotykała lewej dłoni Jo - wywnioskował, że omawiały strategię ewakuacyjną dla Jo, a może i dla Marylin. Kiedy są same, kobiety konspirują. Kobieta i mężczyzna razem plany niweczają. Sheppard pomyślał, że nie może się na to zgodzić, że musi przystąpić do działania. Podszedł prosto do żony.

- Musimy porozmawiać - oświadczył, zupełnie nie zwracając uwagi na Jo. Wziął żonę za rękę.

- Czy to nie może poczekać? - zapytała.

- Nie może.

Ujął jej drugą rękę, pomógł jej się podnieść i wyprowadził ją z pokoju. Chciał ją objąć ramieniem, ale pozwoliła mu tylko chwycić się za łokieć. Zostawiając Jo i Chappiego samym sobie, poprowadził Marylin obok stajni do płotu wyznaczającego koniec posiadłości Chapmanów od strony oceanu. Dopiero tutaj ją puścił. Powiedział jej, do jakich wniosków doszedł: tak bardzo się od siebie oddalili i tak długo to już trwa, że popadli w stagnację, która jest przyczyną ich nieszczęścia. Świadomość dzielącej ich przepaści

powstrzymuje ich nie tylko przed jej pokonaniem, ale też w jakiś dziwny sposób nie pozwala im tego skończyć.

- My ciągle orbitujemy wokół siebie - stwierdził.
- Uważaj, nadużywasz zaimka „my” - odparła.
- Pragnę cię. Chcę tylko usłyszeć, że ty mnie też pragniesz.

Marylin pokręciła głową. Oparła policzek o ogrodzenie.

- Mówisz tak, jakby to była moja wina.

- Nie twoja - zaprotestował. - Nasza. Też jestem w tym dobry, ale mam już dosyć. Sądzę, że jeśli zdołamy odnaleźć się nawzajem, wszystko się zacznie układać.

Nie był pewien, czy go zrozumiała, widział jednak, że słucha. Mówił więc dalej: jeśli zdoła odkryć jej potrzeby, udowodni, że zawsze będzie gotów je zaspokajać; ich związek będzie kompletny, a ona stanie się mu bliższa niż ktokolwiek na świecie. Znalazł się na etapie, na którym nie dbał o to, jak ona przyjmie jego wyznanie i co z nim zrobi. Wiele się między nimi wydarzyło, często rzeczy niewybaczalnych, ale na przeprosiny nie było już teraz miejsca. Przekroczyli chyba granicę, za którą nie wypomina się błędów. Chciał tylko, żeby wiedziała, że jego zdaniem takie właśnie powinni przyjąć rozwiązanie swoich problemów. Że taka jest, jak się wyraził, ich diagnoza.

- Ale to można wyleczyć - zapewnił.

Nie odezwała się. Wzięła go tylko za rękę.

Wtedy się zaczęło, dokładnie w tamtym momencie wszystko się między nimi zmieniło. Kontynuacja nastąpiła jeszcze tej samej nocy. Obudził się z głębokiego snu, nie wiedząc jeszcze, gdzie się znajduje. Marylin leżała naga (początkowo nie był nawet pewien, że to ona) między jego udami, z jego kutasem w ustach. Mocno ścisnęła w dłoni moszną, masując mu jądra. Potem pieściła członka wewnętrzną stroną dłoni, delikatnie naciągała moszną, silnie naciskała kość miednicową, wodziła wargami po żołądździ, a potem wzdłuż członka, w górę i w dół, potem znów wzdłuż sercowatego kształtu główki. Nigdy wcześniej nie robiła tego tak rytmicznie, nigdy z taką determinacją, żeby to do niej należała decyzja, kiedy skończy. Shepard usiadł i próbował ją pocałować, ale wolną ręką odepchnęła go, jeszcze energiczniej pochylając się nad jego krocem, ugniatając i pieścąc, jakby chciała wydobyć orgazm z samego dna ciała. Położył się i zamknął oczy. W ciemności słyszał ocean. Wyobrażał sobie, że leży na piasku, a Marylin jest

boginią, która wyłoniła się z fal, żeby dać mu rozkosz, bo umiejętności, które zaprezentowała, były naprawdę niezwykłe. I czyste. Przestała. Po chwili, całując, przeszła od brzucha do szyi, nie wypuszczając go z dłoni, dopóki nie znalazł się w środku. Wtedy przytrzymała mu rękę, jakby chciała przygwoździć skrzydła ptaka, a kiedy w końcu doszedł, poczuł, że ona trysnęła w tym samym momencie, a ciepły płyn spienił się później między nimi w długiej, ciemnej ciszy.

W sypialni ich domu w Cleveland wspominał tamtą noc w takt stukotu gałęzi uderzających o okno. Marylin dotknęła jego pleców.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O Big Sur - odpowiedział z uśmiechem.

Także się uśmiechnęła, biorąc jego dłoń.

- Zobacz - powiedziała, przykładając jego dłoń do swojego brzucha.

Obydwoje poczuli lekkie drganie.

- Chłopiec - powiedział.

- Dziewczynka!

Sheppard wierzył, że zaczęło się właśnie wtedy. Był pewien, że właśnie tamtej nocy spłodzili dziecko. Zawsze przemawiała do niego nauka, a nie przesady, ale pomyślał, że skoro dziecko zostało poczęte w stanie tak wielkiej szczęśliwości, to będzie spokojne, a przebieg ciąży okaże się bezpieczny zarówno dla niego, jak i dla Marylin.

- Już prawie szósta - powiedział, wstając.

Marylin z niedowierzaniem chwyciła swój zegarek.

- Mój Boże! - krzyknęła. - O której mamy być u Ahernów?

- Za kwadrans siódma.

- Jak, do cholery, mam zdążyć z obiadem?

Wzruszył ramionami.

- Pomogę ci - obiecał.

Spojrzała na niego, podnosząc się z łóżka. Założyła majtki, szorty, zapięła biustonosz i bluzkę.

- Nie potrzebuję takich pomocników - stwierdziła.

Oczywiście byłoby nieszczerością udawać, że po tamtej nocy w Big Sur tak po prostu nabrali wiatru w żagle, pomyślał, budząc Rosta. Zbyt wiele się wydarzyło. Mieli za sobą zbyt długą historię. Wiele tygodni po powrocie z Kalifornii, kiedy obydwójce nabrali przekonania, że udało im się wyjść na prostą, po pracy zastał Marylin w kuchni z papierosem w rękę wpatrzoną w

okno wychodzące na Lake Road. Nie spojrzała na niego, kiedy ją pozdrowił, a gdy zapytał, gdzie jest Rost, odpowiedziała, że zawiozła go na cały dzień do swojego ojca. Na stole przed nią leżało zestawienie transakcji, nad którym w czerwonym kółku widniały kwoty należności za pokój w hotelu, za naprawę samochodu Michaela i za zegarek. Wyciąg przesłała Donna razem z osobistym listem od Susan, w którym jak sobie wyobrażał, padały zapewnienia, że wszystko między nimi się skończyło.

- No mów - rzuciła. - Czekam.

Westchnął, po czym z beznamiętną dokładnością opowiedział wszystko, co się wydarzyło w Kalifornii, wyjaśniając, co teraz w związku z tym czuje.

- Ale to wszystko było przedtem - zakończył.

- Zanim co?

- Zanim nastąpiło Big Sur. Zanim nastąpiło to, co jest teraz.

Zgasiła papierosa. Obserwowała z dziwną kombinacją wściekłości i poniżenia, jak ostatni dymek wędruje w powietrze.

- Ty myślisz odcinkami - powiedziała łamiącym się, ale jednocześnie pełnym złości głosem. Zapaliła kolejnego papierosa, położyła jedną rękę wzdłuż talii i na dłoni oparła łokieć tej, w której trzymała papierosa. - Dla ciebie wszystko ma początek i koniec.

- Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Popatrz na to - odparła, podnosząc ze stołu papiery. - Znów to samo, wciąż od nowa. Kręcimy się w kółko!

- Nie. To było przedtem - upierał się.

Marylin zaciągnęła się dymem.

- Jadę do ojca - oświadczyła.

Nie miał argumentów. Rzeczywiście wierzył, że jest początek i koniec. Pokój zawirował wokół niego. Wyrwą się z tej pętli, ale tylko jeśli ona potrafi w to uwierzyć.

Przeniosła się do ojca na tydzień. Przez trzy dni nie rozmawiali. Potem zatelefonowała do niego rano, raz w ciągu dnia do szpitala i raz nocą. Nie mówili wiele, właściwie prawie nic. Chciała po prostu wiedzieć, gdzie on jest. Tak mu przynajmniej powiedziała. W miarę możliwości starał się utrzymywać porządek w domu, ale kiedy wróciła po tygodniu razem z ich synem, jej pierwsze słowa brzmiały:

- Ale pobojuwisko!

Później, kiedy posłała Rosta na górę, powiedziała:

- Udowodnij to.
- Co mam udowodnić?
- Że teraz będzie lepiej.

Nie wymagało to od niego cudów. Musiał po prostu być mężem i ojcem, mieć czas dla Marylin i dla syna. Naprawdę zamieszkać w domu, za najważniejsze uznając to, co się dzieje w danej chwili. W praktyce oznaczało to najprostsze gesty: po powrocie z pracy przejmował opiekę nad synem; kiedy go o coś prosiła - jakąś przysługę, sprawunek potrzebny w ostatniej chwili albo wykonanie czegośkolwiek w domu - spełniał jej prośbę natychmiast; zanim położyli się do łóżek, rozmawiali. Ale duchowo i emocjonalnie musiał jej dawać coś, czego nie dało się zafałszować: swoją obecność. Przedtem uważał, że żona i syn naruszają jego prywatność, a ich potrzeby zwiększały dystans między nim a tym, czego akurat pragnął, dlatego opierał się każdej, najmniejszej nawet ich prośbie. Teraz postępował odwrotnie. Odczuwał radość, wykonując drobne codzienne czynności, a to z kolei zwiększało jego zaangażowanie. Nic prostszego - wystarczyło być. Odkrył, że nie tylko Marylin tego chciała, ale i on sam. Jego radość udzielała się Marylin, przepelniała ich życie, dodając mu skrzydeł. Miesiąc później Marylin, nie pytając go o zdanie, oświadczyła podczas obiadu z jego rodzicami i braćmi, że spodziewa się dziecka. Zrobiła to na początku czerwca, a więc zanim minął pierwszy trymestr ciąży, chciała jednak powiedzieć im o tym, kiedy zebrali się wszyscy razem. Cięża z Rostem najeżona była problemami oraz bólem po śmierci jej matki i brata, dlatego zapewne z czasem stała się przyczyną zmiany na gorsze w ich małżeństwie; była początkiem jego ucieczek z domu, utraty wolności przez nią i rozpadu ich pożycia. Teraz Marylin sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się doczekać, kiedy weźmie to dziecko w ramiona. Przy stole, kiedy szwagierki zebrały się wokół niej z gratulacjami, Sheppard poczuł coś w rodzaju winy oraz lęku o Rosta, obawiając się, że jakoś przekazali mu wszystkie te wątpliwości i niepokoje, które ich trapiły, zanim przyszedł na świat - jakby lęk mógł przejść na niego z rodziców przez macicę.

„Muszę być lepszym ojcem - pomyślał, prowadząc Rosta do domu Ahernów. - Tyle razy go zawiodłem". Czy to możliwe, że chłopiec zauważył jego brak zaangażowania przez cały ten czas? Czy dziecięca miłość i jej brak są tak wyrafinowane? Czy odmawiając długo uczenia się czynności tak prostych, jak wiązanie butów i używanie noża, Rost próbował

zwrócić na siebie jego uwagę? Uzyskać potwierdzenie, że ojciec gotów jest udzielić mu pomocy w jego dziecięcych zadaniach? Rost był do niego bardzo podobny zewnątrznie i obydwaj przespaliłyby nawet ostrzał artyleryjski, na tym jednak kończyły się zbieżności. Prawdę mówiąc, chłopiec łączył w sobie najgorsze cechy obydwójga rodziców. Brak mu było sprawności fizycznej Shepparda, a w związku z tym pewności siebie, ale za to aż w nadmiarze odziedziczył po Marylin skłonność do gwałtownych reakcji i dąsów oraz zmienności nastrojów. Sheppard doszedł do wniosku, że tak wielki dystans między nim a synem jest skutkiem jego obojętności. Owszem, da się to jakoś naprawić, ale czy całkowicie? Swoją relację z Marylin zdołał odbudować, ale w kontaktach z Rostem straty mogą okazać się niepowetowane.-

Podszedł do chłopca od tyłu i wziął go na ręce. „; ; ”

- Tatuś cię kocha - szepnął.

Ale Rost wyrwał się i nie patrząc na niego, pobiegł przed siebie.

Bogu dzięki za Dona Aherna. Ten facet to dopiero robił drinki! Martini to niby nic trudnego, ale zawsze smakowało o niebo lepiej, kiedy on je przyrządził. Stali na trawniku za domem, obserwując, jak łodzie zbierają się na jeziorze przed pokazem sztucznych ogni, a na plaży całymi rodzinami zaczynają się gromadzić widzowie. Dzieci Ahernów grały z Rostem w piłkę, a Nancy niosła whisky dla Marylin, spotykając ją w połowie drogi między ich domami.

- Założę się, że miałaś ciężki dzień - westchnęła, wręczając jej szklaneczkę.

- Starczyłby za dwa - odparła Marylin, zerkając na Shepparda.

- Powiem ci, że twoja żona wciąż ma figurę młodej dziewczyny - mruknął Ahern.

Patrzyli, jak kobiety biorą się pod rękę i stukają szklaneczkami. Sheppard znów złapał spojrzenie żony. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby był nadal podniecony. Był tak bardzo zmęczony, że nawet gdyby czerpał z najgłębszych pokładów energii, i tak noc trwałaby krótko. A mimo to czuł ochotę, żeby ją wziąć raz jeszcze, żeby przeprosić Ahernów, wymówić się jakoś ze wspólnego wieczoru i wypalić to pożądanie bez reszty.

- Dokonałeś dziś jakiegoś cudu, doktorze? Przywróciłeś komuś życie?

- Akurat na odwrót. Straciłem chłopaka.

Raz jeszcze opowiedział całą historię, w końcu zdolny o niej rozmawiać, nieprzytłoczony wspomnieniem opowiadanych wydarzeń. Sprawa chłopca stała się zwyczajną historią, streszczeniem z początkiem, środkiem i końcem. W wersji przedstawionej Donowi ojciec dziecka odegrał rolę epizodyczną, nie był głównym bohaterem, który zmusił Shepparda do panicznej ucieczki ze szpitala w poczuciu winy za to, o co został oskarżony. Ale przecież był zabójcą - nie tego chłopca, lecz wspólnych dni z Marylin. Gorzej nawet, nadal potrzebował dobrych duchów, które wskazałyby mu żalodne i smutne zarazem cechy jego charakteru, choćby chciwość. Gdyby ten chłopiec nie umarł, a jego ojciec nie obciążył go winą za tę śmierć, Sheppard mógłby zapomnieć o swoich żalodnych wyczynach, nie doceniłby Marylin i żył niefrasobliwie dalej. Pomyślał, że nigdy nie będzie próbował wynosić się nad innych ludzi.

- Na pewno zrobiłeś wszystko, co było możliwe - stwierdził Don.

- Tak, jestem pewien.

Dołączyła do nich Marylin.

- Dzwonili ze szpitala - powiedziała. - Jakiś chłopiec złamał nogę. Chcą, żebyś go zbadał.

Oglądając kliszę, Sheppard ocenił złamanie, którego doznał chłopiec podczas przyjacielskiej przepychanki z bratem: równe pęknięcie kości udowej. Wystarczy gips, grawitacja i muskulatura, aby się zrosło bez śladu, a noga odzyskała całkowitą sprawność. Pomyślał, że po ośmiu tygodniach będzie po wszystkim, i siadając obok chłopaka, podczas gdy technik gipsował mu nogę, powiedział coś, co powtarzał w pracy nieustannie: „Będziesz jak nowy”. Kolejne wypowiedziane automatycznie i nadużywane stwierdzenie, które miało ukryć tkwiącą w nim głęboko nadzieję i zagłuszyć dręczące go pytanie. Czy można mówić o postępach w ludzkim życiu? Czy stajemy się lepsi? Żona zarzuciła mu, że myśli odcinkami, bardziej jednak mylić się nie mogła. Przez wiele lat postrzegał ich życie jako powtarzalne cykle i z wyrachowania uznał to za usprawiedliwienie, uzasadnienie własnych wybryków. Nie ma postępu, jest tylko wstrzymanie egzekucji. Ani on, ani Marylin się nie zmienia, musi więc łapczywie chwytać każdą okazję, którą podsuwa mu życie. Czy jednak nadal w to wierzył, nawet teraz? A jeśli tak, to czyjego przeznaczeniem jest znów się potknąć? Czy towarzyszącą im teraz radość za chwilę przyćmi kolejny powód do smutku? A może da się w końcu wyrosnąć z pewnych grzechów, przebrnąć przez zły czas?

Czy można jakoś utrwalić etap, na którym on i Marylin znaleźli się obecnie? Żeby pewnego dnia mógł powiedzieć swojemu nienarodzonemu synowi (albo córce, bo Marylin była przekonana, że to będzie dziewczynka): „Zmieniłem się. My się zmieniliśmy. Staliśmy się szczęśliwą rodziną i odkąd ty się pojawiłeś, wszystko się potoczyło inaczej”. Jakże by tego chciał! Jak bardzo by chciał wypowiedzieć te słowa i przekazać dziecku prawdziwą wiarę zamiast beznadziejnej rady, żeby po prostu czekało, co przyniesie mu życie.

Odjeżdżając przed szpitala, postanowił, że chce wreszcie dobić do brzegu, skończyć z człowiekiem, jakim był dotychczas. Raz na zawsze rozliczyć się z przeszłością.

Po powrocie do domu zastał Marylin i Nancy gorączkowo krzątające się po kuchni; dzieci wrzeszczały przed domem. Don rozdrażnionym głosem kazał im się uciszyć.

- Próbuje słuchać transmisji! - wrzeszczał.

Marylin wyszła z kuchni.

- Mamy opóźnienie z kolacją - zameldowała.

Sheppard spojrział na zegarek. Za kwadrans dziewiąta.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytał.

Nancy ze zdumieniem położyła rękę na piersiach.

- Czy on oferuje ci pomoc? - krzyknęła.

- Na to wygląda - stwierdziła Marylin.

- Może ty masz gorączkę, Sam? - Nancy wytarła dłoń o fartach, następnie przyłożyła mu ją do czoła. - Nie jesteś chory?

- Nic mi nie jest.

- Dobrze, w takim razie uratuj dzieciaki z zapracowanych rąk mojego małżonka, zanim je pozabija.

- Da się zrobić.

Korzystając z okazji, żeby spędzić trochę czasu z synem, Sheppard zapędził całą trójkę do piwnicy, gdzie niedawno zawiesił worek treningowy.

- Może nauczymy się dzisiaj wyprowadzać ciosy? - zaproponował. Todd, syn Ahernów, bardzo się do tego pomysłu zapalił, ale jego młodsza siostra Jennifer i Rost trochę się wystraszyli.

- Nie chcesz spróbować, synku?

- Nie wiem, czy będzie mi się podobało - odparł onieśmielony Rost, splatając rączki i wyciągając je w kierunku worka.

- Ale spróbujmy, dobrze?

Uznał, że trzeba zacząć od wprowadzenia kilku zasad: nie wolno im się boksować między sobą ani bić innych dzieci, chyba że tamte uderzą pierwsze. Dopiero potem zademonstrował kilka prostych, kilka sierpowych i kilka ciosów na korpus, podkreślając znaczenie prawidłowej postawy i powtarzając, że ręce trzeba przez cały czas trzymać w górze, a stopy mocno wbite w ziemię.

- To z ziemi czerpie się siłę - powiedział, a dzieci aż otworzyły buzie ze zdziwienia, widząc, jak daleko poleciał uderzony przezeń worek. Cała trójka mrugała powiekami przy każdym wyprowadzonym przez niego ciosie, jakby pęd powietrza powstały po uderzeniu wpadał im w oczy. Jego pokaz sprawił, że dzieci rozbrykały się bardziej nawet niż na górze, w dodatku szybciej, niż oczekiwał: Rost walił z całych sił, podczas gdy Todd trzymał worek i śmiał się do rozpuku, kiedy mały Sheppard po uderzeniu potrząsał rękami, żeby dać im ulgę. Kiedy Sam pochylił się i szepnął, że świetnie sobie radzi, Rost przytulił się do jego nogi. Miał spoconą głowę. Sheppard pogłaskał go po mokrych włosach, a syn patrzył mu prosto w oczy.

- Za pięć minut podajemy do stołu - usłyszeli krzyk Marylin.

Zapowiedział dzieciom, że muszą się umyć. Sam też był spocony, poszedł więc na górę umyć ręce. Wiatr od jeziora zrobił się chłodniejszy i przybrał na sile. Zmarzł. Złapał sztruksową marynarkę, którą powiesił na drzwiach sypialni, po czym zszedł na dół. Nancy i Marylin kończyły nakrywać na patio do stołu, przy którym siedział już Don, a szynka, fasolka szparagowa i chleb ryżowy czekały obok na półmiskach. Placek z jagodami dochodził w piekarniku, a jego zapach kazał Sheppardowi zapomnieć o wszystkim. Dzieci zasiadły nad pełnymi talerzami w kuchni, dość daleko, by hałas stamtąd dochodzący nie utrudniał dorosłym rozmowy, ale i blisko, by mogli je usłyszeć, gdyby zaszła potrzeba. Ani Marylin, ani Ahernowie nie słyszeli, jak Sheppard schodził z góry i Don, który instalował systemy wentylacyjne w szpitalach na terenie całego stanu, nie przerwał opowiedanej historii o Hoverstanie. Sheppard zatrzymał się przez chwilę przy telewizorze, słuchając.

- Będzie prawdziwą kulą u nogi, jeśli Sam załatwi mu pracę u siebie w szpitalu - zwrócił się do Marylin. - Wiesz, dlaczego wyrzucili go z Grand View?

- Nie - odparła Marylin. - Sam mi nie mówił.
- Też chętnie bym się dowiedziała - wtrąciła Nancy.
- Zbojkotowały go dosłownie wszystkie kobiety zatrudnione w szpitalu.
- Jak to: zbojkotowały?

- Wszystkie zaczęły go ignorować. Jakby się stał niewidzialny. Dosłownie go skreśliły: od sekretarek przez salowe po pielęgniarki. Ciągłe startował do nich z łapami albo wygadywał jakieś świństwa. Kilka starszych pielęgniarek złożyło skargę w administracji, ale nie potraktowano ich poważnie. Dlatego pewnego dnia po prostu przestały z nim współpracować. Jeden z chirurgów mi opowiadał, że to było coś niebywałego. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Podejrzał, że kobiety musiały wcześniej podjąć wspólnie jakieś postanowienie, bo pewnego pięknego dnia dosłownie cała żeńska część personelu szpitala zaczęła udawać, że Hoverstena nie ma. Co za koordynacja! Tylko sobie wyobraźcie: Hoversten przychodzi do szpitala i prosi o grafik swoich operacji, a sekretarka odwraca się na pięcie i odchodzi, jakby był duchem, którego ona nie dostrzega. On dochodzi do wniosku, że kobieta zwariowała albo robi mu jakiś głupi kawał, odnajduje więc ten grafik i idzie się umyć do operacji, ale żadna pielęgniarka nie kwapi się, by mu podać rękawiczki czy fartuch. Przywołuje je, a one wszystkie jakby ogłuchły. Nawet na niego nie spojrzę. Wchodzi na salę operacyjną na prosty zabieg usunięcia migdałków i zastaje tam tylko pacjenta. Oczywiście dyrektor szpitala jest wściekły, a dowiaduje się o tym natychmiast, bo Hoversten, stojąc na bloku operacyjnym, drze się jak opętany. Bierze na bok przełożoną pielęgniarek i nakazuje jej, żeby siostry wróciły do pracy, ona jednak stawia mu ultimatum: albo my, albo on. Albo odejdzie Hoversten, albo personel szpitala przestanie pracować. Dyrektor, który nie od dziś ma do czynienia z pielęgniarkami uskarżającymi się na podszczypywanie w tyłek przez śliniących się pacjentów, wzywa do siebie Hoverstena, wyjaśnia mu całą sytuację i poleca pakować manatki.

Marylin zakryła usta.

Nancy klasnęła w dłonie i roześmiała się głośno.

- I kto mówi, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie?

Kiedy wszedł Sheppard, wszyscy zamilkli.

- Spokojnie - powiedział. - Nie mam zamiaru się wściekać. To dla mnie całkiem nowa wiadomość, naprawdę. - Odwrócił się do Marylin. - A tak przy okazji, gdzie jest Les?

- Pojechał do Kentu na golfa - odpowiedziała.

- Na golfa? Z kim?

Zawahala się.

- Z doktorem Stevensonem.

Nancy spojrzała na nią wymownie.

Don, trochę za późno, zatarł ręce, powiedział: „Pyszności!”, i zaczął ąobie nakładać na talerz.

- Dołączy do nas dzisiaj? - zapytał Sheppard.

- Wspominał chyba, że jedzie na cały weekend - odparła Marylin.

Nie mógł znieść milczenia, był jednak zbyt zmęczony, żeby się przejmować - zawodowymi wykroczeniami Hoverstena czy atmosferą panującą przy stole.

- A więc dla mnie więcej ciasta - skwitował.

Także to było wcześniej, pomyślał. Przeszłość to nie tylko ludzie, którzy go otaczali; to raczej stan umysłu. Może Don miał więcej racji, niż mu się zdawało. Może Hoversten byłby kulą u nogi nie tylko dla szpitala, ale też dla niego samego w jego nowym życiu. Co znaczyły wszystkie lata znajomości z nim wobec zaszłych wydarzeń? Po co mieć tego człowieka w pobliżu? Skoro chce zerwać z przeszłością, może także Hoversten powinien zniknąć z jego życia? Ale niełatwo zapomnieć o tym, co było. Na wzmiankę o doktorze Stevensonie przypomniał sobie pewien epizod, do którego doszło kilka miesięcy przed tym, zanim ten zerwał zaręczyny z Susan Hayes. Myli się do operacji i Sheppard prowadził z nim jakąś banalną rozmowę towarzyską o meczu, który Indiansi rozegrali poprzedniego wieczoru, z każdym słowem bardziej świadomy swojego sekretu i wciąż mając w pamięci seks z Susan, który uprawiali tego ranka przed pracą.

- Doktorze Sheppard - przerwał mu Stevenson. - Czy mogę coś powiedzieć?

- Proszę.

- Pracuję pod pańskim nadzorem i może pan liczyć na moje całkowite oddanie jako rezydenta w tym szpitalu. Wykonam wszystkie polecenia,

które mi pan przekaze, co do joty, zgodnie z pańskimi zaleceniami przeprowadzę wszystkie procedury. I nauczę się wszystkiego, co zechce mi pan przekazać. Ale poza tym - spojrzał mu prosto w oczy - nie chcę słyszeć ani jednego słowa z pańskich ust!

Sheppard patrzył na wściekłą twarz i palec wskazujący dżgający powietrze między nimi; natychmiast się odwrócił, ponieważ nie mógł powstrzymać uśmiechu. To było silniejsze od niego. Jeszcze trochę, a wybuchnąłby głośnym śmiechem. Melodramatyczny gest tego młodego mężczyzny wydał mu się tak wystudiowany, że jego słuszny gniew miał siłę lekkiego prychnięcia. Poczul się zakłopotany jego zachowaniem. Nad zlewem, w odbiciu w oknie wychodzącym na salę operacyjną zobaczył, że Stevenson odwrócił się od niego i z wściekłością szoruje ręce. Widział też swoje rozbawione odbicie i własny uśmiech skojarzył mu się z pijackim, świadczącym o rozbracie między ciałem a umysłem. Pijak z głupawym uśmiechem przyjmuje zarówno obelgę, jak i pochwałę. Czy to właśnie wzbudziło w nim nagle tak wielką odrazę? (Ogarnęło go tak wielkie obrzydzenie do samego siebie, że chciał wybiec stamtąd natychmiast). Czy chodziło o to, że na słowa Stevenso- na mógł odpowiedzieć jedynie tym głupawym uśmiechem? Czy może o to, że jego reakcja na coś, co innego człowieka dotykało do żywego, była zwyczajnie godna potępienia? „Nie ma dla ciebie żadnej świętości” - pomyślał wtedy.

Nawet teraz, siedząc na patio, skrzywił się z niesmakiem na to wspomnienie.

Podczas deseru dzieci wyszły na zewnątrz zaledwie kilka sekund przed wybuchem pierwszych fajerwerków, jakby miały wewnętrzny budzik nastawiony na godzinę pokazu. Rost usiadł na kolanach matki, ale Sheppard zawołał go do siebie, postawił między kolanami i wyjaśnił, jak powstają sztuczne ognie i skąd się biorą ich fantazyjne kształty. Łuska każdego pocisku wypełniona jest na górze czarnym prochem i gwiazdkami, które później stają się świetlistymi punkcikami na niebie. Niżej umieszcza się ładunek wybuchowy, który ma eksplodować, kiedy pocisk osiągnie określoną wysokość; wybuch prochu wyrzuca w powietrze umieszczone w nim gwiazdki według określonego wcześniej wzoru, w kształcie kwiatów albo kół. Same gwiazdki wybuchają jasnym światłem pół sekundy później.

- To reakcja łańcuchowa - tłumaczył synowi. Zrozumiał czy nie, Rost słuchał uważnie, a kiedy pokaz osiągnął punkt kulminacyjny i od huku

eksplozji grzechotała zastawa na stole, chłopczyk chwycił Shepparda mocno za nogę, zaciskając piąstki na jego sztruksowych spodniach.

- Zawsze czuję się przygnębiona, kiedy pokaz się kończy - stwierdziła Nancy.

Don zabrał dzieci do domu, żeby je położyć spać, podczas gdy Nancy i Marylin zabrały się za zmywanie naczyń. Zanim wyszedł, włączył radio: Indiansi wygrywali jednym punktem w połowie siódmej rundy. Sheppard został na patio, obserwując przechadzające się nad jeziorem tłumy i wdychając dobiegający z nad wody zapach prochu. Czy tak wyglądało pole bitwy o zmroku?

Zasnął.

Obudził się, bo Rost ciągnął go za ramię. Spojrzał na zegarek. Było wpół do jedenastej.

Chłopiec miał na sobie piżamę i trzymał w ręku drewniany szybowiec z drzewa balsa.

- Pomożesz mi go naprawić, tato?

Sheppard obejrzał zabawkę. Lewe skrzydło było złamane, ale nie odpadło od kadłuba. Rost niemal nigdy dotąd nie prosił go o pomoc.

- Powinieneś być już w łóżku - powiedział. - Ale skoro poprosiłeś mnie jak prawdziwy mężczyzna, to zgoda. Zobaczymy, co się da zrobić.

Marylin i Nancy rozmawiały leniwie przed telewizorem. Nancy leżała na kanapie. Don siedział przy radiu z głową opartą o ścianę i wpatrywał się tak intensywnie w sufit, jakby widział tam ekran telewizora.

- Będzie ci przeszkadzało, jak zapalę? - zapytała Nancy.

- Nie będzie - stwierdziła Marylin. - Popielniczkę znajdziesz na patio.

Nancy się podniosła. Kiedy Sheppard mijał jej krzesło, Marylin wyciągnęła do niego rękę, chwyciła go za ramię i delikatnie przesunęła paznokciami aż do jego dłoni.

- Idziemy naprawić samolot - oznajmił.

- Możesz najpierw zamknąć drzwi na patio? - poprosiła, ale Nancy już je zamykała z popielniczką w ręku.

W piwnicy Sheppard włączył światło i poprowadził chłopca do warsztatu. Sięgnął po klej Elmers, wyjaśniając Rostowi, jak go rozprowadzić na dolnej krawędzi skrzydła i walcząc ze sobą, żeby nie wybuchnąć, kiedy chłopiec wyciskał białą maź na blat stołu warsztatowego.

- Musisz wyciskać bardzo ostrożnie - powiedział. W wiadrze z narzędziami znalazł kilka klamer do bielizny i wręczył mu dwie. - Teraz przypnij skrzydło. Tylko żeby się utrzymało w tej pozycji.

Zmęczony tak bardzo, że mógłby chyba zasnąć na stojąco, Sheppard patrzył, jak Rost chwyta skrzydło klamerkami, przy każdym ruchu podnosząc na niego pytający wzrok i wyraźnie domagając się akceptacji. Sheppard po raz kolejny pomyślał, że z tym chłopcem jest coś nie tak, że jest w jego charakterze jakaś skaza, która powoduje ten brak pewności siebie. Kiedy Rost w końcu spiął skrzydło, Sheppard był pewien, że samolot nigdy więcej nie wzbije się w powietrze.

- Myślisz, że znów będzie latał?

- Zobaczymy - odparł Sheppard, odwracając samolot do góry nogami tak, by złamane skrzydło opierało się na metalowej puszcze, bo waga kadłuba mogła mu pomóc odzyskać aerodynamiczny kształt.

Rost wzruszył ramionami dokładnie tak samo, jak zwykła to czynić jego matka.

- Ale spróbować trzeba - stwierdził.

Na górze Sheppard przekazał syna Marylin, która zaprowadziła go do pokoju dziecięcego, po czym usiadł na jej krześle i skrzyżował ręce na brzuchu.

- Zimno ci? - zapytała Nancy.

- Trochę - odrzekł. Na ekranie telewizora mężczyzna w garniturze stał obok człowieka przebranego za ludzika z orzeszków Planters, rozmawiając z nim całkowicie poważnie, jakby nie miał na sobie tego idiotycznego ubranka; odpowiedzią były tylko gesty i taneczne podskoki.

- Co wy oglądacie? - zdziwił się Sheppard.

- Przerwę na reklamę - odpowiedziała Nancy.

- Dają dziś coś jeszcze?

- Zaraz będzie film.

Czując na sobie wzrok Nancy, odwrócił się. Leżała na sofie z papierosem w ręku. Dwa guziki jej bluzki były odpięte.

- Przykro mi z powodu tego chłopca - powiedziała.

- Mnie także.

- Śni ci się czasem to, co się wydarzyło w ciągu dnia?

- Czasem tak.

Nancy zawsze mu się podobała. Chyba o tym wiedziała i dawała mu do zrozumienia, że on jej także, mówiąc do niego bardzo zmysłowym głosem, ilekroć byli sami. Ale ich rozmowy były przez to bardzo pompatyczne.

Pokiwała głową z powagą, cokolwiek zbita z tropu.

Marylin zeszła na dół.

- Chyba będzie spał - szepnęła, po czym usiadła mu na kolanach, oparła głowę na jego ramieniu i zbliżyła usta do ucha. - Będzie spał - powtórzyła cichutko i te słowa wzbudziły w nim dreszcz rozkoszy.

Za ich plecami Don klasnął w dłonie i natychmiast się skrzywił w poczuciu winy za hałas, którego narobił.

- Przepraszam - powiedział. - Indiani wygrali - dodał, patrząc najpierw na Shepparda i Marylin, a później na własną żonę.

- Ja też potrzebuję trochę ciepła - stwierdziła Nancy i poklepała się po ramieniu. Potem spojrzała na Marylin i pokiwała głową. - To naprawdę coś - westchnęła.

Film nosił tytuł *Strange Holiday*. O ile Sheppard mógł się zorientować - Marylin ciągle muskała nosem jego policzek i szyję - opowiadał o człowieku, który wybrał się z wędką na dłuższą wyprawę do lasu, a po powrocie zastał kraj opanowany przez faszystów. Mógłby się doszukać setek dziur w scenariuszu, ale tylko wtulił twarz we włosy Marylin.

- Wiesz, o czym myślałam? - szepnęła.

- Powiedz - zachęcił.

Wsunęła dłoń między swoją nogę a jego i ścisnęła go mocno.

- Myślałam o Sandusky.

- To był miły wyjazd.

- Sandusky było bardzo miłe - sprostowała.

Przez moment pomyślał o domku, który wynajęli w Sandusky zaledwie dwa tygodnie temu. Kochali się tam od rana do wieczora. Marylin pieściła go teraz ukradkiem, a on omal się nie roześmiał, podniecony tak samo, jak kilka godzin wcześniej, kiedy patrzył, jak brała drinka z rąk Nancy na trawniku między ich domami. W ubiegły weekend brał udział w amatorskich wyścigach samochodowych, po których do dziś miał obolałe uda i jądra ugniecione na każdym zakręcie. Przejeżdżając obok głównej trybuny za każdym razem potrafił wyłuskać z tłumu Marylin - jakby jej jedynej nie dotyczył ruch, wyraźnie widział jej twarz.

- Śpisz? - zapytała.

- Pójdę już chyba na górę.
- Zostań - poprosiła.
- Wrócę jeszcze - zapewnił, po czym się podniósł i położył na leżance. Zasnął.

Kiedy nagle się ocknął i usiadł, pozostali oglądali film; tylko Marylin odwróciła się do niego, jakby wyczuwając, że się przebudził. Machnęła na niego, kiedy przecierał oczy.

- Chodź, popatrzysz - powiedziała.

Spojrzał na ekran: mężczyzna zza krat w kółko powtarzał tę samą frazę.

- No chodź, Sam - nalegała Marylin. Przechyliła głowę i uśmiechnęła się szeroko. - Potem na pewno będzie lepiej.

Zachichotał rozbawiony tą aluzją, po czym znów się położył, skrzyżował ręce na piersiach jak filmowy bohater w sytuacji bez wyjścia i odwzajemnił uśmiech. Wzruszyła ramionami i odwróciła się do telewizora. Wpatrywał się w tył jej głowy, we włosy widoczne przez pręty oparcia fotela bujanego, w bluzkę z wzorkiem w małe skrzydełka, w muskularne łydki, jedna założona na drugą, w mokasyny na stopach. Jeden z nich zsunęła i uderzała nim o piętę jak kłapką.

Pomyślał, że można jednak być całkowicie szczęśliwym w małżeństwie, choć trzeba się nastawić i na to, że czasem statek dryfuje po morzu i nie ma nadziei na złapanie właściwego kursu. Obydwoje przetrzymali ten czas, choć nie zawsze z wiedzą drugiego i często dzięki zabiegom, które przez postronnego obserwatora mogły zostać ocenione odmiennie. Można osiągnąć szczęście. To fakt. Ale faktem jest i to, że szczęście przemija. Teraz, kiedy właśnie do nich przyszło, wydawało się trwałe, wręcz wieczne, i niosło ze sobą obietnicę, że ten płomień da się podtrzymać. Trzeba się tylko postarać, zająć nim, pilnować. Pomyślał, że musi dopilnować, by ten ogień nie zgasł, żeby trwał.

Zadowolony powoli zapadał w sen.

Marylin się obudziła.

Wciąż siedziała na fotelu bujanym, kiedy Don delikatnie poklepał ją po ramieniu. Spojrzała na niego wystraszona. Z wyjątkiem kuchni światła w całym domu były wyłączone. Marylin usłyszała, że Nancy szczeka w kuchni talerzami.

- Nie zmywaj już - powiedziała.

- Właśnie skończyłam - odparła Nancy z uśmiechem, wchodząc do salonu ze złożoną ścierką do naczyń.

- Która godzina?

- Dwunasta trzydzieści - szepnął Don.

Przeszli cicho przez kuchnię, pożegnali się i Marylin, zanim zamknęła za nimi drzwi, postąpiła przez chwilę, słuchając, jak wiatr smaga drzewa. Potem zgasiła światło, zamknęła drzwi i przez okno patrzyła, jak Ahernowie idą przez trawnik. Nancy ze skrzyżowanymi na piersiach rękami chroniła się przed chłodem.

Biedna kobieta, pomyślała. Wcześniej, kiedy w chwili spokoju po obiedzie rozmawiała cicho nad zlewem, pożaliła się:

- On mnie nawet nie dotyka. Ale trudno, to bym jeszcze zniosła. Obydwoje jesteśmy zapracowani, zwłaszcza on. Ale Don mnie unika. Nawet teraz. Mamy chwilę dla siebie, a on mi oświadcza, że właśnie jest mecz, na który czekał od dawna. Jakby to mecz był najważniejszy na świecie! Tylko się przyjrzyj, a sama zobaczysz, jak on zachowuje dystans między nami. Zupełnie jakbyśmy byli rodzeństwem ganiającym się dookoła stołu. - Otarła oczy. - Jak udało ci się tak odmienić Sama?

Marylin nie miała pojęcia. Właściwie przecież nic nie zrobiła. Tylko czekała. Sam też czekał i tak do momentu, w którym obydwójce zmęczeni się czekaniem.

Inaczej nie potrafiła tego wytłumaczyć.

- To nic, co mogłoby ci pomóc - stwierdziła Marylin. - Nie zrozum mnie źle, proszę, ale... Chyba godziłaś się wstrzymać oddech dłużej, niż to możliwe.

Marylin usiadła na leżance obok Sama, gładząc go po włosach. Leżał skulony na boku, z twarzą zwróconą w jej stronę, w marynarce i obejmując się ramionami. Miał otwarte usta. Wyglądał jak chłopiec. Zupełnie jak Rost. Na leżance zostało jeszcze akurat tyle miejsca, żeby się obok niego położyć, co też zrobiła. Wsłuchiwała się w rytm jego oddechu.

Obudziła się zmarznięta. Myślała, żeby obudzić Sama, ale wymagałoby to tyle samo zachodu, co budzenie Rosta, dała więc sobie spokój. Poszła na górę do sypialni, rozebrała się po ciemku, starannie składając ubrania, które potem ułożyła na krześle, wciągnęła na siebie piżamę i wsunęła się pod zimną pościel. Miała już dość spania samej, nawet gdyby Sam miał ją w

nocy budzić. Już w zeszłym tygodniu poprosiła go, żeby zsunął łóżka albo kupił nowe.

- Chcę cię czuć obok siebie każdej nocy - powiedziała. Będzie musiała przypomnieć mu o tym rano.

Czekając, aż nadejdzie sen, nie mogła się powstrzymać od myśli o Dicku Eberlingu, najpierw o jego ciele na zewnątrz podczas mycia okna, o twarzym jak skorupa pancernika warkoczu mięśni na brzuchu, o jego ciemnej opalanej skórze. Delikatnie zagryzła dolną wargę, przypominając sobie, jak wbijał wzrok w podłogę i pytał, czy mogłaby polubić kogoś takiego jak on, a potem jeszcze, czy na długo. Posmutniała. Każdy powinien mieć tyle szczęścia, by znaleźć miłość na długi czas. Wiedzieć, jakie to uczucie być kochanym i zmieniać się, mieć przywilej cierpienia z miłości i wytrwać. Wiedzieć to ponad wszelką wątpliwość. Akceptować miłość - ze wszystkimi jej niedoskonałościami. Zrobić to

- o zyskać bezpieczeństwo, największe, jakie jest możliwe.

Ku swojej radości usłyszała kroki na schodach i następnie w pokoju. Odwróciła się i zobaczyła zbliżającą się postać.

- Sam? - zapytała.

- Więc to tak - powiedział Mobius.

- Więc to tak - powtórzył jak echo Sheppard.

- *Quidpro quo*.

Sheppard sięgnął pod swoje krzesło i wyjął zadrukowane kartki.

- Istnieje tylko jeden egzemplarz?

- Nie. Ale to oryginał.

Sheppard wsunął kartki między pręty krat.

- Ma pan czas do jutra, żeby to przeczytać - stwierdził.

- Dobrze.

- Potem powie mi pan wszystko, co chcę wiedzieć o Alice Pepin.

- Wszystko, co chce pan wiedzieć, jest na tych kartkach.

- Nieprawda. Nie ma zakończenia.

- Będzie - rzucił Mobius zagadkowo.

Sheppard złożył krzesło i oddał je strażnikowi, który nacisnął brzęczyk i wypuścił go na zewnątrz.

- To potencjalny samobójca - powiedział Sheppard. - Sprawdzajcie jego celę co dziesięć minut. Natychmiast sprowadźcie tu lekarza. Niech mu

zdejmie bandażę i gazę. Nie może mieć niczego, czym mógłby sobie zrobić krzywdę. Zróbcie mu kontrolę osobistą i raz jeszcze sprawdźcie jego celę. Zabierzcie pościel. Na noc proszę zabrać nawet koc. Jediną rzeczą w jego celi może być tylko to, co mu dałem do czytania.

-Tak jest!

Mimo tych środków ostrożności Sheppard przez cały dzień myślał o Mobiusie. Kilka razy telefonował na dół do strażnika, dwukrotnie zszedł do izby zatrzymań osobiście. Za jednym i drugim razem słyszał śmiech Mobiusa, podszedł więc do krat i patrzył, jak więzień siedzi na łóżku ze łzami w oczach, wskazując palcem na kartkę.

- To mnie wykończy! - wykrztusił.

Ten widok uspokoił Shepparda. Gaza została zastąpiona plastrem, strażnicy sprawdzili celę trzykrotnie, a kiedy Sheppard zatelefonował do izby zatrzymań po południu, odebrał meldunek, że Mobius właśnie zjadł obiad i obyło się bez żadnych incydentów. Podczas rozmowy słyszał z oddali rechot więźnia.

Sheppard położył się spać. Najpierw spał smacznie, potem jednak miał sen, a kiedy wstał, pamiętał wszystko bardzo dokładnie.

Znow gonił po plaży zabójcę żony. Tylko że zabójcą był Mobius, a żoną Alice Pepin. W końcu dopadł karła, ten jednak okazał się nadspodziewanie silny i śliski jak węgorz. Uchylał się przed każdym ciosem, a gdy w końcu Sheppard spróbował przywalić mu sierpowym, Mobius chwycił go za rękę i powalił na piasek. Raz jeszcze został pokonany. Mobius siedział na nim, przyciskając kolanami jego pierś, z pięścią gotową, by zadać ostateczny cios. Zanim jednak Sheppard się obudził, zanim cios Mobiusa trafił w cel, spowijając go ciemnością, Sam doznał poczucia straszliwej porażki. Miał świadomość, że nie jest w stanie ani ocalić żony, ani pokonać jej zabójcy. Poczul się w pewnym sensie współwinny przestępstwa.

Zadzwonił telefon.

Włączył lampkę na szafce nocnej i spojrzal na zegarek. Był kwadrans po czwartej.

- Chodzi o Mobiusa - powiedział strażnik.

- Co się stało?

- On nie żyje.

- Nie żyje? - Sheppard usiadł na łóżku. - Jak do tego doszło?

- Udusił się.

- Nie rozumiem.
- Zadławił się na śmierć.
- Czym?
- Nie mogę powiedzieć na sto procent. Ratownicy medyczni właśnie kończą pracę. Ale wygląda na to, że zablokował tchawicę kartkami tej powieści.

TLR

Środek jest jednak najtrudniejszy" - napisał David. Miał na myśli swoją książkę, ale także małżeństwo. W pewnym momencie bowiem książka zastąpiła małżeństwo, a raczej je pochłonięła. Albo to małżeństwo pochłonięło książkę. Czy prawdziwi pisarze także przeżywają takie dylematy? Z pewnością nie uważał się za pisarza. Bo oni potrafią przecież oddzielić sztukę od życia. Na pewno potrafią. Inaczej jak zapanowaliby nad przebiegiem opowiadanej historii? Jak rozpoznałoby poszczególne wątki? Logika narracji jest jak fala, na której grzbiecie mkniemy do samego brzegu. Jego książka stała się czymś zupełnie innym. Przestała być opowieścią. Stała się nim. Stała się Alice. Stała się nimi dwojgiem.

Jego książka przeobraziła się w akt kanibalizmu.

Po tym, jak poroniła, przez pięć lat żyli monotennie, zachowując się rutynowo, z małymi tylko odchyleniami, a on nie posunął się z książką nawet o krok. Zapędził się w ślepą uliczkę. Przyparł do muru. Zarówno książka, jak i małżeństwo stały się ciągłym oczekiwaniem, że nadejdzie jednak coś nowego.

Dlatego niedawny splot wydarzeń przyjął z zadowoleniem. Owszem, jej pobyt w szpitalu był potrzebny jak dziura w moście, dzięki niemu jednak Alice postanowiła odmienić swoje życie! Nie miał pojęcia, co to może oznaczać, ale dostrzegł szansę, że przyniesie tak oczekiwaną nowość.

Nadal Alice zamykała się w sobie, łatwo wpadała w złość i trudno było wykrzesać z niej choć odrobinę ciepła. Nie kochali się od wielu miesięcy. Czasem po powrocie do domu zastawał ją ze słuchawką telefonu w ręku, ale natychmiast ją odkładała.

- Kto dzwonił? - pytał, a w odpowiedzi słyszał zawsze:

- Nikt.

Nie dopytywał się nigdy. Chowała przed nim laptopa. Od jakiegoś czasu nigdzie nie mógł znaleźć jej rachunków za telefon komórkowy. Zniknęły też wyciągi bankowe i zestawienia płatności dokonanych kartą kredytową. Nie miał pojęcia, gdzie ona się podziewa i co robi. Często pracowała do

późna. W pełnym makijażu i najlepszych ciuchach wychodziła na podejrzane spotkania, o których nigdy nie chciała pisać ani słowem.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał.

- Jakie znowu wszystko?

Przyjrzał się jej uważnie. Ile kilogramów udało jej się zgubić? Dziesięć? Piętnaście? Ani jednego? Nie mógłby powiedzieć, że wyglądała dobrze, po prostu było jej mniej. Ale w przypadku Alice mniej oznaczało coś więcej. Czyżby miała romans?

- Idę na siłownię - oświadczyła któregoś dnia.

Zamknęła za sobą drzwi, a on obserwował ją przez wizjer i gdy tylko wsiadła do windy, pędem pokonał osiem pięter na parter. Skręciła na wschód. Poszedł za nią w kierunku Trzeciej Alei, gdzie ledwie podniosła rękę, natychmiast podjechała taksówka. Kiedy jednak on próbował złapać następną, jak na złość nie pojawiła się żadna.

Pomyślał, że bohaterowie filmowi nigdy nie mają takich problemów i zrezygnował.

Następnego dnia zamówił taksówkę telefonicznie i kazał kierowcy czekać przy Trzeciej Alei. Ona jednak skręciła w stronę Lexington, idąc jednokierunkową na wschód, i zanim taksówka objechała kwartał ulic, zniknęła.

Kolejnego dnia zamówił dwie taksówki, jedną przy Trzeciej, a drugą przy Lexington. Tę ostatnią odwołał, ponieważ Alice poszła tak, jak pierwszego dnia.

- Niech pan jedzie za tamtą taksówką - polecił kierowcy.

- Poważnie? - zdziwił się mężczyzna.

- Rób pan swoje, do jasnej cholery!

Bohaterowie filmów zazwyczaj też nie muszą parkować, a jeśli już, to dla ich taksówki zawsze się znajdzie miejsce. Jeśli im się śpieszy, nigdy nie muszą czekać, aż się uruchomi komputer. Nie mają żadnych opóźnień. W filmowych wątkach nie ma miejsca na stratę czasu.

Wysiadła przed budynkiem YMCA.

Czy wszystkie kluby YMCA muszą pachnieć tak samo? W każdym chyba unosi się zapach ludzkich płynów ustrojowych, potu spod pach i ze skarpetek, ze zdrową domieszką odrobiny chloru z wody w basenie. Ilekroć tam przychodził, ten sam debilny facet w karkołomnym stroju (tanie okulary w grubej oprawie, koszulka z logo YMCA, za krótkie szorty, buty

za kostkę i podciągnięte czarne podkolanówki) odkurzał podłogę. Czy on nie ma innych ubrań? I nic do roboty poza odkurzaniem?

- Jeszcze tu pan nie zauważył - David wskazał na podłogę, a mężczyzna posłusznie przejechał ssawką po wymaginowanym paprochu. David skrócił sobie drogę, przechodząc przez męską szatnię; pomyślał, że takie miejsce mogłoby się przyśnić Dantemu. Nie chodziło o to, że jest śmierdzące albo brudne, bo panowała tam nawet względna czystość, a świeżo uprane i wysuszone ręczniki promieniowały ciepłem jak świeży chleb. Przy umywalkach dostrzegł grzebienie zamoczone w pojemnikach z wodą kolońską Clubman. Ale straszyły tam ludzkie potwory⁷ - mężczyźni zbudowani z fałdów i topornych brył czuli się zobligowani do paradowania nago, błogo nieświadomi własnej deformacji i nieskrępowani jak dzieci. Ociekający potem po łaźni parowej albo saunie, czerwoni jak gotowane homary zachowywali się swobodnie i beztrosko, jakby właśnie wpadli na siebie na ulicy.

- Leland, co u ciebie, stary byku? - mówił jeden z nich.

- A ty, Slim, gdzie się do cholery podziewałeś? - odpowiedział mu drugi.

David wyobraził sobie napis na ekranie podczas tej sceny: „Nie patrzę na twojego penisa” - na pierwszej wypowiedzi i „Ja na twojego też nie patrzę” - na kolejnej. On sam jednak nie mógł się powstrzymać i patrzył ogarnięty piekielną fascynacją, niczym zaproszony przez Wergiliusza w podróż do krainy cieni. Taki szeroki wybór, tak wielki asortyment kształtów i rozmiarów - nie mógł nie patrzeć: prącia jak u słonia, końskie kutasy, psie chujki, żydowskie fiuty i ośle chuje. Penisy z jednym jądrem zwisającym niżej, tylko z jednym jądrem albo w ogóle bez jaj. Maleńkie u dryblasów, olbrzymie u karłów. Penisy Murzynów z główkami różowymi jak język psa, raz potwierdzające, a raz obalające wszelkie mity z nimi związane. Penisy orientalne, rozprawiające się ze stereotypami w taki sam sposób. Penisy obrzezane z resztkami napletka naciągniętymi jak skóra po operacji plastycznej, tak niewielkimi w zwisie, że podczas erekcji, przy naciąganiu, musiały być strasznie bolesne. Były nawet penisy z kolczykami, na księcia Alberta, przechodzącymi pionowo przez żołądź i cewkę moczową niczym kółko przez nos byka. Prawdziwa plejada penisów, falliczne pole, na którym David potrafił myśleć jedynie o tym, że wszechświatem nie rządzą żadne prawa: nie ma nagrody dla dobrych ani kary dla złych, a Bóg nie kieruje się sprawiedliwością, kiedy daje i odbiera. Niezaprzeczalny jest

tylko fakt, że wszyscy mamy ciało, wszyscy więc pewnego dnia poumieramy.

Zauważył Alice w siłowni. Leżała na plecach, oparta o olbrzymią piłkę, z nogami zapartymi o podłogę i mniejszą piłką w rękach, uniesionych nad wielkimi piersiami. Jej twarz poczerwieniała z wysiłku, kiedy przesuwiała czarną piłkę w górę i w dół nad tułowiem, wykonując polecenia trenera, który liczył powtórzenia.

Postanowił śledzić ją także następnego wieczoru. Miał wymówkę, żeby wyjść z domu przed nią: coroczna popijawa z okazji urodzin Jacka Stoneya. Zaproponował, żeby z nim poszła, ale oczywiście odmówiła.

- Niech zgadnę - powiedział. - Masz spotkanie.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Nie rozumiał, skąd ten gniew. Choć właściwie w zdumienie wprowadził go raczej fakt, jak długo potrafiła pozostawać zagniewana.

Wysiadła przy kościele unitariańskim na rogu Siedemdziesiątej Szóstej i Central Park West, tuż przy grupie palących na chodniku ludzi.

Odczekał kilka minut, zanim wszedł, nie miał jednak najmniejszych kłopotów, żeby ją znaleźć. Usłyszał jej głos na końcu długiego korytarza. Idąc w tamtą stronę, mijał pomieszczenia, w których spotykały się najróżniejsze grupy wsparcia: AA, Alanon, alkoholicy nowojorscy, współuzależnieni i anonimowi dłużnicy. Zajrzał przez drzwi na końcu. Wszyscy w sali byli grubi. Mężczyźni musieli siedzieć bokiem na składanych krzesłach. Kobiety miały tak olbrzymie ramiona i brzuchy, że z ledwością sięgały do torebek, które trzymały na kolanach. Nie widział Alice, wyraźnie jednak słyszał każde słowo jej wypowiedzi, przerywanej od czasu do czasu przychylnymi pomrukami, okrzykami: „Racja!” i „Amen”.

- Doskonale wiecie, co mam na myśli - mówiła. - Dobrze wiecie, co znaczy planować drogę do pracy z myślą o miejscach na krótki postój. Sklepek Hudson News - gazeta i batonik Butterfinger. Do tego Hersheys. I Charleston Chew. Baton Almond Joy ma orzechy, a Mounds nie ma. Musicie zboczyć trochę z drogi, ale to nie szkodzi, bo przecież przy okazji zażyjecie trochę ruchu. Potem McDonald przy zjeździe z obwodnicy na Sprain Brook Parkway, gdzie pracownicy Meksykanie od rana dolewają świeżego tłuszczu - ich frytki i zapiekanki nigdy nie mają posmaku goryczki i tym lepiej się łączą z dietetyczną colą. Świetnie to znacie, prawda? Przed powrotem do domu też lubicie zajrzeć na jednego szybkiego do

kiosku z hot dogami na rogu Czterdziestej Trzeciej i Lexington. Oczywiście ze wszystkimi dodatkami. To cichutkie chrupnięcie, kiedy wbijacie zęby w skórę, choć przecież bułka jest idealnie wilgotna i miękka! Pyszny, poproszę jeszcze jeden. Zaraz po drugiej stronie ulicy jest restauracja Sbarro. Fakty są takie, moi przyjaciele, że glukozę z ziemniaków wchłaniamy szybciej niż z czystego cukru. Co więc przyniesie ulgę waszym spracowanym ciałom? Knyszes.

Doskonale wiecie, co mam na myśli, kiedy się przyznaję do fantazji o przedziwnych połączeniach składników, które obiecują rozkosz równie wspaniałą jak seks. Zapomnijcie o sieci Subway - ja to dopiero jestem mistrzem kanapek! Przetnijcie na pół pączka z dziurką, po czym jedną część posmarujcie grubą warstwą galaretki, a drugą kremowym serkiem. To jeszcze nie koniec: teraz się zdziwicie, ale uwierzcie mi, proszę. Połóżcie na wierzchu bekon. Bekon można zresztą dodawać do wszystkiego! Wyobraźcie sobie masło orzechowe - jestem na nie uczulona, ale pomarzyć mogę - i banana między dwiema połówkami starego dobrego nowojorskiego precla. Prosciutto i smażony bakłażan między dwiema połówkami bułki sycylijskiej. Albo może: niech pan zetnie skórę i poda mi samą poledwicę!

Tak samo dobrze jak ja wiecie, co znaczy jeść to, co inni zawsze zostawiają: okruchy panierki z tacki w KFC, białe kłykcie ścięgien na końcu kurzego podudzia, skórę przyklepioną do resztki sera brie, fragmenty frytek wysypane z dna torebki na guacamolę jak płatki zbożowe, kawałeczki mięsa na plastikowym sznurku opasającym szynkę bolońską. Rozumiecie mnie doskonale, kiedy mówię, że szynka bolońska firmy Oscar Mayer smakuje wyjątkowo.

Nie jest wam obcy wstyd. Wiecie, że przy śmiechu zaczynacie pierdzieć, wiecie więc także, co znaczy podwójny strach przed śmiesznością. Codziennie widzicie majtki wielkie jak latawiec i biustonosze, których rozmiary wyglądają jak piętna wypalane na bydłętach: podwójne F i potrójne E. Znacie też historię pewnej kobiety, która była tak gruba, że kiedy przyjeżdżała do szpitala, znaleziono gnijącą kanapkę z tuńczykiem pod fałdą jej cycka. Nie trzeba wam tłumaczyć, co znaczy przeglądanie tych fałd, pod którymi znajduje się czerwone od podrażnień, pozbawione słońca, pozlepiane mazią ciało. Takie same żółte twardniejące złogi można znaleźć u

małych dzieci za uszami. Piecze, kiedy szorujecie gorącą szmatą, myślicie więc: a może by tak zostawić?

Pozwólcie, że będę wyliczać dalej. Wiecie, jak to jest spoglądać znad talerza i widzieć wbite w siebie oczy innych. Wsiadać do samochodu dupą do przodu. Bać się iść do kina na premierę filmową. Zapomnieć

1 noszeniu sznurowanych pantofli. Bać się sznurówek i lękać schodów. Wiedzieć, że gdyby was napadnięto, nie moglibyście uciekać. Oglądać w CNN raport na temat otyłości, kiedy pokazują ludzi tylko od szyi do bioder i myśleć: „Mój Boże! To przecież ja”. Patrzyć, jak wszyscy spuszczaają wzrok, kiedy wchodzić na pokład samolotu. Myśleć, że szpara między siedzeniami w autobusie jest akurat na przedziałek waszej dupy. Ważyć więcej niż mąż. Budzić się na dźwięk własnego chrapania. Dochodzić do wniosku, że maseczka do bezdechu wygląda jak świński ryj.

Wiecie, jak to jest czuć się schwytanym w pułapkę własnego ciała. Czuć się kaleką. Uzależnionym od jedzenia. Nieraz mówiliście sobie: „Dzisiaj zrobię z tym porządek!”, a potem przez kilka godzin głód był tak dojmujący, że chciało wam się płakać, dopóki nie złamaliście obietnicy, przynosząc sobie ulgę. Później dopadało was poczucie winy. Strach, że będziecie się rozrastać bez końca, jak Alicja w Krainie Czarów. Że podzielicie los tych biedaków, którzy stali się zbyt wielcy, żeby zejść z łóżka, i jeśli wezwiecie pogotowie, to trzeba też będzie zawołać strażaków z podnośnikiem, zaczną od rozkuwania drzwi. Wiecie też jednak, co znaczy zapomnieć o tym wszystkim i bezwarunkowo się poddać.

Jest jednak nadzieja - kontynuowała Alice. - Bo wiecie dobrze, że można się zmienić. Spójrzcie na siebie. Spójrzcie na mnie! Zmieniliśmy się radykalnie. Jakoś dotarliśmy do miejsca, w którym się znajdujemy i dziś nie jest już ważne jak. Popatrzcie na siebie teraz, jedni na drugich! Odwróćcie się do sąsiada. Każde z nas jest przykładem zmiany. Nie mówcie mi więc, że ludzie się nie zmieniają! Ja sama, moi przyjaciele, bardzo się zmieniłam i wiele zmian jeszcze przede mną. Nie ma mowy o cofaniu się!

Oto prawdziwe wyzwanie, moje wiecznie głodne dżdżownice: obraźcie sobie, że jesteście poczwarkami. Kurczętami w skorupce z tkanki tłuszczowej. Wy, ja, my wszyscy - nie możemy wrócić do tego, co było kiedyś. Tamci ludzie odeszli, a w każdym z nas kryje się ktoś nowy. Jak kolejna lalka w matrioszcze.

Jak ją wyjąć ze środka? To łatwe! Pierwsza zasada jest taka sama jak wpisaniu: trzeba zacząć od tego, co się zna. Opowiem wam o dzieciach, które straciłam. Bo jem dlatego, żeby zajeść to, co mnie zjada...

David wyszedł. Nie chciał tego słuchać. Tę historię miał już za sobą. Skończył z nią raz na zawsze.

Poszedł na przyjęcie. Ucieczka: najpierw taksówką do firmy, a potem do Georgine, która zauważyła go, gdy tylko się pojawił. Odniósł nawet wrażenie, że na niego czekała. Podszedł od razu do niej.

- Pamiętasz, co mówiłaś o autentyczności?
- Owszem - odpowiedziała.
- To pokaż mi, gdzie mieszkasz.

Wrócił do domu grubo po czasie, kiedy Alice zwykła kłaść się spać. U Georgine wyłączył telefon, teraz jednak, kiedy znów go włączył, przekonał się, że żona nie telefonowała ani razu. W ogóle jej nie obchodziło, o której on wróci. Ta obojętność zabijała zarówno jego niepokój, jak i skrucę. Zastanawiał się, czy nie wziąć prysznic, żeby zmyć z Pana Penisa resztki śladów po Georgine. Ale czy był sens? Jego żona smacznie spała.

Kiedy tylko jednak David wsunął się pod kołdrę, Alice przesunęła dłoń po jego podbrzuszu.

- Kochaj się ze mną - wyszeptwała. Przerażony chwycił jej dłoń, żeby ją powstrzymać. Przycisnęła do jego pleców nagie piersi z sutkami twardymi jak

z marmuru i przejechała językiem od jego łopatki do karku.

- No, David, nie daj się prosić - jęczała. - Nie robiliśmy tego całe wieki. - Złapała obydwie jego dłonie za plecami, jak policjant zakładający kajdanki, po czym zręcznie wypięła się do przodu, przysunęła do nich krocze i ocierała się powoli o kciuki, przesuwając je w górę i w dół. - Sciśnij mnie - szepnęła. - Obejmij mnie najsilniej, jak potrafisz.

O co, do cholery, chodziło z tym lizaniem i ściskaniem? To było coś nowego. I te lubieżne teksty? To też nie zdarzało się wcześniej. David, świeżo po małżeńskiej zdradzie, zaczął reagować jak paranoik. Czy ona ma romans? Gdzie się nauczyła takich zachowań? Czy w ich łóżku chciała wypróbować te nowe sztuczki?

Zgodnie z jej poleceniem przekręcił się na plecy i mimo obaw poczuł olbrzymie podniecenie, objawiające się imponującą erekcją. Stał mu

błyskawicznie, a wrażenia po seksie z Georgine opadały z niego jak tynk z cegieł podczas trzęsienia ziemi.

- Pocałuj mnie - zażądała.

Pocałował, ale zamiast jej ust poczuł język wysunięty ku niemu w ciemności. Wyciągnął swój i po chwili ich języki walczyły ze sobą, splatając się jak dwie foki. Lizali się tak długo, że David poczuł, jak ich ślina staje się zimna. „Kolejna nowość” - pomyślał.

- No, całuj mnie - powtórzyła.

- Przecież cię całuję.

Znow zbliżył się do jej ust i po raz wtóry natrafił na język wysunięty jak u dziecka łapiącego krople deszczu.

- O co z tym chodzi? - zapytał.

- Z czym?

- Z tym - otworzył usta i powiedział: - Aaaaa - jakby pokazywał gardło lekarzowi.

Roześmiała się.

- Nie wygłupiaj się, tylko mnie pocałuj - nalegała.

- To się całuj normalnie.

- To ty się całuj nienormalnie - odparła.

Widział białka jej oczu patrzących na niego w ciemności.

- W porządku - powiedziała, po czym wstała z łóżka, założyła szlafrok i poszła do kuchni.

- Co znowu zrobiłem? - krzyknął. Słyszał, jak Alice napełnia czajnik wodą.

- Nic - odparła zmęczonym głosem.

Przez wiele tygodni jakby nie istniał. Teraz, kiedy to się wreszcie odmieniło, on zrobił coś nie tak.

Zagwizdał czajnik.

Zrzucił z siebie kołdrę i poszedł do kuchni, gdzie czekała na niego przy stole, obejmując dłońmi kubek z zieloną herbatą.

- Musimy porozmawiać - stwierdziła.

Uszło z niego powietrze. Oparł obydwie dłonie na stole i przeniósł cały ciężar ciała na blat, siadając ciężko jak starzec.

Alice zatknęła włosy za ucho. Jej oczy zaszyły łzami, kiedy zakaszłała, żeby oczyścić gardło.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła, ocierając łzę dłonią. - Tak bardzo mnie to dręczyło ostatnimi czasy, że zachowywałam dystans, żeby nas chronić. Ale dłużej tak nie mogę. Nie potrafię już dusić tego w sobie.

David czuł, jak wali mu serce.

- Wpadliśmy w koleinę - oświadczyła.

W tej chwili poczuł tak wielką ulgę, że poprosił ją, aby powiedziała to raz jeszcze.

- W koleinę - powtórzyła. - Choć właściwie to nie jest adekwatne określenie. Sytuacja jest znacznie gorsza. Kryzys byłby bliższy prawdy, ale to sugerowałoby, że mamy jakiś wybór, a ja nie potrafię wskazać, między czym a czym mielibyśmy wybierać.

Wypiła łyk herbaty, w skupieniu starannie dobierając słowa. Wyglądała zdrowiej niż kiedykolwiek wcześniej. Miała rumieńce na policzkach, a ręce i ramiona krzepkie.

- Można by też powiedzieć, że się zaklinowaliśmy, ale nie wiem, czy jest jakieś słowo o przeciwnym znaczeniu. Bo czy będzie nam lepiej, jeśli się odklinujemy? Nasuwa mi się też określenie: znudzeni, ale przecież mam pewność, że coś jednak możemy zrobić.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego policzka.

- Czujesz to? - zapytała. - Czujesz, gdzie jesteśmy? To jak otchłań, tylko bez umierania. Jakby wszystko było dokładnie odwrotnie, niż powinno być. Choć znamy się teraz lepiej niż kiedykolwiek, ale też nie znamy się wcale. Staliśmy się sobie bliżsi niż dotychczas, a przecież nigdy nie dzieliło nas tak wiele. Nie potrafię tego opisać. Ale gdybyśmy mieli zostać w tym stanie choćby chwilę dłużej, to chyba wolałabym umrzeć.

- Tego nie mów - wpadł jej w słowo David.

- Czy naprawdę jestem odosobniona?

-Nie.

- Pytanie, na które próbuję odpowiedzieć, brzmi: co powinniśmy z tym zrobić?

- Sam je sobie zadaję.

- Znalazłeś jakąś odpowiedź?

Pomyślał o Georgine.

- Ty pierwsza.

- Czy przychodzi ci czasem do głowy, że powinniśmy od zaraz potraktować nasze wspólne życie jak eksperyment? Zachowywać się tak,

jakby nasze małżeństwo było lotem na księżyc, wyprawą w kosmos? Ostateczną granicą? Wiem, wiem, mówię niejasno, ale spróbuj się nad tym zastanowić. Dlaczego na przykład mieszkamy tutaj, a nie gdzie indziej? Dlaczego nie mielibyśmy mieszkać po kolei w każdym ze stanów? A może powinniśmy poświęcić się walce z głodem na Ziemi? Albo hodować kury z wolnego chowu w którejś z francuskich prowincji? Moglibyśmy też zostać biologami morskimi i badać Wielką Rafę Koralową. Nie wiem nawet, co to jest. Bo ciągle się zajmuję sobą. Tak bardzo jestem sobą zajęta, że głupieję. Chcę się odpięprzyć od dawnej siebie. Może byśmy przeszli Szlak Appalachów?

- Nie mówisz poważnie.

- Najpoważniej na świecie, choć nie są to jeszcze właściwe przykłady.

Powiedz mi, David, czego my się boimy? Co nas powstrzymuje?

- Przed czym?

- Przed tym wszystkim, czego nie czujemy. Przed wszystkim tym, czego nie robimy.

- Czego nie czujemy i nie robimy?

-Więcej.

- Mam wrażenie, że dość czuję. I wcale nie chcę odczuwać więcej.

Pokiwała głową.

- Rozumiem cię doskonale, ale mówisz o kilku ostatnich miesiącach. Nadal więc mnie nie rozumiesz.

- O co ci chodzi?

- A gdybyśmy potraktowali nasze małżeństwo jako eksperyment służący osiągnięciu wzajemnej rozkoszy? Gdybyśmy przysięgli sobie, że będziemy, nie wiem, na przykład pieprzyć się codziennie, jak jacyś walnięci kandydaci do książki Guinnessa, tylko że bez chęci bicia jakichkolwiek rekordów? Nie chodzi mi o takie zwyczajne pierdolenie. Raczej o to, żebyśmy codziennie poświęcali jakiś czas na sprawianie sobie nawzajem przyjemności w nowej formie.

- Chcesz powiedzieć, że nasz seks jest do niczego?

- Chcę powiedzieć, że trzeba nam czegoś nowego, Davidzie. Potrzebujemy Nowej Zelandii albo Nowej Fundlandii. Jakiegoś nowego stanu rzeczy. Nowego świata. Co o tym myślisz?

David zakrył oczy zwiniętymi w pięść dłońmi.

- Zgadzam się - kiwnął głową.

Tylko dlaczego Alice postanowiła na nowo odkrywać seks akurat tego dnia, kiedy on porządnie wyruchał inną kobietę? Dlaczego po wielu tygodniach rozpaczliwego omijania ich problemów postanowiła z taką determinacją rozwiązać je właśnie dzisiaj? Czy nie polepszyłoby to trochę ich sytuacji, gdyby podjęli tę rozmowę choćby wczoraj?

Alice chwyciła jego pięści i spojrzała w oczy.

- A gdybyśmy spisali wszystko, co nas w życiu ograniczało, i przysięgli sobie nawzajem, że postaramy się uwolnić od tych ograniczeń?

- Chodzi ci o seks?

- Nie tylko o seks. O ograniczenia duchowe także. Przestrzenne, fizyczne. Ale oczywiście możemy zacząć od seksualnych.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz sypiać z innymi?

- A ty? - Alice ujęła jego dłonie, ściskając je mocno. Jej ręce były ciepłe od herbaty; jego były zimne. - Chcesz mieć kochankę? Poniekąd właśnie do tego zmierzam. Znajdź ją sobie i opowiedz mi potem, jak było. Albo nie mów. W każdym razie zrób tak, jak chcesz, bo właśnie cię do tego upoważniam. Pomogę ci osiągnąć, co chcesz, a później ty mnie pomożesz.

- Nie chcę kochanki - skłamał. Choć w odniesieniu do tego, co mówiła Alice, nie było to kłamstwo.

- Musisz czegoś chcieć - upierała się.

Pewne pragnienie prześladowało go, odkąd zaczął pisać książkę, zamiast jednak wyrazić je słowami, spytał:

- A ty czego chcesz?

- Och! - Wciąż trzymając jego dłonie, odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. - Chcę... być kanibalem w Nowej Gwinei i nauczyć się, jak obkurczać ludzkie głowy. Chcę jeździć na wielbłądzie po pustyni, zobaczyć fatamorganę, a potem odnaleźć wodę. Chcę dołączyć do sekty, paść ofiarą zniewolenia umysłowego, a następnie zniewalać umysłowo innych. Chcę poczuć, jak to jest nie liczyć się z wydatkami, dopóki się nie zostanie bez grosza przy duszy. Chcę wylądować jako rozbitek na bezludnej wyspie i budować chaty z windami, jak bohaterowie powieści *Robinson Szwajcarski*.

- Ciągnąc go za ręce, opuściła głowę i spojrzała mu w twarz. - Chcę cię uczynić niemożliwie szczęśliwym.

David był tak zrozpaczony, że ledwie mógł usiedzieć.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz: „Tak”. Powiedz: „Kiedy zaczynamy?”

- Kiedy zaczynamy? - powtórzył za nią ze smutkiem.

- Natychmiast - odparła, uderzając dłonią w stół. - Możesz odejść ze Spellbound?

- Pewnie.

- Musisz mieszkać w Nowym Jorku?

- Nie.

- Powiedz, kiedy skończysz książkę?

Spojrzał na nią spomiędzy zmrużonych powiek.

- O czym mówisz?

- O twojej książce. Tej, nad którą pracujesz.

- Skąd, do cholery, o niej wiesz?

- Któregoś dnia widziałam kilka kartek na twoim biurku. Ale przeczytałam tylko kilka słów. To nie moja sprawa.

- To racja, nie twoja.

- Skończyłeś?

-Nie.i

- Mogę spytać dlaczego?

- Nie wiem, jak się kończy.

- Wyrzuć ją - zaproponowała. - Spal albo wyrzuć do śmieci.

- Nie - odrzekł David i cofnął ręce.

- W takim razie pojedź gdzieś i skończ ją. Gdybym wiedziała, że to robisz, gdybym wiedziała, że widzisz już jakiś koniec, może miałabym cierpliwość, żeby czekać.

- Nie muszę wyjeżdżać, żeby ją skończyć.

- Ale skończyć musisz, prawda? My musimy. To właśnie chciałam powiedzieć. Jeśli ta książka cię powstrzymuje, jeśli nie pozwala nam się zbliżyć, jeśli cię przytłacza, jak moja waga przytłacza mnie, to pojedź. Albo odpuść. Wtedy ja też mogę pojechać.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Niemożliwe, żebyś nie wiedział, bo jesteś na to zbyt bystry.

- Nie rób ze mnie głupka.

- Naprawdę, jesteś najbystrzejszym facetem, jakiego znam.

- Zachowujesz się tak, jakbyśmy oboje mogli po prostu się zmienić. Jakby wystarczyło ot tak - pstryknąć palcami. - Jakby można było wyrzucić całe dotychczasowe życie. Ale tak się nie da. My nie damy rady.

- Oczywiście, że damy.

- Dotychczas ci się nie udawało.

- Wiem - potwierdziła. - Ale się bałam. A teraz już się nie boję.

- Dlaczego nie?

- Bo po nas już nic.

To była prawda. Bez dzieci małżeństwo dotyczyło tylko ich dwojga. Nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy, ale teraz, kiedy powiedziała to ona, dotarło do niego, że tylko bał się do tego przyznać.

- Już mnie to nie smuci - dodała. - Nie jestem nawet wściekła z tego powodu. Przeciwnie, myślę nawet, że dzięki temu jesteśmy wyjątkowi. Niepowtarzalni. Mam tylko jeden sposób na postrzeganie świata. Ty nim jesteś. Wiem, że brzmi to romantycznie, ale właśnie tak bardzo cię kocham. Nie potrafię sobie wyobrazić, że odszedłeś.

- Przecież to raczej ty odchodzisz!

- Wiem - kiwnęła głową. - Właśnie dlatego wiem. I proponuję eksperyment, czyli nas. My będziemy eksperymentem, ale nie w klasycznym sensie. Będziemy celem bez metody. Metodę będziemy improwizować.;

-Co to znaczy?

- Że będziemy się posuwać do przodu.

- W jakim kierunku?

- W kierunku czegoś nowego. Ku nowym miejscom. Do jutra. Musimy tylko wyruszyć.

- Gdzie dokładnie?

- Ty wybierasz.

- Nie, wybór zostawię tobie.

- W porządku. Zawsze chciałam zobaczyć Wielką Rafę Koralową.

-Australia!

- Owszem. Antypody.

- Nieznany południowy kraj?

- Proszę - powiedziała. - To jest nasza szansa.

Wstał, oparł się o kuchenkę i wsunął dłonie pod pachy. Pomyślał, że to głupie. Całkowicie nierealne. Realne było to, że dzisiaj spał z inną kobietą i że chciał z nią sypiać w przyszłości. Och, jakże pragnął posadzić na sobie małą Georgine! Jak zareagowałaby Alice, gdyby jej o tym powiedział? Jak ekscytujący byłby ich eksperyment, gdyby jej wyznał, że już go rozpoczął? Czyż to nie dowodziło, że nie może być mowy o żadnych eksperymentach?

- Stać nas na wszystko - stwierdziła Alice. - Przecież się kochamy.

- Wszystko?

- Wszystko, czego chcemy.

- Teraz na pewno chcę spać. - Poczul się tak beznadziejnie zmęczony ich wspólnym życiem, tak bardzo zdystansowany, że ledwie wykrzesał z siebie siłę, aby dojść do sypialni.

- Wiem, że mi nie wierzysz - rzuciła za nim. - Dlatego mam zamiar ci to udowodnić.

- Dobrze - zgodził się. - Udowodnij.

Następnego ranka obudził się rozciągnięty w poprzek łóżka. Przez chwilę łudził się nadzieją, że rozmowa z żoną tylko mu się przyśniła. Usiadł, przypomniał sobie ujeżdżającą go Georgine i zaczął się zastanawiać, czy to także nie był sen. Ale nie był. Słońce zalewało sypialnię, choć nie dość silne, by rozproszyć jego smutek. Za oknem wstawał wietrzny, ale jasny dzień, zbyt pogodny, żeby się czuć tak potwornie.

Wykrzyknął imię żony, ale w odpowiedzi usłyszał tylko, jak silnik łódki z drzeniem budzi się do pracy. Spojrzał na zegarek. Prawie ósma trzydzieści. Z dzbanka w ekspresie unosił się kwaśny zapach resztek kawy na dnie, poszedł więc do kuchni, żeby zrobić sobie nową. Myślał o Georgine, nie czuł jednak najmniejszych wyrzutów sumienia czy wstydu. Zastanawiał się tylko, co z tym zrobić: najlepiej skończyć wszystko natychmiast, porozmawiać z nią podczas lunchu i mieć to z głowy. Jednakże coś kazało mu się dziś ubrać staranniej i rozmyślać, jak ona go przywita. Perspektywa tego spotkania tak bardzo go ekscytowała, że nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do pracy. Jeszcze inna część jego „ja” czuła się tak zażenowana, że podsuwała mu pomysł, by zadzwonić do pracy i pod pre-

tekstem choroby wziąć wolne do końca tygodnia, po czym zgodnie z sugestią Alice pojechać w jakieś nowe miejsce, gdzieś daleko; znaleźć się poza zasięgiem telefonów komórkowych i poczty elektronicznej, na przykład w Kongo. O ekspres oparty był list od Alice.

Davidzie!

Wyjeżdżam na jakiś czas. Chciałam powiedzieć Ci o tym wczoraj, ale doszłam do wniosku, że nie zrozumiesz i będziesz próbował mnie powstrzymać. Istnieje możliwość, że nie wrócę i ta perspektywa mnie przeraża. Obiecuję, że zostaniesz poinformowany, jeśli sprawy tak właśnie się potoczą.

Proszę, zastanów się nad tym, co Ci powiedziałam - albo się nie zastanawiaj. Ale cokolwiek się stanie, chcę, żebyś żył tak, jakbym odeszła na zawsze; jakbym umarła, dając Ci szansę na rozpoczęcie życia od nowa. Najlepiej już teraz zacznij żyć beze mnie.

Zrozum, że to część eksperymentu.

Nie próbuj mnie odnaleźć. Nikt nie wie, dokąd się wybieram. Kilka miesięcy temu po powrocie ze szpitala powiedziałam Ci, że odmienię swoje życie i właśnie stawiam pierwszy krok na tej drodze.

Pamiętaj: cel bez metody.

Kocham Cię.

Alice

Czytając słowa jej listu po raz wtóry, David był zaskoczony, że nie odczuwa żadnych emocji - być może dlatego, iż nie wierzył w ani jedno z nich. „Istnieje możliwość, że nie wrócę i to mnie przeraża”. „Litości - pomyślał. - To jakaś kolejna jej sztuczka i na pewno wróci, może nawet dziś wieczorem”. Wyobrażał sobie, jak Alice staje w drzwiach - przeszukanie jej szafy ujawniło, że nie zabrała ani jednej rzeczy - z nisko zwieszoną głową, zażenowana, a może zła na niego, ponieważ po raz kolejny poniosła porażkę. „Nie mów tego” - powie, a on posłusznie się nie odezwie. Potem Alice pójdzie do sypialni i znowu zacznie się dla obojga okres oczekiwania, aż zapomną, co się stało - albo co się nie stało.

Postanowił więc zbagatelizować całą tę sprawę. Podjął też decyzję, że skończy z Georgine jak najszybciej i pod prysznicem powtarzał głośno, co, gdzie oraz jak jej to powie. Ogolił się wyjątkowo starannie i przymierzył trzy koszule, zanim w końcu wyszedł do biura. Po drodze do metra zatele-

fonował do Alice na komórkę. Usłyszał wiadomość, że takiego numeru nie ma, co go zezłościło. Tak samo było z jej dietami! Oczami wyobraźni widział, jak pod koniec tygodnia, już po powrocie Alice, dzwoni do operatora, płaci koszty ponownego przyłączenia do sieci, a może nawet musi kupić nowy telefon. Na peronie stał tuż przy żółtej linii, kiedy pociąg, dudniąc, toczył się po torach. Wyraźnie widział swoją zatroskaną twarz odbitą w szybach zatrzymującego się przed nim powoli wagonu. „Albo jak z jej nauczaniem” - pomyślał. Odeszła z Trinity w połowie roku i znalezienie nowej pracy okazało się niemożliwe; dlatego wylądowała w Hawthorne Cedar Knolls, szkole dla dzieci z problemami emocjonalnymi. Ale to już nie była jego sprawa.

„Skoro Alice może sobie zrobić urlop ode mnie - myślał, przesuwając dłoń w górę uda Georgine stojącej przy jego biurku - to ja mogę sobie zrobić urlop od niej”. Drzwi gabinetu były otwarte, udawali więc obydwój, że się zajmują pracą, kiedy manipulował palcami w okolicy jej majteczek. Georgine rozgrzała się i przymknęła oczy.

- Kiedy się stąd wyrwiemy? - szepnęła.

Później, pijąc sok prosto z kartonu na tylnym balkonie mieszkania Georgine w Greenwich Village, David czuł się jak więzień, któremu udało się uciec za granicę. Dlaczego miałyby się przejmować Alice? Przecież mógł skorzystać z jej oferty i żyć tak, jakby odeszła na zawsze. Słyszał, jak Georgine, ubierając się w łazience, śpiewa, trzymając się dokładnie tej tonacji, w jakiej płynęła melodia z fortepianu, na którym ktoś grał po drugiej stronie podwórza. Spojrzał w tamtym kierunku. Kompozytor w mieszkaniu z lewej uderzał kilka akordów, po czym notował coś ołówkiem wyciągniętym zza ucha, a starszy mężczyzna w tym samym pokoju, może współautor, z aprobatą kiwał głową, nakręcając zegar stojący na półce nad kominkiem. David także pokiwał głową. Pomyślał, że ta muzyka brzmi radośnie, jak pieśń o miłości i wolności. Poczul się znów młody i wolny - i naprawdę zadziwiony wszystkim, co się w tej chwili działo: widokiem za oknem, nową partnerką, swoim nowym życiem! Poczul się zdolny do osiągnięcia wspaniałych celów, o których wcześniej nawet mu się nie śniło. Poczul, jak kości nowych skrzydeł - ramienna, łokciowa, promieniowa i nadgarstkowo-dłoniowa - wyrastają mu z pleców i rozkładają się, unosząc go ku słońcu. Czy to właśnie był nowy świat, o którym mówiła Alice?

Nowy stan rzeczy? Czy może jego ciało i umysł uległy transformacji tylko dlatego, że ona zniknęła?

Tamtego dnia Alice nie wróciła do domu na noc. Ani następnego, ani przez kilka kolejnych - które szybko zamieniły się w tydzień, potem dwa. Początkowo David nie przejmował się nieobecnością żony, choć z przyzwyczajenia codziennie wypowiadał głośno jej imię po powrocie do domu. Samotność była dla niego czymś nowym, dodatkowo miał całe mieszkanie dla siebie. Mógł zamawiać sobie, co chciał i nie wynosić pudełek. Mógł jeść, na co tylko miał ochotę i oglądać dowolny film. Jej dezercja dotkliwie uświadamiała mu jednak istnienie Alice w jego życiu. Sytuacja kojarzyła mu się z przeciąganiem liny między dwoma idealnie dobranymi wagowo rywalami - impas trwa dopóty, dopóki jedna ze stron nie osłabnie i nie odpuści, czego on na pewno nie miał zamiaru zrobić. Był zdecydowany doprowadzić to do końca, utrzymać się na pozycji. Postanowił, że kiedy Alice wróci, zastanie go tutaj, w domu. Bo był głęboko przekonany, że wróci.

Dwa tygodnie zamieniły się w miesiąc (teraz listopad), potem następny. Dla zabicia czasu zajmował się Georgine, był to jednak dziwny związek. Z upływem czasu zaczął udawać, że Alice może wrócić lada moment, by dodać ich schadzkom pikanterii. Jeśli w obecności Georgine na jego biurku dzwonił telefon, powtarzał sobie w myślach, że to na pewno Alice dzwoni z recepcji. Jeśli odzywał się jego telefon komórkowy, kiedy byli z Georgine w hotelu, perwersyjnie kazał jej odbierać, nawet jeśli był wtedy w niej.

- Już go daję. Jest akurat tuż obok - mówiła, przekazując mu aparat. Jeśli akurat szli ulicą, a on zobaczył kobietę podobną do Alice, brał Georgine za rękę i przyśpieszał kroku, żeby podejść bliżej i nabrać pewności.

Którejś nocy - po czterech, może pięciu miesiącach (był styczeń, a on odliczał w tył) - przekonał nawet Georgine, żeby poszła z nim do domu. Mijając się z prawdą, powiedział jej, że żona wróci dopiero późnym wieczorem. Stojąc przed drzwiami, przyznał jednak głośno, że to ryzykowne, ale i tak chce się z nią kochać we własnym łóżku. Nigdy jeszcze nie czuł się bardziej napalony. Kiedy weszli, wykrzyknął imię Alice.

- Boże, czy ona tu jest? - przeraziła się Georgine.

- Nie wiem - powiedział, tłumiąc śmiech. Naprawdę niepewny, czy są sami, zaprosił Georgine do środka, pamiętając, by drzwi wejściowe zostawić uchylone. Dla stworzenia nastroju włączył muzykę tak głośno, by nie

usłyszeć, jeśli Alice wejdzie niezapowiedziana. Mimo protestów Georgine zostawił drzwi do sypialni szeroko otwarte, kiedy się rozbierali. Następnie węzłami tak skomplikowanymi, by nie dało się ich szybko rozplątać, przywiązał jej dłonie do poręczy łóżka dwoma krawatami, które Alice podarowała mu na ostatnie urodziny. „Krawaty - myślał, ściągając spodnie. - Od kiedy to niby, do kurwy nędzy, noszę krawaty?”

- Jesteś pewien, że ona nie przyjdzie? - dopytywała się Georgine. Była naprawdę wystraszona.

- Nie, nie jestem - odparł, także przerażony, po czym kochał się z Georgine wściekle i namiętnie, ostentacyjnie, jakby Alice była w domu i mogła ich oglądać.

Dokąd pojechała?

Owszem, myślał, kiedy pięć miesięcy stało się sześcioma i siedmioma, a zima zamieniła w wiosnę, jest niewierny i musi natychmiast zerwać z Georgine. Owszem, ich związek z Alice wpadł w jakąś koleinę, w jakiś kryzys czy otchłań; zabrnęli w jakieś nieokreślone koszmarnie miejsce. Ale numer, który mu wycięła, dawno przestał być śmieszny! Nigdy nie spędzili osobno tak długiego czasu, choć wcale nie tęsknił za żoną i wciąż był bardzo, bardzo szczęśliwy, że Alice postanowiła ich rozdzielić. Ale w tych jej eksperymentalnych wakacjach czy może zniknięciu w celu samookreślenia do szału doprowadzał go fakt, że nie ma pojęcia, co robić z cholernym nadmiarem wolnego czasu!

Oczywiście była to świetna okazja, żeby trochę popisać. Zdał sobie z tego sprawę i z początkiem maja, w dziewiątym miesiącu ich rozłąki, wyjął tekst z pudełka i przeczytał wszystko do miejsca, w którym utknął. Przejrzał go potem jeszcze raz i jeszcze, aż zabrnął w tę samą ślepą uliczkę. W połowie powieści poczuł się jak w środku zwiniętego kłęбка przedzy. Stan ten całkowicie się różnił od pisania nowej gry. Przyszli użytkownicy mają do dyspozycji nieskończone możliwości, ale liczba linijek kodu, choć wielka, jest przecież ograniczona. Pisząc grę, tworzy się coś w rodzaju wielkiej nakręcanej zabawki, którą można obejrzeć w działaniu. W połowie powieści tymczasem masz wrażenie, że może ona bez końca rozrastać się wokół ciebie. David wpatrywał się w ostatnią wydrukowaną kartkę, na chwilę przerywał, a potem znów się na nią gapił. Miał teraz idealne warunki do pracy, ciszę i spokój, ale bez ukrywania się przed Alice nie potrafił się skoncentrować, jego wyobraźnia zaś przestała być kreatywna. Czuł, że

książka straciła nagle całe znaczenie i nie widział najmniejszego powodu, żeby ujrzała światło dzienne. Siedząc przy stole kuchennym, wpatrywał się w jedną kartkę tak długo, aż zniknęła, a jego myśli wróciły do ostatniej rozmowy z żoną, podczas której przedstawiła mu swój pomysł, by ich życie stało się eksperymentem - celem bez metody. Nie był pewien, co dokładnie miała na myśli, wiedział jednak doskonale, że pisanie powieści jest właśnie celem bez metody. Czuje coś w rodzaju rozwiązania albo zakończenia, które go wabia, każą iść naprzód, tylko nie ma pojęcia, jak do nich dotrzeć - choć przecież jakoś musi je w końcu odkryć i opisać. Życie, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, też takie jest. Oczywiście, psychologowie i filozofowie, politycy i księża wytyczają ludziom ścieżki, ale jak często ci ostatni czują się przekonani, wprowadzając w życie ich rady? Czy naprawdę znają drogę? Tracą przekonanie, że inni wiedzą coś, co nie jest dane im? Stają się lepsi? Wchodzą na właściwą drogę, pędząc ku nicości? Czy to właśnie robiła Alice? Czy to próbowała mu zademonstrować? Że przy najmniejszym wysiłku mogą zejść ze ścieżki, na której się znajdują - każde z osobna albo we dwoje? Czy wcześniej jakoś ukrywali tę prawdę przed sobą nawzajem? Czy stał przed szansą, żeby skorygować dalszą drogę swojego życia? Czy jej zniknięcie było bardziej podarunkiem niż dezercją?

Może powinien skorzystać z rady Alice, wypróbować jej pomysł i zapytać samego siebie, co go ogranicza?

Jego książka. Jego niedokończona książka zatruwała mu życie.

Chciał ją skończyć, ale nie miał pojęcia jak. Nie wiedział, jak powinna się zakończyć. Alice powiedziała, żeby się jej pozbył, wyrzucił ją na śmietnik. Ale wtedy do końca życia by się gryzł, że nie dokończył książki. Nawet Alice powinna była o tym wiedzieć. David pamiętał, co powiedziała mu u lekarza po trzecim poronieniu - że najprawdopodobniej nigdy nie zdoła donosić ciąży.

- Nic się we mnie dłużej nie utrzyma - wyszeptała i rozplakała się. Później wyznała jednak, że najgorsze w tym wszystkim wcale nie jest to, że nie będą mieli potomstwa, tylko to, że ona nieustannie myśli o dzieciach, których nie może mieć. - Ciągle mam przed oczami te maleńkie ziarenka - stwierdziła.

Musiał dokończyć książkę, by się jej pozbyć raz na zawsze. Jak tylko to się stanie, otworzy się przed nim zupełnie nowy świat: świat bez pisanej przezeń książki.

Musiał dokończyć tę książkę, ale nie potrafił. Nie miał pojęcia, co się stanie dalej. A jedyny sposób, aby się tego dowiedzieć, to sprawić, aby się stało.

Skonsternowany podniósł się z krzesła, podszedł do szafki i z sekretnego schowka na zakazane jedzenie wyjął puszkę orzeszków ziemnych. Wysypał, ile się zmieściło, na dłoń, zjadł, a potem wytarł sól, ocierając dłoń o spodnie. Spojrzał na logo firmy Planters - wystrojone w cylinder ziarenko orzeszka ziemnego - i pomyślał, że jeden taki orzeszek mógłby zabić Alice.

„Oczywiście!” - pomyślał David.

Ale przede wszystkim musiał ją odnaleźć.

Nie dało się zaprzeczyć, że jego żona była inteligentna, nie przypuszczał jednak, by potrafiła zniknąć bez śladu. Ale po przeszukaniu jej biurka i odnalezieniu laptopa (sformatowany twardy dysk), zaczął podejrzewać, że jednak jej się to udało.

Przekonany, że gdzieś w domu musi znaleźć jakąś podpowiedź, zaczął przewracać mieszkanie do góry nogami. Nie był pewien, gdzie szukać najpierw. Zdecydował się na szafę. Z górnych półek zdjął wszystkie pudła z jej starymi ubraniami i przejrzał je starannie; od czasu do czasu wąchał materiał, który wciąż pachniał Alice i przypominał sobie, jak wyglądała w tej czy innej kreacji; przecież co rano przed wyjściem do pracy prezentowała mu się niczym modelka, tupiała nogą, żeby zwrócić na siebie uwagę i pytała: „A w tym jak wyglądam?” - jakby potrzebowała jego aprobaty, zanim przejrzała się w lustrze. Przekopał się przez sterty jej swetrów, koszulek z krótkim rękawkiem i butów poustawianych piętrowo na osobnych półkach. Wolała czółenka bez obcasów. David myślał o jej stopach, zawsze grubych, nawet zanim ona sama obrosła tłuszczem. Nie widać było na nich ani jednej kości. W kostce noga też była tłusta. „Mam stopy po ojcu - żaliła się często. - Jeśli urodzi się dziewczynka, to mam nadzieję, że stopy będzie miała po tobie”.

Przebrnął przez sterty starych fotografii rodzinnych Alice z dzieciństwa, odbitki dwa na trzy całe z datami wypisanymi na marginesie, wyblakłe i marne w porównaniu z pochodzącymi z dzisiejszych aparatów jakości, rozmazanych jak u Seurata, utrzymanych w konwencji snu i wspomnień. David uświadomił sobie ze smutkiem, jak niewiele słyszał opowieści z jej dzieciństwa. Jeszcze bardziej zasmucała go myśl, jak niewiele z jej dzie-

cięcych wspomnień było radosnych. Na jednym ze zdjęć pięcioletnia może Alice, w koszulce polo i džinsach, z kasztanowymi włosami obciętymi tak krótko, że wyglądała jak chłopczyk, stała przy jeziorze obok Princess, golden retrieverki zajmującej specjalne miejsce we wspomnieniach żony. Ilekroć Alice przechodziła przez parkan na tyłach domu, suczka przeska-kiwała za nią, po czym delikatnie brała w pysk rękę Alice i ciągnęła ją z powrotem do domu. Ponieważ Princess była bardzo roszczeniwa (nie wpuszczano jej do domu), została, podobnie jak później Alice, odprawiona przez ojca. David znalazł też stare fotografie swoje z żoną, o których dawno już zapomniał; świadczyły wyraźnie, że kiedyś byli szczęśliwi. Uświadomiły mu upływ lat: mieli wtedy gładszą skórę, pociągłe twarze, szczuplejsze talie i nie pojawiły się jeszcze zadatki na drugi podbródek - jakby małżeństwo było tuczeniem na ubój. Znalazł paczuszki listów, które pisali do siebie - ta forma komunikacji wymarła tak samo jak dinozaury i klisze w aparatach fotograficznych. Rozbawiony ich banalną treścią rozczulił się, widząc dziewczynski charakter pisma Alice. Jej niewinność uwidaczniała się w kształcie liter: nieszkodliwa krągłość brzuszków jej małych „b” i „d”, słodczych nieproporcjonalnych konturów „a” i „g”. „O” nie mogłoby nikomu wyrządzić krzywdy, pomyślał, a pisanie w taki sposób literki „z” to czysta przyjemność cDa oka czytelnika. Była dobrą kobietą, kochającą żoną i musiał ją odnaleźć, żeby ustalić, co się z nią stało. Kontynuował więc rewizję mieszkania. Zdjął z półek pudełka, na których napisała BOŻE NA-RODZENIE: sznury lampek splecione, choć tak starannie je zwijała po każdym świętach. Wyciągane z pudełek kable wyglądały jak węże opuszczające legowisko. W pudełku z napisem OZDOBY znalazł bombki, wśród których przynajmniej jedna w każdym opakowaniu była rozbita, nie wiadomo dlaczego, bo przecież pakowała je z najwyższą ostrożnością. Widać niektóre rzeczy tłuką się same. Wyrzucił z szafek jej dokumenty: podania o pracę, korespondencję służbową, stare prace semestralne, które pisała jeszcze na studiach. Przeczytał wszystko z wielkim zainteresowaniem, dowiadując się wiele o sposobie jej myślenia. Nie znalazł choćby najmniejszej podpowiedzi, dokąd mogła się udać. Przejrzał bloki papieru listowego wetknięte między książki telefoniczne w kuchni, próbując odcyfrować notatki, które nabazgrała między zostawianymi mu wiadomościami, analizując do niczego niepotrzebne cyfry na starych jak świat listach zakupów, rzeczy do zrobienia i nagryzmołonych machinalnie płataninach

kresek. Przejrzał jej plany lekcji, nie znalazł tam jednak śladów żadnych sekretnych przygotowań. Zdjął z półki jej książki i zaczął je kartkować w poszukiwaniu notatek na marginesie - wszystkie były jednak albo zbyt enigmatyczne, by cokolwiek na ich podstawie wywnioskować, albo zbyt ogólne („Racja! - pisała. - Tak!"). Zaczął więc czytać podkreślone fragmenty. „Człowiek przychodzi na świat ledwie z maleńką iskierką dobra w sobie. Ta iskierka to Bóg, ludzka dusza. Cała reszta jest brzydotą i złem - skorupą". „Racja! - pomyślał David. - Święta prawda!"

Tak długo brnął w ślepe zaułki, aż wreszcie, doprowadzony do ostateczności, zaczął demolować mieszkanie. Powyciągał szuflady ze stolików nocnych, rozwalił na szczapy i przeszukał rzeczy, które z nich wyrzucił na stertę: kondomy jak ogony latawców, puste tubki po żelu K-Y, szpulki nici, igły do szycia (igły do szycia!?), agrafki, drobne monety poczerńiałe od starości albo pokryte zielonym nalotem. Na spodzie komody w sypialni znalazł kremy i odżywki z różnych hoteli, które zawsze lubiła podwędzić, kolekcję grzebieni, szczotkę z pajęczyną jej włosów, niepiszące długopisy, a nawet listy miłosne, które z rozrzewnieniem odkrył w kopercie zaadresowanej dawno temu jego własną ręką do ALICE. (Również je przeczytał.) Wyciągnął także te szuflady, sprawdzając, czy nic nie znajdzie pod spodem i za tylną ścianką. Całkowicie opróżniona komoda straciła na wadze akurat tyle, by mógł ją sam przesunąć. Odsuwając mebel od ściany, usłyszał, że coś spada na podłogę: małe pudełeczko z diamentowymi kolczykami w środku (prezent od niego; później odkupił jej takie same), które zapodziało się dawno temu, zagubione w otchłani między komodą a ścianą.

- Znalazłem je w końcu, Alice! - powiedział głośno. Zajrzał pod łóżko, żeby spod sterty kurzu wyglądającego jak księżycowy grunt wyjąć rzeczy, które trzymali tam przez lata: lustro i plakat Hitchcockowego *Okna na podwórze*. Wtedy do przeszukania zostało mu już tylko łóżko. Przyniesionym z kuchni nożem do krojenia mięsa wyciął ziejącą ranę pośrodku materaca z siłą, której się po sobie nie spodziewał. Wetknął w nią ramię, jak farmer pomagający dużemu zwierzęciu podczas porodu, obmacując sprężynowo-piankowe bebechy w poszukiwaniu czegoś, co - był pewien - między nimi znajdzie. Ale nie znalazł. Ostatnią szansą był stelaż łóżka. Poszedł do pudła na narzędzia po piłę, gotów rozebrać stelaż na wióry, gdyby zaszła taka konieczność. Kiedy rzucił wypatroszony materac na środek wyglądającego jak pobojuwisko pokoju, zamarł z wrażenia: w sa-

mym środku, jakby stelaż był gigantyczną ramą maleńkiego obrazka, zobaczył to, czego szukał.

Przedmiot poszukiwań okazał się jej pamiętnikiem.

Na czarnych okładkach widniała reprodukcja Botticellego: Wenus wynurzająca się z morskich fal. Otworzył na pierwszej stronie. Nieli-niowany papier. Zerknął na datę jedyne go wpisu. Tuż po powrocie ze szpitala napisała:

KONIEC

Musiał ją odnaleźć! Musiał się dowiedzieć, co było potem! Nie potrafił jednak zrobić tego samodzielnie. Postanowił zatrudnić profesjonalistę.

Wpisał do Google: „prywatny detektyw” i na ekranie komputera pojawiło się co najmniej tyle wyników, ile wyskakuje na hasło: „pornografia”. Zabawne nazwy i slogany reklamowe sprawiały, że nie sposób było traktować poważnie firmy: Zaszachuj żonę; Sprawdź żonę; Zbadaj partnera; Zdrada? U nas dobra porada!; Problem z niewiernością? Skończ ze swą biernością! Już sama liczba wyników nie mieściła się w głowie: siedem milionów czterysta dziewięćdziesiąt cztery tysiące! Prywatnych detektywów zebrałoby się na całe miasto albo nawet stan. Sherlockna Sherlocku. Agencje, biura, wywiadowcy: czynapewno.com; badzpevien.com; rozwody.net. Zawęził przeszukiwanie do Nowego Jorku, co ograniczyło liczbę wyników do miliona czterech. Nie mając pojęcia, jak wybrać z tak wielkiej liczby ofert, kliknął na stronę, której nazwa podobała mu się najbardziej, czyżby ze względu na skojarzenie z Hitchcockiem?

*M-jak-co.com Specjalność: osoby zaginione Także bez wieści
aby przejść do strony kliknij TUTAJ*

Kliknął, a kiedy wszedł na stronę, znalazł tam tylko jedną informację: numer telefonu. Po kilku minutach gapienia się w ekran zatelefonował. To był pager. Wstukał numer swojego telefonu i rozłączył się, czekając.

Niemal natychmiast oddzwonił mężczyzna.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.
- Dzwonię w sprawie żony - odparł David.
- Ach tak! - powiedział mężczyzna. - Co ta suka zrobiła?

- Odeszła ode mnie.
- Do innego mężczyzny?
- Tego nie wiem. Nie jestem pewien. Ale chyba nie.
- Ale chciałby się pan dowiedzieć?
- Tak - stwierdził David. - Chcę ją znaleźć. W słuchawce zapadła cisza tak długa, że David doszedł do wniosku, iż przerwano połączenie.
- Jest pan tam?
- Muszę powiedzieć, że nie ma pan specjalnie zmartwionego głosu.
- Co pan wygaduje?
- Nie mówi pan jak człowiek zdradzony.
- Bo nie wiem, czy zostałem zdradzony.
- Skoro dzwoni pan do mnie, nie wie pan nic.
- Jakim głosem powinienem mówić?
- Pełnym złości. Jest pan przecież zły, prawda?
- Wściekły.
- Czyli posunąłby się pan do wszystkiego?
- Gdyby tu teraz była, złapałbym ją i...
- Proszę nie kończyć - przerwał mężczyzna. - Spotkajmy się natychmiast.

Umówili się w prowadzonej przez Greka restauracji niedaleko jego mieszkania. Chcąc jak najszybciej opuścić zdemolowane pomieszczenie, David wyszedł od razu i pokonał tych kilka przecznic piechotą. Restauracja była prawie pusta, ale i tak usiadł w boksie na samym końcu sali, jak najdalej od pozostałych gości, mając za plecami olbrzymie malowidło przedstawiające Akropol. Podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie. To krzepiące, jak niewiele zmienili się przez lata greccy kelnerzy: wciąż z mierzwą włosów na piersi wystających spod rozpiętej koszuli oraz ze złotymi łańcuszkami na szyi - co najmniej jednym, ale nie więcej niż trzema - na których wisały symbole kojarzące się odlegle z alfabetem jidysz; nade wszystko jednak nie zmieniła się całkowita obojętność, która towarzyszyła im podczas przyjmowania zamówienia. Ciągłe rzucali nad twoim ramie-

niem spojrzenie światowca, po czym nonszalancko wyrywali kartkę z bloczka bez względu na to, czy zamówiłeś prawą stronę menu czy tylko filiżankę herbaty. Kelner odszedł, odsłaniając stojącą za nim osobę.

- David? - upewniał się mężczyzna.

Przez chwilę David miał wrażenie, że mówi do niego chłopiec. Mężczyzna sięgał głową najwyżej do wyłącznika światła, pas miał sporo poniżej blatu stołu, a na krawacie wyhaftowane homary. Był w trudnym do określenia wieku - równie dobrze mógł mieć trzydzieści, co i pięćdziesiąt lat. Jego ciemne oczy błyszczały jak rybom z samego dna morskich głębin, które czasem widuje się na fotografiach. Choć drobnutki, imponował budową ciała: rozrośnięta klatka piersiowa, długie ręce i duża głowa, jak u pitbulla albo boksera. Usta miał tak szerokie, że mógłby chyba zagryźć jednym klapnięciem. Przyniósł ze sobą duży neseser, który postawił obok na podłodze, a kiedy wyciągnął dłoń na powitanie, David był tak zaskoczony, że aż się uśmiechnął.

- Jestem Mobius - przedstawił się.

Uścisnęli sobie dłonie. Potem w ułamku sekundy David został przezeń przygwożdżony do ścianki kabiny, z ręką wykręconą do tyłu jakimś chwytem karate i nadgarstkiem wygiętym tak, że omal się nie złamał.

- Nie ruszaj się - rozkazał Mobius szeptem. Wolną ręką obmacał Davida, sprawdzając na brzuchu i na bokach, na plecach i między nogami tak blisko krocza, że aż przeszedł mu dreszcz po penisie. Stopą sprawdził łydki i gołenie, patrząc przy tym Davidowi prosto w oczy. Następnie wyjął mu portfel z kieszeni na piersi, otworzył go i przenosząc wzrok ze zdjęcia w prawie jazdy na twarz Davida, porównywał jego oblicze z fotografią ze skupieniem golfisty, szacującego odległość między piłką a dołkiem przed ostatnim uderzeniem. - W porządku - stwierdził w końcu. - Jest pan czysty.

Puścił rękę Davida.

- Mogę? - zapytał, wskazując oczami miejsce przy stole.

- Pewnie - odparł David, potrząsając obolałą dłonią.

Mężczyzna położył neseser na winylowej poduszce, wielkim susem przesadził kabinę i opadł, siadając na nim jak karzeł na książce telefonicznej.

- Przepraszam, że potraktowałem pana tak brutalnie, ale sam pan wie, że w dzisiejszych czasach nie można ufać nikomu.

- Nie można - zgodził się David.

Kiedy ponownie pojawił się kelner, Mobius zamówił linguine z sosem z małży i kieliszek białego wina.

- A teraz niech mi pan opowie swoją historię - zachęcił Davida.

David zamówił lampkę wina i opowiedział mu wszystko po kolei, od początku aż do chwili obecnej.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytał Mobius.

- Chcę, żeby pan ją znalazł.

- Proszę przypomnieć, kiedy się rozstaliście.

- We wrześniu ubiegłego roku..

- Dziewięć miesięcy. To nie jest ciepły trop.

- Chce pan powiedzieć, że nie zdoła pan jej odnaleźć?

- Chcę powiedzieć, że to będzie wymagało czasu. I pieniędzy.

- Pieniądze nie stanowią problemu.

- Rozumiem - mruknął Mobius. - Czy mogę zadać panu pytanie?

- Proszę.

- Dlaczego chce ją pan odnaleźć?

Pytanie zbiło Davida z tropu.

- Żeby... żeby się dowiedzieć.

- Czego chce się pan dowiedzieć?

- Gdzie ona jest.

Przez chwilę Mobius wodził wzrokiem po sali.

- Rozumiem. To jest jakiś powód. Zwłaszcza w świetle tego, co mi pan opowiedział. Nie wzięła pańskich pieniędzy. Nie zdradziła pana. Jest pan... jest pan wolny, proszę pana.

- Co pan sugeruje?

- Może powinien pan po prostu odpuścić sobie? David zaniemówił.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Zależy mi oczywiście na każdym zleceniu, ale miałem dziesiątki klientów, którzy...

- Którzy co?

- Widzi pan, oni wszyscy z radością znaleźliby się na pańskim miejscu. - Mobius owinął makaron wokół widelca, pomagając sobie łyżką, po czym wetknął do wielkiej jak u rottweilera paszczy kulę wielkości piłki tenisowej.

- Chcę ją odnaleźć, żeby wiedzieć, co się dzieje dalej.

-Dalej?

- Alice i ja... myśmy jeszcze nie doszli do końca.

Mobius zmrużył oczy.

- Zapewne sądzi pan, że to dziwne.
- W stu procentach w to wątpię.
- Powiedzmy, że piszę książkę.

Mobius się oparł, wypchnął policzek językiem i pokiwał głową.

- Aha. Autobiograficzną?
- Poniekąd.

- O czym jest pańska książka?

- Opowiada o mężczyźnie, który być może zabija żonę. Mobius uśmiechnął się szeroko.

- Hm... - mruknął.

- Ale utknąłem.

- Rozumiem. .

- Ponieważ nie wiem, co się dzieje dalej.

- Potrzebuje pan zatem redaktora.

- Chodzi bardziej o wątek.

Mobius wskazał palcem na Davida i zachichotał.

- To świetne! - stwierdził.

- Naprawdę?

- Chce pan ją znaleźć, bo chce pan dobrać do końca.

David był szczerze zdumiony.

- Otóż to.

- Kiedy więc ją znajdę, czy mam...

David czekał.

- Czy mam doprowadzić do końca?

- Co?

Teraz Mobius na chwilę zamilkł zdziwiony.

- Książkę - stwierdził wreszcie.

- Ach, rozumiem - powiedział David, choć niezupełnie rozumiał, nie mogąc pozbierać myśli, i pokiwał głową ze smutkiem. - Czasem mi się wydaje, że wcale nie chcę znać zakończenia.

- Zwykle tak właśnie jest lepiej - zawyrokował Mobius.

David spojrzał na niego. Nigdy nie widział tak czarnych oczu ani tak wielkich ust. Pomylił się. Nie takiego rozwiązania się spodziewał. Tyle tylko że wносиło ono coś nowego. A nowe miało być dobre.

- Tak z ciekawości... ile?

Palcem wskazującym Mobius napisał w powietrzu sumę: ósemkę i pięć zer, po czym wzruszył ramionami.

- Mniej więcej - dodał.

- Rozumiem - powiedział David. - A jak...

- Rozłożymy to w czasie. Z doświadczenia wiem, że klientom najwygodniej jest odkładać niewielką kwotę codziennie. Żadnych dużych wypłat jednorazowo. Żadnych śladów na papierze. Drobne wpłaty, jak na rachunek emerytalny.

David rozmarzył się na chwilę.

- I znów pytam z czystej ciekawości - stwierdził. - W jaki sposób by pan to...

- Och, nie mam pojęcia - wpadł mu w słowo Mobius, uśmiechając się jak aktor, który skromnie opowiada o granych w przeszłości rolach. - Nigdy nie wiem z góry, jak to rozegram. Najpierw muszę się zaznajomić z obiektem, poznać przyzwyczajenia, plan dnia, nawyki. To cała sztuka, wręcz dyscyplina wiedzy. Wszystko jednak sprowadza się do gotowości. Osobiście preferuję sprzyjające zrządzzenia Opatrzności.

Mężczyźni wpatrywali się w siebie nawzajem.

- Chyba nie jestem zainteresowany - oświadczył David.

- Rozumiem. Ta sztuka nie należy do pięknych.

- Która?

- Kończenie - odparł Mobius.

David przyglądał się, jak jego rozmówca wyjada resztki makaronu, a potem jednym haustem wypija pozostałe wino, dotknął warg serwetką, zwinął ją w kulkę i rzucił na talerz, gdzie zabarwiła się od resztek sosu. Potem przesunął rachunek w stronę Davida.

- Miło się z panem rozmawiało - powiedział. - Będziemy w kontakcie.

Zeskoczył z nesesera, chwycił go i odwrócił się, żeby odejść.

- Chwileczkę - zatrzymał go David. - Czy pan i ja właśnie coś uzgodniliśmy?

- Skądże! - odparł Mobius. - Nie uzgodniliśmy absolutnie niczego.

Po spotkaniu David wracał do domu jak ogłuszony, jakby ktoś go pobił. Wydarzyło się coś tak bardzo niespodziewanego i gwałtownego, że przepłynęło przez jego umysł, zanim zdążył zareagować. Teraz jednak czuł, jak przeszywa go zimny dreszcz będący skutkiem - jak uznał - nie tylko tego, że

poznał kogoś tak zdeprawowanego, ale też uwierzył w jego zło, a przynajmniej zaakceptował je na tyle, by otworzyć przed nim drzwi do własnego małżeństwa. Kiedy odtwarzał w myślach tę rozmowę, poczuł się nagle potwornie zawstydzony zarówno tym, co powiedział Mo- biusowi, jak i tym, co przed nim ukrył.

Po pierwsze, pominął w relacji własny romans. Przy czym nie był ważny sam romans - co nie znaczy, że był nieważny - ale raczej fakt, że widząc, jak Alice walczy z czymś w sobie, cokolwiek to było, zostawił ją samą i wybrał ramiona innej kobiety, zamiast sprostać wyzwaniu i zatrzymać ją przy sobie. Jakby zasługiwał na większy komfort niż ten, który potrafiła, bądź nie, zapewnić mu Alice. Przecież obowiązkiem małżonka, zawartym w przysiędze małżeńskiej, było przetrwanie takiego czasu. Właśnie złamanie małżeńskiego prawa przez Alice wydało mu się większym grzechem niż jego niewierność.

Po drugie, pominął także, że w głębi duszy pragnął, by Alice pozostała gruba, ponieważ jakaś część jego osobowości - mała, czarna i wstrętna - liczyła na wdzięczność grubej żony za wszystko, cokolwiek on zechce jej ofiarować, bo akurat przyjdzie mu na to ochota. Uświadomiwszy to sobie, zaczął się obawiać, że pewnego dnia Alice odkryje, jak jest piękna. Dopóki tego nie zrobiła, nie mógł tego odkryć także nikt inny. A dopóki nikt, włącznie z nią, nie dopatrzył się w niej piękna, Alice brakowało pewności siebie, żeby od niego odejść. Na zawsze pozostałby całym jej światem, jedynym w jej przekonaniu człowiekiem, który ją kochał, a więc także autorytetem w sprawach miłości. Zostałaby z nim na zawsze. W tej sytuacji pragnienie Davida było równoznaczne z jakimś potwornie żarłocznym apetytem.

Po trzecie wreszcie, co najstraszniejsze, pominął jeszcze i to, że podejrzewa, iż Alice utyla przez niego, przez jakąś nieznośną cechę jego charakteru, którą się od niego zaraziła. W końcu przecież eksperci twierdzą, że otyłość to choroba. W tych właśnie momentach czuł, że najlepszym, najbardziej wspaniałomyślnym i altruistycznym gestem z jego strony byłoby ją opuścić, zakończyć ich małżeństwo, ponieważ w jakimś sensie to właśnie ono powodowało chorobę - choć nie rozumiał, w jakim. Nigdy jednak tego nie uczynił. Właśnie dlatego, że widział ten związek i nie podjął żadnych działań, nienawidził siebie oraz jeszcze bardziej kochał Alice za to, że mimo wszystko chciała z nim być.

Puścił się biegiem. Chciał Mobiusa zostawić jak najdalej za sobą. Ale też poczuć, jak bije jego własne serce, zadyszeć się tak bardzo, by musiał przystanąć. Mknął obok ludzi, machając ramionami jak sprinter i słysząc gwizd w uszach. Zamierzał dobiec do domu, nie miał jednak formy i poddał się wcześniej. Łapiąc z trudem oddech, wsparł się na parkometrze. Piekły go nogi. Klatkę piersiową jakby oblano mu kwasem. Kiedy ostatnio czuł się tak zmęczony? Miał wrażenie, że jego skóra jest zbyt grubym kombinezonem, który za karę będzie nosił całą wieczność. Chciał się z niej wyzwolić, znów stać się lekki, zerwać z siebie ciało jak koszulę.

I chciał, żeby Alice wróciła do niego, choć nie był tego wart; pragnął jej wyznać, że nic o niej nie wie, a właściwie przyznać, jak niewiele się na jej temat dowiedział przez te wszystkie lata. Tylko za to powinien pokornie, na kolanach błagać o przebaczenie. To był początek i koniec zarazem. Nieunikniony rezultat eksperymentu Alice.

- Proszę - wyszeptał, wciąż oparty o parkometr. - Wróć do mnie.

Wchodząc do budynku, zauważył coś w skrzynce na listy.

Znalazł w niej dużą szarą kopertę, osiem i pół na jednaście cali, adresowaną do niego ręką Alice. Stempel wskazywał, że wysłano ją poprzedniego dnia w Nowym Jorku. Podniecony David ostrożnie ją otworzył. Ze środka wypadło kilka biletów lotniczych, a po nich mała koperta z jego imieniem, także napisanym przez nią. Zawierała krótki list, niecałą stronę tekstu, który szybko przeczytał.

Nie rozumiał.

Patrzył na bilety lotnicze, przeczytał list ponownie, rzucił wszystko inne, żeby trzymać kartkę obydwiema rękami. Opadł powoli na podłogę i raz jeszcze przeczytał jej słowa. Łzy wezbrały w oczach i twarz wykrzywiła mu się do płaczu.

- Nie - wyszeptał. - Nie, nie, nie! - Przeczytał list po raz kolejny, słysząc w myślach jej głos odczytujący każde słowo, a kiedy skończył, wydał z siebie skowyt z taką samą zaciekłością, z jaką biegł chwilę wcześniej. Pozbył się całkowicie powietrza z płuc. Potem, kiedy wziął oddech, zawył znowu.

Trzy następne dni spędził w łóżku.

Zadzwoił do Cady'ego z informacją, że na bliżej nieokreślony czas bierze urlop, ale wolałby odsprzedać mu udziały w Spellbound, gdyby się

zgodził. Odłożył słuchawkę i zaraz potem zdecydowanym szarpnięciem wyrwał ze ściany kabel telefonu.

Przez trzy dni leżał w łóżku pośrodku pobojuwiska. Zaciągnął rolety i miał tylko niejasne pojęcie o zmieniających się porach dnia i nocy. Wstawał wyłącznie po to, żeby się odlać i napić wody z kranu, po czym znów wczółgiwał się pod kołdrę i zasypiał albo przez długie godziny leżał z szeroko otwartymi oczami, śniąc lub marząc na jawie. Tak długo ignorował głód, aż poczuł w sobie przyjemne oczyszczenie, po którym jego senne marzenia stały się bardziej wyraziste. Pomyślał nawet, że nie będzie jadł nigdy więcej. Często się budził przerażony, nie wiedząc, gdzie się znajduje, po czym przypominał sobie wszystko i znów zaczynał płakać. Cykl ten powtarzał się tak długo, aż David przestał cokolwiek czuć: smutek wyczerpał się w nim tak samo jak substancje odżywcze.

Trzeciego dnia się obudził, wstał z łóżka i odsłonił rolety. Nie miał pojęcia, jaki to dzień tygodnia, wiedział jednak to, co było najważniejsze. Przedtem sądził, że gdyby odnalazł Alice, odkryłby, co się stało dalej. Teraz, kiedy już poznał dalszy ciąg, zrozumiał, że musi wykonać sporo pracy, zanim dotrze do końca.

Oslabiony trzydniowym postem ledwie doszedł do łazienki. Wykąpał się jak człowiek, który po wielu miesiącach wrócił z pustyni, pijąc wodę z prysznicą. Zgolił zarost, umył głowę, a następnie, po kilku minutach wpatrywania się w maszynkę, ogolił starannie całe ciało - co zajęło mu bardzo dużo czasu. Po wyjściu spod prysznicą umył zęby, poszedł do kuchni po nożyczki i zabrał się za dokończenie dzieła, ścinając grube pukle kręconych włosów na głowie. Wrócił do łazienki, stanął przed lustrem, namydlił głowę i ogolił się na zero.

Włożył dzinsy, trochę za luźne w pasie, i koszulkę. Zabrał się za sprzątanie mieszkania. Chaos powstaje znacznie szybciej niż porządek, potrzebował więc trzy razy więcej czasu, żeby przywrócić mieszkanie do poprzedniego stanu. Powkładał rzeczy Alice z powrotem do pudeł, zanim jednak postawił je na miejsce, uporządkował wewnątrz szafy, równo układając jej swetry i bluzki oraz starannie dobierając parami wszystkie buty. Włożył jej papiery do szafki na dokumenty, wyrzuciwszy wcześniej wszystkie niepotrzebne rachunki, nieaktualne pisma i każdy zbędny papierek, dzięki czemu objętość dokumentów zmniejszyła się o połowę. Zebrał to, co wyrzucił ze stolików nocnych, starannie oddzielając niesprawne

długopisy od tych, którymi jeszcze dało się pisać i wrzucając jednocentówki, pięciocentówki i dwudziestopięciocentówki do oddzielnych słoiczków. Wyrzucił stare książki telefoniczne, podarł na kawałki zapisane kartki bloków listowych z kuchni, jedną po drugiej, aż dotarł do czystej, jeśli nie liczyć śladów po zbyt silnym przyciskaniu długopisu na poprzedniej. Krótko mówiąc, wyrzucił z mieszkania wszystkie rupiecie, których się nazbierało wiele przez całe lata ich wspólnego życia. Mieszkanie wydawało się teraz przestronniejsze, bardziej schludne i uporządkowane. Wsunął nawet z powrotem na miejsce wypełnienie materaca i zaszył wyciętą nożem rzeźnickim dziurę. Zanim umieścił materac na stelażu łóżka, położył na nim pamiętnik Alice w tym samym miejscu, wiedząc, że dzięki temu będzie lepiej spał.

Spojrzał w lustro. Wyglądał jak nowo narodzony. Świeżo ogolona skóra była niewiarygodnie miękka.

Potem usiadł przy stole i zaczął pisać. W jednej chwili przekroczył miejsce, w którym utkwiał poprzednio, wchodząc na zupełnie nowe terytoria w tempie, o jakim wcześniej nawet nie marzył. Pisał tak długo, aż rozboleły go palce i oczy, automatycznie, jak pod dyktando jakiegoś wewnętrznego głosu. Wreszcie wyczerpany pracą oparł łysą głowę o blat.

Mijały dni i tygodnie. Popadł w nową rutynę. Budził się, włączał ekspres do kawy i kapał się, podczas gdy ona się zaparzała. Zawsze poprzedniego wieczoru starannie układał wszystko na stole: wydrukowany tekst, ołówki, notatnik i laptopa. Zanim zasiadł do pracy, zjadał coś lekkiego, na przykład jajko, trochę owoców albo tost z serem; potem pisał przez kilka godzin (trzy lub cztery najświeższe z całego dnia), choć czasem siedział nawet pięć. Różnica była dla niego niczym mrugnięcie oka, ponieważ skutkiem ewolucji albo degeneracji zaczął kierować się zwierzęcym instynktem, czas przestał się dla niego liczyć. Miał skłonność do czytania na głos, do wykrzykiwania niemodulowanym głosem na całe mieszkanie słów, co pozwalało mu poczuć rytm i wagę pisanych zdań. Czasem jednak mruzczał je pod nosem podczas pisania. Potem znów coś zjadał, najczęściej stojąc nad blatem kuchennym, szedł na spacer do parku, niczego jednak tam nie dostrzegał. Po powrocie przygotowywał nowy dzbanek kawy, choć czasem też odgrzewał to, co zostało z porannego zaparzania. Druga sesja bywała niekiedy wspaniałym darem. Umysłowe przemęczenie go rozluź-

niało, przenosiło w sferę marzeń albo stawiało dęba włosy na głowie, których się przecież pozbawił. Pod koniec dnia był gotów na przebieżkę. Wkładał dres, wychodził do parku, gdzie biegał tam i z powrotem po żużlowej ścieżce, czując, jak krew pulsuje mu w żyłach, przepływa przez mózg, działając halucynogennie i wywołując burzę skojarzeń. Zaraz po powrocie robił przede wszystkim notatki, potem pompki i przysiady. Zainstalował też drążek do podciągania. Każdego dnia wykonywał o jedno lub dwa powtórzenia więcej niż poprzedniego. Zrobił się silniejszy, sprawniejszy, bardziej sprężysty i szczuplejszy. Zniknęła ziemista cera. Ale patrząc w lustro, nie widział siebie. Alice miała rację: skóra może być jak kokon ukrywający pod spodem coś nowego. Brał prysznic, przebierał się, nalewał sobie wina, które popijał, przygotowując obiad, choć wymagało od niego wielkiego samozaparcia gotowanie tylko dla siebie. Mając za sobą taki dzień, wieczorem czuł się wyczerpany do cna. Do brzegów nocy dobijał zupełnie skonany, w stanie błogości przytłumionej żalem. Następnego dnia zaczynał od nowa.

Któregoś dnia zatrzymał się w holu przed ulubioną grafiką Eschera *Spotkanie*, na której ludziki białe i czarne wychodzą z utworzonej przez ich kontury mozaiki, by na pierwszym planie podać sobie dłoń jako dwa niezależne byty. Zobaczył w szkle swoje odbicie, a gdy się w nie wpatrywał, ludziki z grafiki na chwilę zniknęły, by następnie powrócić przed jego oczy.

Wszystko powoli stawało się jasne.

W ten sposób mijały tygodnie nieprzerwanej samotności. Nadeszło lato; pewnego czerwcowego dnia po wielu godzinach tak intensywnej pracy, że zapomniał nawet o jedzeniu, usłyszał zgrzyt przekrećanego w zamku klucza. Drzwi się otworzyły. Ku własnemu zaskoczeniu nie poderwał się z krzesła, nawet mu nie przyszło do głowy, żeby się podnieść. Drzwi się zamknęły i usłyszał odgłosy stąpania po drewnianej podłodze.

- Halo! - odezwał się kobiecy głos.

Alice.

Pepin siedział przy stole, dopóki do niego nie podeszła. Oprócz lampki, przy której pracował, wszystkie światła w domu były wyłączone.

W^Teszła w jasny krąg, podeszła bliżej i zatrzymała się tuż obok niego.

- Co ci się stało? - zapytała.

Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Minęło ponad dziewięć miesięcy, odkąd zniknęła. Wyglądała promiennie, była opalona. Ufarbowała włosy na popielaty blond albo może słońce je przebarwiło. Straciła dobre czterdzieści pięć kilogramów.

- Zmieniłam się - powiedziała w końcu.

-To widać.

- Ty także się zmieniłeś.

Wyciągnęła ramiona, ale natychmiast pozwoliła im opaść.

- Zrobiłaś tę operację - stwierdził.

- Tak - odparła, zadzierając bluzkę. W poprzek brzucha miała długą, różową jak morską muszla bliznę.

- Zostaniesz? - zapytał.

- Na jakiś czas. Dopóki nie skończysz.

- Rozumiem - powiedział. - To dobrze.

Podeszła jeszcze bliżej i zarzuciła mu ramiona na szyję, dotykając dłonią ogolonej skóry głowy. Ponad jego ramieniem spojrzała na kartki leżące na stole. Potem przejechała palcem po krawędzi wszystkich tych, które już zapisał.

- Prawie skończyłeś.

- Tak, doszedłem prawie do końca.

- Kładziesz się niedługo?

-Tak.

Pocałowała go w czoło.

- To dobrze.

Gdy była tak blisko niego, poczuł zapach morza.

I wtedy pewnego dnia Alice nagle zaczęła tracić na wadze" - napisał David.

Już wcześniej się zdarzało, że gubiła kilogramy, ale tym razem, być może ze względu na wcześniejsze nieudane próby, postępy były rzeczywiście widoczne; może dlatego, że nie widzieli się przez dziewięć miesięcy i wszystko wydawało mu się inne. W każdym razie nigdy wcześniej nie był świadkiem takiej transformacji, jaką przechodziła teraz. Każdego ranka konstatował ze zdziwieniem, że jest jej mniej niż poprzedniego dnia. Szczupłość uwidaczniała się w kształcie policzków, wklęsłym brzuchu i sflaczeniu pośladków, co zauważała sama Alice, przeglądając się rano w lustrze z miną prestidigitatora znającego sekret prezentowanej sztuczki.

Mówiła do jego odbicia w lustrze, podczas gdy on leżał jeszcze w łóżku:

- Wyglądasz na zaskoczonego.

- Bo jestem zaskoczony - przyznał.

- Ja także. - Odwróciła się przodem do niego, wciąż jednak z twarzą zwróconą do lustra, żeby się obejrzeć z tyłu.

Przyglądał się półkolistej bliźnie na jej brzuchu.

- Cudownie sobie radzisz - stwierdził.

- Jeszcze długa droga przede mną.

To była prawda, chociaż traciła na wadze drastycznie; bał się mrugnąć powiekami, żeby nie przegapić jakiegoś nowego aspektu metamorfozy przemieniającej się jak wilkołak żony. Nie obeszło się bez dalszych wstrząsów i zniszczeń: niektóre części jej ciała były tak rozciągnięte - tricepsy zwisały z ramion jak rosnące ciasto na pizzę, przelewające się przez krawędzie pojemnika, a wałek wokół talii wyglądał jak ściągacz swetra łączący brzuch z plecami - że wszelkie ćwiczenia okazywały się bezskuteczne: ciało nie chciało się skurczyć ani ujędrnić. Jedynym rozwiązaniem pozostawał zabieg chirurgiczny. Lekarze będą musieli to z niej zdjąć - jak poławiacze skórę z wieloryba.

- Moja skóra to zbyt duży kombinezon kosmonauty - stwierdziła ze zdumieniem. Nie mogła odejść od lustra, odwracając się w każdą stronę, jakby obwisłe ciało było nową sukienką. - A najdziwniejsze jest to, że nie

czuję przymusu, by teraz stosować jakąś dietę. Jeśli lekarze usuną mi tę skórę, to znajdą pod spodem mnie. Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedział.

- Kiedyś taka nie byłam.

Nagle ogarnęły go silne emocje.

Ta Alice-nie-Alice nadal była jego żoną. Miała taki sam uśmiech, te same ledwie widoczne tiki; nowa była jednak jej pewność siebie, wprost proporcjonalna do utraty wagi. Rozgościła się w niej po dziewięciomiesięcznej odysei, po której Alice wydawała mu się cudowną zagadką - nie do rozwiązywania, lecz do kochania. Mógł poczekać na szczegóły.

Odwróciła się teraz twarzą do niego, zatknęła jasne włosy za uchem, klękła na łóżku i posuwała się w jego stronę na kolanach, podpierając się rękami, dopóki nie udało jej się go pocałować.

- Zważę się, a potem chcę, żebyś mi zrobił zdjęcie. A potem będziesz pisał.

Emocje, które David skrywał głęboko, wydostały się na powierzchnię.

- Nie chcę pisać - powiedział.

Alice dotknęła jego policzka, skierowała jego oczy na siebie, drugą ręką gładząc łysinę. Jego głowa pokryta była kilkuset tysiącami kłujących odrostów.

- Skończ - powiedziała. - Już niewiele ci zostało.

Poszła do łazienki, żeby się zważyć. Kiedy patrzyła na wskaźnik, włosy zasłaniały jej twarz.

- Osiemdziesiąt pięć kilogramów - obwieściła. Potem włożyła sukienkę, związała włosy w koński ogon i poszła do kuchni, a David za nią. Stała przy lodówce, uśmiechając się do obiektywu, i później, kiedy chwycił wyskakującą z osłony jak język kwadratową fotografię. Z bieli wyłaniał się wolno obraz, przechodząc w odcienie żółci, błękitu i zieleni, o wiele bardziej satysfakcjonujący niż cyfrowe albo inne zdjęcia, które się widzi natychmiast. W końcu, jakby w nagrodę za cierpliwość, ukazała się jej twarz skapana w świetle lampy błyskowej.

Zwinęła kawałek taśmy klejącej w pętlę, przykleiła ją do odwrotu zdjęcia, żeby je umieścić w lewym górnym rogu lodówki.

- Wrócę - zapewniła, po czym wyszła z domu na cały dzień.

Zostawszy znów sam, David pisał z prędkością pociągu Shinkansen; w takim tempie pracował, odkąd dotarł do punktu kulminacyjnego powieści - szczytu zdobytego najczarniejszą nocą. Nie wiedział, ile mu jeszcze zostało, czuł jednak wyraźną potrzebę zamknięcia jeszcze kilku wątków oraz nadania książce ostatecznego kształtu. Zmierzając do konkluzji, rozdzielała się ona na kilka kulminacyjnych wątków, spośród których, choć wszystkie były realne, tylko jeden miał się okazać ostateczny, nawiązujący klamrą do początku, dokładnie jak tego wymagała założona przez niego forma książki. Co do samego zakończenia, wiedział tylko tyle, że się do niego zbliża wielkimi krokami.

Czekała z chińskim daniem na kolację, kiedy wrócił z joggingu. Posiłki spożywane wspólnie z Alice teraz wymagały od niego przystosowania. Szykowała sobie porcje naprawdę lilipucie, odmierzane naparstkiem. Musiał pałaszować swoje szybko, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Jemu nalewała pełen talerz zupy wonton (z dwoma uszkami), sobie trochę do kielki (z połową uszka) - mogłaby ją opróżnić jednym haustem. Na swoim talerzu ułożył makaron smażony z warzywami, kurczaka w cytrynie, wołowinę z brokułami i biały ryż - odkąd znów była w domu, powrócił mu apetyt, a więc dlaczego miał sobie żałować? Tymczasem ona przygotowała sobie miniaturową porcję tego wszystkiego na spodeczku. Tego, co zjadła, nie można było nazwać obiadem, ponieważ jej nowy żołądek, wielkości ziarenka, wymagał dziewięciu takich miniporcji dziennie. Mało tego, podobnie jak Alice, te mikroskopijne dania wydawały się mniejsze z dnia na dzień. Pepin tymczasem się obzerał.

- Im bardziej znikam, tym mniej zjadam. Może niedługo w ogóle przestanę jeść.

- Nie mów tak!

- Weź prysznic, a ja pozmywam.

- A potem?

- Potem pójdziemy do łóżka.

Prawdę mówiąc, ta perspektywa go przeraziła. Stał pod prysznicem ze skrzyżowanymi ramionami, czekając. Bardzo długo nie kochał się z Alice i bał się, że nie będzie wiedział, jak to zrobić; albo co gorsza, nie wzbudzi w niej pożądania. Ten strach przypominał mu miesiące po kolejnych poronieniach, gdy jęczała z bólu, nawet kiedy próbował ją w nocy objąć, nie

pozostawało mu więc nic innego, jak tylko odsunąć jak najdalej wszystkie części ciała - od brzucha po kutasa, od głowy po palce u nóg, duszę też; w końcu zamknął się w pancerzu samotności, broniąc dostępu do swojego serca na nieokreślony czas, podczas którego wcale nie musiał sobie wyobrazić, że ją dotyka. Bał się też, że go odrzuci, kiedy Alice dotknie jego ust.

Wyszedł spod prysznic z ręcznikiem przewieszonymi przez kark i drugim owiniętym wokół bioder. Wzięła go za rękę, poprowadziła do łóżka i usiadła. Kiedy szarpnął ją lekko, niczym ryba chwytająca przynętę, podniosła się, złapała za koniec ręcznika na jego ramieniu i zsunęła go na podłogę. Szczecina wyrastająca na jego klatce piersiowej przypominała włoski na odwłoku muchy plujki. Zdjęła ręcznik z jego bioder. Stał biernie, rozluźniony, choć kiedy się zbliżyła, napiął mięśnie w obawie, że jeśli go połaskocze, on zwinie się na ziemi w pozycji embrionalnej i rozplącze. Zacisnął oczy tak silnie, że poczuł napięcie mięśni policzkowych. Słyszał, jak Alice ściąga spódnicę, odpina biustonosz i szeleści zsuwanymi po udach majtkami. Potem go pocałowała. Z wysiłkiem rozluźnił wargi i powstrzymał odruch, który kazał mu kłapać szczękami, kiedy poczuł jej język.

Nie przestawała go całować, choć robiła to bardzo delikatnie, liżąc jego usta spokojnie i cicho, jak kot pijący wodę z miseczki.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Pocałowali się i miał uczucie, jakby oglądał falę zmywającą zamek z piasku: zęby na blankach się rozpląły, wieżyczki zapadły, a otwory strzelnicze zniknęły wraz z szańcami porwane przez morze.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem, Alice.

Później leżeli obok siebie, gapiąc się w sufit i trzymając za ręce.

- Jak zakończyłeś? - zapytała.

Pisał o początkach.

Poznali się na uczelni, podczas zajęć z historii kina: *Hitchcock a małżeństwo*.

To był czysty przypadek. Wymogiem ukończenia studiów magisterskich z informatyki było zaliczenie kilku kursów humanistycznych. Odkładał to, jak długo się dało, aż w końcu został mu jeden do zaliczenia w ostatnim semestrze studiów. Tylko na trzech kursach znalazły się jeszcze wolne miejsca; drugi nosił tytuł *Feminizm a schizofrenia lat pięćdziesiątych*, trzeci

zaś był seminarium na temat twórczości Italo Calvino, którego nazwisko nic mu nie mówiło, choć gdy zapisywał się na zajęcia, jakiś student polecał mu tego pisarza i nawet zanotował tytuły kilku jego książek. Tak się jakoś złożyło, że David nigdy dotąd nie widział żadnego filmu Hitchcocka. Oczywiście, doskonale znał sławne sceny, które oglądał podczas relacji z wręczania Oscarów - kobieta atakowana w budce telefonicznej przez mewy z *Ptaków*, Jimmy Stewart odrywający od oka aparat fotograficzny z wielkim obiektywem w *Oknie na podwórze* i Janet Leigh atakowana nożem pod prysznicem w *Psychozie* - nie znał jednak żadnej z tych historii. Przegapił całą epokę historii kina, co wtedy wydało mu się wielką luką w jego wiedzy. Zaliczenie nie mogło być łatwiejsze: jedna praca semestralna oraz obecność na pokazach filmów i udział w dyskusji. Oglądania filmów i rozmawiania o nich nie uważał za ciężki wymóg, raczej były to zajęcia rekreacyjne. A przecież te filmy miały zmienić jego sposób patrzenia na świat, podobnie jak poznanie Alice - całe jego życie.

Zajęcia odbywały się w dużej amfiteatralnej sali z trzema sektorami, wyznaczanymi przez cztery zejścia po schodach. Zawsze wolał miejsca z tyłu, wybrał więc najdalsze pośrodku. Widownia była zapelniona w trzech czwartych studentami młodszych lat, z których wielu wpadło na salę po czasie. Wykładowca też się zresztą spóźniał. David wyjął z torby książkę Calvina *Niewidzialne miasta*, którą wypożyczył, podziwiając jej prostotę, a zarazem złożoność, pochłonięty myślą, że gra napisana na jej podstawie byłaby naprawdę wspaniała. Zastanawiał się właśnie, czy nie przenieść się na owo seminarium poświęcone twórczości tego pisarza, kiedy zobaczył Alice na schodach po jego lewej stronie.

Zamurowało go z wrażenia. Nawet z odległości jego uwagę przyciągnęły włosy tej dziewczyny. Spadały na kark i miały niespotykany połysk, zupełnie jak końska sierść, a na czubku głowy były jedwabiste. Natychmiast zrozumiał, dlaczego szczotkowanie konia może być przyjemne i dlaczego kobiety wieczorem szczotkują włosy, siedząc zamyślane przed lustrem. Pożałował, że nie jest jej ojcem, bo wtedy mógłby się napawać jej urodą przez całe lata. Była wysoka, miała grube kości, pełne piersi i posturę zawodniczki softballu. Koleżanki z roku wyglądały przy niej jak dziewczynki. W rękę trzymała kołnotatnik z długopisem wetkniętym w środek spiralnej sprężyny - ten wyjątkowo lekki bagaż sugerował praktyczne podejście do życia, które spodobało mu się natychmiast - stawiała każdy krok

trochę przesadnie, sprawiając wrażenie, że robi to dla zabawy. Od razu też zauważył, że jest sama. Odgarnęła włosy z twarzy, zatknęła je za ucho, po czym odwróciła się do niego. A więc zwróciła na niego uwagę - przecież gapił się na nią natarczywie - i z tego powodu wydała mu się jeszcze fajniejsza. W jej orzechowych oczach były jasne plamki, prawie szare, które nadawały im niemal wilczy wygląd.

Pomyślał, że nie opuści ani jednych zajęć, nawet jeśli okażą się najgorsze pod słońcem. Usiadła w trzecim rzędzie w sektorze po jego lewej stronie. Wyciągnęła długopis ze spirali i zaczęła go nerwowo gryźć, jak pies ukochaną zabawkę. David wpatrywał się w nią niczym pies myśliwski, w napięciu ściskając krawędź opuszczanego blatu przy krześle.

Wykładowca, doktor Otto, wpadł do sali w pośpiechu. Był smukły i mówił łagodnym głosem, tak cichym, że David omal nie zdecydował się przesunąć do przodu. Miał burzę białych włosów oraz dyskretny brzuszek, przez co mimo wysokiego wzrostu i sprężystości kroku kojarzących się natychmiast z rzeźbami Giacomettiego sprawiał wrażenie istoty kruchej i delikatnej. Prostokątne oprawy jego okularów opierały się na wydatnym haczykowatym nosie. Wyglądał na udręczonego i podenerwowanego z powodu spóźnienia; na chwilę zamarł w bezruchu, po czym wyjął z kieszeni spodni pilota do projektora, podniósł go do góry, powiedział: „Aha!”, po czym wbił w powietrze palec wskazujący wolnej dłoni.

- Mało znany fakt o filmach Hitchcocka - rzucił i wszyscy ucichli jak wzorowi uczniowie, trzymając długopisy zawieszane nad kartkami notatników. - W każdym z nich jest kura. - Kilka osób popatrzyło po sobie z zakłopotaniem. Grupa studentów starszych lat, na lewo od Davida zarechotała. - Tak, kura - powtórzył. - To moje własne odkrycie, które nie przyniosło mi jeszcze sławy, ale przyniesie, kiedy skończę pisać książkę. - Jego cichy śmiech przypominał zadyszkę. - Nazywam to „kurzą teorią kina”, po francusku *Le Poulet Subtil*. Dosłownie w każdym filmie, nie tylko w dziełach Hitchcocka, ale w każdej produkcji od początków kina, jest albo kura, albo coś, co nazywam kurą subtelną. Oczywiście wiem, jakie zaraz zadacie mi pytanie: cóż to jest kura subtelna? Już odpowiadam. Otóż może to być kura metaforyczna. Albo uwarunkowanie psychologiczne. Albo na przykład jajko. W ubiegły weekend zauważyłem zbliżenie jajka w filmie *Wpływ księżycy*. „Aha - pomyślałem - kura subtelna”. Że już nie wspomnę, jak bardzo wszyscy bohaterowie tego filmu boją się śmierci i miłości. -

Skierował pilota na projektor, jednocześnie trochę przyciemniając światło. - Wasze następne pytanie będzie rzecz jasna brzmiało: dlaczego? Dlaczego, doktorze Otto, w każdym filmie występuje kura? No cóż, na to pytanie wam nie odpowiem. Bo niby po co miałbym wam ujawniać konkluzję własnej książki? - Jeszcze bardziej przyciemnił światło. - Oczywiście problem z moją teorią polega na tym, że choć obejmuje ona wszystkie filmy wyprodukowane dotychczas, to przecież nie widziałem jeszcze tych, które dopiero powstaną. A ciągle kręci się nowe. Nigdy więc nie skończę. - Roześmiał się ponownie, tym razem jak Grover, mieszając śmiech ze śliną. Studenci też się roześmieli, kiedy ocierał usta dłonią, David jednak z trudem łapał oddech. - Zaczniemy więc. A nie, chwileczkę! Muszę sprawdzić listę.

Wyczytał jej nazwisko. Nareszcie! Alice Reese.

Wyłączył wszystkie światła. Zanim zrobiło się całkiem ciemno, Alice odwróciła się na krześle, wciąż z długopisem w ustach i zamkniętym notatnikiem. Spojrzała w górę na Davida. Jeśli liczyła, że się do niej uśmiechnie, to się przeliczyła. Był zbyt zbulwersowany, żeby mrugnąć okiem.

Doktor Otto wycelował pilotem w projektor i odwrócił się do ekranu, na którym pojawił się Alfred Hitchcock we własnej osobie, trzymający klaps z napisem *Psychoza*.

- Uważam, że Hitchcock jest Szekspirem współczesnego kina - kontynuował. - To porównanie trafne na wielu poziomach, poczynając od tego, że obydwaj są twórcami brytyjskimi. O wiele ważniejszy jest jednak ten sam rozmach w twórczości Hitchcocka, różnorodność menażerii, galeria postaci, patos i przechodzenie od komedii do tragedii, od krwawego horroru po satyrę. Musimy też pamiętać o rewolucyjnych zmianach, które wprowadził do poszczególnych gatunków, oraz o zabawie z publicznością, na przykład z jej oczekiwaniami. Oczywiście ważna jest też jego twórcza płodność, wielka płodność! Prawie sześćdziesiąt filmów, od kina niemego po dźwiękowe, od czarno-białego do technicoloru. Ba, znajdują się nawet trójwymiarowe! Do tego wszystko, co zrobił dla telewizji.

Na ekranie pojawił się montaż fragmentów filmów Hitchcocka, od czerni i bieli po wspaniałe kolory.

- - A skoro mowa o niemym kinie - Otto zaśmiał się ze swojego dowcipu - to Hitchcock zawsze próbował osiągnąć coś, co nazywał czystym kinem. Starał się opowiadać historie, które mogły się wydarzyć tylko w filmie. Jako

kreślarz z wykształcenia i twórca filmów niemych nieufnie podchodził do dialogów, co nie znaczy, że do dźwięku w ogóle. Efekty dźwiękowe wykorzystywał z wielką pomysłowością. Najbardziej jednak interesował go obraz jako sposób opowiadania historii. Dlatego gdy idzie o obraz, niczego w filmach nie pozostawiał przypadkowi. Począwszy od pierwszego filmu, *Numer trzynasty*, którego nigdy nie dokończył, rozpracowywał każdy kadr. Zastanówcie się, jak dobrze wiedział, czego chce. Dokładnie planował każde, dosłownie każde ujęcie! Mawiał, że filmowanie jest najnudniejszą częścią procesu twórczego, ponieważ w głowie już go nakręcił. - Otto odwrócił się do ekranu, zaraz jednak znów stanął przodem do studentów. - Powtarzał też, że nie lubi aktorów, bo to bydło. - Kolejny mokry śmiech i otarcie ust. - Bydło też posiadał. I pola naftowe, których potrzebował w celu nabycia ulg podatkowych, kiedy stał się naprawdę bogaty. To wcale nie jest żart. - Spojrzał na ekran i znów na swoich słuchaczy. - Na czym skończyłem?

- Na czystym kinie - podrzucił ktoś z sali.

- Dziękuję. - Zatrzymał czarno-biały obraz na ekranie: taksówka filmowana z tyłu na ulicach Londynu, przez tylną szybę widać było głowy pasażera i kierowcy.

- Weźmy choćby to ujęcie z *Lokatora*, filmu z angielskiego okresu twórczości reżysera, którego koniec przypada na tysiąc dziewięćset dwudziesty siódmy rok. Do domu z umeblowanymi pokojami do wynajęcia wprowadza się podejrzany mężczyzna. Mieszka tam także pewna rodzina z piękną córką. Jej chłopak jest detektywem. Lokator może, ale nie musi być seryjnym mordercą atakującym kobiety w całym Londynie. Zabójca właśnie uderzył po raz kolejny, w mieście zapanowała więc wzmożona czujność. Aby pokazać, że na baczności mają się absolutnie wszyscy, Hitchcock wykorzystuje nawet taksówkę jadącą po ulicach Londynu.

Otto nacisnął przycisk na pilocie. Samochód gwałtownie skręcał to w lewo, to w prawo. Pasażerowie w środku przechylali się z każdym ruchem kierownicy.

- Zwróćcie uwagę na dwie głowy widoczne w tylnym oknie. Wyglądają jak oczy, wodzące tam i z powrotem, z lewej na prawą.

Rzeczywiście tak wyglądały. Otto przewinął obraz do tyłu, żeby studenci mogli go obejrzeć ponownie.

- Oczywiście mój ulubiony przykład czystego kina pochodzi z filmu niemego, w którym pewien dżentelmen wyrusza w morską podróż. Upija się któregoś wieczoru podczas okropnego sztormu. Statek unosi się to w górę, to w dół. Widzimy ujęcie pokładu, na którym pasażerów rzuca od lewej burty do prawej, a zaraz potem znów do lewej. Co się dzieje, kiedy na ekranie pojawia się nasz pijany bohater? Przechodzi przez pokład idealnie prosto.

Studenci parsknęli śmiechem.

- Dziś mamy dopiero wstęp. Zobaczmy, co jeszcze powinniście wiedzieć. Prowadziłem te zajęcia tak wiele razy, że w końcu przestałem się przygotowywać. Czy to nie smutne? - Dźgnął powietrze palcem wskazującym. - Już wiem. Hitchcock był także wielkim kawalarzem. Uwielbiał płać figle aktorom i ekipie filmowej, czasem naprawdę okrutne. Mój ulubiony: Hitchcock zakłada się z operatorem kamery, że ten nie wytrzyma całej nocy na planie, bo będzie zbyt wystraszony, żeby doczekać do rana. Kamerzysta chwyta przynętę. „Żebyś nie uciekł - mówi do niego Hitchcock - przykuję cię kajdankami do tego rusztowania. Ale ponieważ jestem przyzwoitym człowiekiem, dam ci butelkę whisky, żebyś miał czym się uspokoić, kiedy się zjawia duchy ciemności”. Mężczyzna twierdzi, że nie będzie mu potrzebna, bo nie wierzy w duchy. „To uwierzysz” - zapewnia go reżyser, po czym opuszcza studio z resztą ekipy. Kiedy wracają następnego ranka, mężczyzna się trzęsie, płacze i jest ubrudzony fekaliami. Hitchcock, który rozpuścił w alkoholu środek przeczyszczający, oświadcza: „Zobaczcie, aż się zesrał ze strachu I tak oto spirytus zrobił z niego spirytystę”.

Przez salę przetoczyła się fala śmiechu. Studenci patrzyli na siebie rozbawieni. Alice znów się odwróciła w jego stronę i David czuł, że szczeka wisi mu jak u idioty.

- - Oczywiście gdyby Hitchcock chciał nakręcić film o tym niewinnym dowcipie, naszpikowałby go napięciem - ciągnął Otto. - Nie bez powodu nazwano go mistrzem suspense. Żaden reżyser przed Hitchcockiem i żaden chyba po nim, może z wyjątkiem Briana De Palmy, nie pogrywał z publicznością tak sadystycznie. Czy ktoś z was potrafi zdefiniować suspens?

Studenci zaczęli się rozglądać po sali. Dziewczyna na prawo od Davida podniosła rękę.

- Suspens to oczekiwanie, że coś się wydarzy - powiedziała. - Pełne niepokoju.

- Dobrze, ale czyje, postaci filmowej czy widza?

-Widza.

- Skąd się bierze niepokój widza?

- Widz odczuwa niepokój, bo...- zawahała się. - Bo nie może nic z tym zrobić.

- A aktorzy? Dlaczego oni czegoś z tym nie zrobią?

Zastanowiła się.

- Bo nie wiedzą.

- Otóż to! Aktorzy nie wiedzą, ale widz wie. Tak właśnie Hitchcock tworzył napięcie - stwierdził Otto. - Powtarzał zawsze: „To proste, widzowie muszą wiedzieć”. Gdyby więc Hitchcock sfilmował kawał, który zrobił kamerzyście, zobaczylibyśmy na ekranie, jak dosypuje środek przeczyszczający do butelki z alkoholem i wstrząsa, żeby się rozpuścił. Pokazałby na zbliżeniu, jak podchodzi do ofiary, trzymając butelkę. Pokazałby też dokładnie, jak przykuwa tego biedaczynę do rusztowania, a następnie się wycofuje, podczas gdy kamerzysta pociąga solidny łyk. „Na zdrowie!” - powiedziałby mu jeszcze. Potem odjechałby kamerą jeszcze bardziej (aż facet stałby się maciupeńki), kiedy rozpuszczony medykament przechodzi przez jego gardło. Resztę nocy zobaczylibyśmy z perspektywy ofiary próbującej dosięgnąć wiadra, które Hitchcock perfidnie umieścił w pobliżu, ale poza zasięgiem przykutego do rusztowania mężczyzny, żeby spotęgować jeszcze dramatyzm. Oczywiście żadnej muzyki, tylko naturalne dźwięki - Otto przytknął wierzch dłoni do ust i wydał kilka dźwięków imitujących pierdnięcie.

Śmiech z odrazą. Wycie.

- Jak mógłby to wszystko sfilmować w ciemności? - krzyknął David.

- Co takiego?

David podniósł rękę. Wykładowca przystawił dłoń do ucha, zwracając się w jego kierunku. Alice też na niego patrzyła.

- Pytałem, jak mógłby to wszystko sfilmować w ciemności.

- Doskonałe pytanie! Jak pan ma na imię?

- David - odrzekł i spojrzał na Alice.

- Otóż Hitchcock zignorowałby ten drobny szczegół. Mawiał, że chce filmować kompletnie niewiarygodne historie kierujące się żelazną logiką.

Otto wyświetlił kolejny montaż: mosty przerzucone nad bagniskiem wyglądającym jak moczary w New Jersey, przejście do Josepha Cottena

leżącego na plecach w ciemnym pokoju, potem kolejny most, London Bridge, tym razem w kolorze, a pod nim nagie zwłoki kobiety niesione przez Tamizę twarzą do dołu. Wreszcie Golden Gate i Jimmy Stewart niosący zwłoki topielicy.

- Kilka ważnych uwag biograficznych - kontynuował doktor Otto.

- Po pierwsze, i to chyba najsłynniejsza anegdota o Hitchcocku, kiedy był małym chłopcem, jego ojciec, z zawodu sklepikarz, bez żadnego powodu zaprowadził go na policję i kazał wsadzić do więzienia, gdzie młody Hitchcock spędził jakiś czas, niezbyt długi, ale jednak. Nie zamierzam wchodzić w psychologiczne interpretacje, ale fakt, że Alfred był katolikiem, nie był w tej sytuacji bez znaczenia, ponieważ zrodził się w nim wtedy nie tylko strach przed policją i nienawiść do przedstawicieli władzy w ogóle, ale też wyostrzyła się świadomość grzechu pierworodnego oraz przekonanie, że kara za złe uczynki i złe myśli jest nieuchronna. Bo wszyscy jesteśmy kryminalistami, czyż nie? Wy jeszcze nie, bo jesteście młodzi i nie zdążyliście wyjść za mąż ani się ożenić. Ja jestem żonaty od lat i co jakiś czas - dość regularnie, muszę przyznać - marzę o dokonaniu zbrodni!

Kolejne śmiechy, kolejne obrazy. Cary Grant trzymany na muszce przez dwóch mężczyzn w hotelu Plaza, potem uciekający przez Grand Central Station, jeszcze później z Evą Marie Saint na zboczu Rushmore zsuwający się po nosie Lincolna. Mężczyzna zwisający z pochodni umieszczonej w dłoni Statui Wolności, któremu pomaga inny mężczyzna, chwytając go za rękaw. Materiał pęka i mężczyzna spada. Mężczyzna - z wysoka za ledwie plamka - uciekający z budynku Narodów Zjednoczonych.

- Skoro już mowa o małżeństwie... W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku Hitchcock poznaje Alnę Reville, młodą kobietę dbającą o przebieg akcji filmowej. W dzisiejszej terminologii byłaby montażystką, ale lubię te dawne określenia. Razem robią kilka filmów, zaczynają się spotykać i Hitchcock się oświadcza. Ni mniej, ni więcej, tylko na statku. Myślicie pewnie, że to bardzo romantyczne, ale on się oświadczył podczas sztormu pod pokładem, kiedy Alma cierpiała z powodu choroby morskiej. Ani trochę nie koloryzuję! Później wyjaśnił, że chciał ją poprosić o rękę w sytuacji, kiedy trudniej byłoby jej odmówić. Podobno zaczęła rzygać, kiedy ją spytał, czy zechce spędzić z nim resztę życia. Panie i panowie, jeśli ktoś zaczyna rzygać podczas oświadczeń, to musi być znak!

Roześmiał się i otarł usta.

- Nie muszę dodawać, że nie dałoby się tego małżeństwa nazwać szczęśliwym. Byli doskonałymi współpracownikami. Alma chroniła go przed natrętami, w tym producentami filmowymi, przyjaciółmi i publicznością. Nieśmiałość Hitchcocka dorównywała jego geniuszowi. Dobrze go karmiła, a była ponoć wspaniałą kucharką, dbała o jego wygody i stwarzała mu doskonałe warunki do pracy. Traktowała go jednak raczej jak starsza siostra, a brak intymności ugruntował się ostatecznie, kiedy była w ciąży. Hitchcock z obrzydzeniem obserwował jej transformację w dużą kobietę, oględnie mówiąc. Akurat on nie bardzo miał prawo na to narzekać, ponieważ sam był otyłym facetem; w każdym razie odkąd przyszła na świat ich córka Patrycja, która potem została aktorką i zagrała świetną rolę w *Nieznajomych z pociągu*, Hitchcock definitywnie przestał utrzymywać kontakty seksualne z żoną. Wszyscy jesteście młodzi, jeszcze stanu wolnego, nie potraficie więc sobie wyobrazić czegoś takiego, ale wskutek celibatu Hitchcock popadał w silną fiksację na punkcie grających w jego filmach gwiazd, zwykle pięknych blondynek. Brunetki nie mają szans. W każdym razie idealizacja i niebezpieczny perfekcjonizm stają się głównymi

tematami jego filmów, z czasem coraz wyraźniej. Cóż to była za lista piękności! Madeleine Carroll, Ingrid Bergman, Janet Leigh, Eva Marie Saint, Kim Novak, Tippi Hedren, że wymienię zaledwie kilka. Któż by go winił za to, że się w nich kochał? Zwłaszcza w Grace Kelly, która zdaje się, była nimfomanką. Proszę bardzo, donieście na mnie do administracji! Jestem za stary, żeby mnie wyrzucić albo odsunąć od pracy dydaktycznej. Tak czy owak zanim wciągnęła mężczyznę do łóżka, zniknęła w łazience, z której wychodziła po chwili kompletnie naga, mam więc niejakię szansę na obronę...

O czym to ja chciałem powiedzieć? Już wiem, o jedzeniu. Hitchcock i jedzenie. Przez całe życie Alfred Hitchcock walczył z nadwagą. Ze zmiennym skutkiem. Tracił kilka kilogramów, po czym odzyskiwał je w mgnieniu oka. W pewnym momencie życia ważył prawie sto czterdzieści kilogramów. Głód postrzegał jako formę suspense, najbardziej elementarną, po scenach zawieszenia nad przepaścią. Powiedział kiedyś, że nie mógłby mieć piekarnika bez szybki, bo gdyby smażyć suflet musiał czekać, aż zadzwoni minutnik, żeby sprawdzić, czy ciasto nie opadło, napięcie by go zabiło. Myślę też, że jedzenie zastępowało mu seks. Musiał jakoś wypełnić pustkę, z którą wszyscy staramy się walczyć. Ja wypełniam ją miłością. Zakochuję się raz do roku, co moją żonę doprowadza do szału. A teraz...

Na ekranie pojawiły się kobiety dżgane nożem, duszone na fotelach i w pociągach, umierające w odbiciu szkieł okularów mordercy, zrzucone z wież kościołów, atakowane przez mewy, kochanków albo nieznajomych mężczyzn w zaciszu własnych mieszkań, a w końcu Grace Kelly, na którą rzuca się mężczyzna wyłaniający się zza zasłony, kiedy ona rozmawia przez telefon.

- Teraz musimy się zapoznać z terminologią filmową. Proszę wziąć po jednej kartce z każdego z dwóch stosów, które puszczam właśnie w obieg. Na drugiej znajdziecie program zajęć. Zanim jednak przejdziemy do języka filmu, chcę was zapoznać z pewnym ważnym terminem wprowadzonym przez Hitchcocka i przedstawić wam kilka jego ulubionych motywów. Zapiszcie to sobie, nawet jeśli postanowicie zrezygnować z tego kursu, bo dzięki nim dzieło Hitchcocka otworzy się przed wami jak pęk kwiatu.

A więc MacGuffin. Naprościej mówiąc, MacGuffin to element fabuły, który ma ją tylko popychać do przodu i traci znaczenie, jak tylko zostanie przedstawiony. Rozpatrzmy na przykład *39 kroków*. Hannay spotyka w

London Musie Hall kobietę, która wyznaje mu, że jest szpiegiem ściganym przez płatnych zabójców. Twierdzi, że chcą ją zamordować, ponieważ odkryła spisek mający na celu kradzież brytyjskich tajemnic wojskowych i czegoś tam jeszcze, o nazwie, jakżeby inaczej, trzydzieści dziewięć kroków. Kobieta zostaje zamordowana jeszcze tej samej nocy w apartamencie Hannaya, musi on więc dowieść swojej niewinności, przemierzając Szkocję i londyńskie ulice, aby odkryć sekret, który oczywiście nie ma nic wspólnego z fabułą filmu. Na tym właśnie polega piękno MacGuffina, ponieważ dowiedziawszy się, czym jest, możemy natychmiast zacząć go ignorować.

Następnie: schody. Są naprawdę znaczące w filmach Hitchcocka. Podjęta przez ekranowego bohatera decyzja, by się na nie wspiąć, symbolizuje najważniejszy wybór moralny, poświęcenie, gotowość narażenia się na niebezpieczeństwo dla dobra ukochanej osoby, dosłowne albo figuratywne pragnienie przeniesienia się na wyższy poziom. Kolejny motyw to lustro. Używa ich, by sugerować dwoistość, a ich symbolika staje się coraz bardziej mroczna wraz z rozwojem jego twórczości, a więc lustro w *Ostawionej* to zupełnie co innego niż lustro w *Zawrocie głowy* i *Szale*.

Postać matki jest kluczowa w jego dziełach. W *Cieniu wątpliwości* pojawia się kochająca, ale nieuważna matka. W *Ostawionej* i *Psychozie* mamy z kolei okropne matki i mężczyzn, którzy wciąż je kochają, jakby nadal byli chłopcami. Weźmy *Ptaki* albo *Północ, północny zachód*. Mężczyzna, który za bardzo kocha matkę, nie potrafi nigdy naprawdę pokochać żony.

Nie możemy oczywiście pominąć ptaków. Dla Hitchcocka są symbolem żeńskiej seksualności. Zobaczymy je nad mieszkaniem panny Torso w *Oknie na podwórzu*, a w *Psychozie* pojawia się ptak drapieżny, wstrętna wypchana sowa mająca nad Normanem Batesem. Jak brzmi nazwisko jego pierwszej ofiary? Żuraw! Właśnie żurawie zobaczymy nad głowami Kim Novak i Jimmiego Stewarta spacerujących przed Pałacem Sztuk Pięknych w *Zawrocie głowy*. Notabene później będziemy świadkami jej śmierci, kiedy wypadnie z wieży w San Juan Bautista. Bohaterka, pozbawiona eteryczności Scottiego, traci zdolność latania jak anioł, któremu odebrano skrzydła. Ptaki zobaczymy też oczywiście w *Ptakach*.

Dalej mamy beczynność. Zwróćcie baczną uwagę na postaci, które przez splot okoliczności albo z innych powodów pozostają w filmach Hitchcocka beczynne. Hannay na początku *39 kroków*. Młody Charlie w *Cieniu wątpliwości*. Bruno w *Nieznajomych z pociągu*. Jimmy Stewart za-

równy w *Oknie na podwórzu*, jak i w *Zawrocie głowy*. Ingrid Bergman na początku *Oślawionej*. Albo morderstwo popełnione z psychologicznej beczynności w *Linie* czy beczynność Tippi Hedren w *Ptakach*. Albo ciągłą beczynność Batesa w *Psychozie*. Jak się wydaje, Hitchcock uważa bezruch za bezpośrednio powiązany z protestem wobec wewnętrznego przymusu. Bezczynność jest okazaniem światu czegoś, co tkwi w nas głęboko schowane; to najgwałtowniejsze zachowanie bohaterów, a jednocześnie najlepszy sposób na ucieczkę przed życiem, w którym czują się spętani.

Mamy wreszcie blondynki. Wspomniałem już nazwiska aktorek Hitchcocka, chcę jednak jeszcze zwrócić waszą uwagę na konflikt między wyidealizowaną perfekcyjną blondynką a niedoskonałą i zawsze odrzuconą brunetką. Idealizując cokolwiek, nie zauważamy, że nasz ideał to projekcja naszych własnych pragnień, doskonały obraz raczej niż prawdziwa i cudowna niedoskonałość ukochanej osoby. Stąd już tylko krok, by sobie udzielić (albo nie udzielić) pozwolenia na działanie. W tym właśnie tkwi moralność filmów Hitchcocka.

Wszystkim tym tematom przyjrzymy się pod kątem małżeństwa. Czy filmy Hitchcocka sugerują, że dorastając i rozwijając się, stajemy się warcami miłości tych, których kochamy? Mówi się, że podstawową funkcją wszystkich filmów jest stworzenie pary. Czy jednak potem para jest gotowa na to, co ma nastąpić? Czy jesteśmy tylko widzami? Czy ten proces - oglądanie bohaterów idących na dno albo pokonujących trudności - może być jakimś rozwiązaniem? Czy małżeństwo może ocalić nasze życie, czy też stanowi początek powolnego, rozciągniętego w czasie podwójnego zabójstwa? Jestem przekonany, że w głębi duszy Hitchcock wiedział, iż stracił z oczu własną żonę; że Alma, oddana mu aż do śmierci, została przez niego zapomniana. Hitchcock uczynił ją niewidzialną. Czy filmy Hitchcocka pozwolą nam otrząsnąć się z samozadowolenia? Zobaczyć się nawzajem w nowym świetle? Poszukamy odpowiedzi na te pytania.

Tamtego popołudnia David włamał się do uczelnianej sieci komputerowej, żeby sprawdzić plan zajęć Alice. Była na studiach drugiego stopnia - matematyka ze specjalnością pedagogiczną. Zapisła się także na kurs z teorii feminizmu, który zaczynał się następnego dnia. Kilka kliknięć i on także stał się słuchaczem tego kursu.

Zajęcia dotyczyły przede wszystkim kobiecej tożsamości prezentowanej w mediach lat pięćdziesiątych, ze szczególnym uwzględnieniem archetypu

gospodyni domowej z dzielnic podmiejskich oraz czynnej zawodowo kobiety z miasta, jak wyjaśniła na wstępie doktor Constance Petersen (wspomniała, choć zmęczona życiem kobieta - tak ocenił ją David).

- Weźmiemy pod uwagę wyłaniającą się właśnie populację jednych i drugich oraz kontruujące je siły społeczne, a także psychologiczne w dekadzie, kiedy na rynek pracy weszło prawie dziewiętnaście milionów kobiet z wysokimi kwalifikacjami zawodowymi, gdy tymczasem media okrzyknęły June Cleaver, nestorkę bastionu szczęścia i bezpieczeństwa, jakim był dom na przedmieściach, idealną kobietą.

Uczestniczki zajęć - David był oczywiście jedynym facetem - zaśmiały się z politowaniem. On im zawtórował, czując się pod presją i trochę ze strachu, ale jego śmiech nie był, tak jak ich, pełen poczucia wyższości; nie pobrzmiwała w nim też bezsilna złość wyzwolonych kobiet.

- Skupimy się także na wizerunku mężczyzn popularyzowanym przez media - anonsowała doktor Petersen - oraz na próbach asymilacji, a w niektórych wypadkach ujarzmienia tej pełnej hipokryzji Wenus przez wykorzystanie dopuszczalnych, lecz często poniżających tropów i stereotypów płci. Pamiętajmy, że takie podejście zawsze wywoływało przemoc. Dziś zresztą wcale nie jest inaczej. Na przykład gwałt zbiorowy popełniony przez grupę oszalałych mężczyzn na Madison Avenue doprowadził do sytuacji, którą nazywam protofeministyczną schizofrenią. - Tę ostatnią zdefiniowała jako odmianę choroby psychicznej typowej dla kobiet, której przejawów wskazała całe mnóstwo: bulimia, anoreksja, otyłość, bezpłodność, żeby nie wspomnieć o coraz większych problemach z leczeniem depresji. - Prozac i węglan litu pokazywano jako specyfik mający uszczęśliwić wszystkie kobiety: zarówno ujarzmione kury domowe, jak i buntujące się suki, którym chodziła po głowie kariera - mówiła, wskazując też na wzrastającą liczbę samobójstw kobiet od lat pięćdziesiątych do czasów współczesnych, spowodowanych niemożnością połączenia tych dwóch wykluczających się nawzajem ról.

Zajęcia miały się zacząć od analizy słynnej sprawy doktora Sama Shepparda oraz jej obrazu w mediach, ze szczególnym uwzględnieniem pracy Dorothy Kilgallen, felietonistki, której nazwisko przestało się pojawiać w kilku największych gazetach po tym, jak napisała, że prokuratura nie udowodniła winy Shepparda ani właściwie niczego innego. - Tę wywyższającą się damulkę trzeba było uciszyć - stwierdziła doktor Petersen. -

W *Oknie na podwórze* James Stewart ciągle powtarza Grace Kelly, żeby się zamknęła, ilekroć ta ma zamiar wyrazić własną opinię. Kelly w tym filmie gra wykształconą profesjonalistkę, klientkę dużych domów towarowych i wyzwoloną seksualnie kobietę, która w odróżnieniu od swojego dosłownie i w przenośni kalekiego partnera, najprawdopodobniej impotentą, nie dała się złapać, podkreślam, nie dała, w pułapkę miłosnych fantazji. Ona chce prawdziwej miłości. Co więcej, w odróżnieniu od tego sadysty Kelly chce iść przez świat, a nie tylko obserwować jak podglądacz i poddawać wirtualnej kontroli. To wizjonerskie dzieło; opowiada o kobietach walczących jako przedstawicielki własnej płci i jako profesjonalistki. Film, jeśli ktoś go nie widział, to historia fotografa skazanego na ośmiotygodniowe przebywanie we własnym mieszkaniu z powodu złamanej nogi. Dla zabicia czasu mężczyzna podgląda mieszkańców z przeciwka. Czuje się zagrożony, ponieważ jego dziewczyna, grana przez Kelly, chce, żeby się z nią ożenił. Dlatego fotograf dokonuje projekcji swoich fantazji o zamordowaniu dziewczyny na sprzedawcę biżuterii, który być może naprawdę zabił kaleką żonę. To znaczące, że film *Okno na podwórze* wszedł na ekrany zaledwie miesiąc po zabójstwie pani Sheppard. Grano go w kinach, kiedy trwał proces, a więc żeńska część publiczności, ta nieujarzmiona, oglądała podwójny koszmar, bo w ciągu dnia odbywał się medialny cyrk stulecia w związku z procesem o brutalne zabójstwo niepracującej zawodowo kobiety z przedmieścia, młodej, wysportowanej i pięknej, o które oskarżony został mąż, wzięty lekarz. Sprawa przyciągała uwagę ludzi w całym kraju i wywołała powszechną nienawiść klas niższych do bogatego lekarza, co doprowadziło do wyroku skazującego. Sheppard przesiedział dziesięć lat, zanim Sąd Najwyższy nakazał powtórzyć proces i doktor został uniewinniony. Jaki był przekaz dla kobiet? Możecie zostać zabite za robienie tego, czego się od was oczekuje! To w ciągu dnia. Wieczorem kinomani napawali się sadyzmem Jimmyego Stewarta wobec kobiet, sublimując fantazje tego impotentą o zemście na seksualnie agresywnej i silnej zawodowo Grace Kelly. Tak się składa, że *Okno na podwórze* zajmuje drugą pozycję na liście najbardziej dochodowych filmów z 1954 roku, zaraz po *Białym Bożym Narodzeniu*.

Studentki znów roześmiały się porozumiewawczo, a David jak poprzednio został trochę w tyle.

- Na tym właśnie skrzyżowaniu - doktor Petersen złożyła ramiona w literę X - na przecięciu sfer estetycznej i społecznej, moje panie... i mój panie - dodała, patrząc na Davida, czym sprowokowała Alice, by ta również odwróciła się do niego z uśmiechem - zaczniemy nasze poszukiwania. Ponieważ to właśnie w tym miejscu prawdziwe i wymaginowane role kobiet nie tylko się ujawniają, ale też dramatycznie kolidują ze sobą.

David nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiła. Ale zajęcia odbywały się w małej salce i Alice siedziała trzy miejsca przed nim, trochę na lewo. On znów zajął miejsce z tyłu, tak jak podczas zajęć z doktorem Otto, i cały czas się jej przyglądał.

Ale nie tylko Alice. Oglądał również prezentowane podczas zajęć filmy. We wtorki po południu Otto pokazywał każdy film po raz pierwszy, zachęcając studentów, żeby się z nim zapoznali. Wieczorem odbywała się kolejna projekcja - obecność obowiązkowa - czas na robienie notatek. Czwartkowe zajęcia poświęcone były wyłącznie dyskusji. Twórczość Hitchcocka stała się obsesją Davida w takim samym stopniu, jak tajemnice i niejasności spowijające zabójstwo Marylin Sheppard.

Co do Alice, to potrzebował miesiąca, żeby się zebrać na odwagę i odezwać. Mieli już wtedy za sobą seanse *39 kroków*, *Tajnego agenta*, *Młodego i niewinnego* oraz *Cienia wątpliwości*. W czasie projekcji *Oslawionej* siedzieli już obok siebie, a podczas wszystkich filmów oglądanych potem trzymali się też za ręce. Kiedy zaczęli być razem, wybrali się na te filmy (i wiele innych) ponownie, całymi nocami analizując poszczególne sceny, spekulując na temat dalszych losów bohaterów. Po stosunku spierali się o feminizm i seksizm, a także o to, czy doktor Sam zabił Marylin, czy nie. Kiedy więc David wracał do tamtych lat, ich życie wydawało mu się montażem scen ze wszystkich tych filmów oraz wątków sprawy zabójstwa Marylin Sheppard pomieszanych z jego wspomnieniami o Alice i miłości do niej. Często myślał o filmach Hitchcocka oraz o sprawie Shepparda jako części ich małżeńskiego DNA - splecionym warkoczu włókien, który zeterminował ich życie.

- Wszystko pamiętam - stwierdziła Alice. - Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi!

Wciąż leżeli w łóżku, trzymając się za ręce. Czuł, że Alice uśmiecha się w ciemności.

- Czyli pamiętasz nasze szczęście?
- Pamiętam.
- Myślisz, że teraz też będziemy szczęśliwi?
- Nie wiem. Chciałabym, żebyśmy byli.
- Chcę się obudzić jutro rano z takim właśnie poczuciem.

Tak właśnie się stało. Następnego ranka był szczęśliwy. Oboje byli. Przez kolejny miesiąc wydawało się, że osiągnęli nowy etap w małżeństwie. Potem zostali obrabowani.

Kiedy Pepin skończył pisać, była już noc.

To był koszmarne dzień - i ten spędzony z Alice, i ten z powieścią - poszedł więc nalać sobie drinka. Zanim jednak sięgnął po wódkę, patrzył przez chwilę na drzwi lodówki i na przyklepione zdjęcia z polaroidu obrazujące tygodniowe postępy jego żony w walce z nadwagą. Pepinowi wydały się one pikselami, które składały się na wielki portret trupiej czaszki z czarnymi przestrzeniami między każdą szczeliną - portret nie tyle twarzy Alice, co jej wątłej psychiki, będącej obecnie na granicy rozpadu. Co się wydarzyło? Skąd taka szybka zmiana? Miał wrażenie, że spadają w bezdenną otchłań.

Usiadł na kanapie w salonie. Nie mył się od rana i przez cały dzień jadł. Z wyjątkiem jego gabinetu w mieszkaniu światła były pogaszone. Nisko nad miastem wisiały szare brzuchy chmur rozjaśniane światłem wyszczerbionej linii wieżowców. Kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, zamknął na chwilę oczy i słuchał, jak Alice wchodzi, zatrzymuje się, potem zbliża. Spojrzał. Stała przy oknie, zawstydzając go tężyzną fizyczną - po kłótni poszła na pewno na siłownię - i nawet podwojona odbiciem w lustrze była o połowę mniejsza w legginsach z lycry i obcisłej czarnej bluzie Under Armour, smukła jak superbohater, po transformacji równie radykalnej, co jego własna: od jej powrotu przybrał na wadze i był teraz cięższy niż kiedykolwiek; zapuścił się, znów porósł czarnym futrem i wyhodował postrzępioną, zmierzwioną, zaniedbaną brodę. Tylko że jej zmiana dotyczyła wyłącznie wyglądu. Umysł pozostał ten sam; w zasadzie był nawet gorszy, a wspólne wieczory wydawały mu się przez to jeszcze czarniejsze. Pepin zaczął się obawiać jej powrotu do domu (dzisiejszy wieczór nie różnił się od pozostałych), nie wiedząc nigdy, w jakim przyjdzie nastroju. Dzisiejszy pogłębił

panujący w mieszkaniu mrok. Była w złej formie. Pepin bardzo się o nią martwił.

Załamala się, kiedy cztery tygodnie wcześniej ktoś się włamał do ich mieszkania. Tamtej niedzieli wrócili po porannym spacerze w parku, szczęśliwi - bo to przecież było szczęście? - i zastali uchylone drzwi, a gdy ostrożnie je otworzyli, natychmiast się zorientowali, że coś jest nie tak, zanim jeszcze zobaczyli panujący w domu bałagan. Pepin wypchnął Alice z salonu, sycząc: „Zadzwoń na policję!”, jak tylko zobaczył pościągane z półek książki, niektóre rozrzucone bezładnie, a inne poukładane w stosy albo otwarte, nie wiadomo dlaczego. W kuchni wały się powyciągane szuflady, rozrzucone sztuce i akcesoria, splądrowane szafki i potłuczone szkło. Zrzucone ze ścian obrazy leżały w holu pośród kawałków szkła. Także w sypialni ktoś zepchnął na podłogę książki, przeszukał szafy i przewrócił toaletkę oraz szafki nocne. Dopiero tutaj w pełni odczuli gwałt, którego padli ofiarą. Najwyraźniej jednak niczego im nie skradziono, oczywiście z wyjątkiem poczucia bezpieczeństwa. Dopiero po chwili Pepin zauważył, nie mówiąc o tym Alice, że jego komputer był włączony, komuś udało się złamać hasło, a następnie wykasować końcowy fragment powieści i ukraść dysk zewnętrzny. Usłyszał pełen odrazy jęk Alice dochodzący z łazienki: szafka na lekarstwa była otwarta, fiołki poniewierały się w umywalce i na podłodze. Krawędź sedesu pokrywały krople lepkiej substancji - pożółkłej już jak klej do drewna. W wodzie wypełniającej miskę sedesową było jej więcej: sperma intruza układała się na powierzchni wody w upiornie postrzępioną literę „M”. „Niemożliwe” - pomyślał Pepin.

- Co robiłeś dzisiaj przez cały dzień? - zapytała.

- Nic - odparł.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i spuściła wzrok, obserwując swoje stopy. Potem nagle, jakby tam coś zobaczyła, westchnęła ciężko.

- Przytrafiła mi się dzisiaj najdziwniejsza rzecz - stwierdziła.

Stosunki między nimi były od tamtej pory tak fatalne, że Pepin nie wiedział nawet, czy Alice chce, żeby ją o cokolwiek pytał. Pociągnął więc tylko łyk drinka.

- Chyba ktoś próbował mnie zabić - powiedziała.

Jej słowa dotarły do niego dopiero po chwili.

- Co takiego?

Zniżyła głos.

- Dobrze słyszałaś.

- To wiem. Ale co miałaś na myśli?

Zapowiadało się na kolejną awanturę. Ich komunikacja osiągnęła etap, na którym każde wypowiedziane zdanie mogło się stać początkiem kłótni.

- Zaraz powiesz, że sobie coś wymyślam — odparła.

Głowa mu opadła na oparcie kanapy.

- Ja tam byłam dziś rano - wyznała.

Pepin pomyślał, że jej narcyzm wynika z depresji i będzie jpusiał wyciągnąć z niej najbardziej podstawowe informacje.

- Gdzie?

- Na miejscu tego wypadku.

- Jakiego wypadku?

- No, tego z dźwigiem.

Podniósł głowę.

- Na Dziewięćdziesiątej Pierwszej?

-Tak.

Wyprostował plecy.

- Dziś rano, kiedy uprawiałam jogging - wyjaśniła. - Biegłam w tamtym kierunku, to znaczy w stronę tego budynku, i spojrzałam do góry, jak już byłam blisko. Mogę przysiąc, że dosłownie chwilę później usłyszałam dwa wybuchy, jakby eksplodowały jakieś ładunki, i wydawało mi się, że na dźwigu zobaczyłam dym. I nagle jego górna część zaczęła się przechylać, przewracała się na mnie. Ale nie byłam pewna. Przecież jak się patrzy do góry na wysoki wieżowiec, a niebo jest zachmurzone, to też się człowiekowi wydaje, że budynek zaraz się zawali. Na początku dźwig opadał bardzo wolno. Potem ludzie zaczęli krzyczeć i pędem uciekłam za róg. Kiedy runął, po prostu mnie zważyło z nóg. - Trzęsła się cała. - Upadł tuż obok mnie.

To była jedna z tych sytuacji, której świadkiem jest się najwyżej raz w życiu. Pracując, przez cały dzień podglądał na monitorze relację na żywo z miejsca wypadku. O dziwo, pomyślał nawet, żeby zatelefonować do Alice i zapytać, czy nic się jej nie stało, ale w końcu zrezygnował. Musiałby z nią potem porozmawiać.

- Ale to nie znaczy, że ktoś próbował zabić ciebie - zawyrokował.

- To nie zdarzyło się po raz pierwszy - wyznała z ponurą miną.

Opowiedziała mu, co jej się przydarzyło na stacji Grand Central w drodze do pracy. Dwaj chłopcy urządzili burdę tuż przy krawędzi peronu, a kiedy na stację wjeżdżał pociąg, jeden z nich został popchnięty i przewrócił się na nią. Alice się zachwiała, machając rękami - jakby chciała popłynąć na plecach nad torami.

- Ledwie odzyskałam równowagę - zakończyła.

- Wcale z tego nie wynika, że te gnoje chciały cię zabić - powiedział Pepin z bijącym sercem. Był przerażony i wściekły. Chciało mu się i śmiać, i płakać.

- To nie oni. Tam był... - Spuściła wzrok. Trzęsły jej się ręce, kiedy ocierała łzy. - Tam był jeszcze mężczyzna. Taki mały. Popchnął go. Nie wiem, może próbował ich rozdzielić, ale popchnął go w moją stronę. A potem, kiedy mi się udało złapać równowagę, zniknął.

Pepin patrzył na nią oniemiały.

- Nie wierzysz mi.

- Przecież nic nie powiedziałem.

- To ten sam mężczyzna, który włamał się do naszego domu. Jestem pewna.

- Nie! - wykrzyknął, choć nie do niej.

- Widzę go wszędzie. Kątem oka. W snach. Jest jak mała lalka w tym filmie z Karen Black.

- *Trilogy of Terror* - odpowiedział. Niedawno o nim myślał.

-Tak.

- Ale przecież...

- Wiem - przerwała mu. - Powiesz mi, że to niemożliwe, że na pewno to sobie wymyśliłam.

-Nie.

- Nie, no dobrze. Nie chcesz mnie słuchać. Zresztą nigdy nie chciałeś słuchać, co mam ci do powiedzenia.

Wybiegła do sypialni dokładnie w chwili, kiedy szare chmury za oknem zaiskrzyły elektrycznością. Pepin chwycił telefon komórkowy i popędził schodami na dół.

- Ty skurwysynu! - rzucił do słuchawki, gdy znalazł się na ulicy.

- Co takiego zrobiłem? - zapytał Mobius.

- Dość już tego! Gra skończona, rozumiesz? Masz natychmiast przerwać.

- Przerwać co?

- Nie powiem.

- Co dokładnie mam przerwać?

- Dlaczego ukradłeś zakończenie mojej książki?

- Teraz to moja książka.

- Na pewno nie! - zaprzeczył Pepin.

- Wyobraź sobie, że tak.

-Pierdol się!

- Pierwsze zakończenie jest niezbyt mądre. Drugie zbyt porządne. Osobiście wolę kończyć z wielkim hukiem.

Pepin cisnął telefonem o chodnik, rozbijając go w drobny mak.

Zaczęło padać nagle i tak gwałtownie, że Pepin odniósł wrażenie, że ulewa czekała, aż chmury przywędrują dokładnie nad jego głowę, prześladowając go jak komiksowego Charliego Browna. Stanął z niewi-
dzącym wzrokiem wbitym w chodnik, słuchając wiatru przedzierającego się przez drzewa, świstu własnego oddechu i szumu wody pędzącej wzdłuż krawężnika.

- David?

Podniósł wzrok. Stała przed nim Georgine.

Była tak samo jak on przemoczona, nieprzygotowana na deszcz, w dżinsach i bawełnianej bluzie. Nadeszła od strony pobliskiej kamienicy, jakby się tam ukrywała pod schodami prowadzącymi do głównego wejścia.

- Co ty tu robisz? - zapytał Pepin.

- Musiałam cię zobaczyć. Chciałam zadzwonić, ale nagle się pojawiłeś.

Uśmiechnęła się, ale on nie mógł na nią patrzeć. Podeszła bliżej i uniosła jego twarz, chwytając za mokrą brodę, żeby zajrzeć mu w oczy. Oparł z ulgą głowę na jej dłoni. Nie miał pojęcia, że tak bardzo tęsknił za Georgine, zaabsorbowany powrotem Alice, ulgą z powodu ich ponownego połączenia, a potem huśtawką humorów żony. A taką miał nadzieję, że wszystko się potoczy inaczej! Jasne włosy Georgine podzieliły się na deszczu w mokre pukle, skręcone i ciężkie od wody. Pomyślał, że ich dzieci miałyby okropne włosy. Zaraz potem zganił się za tę myśl: „Co ci w ogóle chodzi po głowie?”

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała.

Skinał głową.

- Ostatnio nie byłeś sobą.

Pokręcił głową.

- Wiem, że mieliśmy już się nie widywać, ale nie mogę znieść, że tak kiepsko wyglądasz. I nie mogę znieść, że ze sobą nie rozmawiamy.

-Tak.

- Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Pocałowała go. Smak jej mokiych ust przyniósł mu wybawienie. Przytknął czoło do jej czoła, potem patrzył na nią, na jej usta i oczy, ogarnięty nagle wspomnieniami wspaniałych chwil, które spędzili razem, kompletnie różnych od tego, co przeżywał z Alice, rozkoszy ani większej, ani mniejszej, ale po prostu innej. Georgine miała siłę tam, gdzie brakowało jej Alice. Kiedy sobie to uświadomił, bał się dać wyraz własnym uczuciom. Zapewne bałby się przyznać do własnej niedoskonałości, nie chciałby okazać się słaby w kontakcie z żadną kobietą, nie tylko z nią. Nie miał pojęcia, czy był to skutek małżeństwa, czy Alice zdeformowała jego charakter, nie umiając się odnaleźć w ich wspólnym życiu. A może podświadomie szukał kogoś tak słabego jak ona, bo chroniła go przed komfortem takiego wyznania? W każdym razie oferta Georgine była równie wspaniała, co przerażająca. Przyparła go do muru i kazała wybierać. Przyszło mu do głowy, że można przecież zenić się dowolną liczbę razy, targując się, co się chce dać, a co wziąć samemu; uzgadniając granice dobrego i złego. To smutny, ale jednak fakt, że niektórym nie jest dane być szczęśliwym - nie są do tego zdolni. Dlaczego? Bo to by ich uwolniło? Bo nic nie jest ustalone z góry? Czy otwarte są wszystkie drzwi? Czego się boją?

- Nic mi nie jest.

- To zejdźmy z tego deszczu. Chodźmy gdzieś na drinka - zaproponowała.

- Nie mogę - zaproponował.

- Owszem, możesz.

- Muszę wracać na górę.

- David, przecież chcę zwyczajnie porozmawiać. To nie musi niczego oznaczać.

-Nieprawda.

-Prawda!

- Obiecay mi, że więcej tego nie zrobisz - zażądał.

- Nie mogę ci tego obiecać.
- Tracisz czas - stwierdził.
- Jest mój. Mogę z nim robić, co mi się podoba.

Pomyślał o kocie Schrödingera. W innej rzeczywistości on i Georgine poszliby na kolację, rozgrzali się, wysuszyli i zostałby z nią na zawsze. Ale w tej konkretnej rzeczywistości nie mógł być pewien, czy tego naprawdę chce, czy też ucieka od wszystkiego, co mu się nie udaje.

- Muszę już iść - powiedział.

Wchodząc do budynku, minął portiera i zobaczył na monitorach siebie, idącego prosto na niego, a później skręcającego w bok. W windzie zostawił po sobie kałużę wody. Mieszkanie tonęło w ciemnościach. Spojrzał na zegarek - po dziewiątej. Alice powinna już spać. Na końcu korytarza w ich sypialni migotało światło telewizora - jak burza, która przeszła dalej, zabierając najsilniejsze wyładowania. W łazience zdjął mokre ubranie. Zobaczył swoje odbicie, nie w lustrze, ale w szybie okna; stał w jasnym prostokącie drzwi. Jakże on utył! Był obrzęknięty i skapcianały! Ogarnęło go obrzydzenie. Poczł się, jakby zdradził własną duszę. Zgasił światło i nago wszedł do sypialni. Alice spała przykryta kołdrą, spod której wystawała tylko jej ręka zaciśnięta na pilocie. Wyjął go z jej dłoni i wyłączył telewizor. Na chwilę otworzyła oczy - czyżby cisza mogła wyrwać ze snu? - po czym zaraz je zamknęła. Stał, patrząc na nią w ciemności. Człł się jak kryminalista, któremu właśnie nadarzyła się kolejna okazja, by popełnić przestępstwo. Gdyby

opuścił ją teraz, taką bezbronną, z pewnością by ją to zabiło. Ale stali się sobie tak bardzo obcy, że równie dobrze mogłaby nie zauważyć jego zniknięcia. Te ambiwalentne uczucia były najgorsze na obecnym etapie ich małżeństwa.

Musiałoby być jakieś wyjście.

Hastroll usiadł sztywno, jakby kij połknął, przebudzony tym, co mu się przyśniło.

- Wiem, jak to zrobił! - krzyknął.

- Co jest? - zapytała przerażona Hannah. Zsunęli swoje łóżka, robiąc z nich, jak to Hastroll nazwał, królewskie łoża dla ubogich. Gdy przysuwali się zbyt blisko środka, materace się uginały, tworząc szczelinę, która mogła ich wessać, każde więc spało na swojej połowie, co im zresztą nie przeszkadzało. Hannah, już pod koniec drugiego trymestru, rozpalona była jak piec, bo też była piecem, przy którym grzała się ich miłość.

Hastroll zatelefonował do Shepparda, który obiecał zdobyć nakaz rewizji.

W mieszkaniu Pepina pojawili się następnego ranka.

- Kto tam? - zapytała zza drzwi jakaś kobieta.

Detektywi rozpoznali jej głos i popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

- Policja - oznajmił Hastroll.

- Nie wpuszczaj ich! - krzyknął z głębi mieszkania Pepin.

- Otwierać! - zażądał Hastroll, a ponieważ nie doczekał się reakcji, sforsował drzwi kopnięciem.

Za nimi ujrzeli Georgine Darcy ubraną w szlafrok i z filiżanką kawy, która wypadła jej z rąk na widok wycelowanych w nią pistoletów.

- Gdzie on jest? - zapytał Hastroll.

Wzrokiem wskazała sypialnię.

Hastroll pobiegł w te pędy, Sheppard tuż za nim, okazało się jednak, że się spóźnili. Kiedy weszli do sypialni, zobaczyli Pepina, w szlafroku tak jak Georgine, z głową ogoloną do samej skóry. Wychodził właśnie z łazienki. Był szczuplejszy, bardziej umięśniony, a jego puciołowatą twarz jakby ktoś ociosał. Spluczka w sedesie właśnie kończyła bulgotać.

Hastroll podniósł pistolet.

- Trzymaj się z daleka od drzwi - rozkazał Pepinowi.

Szafka na leki w łazience była szeroko otwarta. Na niej stały opakowania po wszystkich specyfikach przyjmowanych przez Alice, w tym po wellbutrinie i prozacu. Wszystkie otwarte i wszystkie puste.

- Ty skurwysynu - wycedził Hastroll, wchodząc z powrotem do sypialni.

- To było placebo! Po to właśnie Mobius się włamywał, tak? Zabrał jej prawdziwe leki, a zostawił *massa tabulettae*. Zabiłeś ją, pozbawiając właściwego leczenia, ty perwersyjny kutasie! Doprowadziłeś ją do ostateczności!

- Ja czy on? - zapytał Pepin.

Georgine pojawiła się w drzwiach, oparła o futrynę i skrzyżowała ręce na piersiach.

- O czym on mówi? - zainteresowała się.

Pepin spojrzał na Georgine, potem na Hastrolla.

- Jak doprowadziłeś ją do ostateczności? - ciągnął Hastroll. - Jak skłoniłeś, żeby to zrobiła?

- Nie wiem, o czym pan mówi - stwierdził Pepin.

Hastroll odbezpieczył broń.

- Niech pan się nie wygłupia, detektywie. Zastrzeli mnie pan? To nie jest gra.

- Może jest. Pif-paf, jesteś trup!

- W pańskim pistolecie są prawdziwe kule - odparował Pepin.

Sheppard ostrożnie chwycił Hastrolla za ramię.

- Wyluzuj trochę - powiedział.

Hastroll nadal mierzył w Pepina. W sypialni słychać było tylko jego oddech.

- Jest winny, ale nie ma już jak mu tego udowodnić.

Oto, jak David chciałby zakończyć swoją powieść:!

Schudła. Przeszła kilka operacji plastycznych usuwających nadmiar skóry; pojawiły się komplikacje w związku z bajpasem żołądka, z ostrą awitaminozą włącznie. Przez pewien czas lekarze obawiali się nawet, że do końca życia będzie musiała dożylnie przyjmować substancje odżywcze. Ale ona i David przetrwali to razem dzięki kompletnej odmianie, którą przeszli, sami nie wiedząc kiedy. I oto Alice ważyła sześćdziesiąt kilogramów: przed zamieniło się w nieuniknione po, odkrywając przed Davidem zupełnie inną

osobę, choć przecież tę samą. Jak tylko nabrali pewności, że jej waga się ustabilizowała, nie wahali się ani sekundy i postanowili adoptować dziecko.

Rekomendowani przez przyjaciela przebrnęli przez uciążliwe procedury stowarzyszenia Catholic Charities, włącznie z badaniami przesiewowymi, wywiadem środowiskowym oraz zajęciami dla rodziców adopcyjnych. Ostrzeżono ich, że mogą czekać latami. David pomyślał, że to dość aroganckie podejście do społecznych aspektów teorii Darwina, ale tamtego wieczoru na pierwszych zajęciach, kiedy obserwował, jak inne pary skupiały się w małych grupkach i zaczynały rozmawiać o przydzielonych im zadaniach, poczuł pewność, że kiedy znajdzie się dziecko do adopcji, komisja zacznie od niego albo od niej. Od nich. Zaproponują im bliźniaki. Albo trojaczki! Przecież są gotowi. Ośrodek prowadził jawną adopcję - matka biologiczna nie pozostawała anonimowa, uczestniczyła nawet w całym procesie, który rozpoczynał się zaraz po porodzie. I on, i Alice byli gotowi także na to, podobnie jak na pozostałe warunki.

Najpierw nie odczuwał więzi z Grace (takie imię wybrali wspólnie). Kiedy pierwszy raz trzymał ją na rękach w szpitalu, zakręciło mu się w głowie, gdy poczuł, jak jest delikatna - niemal prosiła się, żeby ją upuścić. Wcześniej też zdarzyło mu się coś podobnego: półka skalna kazała mu skakać. Prawdę mówiąc, bał się jej. Pomyślał, że nie widzi żadnej różnicy między tuleniem w ramionach małej córeczki a trzymaniem na rękach dzieci znajomych, i był przestraszony, że Grace może to jakoś wyczuć. W ciągu kilku tygodni zaszła jednak zmiana, niezauważalnie jak wszystkie zmiany w życiu, przynosząc miłość i rozczulenie, zwłaszcza kiedy karmił córeczkę, a potem zawiniętą w kocyk kładł ją sobie na kolanach - była wtedy tylko twarzą. Nigdy wcześniej nie doświadczył miłości tak bezgranicznej i bezbronnej, że była i lepsza, i gorsza od uczucia, które żywił do Alice. Gorsza, ponieważ wiedział, że przeboleałby śmierć żony, ale nie dziecka, dlatego od czasu do czasu zdarzało mu się warknąć na Alice, że jest nieuważna, choć była to ostatnia rzecz, jaką mógłby jej zarzucić w odniesieniu do Grace. Lepsza ze względu na cierpliwość, której go uczyła podczas pierwszych bezsennych miesięcy karmienia i kołysania, i utulania, kiedy ryk dziecka zaczynał się zwykle wtedy, gdy on nie tyle chciał, ile po prostu musiał się położyć; lepsza ze względu na wielkoduszność, którą w nim rozwijała, szczodrość, wspaniałomyślność i niespożytą energię. Przepięniały go ulga i piękno, radość dawania. Zawsze był gotów i chętny. Na

każde zawołanie. Do dyspozycji dziecka, a dzięki niemu także żony. Intensywniej niż kiedykolwiek w całym życiu odczuwał jedność ich dwojga, bezwarunkową wspólnotę celów. Często nie musieli nawet nic mówić.

- Tak - stwierdzał tylko, biorąc Grace z jej ramion i rozumiejąc wszystko bez słów.

Wiedział wszystko. Czuł, że nareszcie się odnalazł, dotarł do żywotnego źródła ukrytego gdzieś głęboko w skorupie własnego ja. W końcu wiedział, kim jest. Jest ojcem. We trójkę są rodziną. Tej pewności nic nie mogło mu odebrać.

W tej chwili David siedział z Grace na podłodze w salonie. Było późne przedpołudnie, piękna pogoda. Alice podeszła do okna i wyglądała. David rozłożył na kocu ulubioną matę Grace, z motywem łąki, strumieniem, pastwiskiem oraz płotem i z lusterkiem, w którym oglądała swoją twarzyczkę. Przypinane na rzepy krowy, owce, kurczaki i konie z kolei oglądały ją. Grace patrzyła na siebie w lusterku, potem na całą menażerię, podnosiła rączki i nóżki, rozstawiając szeroko paluszki jak lalkarz. W tej pozycji wyglądała, jakby skakała na spadochronie. Śmiała się radośnie, co wywoływało uśmiech także na jego twarzy.

- Co wy wyczyniacie? - zapytała Alice. Spojrzał na nią rozradowany.

-Nic - odpowiedział. - Zupełnie nic.

Pepin obudził się, leżąc w poprzek łóżka. Kiedy usiadł, zauważył, że jest nagi. Alice poszła już do pracy. Na myśl o tym, że wyszła, czyli jest późno - prawie ósma - zakręciło mu się w głowie ze strachu. Siedział przez chwilę z wyprostowanymi nogami, choć przeszkadzał mu brzuch. Pomyślał, że samo dźwiganie tłuszczu na brzuchu, udach i piersiach to niezła gimnastyka. Przypomniał sobie najcięższy okres Alice, kiedy budziła go, wiercąc się w łóżku, a on czuł za plecami jej ogromne ciało i bijące od niego ciepło - jakby spał z niedźwiedziem. Była od niego znacznie większa, ale sposób, w jaki wstawiała wówczas z łóżka, wymagał podobnie wiele wysiłku, ile teraz jego kosztowało siedzenie na łóżku. Dźwigała się na lewym łokciu, przekładała jedną nogę nad drugą, jednocześnie wyrzucając w powietrze ramię, jakby wymierzała cios. Przez chwilę obydwie kończyny wisiały nad krawędzią łóżka nieruchomo i wtedy wyglądała jak adept wschodnich sztuk walki zastygły w dziwnej pozie. Następnie przechylała się lekko, pomagając sobie lewym łokciem i kołysała jak statek łapiący równowagę na wodzie. Po

wszystkim, już z nogami na podłodze, musiała trochę odpocząć, siedząc tyłem do niego z dłońmi opartymi na materacu.

- Kiedyś nie uda mi się podnieść i na zawsze utknę w tym łóżku - powiedziała któregoś dnia. Słowa dobiegały spod maski tlenowej, której przewód przedzielał jej głowę na pół i biegł między włosami jak długi warkocz, plastikowy i nieprzezroczysty, w kolorze pancerzyka krewetki. Gdy się do niego odwróciła, uświadomił sobie, że otwory w masce czynią z jej twarzy pysk knura. Pomyślał wtedy o locie na Hawaje, kiedy nad głowami pasażerów zawisły maski tlenowe, mające dać poczucie bezpieczeństwa przerażonym hukiem ludziom, spoglądającym po sobie w panice. Samolot pełen trzody chlewnej. Stado świń. Kto by wiedział, że tak wyglądaliście przed śmiercią, gdyby samolot się rozbił?

Ta ostatnia myśl popchnęła go do komputera. Mobius powiedział mu, że ma się trzymać z daleka - i to właśnie powinien zrobić: wyjechać daleko i zabrać Alice gdzieś, gdzie ten mały dziwoląg nie zdoła ich odnaleźć, a ona dojdzie do siebie. Właściwie mogliby wyjechać. Nawet gdyby miało to oznaczać wyprawę na drugi koniec świata. Przypomniała mu się rozmowa na podobny temat, którą odbyli, zanim Alice zniknęła. Wspomniała o Wielkiej Rafie Koralowej, co mu uświadomiło, jak zasklepił się w ich tu i teraz, ponieważ nie miał pojęcia, gdzie w Australii to cudo się znajduje. Otworzył Google: Queensland, przy północno-wschodnim wybrzeżu kontynentu. W Wikipedii wyczytał, że to największa na Ziemi jednolita struktura wytworzona przez organizmy żywe. Miliony małych koralowych polipów dają schronienie różnym formom życia. Nisza nieskończenie różnorodnego życia - tego właśnie było im trzeba. Tego chciał także on: zróżnicowania, ożywienia. Natychmiast wszedł na stronę biura podróży Expedia i kupił dwa bilety na wieczorny lot z Nowego Jorku do Brisbane, nocny lot z międzylądowaniem w Los Angeles.

Ubrał się, zabrał obydwa paszporty i wyszedł.

O tej porze wszyscy zmierzali w przeciwną stronę, pędził więc jak szalony po West Side Highway, Henry Hudson i Saw Mili do szkoły, w której uczyła Alice, choć raz w Hawthorne i na terenie kampusu zwolnił, starając się pozbierać myśli i ułożyć słowa, którymi ją przekona. Budynek państwowej szkoły dla dzieci trudnych postawiono z pustaków. Zielonoszare korytarze były skapane w promieniach świetlówek. Co ciągnęło jego

zonę do tego miejsca? Czy chciała zastąpić tym dzieciakom matkę? A może chodziło o to, że także one miały wielkie problemy?

Na parkingu przed budynkiem stało kilka autobusów szkolnych. Zauważył obok nich Alice nadzorującą wsiadanie dzieci. Stała przy drzwiach i liczyła wchodzących do autobusu uczniów, ale na jego widok zastygła, zastanawiając się, co oznacza jego obecność. Ten krótki bezruch pozwolił mu dostrzec, jak niewiarygodnie wielką transformację przeszła. Była szczupła - szczuplejsza nawet niż wtedy, kiedy się poznali. Uwydatnione teraz kości policzkowe sprawiły, że jej usta stały się większe i pełniejsze. Twarz okalały nadal piękne włosy. Najchętniej zrobiłby jej teraz zdjęcie, żeby je dołączyć do polaroidów na drzwiach lodówki. To nowe piękno w połączeniu z depresją przerażało go i zachwycało jednocześnie. Podobnie jak choroba piękno może wytrącić obserwatora z równowagi. Dwie noce wcześniej, po kłótni, w której trakcie błagał ją, żeby natychmiast poszła do lekarza, stanął przy niej w łazience i wręczył jej szklanekę wody.

- Chcę widzieć, jak to łykasz - powiedział, podając jej lekarstwa. - Otwórz usta - zażądał, kiedy połknęła.

- One nie pomagają - stwierdziła, płacząc.

- Pomogą - zapewnił i przytulał ją długo, aż w końcu wyrwała się z jego uścisku. Ominęła go, poszła do łóżka i długo płakała; jeśli jego zegarek nie kłamał, przez dwie godziny i trzydzieści osiem minut. Depresja, ze swoimi niewyczerpanymi rezerwami, była tak samo żarłoczna, jak niegdyś ona, i sprytna, bo on zawsze dawał się nabrać, że miłością wyleczy z niej żonę.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Jestem zajęta.

- W takim razie się pośpieszę.

Jej oczy poczerwieniały i zaszły natychmiast łzami, jakby jego obecność podpaliła lont od złożonego w niej ładunku wybuchowego. Czuł rosnące w obydwójgu napięcie, które zawsze kończyło się awanturą.

W końcu przekazała listę uczniów innemu nauczycielowi i zaprowadziła go do swojej klasy.

- Odręż się na chwilę, proszę - powiedział. - Po prostu mnie wysłuchaj. W zeszłym roku mówiłaś, że powinniśmy wyjechać. Zostawić to wszystko. Cel bez metody. Jestem gotów. Kupiłem bilety. Dziś w nocy lecimy do Australii. Po prostu wyjedziemy.

Miała skrzyżowane ramiona. Spojrzała na niego.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, że nawet nie będziemy się pakować. Mówię o wyjeździe, teraz, zaraz. Ty i ja. Żadnych pytań.

- Oszalałeś! - stwierdziła i skierowała się do wyjścia.

Chwycił ją za ramię silniej, niż zamierzał.

- Nie - zaprzeczył. - Nie zwariowałem.

Spojrzała na jego dłoń.

- To boli!

- Nie chcę, żebyś odeszła, nawet mnie nie wysłuchawszy. Też mam prawo coś powiedzieć.

- Więc mów.

- Chodź ze mną. Teraz.

Czekała, aż ją puści.

.... - Zawsze się spóźniasz - stwierdziła. - Wiesz o tym?

- Może ja...

- Wszystkie pomysły, wszystkie propozycje wychodzą zawsze ode mnie - dźgnęła się palcem w pierś. - Ty nigdy nie wykazałeś inicjatywy - wbiła palec w niego. - Dlatego kiedy w końcu coś postanawiasz, mam wrażenie, że robisz to z litości.

- Może i tak było wcześniej. Ale teraz już nie. Teraz ja przejmuję ster.

- A ja odmawiam. Nie wyjadę z tobą tak po prostu. Nie rzucę wszystkiego tylko po to, żeby za kilka tygodni gdzieś w australijskim buszu czy gdzie tam chcesz jechać, przekonać się, że nie masz już ochoty tam być. Nie zamierzam znów przez to przechodzić.

Cała aż się trzęsła. I płakała.

- Proszę, zaufaj mi - powiedział. Spojrzała na niego i przez chwilę zdawało mu się, że mięknie. - Musimy wyjechać.

Pokręciła głową.

- Dzieci na mnie czekają.

Wróciła do autobusu, a on ruszył za nią bez słowa. Wsiadł do samochodu. Wściekły zobaczył komórkę na fotelu pasażera. W tym samym momencie telefon zadzwonił.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Mobius.

- Próbuję zabrać ją jak najdalej od ciebie.

- Napytasz sobie biedy.

- Zobaczymy.

- Nie rozumiesz? Znalazłeś się w miejscu, z którego możesz albo jechać dalej prosto, albo skręcić. Obydwie drogi prowadzą do tego samego celu. Nie ma znaczenia, co zrobisz. W teorii gier to się nazywa Hawk-Dove Game albo gra w cykora.

- A co z zachowaniem Alice?

- Mam asa w rękawie.

- Co dokładnie?

- Koniec.

- Szlag by cię trafił - zachnął się Pepin. - Nie chcę żadnego końca!

- Chcesz, ale sam tego nie zrobisz. Dlatego potrzebny ci jestem ja.

Rozłączył się.

Pepin krzyczał do telefonu i potrząsał nim, po czym wyszedł z samochodu, rozglądając się wokół, jakby podejrzewał, że Mobius jest gdzieś w pobliżu, a ich telefony są połączone sznurkiem. Autobus, do którego wsiała w końcu Alice, wyjechał z parkingu, a za nim drugi. Trzeci i ostatni autobus były już niemal zapełnione.

- Dokąd jedziecie? - zapytał Pepin jednego z uczniów.

- Do Muzeum Historii Naturalnej - odpowiedział chłopak.

Teraz już sam, Pepin napisał:

Oczywiście jest nas dwóch - David i Pepin - powiązanych i rozdzielnych jednocześnie. Ja piszę moje lepsze ja, a on swoje gorsze, tak aż do samego końca. Dobry czytelnik - i dobry detektyw - na pewno już to wie. Jeśli ty tego nie wiesz, to spójrz w lustro. Zobaczysz siebie-niesiebie, bo przecież osoba w twoim umyśle nie jest osobą w świecie rzeczywistym. A jeśli nie wiesz jeszcze także tego, to się dowiesz niebawem.

Na West Side Highway, mając przed sobą trzy auta dzielące go od autobusu Alice, Pepin zauważył w lusterku wstecznym czarnego forda F-150. Takich półciągarówek na Manhattanie praktycznie się nie widuje: ich absurdalnie monstrualne rozmiary sprawiają, że kierowca nie znajdzie miejsca do parkowania. Zamontowany pod jego maską silnik typu HEMI ryczał jak lew. W szoferce Mobius wyglądał jak dziecko za sterem gigantycznego jachtu.

Pepin jadący środkowym pasem pozwolił mu zrównać się z sobą. Dłufując w martwym punkcie jego lusterka, nacisnął przycisk na komórce.

- Co jest?
- Mówiłeś, że mogę wybrać jedną z dwóch dróg.
- To prawda - przyznał Mobius. - Prosto albo skręt.
- Jak sądzisz, co zrobię?
- Ty? Ty zawsze skręcasz.
- Bingo!

Pepin szarpnął kierownicą w lewo, wbijając przód swojego samochodu w tylne koło forda, przekręcając go prostopadle do maski i spychając z szosy w kłębach białego dymu. Walcząc z kierownicą, Mobius wyprostował ręce i oparł ramię o boczną szybę. Pepin naciskał gaz. Dźwięk klaksonów, wyjących z tyłu i po bokach, ciągnął się jak guma. Sznur aut starał się ich objechać. Nagle rozległ się trzask, jakby spinaker napinał się na wietrze, ford wystrzelił w powietrze, przeleciał nad maską samochodu Pepina, by po chwili stać się chmurą dymu w jego lusterku, z którego wypadały kawałki szkła. Pepin zatrąbił, entuzjastycznie przeklinając i waląc dłonią w deskę rozdzielczą. Odwrócił się, żeby zobaczyć, jak samochody się rozdzielają, żeby ominąć dymiący wrak. Potem spojrzał przed siebie i zobaczył samochód skręcający tuż przed nim na jego pas ruchu. Odbił kierownicą, poczuł, jak zarzuciło tyłem auta i skontrował, ale samochód nadal się obracał, choć jego dłonie szarpały kierownicę. Przez krótką chwilę stał pod prąd, widząc auta i twarze kierowców zamazane, jak głowy ludzi na peronie oglądane z pędzącego pociągu. Zaraz jednak wszystko zniknęło z naddźwiękową prędkością, bo uderzył ukośnie w barierkę wzdłuż jezdnii tak silnie, że aż mu coś zgrzytnęło w karku i plecach. Auto się zatrzymało. A więc przeżył. Przez roztrzaskaną przednią szybę widział, jak autobus unoszący Alice znika daleko w przedzie z twarzami dzieci przyklepionymi do tylnej szyby. Samochód Mobiusa, zniszczony, ale jakimś cudem jeszcze na chodzie, doganiał go. Uruchomił silnik. Auto ruszyło z trudem, wlokąc za sobą po asfalcie jakąś płoškę. Lewe koło było pokiereszowane i ledwie się obracało. Dowłókl jakoś wóz do zjazdu przy Dziewięćdziesiątej Szóstej i zauważył parking po przeciwnej stronie Riverside.

- No, kurwa, nieźle - powiedział dozorca parkingu.

Pepin wyszarpnął z portfela studolarówkę i wsunął w dłoń mężczyzny.

- Zaparkuj go w bezpiecznym miejscu.

Potem pobiegł.

David przekonał się z czasem, że nie zapamiętał wiele z zajęć doktora Otto - to znaczy z jego wykładów i wniosków z dyskusji, które prowadził. Pamiętał jednak pierwsze wrażenie i seanse dające wspaniałe uczucie, że obcuje z wielkimi dziełami filmowymi. Oglądane na zajęciach filmy wprawiały go w przyjemny i romantyczny nastrój, a przy tym były dla niego zupełnie nowe; nigdy nie wiedział, co się stanie dalej. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego życie przed ich obejrzeniem było uboższe. Dzięki filmom Hitchcocka zaczął żyć pełniej.

W *Ostawionej* na przykład jest scena w piwnicy z winami, kiedy Cary Grant niechcący przesuwa butelkę na krawędź półki. Gdyby butelka się rozbiła, on i Ingrid Bergman byliby zgubieni. Ta scena wywoływała tak wielkie napięcie, że on i Alice, oglądając ją, instynktownie złapali się za ręce, a kiedy butelka rzeczywiście spadła, Alice aż krzyknęła. Pamiętał Grace Kelly pochylającą się, żeby pocałować Jimmyego Stewarta w *Oknie na podwórze*. Jej cień powoli zakrywał jego twarz. Pepin nie miał wątpliwości, że to najpiękniejsza kobieta w historii świata. Albo Tippi Hedren z papierosem na boisku szkolnym, ścigająca wzrokiem samotną wronę na bezchmurnym niebie, by w końcu wylądować na drabinkach gimnastycznych, bo całe boisko zajęły już tysiące tych czarnych ptaków.

Wiele było takich momentów. Jeden utkwiał mu w pamięci szczególnie. Wracał na rowerze do domu po wieczornym pokazie z głową pełną scen, skojarzeń i wniosków. Nie potrafił już przypomnieć sobie, jaki to był film. Pamiętał jednak, że zatrzymał rower na ciemnej drodze, zniewolony swoją miłością i geniuszem wielkiej sztuki, tak za nie wdzięczny, że musiał przystanąć i poczuć, jak pulsują w nim te uczucia. Pomyślał, że życie polega właśnie na dawaniu. Artysta coś stworzył - a więc dał - on zaś przyjął to do swojego życia, które byłoby nic niewarte, gdyby nie potrafił oddać czegoś w zamian.

Był tego pewien tak samo, jak tego, że chce spędzić resztę życia z Alice.

Pepin wysiadł z taksówki, ale natychmiast przystanął przerażony i kompletnie dezorientowany. Autobusy szkolne stały dosłownie wszędzie.

Były zaparkowane wzdłuż Central Park West, wzdłuż całej Osiemdziesiątej Pierwszej i na wygiętym w kształt litery „U” podjeździe pod Centrum Ziemi i Kosmosu. Oczywiście wszędzie też biegały dzieci w wieku szkolnym. Zdawało się mu, że tysiące uczniów kręcą się przy

drzwiach wejściowych, całe legiony wchodzących i wychodzących. „Mój Boże! - pomyślał. - Nigdy nie znajdę w tym tłumie Alice”. - Nie miał nawet pojęcia, z którego wejścia skorzystać. Wbiegł po szerokich schodach od strony Central Park West do metalowych drzwi wciśniętych między dwie strzeliste kolumny. Na romańskiej fasadzie widniał napis PRAWDA. WIEDZA. WIZJA. Z daleka widział kopułę na rogu Siedemdziesiątej Siódmej z dachem w kolorze podmorskiego błękitu i wykończoną gargulcami gigantycznych orłów.

W rotundzie pod sklepieniem sufitem, skąpany w białym świetle z wysokich okien, stał szkielet brontozaura z kośćmi brązowymi jak deski antycznych galeonów. Samica podnosiła tylną nogę, broniąc potomstwa przed stojącym za nią allozauzem. Pepin sporo wiedział o dinozaurach; wypuszczone przez Spellbound gry DinAgon I i II okazały się wielkim hitem na całym świecie. W sali panował hałas charakterystyczny dla wielkich wydarzeń: stukot obcasów na marmurowej podłodze odbijał się echem ze zdwojoną siłą, głośny jak tętent końskich kopyt. I wyraźnie słyszał pojedyncze zdania:

- Płetwal błękitny znajduje się piętro niżej - powiedział przewodnik, jakby mówił specjalnie dla niego. Rozbrzmiewały wszędzie i odbijały się rykoszetem od ośmiokątnych płyt na suficie oraz ścianach, zamieniając salę w wieżę Babel.

Pepin pomyślał, że na filmie Hitchcocka Alice przewinęłaby się przed jego oczami, kiedy czekał w kolejce przed kasą biletową. Rozglądał się więc uważnie, noga za nogą zbliżając się do kasy. Po chwili dłużej jak wieczność kupił bilet, wziął plan muzeum i zaczął go studiować, próbując się w tym połapać. Nie miał pojęcia, jak odnaleźć Alice, dopóki nie usłyszał jej głosu tak blisko swojego ucha, jakby się bawili w głuchy telefon.

- Anthony - powiedziała - zakryj to, proszę, z powrotem.

Cudownym zrzędzeniem losu przeszła po wielkiej sali tuż obok niego, przeganiając klasę z wystawy motyli na drugą stronę rotundy. Jej wychowankowie byli kolorowi jak tęcza: Latynosi, czarni, biali, żółci, Indianie; dziewczęta ubrane w sam raz na całodniową wycieczkę, chłopcy w workowatych spodniach oraz bawełnianych koszulkach z bluźnierczymi napisami, w czapkach z daszkami przesuniętymi na bok. Wszyscy jednak należeli do tego samego gatunku, mieli za sobą smutną historię rodzinnej przemocy i dysfunkcyjne umysły.

Postanowił iść za nią jak cień. Nie spuszczać jej z oka. Przechwycić napastnika, jeśli się pojawi. A potem, gdy nadejdzie czas, powiedzieć jej, co trzeba zrobić, żeby przed nim uciec.

Uczniowie wręczyli bilety strażnikowi, po czym weszli do sali ssaków azjatyckich. Pepin zachowywał bezpieczną odległość za nimi. W tej części muzeum było ciszej. Dzieci zwolniły, rozproszyły się i zaczęły gromadzić przed wybranymi eksponatami, zostawiając na szybach gablotek mgiełkę oddechów i dowcipkując. On musiał wykazać się podzielnością uwagi, rozglądając się za Mobiussem, chociaż gdy miał Alice w zasięgu wzroku, był w miarę spokojny. Sufit muzeum zdawał się ich chronić, ściany węższej sali dogodnie ograniczały pole obserwacji. Śledzenie jej okazało się nawet przyjemnym spełnieniem fantazji, którą tak rzadko realizował: zobaczyć żonę w jej świecie, w jej żywiole, otoczoną uczniami w różnym wieku, na oko między dwunastym a czternastym rokiem życia, którzy słuchali jej poleceń. Jaką byłaby świetną matką! Mały Latynos, ubrany cały na czarno - buty, spodnie i koszulka - z wyjątkiem białej gotyckiej litery „a” naszytej na czapce, podszedł do niej z jakimś pytaniem. Pochyliła się, kładąc mu dłoń na ramieniu, by poczuł jej wsparcie, ponieważ zadawanie pytań było równoznaczne z okazaniem słabości. Kiedy poświęciła mu uwagę, na twarzy chłopca pojawiły się skupienie, otwartość i ciepło. Pepin podszedł bliżej, próbując usłyszeć, co mówiła, wzruszony tą scenką tak bardzo, że walczył z pokusą, by ją natychmiast przytulić. Ale zbliżanie się do niej było ryzykowne, trzymał się więc z daleka, jak w martwym punkcie, gdy czekał na samochód Mobiusa.

Przeszli do sali ludów azjatyckich. Z głośników płynęły dźwięki koto i choć ta muzyka nigdy nie wydawała mu się rytmiczna ani melodyjna, to teraz podziałała uspokajająco. Poczul ochotę na sushi. Nic nie zjadł, zanim wybiegł z domu rano, a ostatnio bez przerwy był głodny, jadł częściej i silniej doskwierał mu głód. Jego otyłość stawała się chorobliwa. W gablocie dostrzegł swoje odbicie: włosy jak siano, poszerzająca twarz broda i pasek spodni niczym uśmiechnięty emotikon pod wystającymi brzuchem. Będzie musiał coś z tym zrobić, kiedy już wyjadą z Alice. Znów będzie im razem dobrze, znów zaakceptują siebie samych i siebie nawzajem.

Przeniósł oczy ze swojego odbicia na medytującego złotego Budę z oczami zamkniętymi, z rękami jedna nad drugą dłońmi do góry i aureolą z jadowitych węży nad głową. Na plakietce przy gablocie przeczytał:

Buddyzm zakłada, że istoty ludzkie odradzają się w nieskończonym cyklu życia, a następne wcielenie zależy od zachowania w obecnym. Jest jednak rozwiązanie. Aby się wyrwać z tego cyklu, trzeba zrozumieć, jak on funkcjonuje oraz żyć, poprawnie, z pasją i dążyć do celu.

Tylko że on zrozumiał to funkcjonowanie za późno, dlatego żył niewłaściwie. Jakie byłoby jego następne wcielenie, gdyby umarł teraz? Niewątpliwie wcieliliby się w coś niższego niż człowiek - jakieś płochliwe zwierzę, nie drapieżnika, lecz ofiarę. Tłuste i włochate. Mające problemy z łączeniem się w pary. Panda, pomyślał. A jednak prawda zawarta w napisie na plakietce nie dawała mu spokoju. Nieskończony cykl życia. Obietnica rozwiązania. Wyjście Eschera. Te myśli poprawiły mu humor.

„Nie będę skręcał” - pomyślał.

Stracił z oczu Alice i jej uczniów. Przerażony przyspieszył, w końcu zaczął biec. Za rogiem omal nie wpadł na kilkoro jej podopiecznych, którzy dobijali właśnie do reszty zgromadzonej przed wystawą prezentującą wojowników plemienia Semai na polowaniu. Pepin się wycofał, uciekając przed wzrokiem Alice, która stała teraz tak blisko, że mógłby jej dotknąć; niemal poczuł jej zapach. Myśliwy, nagi, jeśli nie liczyć kawałka tkaniny wokół bioder i worka na plecach, przystawiał sobie do ust dmuchawkę długą jak tyczka do skoków.

- Zobaczcie, jakie ma kąpielówki - rzucił jeden z chłopców. Ten sam, który wcześniej zadawał pytanie.

- To przepaska na biodra, Anthony - powiedziała Alice.

- Zasłona na biodra i tyle!

Wszyscy, z Alice włącznie, wybuchnęli śmiechem.

- Kurtyna! Oto mój kutas!

- Chłopcy! - skarciła ich Alice. - Proszę nie używać brzydkich wyrazów.

Na plakietce informacyjnej napisano, że plemiona z Malajów są godne naśladowania, ponieważ nie używają przemocy.

Lud Semai mieszka w domach na długich palach, po kilka o rodzin w jednym... Dziś częściej spotyka się domy jednorodzinne. Obowiązuje zasada, że między ludźmi mieszkającymi razem panują dobre stosunki; muszą się wzajemnie szanować i darzyć sympatią.

Pepin pomyślał, że Malaje leżą gdzieś na krańcach Tajlandii. Może więc po obejrzeniu Wielkiej Rify Koralowej powinien zabrać Alice na północ od Brisbane, skręcić w lewo nad Indonezją, minąć Malezję, wylądować w Kuala Lumpur, a potem osiedlić się wśród ludu Semai. Używając dmuchawki, straciłby sporo kilogramów. Trudno byłoby się utuczyć tylko na ryżu, a już na pewno nie na pożywieniu, które trzeba upolować w zaprezentowany sposób. Jakże niewiele mieliby zmartwień! Mieszkaliby razem w domu na palach. Uprawiali poletko ryżu. Odnawiali wzajemną sympatię i szacunek. Byłyby to ich jedyne zadania.

Zdawało mu się, że zobaczył czarną sylwetkę Mobiusa odbitą w szkle gabloty, ale kiedy się odwrócił, nie dostrzegł go.

- Schodzimy na dół - zapowiedziała Alice przy schodach. - Proszę się trzymać razem.

- Tu pisze, że dinozaury są na górze - krzyczał Anthony, machając w powietrzu mapką muzeum.

- To prawda, co jest tam napisane, Anthony - poprawiła go. - Dinozaury są na górze, ale najpierw pójdziemy zobaczyć hominidy.

- Kurwa, homonid? A co to? Koledzy zwijali się ze śmiechu.

- To ty, Anthony! Homonid to ty!

Chłopcy rechotali, przybijając sobie piątkę. Dziewczynki zakrywały usta.

- Ja też jestem hominidem - stwierdziła Alice. - Wszyscy jesteśmy hominidami. A jeśli ktoś jeszcze raz przeklnie - czekała, aż przejdą wszyscy - to pójdzie siedzieć w autobusie z hominidem kierowcą. - Położyła dłoń na ramieniu Anthony'ego. - Zrozumiałeś?

Chłopiec poczekał, aż reszta klasy odejdzie dalej.

- Przepraszam - powiedział, kiedy nie mogli go już usłyszeć.

- Przeprosiny przyjęte - odparła Alice.

Na dole, za olbrzymią wąską łodzią wydłubaną w co najmniej piętnastometrowym pniu, podwieszoną pod sufitem, żeby wyeksponować rzeźby na dnie - czerwone i czarne ptaki, jakby paleokomiks - oraz zdobienia przy dziobie, które kojarzyły się Pepinowi z zębami jadowymi i pyskami rekinów malowanymi na Mustangach P-51, przeszli do sali prezentującej pochodzenie człowieka. Wyraźnie widział wejście, wyjście i kawałek sali meteorytów, gdyby więc Mobius się pojawił, zauważyłby go natychmiast. Ale nigdzie go nie było.

Alice zebrała uczniów przed gablotą zawierającą czaszki różnych kształtów i rozmiarów połączone na planszy przerywanymi liniami. Część odnóg się urywała, co oznaczało wyginięcie. Podczas gdy dzieciaki się tłoczyły, Pepin przeczytał informację:

NASZE DRZEWO GENEALOGICZNE Ludzie są jedynymi żyjącymi potomkami kiedyś bardzo zróżnicowanej rodziny naczelnych o nazwie Hominidae... Większość tych gatunków wymarła. Ostatecznie przetrwał i rozwinął się tylko jeden, współczesny człowiek - Homo sapiens.

- Spójrzcie tutaj - skierowała ich uwagę Alice. - Rozumiecie, kto to jest? To nasi kuzyni...

- Na pewno nie moi!

- Eugene! - skarciła chłopca groźnym spojrzeniem. - To przodkowie *Homo sapiens*, czyli człowieka, którzy nie zdołali przetrwać. Widzicie? Czaszki są pogrupowane według obszarów na Ziemi, a przerywane linie pokazują, jak się rozwijali nasi przodkowie i gdzie zakończyli ewolucję. Zwróćcie uwagę na różne kształty i wielkość ich czaszek w porównaniu z naszymi. O czym to świadczy?

- Mogliśmy mieć głowy jak dupy! - powiedział Eugene.

Anthony zsunął mu czapkę na czoło.

- Słuchaj pani Pepin, baranie!

- Chłopcy! - uciszyła ich Alice. - Pytam poważnie. Jaki wniosek płynie z tego wykresu?

Przez chwilę wszyscy milczeli, w końcu rękę podniósł Anthony.

- Że mamy szczęście.

- Naprawdę? To ciekawe. Co masz na myśli?

Zanim jej odpowiedział, Anthony spojrzał groźnie na Eugene'a.

- Niech pani patrzy na tych wszystkich homo coś tam, którzy nie przeżyli. Na tablicy nie napisali dlaczego, czy tak?

Alice spojrzała.

- Nie napisali - zgodziła się.

- Czyli nie wiemy, prawda?

- Chyba nie.

- Widzi pani sama, mamy szczęście, że tu jesteśmy.

- A jaki stąd wniosek? - zapytała.

- Że damy radę ze wszystkim.

Alice się uśmiechnęła.

- Zgadza się - powiedziała.

- Mogę jeszcze o coś zapytać?

- Pewnie, że tak.

- Jak się wymawia tego? - Anthony wskazał na czaszkę w kształcie młotka.

- *Homo Heidelbergensis*. A dlaczego pytasz?

- Bo wygląda jak stara Eugene'a!

Dzieciaki wybuchnęły jak fajerwerk. Począwszy od stojących w środku zakrywały usta i parskały śmiechem. Alice pokręciła głową, patrząc na Anthony'ego.

- Jesteś niepoprawny - powiedziała.

Nadszedł czas, żeby coś zjeść.

Alice zaprowadziła dzieciaki do bufetu na dole. Pepin nie mógł się powstrzymać. Kupił sobie kurczaka i wrapa z warzywami, które pożarł, zerkając wciąż przez ramię - jak myśliwy, na którego ktoś poluje. Alice siedziała przy stoliku z daleka od uczniów i innych nauczycieli. Jej oczy się zaszklily i wyglądała na smutną, nawet załamaną. Kiedy młodzi ludzie jej nie absorbowali ani nie wyprowadzali z równowagi, stawała się kobietą, którą dobrze znał. Sprawiała wrażenie zrozpaczonej, był to więc najlepszy moment, żeby z nią porozmawiać. Kiedy była w takim stanie, miał większą szansę na powodzenie. Może właśnie teraz powinien się jej pokazać i wyjaśnić, dlaczego muszą wyjechać? Już miał do niej podejść, kiedy w drugim końcu sali zobaczył Mobiusa.

Zamiast uciekać na jego widok, Mobius odwrócił się, poszedł korytarzem w stronę stacji metra przy Osiemdziesiątej Pierwszej i skręcił w lewo do męskiej toalety. Przed drzwiami stał żółty znak ostrzegawczy przedstawiający postać, od której uciekają nogi, opatrzony czerwonym napisem UWAGA!

Wyłożone kafelkami pomieszczenie śmierdziało moczem. Oprócz nich nie było tu nikogo.

- Niepotrzebnie wszystko utrudniasz - stwierdził Mobius.

- To ty tak uważasz.

Podobnie jak uczeń Alice, Mobius ubrany był na czarno, choć miał na sobie strój sportowy, z takim samym logo firmy Under Armour, jakie

znajdowało się na bluzie Alice pod szyją: duże „U” połączone z odwróconym dużym „A”.

- Niczego nie powstrzymasz - stwierdził. - Koniec został ustalony dawno temu. Ja tylko realizuję ustalenia, podążam zgodnie z wyznaczonym wektorem, jestem łukiem dla strzały. Przecież to ty marzyłeś o tym, pamiętasz? Sam mnie wezwąłeś.

Pepin rozejrzył się za jakimś narzędziem zbrodni. W rogu stał kosz na śmiecie, srebrny, w kształcie kuli. Użycie go jako broni pasowało do troglodyty.

- Co teraz? - zapytał.

- Zaczniemy walczyć, znokautuję cię, odzyskasz przytomność. Dowiesz się o kilku naprawdę tragicznych wydarzeniach. Potem czeka cię jeszcze trochę więcej, ale nie chcę ci psuć zabawy.

Pepin postawił krok naprzód, zamachnął się i wymierzył cios. Nigdy w życiu nikogo nie uderzył. Ten cios tego nie zmienił. Czarne oczy Mobiusa rzuciły iskry, nawet jednak nie opuścił powiek. Za to Pepin się zachwiał, tracąc równowagę po niecelnym ciosie. Oparł się o ścianę.

Mobius złapał go za szyję, skacząc mu na plecy i przyciskając jego twarz do ściany.

- Teraz śpij - powiedział.

I wyprowadził cios.

Pepin się ocknął.

Bolał go kark, czoło i nie miał pojęcia, ile minęło czasu. Podniósł się niepewnie, wyszedł z toalety i wrócił do bufetu. Ale Alice wraz z uczniami już stamtąd wyszła. Znowu spanikowany pobiegł w górę po schodach. Minał wielką galerię, salę przedstawiającą okolice Nowego Jorku, potem poświęconą lasom Ameryki Północnej, aż dotarł do wystawy o życiu oceanów, której wejścia strzegły trzy rekiny.

Widok płetwala błękitnego odebrał mu resztki tchu: gigantyczny ssak wisiał pod sufitem, jakby się unosił w wodzie. W tym błękitnym jak ocean pomieszczeniu pod niebieskim szkłem kopuły poczuł się, jakby wszedł na pokład Nautilusa. Alice i jej uczniowie przechodzili wzdłuż makiet w dolnej części sali. Nagle poczuł, jak coś wibruje mu w kieszeni: zadzwonił kolejny podrzucony telefon komórkowy.

Dostrzegł Mobiusa, który przyglądał się mu, stojąc z drugiej strony pasażu.

- Pamiętasz początek?'

- Jaki początek?

- Twojej książki. Przygnieciona gruzami, Alice ginęła natychmiast. Czasem na miejscu katastrofy pojawiał się także on, dosłownie w ostatniej chwili przed fatalnym zdarzeniem, żeby ułatwić jej przejście na drugą stronę: trzymał ją za rękę i wymieniali ostatnie słowa.

- Nie! - krzyknął Pepin, zbiegając po schodach z telefonem przy uchu. - Proszę, nie!

Mobius podniósł dłoń, w której trzymał coś czarnego.

- Bum! - powiedział.

Nad wielorybem pojawiły się dwa obłoczki dymu po jednoczesnych wybuchach - głośnych jak wybuch M80 - które przyciągnęły wszystkie oczy do sufitu. Jakimś trafem Alice była jedyną osobą stojącą akurat pod spodem. Także ona spojrzała w górę, nie zobaczyła więc Pepina, który biegi, żeby ochronić ją własnym ciałem.

Na chwilę zapanowała ciemność, potem martwa cisza, a po niej odezwały się jęki, krzyki i wrzaski. Śniegowa burza gipsu i plastiku, która spowiła salę nieprzeniknioną chmurą, wydawała się podnosić i opadać jednocześnie. Alice pod nim nie było. Na początku nie widział końca własnego nosa, po chwili jednak trochę się przejaśniło. Obsypani białym pyłem ludzie, także dzieci, zaczęli się podnosić z podłogi i pomagać tym, którzy znajdowali się obok. Inni zamarli na klęczkach przerażeni katastrofą - z rękami na biodrach wyglądali jak gipsowe rzeźby samurajów. Kawałki roztrzaskanego wieloryba leżały wszędzie wokół. Pokryte białym pyłem odłamki wyglądały jak skorupa olbrzymiego jajka, z którego przed chwilą wyklął się dinozaur.

Alice nie było nigdzie. Jakby się zapadła pod ziemię. Między jego kolanami widać było tylko odbity w pyle kształt jej sylwetki: śnieżny anioł, którego gładził rękami, dopóki nie zobaczył czarnej podłogi.

OTO JAK WSZYSTKO NAPRAWDĘ SIĘ SKOŃCZYŁO:

Drogi Davidzie!

Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że nie żyję.

Operacja wstawienia bajpasów żołądka w moim wypadku budziła wiele zastrzeżeń, głównie z obawy przed komplikacjami w związku z moją trombofilią. Prawdę mówiąc, odradzano mi zabieg, ale nie mogłam dłużej wytrzymać swojego wyglądu.

Planowałam, że po operacji udam się w długą podróż. Wykorzystaj te bilety, jeśli chcesz. Znajdź nowy początek. Nowy świat.

Cóż powiedzieć, kiedy się pojawia napis „Koniec”? Można mówić dużo albo mało. Ja mogłabym powiedzieć, że Cię kocham (bo to prawda), że zrobiłabym dla Ciebie wszystko (i zrobiłam). I mam nadzieję, że Ty dla mnie też.

Prosiłam, żeby Cię nie powiadamiać przez dziewięć miesięcy. Ten czas wystarczył, żeby moja nieobecność stała się realna. Tyle czasu trzeba, żeby wydać na świat dziecko.

Wystarczy więc, żeby dokonać radykalnej zmiany. Oto więc pytanie, na które powinienes sobie odpowiedzieć: Co zrobiłeś w czasie, kiedy mnie nie było?

David rozplakał się, gdy skończył wreszcie książkę.

Pomyślał, że bez względu na to, jak umarła - faktycznie czy w jego wyobraźni - czuje się współwinny. Sztuka to nie egzorcyzm, a przynajmniej nie dla artysty. W odróżnieniu od niej kilka innych rzeczy było prawdą: żadnych detektywów, żadnego płatnego mordercy, nic. W ogóle nic. Wielkie nic. Później, ponieważ spełniło się jego życzenie, nadeszły jeszcze czarniejsze myśli: nigdy nie pozbędzie się poczucia winy, na zawsze w nim utkwii. David, który wstał teraz z krzesła i ruszył w świat, zachowując się tak, jakby wciąż trwał w przeszłości, mógł być tylko w połowie prawdziwy. Mógł być tylko awatarem.

OTO JAK SKOŃCZYŁA SIĘ KSIĄŻKA DAVIDA:

Pepin wrócił do mieszkania wściekły i pokonany; po długim oczekiwaniu przed budynkiem muzeum, chodzeniu w kółko i bezskutecznych próbach dowiedzenia się czegokolwiek od władz pozostało mu tylko wrócić do domu.

Zanim wszedł do budynku, zobaczył swoje odbicie w drzwiach: był biały od stóp do głów, cały pokryty pyłem. Portier gdzieś wyszedł, a mo-

nitory ktoś przyłączał. Winda utknęła na górze, najwyraźniej na jego piętrze. Na szybie drzwi prowadzących do klatki schodowej czerwoną farbą namalowano napis WYJŚCIE.

Drzwi do ich mieszkania były lekko uchylone. Wszedł do środka i poszedł do kuchni. Siedziała przy stole, wykąpana, przebrana w czyste rzeczy, z talerzem orzeszków przed sobą. Na niebieskiej puszcze kłaniał się, z uśmiechem uchylając cylindra, Pan Ziarenko. Musiała płakać długo, bo była kompletnie wyczerpana. Jej zapadnięte policzki były skapane we łzach jak buzia małego dziecka. Miała czerwone i napuchnięte powieki. Wszędzie poniewierały się wydrukowane kartki jego książki.

Stanął jak wryty.

- Czy tak ją zakończysz? - zapytała. - Tego właśnie chcesz?

- Skąd to wzięłaś?

Zmięła kartkę w dłoni.

- Leżały na stole.

Rzuciła w niego zmiętym papierem.

- To niemożliwe!

- Musisz mnie bardzo nienawidzić, skoro wymyśliłeś coś takiego - stwierdziła.

Pepin podniósł kartkę, którą w niego rzuciła, rozprostował i przeczytał.

- Ja tego nie napisałem! - szepnął.

Nagle szeroko otworzyła oczy, jakby zobaczyła coś za jego plecami albo oczyma wyobraźni.

Pepin usłyszał kroki, ale kiedy się odwrócił, nikogo nie było. Tylko drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Zabijasz moją radość - powiedziała cicho, po czym wzięła z talerza dwie garście orzeszków i wsadziła sobie do ust.

Przez sekundę nie wierzył własnym oczom, ponieważ w reakcji na taką dawkę alergenu organizm odrzucił ją do tyłu razem z krzesłem.

- Nie! - krzyknął i dopadł do niej, odciągając jej dłonie od ust. Ale reakcja już się zaczęła, jak przemiana wilkołaka. Opuchlizna stawała się coraz większa. Wargi się rozděły i odwinęły od zębów, a palce i policzki stawały się coraz grubsze; po szyi, piersiach i ramionach rozprzestrzeniała się różowa rozstrzeń.

- Zadzwoń po pogotowie - wydyszała.

Mieszana śliny i orzeszków zebrała się w kącikach jej ust. Dławiła się, kiedy wykrzykiwał jej imię. Pobiegł do sypialni. Otworzył szuflady szafki nocnej po jej stronie. Strzykawki EpiPen zniknęły. Nie było ich też w torbie, której zawartość wyrzucił na pościel.

Wrócił do kuchni. Przyklęknął obok niej. Widok go zmroził: ścisnęła szyję, jakby chciała się udusić. Jej twarz zrobiła się fioletowa, prawie sina.

Nic nie mógł zrobić, ale mimo to spróbował. Opuchlizna zatkała jej przełyk. Wsadził jej do ust dwa palce, przeciskając je nad opuchniętym językiem i sięgając najgłębiej, jak mógł, do ściśniętego gardła, żeby umożliwić przepływ powietrza. Gdyby ktoś teraz wszedł i ich zobaczył, pomyślałby, że Pepin ją zabija, zatykając jej usta dłonią. On tymczasem robił coś, czego nigdy wcześniej nie mógł zrobić, a powinien był; coś, o czym marzył. Wcisnął się w nią całą siłą, trzymając ją za włosy, żeby zwiększyć jeszcze siłę nacisku. Czy to będzie ostatnia rzecz, jaką Alice zapamięta? Czy tak ma wyglądać ich ostatni uścisk? Sięgnął najgłębiej, jak mógł, a jednak jak się okazało, nie dość głęboko, próbując dotknąć jej tam, gdzie ona dotknęła kiedyś jego. Sięgał aż do czasów, gdy byli szczęśliwi, bo nie wiedzieli tego wszystkiego, co wiedzieli teraz - do samego serca.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chcę wyrazić wdzięczność Gaiy'emu Fisketjonowi, przyjacielowi i redaktorowi, którego nadzwyczajne wprost wysiłki przyczyniły się do ostatecznego kształtu tej książki. Wiedzę na temat Sama Shepparda zaczerpnałem z kilku publikacji: *Dr. Sam Sheppard on trial* Jacka P. DeSario i Williama Masona, *Mockery of Justice* Cynthii L. Cooper i Sama Reese'a Shepparda oraz *The Sheppard Murder Case* Paula Holmesa. Nie sposób pominąć pracy *The Wrong Man* Jeffa Nessa, który przedstawił proces Sama Shepparda z prawdziwą empatią, wnikliwie zestawiając stare i nowe dowody w tej sprawie, za co należy mu się szczególne uznanie. Na moją bezgraniczną wdzięczność zasługują agenci Susanna Lea i Mark Kessler za nieustrudzone wsparcie. A także kilku czytelników: błyskotliwe uwagi Kalen McNamara oraz wnioski z naszych licznych dyskusji były dla mnie bezcenne, podobnie jak rady i sugestie Phoebe Carver, George'a Cassidyego, Diany Fisketjon, Emily Milder oraz Franka Toty. Nickowi Paumgartenowi dziękuję za dopingowanie, mojemu bratu Ebanowi natomiast za pomoc w komponowaniu menu Hastrolla i nie tylko w tym. Za czas i wiedzę wdzięczny jestem doktorowi Danowi Canale, doktor Donnie Crowe i doktor Tiffany Hines. Specjalne podziękowania dla Ann Teaff i Harpeth Hall School za mecenat, który pozwolił mi napisać pierwszą wersję książki. Dziękuję także Richardowi Dillardowi za zapoznanie mnie ze sztuką Hitchcocka oraz - dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności - z kobietą, która została moją żoną. Bez zachęty rodziców i ich wiary we mnie nigdy nie zacząłbym pracy nad powieścią. Miłość i wsparcie potrzebne do jej ukończenia dostałem od Beth.